



**Sissel-Jo
Gazan**



**Pióro
dinozaura**

Sissel-Jo Gazan

Pióro dinozaura

Uniwersytet w Kopenhadze. Przybytek wiedzy, wymiany myśli, twórczej dyskusji. Lecz za fasadą chłodnej naukowej debaty kłębią się emocje, zawiść przeradza się w nienawiść, a urażona duma rodzi żądzę odwetu...

Kontrowersyjny profesor zostaje znaleziony martwy w swoim gabinecie. Podejrzani są wszyscy - wybitny paleontolog miał wielu wrogów. Wśród nich jest jego doktorantka Anna. Profesor utrudniał jej obronę przełomowej pracy dyplomowej. Ale komisarz prowadzący śledztwo niespodziewanie właśnie ją prosi ją o pomoc...



1

Solnhofen, Południowe Niemcy,
5 kwietnia 1877 roku

Anna Bella śniła, że udało się jej znaleźć archeopteryksa, praptaka z Bawarii. Ekspedycja trwała już szósty tydzień i twarze uczestników zdążyły się pokryć kurzem, nastroje były kiepskie. Jediną osobą, która nie traciła dobrego humoru, był kierujący wyprawą Friedemann von Molsen. Rano, kiedy Anna drząc z zimna, wyszła z namiotu, Friedemann siedział przy ognisku i pił kawę. Najwyraźniej zdążył już zjeść śniadanie; na dnie garnka została odrobina przypalonej kaszy. Anna miała dosyć wszystkiego: kaszy, kurzu, a przede wszystkim klęczenia na kolanach i grzebania w ziemi, w której ciągle znajdowali jedynie „młode” kości. Ciekawe, owszem, ale przecież nie dla nich studiowała biologię, a już na pewno nie dla nich zgodziła się spędzić pięć tygodni wakacji w tych prymitywnych warunkach. Był rok 1877 i nagle Anna, śniąc, odniosła wrażenie, że coś się nie zgadza. Miała na sobie puchową wojskową kurtkę i ciepłe, wyściełane futrem buty na gumowych podeszwach. Friedemann von Molsen nie wydawał się tym zdziwiony, chociaż sam ubrany był w trzyczęściowy garnitur z prążkowanego sztruksu, z kamizelką i dewizką,

na głowie miał wełniany kaszkiet, który opierał mu się na uszach, a w ustach fajkę.

Dzień mijał szybko. Byli w Solnhofen, na północ od Monachium; poza Anną i Friedemannem von Molsenem w wyprawie uczestniczyło dwóch tragarzy, dwóch studentów oraz złocisto-beżowy retriever von Molsena, suka, która wabiła się Anna Bella, co było dość irytujące.

Wyruszyli rano, pokonując te same wzgórza, które pokonywali także dzień wcześniej; von Molsen opowiadał anegdotki. Anna słyszała je tak wiele razy, że nie potrafiła się już z nich śmiać. Nie była też w stanie cieszyć się, że znalazła się w czasie, o którym marzy każdy naukowiec, niejeden pewnie dałby sobie rękę uciąć, by móc tego doświadczyć. Gdy Friedemann von Molsen zaczynał coś mówić, wyjmował cybuch z ust i wskazywał nim w stronę Anglii. Jego spokój burzył bowiem Darwin.

Teoria ewolucji miała już wówczas swoich zwolenników, chociaż nadal nie było zgody co do rządzących nią mechanizmów, i o ile von Molsen był skłonny zaakceptować samą ideę, to kategorycznie odrzucał pomysł Darwina, jakoby selekcja naturalna była jej siłą napędową. Gdy dyskusja sięgała zenitu, zaczynał wymyślać Darwinowi od cierników. Anna nie bardzo rozumiała, dlaczego właśnie ciernik był najgorszym wyzwiskiem, jakie von Molsenowi w tym momencie przychodziło do głowy.

Na początku ekspedycji kilka razy odważnie podzieliła się swoimi uwagami, czym zjednała sobie

sympatię von Molsena. Był to bowiem człowiek ceniący sobie ciekawość świata i zainteresowanie zjawiskami przyrody. Podkreślał, że dla dobra dyskusji można nawet zabawić się w adwokata diabła, byle nie dać się zwieść i uwierzyć, że za kilkadziesiąt lat teorie tego ciernika zyskają powszechne uznanie. Uwierzyć, że wszystkie żywe organizmy, tak myszy, jak i ludzie, ptaki czy chrząszcze mają wspólnego przodka, a różnice w morfologii, fizjologii i zachowaniu poszczególnych osobników wynikają w głównej mierze z konieczności dostosowania się i potrzeby rywalizacji.

– Jakie miałyby to konsekwencje? – spytał von Molsen. Wskazał fajką na Annę, lecz zanim ona zdążyła cokolwiek powiedzieć, sam już udzielał sobie odpowiedzi. – Konsekwencje – zaczął wesoło – byłyby takie, że musielibyśmy przyjąć, iż materiał genetyczny nie jest stały. Ze może się zmieniać, chociaż nie wiemy dlaczego; jakby wszystko, cała przyroda i nasze istnienie, było jedynie czystym przypadkiem. Toż to szaleństwo!

Darwin, podczas swojego słynnego już wykładu na uniwersytecie w Oksfordzie, stwierdził, że brak dowodów na ewolucję ptaków wynika jedynie z faktu, że do tej pory nie odnaleziono niektórych skamieniałości. Kiedy to nastąpi, a jest to jedynie kwestia czasu, tajemnice ewolucyjnej kabały staną się jasne dla wszystkich, nie tylko dla Darwina i wąskiego grona jego popleczników. Wszyscy rozumieją, że siłą napędową ewolucji jest właśnie selekcja naturalna.

– Ten człowiek jest szalony – stwierdził von Molsen stanowczo, patrząc uważnie na Annę.

Rozmowa ta miała odbyć się piątego dnia ekspedycji, kiedy to okazało się też, że Anna świetnie gra w szachy. Grali rogowymi pionkami na maleńkiej szachownicy, którą von Molsen wyczarował z lewej kieszeni marynarki – w prawej trzymał fajkę – i rozłożył na prawym udzie. W pewnym momencie Anna popełniła błąd: próbując bronić pomysłów Darwina, wspomniała o pewnej skamieniałości, która miała zostać odkryta dopiero siedemdziesiąt cztery lata później. Chcąc ratować sytuację, pograżyła się jeszcze bardziej. Wspomniała bowiem o opierzonym dinozaurze, którego dwaj chińscy paleontolodzy mieli odkryć i opisać sto dwadzieścia trzy lata później. Von Molsen wpadł w złość i zbił własną królową. Anna miała ochotę bić głową o drążek podtrzymujący namiot. To jest nauka, nie jakieś żarty czy wygłupy, grzmiał von Molsen, podnosząc królową. Anna się poddała. W końcu był to tylko sen.

Od tamtej pory jednak coraz bardziej podupadała na duchu, a kiedy pewnego ranka von Molsen znów zaczął wymachiwać fajką w stronę Anglii, postanowiła, że dla niej będzie to już ostatni dzień wyprawy. Wróci do Monachium, zje porządny posiłek, a potem wsiądzie do pociągu do Berlina, by stamtąd jak najszybciej pojechać do Kopenhagi. Zacisnęła powieki i próbowała się obudzić. Jednak wiatr nadal szalał na bawarskiej równinie, von Molsen obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku

północnym, gdzieś w oddali widać było stojącego słupka królika, który po chwili zniknął w zaroślach. Anna westchnęła.

W ciągu dnia, kiedy Anna nie spała, był rok 2007, a ona studiowała na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu w Kopenhadze, a dokładnie w Zakładzie Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej Instytutu Biologii. Poprzedni rok zszedł jej na pisaniu pracy doktorskiej, omawiającej trwający bez mała sto pięćdziesiąt lat spór naukowy. Chodzi o to, czy ptaki są współcześnie żyjącymi dinozaurami, czy też pochodzą od jeszcze wcześniejszych, prymitywnych gadów. Niedawno oddała pracę, za dwa tygodnie miała jej bronić.

Z historycznej perspektywy spory naukowe nie były czymś niezwykłym. Zastanawiano się, czy ziemia jest płaska, czy okrągła, czy człowiek jest spokrewniony z małpą i z czego zbudowana jest Droga Mleczna. Spory bywały gwałtowne, ale zwykle kończyły się, gdy jednej ze stron udało się zebrać wystarczające dowody. Ziemia jest okrągła. Człowiek należy do rzędu naczelnych, a Droga Mleczna składa się głównie z ogromnych czerwonych gwiazd. Jednak jeśli chodzi o kontrowersje dotyczące pochodzenia ptaków, sprawy najwyraźniej miały się inaczej. Spory trwały nadal, mimo że z naukowego punktu widzenia wszelka dyskusja była jałowa.

Von Molsen znów zaczął nabijać fajkę i po chwili do nozdrzy Anny dotarł przyjemny, słodki zapach. Ktoś nastawił kawę; słyszała, jak Daniel, jeden z dwójki

pozostałych doktorantów, stuka naczyniami. Mówił coś do von Molsena, podciągając spodnie, które miały tendencję do opadania, ponieważ Daniel od pięciu tygodni, czyli od chwili rozpoczęcia wykopalisk, żywił się tym, czym żywili się wszyscy pozostali, czyli fasolą, kaszą, kapustą i kawą. Anna podejrzewała, że Daniel też jest sceptyczny wobec stanowiska von Molsena, stanowczo odrzucającego teorię selekcji naturalnej. Podczas swojej niefortunnej dyskusji z von Molsenem, kiedy strzeliła sobie w stopę, nieopatrznie powołując się na dwie jeszcze nieznalesione skamieniałości, pochwyciła spojrzenie Daniela, który stał w pobliżu, udając, że mocuje linki do namiotu. Dostrzegła w jego oczach coś, co pozwalało jej przypuszczać, że on także ma wątpliwości, czy idee Darwina odnośnie do selekcji naturalnej rzeczywiście są tak niedorzeczne, jak twierdzą niektórzy uznani starsi naukowcy.

Rozumiała doskonale, że nowa teoria ewolucji może być trudna do przyjęcia. Przez wieki uznawano powszechnie, że wszystkie zwierzęta i rośliny stworzył Bóg; że mysz i kot, buk i klon mają ze sobą tyle wspólnego, co pustynia z przestworzami niebieskimi, a słońce z poranną rosą na trawie. Wszystko jest dziełem Pana, jedno nie mogło, ot, tak sobie, przekształcić się w coś drugiego; zwierzęta i rośliny nie mogły też wymrzeć, chyba że Stwórca zażyczył sobie wycofać któreś zwierzę z krainy żywych. W odniesieniu do ptaków oznaczało to, że wróbel nie jest spokrewniony ani z kosem, ani z

flamingiem, z burzykiem czy z jakimkolwiek innym ptakiem, a ptaki jako gatunek nie są spokrewnione ani z dinozaurami, ani z gadami czy innymi zwierzętami. Zostały umieszczone na Ziemi w swoim obecnym kształcie przez Boga. *Voila.*

Idea ewolucji stała w sprzeczności z doktryną głoszącą, że Ziemia i wszystkie żyjące na niej organizmy powstały jednocześnie w boskim akcie stworzenia. Dla wielu była więc nie do przyjęcia. Mieliby uznać, że rozwój następował sam z siebie, tak po prostu, bez ingerencji Boga?

Sen trwał dalej. Słońce stało wysoko nad Solnhofen. Po krótkiej naradzie, dotyczącej dzisiejszych zajęć, i wypiciu filiżanki czarnej jak smoła kawy wszyscy rzucili się w wir pracy. Anna kopła na łagodnym zboczu z tyłu za wszystkimi; wystarczyło, że uniosła głowę, i widziała, kto gdzie jest i co robi. Przed sobą miała duży kawałek wapiennego łupku, leżał przed nią jak ogromny obraz. Usunęła kilka warstw kurzu, odgarnęła pędzelkiem piach i ziemię, zdjęła kurtkę i podwinęła rękawy. Z południa nadszedł nagle samotny powiew wiatru, zamknęła oczy, by chronić je od piachu. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła skamieniałość. Powiew wiatru usunął zalegające na niej ziemię i pył i mimo że trzeba było usunąć kolejne dwie warstwy ziemi, zanim ptak stał się w pełni widoczny, nie było wątpliwości. Przed nią, skąpany w słonecznym świetle, leżał *Archaeopteryx lithographica*, jedna z

najbardziej cennych skamieniałości świata, którą Anna dotąd знаła jedynie z literatury. Prąptak był nieco mniejszy od zwykłej kury, jedno skrzydło miał przepięknie rozłożone. W pewnym sensie sen był kłamstwem, bo przecież Anna doskonale wiedziała, co znalazła. Widziała tego niewielkiego ptaka na setkach zdjęć i rysunków. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu w sali kręgowców Muzeum Zoologicznego oglądała zdjęcia berlińskiego egzemplarza, które łaskawie pozwolono zrobić duńskim paleontologom podczas pobytu studyjnego w Niemczech. Rozpoznała piękne pióra, długi ogon, dobrze wykształcone kończyny i idealnie zbudowaną, nieco odchyloną do tyłu czaszkę, która wyróżniała go wśród dotąd znanych egzemplarzy. W 1861 roku znaleziono inny egzemplarz, który za siedemset funtów został sprzedany Muzeum Przyrodniczemu w Londynie, jednak Anna przed chwilą znalazła najpiękniejszy i najważniejszy ze wszystkich dziesięciu istniejących egzemplarzy, ten, który wkrótce miał zasłynąć jako egzemplarz berliński.

Podniecona, w odruchu radości chciała natychmiast przywołać von Molsena, który stał nie opodal z fajką w ręku, uznała jednak, że powinna działać bardziej przemyślnie. Musi oczywiście dać znać kierownikowi ekspedycji, że znalazła coś niezwykłego, ale powinna zrobić to tak, żeby von Molsen nie domyślił się, że ona wie, co znalazła. W innym przypadku natychmiast stanie się podejrzana.

Kiedy von Molsen usłyszał jej wołanie, odwrócił się i dostojnym krokiem ruszył w jej stronę. Klęknął i dłuższą chwilę przyglądał się skamielinie. Ostrożnie usunął dwie ostatnie warstwy ziemi, po czym w wielkim skupieniu przeciągnął palcem po doskonałym ciele ptaka. Anna wiedziała, że ma ono sto pięćdziesiąt milionów lat.

– Dobrze, moja droga – powiedział w końcu.

Kiedy na nią patrzył, dostrzegła w jego wzroku coś dziwnego: jedno oko mężczyzny było niemal fioletowe. Był wyraźnie wstrząśnięty znaleziskiem.

– Mamo?

Von Molsen odłożył dymiącą fajkę na ziemię, wyjął szkło powiększające i w chwili, kiedy Anna zdecydowanie nie chciała opuścić swojego snu, obraz zaczął się rozmywać.

– Mamo, chcę przyjść do ciebie – rozległ się cienki głos dziecka. Anna zacisnęła dłonie i obudziła się w Kopenhadze.

Sypialnia pogrążona była w półmroku, obok jej łóżka stała Lily, w piżamie i ciężkiej od moczu pieluszce. Anna podniosła ją i położyła obok siebie. Dziecko przytuliło się do niej. Dochodziła szósta. Błade światło poranka wpadało przez okno, ale widno zrobi się pewnie nie wcześniej niż za pół godziny. Pościel była świeżo uprana i przyjemnie skrzypiała, między oknem a zamkniętymi drzwiami stała jakaś postać. Był to Friedemann von Molsen. Anna nie mogła dojrzeć twarzy mężczyzny, ale rozpoznała jego filcowy kapelusz z szerokim rondem,

który wkładał, gdy słońce stawało się nie do zniesienia. Serce zaczęło jej bić szybko, chciała, żeby zniknął. Podobnie jak przed chwilą sen wydawał się jej prawdziwy, tak samo prawdziwy wydał się jej teraz von Molsen, stojący w kącie jej sypialni i przyglądający się jej w milczeniu.

Zaczekam trochę, a rozplynie się w promieniach światła, pomyślała. Wiedziała, że tylko wydaje się jej, że go widzi. Mimo to w szarym świetle poranka widziała go równie wyraźnie, jak wysoką komodę obok drzwi i stojący na niej zielony wazon z liliami, które wczoraj kupiła.

Później, kiedy wracała myślami do tego dnia, wiedziała, co oznaczało pojawienie się von Molsena.

Było ostrzeżeniem.

2

Był poniedziałkowy poranek, ósmego października. Budynek Instytutu Biologii w Parku Uniwersyteckim na Østerbro miał kształt litery H i leżał wciśnięty między Muzeum Zoologiczne a Instytut imienia Augusta Krogha. Główny gmach był wąskim, czteropiętrowym prostokątem, który z jednej strony wychodził na ulicę Jagtvej, z drugiej zaś na brukowany dziedziniec. Anna Bella zostawiła rower przy wejściu do budynku dwunastego, gdzie na drugim piętrze mieścił się Zakład Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej. Dzień zaczął się źle. Odprowadziła Lily do przedszkola, ale córeczka nie chciała jej puścić i płakała. Stały w szatni. Przez szklaną szybę widziała, jak inne dzieci przynoszą poduszki do siedzenia i szykują się do porannych zajęć. Lily nie miała na nic ochoty. Uczepiła się kurczowo Anny, mocząc jej kurtkę łzami i smarkami.

W końcu pojawiła się jedna z wychowawczyń. Lily zaczęła jeszcze głośniejsz rozpaczać; Anna czuła narastającą desperację. Spojrzała błagalnie na wychowawczynię, która delikatnie podniosła Lily, tak że mogły teraz razem zdjąć z niej kombinezon.

Anna miała permanentne wyrzuty sumienia. Właściwie córeczką opiekowała się głównie jej matka, Cecilie. Sama to zaproponowała pół roku temu, kiedy sytuacja zrobiła się naprawdę trudna. „Jeśli chcesz

wywiązać się ze swojego zadania w wyznaczonym terminie, nie możesz codziennie wychodzić o czwartej, żeby odebrać dziecko z przedszkola”, powiedziała. I tak się zaczęło. Lily uwielbiała babcię, tłumaczyła sobie Anna, więc dlaczego nie? Było czymś naturalnym, że Cecilie zaopiekowała się wnuczką.

Przez kilka ostatnich miesięcy Anna pracowała właściwie na okrągło. W końcu udało jej się skończyć pracę doktorską, ale musiała się przygotować do obrony i do egzaminu końcowego. Tęskniła za córeczką. Wiedziała, że zbyt wiele obowiązków przerzuca na Cecilie, ale w jej napiętym harmonogramie w tej chwili po prostu nie było czasu dla Lily. Poza tym mała świetnie się czuła u babci.

– Przestań, Lily – powiedziała. – Muszę już iść. Po południu odbierze cię babcia. Zostaniesz u niej na noc. Puść mnie – prosiła.

W końcu musiała się oderwać od niej siłą.

– Proszę już iść – przyszła jej na pomoc wychowawczynie. – Poradzę sobie – dodała.

Kiedy Anna stawiała rower na dziedzińcu na tyłach instytutu, dostrzegła Hanne Moritzen pracującą w swoim gabinecie na parterze budynku. Próbowwała zwrócić jej uwagę, ale kobieta nie podnosiła głowy, pochylona nad biurkiem.

Hanne Moritzen była parazytologiem, zbliżała się do pięćdziesiątki. Cztery lata wcześniej wykładała na letnim

kursie w Brorfelde, w którym Anna brała udział. Pewnej nocy, kiedy obie nie mogły zasnąć, spotkały się w przestronnej kuchni, należącej do uniwersyteckiego laboratorium terrarystycznego. Hanne parzyła rumianek, zaczęły rozmawiać. Początkowo o sprawach zawodowych, ale Anna szybko się zorientowała, że Hanne, w przeciwieństwie do większości profesorów, ma znacznie szersze zainteresowania. Zaczęły dyskutować o książkach, o filmach i Anna uznała, że ją lubi. O świcie stwierdziły zgodnie, że nie ma już sensu się kłaść, i gdy w kuchni zaczęli się pojawiać pierwsi zaspani kursanci, one właśnie zasiadały do partii kart.

Potem spotykały się przy różnych okazjach, wymieniały grzecznościowe pozdrowienia, kilka razy umówiły się na lunch. Hanne miała w sobie stanowczość i spokój, budzące podziw Anny. Od ich ostatniego wspólnego lunchu minęło już sporo czasu. Anna obiecała sobie, że jak tylko upora się z obroną pracy, odrobi wszystkie zaległości. Wobec córeczki, wobec Hanne, no i wobec siebie. Nagle kobieta oderwała wzrok od biurka i spojrzała w okno. Uśmiechnęła się do Anny i jej pomachała. Anna odpowiedziała na jej pozdrowienie i szybko weszła do budynku numer 12.

Zakład Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej składał się z gabinetów i laboratorium, położonych po obu stronach długiego i całkowicie pozbawionego okien korytarza. Pierwszy gabinet należał do Larsa Hellanda, promotora Anny i w zasadzie jej

jedyne go kierownika naukowego. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z twarzą pozbawioną zmarszczek, co było dość niezwykle jak na biologa, który konsekwentnie nie chronił skóry twarzy podczas prac w plenerze. Jedyne, co zdradzało, że zbliża się do sześćdziesiątki, to nikłe pasma siwizny w zaroście i stojące na jego biurku zdjęcie uśmiechniętej kobiety i nastoletniej córki z aparatem na zębach.

Anna była przekonana, że Helland jej nienawidzi, w każdym razie ona go nie znosiła. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy właściwie ani razu nie znalazł dla niej czasu, a kiedy w końcu kiedyś udało się jej przyprzeć go do muru i zadać konkretne pytanie, odpowiedział krótko i bez zainteresowania; mówił nie na temat i nie dawał sobie przerwać. Zirykowało ją to. Zastanawiała się nawet, czy nie wnieść na niego skargi. W końcu zrezygnowała, ale zaczęła go unikać. W piątek, zamiast oddać mu pracę osobiście, zostawiła mu ją po prostu w jego przegródce. Za czwartym razem, kiedy do niej zajrzała, pracy nie było.

Drzwi do gabinetu Hellanda były uchylone, Anna przeszła obok nich najciszej jak potrafiła. Przez szparę dojrzała fragment fotela, szare nogawki spodni, stopy w skarpetkach i jeden but odwrócony podszwą do góry. Typowy obrazek. Kiedy Helland był w gabinecie, zwykle leżał obłożony książkami i czasopismami, piętrzącymi się w nieregularnych stosach wokół jego krzesła, i czytał. Te kilka razy, kiedy udzielił jej jakichś wskazówek, czynił to w pozycji pólężącej, jakby był wielkim panem

udzielającym audiencji.

Zaraz, zaraz, Helland nie był w gabinecie sam. Anna usłyszała czyjś podniecony głos i podświadomie nieco zwolniła. Czyżby to był głos Johannesesa? Próbowwała słuchać, czego rozmowa dotyczy, ale zrezygnowała. Dowie się tego później. Ruszyła pospiesznie korytarzem.

Anna i Johannes dzielili pokój. Johannes właściwie skończył już pisać pracę, ale pozwolono mu zachować biurko, ponieważ on i Helland pracowali razem nad ważnym artykułem. Helland był bowiem także jego opiekunem naukowym. Anna doskonale pamiętała swój pierwszy dzień w zakładzie. Był styczeń. Helland przyjął ją i wskazał jej miejsce w niewielkim pokoiku, niemal celi, który miała dzielić z Johannesem. Natychmiast go rozpoznała, studiowali razem, i w pierwszym odruchu pomyślała: o nie! Potem zastanawiała się nad swoją reakcją. Właściwie nigdy ze sobą nie rozmawiali, ale Johannes nie tylko wyglądał dziwnie, on był dziwny. Miał włosy koloru marchewki, oczy ukryte za okrągłymi niemodnymi szklami i jakby kleił się do ludzi wzrokiem. Przez pierwsze trzy tygodnie była bardzo niezadowolona, że musi dzielić z nim pokój. Błat jego biurka przypominał pobojuwisko, wszędzie stały do połowy opróżnione kubki z herbatą, nigdy nie wietrzył pokoju, nigdy nie sprzątał i codziennie zapominał nastawić swój telefon komórkowy na milczenie; potem co prawda zawsze przeproszał, niemniej było to irytujące. On natomiast zdawał się ze wszech miar zadowolony, że zyskał towarzystwo w

swoim pokoju o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych i bez przerwy mówił. O sobie, o sprawach zawodowych, o polityce światowej.

Przez pierwsze trzy tygodnie Anna świadomie trzymała go na dystans. W czasie przerwy obiadowej szła do stołówki sama, mimo że rzeczą naturalną byłoby spytać, czy nie ma ochoty iść z nią; kiedy zadawał jej jakieś pytanie, odpowiadała zdawkowo, by nie przyszło mu do głowy kontynuować rozmowy; odmówiła, gdy zaproponował, że mogliby na zmianę kupować ciasto do kawy. Ciągłe wychodził z nowymi propozycjami. Jakby nie zauważał jej zdystansowania. Cały czas coś mówił, opowiadał, śmiał się głośno z własnych dowcipów, przynosił artykuły, które mogły ją zainteresować; zawsze parzył dwie filiżanki herbaty, jedną podawał z mlekiem i z miodem, zabawne, że właśnie taką lubiła najbardziej. Po jakimś czasie Anna zaczęła topnieć. Johannes był ciepły i zabawny i jak nikt inny potrafił ją rozśmieszyć. Nie śmiała się tak od... od wielu lat. Był niezwykle uzdolniony. Anna dała się zwieść jego dziwacznemu wyglądowi. Nieprawda, że klei się do ludzi wzrokiem, jak jej się początkowo zdawało; jego spojrzenie było uważne i otwarte. Patrzył na nią, jakby mu na niej zależało. Jakby to, co ona mówiła, było naprawdę ważne.

– Jesteś umalowany! – wykrzyknęła Anna zdziwiona pewnego dnia wiosną, niedługo po tym kiedy w końcu zostali przyjaciółmi.

Kiedy weszła do pokoju, Johannes siedział już przy biurku. Był ubrany w skórzane spodnie i hawajską koszulę, włosy miał zaczesane do tyłu i ułożone na wosk; jego długie, białe palce leżały na klawiaturze. Okulary znacznie powiększały jego brązowe oczy i kiedy na nią spojrział, nie miała wątpliwości: był umalowany.

– Jestem Gotem – powiedział, uśmiechając się tajemniczo.

– Kim jesteś?

Anna postawiła torbę na krześle i przyglądała mu się, nic nie rozumiejąc.

– W piątek zabalowałem. Pojechałem po bandzie – ciągnął dalej. – Ale byłem przekonany, że dokładnie zmyłem makijaż. – Chodź, coś ci pokażę – dodał, wykonując zapraszający gest ręką.

Pokazał jej umieszczone w sieci zdjęcia. Powiedział, że klub nazywa się Czerwona Maska, a jego członkowie spotykają się w każdy pierwszy piątek miesiąca. Nazwa została oczywiście zaczerpnięta z tytułu tomu opowiadań Edgara Allana Poe *Maska Czerwonego Moru*. Członkami klubu są Goci z całej Skandynawii. Widząc malujący się na jej twarzy brak zrozumienia, wyjaśnił, że jest to subkultura, i wskazał palcem na jedno ze zdjęć. Anna nie potrafiła się zorientować, co ono przedstawia. Miała przed sobą kobietę o nieco męskich rysach i rudych włosach; usta kobiety były pomalowane na czarno, oczy – wyraźnie podkreślone. Ubrana była w obcisły czarny gorset, siatkową koszulkę i skórzane spodnie z nitami. „Orlando”

głosił podpis pod zdjęciem. Anna patrzyła zdziwiona.

– To ja – powiedział Johannes po chwili.

– Żartujesz! – wykrzyknęła i nagle zdała sobie sprawę, że zachowała się jak kretyńka. Johannes był oczywiście gejem!

– Co znaczy Orlando? – spytała.

Spojrzał na nią surowo.

– To oczywiście nawiązanie do tytułowej postaci powieści Wirginii Woolf o tym samym tytule. Orlando jest mężczyzną, który przemienia się w kobietę. Jak ja wraz z zapadnięciem zmroku – roześmiał się.

Anna patrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Okej – powiedziała w końcu.

– Co nie znaczy, że jestem gejem – dodał, jakby czytając w jej myślach.

– No to kim jesteś? – wyrwało się jej.

– Jestem stworzony dla kobiet – powiedział, puszczając do niej oko. – No i jestem Gotem. Bywa, że przychodzę na imprezy przebrany za kobietę.

– Bzykacie się na tych waszych balangach?

Popatrzył na nią rozbawiony.

– Masz ochotę się przekonać?

– Przestań. – Anna rzuciła w niego gumką, ale nie mogła powstrzymać śmiechu. – Nie dlatego spytałam, po prostu jestem ciekawa. Wyglądasz, jak jakaś... – powiedziała, zawieszając głos. Wskazała ruchem głowy w stronę ekranu monitora. Johannes podążył za jej wzrokiem.

– Nieźle się odrobiłem – stwierdził zadowolony.

Siedział, stukając palcami o blat biurka, i patrzył na Annę. W jego wzroku było wahanie, jakby się zastanawiał, czy ma siłę wszystko jej tłumaczyć.

– W Czerwonej Masce nie uprawia się seksu – odezwał się nagle. – Ale niektórzy z nas bywają też w klubach fetyszystów. Na przykład ja – dodał, przyglądając się jej uważnie. – Głównym miejscem spotkań tego środowiska jest klub Incognito. Imprezy odbywają się dwa razy w miesiącu. I tam jest seks. Są darkroomy, ludzie przychodzą ubrani w błyszczące skóry, jeśli ktoś chce, może zostać wychłostany.

– Dobrze, wystarczy, Johannes – powiedziała Anna, unosząc dłoń.

– W tych kręgach świętoszki mają duże wzięcie. Są bardzo popularne – roześmiał się i rozłożył ręce w zapraszającym geście.

Anna rzuciła w niego leżącym pod ręką czasopismem. Johannes zrobił unik, odchylił się na krześle, uśmiechając się szeroko. Po chwili Anna też się uśmiechnęła. Z Johannesem wszystko było proste.

Jedynie kiedy rozmowa schodziła na Larsa Hellanda, atmosfera stawała się napięta. Niedługo po tym, jak się zaprzyjaźnili, Anna spytała go, czy wie, co gryzie Hellanda? Profesor jest zawsze skwaszony, roztargniony, nie potrafi się skupić. Zaskoczona zauważyła, że Johannes wydawał się szczerze zdziwiony. O co jej chodzi? Helland

był znakomitym promotorem, nie mógł mu niczego zarzucić. Naprawdę uważa, że sprawia wrażenie nieobecnego i jest powolny? On tego nie zauważył.

Któregoś dnia niemal się o to pokłócili. Anna rzuciła od niechcenia, że czasem ma ochotę dokuczyć Hellandowi; na przykład zabrać mu jedną z jego ukochanych książek albo poluzować śrubkę w mikroskopie stereoskopowym sfinansowanym przez fundację Carlsberga. Mikroskop wart był kilka milionów koron, poluzowanie jednej maleńkiej śrubki sprawiłoby, że obraz stałby się nieostry albo że Helland miałby trudności z dostosowaniem okularów do rozstawu oczu. Mogli też spróbować wyhodować pleśń na ścianie jego pokoju. Albo wpuścić mu do gabinetu mysz. Byłby zły, to wszystko, nie stałaby mu się żadna krzywda. Denerwował ją.

Chwilę wcześniej Anna i Johannes zrobili sobie przerwę, pili herbatę i rozmawiali o filmie, który niedawno oboje widzieli. Gdy jednak zaczęła głośno opowiadać o swoich fantazjach, Johannes się zezłościł.

– To nie jest zabawne – stwierdził. – Dlaczego mówisz takie rzeczy? To naprawdę nie jest śmieszne.

– Daj spokój. Wyluzuj – powiedziała Anna, ale zrobiło się jej wstyd. Czyżby rzeczywiście miała chorą wyobraźnię?

– Nie wolno w ten sposób dokuczać ludziom – wymamrotał Johannes.

– To były żarty – tłumaczyła mu.

– Nie powiedziałbym – obstawał Johannes przy swoim.

– O czym my właściwie dyskutujemy? – spytała Anna, odwracając się na krześle w jego stronę.

Czuła się urażona. Johannes siedział pochylony nad klawiaturą.

– Naprawdę myślałeś, że rzeczywiście chciałabym zaszkodzić Hellandowi?

– Nie, jasne, że nie – odpowiedział Johannes, ale jego głos brzmiał niepewnie.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze go bronisz – ciągnęła dalej Anna wyraźnie zła.

– A ja nie rozumiem, dlaczego zawsze go atakujesz. – Przyglądał się jej zaciekawiony. – Powinnaś dać facetowi szansę.

– On się w nic nie angażuje – odparła Anna, słysząc, jak głupio to brzmi.

– I dlatego chcesz wpuścić mu mysz do gabinetu?

– To był żart!

Johannes patrzył na nią badawczym wzrokiem.

– Dlaczego czasami jesteś taka surowa? Twój głos brzmi wtedy jak brzytwa. Helland nie jest taki zły. Jest w porządku.

Anna odwróciła się do monitora i zaczęła mocno uderzać palcami w klawisze. Była bliska płaczu. Johannes wstawił wodę na kolejną herbatę.

– Proszę, moja piękna – powiedział czule, stawiając filiżankę na jej biurku. Poklepał ją dobrotliwie po plecach.

- Ja tylko żartowałam – wymamrotała Anna.
- Tyle że to nie było zabawne – zauważył, siadając przy swoim biurku.

Od tamtej rozmowy oboje unikali dyskusji na temat ich promotora. Anna była jednak zdania, że profesor coraz bardziej dziwaczny. Pewnego wieczoru zostawiła córeczkę u mamy i wróciła do pracy. Zapadał zmierzch, na parkingu za budynkiem instytutu widać było tańczące niebieskie cienie. W powietrzu unosiła się woń gnijących liści, pachniało końcem wyjątkowo chłodnego lata. Obok stojaków na rowery dreptały gołębie i coś dziobały. Gdy jej rower się przewrócił, wzbiły się z hałasem w powietrze. Johannes oczywiście już dawno poszedł do domu, niestety.

Nagle w mroku zmaterializował się Helland. Stał odwrócony do niej plecami, całkowicie nieruchomy, w miejscu, gdzie przed chwilą były gołębie. Przypominał figurę woskową. Anna poczuła dziwny niepokój, z wahaniem ruszyła w jego stronę. Światło znikło już niemal całkowicie. Sądziła, że profesor przynajmniej odpowie na jej pozdrowienie. On jednak nawet się nie poruszył. Po prostu stał nieruchomo, odwrócony do niej plecami. Rozejrzała się za jego samochodem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Zaczęła wypatrywać jego roweru, też bez skutku. Zauważyła, że profesor nie ma w ręku kluczyków do samochodu, nie ma też teczki czy torby ani też wierzchniego ubrania. Podeszła bliżej; kiedy znalazła

się w jego polu widzenia, chrząknęła. Helland uniósł głowę i spojrzał na nią pustym wzrokiem; otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydał tylko kilka dziwnych bulgoczących dźwięków, na jego wargach pojawiła się biała piana.

– Wszystko w porządku? – spytał Anna przestraszona.

– Ydź – wymamrotał i uniósł rękę.

Patrzył na nią wściekły, ale jej nie uderzył. Może po prostu chciał gestem ręki dać jej do rozumienia, że ma zostawić go w spokoju?

– Ydź tą – powtórzył, tym razem nieco głośniej. Z jego ust oderwało się trochę piany, która rozplynęła się w ciemnościach.

– Mam sobie pójść? – spytała Anna.

Skinął głową.

– Tak, odejdz stąd – powiedział nagle bardzo wyraźnie.

Anna odeszła. Serce waliło jej w piersi całą drogę do pokoju na drugim piętrze, gdzie znajdowała się kopiarka. Weszła do środka, stanęła w ciemnym oknie, które wychodziło na parking, i obserwowała Hellanda. Profesor stał chwilę, nagle zadrżał, jakby przeszył go gwałtowny dreszcz, pokręcił głową, potrząsnął jedną, potem drugą nogą, i – kierując się w stronę dużego parkingu – zniknął za rogiem.

Następnego dnia Anna postanowiła opowiedzieć Johannesowi o wieczornym incydencie. Johannes

najpierw wydał się poirytowany faktem, że złamała ich niepisana zasadę nierozmawiania o Hellandzie, ale po chwili, ku zdziwieniu Anny, przyznał, że on także zauważył, że profesor nie jest chyba w najlepszej formie. Z Hellandem pracował nad artykułem związanym z tematem swojej pracy doktorskiej, i – niestety – musi przyznać, że profesor ostatnio był jakby mniej sprawny niż zwykle. Wtedy Anna nagle spytała:

– A co on ma w oku?

Johannes spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Helland ma coś w oku – powtórzyła Anna, wskazując palcem na kąt własnego oka. – Ma jakąś narośl. Może jest chory – upierała się.

Johannes wzruszył ramionami. Anna nie mogła stwierdzić tego z całą pewnością, bo kiedy spotykała Hellanda, ten zwykle spieszył dokąds korytarzem, wyraźnie zdenerwowany. Czasem, kiedy drzwi były otwarte, zaglądał do ich pokoju, mówił „cześć” i po chwili znikał w windzie.

Johannes pochylił się nad klawiaturą, a ona postanowiła nie drążyć tematu.

Anna przeniosła się do Kopenhagi w 1999 roku, kiedy została przyjęta na studia biologiczne. W Kopenhadze mieszkał Jens, jej ojciec, i to on pomógł jej znaleźć mieszkanie na Florsgade. Rodzice Anny rozwiedli się, kiedy miała zaledwie osiem lat. Została z matką. Zamieszkały w Brsenderup, niewielkiej wiosce niedaleko

Odense. Miejscowość składała się z pięćdziesięciu domostw, wszystkie rodziny się znały, dla dziecka były tu doskonałe warunki. Anna nie potrafiła powiedzieć, kiedy dokładnie rodzice się rozwiedli, ponieważ ojciec – także po rozwodzie – był częstym gościem w ich domu, jakby wciąż jeszcze miał na coś nadzieję. Anna zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja wywoływała irytację kobiet, z którymi ojciec spotykał się po rozstaniu z Cecilie. Nie żeby ona i ojciec rozmawiali dużo o uczuciach, ale sam kiedyś jej o tym wspomniał. Jego partnerki miały mu za złe, że woli spędzać Boże Narodzenie z Cecilie (i z Anną), że woli jechać na urlop z Cecilie (i z Anną), że nigdy nie zapominał o urodzinach Cecilie (o urodzinach Anny zdarzyło mu się zapomnieć, i to dwukrotnie). Wiedziała, że ojciec ją kocha. Natomiast Cecilie ubóstwiał. To było widać.

Anna powiedziała kiedyś Karen, że według niej rodzice bardziej kochają siebie nawzajem niż swoje dzieci. Karen była przyjaciółką Anny, taką od serca. Dziewczynki miały wówczas po dziesięć lat i bawiły się, że mieszkają w jaskini. Na pytanie Anny dlaczego tak się dzieje, Karen odpowiedziała, że w jej przypadku tak nie jest. Jej mama mówi, że najbardziej na świecie kocha właśnie ją; że dorośli mogą ze sobą być albo nie, a dzieci kocha się zawsze, na całe życie. Niewiele brakowało, a byłyby się pokłóciły, ale właśnie w tym momencie Jens zawołał z kuchni, że przygotował grzanki i kakao. Rodzice musieli już wtedy być po rozwodzie, co nie

zmieniało faktu, że Jens był w domu, siedział w kuchni i czytał gazetę. No i robił grzanki. Dziewczynki weszły do kuchni i nagle Karen spytała:

– To prawda, że bardziej lubisz Cecilie niż Annę?

Jens odłożył gazetę i spojrzał na nie zdziwiony. Anna była drobna i ciemna, Karen miała jasne kręcone włosy.

– Dlaczego o to pytasz? – chciał wiedzieć Jens.

Zawstydziała się. Nie chciała, żeby ojciec dowiedział się, o czym przed chwilą rozmawiały; nie chciała, żeby Karen komukolwiek to powtórzyła. Stała więc ze spuszczoną głową i wpatrywała się w ceratę na stole. Nie pamiętała dokładnie, co było potem, na pewno nie chciała już bawić się z Karen, nawet kazała jej oddać znaczek, który wcześniej jej podarowała, mimo że przyjaciółka stwierdziła, że tak się nie robi.

Wieczorem przyszedł do niej ojciec i zaczął jej coś tłumaczyć. Mówił, że po urodzeniu się Anny Cecilie zaczęła mieć problemy z kręgosłupem. Miała silne bóle, długo leżała w szpitalu i mimo że Anna ważyła zaledwie trzy kilogramy, Cecilie nie wolno było podnosić dziecka. Było jej bardzo smutno, powiedział Jens. Otulił córeczkę kołderką i pocałował w czoło. Dlatego muszę o nią dbać, tłumaczył jej dalej. Anna pokiwała głową. Też zawsze starała się robić to, o co prosiła ją mama.

– Ale najbardziej na świecie kocham ciebie, córeczko – zapewnił ją ojciec. – Rodzice zawsze najbardziej kochają swoje dzieci, inaczej coś byłoby nie w porządku – dodał, patrząc na nią poważnie.

Następnego dnia Anna zwróciła Karen znaczek. Dała jej też maleńką gumową maskotkę, taką, która sama chodzi po szybie.

Wiosną 2004 roku Anna powiedziała ojcu, że jest w ciąży z Thomasem i że postanowili, że urodzi dziecko.

– Jak to? – spytał Jens krótko.

Siedzieli w kawiarni w Odense. Byli na zakupach; kupili Cecilie szlafrok na urodziny. Przed powrotem do Brasnderup, gdzie Cecilie czekała na nich z urodzinową kolacją, poszli na kawę.

Anna spojrzała na ojca wściekła.

– Mam zacząć od kwiatków i pszczołek, czy tyle może już wiesz?

– Po prostu miałem wrażenie, że między wami nie układa się najlepiej.

– Ostatnio jest dobrze.

– Jak długo się znacie?

– Niedługo będzie rok.

– Ile masz lat?

– Zapomniałeś, ile mam lat?

– Dwadzieścia sześć?

– Dwadzieścia siedem.

– Ile brakuje ci do skończenia studiów?

– Trzy lata.

– Dlaczego chcesz teraz mieć dziecko? – spytał znów ojciec. – Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, zastanawiałaś się, czy zerwać z Thomasem, ponieważ jest... jak to

określiłaś? Zbyt zajęty sobą. Nie byłaś pewna, czy z nim wytrzymasz. Narzekałaś, że za dużo pracuje. Pamiętasz?

– Nie lubisz go.

– Mało go znam.

– Ale na tyle, na ile go znasz, to go nie lubisz.

Jens westchnął.

– Lubię go, Anno. Nic do niego nie mam.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Anna zagryzła wargi. Żeby nie zacząć krzyczeć. Nagle Jens przyciągnął ją do siebie.

– Gratuluję – wyszeptał w jej włosy. – Gratuluję, skarbie. I przepraszam.

Następnie poszli do sklepu z rzeczami dla dzieci i kupili granatowy wózek dla wnuka Jensa. Do budki przyczepiony był granatowy parasol. Anna stała i delikatnie nim obracała, podczas gdy Jens poszedł zapłacić. Wózek stał na wystawie i z jednej strony był lekko spłowiały; ekspedientka zaproponowała inny egzemplarz, ale trzeba będzie trochę poczekać. Jens jednak absolutnie nie zamierzał czekać. Powtórzył „moje wnuczę” z dziesięć razy. Ekspedientka zerkała na płaski jak deska brzuch Anny, która nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

Kiedy przyjechali do Brsenderup, w całym domu pachniało pieczeniem jagnięcą, a Cecilie stała na stole w kuchni i zawieszała w oknie girlandę z chorągiewek. Jens wjechał wózkiem do kuchni.

– Co to jest? – spytała Cecilie.

– A co ci to przypomina?

– Wózek dziecięcy.

– Bingo!

– Jestem w wieku postmenopauzalnym – powiedziała Cecilie, wypluwając z ust szpilkę.

Anna zaczęła się śmiać. Jens zrobił wózkiem rundkę po kuchni i zawołał do Cecilie:

– Zejdź z tego stołu, babciu! Podejdź do lodówki i wyjmij butelkę najlepszego szampana, jakiego masz. Od dzisiaj możesz się do mnie zwracać: szanowny dziadku.

Dopiero wtedy mama Anny zrozumiała, o co chodzi.

Zeskoczyła ze stołu niczym gwiazda rocka i rzuciła się córce na szyję. Dobre pół godziny później, kiedy butelka szampana została opróżniona – Anna co prawda nie wypila nawet kieliszka – i nastrój stał się bardziej swobodny, Cecilie nagle spytała:

– Kto jest ojcem?

Anna wyczuła ruch pod stołem i domyśliła się, że Jens próbuje kopnąć Cecilie w kostkę. Siedziała chwilę w milczeniu, patrząc to na jedno, to na drugie.

– Wpędzicie mnie do grobu – powiedziała Anna i poszła do swojego dawnego pokoju oglądać telewizję. Kiedy następnego ranka wstała z łóżka, rodzice siedzieli obok siebie przy monitorze komputera, szukając czegoś w Internecie.

– Przenoszę się do Kopenhagi – oświadczyła Cecilie radośnie.

Jens nadal wpatrywał się w monitor. Cecilie

podniosła się z krzesła i poszła odgrzać bułeczki dla Anny.

– Usiądź – poprosiła córkę, stawiając na stole masło, mleko, ser i dżem własnej roboty. Zaparzyła świeżą herbatę i naląa Annie. Odstawiła dzbanek i powiedziała:

– Przepraszam, że spytałam o ojca dziecka. Oczywiście, że to Thomas. Chodzi o to, że miałam wrażenie, że ostatnio między wami coś się popsulo. Że właściwie...

– Myliłaś się – przerwała jej Anna.

Cecilie uśmiechnęła się niepewnie.

– Osobiście bardzo go lubię – zapewniła z naciskiem.

Jednak prawda była taka, że między Anną a Thomasem w ogóle się nie układało. Znali się niecały rok i nawet nie mieszkali razem. Teraz to oczywiście miało się zmienić, bo przecież mieli zostać rodzicami.

Poznali się całkowicie przypadkowo w barze przy Vesterbro. Za przystojny dla mnie, pomyślała Anna, kiedy zobaczyła Thomasa stojącego w oknie wychodzącym na podwórze. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i stopami w pozycji za dziesięć druga; wyprostowany, z papierosem schowanym w dłoni pod pachą. Koszulka, którą miał na sobie, była nieco zbyt opięta, ale jeśli ma się ładne ciało, można sobie na to pozwolić, a on miał. Irytujący facet, pomyślała.

Thomas był lekarzem, pracował w szpitalu w Hvidovre, miał koło trzydziestki i był w trakcie robienia specjalizacji. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy, ładną

cerę z mnóstwem piegów i niezwykle przenikliwe spojrzenie. Wszedł tuż przed drugą, jakby jego stopy wskazały mu godzinę, pomyślała Anna, patrząc, jak opuszcza bar.

Dwa dni później zadzwonił do niej. Zapamiętał jej imię i nazwisko i znalazł ją w sieci, może zjedzą razem obiad? Okej. Od tej pory byli razem.

Niemal natychmiast zaczęło się między nimi źle dziać. Anna nie potrafiła zrozumieć, co właściwie się stało. Nigdy jeszcze nie czuła się tak beznadziejnie nieszczęśliwa jak wówczas, chociaż jednocześnie była szaleńczo zakochana. Wszystko było jedną wielką niewiadomą. Czuła się zagubiona. Thomas ją kochał, tak przynajmniej twierdził. Nie wierzyła mu. Masz lekką paranoję, śmiał się. Ona kochała go nieprzytomnie. Im mniej uwagi jej poświęcał, tym bardziej go kochała. Pół roku po tym jak się poznali, mniej więcej w listopadzie, poczuła się całkowicie zagubiona: nie wiedziała, czy są ze sobą czy nie; czy on ją kocha (twierdził, że tak) czy jej nie kocha (na co wskazywało jego zachowanie; spóźniał się dwie godziny, nie pojawiał się o umówionej godzinie, nie dzwonił). Nie miała pojęcia, czy ich związek ma przyszłość, nie wiedziała, gdzie jest ani dlaczego Thomas mówi to, co mówił, i robi to, co robił; dlaczego czasem zabiera ją na spotkanie do swoich znajomych, a innym razem nie. Po co chcesz ze mną iść?, pytał. Nie potrafiła odpowiedzieć. Chciała z nim być, po prostu.

Mówił, żeby wyluzowała. „Nie psuj tego, co jest

między nami”, powiedział jej kiedyś. Starła się, ale bez skutku. Thomas poznał jej rodziców, spotkali się kilka razy, chociaż nie były to szczególnie udane spotkania. Anna nigdy nie poznała jego rodziców. Wiosną Thomas uznał, że powinni zrobić sobie przerwę, dwa tygodnie, żeby mógł wszystko przemyśleć: „Kocham cię, na pewno, tylko mam dosyć tego ciągłego niepokoju”, powiedział, patrząc na nią poirytowany. Kiedyś, po nocnej kłótni, którą ona sprowokowała, był tak zmęczony, że niewiele brakowało, a przepisałby pacjentowi złe leki. W ciągu tych dwóch tygodni, kiedy się nie widywali, Anna zrobiła test ciążowy.

– A więc będziemy mieć dziecko – powiedział Thomas, uśmiechając się, kiedy znów się spotkali.

– Cieszysz się? – spytała Anna, patrząc mu w oczy.

– Wybrałbym inny moment.

Na krótko przed porodem zamieszkali razem. Od tamtego czasu minęły prawie trzy lata.

Tuż za Instytutem Biologii, właściwie na jego przedłużeniu, znajdowało się Muzeum Zoologiczne. Górowało nad pozostałymi gmachami jak wielki, odświętnie przystrojony prom. Dwa najwyższe piętra zajmowały dostępne dla zwiedzających sale muzealne, na pozostałych mieściły się laboratoria i pokoje pracowników, symetrycznie rozlokowane wokół ognioodpornego trzonu budynku, gdzie przechowywano tworzone przez wieki i opisane przez duńskich

naukowców zbiory owadów, mięczaków oraz kręgowców. Na trzecim piętrze mieścił się gigantyczny zbiór kręgowców, piętro niżej – dwa działy bezkręgowców, zaś na samym dole była piwnica, w której można było obejrzeć pełnowymiarowy szkielet fiszbinowca – walenia.

Erik Tybjerg, zewnętrzny opiekun naukowy Anny, specjalizował się w morfologii kręgowców; badał ewolucję kości podniebienia ptaków i był dokładnym przeciwieństwem Hellanda. Miał rzadkie brązowe włosy, ciemne oczy, był niski, krępy, a kiedy pracował, miał na nosie grube okulary w rogowych oprawkach. Anna śmiała się, że sprawiał wrażenie, jakby był przebrany za samego siebie. Był nieśmiały i zawsze niesłychanie poważny. Nigdy nie odwoływał umówionych spotkań, zawsze stawał się przygotowany, przynosił książki, które omawiali podczas poprzedniego spotkania, czy kopię artykułu, o którym jej wcześniej wspominał. Mówił staccato i początkowo miał trudności z patrzeniem jej prosto w oczy; pił czarną jak węgiel herbatę z imponującą ilością cukru i zamykał się w sobie jak małż, gdy Annie zdarzyło się spytać go o cokolwiek, co nie miało żadnego związku z jej pracą.

To właśnie Erik Tybjerg po raz pierwszy pokazał Annie zbiór kręgowców.

– Nie nauczysz się niczego o kościach, gapiąc się w książki – powiedział jej, kiedy szli korytarzem prowadzącym do jednej z sal muzealnych. – Nigdy nie wolno wnioskować czegokolwiek o kościach na

podstawie rysunków czy zdjęć, nigdy! – dodał, patrząc na nią surowo.

Otworzył drzwi do magazynu, wszedł i zniknął między rzędami szafek. Anna stała chwilę oszołomiona obcym jej zapachem wypreparowanych zwierząt, zanim odważyła się podążyć za nim. W pomieszczeniu nie było ani jasno, ani ciemno, jak w toalecie mającej odstraszać narkomanów, gdzie było dość światła, żeby znaleźć papier toaletowy, ale nie żyłę.

Zbiory mieściły się w dużym pomieszczeniu, w którym pod ścianami stały szafy ze szklanymi drzwiczkami skrywające wypchane zwierzęta oraz szafy z szufladami pełnymi pudełek i różnej wielkości kasetek, w których składowano oczyszczone, wygotowane kości. Tybjerg poruszał się swobodnie między rzędami szaf, nagle się zatrzymał, mniej więcej na środku sali.

– Tutaj mamy ptaki – oznajmił zadowolony.

Wentylacja pomieszczenia najwyraźniej nie była całkiem sprawna, bo Anna poczuła lekki odór. Zajrzała do szafy, gdzie stały wypchane ptaki. Strusie, dront dodo i dużo różnych wróbli. Tybjerg skręcił w korytarz po lewej stronie i zniknął za rogiem.

– To święte miejsce – odezwał się w ciemnościach.

Anna słyszała stukanie drzwi szafek. Podeszła do jednej z nich i niemal oparła się nosem o szklane drzwiczki, usiłując dojrzeć, jaki ptak stoi w środku. Był duży, brązowy, z okazałym ogonem. Miał rozpostarte skrzydła, jakby w chwili gdy umarł, miał wzbić się w

powietrze lub właśnie chwilę wcześniej wylądował. Anna zauważyła małą myszkę, umieszczoną w jego dziobie. Zasięg jego skrzydeł wynosił co najmniej dwa metry; pozostałe ptaki wyglądały obok niego jak stado przerażonych piskląt.

– Orzeł cesarski – powiedział Tybjerg.

Anna wzdrygnęła się, mężczyzna podszedł do niej od tyłu, stał teraz obok niej, trzymając w ręku dwie podłużne drewniane skrzynki. Anna oparła się dłonią o jedną z szaf.

– Uważaj na szkło, to prawdziwy kryształ – ostrzegł Tybjerg. – Dlatego jest taki wypukły – dodał.

– Dlaczego jest tu tak ciemno? – spytała Anna.

– Chodź. – Zignorował jej pytanie.

Podążyła za nim. Gdy znów znaleźli się na korytarzu, drżały jej nogi.

– No to popatrzmy – powiedział Tybjerg głośno, rozkładając się przy jednym ze stolików przy oknie. – To jest *Rhea americana*, czyli nandu szare – oznajmił, biorąc delikatnie do ręki ptasią czaszkę. – Jest to nietot, którego szkielet pod wieloma względami przypomina szkielet drapieżnych dinozaurów i dlatego świetnie nadaje się do ćwiczeń. U nietotów łatwiej bowiem wyodrębnić poszczególne kości. U pozostałych ptaków są one jakby zrosnięte. Kości nietotów są podobne do kości ptaków pierwotnych. Przyjrzymy się im dokładniej.

Anna usiadła wygodniej przy stoliku, patrząc, jak Tybjerg wyjmuje poszczególne kości z pudełka i układa je

na stole. Ptasia układanka. Powoli zaczął je składać. Anna, która sama nie bardzo się w tym orientowała, przyglądała mu się zaintrygowana. Zwróciła uwagę na delikatne ruchy jego rąk.

Siedzieli przy oknie prawie dwie godziny. Tybjerg poprosił, żeby złożyła szkielet, pokazawszy jej uprzednio kilka razy, w jakiej kolejności należy łączyć kości. Podkreślił, że musi poznać kolejne uproszczenia i regresje szkieletu ptaka, by móc uczestniczyć w toczącej się dyskusji. Istnieje bowiem grupa naukowców odmawiających uznania, że ptaki to współczesne dinozaury. Jej główną postacią jest słynny ornitolog Clive Freeman. Czy Anna o nim słyszała? Skinęła głową. Jest profesorem ornitologii w Zakładzie Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki na Uniwersytecie British Columbia, wydał też wiele obszernych i uznanych dzieł o ptakach.

– Jest cenionym ornitologiem – podkreślił Tybjerg. – Zna się na swoim fachu. Jeśli chcesz pokonać go jego własnymi argumentami, musisz być biegła w anatomii i fizjologii ptaków. Freeman bez przerwy odnosi się do obu dziedzin, upierając się, całkowicie bez sensu, że ptaki nie są dinozaurami.

Tybjerg siedział i patrzył przed siebie.

– Clive Freeman i jego zespół nie mają żadnych naukowych podstaw, na których mogliby oprzeć swoje wywody – ciągnął dalej. – Bowiem zarówno skamieliny, jak i uznane metody systematyki potwierdzają bliskie

pokrewieństwo ptaków i dinozaurów. Mimo to obstają przy swoim. Dlaczego? – zakończył Tybjerg swój wywód.

Anna siedziała i, trzymając w ręku kilka kości, usiłowała dojść, z których zbudowana jest klatka piersiowa ptaka. Tybjerg najwyraźniej zaakceptował jej wybór, bo podał jej kolejną kość, łopatkę. Przyglądając się jej uważnie, stwierdził nagle:

– Dwieście osiemdziesiąt sześć apomorfii.

– Słucham?

– Dwieście osiemdziesiąt sześć cech apomorficznych, które oni mają w nosie.

Anna westchnęła, starając się przypomnieć sobie wszystko, co wie o apomorfach. Tybjerg siedział, obracając w palcach niewielką ostrą kość.

– Musisz poznać wszystkie argumenty, ich i nasze, i je porównać. Wtedy go przygwoździmy – stwierdził.

Ostre słowa w ustach Tybjerga zdziwiły Annę. Wyjrzała przez okno na park.

– Wydamy książkę – ciągnął dalej Tybjerg. – Rodzaj manifestu. Ostateczny dowód – stwierdził z triumfującym spojrzeniem.

Anna wstała, szykując się do odejścia, kiedy nagle Tybjerg rzucił jakby od niechcienia:

– Byłbym zapomniał.

Położył na stoliku srebrny klucz. Anna miała wrażenie, że wypadł mu z rękawa. Wzięła go do ręki.

– Nie dałem ci przypadkiem przed chwilą klucza uniwersalnego?

– Nie, na pewno nie – zaprzeczyła, chowając go szybko do kieszeni.

Tybjerg dał jej klucz, którego studiujący zwykle nie dostają. Teraz mogła otworzyć każde drzwi.

Opuszczała budynek muzeum, rozmyślając o Tybjergu. Postanowiła porozmawiać o nim z Johannesem.

– Wielu go nie lubi – odpowiedział jej spontanicznie.

– Dlaczego?

Anna była szczerze zdumiona, a Johannes wyglądał, jakby żałował swojego wybuchu.

– Nie lubię rozsiewać plotek – zaczął się tłumaczyć.

– Przestań, do diabła – przerwała mu.

Johannes wyraźnie się wahał.

– No dobrze – zaczął. – Spróbuję wyrazić to zwięźle. Tybjerg jest podobno niezwykle utalentowanym badaczem. Już jako uczeń pracował w muzeum przy porządkowaniu zbiorów. Ma pamięć jak gąbka, chłonie wiedzę. Ale źle funkcjonuje społecznie, prawdę mówiąc, nie jest lubiany. Tybjerg i Helland przez lata współpracowali ze sobą – ciągnął dalej Johannes. – Kiedy był młodszy, prowadził zajęcia ze studentami. Mnie też uczył. Zaczęto się jednak na niego skarżyć.

– Dlaczego?

– Nie potrafi uczyć – stwierdził Johannes.

– Dziwne. Spędziłam z nim całe przedpołudnie i muszę przyznać, że bardzo dobrze tłumaczy.

– Nie, kiedy ma przed sobą większe grono studentów.

Wtedy się denerwuje i wygłasza kazanie, a nie wykład. Jakby recytował teksty, których nauczył się na pamięć. Osobiście uważam, że ma coś nie tak z głową, naprawdę. Trzymają go tylko dlatego, że wie wszystko o tutejszych zbiorach. Więcej niż ktokolwiek inny. To jakby zatrudnić autystyka do pilnowania ogromnego zbioru płyt. Wie, gdzie co jest, jak się nazywa, ale nikt nigdy nie zatrudni go na stałe. Ktoś, kto pracuje na Uniwersytecie Kopenhaskim, musi umieć wykładać.

Johannes milczał chwilę, po czym dodał:

– Na pewno jednak nie jest po prostu zwykłym dziwakiem.

– Ale mam szczęście – skwitowała Anna, kładąc głowę na klawiaturze.

– O co ci chodzi?

– Mój promotor jest do niczego, a mój zewnętrzny opiekun naukowy to dziwak.

– Nie zaczynaj – wszedł jej w słowo Johannes. – Już to przerabialiśmy. Helland jest w porządku.

– Tak mi się wyrwało.

– Rozumiem, ale spróbuj nad sobą panować.

Wszystkie wypowiedzi w kontrowersyjnej kwestii pochodzenia ptaków były stanowcze i jednoznaczne, twarde jak kamień, pomyślała Anna. Zaakceptowała, że za punkt wyjścia musi przyjąć stanowisko Hellanda i Tybjerga, jeśli w ogóle chce cokolwiek zrozumieć z trwającego sporu i w przyszłości wyrobić sobie własne

zdanie na ten temat. Szczerze mówiąc, nie potrafiła pojąć, dlaczego Helland i Tybjerg mają rację, a Clive Freeman, według Hellanda i Tybjerga, jej nie ma.

„Ptak to współczesny dinozaur”, napisała na kartce. „Ptaki są bezpośrednimi potomkami dinozaurów”, dopisała. Narysowała dwie piłki, mające przedstawiać głowy Hellanda i Tybjerga, i powiesiła kartkę na ścianie. Następnie wzięła inną kartkę, na której narysowała jedną głowę, mającą przedstawiać Clive’a Freemana, i napisała na niej: „Ptak nie jest współczesnym dinozaurem” i dopisała: „Współczesne ptaki i wymarłe dinozaury to grupy pokrewne, aczkolwiek wywodzące się od wspólnego przodka”. Jak on się nazywał? Sprawdziła i dopisała „Archozaur”. Powiesiła kartkę na ścianie.

„Archozaury, gady naczelne, w szerszym rozumieniu – diapsydy”. Poirytowana zamknęła oczy. Co to właściwie znaczy? Sprawdziła. „Podgromada gadów, w których czaszkach rozwinęły się dwie pary otworów skroniowych, w przeciwieństwie do synapsydów i anapsydów, które...”. Zagryzła wargi. Otwór skroniowy. Co to dokładnie jest? Otworzyła podręcznik. „Otwór w tylnej części czaszki, za oczodołami, do którego przyczepione są mięśnie żuchwy; rozróżnia się otwory części przedoczodołowej...” Co to za część? Anna znów musiała sięgnąć po podręcznik.

W ten sposób mijały jej dni. Była coraz bardziej sfrustrowana. Pisała pracę doktorską, nie wypracowanie na dowolny temat. Z założenia powinna wnieść coś

nowego, nie ograniczać się do zreferowania powszechnie znanego sporu, przepisując fragmenty opublikowanych wcześniej artykułów. Próbowła wytłumaczyć matce, że przeczytanie czterech stron zajęło jej trzy dni. Cecilie spojrzała na nią, jakby urwała się z choinki. A tak właśnie było. Cały czas natrafiała na nieznaną jej słowa i pojęcia, sprawdzała ich znaczenie, pojawiały się kolejne, sprawdzała je, aż w końcu miała wokół siebie tyle otwartych książek, sprawdziła tyle odnośników, że nie bardzo pamiętała, od czego wszystko się zaczęło. Słowa nigdy nie były jednoznaczne, za nimi często kryły się skomplikowane procesy życiowe. Wiele z nich poznała już wcześniej, podczas kursu podstawowego, ale nie pamiętała ich znaczenia. Wszystko musiała sprawdzać. Minął miesiąc, frustracja zamieniła się w przerażenie, wręcz strach. Czyżby była głupia? Skoro nie potrafi pojąć sedna sporu, który tak rozpalał zarówno Tybjerga, jak i Hellanda.

W akcie desperacji postanowiła przeczytać dzieło Freemana *Ptaki od deski do deski*. Tybjerg wspominał o nim kilkakrotnie. Kiedyś stwierdził sucho, że kiedy Anna będzie w stanie rozłożyć je na czynniki pierwsze, będzie to znak, że jest gotowa przystąpić do egzaminu. Od tygodni książka leżała na jej biurku; codziennie, zbierając się do domu, wkładała ją do torby. Zamierzała ją przeczytać, ale co wieczór, po siedmiu liniijkach lektury, po prostu zasypiała. W końcu nie miała wyboru. Pocieszając się, że kiedy w końcu przez nią przebrnie,

elementy układanki trafią na swoje miejsce, zaczęła czytać.

Praca Freemana okazała się arcydziełem. Zawierała wspaniałe zdjęcia i kolorowe ilustracje, a argumentacja zdawała się w każdym punkcie logiczna i przemyślana. Autor wyciągał wnioski, odsyłał do literatury, nie próbował na siłę rozwiewać wszystkich wątpliwości. Gdyby nie niezachwiane przekonanie Hellanda i Tybjerga, że Freeman się myli, Anna kupiłaby jego teorię na pniu. Freeman był niewątpliwie człowiekiem, który wie, o czym mówi. Czyżby to właśnie jego miała przygwoździć raz na zawsze?

Kiedy skończyła czytać, miała osiemdziesiąt dwie strony odręcznych notatek, co jednak bynajmniej nie znaczyło, że czuła się mądrzejsza. Była przerażona czekającym ją zadaniem. Z książką w objęciach i z mocno bijącym sercem udała się do Tybjerga.

Czekał na nią w kawiarni Muzeum Zoologicznego. Ledwie zdążyła usiąść na krześle, wyrzuciła z siebie:

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Freeman nie ma racji. Jego argumentacja wydaje się przekonująca.

Tybjerg wydał wargi.

– Chyba nie doczytałaś do końca – powiedział chłodno.

– Przeczytanie *Ptaków* zajęło mi trzy tygodnie – oświadczyła Anna zrezygnowana.

– Po co na litość boską to czytałaś? Wystarczyłoby, gdybyś ją przekartkowała. I to byłoby za dużo – stwierdził

Tybjerg, biorąc od niej *Ptaki*.

– Ta książka zaburza ostrość widzenia – dodał, przerzucając strony podręcznika. Nagle się uśmiechnął. – Rozumiem cię. Freeman wydaje się przekonujący, ponieważ sam jest przekonany o słuszności własnych teorii. Tacy zawsze są najgorsi.

Położył książkę przed Anną i się zamyślił.

– Daj sobie z nią spokój – odezwał się w końcu. – W zamian przeczytaj piętnaście artykułów przedstawiających argumenty za tezą, że ptaki pochodzą od dinozaurów, i piętnaście argumentujących przeciwko temu. Wtedy zyskasz jasność. Od książek trzymaj się na razie z daleka. Jest dużo dobrych i do nich możesz potem wrócić, ale ta to nic innego jak upiększona propaganda – stwierdził, waląc egzemplarzem *Ptaków* o blat.

Anna wypuściła powietrze przez nos.

– I jeszcze jedno – dodał Tybjerg, przyglądając się jej uważnie. – Musisz wyjść z założenia, że to ja mam rację. Z czasem się o tym przekonasz, teraz po prostu trochę mi zaufaj. Inaczej szybko pójdziesz na dno.

Dał jej do zrozumienia, że zakończył spotkanie. Anna pokiwała głową.

Przez następne trzy dni przeszukiwała katalog artykułów wydziałowej biblioteki uniwersyteckiej na Norre Alle. Pamiętając, oczywiście, że Tybjerg ma rację.

Pierwszy dzień był jak wędrówka przez pustynię. Znalazła mnóstwo artykułów z argumentami zarówno za,

jak i przeciw, ale żadnego, który przekonałby ją, że argumentacja Hellanda i Tybjerga jest bardziej przekonująca niż Freemana. Drugiego dnia nastąpił przełom. Przejrzała kilkadziesiąt kolejnych artykułów, zrobiła kopie, rozłożyła je przed sobą na stole i znów poczuła frustrację. Nagle jednak w ciemnościach dojrzała promyk światła.

Jeśli Tybjerg ma rację, jeśli rzeczywiście jest tak wiele dowodów potwierdzających pokrewieństwo ptaków z dinozaurami, jak twierdzą Tybjerg i Helland – szybko przeliczyła artykuły – około dwudziestu pięciu naukowców z całego świata zgadzało się z nimi, to wygląda na to, że ich punkt widzenia ma jednak więcej zwolenników, a jeśli tak, to dziwne, że tak renomowane pisma jak „Nature”, „Science”, a w szczególności „Scientific Today”, dla których wiarygodność była podstawą istnienia, nadal udostępniały swoje łamy autorom kwestionującym tę tezę. Anna nadal nie wiedziała, co o tym myśleć, ale nagle kwestia ta stała się drugorzędna. Sytuacja byłaby inna, gdy istniały jakieś wątpliwości. Gdyby ptaki były dinozaurami, gdyby nadal brakowało dowodów w postaci skamielin, tak jak to było w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, albo gdyby w 2000 roku nie znaleziono czwartego sinozauroptryksa, a następnie – w 2005 roku – czwartego tyranozaura. Było mnóstwo skamielin, a wspomniane wyżej dinozaury istniały. Z artykułów dowodzących bliskiego pokrewieństwa ptaków i dinozaurów wynikało

wyraźnie, że ich autorzy są przekonani, że ptaki to współczesne dinozaury. Całkowicie przekonani.

Anna patrzyła przed siebie.

Tybjerg mówił jej kiedyś, że zespół redakcyjny czasopisma naukowego zwykle składa się z pięciu redaktorów naukowych, co znaczyłoby, że piętnaście osób w redakcjach trzech czołowych periodyków naukowych: „Nature”, „Science” i „Scientific Today” decydowało, jakie informacje naukowe mają docierać do czytelników. Piętnaście osób. Chcąc zachować właściwe proporcje, musieli dbać, by publikacje odzwierciedlały prawdziwy stan i zakres prowadzonych na świecie badań. Natomiast w tej kwestii coś się nie zgadzało. Mimo że dowody zdawały się wskazywać, iż ptaki to współczesne dinozaury, to niemal w co drugim numerze znajdowała artykuły, podejmujące kwestię pochodzenia ptaków. Była coraz bardziej podniecona. Błyskawicznie podzieliła artykuły na dwie kupki, zaznaczyła na żółto nazwiska autorów i zadowolona odchyliła się w krześle. Miała przed sobą dwadzieścia cztery artykuły i kilka mniejszych notatek, których autorzy opowiadali się za pokrewieństwem ptaków i dinozaurów, i dwadzieścia trzy artykuły autorów, którzy byli odmiennego zdania. Erik Tybjerg i Lars Helland byli autorami pięciu artykułów, pozostałe szesnaście było autorstwa innych naukowców, właściwie z całego świata. Wyglądało to dość przekonująco.

Następnie przejrzała drugą kupkę. Dwadzieścia trzy

artykuły były autorstwa trzech naukowców. Byli nimi Clive Freeman, Michael Kramer i Xian Chien Lu, przy czym dwaj pierwsi byli autorami dziewiętnastu z dwudziestu trzech artykułów. Usiadła do komputera i wyszukała w Internecie informacje o Xian Chien Lu. Okazało się, że był on chińskim paleontologiem, który zmarł w ubiegłym roku. Szukając dalej, dowiedziała się, że Michael Kramer w marcu 1992 roku został doktorantem w Zakładzie Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki na Uniwersytecie British Columbia, w następnym roku otrzymał stypendium naukowe, napisał i obronił doktorat, a w czerwcu 2000 roku został zatrudniony na etacie profesora. Przejrzała pozostałe informacje i szybko znalazła to, czego szukała: promotorem pracy doktorskiej Michaela Kramera był profesor Clive Freeman. Po raz pierwszy od dawna poczuła, że poszczególne elementy układanki zaczynają tworzyć całość.

Anna zdążyła zdjąć kurtkę i włączyć komputer, kiedy doszły do niej jakieś dziwne dźwięki. Nadstawiła uszu. Znała wszystkie odgłosy instytutu. Dźwięk alarmu, reagującego na podejrzone zapachy, głosy studentów, przychodzących na ćwiczenia w poniedziałki, wtorki i czwartki, odgłos pospiesznych kroków Hellanda i powolnych, ślimaczących się Johannesesa; rozpoznawała też kroki Svenda i Elisabeth, dwojga pozostałych profesorów instytutu. Dźwięk, który teraz docierał do

uszu Anny, nie pasował do żadnych jej znanych.

Ktoś biegł, nagle się zatrzymał; usłyszała zduszone wołanie Johannesesa, wzywającego Elisabeth, i znów odgłos biegnących stóp, potem głos Elisabeth, a po chwili krzyk Svenda. Anna wstała od biurka i zdziwiona wystawiła głowę na korytarz. Przed laboratorium Svenda stał Johannes i machał rękami.

– On tam leży! Chyba nie żyje. To okropne. Już jadą, to znaczy karetka już jedzie, tak mi powiedzieli. Prosili, żebym nie ruszał się z miejsca, ale ja nie mogę na niego patrzeć. Język... jego język...

Anna wyszła na korytarz i ruszyła w stronę stojącej nieco dalej grupki ludzi. Nagle wszyscy zaczęli biec. Pobieгла za nimi. Dziesięć sekund później wszyscy zatrzymali się przed gabinetem Hellanda. Drzwi były otwarte.

Chwilę stali jak sparaliżowani. Profesor leżał w swoim fotelu. Miał na sobie szare spodnie, które Anna pięć minut temu widziała przez szparę w drzwiach. Ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż boków, oczy miał szeroko otwarte. Na jego kolanach leżała praca dyplomowa Anny, najwyraźniej właśnie ją czytał. Była poplamiona krwią. I w tym momencie Anna zobaczyła jego język.

Leżał na klatce piersiowej. Z jednej strony wyglądał jak zwykły język, z drugiej był zakrwawiony, poszarpany jak kawałek zbitego mięsa. Johannes pojękiwał głośno. Anna, Elisabeth i Svend niemal jednocześnie wycofali się na korytarz.

– Cholera, co za widok. Byliśmy umówieni na spotkanie w sprawie artykułu – tłumaczył, zacinając się, Johannes. – Przyszedłem punktualnie. Zapukałem, nikt nie odpowiedział, więc pchnąłem drzwi i wtedy go zobaczyłem. Leżał na podłodze, z wywalonym językiem.

Johannes opowiadał, że chwycił profesora, zobaczył białka jego oczu i wpadł w panikę; puścił ciało, pobiegł do pokoju obok i wykręcił numer ratunkowy 112.

Svend ruszył biegiem do toalety leżącej dokładnie naprzeciwko gabinetu Hellanda i zwymiotował.

– Musimy tam wrócić – stwierdziła Anna. – A jeśli on żyje? Jeśli nie umarł? Musimy spróbować mu pomóc.

– Ja pójdę – odezwała się Elisabeth stanowczym głosem.

– Tylko niczego nie dotykajcie! – zawołał Johannes.

– Uspokój się! – krzyknęła Anna.

Chciała przywołać go do porządku, ale nagle poczuła, że kręci się jej w głowie. Svend wyszedł z toalety biały jak kreda. Dotarł do nich sygnał zbliżającej się karetki.

– Niech to diabli – odezwał się Svend, masując powiekę wierzchem dłoni.

Sygnał stawał się coraz głośniejszy, po chwili usłyszeli hałas i zobaczyli dwóch umundurowanych policjantów i lekarza, wbiegających po schodach. Lekarz natychmiast zniknął w gabinecie Hellanda; po niespełna minucie pojawiło się kolejnych dwóch funkcjonariuszy. Jeden wszedł do gabinetu, pozostali próbowali rozeznać się w sytuacji. Na pytanie, co się stało, Svend i Elisabeth

zaczęli opowiadać, wchodząc sobie bez przerwy w słowo. Anna spuściła wzrok; stała, wpatrując się w guzik leżący na pokrytej linoleum podłodze. Elisabeth i Svend zniknęli z jednym z policjantów. Anna nadal przyglądała się guzikowi i nagle zrobiło się jej gorąco, domyśliła się, że Johannes patrzy na nią.

– Musimy porozmawiać – powiedział jeden z funkcjonariuszy, zwracając się do Anny i Johannesesa.

Rozmowa trwała pięć minut. Johannes powtórzył to, co mówił już wcześniej; Anna przedstawiła się i poinformowała, że kiedy niedawno szła korytarzem, widziała przez szparę w drzwiach nogawkę spodni profesora. Słyszała też podniesione głosy; tak, możliwe, że był to tylko jeden podniesiony głos; nie, nie słyszała słów; nie wie, o czym rozmawiano. Johannes nie odrywał od niej wzroku. Anna wyciągnęła rękę i zaczęła jej się przyglądać. Ręka drżała.

W drzwiach pojawił się lekarz i cichym głosem zdał sprawozdanie policjantom, którzy pokiwali głowami. Jeden z nich podszedł do Anny i Johannesesa. Wskazał im dwa krzesła i poprosił, żeby usiedli.

– Proszę tu chwilę poczekać. Wrócę za kilka minut – powiedział i zniknął w gabinecie Hellanda.

Anna patrzyła, jak policjanci wygradzają gabinet profesora i kawałek korytarza czerwono-białą plastikową taśmą.

Wkrótce zjawili się kolejni funkcjonariusze, umundurowani i w cywilu. Dwóch włożyło cienkie białe

kombinezony i weszło do gabinetu. Do Anny i Johannesesa podszedł wysoki mężczyzna i przedstawił się jako komisarz Søren Marhauge. Miał ciemne oczy, piegi i krótko ostrzyżone włosy. Spojrzał Annie w oczy.

Za radą Anny przeszli do niewielkiego pomieszczenia bibliotecznego, znajdującego się między laboratoriami Svenda i Hellanda, gdzie mogli swobodnie rozmawiać. Søren Marhauge mówił powoli, jakby najpierw sam musiał wszystko dokładnie przemyśleć. Anna była wyraźnie poirytowana, miała wrażenie, że ciągle wypytuje ją o to samo, i kiedy po dwudziestu minutach rozległo się pukanie do drzwi, zdążyła już ochrzcić go Najbardziej Irytującym Policjantem Świata. Jakiś funkcjonariusz zajrzał do pokoju i szeptem przekazał coś komisarzowi, który natychmiast ich przeprosił i przerwał rozmowę. Anna wróciła do swojego pokoju. Na korytarzu kłębił się tłum ludzi. Złapała się za głowę, za dwa tygodnie miała się bronić, a jej praca leżała teraz poplamiona krwią w gabinecie Hellanda.

3

Wczesnym rankiem ósmego października Søren był w drodze do Kopenhagi. Był najmłodszym komisarzem w historii duńskiej policji, pracował w komisariacie numer 3 w podkopenhaskim Bellahøj, podlegającym wydziałowi A Stołecznej Komendy. Było powszechnie wiadomo, że swoją karierę zawdzięcza temu, że potrafi „dziergać wstecz”. Miał niezwykle przenikliwy umysł; podejmował bardzo odważne decyzje, którymi potem szczycił się jego macierzysty wydział. W wieku trzydziestu lat awansował na komisarza. Było to siedem lat temu.

Søren postanowił wyprzedzić jadącą przed nim czerwoną hondę, był spóźniony. A wszystko dlatego, że zatrzymał się w Vangede, żeby zjeść śniadanie z Vibe. On i Vibe byli parą siedemnaście lat, rozstali się trzy lata temu. Kiedy byli razem, mieszkali na Norrebro, potem jednak Søren zamieszkał w Humlebask, a Vibe ze swoim mężem w domu przy Nymosen, w Vangede.

Kiedyś robili wszystko razem. Razem zbierali truskawki, jeździli po Europie, wyprawili się do Indii, mieszkali też razem w akademiku i nawet, zupełnie bez sensu, założyli wspólne konto. Nosili też obrączki. Przez wszystkie te lata Søren nawet przez moment nie zastanawiał się, czy Vibe jest tą właściwą. Była jego dziewczyną. Koniec, kropka. Poznali się na pierwszej

imprezie w pierwszej klasie liceum; ich młodzieńcza miłość przetrwała szkołę, a potem studia. Żadne nie miało wątpliwości, a już na pewno nie Søren.

Pewnego dnia Vibe obudziła się i stwierdziła, że chce mieć dziecko. Dotąd nigdy tak naprawdę nie poruszali tego tematu, więc kiedy Vibe po raz pierwszy wspomniała o dziecku, Søren nie potraktował tego poważnie. Niesłusznie. Ciałem Vibe zaczęła bowiem rządzić biologia i wkrótce dziecko stało się tematem zapalnym. Søren nie chciał mieć dzieci. Po prostu. Według niego był to powód równie dobry, jak każdy inny. Vibe jednak zaczęła krzyczeć, płakać. Ta Vibe, która zawsze była spokojna, łagodna, która nigdy nie traciła głowy. Nie chciała uznać jego racji, jego śmiesznego tłumaczenia, że prawdziwy związek jest związkiem dwojga ludzi. Próbował jej tłumaczyć jeszcze raz, od początku. Co, oczywiście, bynajmniej nie polepszyło sytuacji. W końcu pewnego dnia wybrał się na spacer, żeby przemyśleć sprawę. Nie chciał dziecka, ale dlaczego? Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy może nie kocha Vibe dostatecznie mocno?

Wieczorem Vibe powiedziała mu dokładnie to samo, tym razem już bez krzyków i wrzasków. Spokojnie. Jeśli ona tak bardzo pragnie dziecka, a on nie chce go jej dać, to zapewne dlatego, że jej nie kocha. „Ależ ja cię kocham”, zapewniał ją zrozpaczony. „Ale nie dość”, stwierdziła Vibe. Stała odwrócona do niego plecami i zdejmowała kolczyki, powoli odwróciła się do niego. To

wszystko za długo trwa, powiedziała i po chwili dodała, że powinni się rozstać. W jej spojrzeniu było coś prowokującego. Mieliby się rozstać? Niemożliwe. Była jego najlepszym przyjacielem, najbliższym, najbardziej zaufanym. Znała Elvirę i Knuda, znała opowieści o tym, jak dorastał, wychowywany przez dziadków, była częścią rodziny, no i przecież kochał ją. Przytulił ją do siebie, postanowili poczekać. Ale Vibe podjęła już decyzję: jeśli Søren wkrótce nie zdecyduje się na dziecko, będzie musiał się wyprowadzić.

Søren urodził się w Viborgu, gdzie spędził pierwsze pięć lat życia ze swoimi rodzicami. Niedaleko mieszkali dziadkowie, rodzice jego matki, Knud i Elvira; w czerwonym domu, rodzinnym domu jego matki, na obrzeżach niewielkiego miasteczka, na niewielkim wzgórzu, którego łagodnie opadające zbocze porośnięte było wysoką trawą. Søren nie miał właściwie żadnych wspomnień z okresu wczesnego dzieciństwa. Dom dziadków jednak pamiętał wyjątkowo dobrze, może dlatego, że właśnie w tym domu, w ogrodzie, Knud powiedział mu, że jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Spędzał u nich weekend, rodzice pożyczyli samochód i wybrali się na wycieczkę. Pamiętał, że dowiedział się o wypadku pewnego letniego dnia, właśnie w ogrodzie, i że pies dziadków, Spif, stał obok niego i czekał. I to właściwie wszystko, co pamiętał z tego okresu dzieciństwa. Wspomnienia pojawiły się

później, kiedy przenieśli się do Kopenhagi, do domu na Snerlevej. Dziadkowie byli oboje nauczycielami, pracowali w pobliskiej szkole, do której chodził Søren. Na Snerlevej, daleko, daleko od czerwonego domu na zboczu wzgórza, spędził resztę dzieciństwa.

On i Vibe spotykali się już prawie rok, kiedy Vibe nagle odkryła, że między nim a parą, którą dotąd uważała za jego rodziców, brakuje jakby pokolenia. Nabrała podejrzeń pewnego letniego dnia, kiedy Søren stał w kuchni i nalewał sok do dzbanka, który miał zanieść do ogrodu. Elvira poszła przodem; widzieli, jak kładzie na stole obrus.

Søren nalewał sok, a Vibe przyglądała się ślubnemu zdjęciu jego rodziców, które stało na komodzie w jadalni. Nagle na jej twarzy pojawiło się zdziwienie. Patrzyła na zdjęcie, jakby widziała je po raz pierwszy. Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

Potem leżeli na łóżku w pokoju Sørena i słuchali płyt.

– Kto jest na tym zdjęciu? – spytała w końcu.

Søren odwrócił się na plecy i podłożył ręce pod głowę.

– Moja mama i tata.

Vibe na chwilę znieruchomiała, po czym nagle usiadła.

– To niemożliwe – stwierdziła zdecydowanie.

– Dlaczego? – spytał Søren, przyglądając się jej.

– Bo ludzie nie zmieniają koloru oczu. Na zdjęciu Knud ma brązowe oczy, a... – przerwała zła. – A teraz ma

niebieskie – dokończyła. – Oboje mają niebieskie oczy.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Twoje oczy są brązowe – wyszeptała.

Søren odwrócił się i oparł łokieć o materac. Potrzebował chwili, zanim pójdzie po schowaną głęboko na strychu zakurzoną skrzynkę i ją otworzy. Nie żeby to była tajemnica, że Elvira i Knud są jego dziadkami. Tylko było to coś, o czym nigdy się nie mówiło. Tak po prostu było.

– Elvira i Knud to moi dziadkowie – wyjaśnił. – Moi rodzice zmarli, kiedy miałem pięć lat. Zginęli w wypadku samochodowym. To oni są na zdjęciu na komodzie. To ich zdjęcie ślubne. Mieli na imię Peter i Kristine.

Vibe leżała nieruchomo na łóżku.

To ojciec Jacoba Madsena, Herman, stwierdził, że Søren powinien zostać policjantem. Jacob mieszkał na tej samej ulicy co Søren, chłopcy się przyjaźnili. Herman Madsen był śledczym i Søren go podziwiał. Jacob miał dwie starsze siostry, jego matka była bibliotekarką, ale pracowała na pół etatu. Rodzina Jacoba była inna niż rodzina Sorena. Jego rodzice byli jakby bardziej zorganizowani. Nie znaczyło to, że Elvira i Knud byli jakoś szczególnie niezorganizowani, ale mieli lewicowe poglądy i w ich domu niemal zawsze byli jacyś ludzie, planowano różne przedsięwzięcia, robiono plakaty. Søren był dumny ze swoich dziadków, ale lubił chodzić do leżącego pięćdziesiąt metrów dalej domu Jacoba, gdzie

było spokojniej. Ojciec Jacoba wracał z pracy i siadał w fotelu z gazetą, Jacob leżał na kanapie i oglądał komiksy, a mama stała w kuchni i szykowała zapiekanekę albo smażyła kotlety z miękką cebulką. W domu u Sørena jadano zawsze jakieś dziwne potrawy, sałaty, do których wrzucano to, co akurat było pod ręką, albo kaszę.

W domu u Jacoba, kiedy posiłek był gotowy, mama brała do ręki mały dzwoneczek i zwoływała domowników. Gdy ojciec Jacoba siadał do obiadu, zapadało milczenie. Wszyscy mieli nadzieję, że może akurat będzie w odpowiednim nastroju i zacznie snuć swoje opowieści. Doświadczenie pokazywało, że jeśli było się cicho, to znaczy ograniczało się do poproszenia o sól czy pieprz, i pozwoliło ojcu w milczeniu zaspokoić pierwszy głód, to zwykle potem sam z siebie zaczynał opowiadać.

– Hermanie, nie przy stole – prosiła zawsze mama Jacoba.

Dzieci wstrzymywały oddech, a Herman opowiadał o zamordowanych kobietach, uprowadzonych dzieciach, ukrytych zwłokach i żądnych zemsty byłych mężach. Chłopcy siedzieli przyklejeni do krzeseł. W pewnym momencie Herman zaczął raczyć ich kryminalnymi zagadkami, za którymi Søren przepadał.

Elvira, nieco zaniepokojona, zaczęła dopytywać, czy aby nie przesadza, jadając trzy razy w tygodniu obiady u kolegi. Søren zapewnił, że wszystko jest w porządku.

Posiłki szybko zamieniły się w pasjonującą grę

detektywistyczną. Herman uczył ich, jak powinien myśleć detektyw, a Søren miał duży talent. Potrafił przewidzieć tok wydarzeń i przedstawić wiarygodne wytłumaczenie różnych zdarzeń, często bynajmniej nie oczywiste, zadziwiając tym Hermana, a często także samego siebie. Tylko Jacob był wyraźnie poirytowany. Søren nie miał pojęcia, jak to się działo; jakby miał w głowie labirynt drózek, którymi cofał się, docierając do sedna zagadki. Dziergał wstecz. Potrafił przewidzieć różne okoliczności, omijał zręcznie pułapki, które Herman niekiedy zastawiał jedynie po to, by wprowadzić większe zamieszanie. Z kamienną twarzą zadawał kilka z pozoru niewinnych pytań i nagle podawał całe rozwiązanie, od A do Z.

Po szkole podstawowej drogi chłopców się rozeszły. Søren rozpoczął naukę w liceum, poznał Vibe i dawne zwyczaje usunęły się nieco w cień, z wyjątkiem niedziel, kiedy Herman tradycyjnie już mył na podjeździe rodzinnego peugeota. Wtedy Søren zawsze znajdował pretekst, żeby znaleźć się w pobliżu i wpaść w odwiedziny. Herman informował go pokrótce o wydarzeniach tygodnia i obdarowywał kolejną zagadką. Dopiero kiedy Søren dorósł, zaczął się zastanawiać, ile tak naprawdę Herman zmyślał. Obowiązywała go przecież tajemnica służbowa.

Søren miał dziewiętnaście lat, kiedy pewnej środy przyszedł na obiad do Elviry i Knuda i przed domem Jacoba zauważył wóz firmy przewozowej. Czwooro na żółto ubranych pracowników nosiło meble i kartony,

nikogo innego nie było widać. Kiedy następnym razem przyjechał na Snerlevej, przed domem Jacoba biegała dwójka małych nieznanych mu dzieci. Stał i przyglądał się im chwilę. I właśnie wtedy postanowił, że zostanie policjantem.

W rodzinie Søren cieszył się sławą tego, który potrafi wszystko znaleźć. Odłożone gdzieś okulary, instrukcje obsługi, zeznania podatkowe. Najpierw zadawał kilka pogłębiających pytań, a potem – dziewięć razy na dziesięć – szybko znajdował rzecz, która zginęła. Okulary do czytania, które Knud położył na butach w przedpokoju, kiedy się schylił, żeby podrapać się w kostkę, instrukcję obsługi maszyny do robienia lemoniady, która trafiła do bagażnika samochodu razem ze stertą starych książek telefonicznych przeznaczonych na makulaturę, i resztki formularza podatkowego, który roztargniona Elvira zmięła i wrzuciła do kominka.

– Jak ty to robisz? – spytała zaciekawiona Vibe pewnego wieczoru, kiedy Søren w wyniku niemal profesjonalnego przesłuchania doszedł do tego, że kalkulator Vibe wylądował w kontenerze na śmieci razem ze stertą starych pism. Zaoferował, że zejdzie do komory zsypowej sprawdzić, czy może pojemnik nie został jeszcze opróżniony. Pięć minut później wręczył jej kalkulator.

– Dziergam wstecz – odpowiedział Søren, budząc jej zdziwienie. – Kiedy trzeba rozwiązać jakąś zagadkę –

tłumaczył jej – nie wolno się zadowolić pierwszym nasuwającym się rozwiązaniem. To byłoby zgadywanie. W ten sposób osoba, która ma krew na rękach, zostaje automatycznie uznana za mordercę, a kobieta, która ma dług karciany, za oszustkę. Często tak rzeczywiście jest, ale nie zawsze. Gdy się dzierga wstecz, nie trzeba zgadywać.

Vibe przytaknęła.

W grudniu 2003 roku Vibe pojechała do Barcelony ze współnikiem, z którym prowadziła firmę konsultingową. Søren został sam w domu i nagle złapał się na tym, że właściwie jest mu dobrze. Vibe od tygodni patrzyła na niego wzrokiem pełnym żalu, miał permanentne wyrzuty sumienia. Podczas jej nieobecności chodził do pracy jak zwykle, zrobił porządek ze starymi zdjęciami, obejrzał *Podejrzanych*, film, na który Vibe nie chciała z nim iść; siedząc na sedesie, czytał komiks o Calvinie i Hobbesie, a w piątek umówił się na squasha ze swoim przyjacielem Henrikiem.

Na pierwszy rzut oka Henrik wydawał się przeciętny. Ćwiczył na siłowni, podnosił ciężary, miał mnóstwo tatuaży (między innymi jeden wychodzący niemal na szyję, tak że niewiele brakowało, a nie przyjęto by go do szkoły policyjnej) i krótko ostrzyżone włosy, góra na ćwierć centymetra. Nad górną wargą miał zabójczy wąsik. Ożenił się z Jeanette, kiedy jeszcze byli rekrutami, i wkrótce urodziły im się dwie córeczki. Teraz obie były

nastolatkami, a Henrik narzekał, że mieszkanie na Østerbro zrobiło się za małe: wszędzie porozrzucane były ubrania, buty, torebki. Narzekał też, że dziewczyny do szkoły ubierają się jak dziwki, jak te, które zatrzymujemy na Vesterbro, cholera, ale Jeanette mówi, że mam się zamknąć, bo taka jest moda, słyszałeś coś podobnego? Ostatnio Jeanette zaczęła chodzić na jogę, a on za cholere nie mógł się od niej dowiedzieć, na czym to tak naprawdę polega, szkoda gadać, chyba wolałby być kawalerem. Søren wiedział jednak, że bardzo kocha swoje trzy dziewczyny, poszedłby za nimi nawet do piekła.

Nie powiedział Henrikowi, że on i Vibe mają problemy; gdy przyjaciel próbował coś z niego wyciągnąć, szybko zmieniał temat. To były jego prywatne sprawy. Nie powiedział mu też, że od paru dni jest słomianym wdowcem. Kiedy po rozegranym meczu odpoczywali w szatni, wyrwało mu się nagle, że Vibe jest w Barcelonie. Natychmiast tego pożałował. Natomiast Henrik się rozpromienił: No to muszą pójść w miasto! Zadzwoił do Jeanette. Søren słyszał, jak kłóć się o coś, co miało związek z najmłodszą z dziewczynek; w duchu miał nadzieję, że z ich wypadu nic nie wyjdzie. Jednak Henrik postawił na swoim. Głupia baba, powiedział, rozłączając się. Na tę swoją cholerną jogę może iść kiedy indziej. On i Søren idą na piwo.

– Sam nie wiem – wahał się Søren, wkładając T-shirt.
– Właściwie chciałem kupić pizzę i zjeść ją, oglądając jakiś film. Jestem trochę padnięty.

– Bzdura – odpowiedział Henrik i Søren już nie oponował.

Znaleźli niewielką knajpkę na Vesterbro i zaszaleli. Henrik mówił coraz głośniej, zaczął podrywać dwie dziewczyny przy sąsiednim stoliku. Jedna miała na imię Katrine; pochodziła z Arhus, ale od kilku lat mieszkała w Kopenhadze, studiowała pedagogikę i zaraz po Bożym Narodzeniu miała się bronić. Była ciemna jak Cyganka, zupełnie inna niż Vibe, nieco na dystans; mimo swojej dość egzotycznej urody mówiła z wyraźnym jutlandzkim akcentem. A czym Søren się zajmuje? Zaczęli rozmawiać, Henrik postanowił zsunąć stoliki. Później wybrali się razem do klubu, którego Søren nie znał. Okazało się jednak, że świetnie się bawi, zapomniał o wszystkim. Jakby rzeczywistość przestała istnieć.

O drugiej postanowili wracać, zadzwonili po taksówkę. Katrine spytała, czy może się z nim zabrać, było jej po drodze, wysiadzie wcześniej. Oczywiście, żaden problem. Wsiedli do taksówki, odjechali. Jak to się stało, że zaczęli się całować, tego Søren nie pamiętał. Tak po prostu, przez przypadek. Kiedy taksówka zatrzymała się przed domem Katrine, dziewczyna spytała, czy ma ochotę wejść z nią na górę? Skinął głową i zapłacił za kurs.

Katrine mieszkała w trzypokojowym mieszkaniu na strychu, na podłodze miała wykładzinę z sizalu, wszędzie było dużo roślin i książek. Kiedy poszła do łazienki umyć zęby, mógł wyjść, ale nie zrobił tego. Siedział i kartkował

album ze zdjęciami kościołów. Kiedy wyszła z łazienki, zaczęła rozwieszać pranie na przenośnej suszarce, jakby chciała mu dać chwilę do namysłu. A on zaczął opowiadać jej o Vibe. Powiedział, że wyjechała służbowo do Barcelony. Katrine uśmiechnęła się i stwierdziła, że to cudowne miasto. Został. Kochali się i było wspaniale. Inaczej niż kiedy kochał się z Vibe. Na początku ich związku zdarzyło się, że kilka razy zdradził Vibe, ale to było sto lat temu. Seks z Katrine smakował inaczej.

Został na noc. Rano Katrine zrobiła grzanki i zaparzyła kawę. Było miło. Nie wymienili się numerami telefonów, Søren wrócił do domu.

Po południu zaczął mieć wyrzuty sumienia. Wziął kąpiel, ale niewiele to pomogło. Zadzwoił Henrik i zaczął go wypytywać. Fajna laska, prawda? Poszli na całość? Oczywiście, że nie! Søren udawał obrażonego i zakończył rozmowę. Do powrotu Vibe zostały trzy dni. Spędził je na rozmyślaniu o dziecku. Katrine nie miała z tym nic wspólnego, właściwie już o niej zapomniał. Poszedł z nią do łóżka, ponieważ czuł się sfrustrowany i postanowił zrobić coś absolutnie nieakceptowalnego. Skończyło się żałością, nie poznawał siebie. Nagle zrozumiał, że nie ma wyjścia: albo zgodzi się na dziecko, albo pozwoli Vibe odejść.

Vibe wróciła zadowolona i odprężona. Søren zaczął się zastanawiać, czy może też go zdradziła. Tak czy inaczej, spędzony osobno czas dobrze im zrobił. Vibe nie patrzyła już na niego zranionym wzrokiem, zaangażowała

się w nowy projekt i była zbyt zmęczona, żeby myśleć o dziecku. Nadeszło Boże Narodzenie, spędzili Wigilię na Snerlevej, siedzieli objęci przy kominku, wręczyli sobie prezenty. Nowy Rok też witali w swoich objęciach. Ale nie powiedzieli sobie niczego szczególnego, nie czuli takiej potrzeby. Pierwszego stycznia Søren obudził się i pomyślał, że kryzys minął.

Niespodziewanie pewnego wieczoru Vibe oznajmiła, że muszą porozmawiać. Stwierdziła, że pobyt w Barcelonie był bardzo inspirujący, po powrocie rzuciła się w wir zajęć, prawie codziennie pracowała do późna. Teraz jednak projekt został skończony i wszystko wróciło do normy.

– I nic się nie zmieniło. Nadal chcę mieć dziecko. Moje ciało tego pragnie, nic na to nie poradzę – powiedziała cicho.

Søren usiadł na kanapie, przysunął się do niej i objął ją ramieniem.

– Może nadeszła pora, żeby każde z nas poszło w swoją stronę? – zapytał.

Po policzkach Vibe popłynęły łzy.

– Rozumiem, że nadal jesteś przeciwny? – spytała.

– Tak.

Wkrótce potem Vibe poszła spać. Zamknęła za sobą drzwi, nie pocałowałwszy go na dobranoc. Søren został sam, czuł się okropnie. Nie chciał mieć dzieci. Był tego pewien, ale czy to miało związek z Vibe? Czy nie chciał mieć dzieci z nią, czy z inną kobietą byłoby inaczej?

Raczej nie. Więc co? Poszedł do kuchni i wziął z lodówki piwo. W pokoju grał telewizor, ściszył go. Świat był niebezpieczny, to był powód jego decyzji. Dzieci mogły umrzeć, nie tylko mogły, umierały, pomyślał zły. Posiadanie dzieci wcale nie było takie romantyczne, jak Vibe to sobie wyobrażała. Dzieci dorastały i kończyły w piwnicy budynku medycyny sądowej: młode dziewczyny, niemal nagie, pobite, zgwałcone. I młodzi mężczyźni, naćpani, często zmasakrowani; ginęli w rozwalonych samochodach prowadzonych przez ich kumpli, w których żyłach zamiast krwi płynął alkohol. Søren wiele razy towarzyszył tam rodzicom tych młodych ludzi. Nie chciał mieć dzieci. Wypił piwo i ogarnął go smutek. Muszą się rozstać, Vibe urodzi dziecko innemu mężczyźnie.

Postanowili, że poinformują o swojej decyzji Knuda i Elvirę; chcieli zrobić to razem, w najbliższy piątek. Søren czuł się fatalnie. Vibe była dla nich jak córka, poza tym był przekonany, że dziadkowie na pewno nie zrozumieją powodu ich rozstania. Tym bardziej że od jakiegoś czasu wyraźnie dawali im do zrozumienia, że chętnie zostaliby pradziadkami.

Vibe cały tydzień spała na kanapie w dużym pokoju, chociaż Søren prosił, żeby spała w łóżku, w sypialni. Nie chciała. Twierdziła, że w pokoju jest jej dobrze.

W piątek Søren odebrał ją z pracy i pojechali na Snerlevej; zaparkowali przed domem. Søren uwielbiał tu przyjeżdżać. Uwielbiał otwierać drzwi kluczem, który

dostał, kiedy w czwartej klasie zaczął sam wracać do domu. Wchodził do przedpokoju i od razu czuł w nozdrzach specyficzną woń wilgotnych ubrań i butów, wełny i skóry, i zapachów kuchennych. Na grzejniku stała butelka wina. Babcia zawsze przygotowywała coś smacznego do jedzenia, a po posiłku rozgrywali zwykle partyjkę trivial pursuit, panowie przeciwko paniom. Tym razem jednak już na progu wyczuł, że coś jest nie tak. Vibe szła za nim. Chwilę wcześniej, w ogródku, Søren spytał ją, czy jest pewna.

– Tak, jestem pewna; chcę mieć dziecko – odpowiedziała, odwracając głowę.

Weszli do domu. W przedpokoju było zimno, nie pachniało ani jedzeniem, ani winem, a lampa, którą zwykle zapalano, kiedy przychodzili goście, była zgaszona. Powiesili ubrania na wieszaku i spojrzeli na siebie zdezorientowani. Søren otworzył drzwi do dużego pokoju. Knud i Elvira siedzieli obok siebie na kanapie, babcia płakała. Knud tulił ją w ramionach. Nie ruszyli się, kiedy Vibe i Søren weszli do pokoju.

– Co się stało?! – wykrzyknął Søren przerażony.

Elvira uniosła głowę i spojrzała na niego zapłakana.

– Chodź, skarbie, usiądź – powiedziała, wskazując na kanapę.

Vibe i Søren stali jak sparaliżowani i patrzyli na nich.

– Możecie powiedzieć, co się stało?

Okazało się, że Elvira jest chora. Ma guzek pod pachą i zaatakowane węzły chłonne. Dowiedziała się o tym kilka

godzin wcześniej; nic nie można już zrobić.

Wieczorem rozmawiali o jej życiu. Opowiadała o kwiatach, o Perełce, koźlątku, które przed laty hodowali w ogródku; o tym, jak kiedyś Søren znalazł jej obrączkę w słoiku z dżemem truskawkowym. Śmiali się, Søren pojechał po pizzę, jedli i pili wino. Wieczór zakończył się jak zwykle partyjką trivial pursuit; tym razem panie wręcz znokautowały panów. Vibe śmiała się, że Søren i Knud powinni zażądać odszkodowania za czas stracony w szkole. Pierwotny powód wizyty w ogóle nie został poruszony.

Kiedy zadzwoniła Katrine, Søren z trudem przypomniał sobie o jej istnieniu. Był w pracy, był początek lata, od ich spotkania minęło dobre siedem miesięcy. Lato było pogodne, on i Vibe cały wolny czas spędzali w ogródku na Snerlevej. Elvira umierała. Do dużego pokoju wstawiono szpitalne łóżko, od trzech tygodni właściwie już nie wstawała. Søren i Vibe nie powiedzieli dziadkom o rozstaniu. Nie mieli serca przysparzać Elvirze trosk. Vibe wyprowadziła się już na początku kwietnia, ale kiedy odwiedzali Knuda i Elvirę, umawiali się i jechali razem, a potem szli ogrodową ścieżką, trzymając się za ręce. Nadal zresztą się spotykali, w swoim dawnym mieszkaniu albo u Vibe. Kochali się na jej nowym łóżku, w sypialni z zielonymi firankami i tapetą w drobne kwiatki, podnieceni, jakby dopiero się poznali. Chodzili do kina jak dawniej, biegali razem w

niedzielę, a nawet polecieli na weekend do Paryża. Panował między nimi dziwny spokój. Vibe kilka razy pytała ostrożnie, czy Søren nie zmienił zdania. Wtedy on całował ją w czoło, mówiąc, że zasłużyła sobie na kogoś lepszego.

– I twoje dziecko też – dodawał.

Kiedy dotarło do niego, z kim rozmawia, poczuł, że ma wilgotne dłonie. Najpierw pomyślał o wszelkich możliwych chorobach wenerycznych, potem o HIV. Usłyszał jej śmiech: nie było łatwo go znaleźć. Wiedziała jedynie, że ma na imię Søren i że pracuje w Bellahøj. Szukała go w różnych miejscach, aż w końcu znalazła, znów roześmiała się niepewnie. Właściwie nie chciała do niego dzwonić, ale uznali, to znaczy ona i Bo, że jednak powinna. Kim jest Bo? Jej chłopakiem, poznali się wkrótce po tym wieczorze, kiedy Søren został u niej na noc; od niedawna mieszkają razem.

– Bo będzie ojcem dziecka – powiedziała w końcu.

Wszystko wokół niego zamarło.

Niczego nie rozumiał.

Czysty surrealizm.

Rozmawiali krótko, odłożył słuchawkę i zadzwonił do Vibe. Powiedział, że musi zostać dłużej w pracy i poprosił, żeby sama pojechała do Elviry i Knuda. Dołączy do nich wieczorem. Coś się stało?, dopytywała się Vibe. Nie, to znaczy tak. Mam pracę, skłamał.

Był to najdłuższy dzień w jego życiu i właściwie nie bardzo nawet potrafił powiedzieć, co dokładnie robił. O

piątej pojechał do mieszkania Katrine, zadzwonił. Tabliczka na drzwiach była nowa, nad nazwiskiem Katrine widniało: „Bo Beck Vestergaard”. Kiedy wszedł do środka, sytuacja stała się jeszcze bardziej surrealistyczna. Katrine była w ósmym miesiącu ciąży, miała duży brzuch i wyglądała prześlicznie.

– Bardzo się cieszymy – powiedział Bo, mrużąc oczy.

W rogu pokoju stał już stół do przewijania dziecka, o wszystko się zatroszczyli. Ojcem biologicznym dziecka jest Søren. Katrine była tego pewna. Kiedy poznała Bo, była od dwóch miesięcy w ciąży. Bo nie miał nic przeciwko temu, są przecież nowoczesnymi ludźmi, poza tym bardzo kochał Katrine. Początkowo postanowili nie informować Sørena o niczym, potem jednak pojawiły się wątpliwości. Nie chcieli okłamywać dziecka, a skoro tak, to nie mogli przemilczeć jego pochodzenia.

Søren nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Stał z otwartymi ustami i czuł chwyającą go za gardło narastającą panikę. Bo mówił dalej. Uznali, że ma prawo poznać prawdę, tak samo jak dziecko, oczywiście kiedy dorośnie. W pierwszych latach dziecko powinno mieć jednego ojca, żeby nie wprowadzać zamieszania, to chyba rozsądne, prawda? Nie oczekiwali, że Søren będzie płacił alimenty, no chyba że będzie się upierał. Bo miał własną firmę, sprzedał instrumenty muzyczne, a Katrine dostała pracę w szkole w Valby, teraz była oczywiście na urlopie macierzyńskim. Poradzą sobie, tylko proszą, żeby Søren zbytnio nie mieszał się w ich sprawy. Chyba że za parę lat

dziecko zechce poznać swojego biologicznego ojca. W głosie Bo słychać było nadzieję, że to nigdy się nie stanie. Søren kiwał głową, zadał jakieś pytanie, przytaknął. Musi to wszystko przemyśleć. Bo wyglądał na zadowolonego, odprowadził go do drzwi.

Søren wyszedł na ulicę oszołomiony; w ustach miał sucho. Kupił w kiosku dwa napoje prosto z lodówki i od razu wypił, nie przejmując się podejrzliwym spojrzeniem kioskarza. Co powie Vibe? Czy w ogóle będzie w stanie to zrobić? Vibe mu ufa. Najsolidniejszy facet na świecie, mówiła o nim swoim przyjaciółkom, mimo że się rozstali i mimo że nie chciał dać jej dziecka, którego tak bardzo pragnęła. Poszedł nad wodę. Musi przekonać Bo i Katrine, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli nie zostanie ojcem dziecka. Ani na papierze, ani w rzeczywistości. Gdyby sprawa kiedykolwiek wyszła na jaw, Vibe poczułaby się głęboko zraniona. Poza tym on przecież nie chciał być ojcem, do diabła! Nie chciał być ojcem dziecka Vibe, a tym bardziej ojcem dziecka Katrine. Wykluczone. Należy uznać, że był po prostu dawcą nasienia, nikiem więcej. Ta sytuacja w ogóle nie powinna była się zdarzyć. Katrine powinna była najpierw spotkać Bo, a potem zająć z nim w ciążę. Dlaczego, do cholery, nie miał wtedy przy sobie prezerwatywy? Stał nad jeziorem i kopał butem w niski murek. Uspokoił się trochę i pojechał do dziadków.

– Dobrze, że jesteś – przywitała go Vibe, kiedy tylko wszedł do pokoju.

Początkowo w ogóle nie zauważył Elviry, przez moment wyobraził sobie, że pewnie wstała i może poszła do ogrodu nazbierać bzu –

i wtedy ją zobaczył. Leżała otulona kołdrą. Chwycił jej wychudzoną dłoń i się rozplakał. Trzy godziny później Elvira westchnęła i odeszła.

W następnych tygodniach Søren próbował odsunąć od siebie wszelkie myśli o dziecku. Miał dosyć innych zajęć. Prowadził skomplikowaną sprawę. Musiał się zająć pogrzebem Elviry, Knud był pogrążony w żałobie. Kiedy dwa tygodnie później Bo zadzwonił do niego, wykrzyczał mu w słuchawkę, żeby, do diabła, zostawili go w spokoju! Nie chciał tego dziecka; jeśli Katrine raczyłaby zawiadomić go, kiedy się okazało, że jest w ciąży, doradziłby jej aborcję. Po jakimś czasie zadzwonił i przeprosił. Powiedział, że umarła jego matka i że jest mu ciężko. Początkowo Bo zdawał się nieprzejednany, jednak w trakcie rozmowy zaczął topnieć.

– Dobrze – powiedział. – Zadzwoń, kiedy się pozbierasz. Nie ma pośpiechu. Jak mówiłem, też się nie palimy, żebyś nas nachodził, przepraszam, ale chcę być z tobą szczerzy. Nie chcemy jednak okłamywać dziecka. Powinna wiedzieć, jak się sprawy mają; chcemy, żeby miała dobre dzieciństwo.

– To będzie dziewczynka? – spytał Søren zdziwiony.

– Tak – odpowiedział Bo. – Maja.

Przed porodem Søren spotkał się z Katrine tylko raz;

pewnego popołudnia był w pobliżu, zatrzymał się, zadzwonił i zastał Katrine samą w domu. Nie mówili wiele, zwrócił jednak uwagę, że pięknie wygląda. Siedziała na kanapie z wielkim brzuchem, jakby wysiadywała złote jajo, i uśmiechała się tajemniczo. Søren obiecał, że nie będzie się narzucał, ale kiedy mała dorośnie i będzie chciała poznać swojego biologicznego ojca, to oczywiście chętnie się z nią spotka. Jeśli będzie chciała. Wypili kawę i Søren wyszedł.

Maja urodziła się ósmego października 2004 roku. Bo zadzwonił i powiedział, że Katrine urodziła. Matka i córka czują się dobrze, przekazał, i odłożył słuchawkę. Trzeciego dnia po porodzie Søren postanowił odwiedzić je w szpitalu. Miał pewne wątpliwości, ale nie mógł się powstrzymać. Kupił misia dla dziecka i pachnący cytryną balsam do ciała dla Katrine. Młoda ekspedientka pomogła mu wybrać właściwy. W szpitalu stał chwilę na korytarzu, zanim w końcu zdecydował się wejść. Katrine mogła mieć gości, nie chciał, żeby poczuła się skrzępowana. Przypomniawszy sobie jednak, że to ona i Bo poinformowali go o ciąży, chociaż wcale nie musieli. Nie może okazać się dupkiem, który wykręca się od odpowiedzialności.

Ku jego zdziwieniu sala okazała się niemal pusta. Nie było żadnych gości, trzy łóżka czekały na świeżo upieczone mamy z dziećmi. Na czwartym, stojącym koło okna, siedziała Katrine, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Usłyszała, że wszedł, i podniosła głowę; uśmiechnęła się, ale Søren nie był pewien, czy w ogóle go

poznała. Zbliżył się ostrożnie, położył prezenty na jednym z pustych łóżek i wtedy zobaczył Maję, owiniętą w biały kocyk. Była maleńka. Misiek, którego dla niej kupił, wydawał się pięć razy większy od niej. Miała długie czarne włosy, pomarszczoną buzię i była do niego podobna. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Stał, patrzył na Katrine, potem schylił się i pocałował ją w czoło.

Wszystko się zmieniło. Nie dlatego, że w szpitalu Fredriksberg urodziło się dziecko, które przypadkowo miało jego geny; nie dlatego, że było tak niewiarygodnie do niego podobne i nie dlatego, że z biologicznego punktu widzenia został ojcem. Wszystko się zmieniło, dlatego że obudziły się w nim nieznane mu dotąd uczucia: okazało się, że ma serce. Roześmiał się głośno. Elvira umarła, Knud był pogrążony w żałobie, stosunki między nim a Vibe nadal były napięte, a on pędził przed siebie samochodem i głośno się śmiał. Nie chciał dziecka, a może raczej nie był gotów podjąć takiej decyzji. Nie chciał planować dziecka, ani z Vibe, ani z Katrine czy z jakąkolwiek inną kobietą. Teraz jednak, kiedy to dziecko było już na świecie, wszystko się zmieniło. Chciał Mai, pragnął jej. Postanowił nigdy nie spuszczać jej z oka, chronić ją przed całym złem tego świata. Wieczorem zaczął snuć plany. Postanowił, najszybciej jak to możliwe, pójść do Bo i Katrine i oznajmić im, że zmienił zdanie, że nie będzie tak, jak im wcześniej obiecał.

Dwa tygodnie później Bo zgodził się na jego wizytę. Søren był przygotowany, nie denerwował się.

– Doszedłem do wniosku, że jednak chcę być jej ojcem.

Bo zastygł z filiżanką gorącej kawy w ręku. Patrzył wściekły na Sørena.

– Co takiego? Nie masz do tego prawa! – wykrzyczał, odstawiając filiżankę z takim impetem, że Maja się wzdrygnęła.

– Bo, wysłuchajmy, co Søren chce nam powiedzieć – odezwała się Katrine. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się niemal niezauważalnie. Bo wstał i podszedł do okna, drżał.

– Wiem, że nie będę mógł widywać jej codziennie, pewnie nawet nie raz w tygodniu, ale chcę być częścią jej życia, nie tylko rezerwowym dzokerem, którego można wykorzystać, gdy pojawi się taka potrzeba – powiedział.

Następnie zwrócił się do Katrine.

– Bo jest twoim partnerem i zapewne w sercu Mai zostanie jej ojcem. To z nim będzie się bawiła po powrocie z przedszkola, to on wieczorem będzie czytał jej książeczki, i to przeciwko niemu będzie się buntować, kiedy zostanie nastolatką.

Katrine się uśmiechnęła.

– Na co dzień on będzie dla niej najważniejszy – podkreślił Søren. Zauważył, że Bo nieco się uspokoił. – Ale ja też chcę być obecny, a jeśli mi na to nie pozwolicie, to... – przerwał, zaczerpnął powietrza i dokończył: – To

będę dochodził swoich praw w sądzie.

W pokoju zapadła cisza. Bo nadal stał odwrócony do niego plecami. Pierwsza odezwała się Katrine.

– W porządku, Søren. W porządku – powiedziała.

Bo nie odwrócił się, nawet kiedy Søren już wyszedł.

Odwiedzał ich raz w tygodniu. Maja rosła, Bo trochę się odprężył. Zresztą Søren bardzo się starał. Prosił Bo o radę, cierpliwie wysłuchiwał jego uwag i opowieści o tym, że Maja znów w nocy płakała, że odpięła się jej pieluszka, i tak dalej, chociaż szczerze mówiąc, miał ochotę wyrzucić go przez okno.

Pewnego listopadowego popołudnia zastał Katrine samą z Mają. Katrine karmiła córeczkę, Søren poszedł nastawić wodę na kawę. Katrine skończyła karmić i wyszła do kuchni, a on zajął się dzieckiem. Nagle Katrine spytała go o Vibe. Dotąd unikali wszelkich osobistych tematów. Søren wiedział, że Bo gotów jest w każdej chwili pokazać mu drzwi, co skutecznie ograniczało jego chęć do zwierzeń. Zaczął dość wymijająco, ale kiedy Katrine wróciła do pokoju i usiadła obok niego, nagle wszystko puściło i opowiedział jej całą historię. O swoim związku z Vibe, który zaczął się, kiedy oboje byli nastolatkami, a skończył dlatego, że Vibe pragnęła mieć dziecko, którego on nie chciał. O tym, że Elvira umarła, nie mając pojęcia, jaka jest sytuacja między nim a Vibe, bo chociaż wtedy mieszkali już osobno, to – nie chcąc smucić dziadków – udawali, że nadal są ze sobą. Kiedy

Søren skończył opowiadać, wziął Maję na rękę, stanął z nią w oknie i razem patrzyli na samochody. Maja otwierała i zamykała buzię; pokazał jej niebieskiego forda fiestę, który właśnie przejechał na czerwonym świetle.

– Ma szczęście, że tatuś jest zajęty tobą – szeptał jej.
– Inaczej musiałby zapłacić mandat – dodał.

Nagle Katrine spytała, czy Vibe wie o Mai. Søren milczał, dopiero po dłuższej chwili pokręcił przecząco głową.

Kiedy godzinę później odjeżdżał sprzed domu Katrine, postanowił, że to nie może tak dłużej trwać. Katrine dała mu zdjęcie Mai, które włożył do portfela, tuż obok prawa jazdy. Postanowił powiedzieć Knudowi, że on i Vibe nie są już razem, i poinformować ich oboje o istnieniu Mai. Bał się reakcji Vibe, co było naturalne, ale nie mógł się doczekać, kiedy powie Knudowi, że został pradiadkiem. Najpierw zadzwonił do Vibe i zaproponował spotkanie w niedzielę. Vibe nie miała żadnych planów, spodziewała się, że jak zwykle pójdą na obiad na Snerlevej. Następnie zadzwonił do Knuda. Nikt nie odpowiadał. Po jakimś czasie zadzwonił ponownie, ale nadal nikt nie odbierał. Wieczorem zaczął się niepokoić, wsiadł w samochód i pojechał na Snerlevej. Knud siedział na krześle w kuchni i patrzył przez okno na ogród. Na kolanach miał zdjęcie Elviry, na stole stały dwie torby z zakupami. Nierozpakowane. Søren podszedł i objął go ramieniem.

– Ciężko ci? – spytał i delikatnie zabrał zdjęcie z jego kolan. Na fotografii Elvira wyglądała staro, miała pomarszczoną twarz, ale mimo to była jak żywa. Knud odwrócił głowę i spojrzał na niego pustym wzrokiem.

– Mam raka – powiedział w końcu, uśmiechając się. – Tak to jest.

W niedzielę zjedli razem obiad, jak zwykle. Vibe wszystko przygotowała: lasagne i sałatę. Knud miał nowotwór jelita grubego z przerzutami do wątroby, sytuacja była beznadziejna.

– A ja myślałem, że rak nie jest zaraźliwy – rzucił Knud. Nie był szczególnie smutny, nie bał się; chwalił jedzenie, poprosił nawet o dokładkę, a potem zaproponował, że może zapalą papierosa.

– Przecież ty nie palisz – odezwał się Søren zdziwiony.

– Od dzisiaj palę – odpowiedział Knud.

Zapalili, wszyscy troje. Vibe i Søren rzucili palenie dobre dziesięć lat temu, więc teraz kasłali jak niewprawne nastolatki. Zaczęli się śmiać. Nagle Vibe powiedziała:

– Miałam wrażenie, że chciałeś nam coś powiedzieć, Søren.

Przyglądała mu się uważnie. Zauważył, że także Knud na niego patrzy.

– Nie – odrzekł, kręcąc głową. – Musiałaś coś źle zrozumieć.

Maja miała skończone dwa miesiące, kiedy Bo i Katrine postanowili pojechać całą rodziną na urlop do Tajlandii. Søren nie był zachwycony. Tajlandia była daleko. Mieli tam spędzić trzy tygodnie, mieszkając w hotelu na jakiejś wyspie. Bał się, że kiedy wrócą, Maja nie będzie go pamiętała. Wpadł do nich życzyć im wesołych świąt; Katrine zajęta była pakowaniem, Bo na szczęście nie było w domu. Søren podarował Mai najmniejszą bransoletkę świata, z doczepioną koniczynką.

– Jest jeszcze za mała – stwierdziła z uśmiechem Katrine. Składała maleńkie dziecięce ubranka i pakowała je do walizki. Søren przyglądał się jej.

– Nie możecie zostać w domu? – wypalił nagle.

Katrine roześmiała się i spytała, czy powiedział swojej rodzinie o Mai. Już miał skłamać, ale zawahał się o sekundę za długo. Katrine pokiwała głową.

– Jak długo zamierzasz trzymać istnienie swojej córki w tajemnicy?

Søren stał w oknie, trzymając Maję na ręku. Tym razem nissan micra przejechał na czerwonym świetle.

– W czasie świąt – powiedział. – Będę miał wolne, spotkam się z Knudem.

– Chętnie poznałabym twojego dziadka – oznajmiła Katrine.

– Mówisz poważnie? – spytał.

Odwrócił się od okna i patrzył na nią.

– Jak najbardziej poważnie – odpowiedziała, mrugając do niego porozumiewawczo. – Po naszym

powrocie moglibyśmy się umówić na wspólny obiad, jeśli oczywiście mu o niej powiesz.

– Razem z Bo?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się.

Søren położył Maję na leżącej na podłodze owczej skórze. Córeczka zaczęła machać rączkami i nóżkami. Włoski miała już miejscami wytarte, patrzyła na niego ciekawie swoimi błękitnymi oczkami. Søren i Katrine wypili kawę, zamienili kilka zdań o wszystkim i o niczym i Søren wstał. Pocałował Maję w czołko i ścisnął dłonią jej maleńką stopkę, taką ciepłą i żywą.

Po Bożym Narodzeniu Søren i Vibe pojechali do Szwecji; mieli spędzić cztery dni w leżącym na odludziu domu wspólnika Vibe. Postanowił zwierzyć się jej ze wszystkiego, a potem, po powrocie do Kopenhagi, porozmawiać z Knudem. Las za domem zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a gdy nagły powiew wiatru czy uciekająca wiewiórka poruszyły gałąź, płatki śniegu sypały się niczym kryształki. Søren rąbał drwa i przyglądał się drzewom, zastanawiając się, czy nie powinien dokonać radykalnych zmian w swoim życiu. Spędzali czas, grając w różne gry, czytali książki; rozmawiali o Elvirze, były to pierwsze święta bez niej, i o Knudzie, który nie poddawał się chorobie. Nie chciał słyszeć, żeby zostali w domu ze względu na niego. Søren dzwonił do Knuda dwukrotnie, za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka; już zaczął się

niepokoić, ale właśnie wtedy odebrał od niego wiadomość, że wszystko jest w porządku. O swoim związku nie rozmawiali, jakby na te kilka dni zawarli milczący rozejm. „Jakbyśmy byli rodzeństwem”, wyrwało się Vibe któregoś dnia. Odłożyła książkę, którą właśnie czytała. Søren stał w oknie, patrzył na zarośnięty ogród i myślał o Mai. Zastanawiał się, jak powiedzieć Vibe o córeczce. Może teraz? W tej chwili. Zerknął na nią. Leżała na kanapie nakryta kocem, rozgrzana ciepłem z kominka, obok niej stał kubek z herbatą. Zdawała się spokojna i odprężona. Po raz pierwszy od dawna.

Kochali się raz. W sylwestra. Po kolacji składającej się z łososia i dużej ilości wina. Było znajomo i przyjemnie. Drugiego stycznia wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę powrotną do domu. Søren nadal nic jej nie powiedział.

W pewnym momencie postanowili zjechać z autostrady na stację benzynową, żeby zatankować i kupić w sklepiku mleko. Søren już z daleka zobaczył wielkie nagłówki: „Mordercza fala w Azji zabiła tysiące ludzi!”

– Co się stało?! – krzyknęła Vibe zdziwiona, kiedy nagle zahamował, wydając z siebie dziwny, gardłowy dźwięk.

Wysiedli, kupili mleko i gazety. Wszystkie gazety.

– Boże, to straszne – powtarzała Vibe.

Siedziała w samochodzie i przeglądała prasę. Po policzkach leciały jej łzy. Czytała na głos historię australijskiej matki, która, gdy nadeszła fala, trzymała w

objęciach swoich dwóch synków; gdy zabrakło jej siły, puściła starszego, siedmioletniego chłopca. Vibe rozpaczała. On milczał.

Podjechali pod dom Vibe. Søren zaparkował.

– Pójdiesz na *góre*? – spytała Vibe.

Pokręcił głową.

Mai, Katrine i Bo nie było na listach zaginionych. Søren co pół godziny sprawdzał listy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie było ich na nich, ale dlaczego nie zadzwonili? Miał żal do Katrine, wypomni jej to. Jak mogła być tak niefrasobliwa! Zastanawiał się, do kogo mógłby zadzwonić. Nikt nie przychodził mu do głowy. Formalnie nie był w żaden sposób związany z rodziną Beck Vestergaard. Był jedynie dawcą plemnika. Vibe dzwoniła do niego kilkakrotnie, nie miał siły z nią rozmawiać.

Piątego stycznia wieczorem zadzwonił Bo. Søren zasiadał właśnie do kolacji, zamówił coś na wynos, chociaż nie miał specjalnie apetytu. Stał w oknie, aparat leżał na parapecie, odebrał po pierwszym dzwonku.

Chudł, nikał w oczach, w połowie stycznia wziął urlop. Bo dzwonił codziennie, nie odbierał jego telefonów. Raz zadzwonił z innego aparatu, kiedy jednak Søren się zorientował, kto dzwoni, natychmiast się rozłączył. Dwa razy ktoś dzwonił do jego drzwi w nocy. Był przekonany, że to Bo, i nie otworzył. Leżał nieruchomo pod kołdrą. W końcu Bo się poddał.

Søren spędzał całe dni z Knudem, głaskał starca po głowie, widział, jak z każdym dniem coraz bardziej się kurczy.

– Nie powinieneś być w pracy? – dopytywał się Knud. Søren pokręcił głową.

W wieczór przed śmiercią dziadek leżał w pokoju w domu na Snerlevej. Dostawał morfinę i większość czasu przesypiał. Około dziewiątej wieczorem nagle się obudził i chwycił Sørena za rękę. Miał szeroko otwarte oczy, patrzył na niego trzeźwym wzrokiem, ale mówić było mu trudno.

– Vibe – wymamrotał.

– Nie ma jej tu dzisiaj. Mam po nią zadzwonić?

Vibe była zajęta, ale umówili, że cały czas będzie miała włączoną komórkę i że Søren da jej znać, gdyby coś zaczęło się dziać.

Kiedy sięgnął po aparat, Knud wydał niewyraźny dźwięk niezadowolenia.

– Nie dzwoń.

Mówił z wielkim trudem, zamrugał kilka razy, potem zamknął powieki. Kiedy Søren wstał, żeby pójść do kuchni zaparzyć kawę, usłyszał głos dziadka.

– Trzeba kochać swoją kobietę – mówił Knud, z trudem łapiąc powietrze. – Tak jak ja Kocham Elle.

Tylko Knud nazywał Elvirę Ellą.

– Cieszę się, że umieram – ciągnął dalej. Mówił z trudem, ale wyraźniej niż przed chwilą. – Cieszę się, bo wkrótce znów ją zobaczę. – Uśmiechnął się.

Knud był zatwardziałym ateistą, ale teraz po policzkach spływały mu łzy.

– Tak się cieszę, że znów będziemy razem.

Søren walczył z płaczem.

– Vibe...

– Umówiliśmy się, że do niej zadzwonię – powiedział Søren.

– Nic nie mów – przerwał mu Knud. – Dla mnie i dla Elli Vibe jest jak córka – mówił dalej już spokojniejszym głosem. – Ale kiedy kogoś się kocha, to jest się gotowym za niego umrzeć.

Starzec zamknął oczy. Søren siedział nieruchomo, jakby zamienił się w słup soli.

– A ty nie jesteś gotów umrzeć za Vibe. Jestem tego pewien.

To były jego ostatnie słowa. Søren położył głowę na chudych udach dziadka i się rozplakał. Łzy leciały mu z oczu i nie chciały przestać. Knud poruszył ręką, ale nie miał dość siły, żeby sięgnąć jego głowy. Søren był najmłodszym komisarzem policji w historii Danii; wystarczyło jedno spojrzenie, a był w stanie wskazać mordercę, niemal natychmiast po wejściu do sali przesłuchań, wszystko potrafił odkryć i wszyscy, których kochał, odchodzili od niego.

Zostawił samochód na podziemnym parkingu pod komisariatem na Bellahøj, wszedł na górę, nastawił kawę i skierował się do swojego pokoju. Wszystko to działo się

dawno temu. Elvira, Maja, Knud. Minęły trzy lata. Wyjrzał przez okno, spojrzął na niebo. Zanosiło się na śnieg, chociaż był dopiero początek października. Przełożył kilka rzeczy na biurku, szukając raportu, który miał skończyć w piątek. Nagle drzwi do jego pokoju się otworzyły i do środka wpadł Henrik.

– Cześć – powiedział. – Masz ochotę wybrać się na wykład na Wydziale Nauk Przyrodniczych?

Søren spojrzął na niego zdziwiony, ale natychmiast sięgnął po kurtkę.

– Bardzo zdenerwowany młody człowiek, niejaki Johannes Trojborg, zadzwonił pół godziny temu pod numer 112, twierdząc, że jego promotor leży umierający w swoim gabinecie. Sejr i Madsen natychmiast pojechali na uczelnię; powiadomili mnie, że zmarły to pięćdziesięciosiedmioletni profesor Lars Helland, biolog z Uniwersytetu Kopenhaskiego. Przybyły na miejsce lekarz pogotowia stwierdził, że przyczyną śmierci był zawał.

Søren już chciał odłożyć kurtkę, ale Henrik powstrzymał go gestem ręki.

– Miał odgryziony język, leżał na jego piersi. Młody Trojborg był roztrzęsiony. Zastępca głównego patomorfologa jest w drodze razem z chłopcami z Medycyny Sądowej. Jedziesz ze mną?

Søren zapiął kurtkę. Zeszli razem do podziemnego garażu i natychmiast z dużą prędkością ruszyli w stronę centrum. Henrik opowiadał jakiś kiepski kawał, Søren patrzył w niebo, które wyglądało, jakby za chwilę miało

pęknąć.

4

Clive Freeman mieszkał w Kanadzie. Był profesorem paleornitologii w Zakładzie Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki Uniwersytetu British Columbia, z którym związany był od trzydziestu dwóch lat. Mieszkał na Vancouver Island, niedaleko uniwersyteckiego kampusu. Specjalizował się w ewolucji ptaków. Ptaki wywodzą się od gatunku prymitywnego gada, tekodonta, a ich najbardziej prawdopodobnym przodkiem jest archozaur longiskwama. Inni naukowcy uważali, że obecnie żyjące ptaki to współczesne dinozaury. Clive Freeman szanował ich, ale był odmiennego zdania.

Clive dorastał w północnej Kanadzie. Był jedynym dzieckiem znanego biologa Davida Freemana, jednego z najśłynniejszych naukowców – behawiorystów specjalizujących się w zwyczajach wilków. To on nauczył syna wszystkiego o lesie. O drzewach, ściółce leśnej, o zwierzętach i ich wzajemnych stosunkach. Nigdy nie było wątpliwości, że syn w przyszłości też zostanie biologiem.

Kiedy Clive skończył dwanaście lat, postanowił, że zajmie się ptakami. Ptaki były najbardziej rozwiniętymi zwierzętami na świecie. Pochodziły od prymitywnych gadów, które także dały początek żółwiom i krokodylom. Szkielet ptaków miał opływowy kształt, kości były wypełnione powietrzem, co dawało im swobodę ruchu;

ich upierzenie było doskonałe, a proces składania jaj jedyny w swoim rodzaju. Pewnie mało kto się nad tym zastanawia, patrząc, jak wróble wydziobują nasiona traw, a gołębie paskudzą na samochody, pomyślał Clive. I dobrze. Miał poczucie, że znalazł diament w popiele.

Ojciec Clive'a nie lubił ptaków.

– Zdziwiająca, jak ty niewiele wiesz o okolicznych wilkach, biorąc pod uwagę, że twój ojciec jest tym człowiekiem na świecie, który wie o nich najwięcej – stwierdził pewnego dnia.

Przy kolacji postanowił sprawdzić wiedzę Clive'a odnośnie do zębów ssaków; okazało się, że jest niewielka. Trzonowce i przedtrzonowe. I jeszcze siekacze, dodał Clive. Ojciec długo mu się przyglądał.

– Kretyn – powiedział po chwili, wstał i poszedł do swojego gabinetu.

Clive natomiast chętnie opowiedziałby mu coś o dziobach. Dziób ptasi był bowiem zbudowany zupełnie wyjątkowo, dostosowany do swoich funkcji w stopniu niemal niepojętym. Dzioby mogły być długie, cienkie, krótkie, pękate, pofałdowane. Inne były dzioby ptaków roślinożernych, inne padlinożernych. Każdy dokładnie dostosowany do zadania, które miał spełniać. Clive całym sercem oddał się ptakom. To, że nie były ssakami, nie miało żadnego znaczenia.

Miał dwadzieścia lat, kiedy został przyjęty na Wydział Biologii Uniwersytetu British Columbia w

Vancouver. O ptakach wiedział wszystko. Kiedy przyszedł list z informacją o przyjęciu go na listę studentów, wyjął go ze skrzynki i natychmiast rozerwał kopertę. Przeczytał, że – jak się tego spodziewał – został przyjęty na uczelnię. Wtedy odwrócił się w stronę swojego domu rodzinnego i długo mu się przyglądał. Gdzieś wewnątrz siedział jego ojciec, zatopiony w swoich książkach. Nie chcę iść jego drogą, pomyślał. Życie nie może ograniczać się tylko do nauki. Słońce paliło go w czoło, zamknął oczy. Jako dziecko ubóstwiał ojca, ale też bał się go, nadal czuł przed nim strach. Jednak z czasem, gdy jego wiedza przyrodnicza się pogłębiała, zrozumiał, że nie może wierzyć we wszystko, co mówi ojciec. Nauki przyrodnicze też się rozwijały. Powstały nowe metody, prowadzono nowe badania, rozwijały się nowe techniki, do których według Clive'a należała przyszłość. David Freeman pozostawał wobec nich sceptyczny. W ostatnich latach prowadzili burzliwe dyskusje, tak burzliwe, że matka Clive'a brała swój talerz, wstawiała od stołu i szła jeść do kuchni.

Za kilka tygodni skończy się jego dzieciństwo. Może wtedy ich wzajemne stosunki się zmienią? Może David przyjedzie i odwiedzi syna w Vancouver, dumny, że poszedł w jego ślady?

Wieczorem powiedział rodzicom, że został przyjęty na studia, na biologię, i że wkrótce przeniesie się do Vancouver.

– Ptaki poruszają się śmiesznie, niezdarnie –

skomentował ojciec, nie przerywając jedzenia.

– Przestańcie, obaj! – powiedziała matka.

Clive wiedział, że właściwie powinien wstać od stołu, podziękować, spojrzeć z góry na łysą głowę ojca, odnieść talerz do kuchni, pójść na górę do swojego pokoju i pogрузić się w lekturze. Zamiast tak zrobić, odwrócił się do ojca i powiedział cichym głosem: nawet jeśli rzeczywiście uważa, że ptaki nie poruszają się szczególnie elegancko, to musi chyba przyznać, że to imponujące, iż w ogóle zachowały umiejętność chodu, skoro ważniejsze dla nich jest latanie. Wilki potrafią jedynie chodzić, nie posiadają żadnej alternatywnej umiejętności poruszania się.

David powiedział, że nie słyszy, co Clive mówi, więc Clive powtórzył swój wywód, tym razem może nieco zbyt głośno.

Ojciec zaczął wyliczać łacińskie nazwy różnych kości, starając się udowodnić, że budowa nogi wilka zdecydowanie góruje nad budową nogi ptaka. Matka podała ziemniaki i naląa wody do szklanek. Spojrzała błagalnie na Clive'a.

Nagle Clive znieruchomiał.

Czy dobrze słyszał?

– Co powiedziałaś? – spytał.

Matka Clive'a siedziała nieruchomo, ojciec zamilkł w środku zdania, uniesiona ręka zawisała w powietrzu, usta miał lekko otwarte. Nagle obaj sobie to uświadomili. W trakcie swojego wywodu David wymienił niewielką

kostkę, która co prawda występowała u mniej rozwiniętych ssaków, ale nawet kompletny idiota wiedział, że na poziomie rozwoju, na jakim znajdował się wilk polarny, dawno uległa redukcji. David Freeman popełnił błąd. Clive był tego świadkiem i David był tego świadom.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Powietrze zastygło w bezruchu, serce Clive'a waliło. David odsunął krzesło i wyszedł.

Clive cieszył się przez dwa dni. Z Davida zeszło całe powietrze. Zjawiał się na posiłki, uczestniczył w rozmowach, aczkolwiek niechętnie. Chyba że matka zmuszała go do zajęcia stanowiska, mówiąc: „Prawda, kochanie?”

– Tak, tak – mamrotał wtedy.

Natomiast Clive rozwinął skrzydła. Rozwodził się o swoich planach, o czekającym go semestrze. Matka słuchała, ojciec milczał. Po raz pierwszy Clive zauważył, że ojciec się postarzał, jakby zatrzał się jadem, który całe lata w sobie hodował. W rzadkiej chwili czułości Clive zwrócił się do niego „tato”, czego nigdy nie robił.

Dwa dni później Clive szedł do gabinetu ojca, spytać, czy przed wyjazdem nie wybraliby się na ostatnią wspólną wycieczkę do lasu. Wyprawy te były jego najlepszym wspomnieniem z dzieciństwa. Po drodze zajrzał do kuchni, oparł się o stół i sięgnął po szklankę mleka, kiedy coś w ogródku przykuło jego uwagę. Trawnik był po bokach porośnięty arktyczną roślinnością, na tyłach

ogródka stał karmnik dla ptaków Clive'a, za nim widać było cztery duże głązy, nieco dalej zaczynał się las. Teraz jednak cały trawnik, aż do karmnika, pokryty był ciałami martwych ptaków. Trzy, siedem, dwadzieścia ciał, liczył Clive. Spojrzał na karmnik i zobaczył rozsypane wokół niego na ziemi czerwone ziarenka. Nie było ich dużo, ale wystarczająco. Trutka na szczury. Poszedł na górę i spakował walizkę. Nie chciał zostawać minuty dłużej w domu swojego ojca.

W Vancouver wynajął pokój u starszej pani. Przed domem był zapuszczony ogród, który Clive zobowiązał się doprowadzić do porządku.

W sąsiednim domu mieszkał Jack. Miał pięć lat. Kilka miesięcy wcześniej zmarł jego ojciec. Był ładnym dzieckiem o jasnym spojrzeniu. Pewnego dnia, kiedy Clive pracował w ogródku, zauważył, że chłopiec mu się przygląda. Zaprosił go do siebie. Razem zaczęli kopać dziurę w ziemi, w miejscu, gdzie starsza pani chciała posadzić róże. Powstał niewielki kopczyk, zaczęli mu się przyglądać. Były tam chrząszcze, dżdżownice, kokony larw, szkielety i ciało kreta, którego futerko było jeszcze miękkie i czarne. Jack był ciekaw wszystkiego.

Kolejny tydzień okazał się dla Clive'a bardzo pracowity. Miał dużo obowiązkowych zajęć na uczelni, musiał pisać obszerne sprawozdania i raporty. Uprzedził Jacka, że nie będzie miał czasu. Umówili się na sobotę rano. Punktualnie o dziewiątej Jack czekał pod jego oknem. Miał ze sobą wiadro, tępy nożyk i siatkę na

motyle. Początkowo wystarczał im ogródek, potem Clive zaczął zabierać Jacka do lasu. Penetrowali polany, chodzili pod drzewami; brali ze sobą jedzenie, atlasy i puszki na swoje znaleziska.

Na płaskim kamieniu Clive nauczył Jacka przeprowadzać sekcję. Myszy, królika, gołębia. W sklepiku na terenie uniwersytetu kupił komplet skalpeli, pokazał Jackowi, jakie są ostre. Chłopiec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Pierwsze zwierzę, które otworzyli, padło najwyraźniej kilka godzin wcześniej, było całe i nie wydzielало fetoru. Clive prowadził rękę Jacka; kiedy otworzyli zwierzę, spytał, czy chce sam spreparować śledzionę.

– Śledziona ma niebieskawą odcień i przypomina nieco śliwkę, więcej ci nie powiem.

Jack wziął nóż i zaczerpnął powietrza. W końcu mu się udało. Siedział, trzymając w ręku błyszczący organ, i uśmiechał się z zażenowaniem. Był rozczochrany, a na policzku miał kilka kropli zastygłej krwi. Rozpromieniał, gdy Clive go pochwalił.

Od tej pory stało się to ich zabawą. Clive mówił, jaki organ ma znaleźć, i Jack go znajdował. Kiedy Jack skończył dziesięć lat, był już całkiem sprawnym chirurgiem. Potrafił spreparować ciało zwierzęcia w ciągu kwadransa. Zadowolony Clive czochrał go po włosach.

Ze swojego okna Clive niekiedy obserwował matkę Jacka. Miała czwórkę dzieci. Była kasjerką w supermarkecie; kiedy Clive czasem płacił u niej za

zakupy, sprawiała wrażenie, jakby go nie poznawała. Miała zmarszczki pod oczami, za dużo paliła, ale mimo to była na swój sposób przystojna. Miała szczupłe, opalone ręce i wąskie ramiona. Clive nie zamierzał jednak wychowywać dzieci innego mężczyzny. Jack oczywiście nie stanowił problemu, ale ogólnie dzieci go drażniły. Najstarszy brat Jacka miał szesnaście, może siedemnaście lat, i uczył się na mechanika. Clive widział, jak wraca wieczorem do domu. Pewnego razu usłyszał, jak kłóci się głośno z matką. Dziwka!, krzyczał. Mama Jacka płakała, ktoś czymś rzucił, coś się rozbiło. Po tym wieczorze rzadko go widywał. Jack powiedział, że brat się wyprowadził. Były też bliźnięta, miały czternaście lat. Dziewczynka była ładna, ale jej uroda była tania, jak matki. Ze swojego okna Clive widział, jak pali papierosy i potajemnie się maluje, a wychodząc wieczorem, wkłada wysokie botki. Skończy jak matka, nie miał wątpliwości. Jej brat bliźniak nie był od niej lepszy. Kiedy zostawał sam w domu, onanizował się pod kocem na leżaku w ogródku. Clive widział leżące obok niego na ziemi pisma. Ścisnęło go w gardle, kiedy wyobraził sobie, co czeka Jacka.

Zaczął kupować mu prezenty. Nowy zestaw skalpeli i lornetkę z wygrawerowanym jego imieniem. Dawał mu książki i swoje, przeczytane już, czasopisma naukowe. Kiedy szli razem do lasu, zawsze się nim opiekował. Pomagał mu przejść przez strumyk, dawał swoją czapkę,

jeśli słońce przygrzewało zbyt mocno, a Jack zapomniał swojej, i dawał mu tylko takie zadania, które był w stanie wykonać; uważnie słuchał jego odpowiedzi. Chciał, żeby Jack miło spędzał czas. Czasem, kiedy zależało mu, żeby chłopiec coś dobrze zrozumiał, chwycił go za brodę i patrzył mu poważnie w oczy. Albo, widząc, że nie jest dość skupiony, chwycił go za rękę. Nie zdarzyło się, żeby go uderzył, ale chłopiec musiał znać swoje miejsce. Inaczej nie znajdzie w sobie siły, żeby kiedykolwiek wyrwać się z domu.

– Chciałbyś spreparować jakieś większe zwierzę? – spytał go kiedyś. Był niedzielny poranek, słońce już wstawało, ale była jeszcze mgła. Clive niósł w ręku łopatę, w plecaku miał kanapki i termos z gorącą czekoladą. Jack przytaknął z lekkim wahaniem. Zaczęli budować pułapkę. Clive opowiadał, jak potem wyjmą z niej ofiarę. Nagle zauważył, że Jack zamilkł. Stał w pewnej odległości od niego i wcale się nie cieszył. Podeszedł do niego i uklęknął na ścieżce, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Co się stało? – spytał ostrożnie.

– Nie lubię zabijać zwierząt – powiedział chłopiec.

– Tak już jest w przyrodzie – skwitował Clive i przygarnął go do siebie. Przeciągnął ręką po gęstej czuprynie chłopca. Włosy Jacka pachniały niewinnie: lasem i spoconym dzieckiem.

– Sam to zrób – mruknął Jack i odwrócił się od niego. Clive puścił chłopaka.

– Znajdziemy sobie inne zajęcie – oznajmił mu.

– Dobrze – odpowiedział Jack z ulgą.

Ruszyli w głąb lasu.

– Chciałbym, żebyś był moim tatą – odezwał się nagle Jack.

Clive się uśmiechnął.

– Możemy udawać, że tak jest – rzucił lekko.

Mijały kolejne weekendy, tygodnie zamieniły się w lata. Kiedy Jack kończył trzynaście lat, Clive przygotował mu na urodziny niespodziankę. W tajemnicy zbudował na drzewie, w lesie, chatkę, mały domek. W dniu urodzin zaproponował, że przenocują w lesie; Jack się zgodził. Przygotowali jedzenie, spakowali koce, kilka komiksów, latarki i ruszyli. Kiedy Clive złożył wszystko pod dużym drzewem, chłopiec spojrzał na niego zdziwiony. Wtedy Clive pokazał mu sprytnie wbite w pień drzewa gwoździe, Jack wszedł po nich posłusznie i zniknął w listowiu. Nagle z wysoka rozległ się krzyk radości, Clive się uśmiechnął i też wszedł na drzewo. Zobaczył Jacka siedzącego na wąskiej poprzeczce i machającego nogami.

Clive wyposażył domek w dwie półki, zaś na jednym końcu poprzeczki, łączącej domek z pniem drzewa, ustawił niewielki parawan, żeby mieli zapewnioną intymność podczas oddawania moczu. Na ścianach powiesił zdjęcia Jacka i swoje. Ich przyjaźń trwała już osiem lat: dziecko stało się chłopcem, a chłopiec mężczyzną. Clive miał już wtedy dwadzieścia osiem lat. Jack wyszczupłał, zapuścił włosy, na pewno nie był już

dzieckiem.

Wieczorem smażyli parówki na patelni, którą Clive wyczarował z plecaka. Na deser podzielili się tabliczką czekolady, która okazała się czekoladą do rozpuszczania, ale i tak im smakowała. W nocy leżeli blisko siebie, żeby nie marznąć; słyszeli pohukiwanie sowy i ryki jeleni wapiti.

Wczesnie rano, kiedy księżyc był jeszcze na niebie, słowik zaczął swoje trele, Jack spał. Clive patrzył na jego usta, wyraźnie widoczne w księżycowej poświacie. Miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć chłopca, który właśnie w tym momencie odwrócił się do niego, nie budząc się ze snu. Czuł jego oddech i jego świeży, obcy zapach. Poczłł nieznane mu wcześniej podniecenie. Inne niż to, jakie wzbudzały w nim matka Jacka czy koleżanki ze studiów; poczuł, że wzbiera w nim niekontrolowana żądza, silniejsza niż zwykle. Próbując uspokoić oddech, przytulił się mocniej do ciepłego, pogrążonego we śnie chłopca.

Nagle Jack się obudził i usiadł.

– Co się stało? – spytał.

W domku panował mrok, Clive nie odpowiedział, udając, że śpi. Dopiero po upływie dobrej godziny, kiedy już zrobiło się widno, usiadł i przeciągnął się, oznajmiając, że dawno tak dobrze nie spał. Jack siedział już na zewnątrz, na poprzeczce, i patrzył na las. Ugotowali kaszę, potem wszystko spakowali i wrócili do domu. Pożegnali się na drodze, przed furtką. Clive czuł, że drżą mu nogi. Jack chciał go uściskać. Zwykle tak

robili; znaczyło to: dzięki i do zobaczenia następnym razem. Jednak teraz Clive po prostu wyciągnął do niego rękę.

– Jesteś już mężczyzną. Skończyłeś trzynaście lat.

Chłopiec uścisnął mu dłoń. Wyglądał na zadowolonego. Clive wziął plecak i ruszył ścieżką do domu. Wieczorem nie mógł zasnąć. Oddychał ciężko, serce waliło mu w piersi.

Trzy miesiące później Jack się wyprowadził. Jego matka dostała pracę w innym mieście. Clive stał w oknie i patrzył, jak wóz wypełnia się meblami i rzeczami. Usłyszał dzwonek do drzwi i wołanie gospodyni, widział, jak Jack zawiedziony odchodzi. Gdy wóz zniknął za rogiem, Clive jęknął z rozpacz. To najlepsze rozwiązanie, pomyślał. Jack ostatnio bardzo się zmienił. Mały chłopiec zniknął. Clive tęsknił za nim, nie bardzo wiedząc, jak postępować z tym nowym Jackiem. Od czasu urodzin dwukrotnie odwoływał ich wspólne wyprawy, a ubiegłej soboty po prostu nie przyszedł. Zjawił się dopiero po południu, rozczochrany i z krostą na policzku. Clive siedział na schodkach i strugał patyk.

– Sorka, zasnęłam – powiedział Jack. Ubrany był w długie szorty, tors miał nagi; przeciągnął się leniwie. Clive wymamrotał coś pod nosem i dalej strugał patyk. Miał wrażenie, że Jack umarł. Chłopiec, o którego tak się troszczył, zniknął. Przed nim stał teraz młody mężczyzna. Patrzył na niego, uśmiechając się krzywo wydatnymi

ustami.

To najlepsze rozwiązanie, uznał Clive, kiedy wóz meblowy już dawno odjechał. To, co czuł do nowego Jacka, nie było dobre.

Kiedy znów zobaczył Jacka, nie uwierzył własnym oczom. Był rok 1993. Clive był już żonaty z Kay, mieli dwoje dzieci. Był profesorem w Zakładzie Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki, najmłodszym w historii uczelni. Natychmiast go rozpoznał. Stał po lewej stronie od wejścia i spoglądał na zegarek. Obok niego, na podłodze stała zniszczona teczka. Jack był wysoki, miał ciemne włosy, zdecydowanie męski typ urody. Clive rozpoznał ostry kontur warg, tak samo czujny wzrok, jak dawniej od czasu do czasu poprawiał nerwowo ręką włosy. Clive'owi zrobiło się gorąco, wyciągnął do Jacka rękę. W pierwszym momencie Jack go nie poznał, ale kiedy jego spojrzenie przeniknęło przez brodę, którą Clive ostatnio zapuścił, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Clive, prawda?

Był od niego wyższy, kilka sekund stali nieruchomo, patrząc na siebie.

– Co ty tu robisz? – spytał Clive w końcu.

– To mój pierwszy dzień na studiach – odpowiedział Jack, uśmiechając się z zażenowaniem. Znów przypominał dawnego siebie. Clive poczuł dumę. To wszystko była jego zasługa. – Ty mnie wszystkiego nauczyłeś – powiedział Jack. – Nigdy cię nie zapomnę –

dodał.

– Daj spokój – zachnął się Clive. – Kiedyś znajdziesz sposób, żeby mi się odwdzięczyć – roześmiał się.

Jack skończył studia w terminie, napisał pracę doktorską z teorii nauki. Clive był na obronie. Miał nadzieję, że Jack będzie się specjalizował w ptakach, teorii nauki nie uważał za prawdziwą naukę. Jack jednak wytyczył sobie inny cel. Kilka miesięcy po obronie zaczął promować nowe kanadyjskie pismo naukowe „Scientific Today”, które szybko stało się najlepiej sprzedającym się czasopismem naukowym w Ameryce Północnej, a wkrótce także w Europie. Minęło osiem lat od spotkania Clive’a i Jacka w holu Wydziału Biologii. Teraz spotykali się regularnie, czasem jedli razem lunch. Rozmawiali o sprawach zawodowych, o nowych projektach, dyskutowali o konferencjach naukowych, nigdy nie poruszali spraw związanych z życiem prywatnym. Zdarzało się czasem, że podczas konferencji nocowali w tym samym hotelu, wtedy jedli razem kolację – we dwóch albo w towarzystwie innych kolegów. Dawna bliskość nie powróciła. Dlaczego nigdy nie zaprosił Jacka i jego żony Molly na kolację, zastanawiał się Clive. Kay byłaby zachwycona. Narzekała ostatnio, że tak rzadko przyjmują gości. Jednak z jakiegoś powodu się nie zdecydował. A jeśli luźny nastrój rozwiązałby język Jacka? Jeśli powiedziałby Kay, że przez kilka lat Clive bawił się z nim w każdy weekend, mimo że był od niego piętnaście lat starszy? Że nigdy nie miał przyjaciela w swoim wieku?

Że to Clive nauczył go zabijać i preparować zwierzęta. I co tak naprawdę pamiętał z tamtej nocy spędzonej w domku na drzewie? Przeszedł go dreszcz. Po wyjeździe Jacka bardzo cierpiał. Było mu wstyd. Teraz to była już przeszłość, i dobrze.

W 2001 roku Clive wydał *Ptaki*, dzieło swojego życia. Kiedy otrzymał książkę z drukarni, długo siedział, chłonąc jej zapach. Pracował nad nią cztery lata, był pewien swojej argumentacji. Wkrótce jego oponenti na pewno też uznają, że ptaki i dinozaury to dwa pokrewne gatunki. Jego oponenti to przede wszystkim Darren z Nowego Jorku, Chang i Laam w Chinach, Gordon na uniwersytecie w Sydney oraz Clark i jego zespół w Południowej Afryce. W dużym napięciu czekał też na reakcję Duńczyka Larsa Hellanda. Duński naukowiec należał do jego najzagorzalszych przeciwników, do tych, którzy dokuczali mu najbardziej. Ponieważ jednak nie bywał na sympozjach czy konferencjach na temat ptaków, które odbywały się w różnych miejscach świata, Clive nigdy nie spotkał go osobiście. Artykuły Hellanda były zawsze rzetelne, ale i – perfidne. Po każdej publikacji na temat ewolucji ptaków, miał pewność, że Helland zareaguje, przedstawiając odwrotną tezę. Jakby dokuczanie Clive'owi było jego podstawowym zajęciem. Był jednak przekonany, że *Ptaki* sprawią, iż w końcu zamilknie. Wiedział, że Duńczyk we wszystkich publikacjach, omawiających pokrewieństwo ptaków z

dinozaurami, odwoływał się do rozwoju ręki ptaka, natomiast żaden z nich, ani Helland, ani Clive nie zajmowali się dotąd ewolucją pióra. Dlatego w swoim wielkim dziele postawił właśnie na pióro. Badał je drobiazgowo od wielu lat i teraz nikt nie będzie już mógł twierdzić, że pióra współczesnych dinozaurów mają cokolwiek wspólnego z pióropodobnymi strukturami dinozaurów.

Książka się ukazała i od razu trafiła na listę bestsellerów zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach. Sięgali po nią zafascynowani dinozaurami biologowie amatorzy na całym świecie, koledzy Clive'a ją zignorowali. W wielu poważnych naukowych pismach ukazały się recenzje, ale książka została potraktowana, jakby chodziło o ciekawostkę, a nie o poważne dzieło naukowe. Jedynie „Scientific Today” poświęciło jej nieco więcej miejsca, jednak Clive nie był zadowolony. Zadzwoił do Jacka, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak po macoszemu obszedł się z jego dziełem, umieszczając notkę o nim na dwudziestej drugiej stronie pisma, ale Jack był nieuchwytny.

Po ukazaniu się *Ptaków* Clive zgłosił swoje wystąpienia na wiele konferencji, napisał też kilka artykułów, które wysłał do redakcji naukowych czasopism na całym świecie. Pomyślał o ojcu. Gdyby żył, byłby z niego dumny. Na pierwsze reakcje musiał czekać miesiąc. Był przygotowany odeprzeć wszystkie ataki, prawdę

mówiąc, miał już napisane odpowiedzi. Wiedział, jakich zarzutów może się spodziewać.

Podniecony rzucił się na nowe numery pism, przekonany, że oponenti podejmą dyskusję z jego argumentacją. Znalazł jednak jedynie dwa artykuły na ten temat, podpisane mało znanymi nazwiskami; poza tym nikt nie podjął poważniejszej dyskusji w dziedzinie anatomii. Podkreślano natomiast konieczność selekcji wstępnej publikowanych artykułów, „której brak umożliwił ukazanie się artykułu Clive’a Freemana, ze szkodą dla reputacji i wiarygodności pisma. Poważne pismo nie powinno się zajmować kwestią pokrewieństwa ptaków i dinozaurów, ponieważ nie ma o czym dyskutować. Ptaki to współczesne dinozaury, koniec, kropka”.

To samo powtarzało się w trzydziestu siedmiu innych pismach.

Clive’a rozsadzała wściekłość, czuł się, jakby miał garść gwoździ w żołądku. Oskarżono go o niekompetencję, o brak naukowej rzetelności. Jego, Clive’a Freemana, słynnego paleoornitologa, profesora Uniwersytetu British Columbia.

Najbardziej pogardliwy komentarz napisał oczywiście Lars Helland z Danii. Współautorem artykułu był nikomu bliżej nieznanym Erik Tybjerg, co z pewnością znaczyło, że Helland do napisania artykułu zatrudnił cały sztab swoich doktorantów. Ale nie to było najgorsze.

Najgorsze było to, że artykuł ukazał się w „Scientific

Today”.

Natychmiast zadzwonił do Jacka i zażądał spotkania.

Kiedy trzy dni później szedł na spotkanie z Jackiem, bolał go żołądek. Umówili się w barze nad redakcją pisma. Jack już na niego czekał. Ubrany był w ciemne spodnie i T-shirt; siedział i czytał gazetę, rozłożoną nonszalancko na kolanach. Kiedy uniósł głowę, Clive poczuł ssanie w żołądku. Patrząc na usta Jacka, rzucił pismo na stolik.

– Co to jest, do cholery?

– Clive, nie jestem jedynym członkiem redakcji – powiedział Jack cichym głosem.

Clive odwrócił się i wyszedł.

Jesienią 2001 roku Clive miał gościnny wykład w Chicago. Zwykle ograniczał się do tego, co napisał w *Ptakach*. Amerykańska publiczność okazała się wyjątkowo zainteresowana, pogłębił więc nieco swój wywód. Asymetria upierzenia u współczesnych ptaków ma związek z ich migracjami; dinozaury nie miały piór, bo po pierwsze, nie latały, po drugie, były zwierzętami zimnokrwistymi, a po trzecie:

– Wyobrażacie sobie, jak wyglądałby *Tyrannosaurus rex* z małym piórkiem?

Widok musiałby rzeczywiście być zabawny, sala wybuchła śmiechem.

– Pokażcie mi opierzonego dinozaura, a osobiście

przepraszę wszystkich krytyków mojej teorii – zakończył Clive. Zamachał rękami jak ptak, który próbuje wznieść się w powietrze, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Po wykładzie Clive wypił trochę za dużo białego wina i zygzakiem wrócił do hotelu. Następnego ranka obudził się z okropnym smakiem w ustach, sięgnął do minibarku po jakiś napój. Włączył telewizor, znalazł CNN. Nagle zobaczył coś, co uznał za niewybredny żart, z prawej strony prowadzącego widniało bowiem duże zdjęcie czegoś, co wyraźnie przypominało dinozaura z piórami.

W tym momencie prowadzący audycję oddał głos reporterowi, który podniecony, ze spierzchniętymi wargami, opowiadał, że dotarł właśnie do prowincji Liaoning w północno-wschodnich Chinach.

– Mamy nie lada sensację – ciągnął dalej reporter. – Wczoraj okoliczni chłopci znaleźli coś, co przypomina opierzonego dinozaura. Rano na miejsce przybyli eksperci, kilka minut temu potwierdzono, że jest to skamielina nie praptaka, tylko drapieżnego dinozaura z gatunku teropodów. Zwierzę żyło prawdopodobnie sto dwadzieścia, może nawet sto trzydzieści pięć milionów lat temu. Sensacja jest tym większa, że skamielina ma także drobne pióra puchowe na grzbiecie zwierzęcia. Rodzi się więc pytanie, czy dinozaury potrafiły latać, czy były zwierzętami ciepłokrwistymi, czy też pióra, co może wydać się zaskakujące, wcale nie służyły do latania? Więcej na ten temat dowiemy się, kiedy eksperci

dokładniej przyjrzą się sensacyjnemu znalezisku. A teraz oddaję głos do studia.

Przez następnych dwadzieścia minut Clive nadal wpatrywał się ekran telewizora. Następnie zmiął w rękę puszkę po coli.

Kiedy wrócił do domu, do Vancouver, Kay na powitanie uśmiechnęła się do niego niepewnie. Od rana ciągle ktoś dzwoni, ma się odezwać do.... Podała mu nazwiska kolegów z jego instytutu i z różnych kanałów telewizyjnych. Jack się nie odezwał.

Clive naszykował sobie talerz kanapek, poklepał uspokajająco Kay po policzku i poszedł do swojego gabinetu. Zaczął jeść. W Chinach znaleziono oczywiście skamielinę praptaka. Dinozaury nie miały piór. Otworzył pocztę, miał czterdzieści osiem nieprzeczytanych mejli, przejrzał je pobieżnie. Poirytowany zaczął czytać wiadomość od Hellanda. Duński naukowiec nie mógł się oczywiście powstrzymać od komentarza. I oczywiście zrobił to na swój sympatyczny sposób, jakby się z nim przyjacielsko drażnił. Clive usunął mejl.

Zamknął komputer i odchylił się do tyłu na krześle, próbując nie myśleć o Jacku. Dlaczego nie zadzwonił? Clive ciągle jeszcze nie poznał Molly, żony Jacka. Niedawno urodziło im się kolejne dziecko, a on nie widział nawet ich starszej córeczki. Kiedyś Jack jego obdarzał swoim promiennym, choć rzadkim uśmiechem; to jemu opowiadał o swoich odkryciach, wysuwając lekko język z podniecenia. Teraz pewnie dzielił się wszystkim z

Molly i dziećmi. Clive wiedział, że to on narzucił ten dystans. Jack tylko raz widział jego synów, Toma i Franza. Któregoś dnia chłopcy przyjechali po niego na uczelnię i na parkingu przypadkowo natknęli się na Jacka. Podczas jakiegoś oficjalnego obiadu Jack poznał Kay; on wtedy był sam, bez żony. Jack był zawsze uprzedzająco grzeczny, zawsze potrafił znaleźć czas na zawodową rozmowę, ale prywatnie był zamknięty w sobie, co Clive źle znosił. Nie żeby pragnął rodzinnych kontaktów, czy żeby ich żony i dzieci się poznały, na samą myśl o tym się pocił, ale przecież on i Jack kiedyś się przyjaźnili! Jack najwyraźniej wymazał to z pamięci. To absurd. Clive znał go lepiej niż ktokolwiek inny. Miał go we krwi, nadal czuł jego włosy pod palcami.

Jack doskonale wiedział, że odnalezienie opierzonego dinozaura oznaczać będzie dla Clive'a dużo dodatkowej pracy. Będzie musiał włożyć sporo wysiłku, by utrzymać swoją pozycję w świecie nauki i oddać argumenty, którymi media i różni kretyni z pewnością zaczną teraz szafować. To że Jack zamknął przed Clive'em swoje życie prywatne, mogło być przypadkiem. Może nawet sam był temu winien. Natomiast tego, że nie zadzwonił, nie dawało się wytłumaczyć.

W poniedziałek Clive zwołał zebranie zakładu. W tym samym dniu wysłano też informację do prasy, w której stwierdzono, że Zakład Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki Uniwersytetu British

Columbia oczywiście ocenia ostatnie odkrycie jako niezwykle ciekawe, ale nie będzie się wypowiadał, dopóki jego specjaliści osobiście nie zapoznają się z odkryciem. Następnie Clive wystąpił o pozwolenie obejrzenia skamieliny, wiedząc, że minie kilka miesięcy, zanim otrzyma odpowiedź. Kolejne tygodnie mijały. Jack nie dzwonił.

W styczniu następnego roku chińscy paleontologowie Chang i Laam opisali i w końcu nazwali znalezione zwierzę. Clive triumfował. Chang i Laam nazwali je sinozauropteryks, stwierdzając, że jest to dawno temu żyjący ptak, więc nic dziwnego, że jest opierzony.

Radość jednak trwała krótko. Nagle aż zaroilo się od różnych skamielin, w niektórych przypadkach chińscy naukowcy byli pewni, że nie były to ptaki, tylko dinozaury. I wszystkie były opierzone.

Clive ponowił swoją prośbę. Chciał osobiście obejrzeć i opisać sinozauropteryksa. Kiedy wreszcie otrzymał zgodę, natychmiast poleciał do Chin. Praca zajęła mu dwa tygodnie; zanim wrócił do Kanady, zdążył też przyjrzeć się dokładniej zarówno kaudipteryksowi, jak i protarchopteryksowi. Zadowolony zadzwonił z Chin do Jacka, prosząc, by zarezerwował miejsce na pierwszej stronie. Jego entuzjazm był zaraźliwy. Połączenie się urwało, słyszał, że Jack się śmieje. Zadzwonił po powrocie, poprosił. Clive został w Chinach jeszcze dwa dni, potem wrócił do domu. Był w znakomitym humorze. Było oczywiste, że zarówno beipiaozaur, sinornitozaur,

mikroraptor, kaudipteryks jak i protarchopteryks to ptaki, nie dinozaury. Chińczycy okazali się bardzo otwarci, a jedzenie wręcz doskonałe. Pewnego popołudnia spacerował wśród kwitnących drzew wiśni. Białe płatki wirowały w powietrzu. Byłoby cudownie, gdyby teraz Jack był tu z nim. Gdyby mogli spędzić trochę czasu razem. Jack zajmował się propagowaniem wiedzy i robił to doskonale, ale z pewnością miało to swoją cenę. Clive był przekonany, że Jack podziela jego punkt widzenia. Zapewne nie miał czasu zapoznać się ze wszystkimi szczegółami. Gdyby mieli trochę więcej czasu, mógłby wszystko dokładnie mu wytłumaczyć, dać mu do ręki pewne argumenty. „Scientific Today” sprzedawało się doskonale, wszyscy w branży je czytali i chcieli w nim publikować. Jack i Clive mogliby się świetnie uzupełniać.

Naprzeciwko wiśniowego sadu było targowisko, gdzie Clive kupił dwa żuczki w szklanym pojemniku dla swoich synów i kupon jedwabiu dla Kay. Po powrocie do domu proponuje Jackowi wspólny wyjazd, dokądkolwiek, na dwa dni. Dwa dni im wystarczą. Znów będą sami, we dwóch.

Po powrocie Clive spotkał się z Jackiem. Pracował w samolocie i kiedy wylądował na lotnisku w Vancouver, miał właściwie gotowy artykuł. Położył go Jackowi przed nosem.

– Miałeś dobrą podróż? – spytał, uśmiechając się, Jack.

– Tak.

– Napijesz się kawy?

Clive odmówił. Jack wstał i przyniósł sobie filiżankę. Potem zamknął drzwi, dał znać sekretarce, żeby przez najbliższy kwadrans nikt mu nie przeszkadzał. Przez kwadrans, pomyślał Clive. Jack usiadł znów za biurkiem i popatrzył na Clive’a.

– Nie mogę wydrukować twojego artykułu – powiedział w końcu.

– Co takiego?

– Mam wątpliwości.

– Jakie?

– Dotyczące pochodzenia ptaków – odparł i uniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Clive’a, ale ten milczał. – Dotychczas twoje rozumowanie wydawało mi się logiczne. Brakowało skamielin, które mogłyby jednoznacznie przesądzić sprawę, stosowane metody były niepewne, do tego dochodziły rozliczne wątpliwości dotyczące redukcji palców. Rozumiałem cię doskonale. Ale teraz... Ziemia niemal bez przerwy dostarcza nam nowych dowodów. Wszystko zdaje się wskazywać, że ptaki są współczesnymi dinozaurami, nie widzisz tego? Mamy ponad dwieście pięćdziesiąt apomorfii łączących ptaki z dinozaurami, dwieście pięćdziesiąt! W tym także pióra. Pióra! Dziewięćdziesiąt pięć procent naukowców wypowiada się za kladystyką, wybiera systematykę filogenetyczną. Tylko ty nie. Masz wiele znakomitych osiągnięć. Nikt nie będzie się dziwił, jeśli zmienisz

zdanie, wręcz przeciwnie. To jest sedno nauki. Jedna hipoteza zastępuje drugą, słabiej udokumentowaną. Pomyśl o Walkerze. Odrzucił własną hipotezę i zyskał uznanie.

Clive patrzył na Jacka. Z nienawiścią. Przypomniawsobie, jak kiedyś Jack, będąc dzieckiem, skaleczył się nożem, a on włożył jego palec do ust i zaczął ssać krew. Teraz znów poczuł w ustach ten smak.

– Moja historia musi trafić na pierwszą stronę – powiedział cicho.

– Pierwsza strona jest już gotowa.

– Czterdzieści lat zajmuję się ptakami, a ty mi mówisz, że jakaś gówno warta moda, jakiś kaprys, ma zakończyć moją karierę?

Wstał, wyciągnął rękę i chwycił Jacka za brodę.

– Spójrz na mnie – powiedział, nie podnosząc głosu. – Byłem dla ciebie jak ojciec. Gdyby nie ja, nie wyrwałbyś się z tej nędznej dziury. To, co dzisiaj masz – wskazał dłonią na masywne biurko i rozłożone na nim pisma – masz dzięki mnie.

Puścił go, wskazał ostatni raz na swój artykuł i wyszedł.

Kolejny numer „Scientific Today” ukazał się w połowie sierpnia. Na okładce był kaudipteryks z rozłożonym lewym skrzydłem. Napis pod nim głosił: „Nowe szaty króla. Indyk z okresu kredy”.

Clive był usatysfakcjonowany.

Jesienią 2005 roku przy okazji dużego kongresu ornitologicznego w Toronto Clive został zaproszony do wzięcia udziału w nadawanym na żywo programie telewizyjnym. Miał dyskutować z młodym duńskim paleontologiem Erikiem Tybjergiem, kiedyś studentem Hellanda, potem jego podopiecznym i chłopcem na posyłki. Clive miał już okazję poznać młodego naukowca przy okazji różnych naukowych sympozjów i spotkań. Tybjerg go denerwował. Zadufany dupek, przekonany, że pozjadał wszystkie rozumy. Clive cieszył się, że się spotkają przed szerszą publicznością.

W ostatniej chwili postanowił lecieć do Toronto, zahaczając o swoje rodzinne miasto. Od śmierci ojca odwiedzał matkę mniej więcej co dwa lata. Była już staruszką, niedowidziała, przebywała w domu opieki. Wzruszył się na myśl, że wkrótce znów zobaczy jej pomarszczoną twarz i dotknie jej dłoni. Wyruszył trzy dni wcześniej.

Wynajął pokój w pobliżu domu opieki. Czas spędzał z matką, woził ją w wózku po okolicy, albo spał w swoim pokoju, posiłki jadał w restauracji; odbył też kilka wypraw po okolicy, czwartego dnia pojechał dalej.

Wypoczęty i w doskonałym nastroju wylądował w Toronto. Służbowy samochód zabrał go bezpośrednio do miejsca, gdzie odbywało się sympozjum. Zostawił walizkę w recepcji, dostał identyfikator i poszedł obejrzeć przygotowane na tę okoliczność stoiska.

Pół godziny później wszedł na podium. Usiadł w wygodnym czerwonym fotelu, naprzeciw niego stał drugi, taki sam. Podium skąpane było w światłach reflektorów. Clive niewiele widział, miał jednak wrażenie, że publiczność dopisała. Nagle pojawiła się przy nim młoda dobrze ubrana kobieta. Przedstawiła się jako asystentka producenta i spytała, czy może założyć mu mikroport? Oczywiście, odpowiedział, komplementując jej wygląd. Stała tuż obok niego, czuł zapach jej perfum.

– To podobno prawdziwa sensacja – powiedziała. – Co prawda nie bardzo się na tym znam, ale jest to jednak wielkie zaskoczenie!

Uśmiechnęła się do Clive'a, poprawiła mu marynarkę, wyczarowała z kieszeni puderniczkę i przypudrowała mu nos.

– Czyżbym czegoś nie wiedział? – spytał Clive. Kabelek ograniczał mu ruchy, próbował go poprawić.

– Pomóc panu? – zaproponowała kobieta. – Proszę trochę się obrócić.

Clive obrócił się, kobieta poprawiła mu z tyłu marynarkę, poluzowała przewód i Clive poczuł się swobodniej.

– O czym pani przed chwilą mówiła? – zagadnął kobietę. Przez ostatnie kilka dni miał wyłączony telefon komórkowy, nie czytał też gazet. Przeszło mu przez myśl, że może zastrzelono prezydenta, a on jeden o tym nie wie.

– To prawdziwa sensa... – zaczęła kobieta i zamilkła. Wyraźnie słuchała czegoś w słuchawkach, nagle

przeprosiła go i odeszła.

Niemal natychmiast pojawił się Tybjerg. Uśmiechał się jak kretyn, mrużąc oczy w ostrym świetle reflektorów i poprawiając swoje niemodne okulary.

– Witam, profesorze – powiedział, podając mu spoconą dłoń.

Przywitali się. Być może Tybjerg rzeczywiście był chodzącą encyklopedią, posiadał niewiarygodną wiedzę, ale wdzięku nie miał za grosz.

– Wszyscy chyba jesteśmy w siódmym niebie, niezależnie jaki punkt widzenia reprezentujemy, prawda? – zaczął Tybjerg ostrożnie. – Musisz chyba przyznać, że to niesamowite.

– O czym ty mówisz? – spytał Clive, starając się zachować spokój, chociaż sam słyszał, że głos zaczyna mu drżeć.

Tybjerg spojrział na niego zdziwiony. W tym momencie na podium pojawił się prowadzący i zaczął instruować publiczność. Potem zaczęło się odliczanie, przedstawiono oficjalnie Clive'a i Tybjerga, ze wszystkimi tytułami, i oddano im głos. Clive wykonał uprzejmy gest ręką w stronę Tybjerga, który natychmiast zaczął mówić. Okazało się, że dzień wcześniej podano do publicznej wiadomości, że w Parku Narodowym Makoshika, w stanie Montana, znaleziono resztki tyranozaura z piórami, niedaleko Heli Greek, gdzie w 1902 roku znaleziono pierwszą skamielinę *Tyrannosaurus rex*. Clive zaniemówił.

Pojedynek trwał pół godziny, Tybjerg był wyraźnie zdenerwowany, ale wypowiadał się zdecydowanie. Słuchał wywodów Clive'a, nie przerywał mu, by potem zbić jego kolejny argument. Kiedy Clive oświadczył, że chciałby obejrzeć zwierzę, zanim się ostatecznie wypowie, Tybjerg spojrział na niego i spytał:

– Jak długo zamierzasz używać tego argumentu? Czekaś, aż opierzony apatozaur wyląduje ci na wycieraczkę przed drzwiami?

Zapewne miał to być dowcip, jednak nikt się nie roześmiał.

Kiedy zgasły światła i ludzie zaczęli wychodzić, Clive spojrział na swoje ręce. Nie miał odwagi spojrzeć na Tybjerga, który po zgaszeniu reflektorów nie ruszył się z miejsca. Potem sam nie rozumiał, co sprowokowało jego reakcję. Ciche chrząknięcie? A może właśnie cisza? W każdym razie spojrział na Tybjerga i w chwili kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, uderzył go w twarz. Tybjerg wstał oszołomiony i przerażony, dotknął ręką pękniętego łuku brwiowego. Clive spojrział na swoją dłoń, na obrączkę. Była na niej krew. Kiedy uniósł głowę, stwierdził zdziwiony, że Tybjerg zniknął.

Nagle usłyszał za sobą kroki.

– Co się stało? – spytała młoda asystentka, speszona.

– Eee... – zaczął Clive, strzepując kurz z ubrania.

Asystentka spojrzała na niego, po czym skierowała wzrok w stronę, gdzie zniknął Tybjerg.

– Eee... – zaczął znów Clive i wrócił do strzepywania

drobinek kurzu ze spodni.

Po powrocie do domu Clive nadal był wyraźnie poruszony sytuacją. Odmawiał wszelkich wywiadów, nie odbierał poczty, a uczelnianemu rzecznikowi prasowemu oświadczył, że nie zamierza odpierać żadnych zarzutów.

– Poddałem się, skapitulowałem przed wszechobecną głupotą – powiedział.

Odbył krótkie zebranie ze swoimi szefami, postanowiono raczej się nie wypowiadać. Uznano natomiast, że należy zintensyfikować starania. Za trzy lata miały być rozdzielane środki na prace badawcze i było oczywiste, że jeśli do tego czasu nie przekonają świata, że ptaki i dinozaury to jedynie pokrewne gatunki, nie będą mogli na nic liczyć.

Postanowiono rozpocząć trzy kolejne projekty wykopaliskowe i kosztowne badania laboratoryjne, mające prześledzić proces kondensacji tkanki chrzęstnej w ptasich płodach. Jeden z podopiecznych Clive'a, Michael Kramer, miał odpowiadać za całość prac.

Wszystko zostało ustalone i Clive wrócił do domu.

Jechał rowerem przez las, słońce prześwitywało przez gałęzie, myślał o Jacku. Ostatnio właściwie w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Kiedy Clive przesyłał mu swoje artykuły, Jack nawet nie kwitował ich odbioru; kiedy dzwonił z ewentualnymi poprawkami, telefon odbierała jego sekretarka. Kiedyś zadzwonił nawet do domu i zostawił wiadomość, Jack nie oddzwonił.

Kiedy znajdował swoje artykuły w „Scientific Today”, nie cieszył się już z ich publikacji tak jak dawniej. Patrzył na piękny druk, na wykresy, ilustracje i nie czuł żadnego zadowolenia. Kiedyś dzielił z Jackiem miłość do przyrody. Teraz został z nią sam.

Cały tydzień myślał o tym, co się stało, w końcu zadzwonił do Jacka i zaprosił go z żoną na kolację. Tak naprawdę to błagał, żeby przyszli.

– Jack, zostawmy za sobą przeszłość. Nie mieszajmy przyjaźni z nauką – powiedział.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– Nie mogę znieść, że w ogóle się nie widzimy – wyznał nagle Clive i wstrzymał oddech.

– Dobrze, przyjdziemy na kolację – odezwał się w końcu Jack.

Kay zdziwiła się, że słynny Jack Jarvis i jego żona mają być u nich na kolacji.

– Cóż za znakomity gość – rzekła uradowana. – Co chcesz, żebym przygotowała?

Clive wyjął książkę kucharską z ręki żony, pociągnął ją za sobą do pokoju, i opowiedział jej całą historię ich znajomości. To znaczy prawie całą. Kay patrzyła na niego zafascynowana.

– Jest dla ciebie niemal jak syn. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Tak po prostu się wyprowadzili? Biedne dziecko, jakby dwa razy stracił ojca.

Clive przytaknął.

W sobotę Jack i Molly stawili się punktualnie. Molly promieniała, była piękną kobietą. Ścisnęła energicznie dłoń Clive'a i powiedziała, że bardzo jej przyjemnie spotkać legendarnego naukowca. Jej mąż dużo jej o nim opowiadał, chociaż nie wiedziała, że znają się od dzieciństwa.

– Przykro mi słyszeć o ostatnich kłopotach – ciągnęła dalej niezrażona. – Jack twierdzi, że taka jest nauka. Wkrótce wiatr znów się odwróci – dodała.

Clive uśmiechnął się i wziął od nich płaszcze. Co za gaduła. Nie potrafił powiedzieć, jak wyobrażał sobie żonę Jacka, ale na pewno nie tak.

– Dziwne – stwierdziła Kay, kiedy wieczór dobiegł końca i Jack i Molly wyszli. – Tak jak ona jest urocza, tak on jest ponury i zamknięty w sobie.

Clive przytaknął. Jemu też Jack wydał się bardziej milczący niż zwykle, ale pewnie niełatwo było mu się przebić przez potok słów.

Na początku 2007 roku Clive pewnego dnia poczuł, że boli go ucho, i wrócił wcześniej z pracy. Niedawno spędzili z Kay dwa tygodnie w domku w górach i od tamtego czasu był ciągle przeziębiony. Prowadzone w zakładzie badania, dotyczące procesu kondensacji tkanki chrzęstnej, zapowiadały się obiecująco. Clive nie chciał wyciągać przedwczesnych wniosków, ale podniecony, bacznie śledził przebieg eksperymentu. Myślał o Hellandzie i Tybjergu. Helland od czasu do czasu nadal

coś publikował, ale było to nic w porównaniu z Tybjergem, który wręcz wyrzucał z siebie artykuł za artykułem. Właśnie opublikował kolejny, w którym – podobnie jak w poprzednich – odcinał się od stanowiska prezentowanego przez Clive’a.

Ani on, ani Helland nigdy nie wracali do incydentu w Toronto. Clive był zaskoczony, że Helland puścił to płazem. Nadal od czasu do czasu przysyłał mu mejle z linkami do artykułów, które jego zdaniem Clive powinien przeczytać, albo żałosne dowcipy rysunkowe na tematy naukowe. O Tybjergu nie wspomniał ani słowem. Clive cieszył się, że badania laboratoryjne dobiegają końca. Ani Helland, ani Tybjerg nie mieli pojęcia, co ich wkrótce czeka.

Clive dotarł do skraju lasu. W torbie miał nowe numery trzech periodyków: „Science”, „Nature” i „Scientific Today”. Wrócił do domu, usiadł wygodnie na kanapie i zaczął lekturę od „Nature”.

Już na piątej stronie rzucił mu się w oczy tytuł: „Helland *et al*”. Był to długi i dość banalny opis zęba dinozaura, znalezionej na Bornholmie, małej wyspie między Szwecją a Niemcami. Panowie oczywiście nie mogli się powstrzymać, żeby nie zauważyć, że także to znalezisko świadczy o pokrewieństwie współczesnych ptaków z dinozaurami. Clive pozwolił, żeby pismo zsunęło się z kanapy na podłogę.

Otworzył „Science”. Tutaj, na stronie siedemnastej,

znów rzucił mu się w oczy „Helland *et al*”. Helland i inni. Co, do diabła! Także w tym wypadku punktem wyjścia były jakieś, jego zdaniem, całkowicie nieistotne znaleziska na Bornholmie. Artykuł, znów zdaniem Clive’a, był pełen niejasności i czczych domysłów. Przerzucił kilka kartek i także „Science” wylądowało na podłodze. Wstał, poszedł do kuchni, zaparzył herbatę, sięgnął po puszkę kruchych ciasteczek.

I otworzył „Scientific Today”.

Uśmiechnięta twarz Jacka spoglądała na niego ze zdjęcia dołączonego do wstępniaka na trzeciej stronie. Clive też się uśmiechnął. Widzieli się nie dalej niż w ubiegłą sobotę, w dobrych nastrojach. Ostatnio często się spotykali, Kay i Molly zaprzyjaźniły się, Jack też chyba nieco się odprężył, w każdym razie nagle zdawał się znów pamiętać wiele z tego, co kiedyś wspólnie robili. W sobotę wspominali domek na drzewie. Clive musiał włożyć w niego sporo pracy, prawda? Obie kobiety spojrzały na niego zaintrygowane, a jemu serce zaczęło walić jak młotem. Jack jednak nadal się uśmiechał, był w znakomitym humorze, wspomniął o domku najwyraźniej bez żadnego podtekstu. Owszem, przyznał Clive, zabrało mu to trochę czasu. „Szkoda, że tak szybko potem się wyprowadziliśmy”, powiedział Jack. Jedli fondue serowe w świeżo odmalowanej jadalni Clive’a i Kay, i nagle Jack powiedział, że jego najstarszy brat właśnie wyszedł z więzienia. Ach, tak, skomentował Clive, zadowolony, że temat domku odszedł w przeszłość, gdzie zresztą było

jego miejsce. Jack nie powiedział, za co brat trafił do więzienia, a Clive się nie dopytywał. Piętnaście lat mówiło samo za siebie. Jack stwierdził, że dobrze było go znów zobaczyć. Dostał pracę w składzie surowców wtórnych, sortował butelki i był zadowolony. Nagle spojrzał na Clive'a i powiedział „dziękuję”. Słowo zawisło w powietrzu, Clive nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Molly miała łzy w oczach, Kay wstała i poszła do kuchni po deser.

Clive wyciągnął się na kanapie, przewrócił kartkę ze zdjęciem Jacka i zagłębił się w lekturze. Doszedł do strony piątej i nagle niemal zachłysnął się herbatą. Artykuł zajmował sześć stron, na samej górze widniał napis „*Helland et al*”. To już nie była notka, ciekawostka w sezonie ogórkowym. Clive usiadł. Artykuł dotyczył kości udowej berlińskiego egzemplarza archeopteryksa. Helland i Tybjerg pojechali do Berlina, żeby osobiście przeprowadzić nowe pomiary. Ostatnie zostały zrobione w 1999 roku przez profesora ornitologii Clive'a Freemana z Uniwersytetu British Columbia w Kanadzie, były jednak niedokładne. Na ich podstawie wyciągnięto serię błędnych wniosków, które – według Hellanda – poważnie zniekształciły argumentację. Pytanie brzmiało: czy było to jedynie wynikiem błędu, który w pewnych granicach zawsze można popełnić, czy też wynikiem świadomej manipulacji? Tutaj następował krótki opis konferencji w Toronto oraz tekst wydanej przez instytut Clive'a informacji dla prasy. W tym kontekście wyglądała jak

kapitulacja.

Clive był tak poruszony, że wstając, przewrócił dzbanek. Autor artykułu drwił sobie z niego, a Jack mu na to pozwolił. Poczul zamęt w głowie, z trudem utrzymywał równowagę. Odsunął od siebie czasopismo, jakby nagle zaczęło go parzyć, i ruszył do drzwi. Otworzył je, chcąc pozbyć się pisma, ale w tym momencie podjechała Kay i zaczęła wypakowywać zakupy z samochodu. Upuścił pismo, które wylądowało na jego stopach. Podniósł je, kleiło mu się do palców. Kay podeszła do niego, chwyciła go za łokcie.

– Kochanie, co się stało?

– Jack – wysyczał Clive. Potrząsnął dłonią, jakby chciał się pozbyć pisma, i wydarł stronę z kolorowym rysunkiem DNA, która wirując, upadła na ziemię. W końcu udało mu się pozbyć pisma, wyminął Kay, obszedł dom i ruszył do ogródka, gdzie pozostał dobrą godzinę.

Wrócił, dopiero kiedy Kay uchyliła okno, oznajmiając, że obiad jest gotowy. O w pół do dziewiątej zadzwonił do Jacka i zaproponował spotkanie. Nie, to nic pilnego, może poczekać. Owszem, może być też partyjka szachów. Tak, chce z nim o czymś porozmawiać.

Jack zjawił się następnego dnia, zaczął rozmawiać z Kay, Clive milczał. Poszli do gabinetu i zaczęli grać w szachy. Był ciepły letni wieczór, okno do ogrodu było uchylone, z dala dochodził ich śpiew ptaków. Słyszeli, jak Kay włączyła zmywarke. Jack zastanawiał się nad

kolejnym ruchem; zachowywał się, jakby nic się nie stało. Clive pocieszał się, że wpisując w Google „Clive Freeman”, otrzymywało się czterdzieści jeden tysięcy siedemset trafień w jedenaście setnych sekundy. Kiedy Jack w końcu się zdecyduje? Wstał i zrobił im drinka.

– Dlaczego? – wyszeptał, stojąc przy barku.

Jack spojrział na niego zdziwiony.

– Dlaczego chcesz zniszczyć wiarygodność najlepszego i najbardziej szanownego naukowego czasopisma na świecie? – spytał Clive, stawiając szklanę z taką siłą, że trochę trunku się wylało.

Reakcja Jacka go zadziwiła. Wyobrażał sobie, że wyrazi skruchę, spuści wzrok i pokaja się przed nim, jak chłopiec przed dorosłym, mądrzejszym od siebie mężczyzną. Odpowiedzi, która padła, w ogóle nie brał pod uwagę.

– Właśnie tego staram się uniknąć – powiedział Jack.

– Dlaczego zgodziłeś się opublikować ten artykuł? Powiedz mi!

Jack długo patrzył na Clive’a.

– Dlatego że to jest moje pismo – odrzekł w końcu. – To ja decyduję, co w nim zamieszczam.

Clive słyszał, że jego głos lekko drży.

– To nie jest naukowe podejście! – krzyknął i tupnął nogą. – Dobrze o tym wiesz! Ich poglądy nie są dostatecznie podbudowane dowodami. A co z redukcją palców, a połączone w widełki obojczyki?

Clive obracał szklanę, w której alkohol wirował jak

w centryfudze.

– A kości śródreńca, a wysmukłe, skierowane w tył kości łonowe i długa kość skokowa? Kto jak kto, ale ty doskonale o tym wiesz, w przeciwieństwie do tych kretynów z „Science” i „Nature”. Od kiedy to dostosowujesz swój naukowy punkt widzenia do aktualnych trendów? Oszalałeś?

Jack patrzył na Clive’a beznamiętnie.

– Przestałem ci wierzyć – powiedział nagle. – To prawda, że twoim oponentom nadal brakuje niektórych dowodów, ale mówimy o dwustu osiemdziesięciu sześciu apomorfiach, Clive. Dwustu osiemdziesięciu sześciu! Tyranozaur z piórami. Czego jeszcze oczekujesz? Czy Bóg ma zstąpić z nieba i osobiście ci wytłumaczyć, jak to wszystko wygląda? Dopiero wtedy będziesz zadowolony? Wspierałem cię przez wiele lat. Może nawet bardziej niż powinienem. Robiłem to, bo jesteś... moim przyjacielem. Ale to się już skończyło. Opierzony tyranozaur. „Scientific Today” jest czasopismem naukowym, Clive.

– Skąd wiesz, że jest to tyranozaur? – wysyczał Clive.
– Skąd wiesz, że to naprawdę są pióra? Po co zwierzęciu, które nie lata, pióra? Wiesz równie dobrze, jak ja, że wykształcenie piór jest cechą pierwszorzędą, nierozdzielnie związaną ze zdolnością latania, i wiesz też równie dobrze jak ja, że *Tyrannosaurus rex* nie latał! Nie widziałeś tego stworzenia, ja też nie! Być może są to jakieś struktury skórne, które przypominają pióra, ale nie są to prawdziwe pióra! To jest chyba oczywiste!

Uprawiasz zgadywanki, to nie jest nauka! Zapomniałeś, że nie wolno wyciągać wniosków z tego, co widzieli inni?

– Nie, nie zapomniałem – odpowiedział Jack. – I jeśli też zechcesz opisać to stworzenie, chętnie opublikujemy twój artykuł, który być może zakończysz wnioskiem, że to, co znaleziono w Montanie, nie jest tyranozaurem, a struktury skórne wcale nie są piórami. Prześlij nam swój opis. Celem nauki nie jest cokolwiek udowodniać, tylko przedstawiać najbardziej prawdopodobne hipotezy, a moim zadaniem – tu Jack wskazał na siebie – jest publikować artykuły, przedstawiające najbardziej prawdopodobne hipotezy. Twoje w tym momencie takie nie są.

– Wynoś się – powiedział Clive chłodno, wskazując na drzwi. Jack wstał.

– Nie należy mieszać przyjaźni z nauką – rzucił.

– Wynoś się – powtórzył Clive.

Jack wyszedł, po chwili Clive usłyszał, jak zapala silnik.

Do gabinetu weszła Kay.

– Dlaczego Jack wyszedł? Co się stało? – spytała. Oczy miała jak spodki.

Clive milczał. Drżał. Jack okazał się zdrajcą.

– Pokłóciliście się? Co mu powiedziałaś, Clive?

Widział, jak Kay porusza wargami, jak jej wargi proszą: powiedz mi!

Zbliżyła swoją twarz do jego twarzy, co tylko jeszcze bardziej go wzburzyło, w końcu ogień buchnął. Uderzył

ją. Tak nieszczęśliwie, że obrączka raniła jej policzek. Uniosła rękę do twarzy i spojrzała na niego zdziwiona. Po chwili wyszła.

Clive został w gabinecie. Zaczął przeglądać swoje dawne artykuły, po kilku godzinach się uspokoił. Zaczął szukać Kay, ale dom był ciemny i pusty. W kuchni pracowała zmywarka, drzwi do ogrodu były uchylone, ale Kay nigdzie nie było. Poszedł na górę do sypialni. Drzwi były zamknięte. Obok, po prawej stronie leżały jego poduszka i kołdra. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. W końcu zaczął walić w drzwi.

– Otwórz! – krzyczał.

Z wewnątrz nie doszedł go żaden dźwięk. Zszedł na dół, do dużego pokoju i zaczął oglądać telewizję. O północy zasnął na kanapie.

5

Można było odnieść wrażenie, że śmierć Hellanda nie miała żadnego znaczenia. W poniedziałek wieczorem Anna szła po schodach do swojego mieszkania i było jej wstyd. Mieszkanie było puste i zimne, odkręciła kaloryfery i zamknęła drzwi do pokoju Lily. Nie lubiła, kiedy córeczki nie było w domu. Nie lubiła patrzeć na puste łóżeczko z drewnianą drabinką ani na wzorzystą, kolorową pościel. Osunęła się na kanapę, siedziała i długi czas patrzyła przed siebie.

O drugiej wstała i poszła do łóżka, była zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Próbowwała myśleć o żonie Hellanda, która straciła męża, o ich córce, która została bez ojca, i o tych rzadkich okazjach, kiedy Helland był dla niej miły. Wszystko na nic. Jej serce pozostało zamknięte.

Helland ją zawiódł. Nie okazując jej zainteresowania, drwił sobie z jej wysiłku. Był kiepskim promotorem. Niemal rok pozwalał jej błędzić po omacku. Nie potrafiła się przejąć ani jego śmiercią, ani jej okolicznościami. Odwróciła się na bok, zrzuciła z siebie kołdrę. W końcu wstała i poszła do toalety.

Zostali zabrani na przesłuchanie do Bellahøj. Dwoma samochodami. Anna jechała razem z Elisabeth, Johannes razem ze Svendem. Elisabeth był załamana. Ręce jej drżały, bez przerwy wycierała nos, mnąc w rękę wilgotne

papierowe chusteczki. Jechali Frederikssundsvej, kiedy Anna wybuchła:

– Właściwie to dlaczego ty płaczesz? Przecież go nie znosiłaś.

Elisabeth spojrzała na nią zdziwiona.

– Dwadzieścia pięć lat pracowaliśmy razem. Lars Helland był moim dobrym kolegą.

Anna odwróciła się do okna, świadoma, że dwaj funkcjonariusze na przednim siedzeniu bacznie je obserwują, notując każde słowo, każde zaczerpnięcie powietrza, wszystko. Wiedziała też, że nie wypada najlepiej.

Na komisariacie zostali ponownie przesłuchani przez Najbardziej Irytującego Policjanta Świata. Najwyraźniej skończył przed chwilą jeść lunch, coś z buraczkami, bo w lewym kąciku ust miał buraczaną plamkę. Zadał Annie te same pytania co poprzednim razem, i otrzymał te same odpowiedzi. Kiedy w pewnym momencie poirytowana zwróciła uwagę, że powtarza te same pytania, uniósł zdziwiony brwi i powiedział:

– To chyba oczywiste; musimy dokładnie wykonywać naszą pracę. W końcu nie jest normalne, że pozornie zdrowy mężczyzna nagle pada martwy w swoim gabinecie i to w dodatku z odgryzionym językiem. A gdyby chodziło o pani męża albo ojca? Sądzę, że wtedy zależałoby pani, żebyśmy dołożyli wszelkich starań.

Mówił łagodnym, ale stanowczym głosem i przyglądał się jej o moment za długo. Odwróciła wzrok.

Przesłuchanie się skończyło, przeczytała protokół, podpisała i była wolna.

Około trzeciej wróciła autobusem na uniwersytet. Jej myśli krążyły wokół Tybjerga. Miała się z nim spotkać około czwartej. Ciekawe, czy wie już, co się wydarzyło? Nie miała pojęcia, jak szybko wiadomość dotrze do muzeum, ale dziedziniec był pełen radiowozów, więc pewnie niedługo. Nagle zdała sobie sprawę, że być może to jej przyjdzie mu o tym powiedzieć. Tybjerg z pewnością zajęty był pracą i z nikim nie rozmawiał. Wzdrygnęła się. Nagle pomyślała, że jej obrona może zostać odwołana. Co wtedy? Nie ma siły dłużej czekać. Ostatni okres był straszny, jeśli wszystko miałoby się przeciągnąć, może nawet o kilka tygodni, popadnie w depresję, a Lily pewnie zacznie mówić do Cecilie „mamo”. W piątek oddała cztery kopie swojej pracy w sekretariacie instytutu, jedną przekazała Hellandowi i ta, pobrudzona krwią, leżała pewnie teraz w plastikowej torebce gdzieś na komisariacie. Jedną kopię dostał Tybjerg, jedną nieznaną jej recenzent z uniwersytetu w Aarhus, a jedna przesłana została do biblioteki. Na pewno znajdzie się jedna, którą będzie mógł dostać ktoś, kto zastąpi Hellanda. Do obrony zostały jeszcze dwa tygodnie, wystarczająco dużo, by ktoś obeznany z tematem mógł przeczytać pracę i poprowadzić egzamin. Może Johan Fjeldberg? Był wybitnym ornitologiem, wiedziała też, że współpracował z Tybjergem. Kiedy

spotka się z nim o czwartej, każe mu przyrzec, że egzamin się odbędzie.

Przed wejściem do budynku numer 12 stało już znacznie mniej radiowozów, a drzwi do gabinetu Hellanda były starannie zaplombowane. Svend i Elisabeth jeszcze nie wrócili, Instytut wydawał się niemal wymarły. Anna przyspieszyła kroku. Nagle się zatrzymała. Zauważyła, że drzwi do jej pokoju są uchylone, usłyszała czyjeś głosy. Chrząknięcie, ktoś przesunął krzesło; serce zaczęło jej walić. Była pewna, że wychodząc, zamknęła drzwi. Znów usłyszała chrząknięcie i odgłos kroków; drzwi się otworzyły.

– Ale mnie wystraszyłeś! – krzyknęła. – Jak ci się udało tak szybko wrócić?

Johannes, przestraszony, uniósł rękę jakby w geście obrony.

– Niech cię szlag! W ogóle cię nie słyszałem! – powiedział i odetchnął z wielką ulgą. – Szybko skończyłem i nawet dłuższą chwilę na ciebie czekałem, potem jednak postanowiłem wrócić – zaczął jej tłumaczyć.

Anna klepnęła go przyjacielsko po plecach i usiadła na swoim miejscu. Zapanowało milczenie, w końcu Anna się odezwała.

– Wiesz może, co się stało? Czy Helland został zamordowany?

Johannes wyglądał na przygnębionego.

– Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć –

przyznał, przecierając oczy. – To takie nierzeczywiste. Poza tym spałem dzisiaj tylko dwie godziny, co też wpływa na moją szybkość myślenia. A co z tobą?

– Mnie jest wszystko jedno.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Nie wierzę – powiedział.

– Ale tak jest – skwitowała cicho Anna i odwróciła się do niego na krześle. – Jakby jego śmierć nie miała dla mnie żadnego znaczenia – stwierdziła bezradnie.

Skierowała wzrok na monitor i otworzyła pocztę. Johannes patrzył na nią; miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć. Zaczęła sprawdzać pocztę. Cecilie przysłała jej wczoraj wieczorem zdjęcie Lily „na dobranoc”. Córeczka miała na sobie piżamkę, której Anna nie rozpoznawała, i uśmiechała się do niej szeroko. Tuliła do siebie swoją maskotkę, oczy błyszczały jej radośnie. Czyżby Cecilie obcięła jej włosy? Anna przyglądała się uważnie zdjęciu, czując cały czas na sobie spojrzenie Johanna.

– Dlaczego nie spałeś w nocy? – spytała, nie odrywając wzroku od monitora. Patrzyła na rozpromienioną córeczkę, która najwyraźniej czuła się u babci znakomicie. Siedziała na jej łóżku, obłożona książeczkami, które Cecilie wypożyczyła dla niej z biblioteki. Johannes położył głowę na rękach. Anna się odwróciła.

– Długa historia. Kilka tygodni temu spotkałem w Czerwonej Masce faceta; świetnie nam się gadało i w

ogóle. Niestety, okazało się, że on oczekiwał czegoś więcej, no i teraz mamy dramat miłosny. Przysłała mi mejle, dzwoni w nocy – powiedział nieco zażenowany. – Mam okropne wyrzuty sumienia – dodał nagle.

– Jeśli go nie kochasz, to go nie kochasz; nic na to nie poradzisz. Powiedz mu to.

– Nie o to chodzi – przerwał jej. – Mam wyrzuty sumienia wobec ciebie, bo powiedziałem temu facetowi z policji, że... – zawahał się. – Powiedziałem mu, sam nie rozumiem dlaczego, ale powiedziałem mu, że...

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Anny. Zanim znalazła go w swojej torbie, zdążyła się włączyć automatyczna sekretarka. Zauważyła, że wyświetlił się numer Tybjerga, który jednak nie zostawił jej żadnej wiadomości. Zaczęła się zastanawiać, czy to znaczy, że Tybjerg już coś wie? Położyła aparat na biurku i wróciła do rozmowy z Johannesem.

– Przepraszam, co mówiłeś?

Johannes patrzył na nią z poczuciem winy.

– Powiedziałem temu policjantowi to, co mówiłaś mi latem.

Anna spojrzała na niego zdezorientowana.

– A co ja takiego wtedy mówiłam?

– Ze czasem masz ochotę mu podkuczać. Powiedziałem mu, że nie przepadałaś za Hellandem – westchnął Johannes.

Anna nadal patrzyła na niego.

– Dlaczego? – spytała w końcu.

Johannes wzruszył ramionami.

– Jestem kretynem. Przepraszam, wiem, że nie masz z tym nic wspólnego.

– Co ty sobie do... – zaczęła Anna i w tej chwili znów zadzwonił jej telefon komórkowy.

– Cholera – wypaliła wściekła i spojrzała na wyświetlacz.

– Tybjerg? – rzuciła w słuchawkę.

– Anno – usłyszała szept Tybjerga. – Słyszałaś, co się stało?

– Tak – odpowiedziała, wzdychając.

– Muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie. Nie mogę... Umówimy się kiedy indziej. W przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu? – powtórzyła Anna, odsuwając krzesło od biurka. – To ma być żart? Musimy porozmawiać. Mam egzamin, chcę... – przerwała i zaczerpnęła powietrza. – Muszę zdać ten egzamin – stwierdziła z naciskiem. – To, co dzisiaj się stało, jest okropne, ale ja muszę obronić pracę.

– Nie mogę – odpowiedział Tybjerg i odłożył słuchawkę.

Anna odwróciła się do Johannes. Miała łzy w oczach.

– Nie przejmuj się – powiedziała schrypniętym głosem. – Nie ty jeden mnie zawiodłeś.

– Anno – zaczął Johannes niemal błagalnie. – Tak mi przykro. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Jemu też

to powiedziałem. Temu policjantowi. Że nie wiem, czemu to powiedziałem i że na pewno nie masz z tym nic wspólnego, to znaczy ze śmiercią Hellanda. Byłem zdenerwowany.

Anna wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Do muzeum, poszukać Tybjerga.

– Musisz? Teraz? Nie możesz chwilę poczekać? Muszę zaraz wyjść, a nie chcę, żebyśmy... rozstawali się w złości.

– To już nie mój problem – odpowiedziała Anna chłodno.

Słyszała, jak Johannes westchnął, kiedy wyszła na korytarz, kierując się w stronę budynku muzeum.

Erik Tybjerg mógł być tylko w jednym z trzech miejsc: w swoim pokoju w piwnicy muzeum, w stołówce albo przy stole pod oknem obok drzwi do sali kręgowców, gdzie zwykle siedział i mierzył kości. Postanowiła najpierw sprawdzić salę zbiorów. Nie było go tam. Poszła do stołówki. Tam też go nie było. Został jej więc już tylko jego pokój w piwnicy.

Erik Tybjerg był jednym z najwybitniejszych znawców dinozaurów na świecie, a pracował w maleńkim, wilgotnym pokoiku. Dwie ściany tego niewielkiego pomieszczenia były zastawione półkami z książkami, przy trzeciej stało jego biurko, a na czwartej, pod małym piwnicznym oknem, stały półka z modelami dinozaurów oraz książki jego autorstwa. Teraz jednak

drzwi do pokoju były zamknięte. Anna zajrzała przez szybę: wewnątrz było ciemno. Wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do niego. Żadnej odpowiedzi. W końcu wyjęła z kosza na śmieci kawałek papieru i napisała: „Musimy porozmawiać. Czekam na telefon. Anna”. Kartkę zostawiła w drzwiach. W tym momencie zgasło światło i na korytarzu zapanowała całkowita ciemność. Przez piwniczne okno zobaczyła czyjeś nogi, jakaś kobieta szła, stukając czerwonymi szpilkami o kamienne płyty chodnikowe. Anna poczuła, jak bije jej serce. Szła po omacku ciemnym korytarzem; dopiero przy wyjściu znalazła włącznik i zapaliła światło. Wszędzie było pusto i cicho.

W dzieciństwie najlepszą przyjaciółką Anny była Karen; dziewczynki chodziły do jednej klasy i zawsze trzymały się razem. Pewnego dnia, kiedy wybrały się na wycieczkę do pobliskiego lasu, spotkały Troelsa. Niedawna wichura powaliła wiele drzew, wszędzie widać było powyrywane korzenie. Dziewczynkom właściwie nie wolno było samym chodzić do lasu, wręcz wyraźnie im tego zabroniono, ale las kusił. Skakały po leżących wszędzie liściach, zaglądały do wielkich jam, powstałych po powalonych drzewach. Karen była z nich dwóch odważniejsza. Potrafiła podejść tak blisko wyrwanych korzeni, że na jej ramiona sypały się grudki ziemi, wtedy triumfująco wyciągała ręce ku niebu. Niemal niezauważalnie wchodziły coraz głębiej w las. Nagle

przypomniały sobie o biedronce, którą ktoś kiedyś zrobił z pieńka powalonego drzewa. Ciekawe, czy oparła się wicherze? Postanowiły sprawdzić, skoro były już tak blisko.

Znalazły pieńek i siedzącego obok niego Troelsa. W pierwszym momencie, pochłonięte rozmową, nawet go nie zauważyły. Dopiero kiedy Anna wdrapała się na pieńek, zauważyła wystającą zza niego czuprynę. Oparty o pieńek siedział smutny piegowaty chłopiec.

Anna powiedziała „cześć” i rzuciła w niego szyszką, którą on złapał. Zaczęli się bawić, nagle zrobiło się ciemno i z czarnych chmur zaczął padać deszcz.

– Nie idziecie do domu? – spytał Troels przestraszony. Dziewczynki pokiwały głowami. Jasne, że muszą wracać. Cała trójka ruszyła biegiem przed siebie. Kiedy dotarli do skraju lasu, oślepiło ich światło latarki, i tak oto poznały obie ojca Troelsa.

Cecilie w takiej sytuacji powiedziałyby: Gdzieś świętej anielskiej jesteś? i przytuliła je mocno do siebie. Tata Troelsa nie powiedział nic. Stał i świecił im latarką w twarz.

– Przepraszam, tatusiu – odezwał się Troels.

– Cześć – powiedziała Anna, chwytając Karen za rękę. Rzuciła, że jeśli pójdą na przełaj przez pole, będą w domu za dwadzieścia minut.

– Nie – zaproponował ojciec Troelsa. – Pójdziecie grzecznie ze mną na parking, gdzie stoi mój samochód, a potem zawiozę was do domu, rozumiemy się?

Annie całe życie wpajano, że pod żadnym pozorem nie wolno jej było nigdzie iść z nikim nieznanym. Nigdy, z nikim. Trójka dzieci ruszyła w milczeniu zwirową dróżką, prowadzącą w dokładnie przeciwnym kierunku niż ich domy. Kiedy dotarli do parkingu, Anna znów spróbowała:

– Teraz już same trafimy. Bardzo panu dziękujemy...

Ojciec Troelsa zatrzymał się i odwrócił, ale Anna nie była w stanie dojrzeć jego twarzy.

– Do środka – powiedział krótko, otwierając tylne drzwi. Anna chciała znów zaprotestować, ale wtedy poczuła na sobie wzrok Troelsa. Jego oczy zdawały się mówić: wsiądźcie, proszę.

Samochód pachniał nowością, dziewczynki wsiadły, Anna pomogła Karen zapiąć pasy i auto ruszyło ciemną drogą w stronę wiejskiej szosy. Troels siedział z przodu, obok ojca. Mała, drobna, skulona postać.

Cecilie otworzyła im z głową owiniętą ręcznikiem; właśnie nakładała farbę na włosy. Anna zauważyła paski folii nad jej uszami. Miała na sobie sprany szlafrok, z pokoju dochodziły dźwięki muzyki.

– Cześć, dzieciaki – powiedziała radośnie. Po chwili dostrzegła stojącego za nimi ojca Troelsa. Na jej czole pojawiła się zmarszczka.

– Coś się stało? – spytała, zastanawiając się, czy może mężczyzna potrącił je na drodze i czy aby na pewno nic im nie jest.

– Dobry wieczór pani – odezwał się ojciec Troelsa. – Proponuję nieco lepiej pilnować swojej progenitury. Znalazłem je w lesie, bawiły się pod przewróconymi drzewami. – Klasnął w dłonie, jakby dla podkreślenia powagi sytuacji. – To mogło się źle skończyć – dodał.

– Wejdźcie do domu, dziewczynki – powiedziała Cecilie, a w jej oczach pojawiło się coś, czego Anna nigdy wcześniej nie widziała. – Dziękuję za pomoc – odezwała się bezdźwięcznym głosem i zamknęła drzwi.

Kiedy samochód zniknął za rogiem, Cecilie zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. Uspokoila się dopiero, kiedy Jens wrócił do domu.

– O co chcesz go oskarżyć? – usłyszała Anna głos Jensa. – O to, że odwiózł je do domu i gapił się na twój szlafrok?

Po wakacjach Troels trafił do klasy, do której chodziły Anna i Karen. Od ich spotkania w lesie minęły już cztery miesiące, ale go nie zapomniały. Wszedł do klasy razem z ich wychowawcą, na ich widok wyraźnie się rozpogodził. Urósł, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Podczas przerwy Karen podeszła do niego i spytała ostrożnie:

– Twój tata bardzo się wtedy gniewał?

– Nie, w ogóle. – Troels się uśmiechnął.

Po lekcjach dziewczynki wracały razem do domu. Było jeszcze lato, na polach uginały się złote kłosa zbóż. Nagle zatrzymały się i postanowiły, że Troels zostanie ich

przyjacielem.

Minął tydzień. Wszystkie przerwy spędzali razem, wracając do domu, szli kawałek razem, a pewnego dnia Anna spytała, czy Troels nie miałby ochoty jej odwiedzić. Chłopiec spojrział na zegarek i odpowiedział, że chętnie. Bawili się w ogrodzie, a kiedy zaczął padać deszcz, weszli do domu i zrobili sobie kanapki. Dziewczynki zaczęły się wymieniać kolorowymi obrazkami, Troels brał je delikatnie do ręki i im się przyglądał. Najbardziej podobały mu się te z niemowlakami i szczeniaczkami.

W drzwiach pojawiła się Cecilie, Troels wstał i grzecznie podał jej rękę. W tym momencie zadzwonił telefon, Anna zaczęła się zastanawiać, czy jej matka poznała Troelsa. Kiedy chłopiec poszedł do toalety, Anna wyszeptała jej do ucha, że to jest ten chłopiec, którego wtedy, w marcu, spotkały w lesie. Cecilie zbladła.

– Możesz nas odwiedzać tak często, jak chcesz – powiedziała, kiedy Troels wrócił do pokoju. – Kiedy tylko masz ochotę – podkreśliła.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział chłopiec.

Cecilie kupiła dodatkowy album na obrazki dla Troelsa. Chłopiec rozpakował go ostrożnie, jakby ktoś podarował mu drogocenny skarb. Twarz mu się rozpromieniła, ale niemal natychmiast spoważniał.

– Nie mogę go przyjąć – stwierdził, patrząc na Cecilie. Odsunął album. Anna wzięła go do ręki i zaczęła

przerzucać kartki z kolorowymi obrazkami: z aniołkami na chmurkach, zwierzętami, kwiatami. Jeśli Troels go nie chce, chętnie go weźmie.

– Ależ możesz – zapewniała Cecilie chłopca. – To jest prezent. Będziecie mogli wymieniać się obrazkami.

– Nie – odpowiedział chłopiec nieszczęśliwy. – Nie mogę. Nie wolno mi przyjmować prezentów.

Cecilie zmrużyła oczy i przyglądała mu się uważnie.

– Hm... – odezwała się po chwili. – Oczywiście nie możesz zabrać go ze sobą do domu. On zostanie tutaj.

Anna patrzyła na matkę zdziwiona.

– Bo widzisz, to są tak naprawdę moje obrazki, tylko ja nie mam się z kim wymieniać – ciągnęła dalej mama. – Dlatego chcę cię prosić, żebyś robił to za mnie; w ten sposób pomożesz mi powiększyć mój zbiór. Dobrze?

Troels pokiwał głową i otworzył album. Delikatnie usunął celofan i zaczął układać obrazki. Po południu, kiedy już musiał wracać do domu, odłożył album na półkę. Miał leżeć tam i czekać na niego. I czekał.

Minęło pół roku, zanim Anna i Karen zostały zaproszone do Troelsa do domu. Był początek grudnia. Po lekcjach pojechali do niego autobusem. Troels mieszkał w ogromnym niedawno zbudowanym parterowym domu, kilka kilometrów za Braenderup. Siedzieli na podłodze w jego pokoju, robili świąteczne kalendarze i słuchali muzyki. Po jakimś czasie ojciec Troelsa wrócił do domu; słyszeli, jak rozmawia przez telefon, głośno przeklinając.

Nagle zajrzał do ich pokoju.

– Cześć, dziewczynki – powiedział, najwyraźniej ich nie poznając. Potem przyniósł im miskę czipsów i trzy napoje. – Zjecie z nami obiad? – spytał.

Karen i Anna wymieniły spojrzenia.

– Tak, chętnie – odpowiedziała Anna pospiesznie.

Czipsy i napoje. Na kolację podano steki wołowe w sosie śmietanowym, a na deser lody w wafelkach. Mama Troelsa był drobna, elegancką kobietą; była pośrednikiem nieruchomości i pracowała w Odense. Siostra Troelsa miała piętnaście lat i wyglądała zabójczo. Miała długie włosy, na ustach błyszczyc i mówiła dorośle: „Poproszę ziemniaki”. Anna poczuła ukłucie zazdrości i spojrzała na Troelsa. Chłopiec się uśmiechnął. Kiedy jego ojciec coś mówił, wybuchał śmiechem. Anna chłonęła wszystko.

Nagle ojciec Troelsa zaczął opowiadać wakacyjne anegdoty. Jak kiedyś w Szwecji Troels spadł z mostu do wody, gdy próbował zmierzyć gałęzią głębokość wody. Podobno krzyczał jak zarzynane prosię, tak bardzo się przestraszył. Na szczęście rzeczka w tym miejscu miała zaledwie metr głębokości, chociaż dno było błotniste. Dziewczynki wyobraziły sobie wrzeszczącego i ubłoconego Troelsa i zaczęły się śmiać. Potem ojciec przypomniał sobie, że podczas tych samych wakacji trafili w jakimś miasteczku na objazdowe wesołe miasteczko. W jednej z bud siedział na desce mężczyzna, który, jeśli komuś udało się trafić piłeczką w czerwoną tarczę,

wpadał do balii z wodą. Ojciec namówił właściciela budy, żeby pewnego popołudnia miejsce mężczyzny na ławce zajął Troels, który cały dzień narzekał na upał. Po kilku kąpielach w balii przestał narzekać. Anna i Karen znów się roześmiały.

– Był też taki czas, kiedy wciąż sikał, pamiętacie? – spytał ojciec, zwracając się do matki Troelsa i jego siostry, które właśnie zaczęły sprzątać ze stołu.

– Przestań, proszę – odezwała się matka z kuchni. – Dziewczynki na pewno nie mają już ochoty tego słuchać.

Ojciec Troelsa wychylił się nad stołem w stronę Anny i Karen.

– Troels moczył się aż do siódmego roku życia – powiedział.

Anna spojrzała niepewnie na przyjaciółkę, która wpatrywała się w ojca Troelsa jak zaczarowana.

– W końcu wszyscy byliśmy zdesperowani – odezwała się matka chłopca z kuchni. – Wszyscy, prawda, skarbie?

Anna spojrzała na Troelsa i zamarła. Troels siedział nieruchomo i w ogóle się nie odzywał, ściskając w dłoni topniejącego lodu w wafelku. Mama mówiła dalej:

– Próbowaliśmy wszystkiego. Kupowaliśmy mu zabawki, podnieśliśmy kieszonkowe, raz nie pozwoliliśmy mu zdjąć mokrego ubrania, wszystko na nic. Nadal sikał w majtki.

Karen śmiała się posłusznie, Anna kopnęła ją pod stołem w łydkę, ale nie trafiła.

– Wiecie, kiedy to się skończyło? – zagadnął rozbawiony ojciec Troelsa.

– Au! – wrzasnęła nagle Karen i wściekła spojrzała na Annę. W końcu przeniosła wzrok na chłopca.

– No, opowiedz koleżankom, jak to było – zachęcał ojciec.

Troels wymamrotał coś pod nosem.

– Nie słyszę, co mówisz – odezwał się ojciec łagodnie. – Powtórz to głośniej.

– Kiedy pierwszego dnia w szkole narobiłem w spodnie – odpowiedział chłopiec bezbarwnym głosem.

Dziewczynki spojrzały po sobie.

– Niesłychane, prawda? Jak tak można – stwierdził ojciec. – Inne dzieci długo to pamiętały, więc w końcu przestał. Chciał przecież dalej chodzić do szkoły – dodał. Poklepał syna dobrotliwie po ramieniu i się roześmiał.

– Przestań! – wybuchnęła nagle Anna. – Przestań!

Ale ojciec zdążył już wstać od stołu, w kuchni szumiała zmywarka, siostra Troelsa przed chwilą wyszła z pokoju, a mama – w pomieszczeniu gospodarczym obok kuchni – szykowała pranie. Widzieli ją przez otwarte drzwi.

– Dziękuję – powiedziała Anna, wstając od stołu. – Muszę być w domu o siódmej.

Dziewczynki ubrały się. Troels nadal siedział przy stole, z rozplływającym się w rękę lodem.

– Cześć, do jutra – odpowiedział, uśmiechając się niepewnie.

Cecilie zadzwoniła do rodziców Troelsa, mówiąc, że potrzebuje kogoś do pomocy w ogrodzie i że może płacić Troelsowi piętnaście koron za godzinę. Anna siedziała w kuchni i słyszała, jak głos matki zaczyna drżeć. W końcu Cecilie odłożyła słuchawkę, rozmowa się skończyła. Matka wyszła do Anny do kuchni i uśmiechnęła się do niej niepewnie.

– Załatwione – oświadczyła, wygładzając sukienkę. – Pięć godzin w tygodniu.

– Uff! – jęknęła, siadając obok niej. Znow zaczęła wygładzać sukienkę.

Pewnego wieczoru, Anna miała wtedy dwanaście lat, usłyszała, jak rodzice rozmawiają o Troelsie. Był to koniec lat osiemdziesiątych, Jens już wtedy oficjalnie mieszkał w Kopenhadze, ale nadal często je odwiedzał. Przed chwilą powiedziała ojcu dobranoc, ale przypomniała sobie, że zapomniała przekazać rodzicom informację ze szkoły, wstała więc i zaczęła schodzić na dół. W połowie schodów usłyszała głos ojca.

– Dlaczego sądzisz, że go biją? Musiałabyś to udowodnić. To poważne oskarżenie.

Zapadła cisza. Anna usłyszała, że matka płacze.

– Tak naprawdę nie mogę nic zrobić. To taki śliczny, wrażliwy chłopiec. Cierpi, a ja nie jestem w stanie mu pomóc.

Jens powiedział coś, czego Anna nie dosłyszała, usłyszała natomiast głos matki.

– Tak, wiem, Jens. Wiem.

Była wyraźnie poirytowana.

– Mówiłeś mi to już tysiąc razy. Wszystko wiem, tylko nie potrafię się z tym pogodzić.

Cecilie wytarła nos. Anna zaczęła marznąć na schodach, chciała, żeby któreś z rodziców wstało, zobaczyło ją, wzięło na ręce, położyło na kanapie i przykryło kocem. Leżałyby tam sobie, głosy dorosłych cichłyby powoli, aż w końcu zasnęłyby, jak wtedy kiedy była mała. Po jej policzkach poleciały łzy. W tym momencie nienawidziła Troelsa. Miała wrażenie, że jej rodzice bardziej przejmowali się nim niż nią. Poczuli się sama na świecie. Usłyszała, że zmienili temat. Rozmowa dotyczyła teraz pracy Jensa. Anna wróciła do łóżka.

Pewnego dnia wpadł do nich Troels, niezapowiedziany. Był wesoły. Rodzice pojechali do Ebeltoft odebrać nowy samochód, wrócą dopiero wieczorem. Rodzice Anny mieli gości, znajomych z czasów studiów; w ogrodzie roilo się od dzieci. Słońce świeciło, Cecilie częstowała wodą z sokiem i drożdżówkami, wysoko na niebie, nad ogródkiem latały jaskółki. Troels stanął zaskoczony, tego się nie spodziewał. Dwóch chłopców w jego wieku grało w piłkę, zaprosili go do gry, ale nie miał ochoty. Napił się soku, Cecilie przedstawiła go gościom.

– To jest Troels. Kolega Anny z klasy.

„Jaki ładny chłopiec”, usłyszała Anna którąś z przyjaciółek matki.

Nagle Jens wpadł na pomysł, że będą grać w palanta. Ludzie poderwali się z krzeseł, znaleziono cztery duże kamienie, którymi zaznaczono bazy, kij i piłkę tenisową, podzielono się na dwie drużyny. Panował nastrój radosnego podniecenia, Anna i Karen przewracały oczami na widok dorosłych, zachowujących się jak dzieci. Obie umalowały się w tajemnicy przed rodzicami, ale najwyraźniej nikt niczego nie zauważył. Kiedy przyszła kolej na Troelsa, ten odmówił.

– Nie chcę – odezwał się niezbyt głośno, ale Anna usłyszała go wyraźnie. Uśmiechnął się do niej rozbrajająco.

Mogens, przyjaciel Jensa ze studiów, nie dawał za wygraną.

– Poradzisz sobie – przekonywał go. Stanął za nim, usiłując pokazać mu, co ma robić. – Unieś kij, tylko uważaj, żeby go nie upuścić – powiedział i podbił lekko łokieć chłopca. – Patrz na piłkę – dodał.

Troels nie podniósł ręki.

– Skup się! To nie takie trudne! – krzyczał Mogens.

Anna odruchowo spojrzała na matkę. Cecilie najwyraźniej szykowała się, żeby coś powiedzieć. Uniosła rękę. Stojąc obok Troelsa, Mogens wyglądał jak dobrotliwy olbrzym.

– Z czego one są zrobione? – spytał drwiąco, chwytając wiotkie ręce Troelsa, białe i piegowane. – Co to jest? Ciasto? – dworował dalej Mogens.

Troels patrzył na niego pustym wzrokiem.

Mężczyzna doskakiwał do niego, wykrzykiwał coś i machał rękami jak bokser, jakby chciał go uderzyć. Nagle szturchnął go.

– No, rusz się, pokaż, co potrafisz, bracie!

Wtedy Troels uniósł kij i uderzył Mogensa w głowę. Mężczyzna zamilkł, zapadła cisza.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał zaskoczony.

Troels wybiegł, Cecilie za nim. Nie było ich prawie godzinę. Anna poszła ich szukać. Siedzieli w samochodzie, na tylnym siedzeniu. Zapłakany Troels leżał z głową na kolanach matki, która gładziła go po włosach. Nie chciał wrócić do ogródka, chociaż Cecilie zapewniała go, że Jens na pewno wytłumaczył Mogensowi, dlaczego Troels tak zareagował. Anna zmarszczyła brwi. Troels nadal odmawiał. Chciał wracać do domu. Cecilie przytuliła go; wkrótce potem Anna zobaczyła, jak odjeżdża na rowerze.

W ogrodzie Mogens, zdziwiony i oszołomiony, siedział w fotelu z workiem lodu na głowie. Panowała dziwna cisza.

– Nic ci nie jest? – spytała Cecilie.

– Nic, i bardzo mi przykro. '

– Poniżyłeś go – powiedziała Cecilie.

– No, wiesz – wtrącił się Jens. – Jesteś niesprawiedliwa.

– Ale to prawda. Wiem, że nie zrobił tego ze złej woli. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent chłopców pewnie zareagowałoby inaczej. Ale on jest inny.

– Przykro mi – powiedział Mogens nieszczęśliwy, i złapał się za głowę.

Troels skończył piętnaście lat; zaczął chodzić w obcisłych spodniach i przekłuł sobie język. Wiotki chłopiec zniknął, miał teraz metr osiemdziesiąt wzrostu, duże dłonie i szerokie ramiona. Niewiele brakowało, a zostałby wyrzucony ze szkoły, Cecilie udało się jednak ubłagać nauczycieli. Nie bywał już u nich tak często jak dawniej. Anna i Karen nie bardzo wiedziały, czym się zajmuje, z kim się spotyka. Powiedział im tylko, że czasem jedzie pociągiem do Arhus albo do Kopenhagi i chodzi do klubów. Były tym bardzo podniecone.

Pewnego dnia, byli wtedy w drugiej klasie liceum, wpadł i spytał, czy Anna ma ochotę wybrać się z nim na rower. Miała. W ciągu dnia zrobiło się gorąco, Troels zdjął koszulkę i Anna zobaczyła jego nagi tors. Wyglądał jak pizza.

– Co ci się stało? – spytała przerażona.

– Byłem w domu, zrobić pranie – odpowiedział Troels, uśmiechając się do niej szelmowsko.

– Ojciec cię stłukł? – wyszeptała.

– Tak, ale mu oddałem.

Anna przyspieszyła, żeby nie zostać w tyle. Troels zrobił tajemniczą minę.

– Że też akurat teraz musiało mi się to przytrafić – dodał, stając na pedałach i siląc się na obojętną minę.

– Dlaczego? – wysapała Anna.

- Skontaktowała się ze mną agencja modeli z Odense.
- Żartujesz!
- Nie. Chcą zrobić mi portfolio. Są pewni, że znajdą mi zlecenia.

Całe popołudnie rozmawiali o czekającej go karierze modela.

O Paryżu, Nowym Jorku, Mediolanie. Anna obiecała odwiedzać go od czasu do czasu. Leżeli na łące między polnymi kwiatami i patrzyli w niebo, wyobrażając sobie fruujące w powietrzu srebrne konfetti i bąbelki szampana. To znaczy Anna leżała, Troels siedział obok niej. Bolały go plecy, nie mógł leżeć.

W 1977 roku Anna, Troels i Karen zdali maturę. Lato wydawało się nie mieć końca. Upijali się do nieprzytomności. Było gorąco, ubrania lepiły się do ciała, jasne noce trwały w nieskończoność. Byli w euforii, mieli wrażenie, że jeśli jednocześnie wypuściliby z płuc całe powietrze, niebo uniosłoby się w przestworza niczym w spazmie. Chodzili na imprezy do nieznanym im ludzi, gdzie nie było rodziców, gdzie roślinki w doniczkach umierały z braku wody, gdzie można było otworzyć okna na oścież, upaść na podłogę, turlać się po niej, a nawet spowodować mały pożar, co też kiedyś im się przytrafiło. Stali zmieszani, patrząc, jak od strony miasteczka nadjeżdża wóz strażacki; spuścili wzrok, kiedy wyszedł z niego strażak i ryknął na nich, wymachując im przed nosem niedopałkiem papierosa. Oczywiście nie był to ten,

który wywołał pożar, tylko jeden z wielu, walających się po całym ogrodzie. Następnego dnia balangowano dalej, doniczki z uschniętymi roślinkami usunięto na bok, otworzono szeroko okna.

Kiedy Anna potem wspominała to lato, zastanawiała się, czy gdyby wtedy padało, to sprawy między nią, Troelsem a Karen potoczyłyby się równie fatalnie. Niemal w ogóle nie sypiali, kiedy nie imprezowali, siedzieli w dwupokojowym mieszkaniu Karen i patrzyli na siebie.

Karen załatwiła gdzieś kokainę, zażyli wszystko. Anna poszła do toalety; kiedy wróciła okazało się, że Karen i Troels doszli do wniosku, że pójdą razem do łóżka. Jasne, czemu nie, uznała Anna. Wargi miała suche jak papier ścierny, poszła do kuchni, odkręciła kurek i zaczęła pić wodę. Kiedy wróciła, Troels i Karen tańczyli, niemal nadzy.

– Myślałam, że jesteś gejem – powiedziała Anna.

Troels i Karen pokładali się ze śmiechu.

– A my myśleliśmy, że jesteś bardziej tolerancyjna! – zawołała Karen i pomachała jej ręką.

Wszyscy troje wpakowali się do łóżka Karen. Anna i Troels zaczęli się całować, Karen próbowała ściągnąć z niego spodnie. Robiła to dość niezdarnie i Troels się roześmiał z językiem w ustach Anny. Po chwili wyjął go, cofnął się i schylił, chcąc pomóc Karen. Teraz Karen i Troels zaczęli się całować. Karen ściągnęła z niego bokserki. Na członku miał kolczyk, Anna patrzyła na palce Karen na jego męskości. Miał zamknięte oczy, Anna

słyszała, jak oddycha, czuła jego rozkosz. Nadal całował Karen, odsunęła się nieco na bok. W pewnym momencie Karen otworzyła oczy, spojrzała na nią i wyciągnęła do niej dłoń. Zanim jednak Anna zdążyła ją chwycić, Troels uniósł Karen i odwrócił, tak że leżała teraz na plecach z włosami rozrzuconymi na poduszce. Anna zauważyła, że Troels ma wzwód, po chwili opadł na Karen. Oboje zamknęli oczy. Anna usiadła na łóżku. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, nagle kopnęła nogą ich splecione ciała. Trafiała Troelsa w biodro, zwinął się i zawył z bólu. Widziała jego otwarte usta, jego wiotkiego już członka i Karen, która zmieszana patrzyła to na nią, to na niego. Anna rzuciła się na Troelsa i zaczęła okładać go pięściami po twarzy, po piersi, po brzuchu. Troels zbladł, ale w oczach miał ogień.

– Przestań – powiedział cicho. Nie przestała. Karen próbowała chwycić ją za rękę, Troels cofnął się w stronę swojego ubrania. Anna, wściekła, odepchnęła Karen i padła na łóżko. Troels włożył już dzinsy oraz T-shirt i zmierzał do drzwi. Wszedł, nie zamykając ich. Z klatki dobiegł je dźwięk jego kroków. Po chwili wszystko ucichło. Karen spojrzała na Annę.

– Tym razem przesadziłaś – mruknęła zła.

Od tamtego wydarzenia minęło dziesięć lat.

6

Poniedziałek, ósmego października, dobiegał końca. Søren był przekonany, że teczka Larsa Hellanda trafi do szuflady z aktami nagłych zgonów. Chciał jak najszybciej zakończyć sprawę. Lars Helland nie żył, to wszystko. Każdego dnia czyjeś serce nieoczekiwanie przestawało bić, także u ludzi, którzy – jak Lars Helland – pokonywali codziennie rowerem dwadzieścia pięć kilometrów z domu do pracy i z pracy do domu, nie palili i nie pili. Oczywiście, nie codziennie zdarzało się, że odgryzali sobie przy tym język, ale bywało, że upadając, ranili się, nieraz bardzo poważnie. Søren wiele razy widział złamane kręgosłupy, wybite zęby, roztrzaskane czaszki, spalone twarze, poranione ciała: ktoś upadł na kaloryfer, na kosiarkę, nadział się na żelazne pręty ogrodzenia. Helland natomiast dostał drgawek i odgryzł sobie język.

Przekonany, że już wkrótce będzie mógł zamknąć sprawę, postanowił jak najszybciej zakończyć przesłuchania. Pierwszy na liście był Johannes, nieco dziwny, o niemal przezroczystej cerze, biolog, który zawiadomił o zgonie profesora. Był wtedy w instytucie; on i Helland pisali razem artykuł. Johannes miał nadzieję, że w końcu uda mu się obronić doktorat, mimo że już dwukrotnie otrzymał odmowę komisji. Søren w swojej pracy spotykał wielu dziwnych ludzi; ludzi o zdeformowanych ciałach albo tak wytatuowanych, że

trudno było dostrzec ich prawdziwe rysy. Johannes nie należał do żadnej z tych kategorii, mimo to był zdecydowanie dziwny. Przezroczysta cera sprawiała, że miało się wrażenie, że ma się do czynienia z kimś, kto na co dzień żyje głęboko pod ziemią i dlatego jest taki blady. Johannes miał długie, chude ręce, skóra na jego twarzy była napięta i biała, garbił się. Jego czerwone jak marchewka włosy i błyszczące inteligentne oczy kontrastowały z całą resztą.

Johannes wyrażał się o Hellandzie bardzo dobrze; w końcu z dużym oporem wyznał, że profesor ostatnio zachowywał się nieco dziwnie, sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Anna zresztą też nie była łatwa w kontaktach, dodał pospiesznie. Søren nie rozumiał, o co mu chodzi. Johannes zaczął więc tłumaczyć, że on i Anna nie zgadzali się w ocenie Hellanda, i jako promotora, i jako człowieka. Zamilkł na chwilę, po czym wyrzucił z siebie, że Anna wspomniała kiedyś, że miałyby ochotę podokuczać Hellandowi. Jak to: podokuczać? – zdziwił się Søren. O co mogło jej chodzić? Johannes zamrugnął, najwyraźniej zrozumiał, że trochę się zagalopował. Pewnie o nic, naprawdę. Rozglądał się bezradnie dokoła. W końcu wydusił z siebie, że Anna miała pretensję do Hellanda. Uważała, że zawiódł jako promotor jej pracy, a ponieważ ostatnio żyła w dużym stresie, sama wychowuje córeczkę, to zezłościła się na niego, całkowicie bez sensu. Johannesowi to się nie podobało i się pokłócili. Søren słuchał uważnie.

Nagle Johannes spytał, czy Søren wie, że Hellandowi ktoś groził. Rzucił to jakby mimochodem; szybko dodał, że profesor śmiał się z tego, twierdząc, że to głupie żarty. Johannes nie miał pojęcia, o co dokładnie chodziło, wiedział jedynie, że ktoś ze środowiska naukowego miał Hellandowi coś za złe i wysyłał mu przykre mejle. Søren spytał, czy sądzi, że mogła to być Anna Bella Nor? Johannes natychmiast zaprzeczył. Anna? Nie. Helland zasiadał w wielu komisjach, miał duże wpływy; nie wszyscy byli zadowoleni z podejmowanych przez niego decyzji. Decydował między innymi o zatrudnieniu i o przydzielaniu tytułów naukowych, zapewne przesądził o karierze naukowej niejednego biologa.

Søren pokiwał głową, podziękował i już miał wyjść z pokoju, kiedy nagle coś sobie przypomniał. Wrócił, Johannes spojrzał na niego zdziwiony.

– Czy to znaczy, że to właśnie Helland dwukrotnie nie zgodził się na przyznanie ci tytułu doktora?

– Tak – potwierdził Johannes lekko.

Søren opuścił pokój zdezorientowany. Johannes był wyraźnie pod wrażeniem śmierci Hellanda. Szukając wytłumaczenia tego, co się stało, zaczął nawet podejrzewać swoją koleżankę, ale jednocześnie też bronił jej, jakby to nie on, tylko Søren wysunął podejrzenia. Dobrze, że sprawa zmierza ku końcowi; nie będzie musiał się zastanawiać, co tak naprawdę Johannes Trojborg miał na myśli.

Następna w kolejce była Anna Bella Nor. Siedziała plecami do drzwi, ale odwróciła się, jak tylko Søren wszedł do pokoju. Miała krótkie ciemnoblonde włosy, owalną twarz, szczupłe, ale silne ciało. W jej ruchach wyczuwało się jakąś niechęć, jakby wolała być w innym miejscu. Nie potrafił opisać koloru jej oczu, zauważył jednak, że brwi i rzęsy miała kruczoczarne. Rozmowa toczyła się opornie, Anna Bella nie kryła, że śmierć profesora w tym momencie jest jej bardzo nie na rękę. Była wyraźnie zła i zestresowana.

– Za dwa tygodnie mam obronę pracy. Oględnie mówiąc, to zamieszanie jest mi bardzo nie na rękę – oświadczyła wprost.

Søren zaczął wypytywać o jej stosunek do Hellanda. Dowiedział się, że profesor w ogóle nie był jej w niczym pomocny, do tego stopnia, że zastanawiała się, czy nie złożyć na niego skargi. Dodała, że właściwie wszyscy byli na niego źli, łącznie z Johannesem, który po prostu nie chciał się do tego przyznać.

– Ja i Johannes się przyjaźnimy – wtrąciła nagle. – Problem w tym, że on nie zna się na ludziach. Jest za dobry. Wmówił sobie, że jego zadaniem tu, na ziemi, jest wybaczać ludziom wszystkie ich grzechy, bo przecież wszystko można jakoś wytłumaczyć, prawda? Ale nawet najlepsze wytłumaczenie nie usprawiedliwia złych uczynków. Prawda jest taka, że moja praca w ogóle Hellanda nie obchodziła.

To właściwie było wszystko, co Anna miała do

powiedzenia na ten temat. Dodała jeszcze, że także Svend i Elisabeth nie przepadali za Hellandem i zdaje się mieli ku temu powody. Helland zasiadał w najprzeróżniejszych komisjach, gdzie tylko udało mu się wcisnąć tyłek; decydował o sprawach istotnych dla funkcjonowania całego wydziału. Anna nie chciała wchodzić w szczegóły – Zanudziłby się pan na śmierć, proszę mi wierzyć – stwierdziła.

Podkreśliła natomiast, że Helland dwukrotnie, bez pytania, „pożyczył” sobie czajnik elektryczny, który ona i Johannes kupili za własne pieniądze. Søren, poirytowany, poprosił, żeby oszczędziła mu nieistotnych szczegółów.

– Pytał pan o stosunek Hellanda do kolegów, więc chciałam opisać klimat, jaki wytwarzał wokół siebie; pokazać, jakim był nadętym, niewrażliwym na potrzeby innych faszystowskim dupkiem.

Søren milczał, był pod wrażeniem potoku słów. Po chwili spytał, czy może Anna wie, co profesor miał w oku. Nie miała pojęcia.

– Ale nie wyglądało to dobrze – dodała. Jakiś czas temu zauważyła, że z okiem Hellanda coś jest nie w porządku, ale zbytnio się tym nie przejęła. Dopiero ostatnio zwróciła uwagę, że narodził się nie tyle się powiększyła, co stała się... bardziej wyraźna.

Søren podziękował, prosząc, żeby została w instytucie; będą jeszcze musieli pojechać na komendę. Anna dopytywała się kiedy. Sprawiała wrażenie bardzo niezadowolonej, Søren wytłumaczył jej, że takie są

procedury. Kiedy, wychodząc z pokoju, zamknął za sobą drzwi, zauważył, że się spocił.

Następni na jego liście byli Svend i Elisabeth, oboje z tytułami profesorów. Siedzieli i rozmawiali półgłosem w gabinecie Elisabeth. Kiedy Søren zapukał do drzwi, wstali i poprosili, żeby usiadł na ładnej, ale mało wygodnej kanapie z drewnianym oparciem i cienkimi poduszkami.

Svend był najstarszym profesorem w instytucie, właściwie powinien już być na emeryturze, ale nadal był aktywny; chciał dokończyć swoje projekty.

Na pierwszy rzut oka z tej czwórki Elisabeth wydawała się osobą najbardziej normalną. Była drobnej budowy, niska, o wyrazistych rysach, elegancko ubrana. Miała na sobie dopasowany kostium, była dobrze ostrzyżona, miała nowoczesne okulary i dyskretny makijaż. Jednak kiedy Søren przyjrzał się jej dokładniej, zauważył, że jest w niej pewna nerwowość. Rozglądał się dyskretnie po jej jasnym, przestronnym gabinecie. Wszędzie stały jakieś „biologiczne” drobiazgi.

– Zajmuję się bezkręgowcami – powiedziała. To zwierzęta, które nie mają kręgosłupa – dodała, widząc niezrozumienie na jego twarzy. Powiodła ręką wokół siebie, Søren przyjął, że stworzenia, które tak licznie zdobiły jej gabinet, to wszystko biedaki bez kręgosłupa.

Zarówno Svend, jak i Elisabeth byli wstrząśnięci wydarzeniami poranka. Pani profesor przyznała wręcz, że ma wyrzuty sumienia. Svend przytaknął. Oboje nieraz posyłali Hellanda do diabła. Tak było. Pracowali w

instytucie od dwudziestu pięciu lat, Svend nawet dłużej, i kiedy wspominali minione lata, to jedyną ciemną plamą był Helland. Zatruewał atmosferę pracy, wstrzymywał wspólne badania, kierował się przede wszystkim własnym interesem. Zasiadał w wielu radach administracyjnych, co – według Elisabeth i Svenda – było równoznaczne z daniem dziecku do ręki noża zamiast grzechotki. Helland bowiem w ogóle nie znał się na zarządzaniu. Kiedyś na przykład przegapił termin składania podań o dotacje, mimo że przez pół roku przypominano mu o tym niemal codziennie. Przez cały semestr instytut musiał zadowolić się środkami, które zostały z poprzedniego rozdania, co oznaczało między innymi, że studenci musieli płacić za porady opiekunów naukowych; odwołano też jedną wyprawę badawczą i nie można było wymienić rozsypujących się mikroskopów.

Dwa lata wcześniej Helland został szefem instytutu, co skończyło się fatalnie zarówno dla Zakładu Biologii Komórkowej, jak i Zakładu Zoologii Porównawczej. Helland bowiem nie potrafił ani zarządzać, ani prowadzić studentów; do tego dochodziły ciągle tarcia o budżet; był skłócony nie tylko z Elisabeth i Svendem, ale także z innymi pracownikami naukowymi. Na korytarzach instytutu huczało od plotek. Elisabeth rozważała nawet złożenie wymówienia. Powstrzymała się jednak, bo etat badawczy na uniwersytecie był jednak nie do pogardzenia; dawał jej pozycję, o którą długo walczyła. Poza tym czuła się odpowiedzialna za studentów.

Morfologia była popularną dziedziną, a ona lubiła uczyć, w przeciwieństwie do Hellanda, który najwyraźniej nie czuł się odpowiedzialny za nic i za nikogo. A przecież pracując na uniwersytecie, miał obowiązek kierować pracą naukową młodszych kolegów.

Søren wtrącił, że o ile zdążył się zorientować, w zakładzie była dwójka asystentów, Anna Bella Nor i Johannes Trajborg, i chyba oboje byli pod opieką Hellanda?

– Owszem – odpowiedziała Elisabeth z pewnym wahaniem. – To pierwsi jego podopieczni od dziesięciu lat. W tym okresie ja i Svend byliśmy opiekunami co najmniej czterdziestu studentów; większość z nich obroniła już doktoraty i wykłada. Odpowiadamy za studentów, mimo że czasem trudno jest wszystko pogodzić: jednocześnie uczyć, opiekować się doktorantami, prowadzić badania naukowe i osiągać w nich wyniki; jeśli jednak chcemy się liczyć w światowej nauce, musimy traktować nasze obowiązki poważnie – podkreśliła Elisabeth. Oczy jej płonęły. – Właściwie to zarówno Johannes, jak i Anna bardzo pozytywnie nas zaskoczyli – dodała i zamilkła, zerkając na Svenda.

– Ale...? – spytał niepewnie Søren.

– Żadne z nich nie pracowało w laboratorium. Praca Johanna była czysto teoretyczna, Anny także – wyjaśnił Svend.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie chodzili z nim do laboratorium,

że nie ciągnął za sobą żadnych ogonów; właściwie nie musiał nic robić, bo nikt go nie kontrolował. Obie prace, zarówno Johannes'a, jak i Anny, bazowały wyłącznie na literaturze. Wymagało to od nich więcej zachodu, ale dla Hellanda było to znacznie mniejszym obciążeniem, jeśli w ogóle. Oczywiście byliśmy z tego niezadowoleni. Chodzi o zasady.

Siedzieli w milczeniu.

– Ale to, co się stało, jest oczywiście straszne – odezwała się po chwili Elisabeth. – Najgorszemu wrogowi tego nie życzę.

Søren miał wrażenie, że Elisabeth chce dodać coś jeszcze, ale ona milczała.

– On nim był? Pani najgorszym wrogiem? – spytał Søren.

– Nie – odpowiedziała stanowczym głosem. – Co prawda był często cierniem w oku, ale po dwudziestu pięciu latach można do tego przywyknąć.

Søren schylił głowę. Na zewnątrz zapadał mrok i w gabinecie zrobiło się ciemno. Elisabeth wyciągnęła rękę i włączyła stojącą obok na stoliku lampę. Lampa miała miedzianą podstawę w kształcie ośmiornicy. Jej macki oplatały złoty, guzelkowy sznur. Miało się wrażenie, że ośmiornica usiłuje wydostać się z morskiej otchłani, albo może pociągnąć w nią za sobą biały jedwabny klosz. Søren zastanawiał się, czy ośmiornice mają kręgosłup, czy nie? Kiedy Elisabeth znów usiadła wygodnie na kanapie, powrócił do przerwanej rozmowy.

– A propos ciernia w oku, to wiadomo może, co Helland miał w oku? – spytał niewinnie, przyglądając się uważnie swoim rozmówcom. Zarówno Elisabeth, jak i Svend zdawali się autentycznie zaskoczeni.

– Miał coś w oku? – spytał Svend.

– I Johannes, i Anna zauważyli rodzaj narośli w jego prawym oku, która w ostatnich kilku miesiącach wyraźnie się powiększyła. Nie zwrócili państwo na to uwagi?

Elisabeth i Svend się zamyślili.

– Może to zabrzmie dziwnie – zaczęła Elisabeth z pewnym wahaniem – ale muszę przyznać, że właściwie nigdy mu się nie przyglądałam. W każdym razie nie aż tak dokładnie. Mijaliśmy się na korytarzu, ale od kiedy przekazał kierowanie Instytutem Torowi Ravnowi, nie musiałam już załatwiać z nim żadnych spraw administracyjnych. To było chyba wiosną, w marcu? – spytała, patrząc na Svenda. Profesor przytaknął.

– Panujące tu stosunki działały mi na nerwy. Półtora roku temu postanowiłam, że nie będę się tym wszystkim przejmować. Nie wierzyłam, że coś się tu kiedykolwiek zmieni, i uznałam, że skoro postanowiłam zostać, bo lubię uczyć i cenię sobie możliwość prowadzenia badań, muszę zaakceptować rzeczywistość taką, jaka jest, a więc pogodzić się z obecnością Hellanda. Od tamtego czasu właściwie głównie wymienialiśmy mejle, poza tym schodziliśmy sobie z drogi. Dlatego pewnie nie zauważyłam, czy miał coś w oku czy nie.

Søren zwrócił uwagę, że mówi spokojnie i nie unika

jego spojrzenia.

– Ja też niczego nie zauważyłem – dodał Svend.

– A w ogóle jakiego był zdrowia? Coś mu dolegało?

Elisabeth i Svend znów spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Coś musiało być nie tak, skoro jego serce nagle przestało bić. Dostał jakiegoś ataku, odgryzł sobie język, prawda? – powiedział Svend.

– Lekarz sądowy wyda opinię – stwierdził Søren obojętnie.

– Może był epileptykiem, tylko nikt o tym nie wiedział – zastanawiał się Svend.

– Ale państwo niczego nie zauważyli? – przerwał mu Søren.

– Nie – odpowiedzieli zgodnie.

Søren wyczuł w ich głosie wahanie. Spojrzał na Elisabeth.

– Chciałaby pani coś dodać?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Może to zabrzmie dziwnie... – zaczęła. – Nie, to niepoważne – stwierdziła.

– Mimo to nalegam – powiedział Søren łagodnie.

– Jak już wspomniałam, pisaliśmy do siebie mejle: chodziło o sprawy formalne, czysto praktyczne. Używaliśmy wspólnie komputera SEM, musieliśmy go rezerwować z pewnym wyprzedzeniem. Zdarzało się, że Helland się nie pojawiał, wtedy wysyłałam mu mejl z zapytaniem, czy mogę skorzystać z komputera, skoro on jest zajęty.

– Wysyłała pani mejl, mimo że jego gabinet jest trzydzieści metrów dalej? – dopytywał się Søren.

– Tak – odpowiedziała Elisabeth.- Rozumiem, proszę mówić dalej.

– Jeśli się nad tym zastanowię, to rzeczywiście było coś, co wydało mi się dziwne. – Uśmiechnęła się, ale bez satysfakcji. – Zauważyłam, że coraz gorzej pisze.

Zarówno Søren, jak i Svend spojrzeli na nią zdziwieni.

– Jak to? – spytał Svend.

– Ostatnie jego mejle były pisane bardzo niechlujnie, niemal nie rozumiałam, o co mu chodzi. Jakby pisał to, co przyszło mu do głowy, a potem nie miał czasu tego przeczytać, tylko natychmiast wysyłał. Uznałam to za brak szacunku; było to bardzo dziwne.

Mężczyźni zgodzili się z nią.

Søren był nadal przekonany, że śmierć Hellanda miała powody naturalne. Zaprosił wszystkich na komendę, żeby oficjalnie spisać zeznania. Po drodze analizował w myślach szczegóły sprawy, chcąc się upewnić, że o niczym nie zapomniał. Helland najwyraźniej nie był osobą szczególnie lubianą, ale też nie miał zdecydowanych wrogów. Żeby komuś uciąć język, nie wystarczyło go nie lubić, trzeba było go nienawidzić, pomyślał Søren. Uśmiechnął się do siebie. Anna Bella była chyba jedyną w tym gronie, która byłaby skłonna zaatakować profesora; nie mógł jednak wyobrazić sobie, żeby mogłaby się posunąć do czegoś tak drastycznego.

- Z czego tak się cieszysz? – spytał go Henrik.
- Z niczego – odpowiedział Søren, wyglądając przez okno.

O wpół do piątej Søren siedział w swoim pokoju, zastanawiając się, czy zacząć pisać raport, nie czekając na ostateczne wyniki obdukcji. Miał dostać je dopiero jutro, ale właściwie wiedział, czego może się spodziewać. Powodem zgonu był atak serca; wystarczy, że jutro uzupełni tym zdaniem raport, i sprawa zostanie zamknięta. Jedyne, co go powstrzymywało, to fakt, że dotąd nie zdołał zamienić choćby kilku słów z Erikiem Tybjergiem, najbliższym współpracownikiem profesora. Po przesłuchaniu Anny i pozostałych naukowców poszedł do Muzeum Zoologicznego, gdzie miał nadzieję zastać Tybjerga. Miejsce okazało się zaczarowanym lasem. Kiedy w recepcji spytał o Tybjerga, wskazano mu drzwi, za którymi krył się labirynt korytarzy, w których natychmiast się zgubił. Zapukał do kilku pokoi, ale albo w nich nikogo nie było, albo były po prostu zamknięte; dopiero w kolejnym natknął się na kogoś żywego. Starszy mężczyzna siedział przy biurku i coś pisał. Za jego plecami wisiała ogromna gablota z tysiącami motyli we wszelkich możliwych kolorach. Mężczyzna kazał Sørenowi iść korytarzem do schodów, następnie wejść na trzecie piętro; tam przy jednym z okien z pewnością znajdzie Tybjerga.

Pięć minut później Søren zabłądził ponownie; w

końcu, korzystając z pomocy młodej dziewczyny, dotarł do miejsca, gdzie Tybjerg zwykle siadywał, ale zobaczył tylko zapaloną lampkę, ołówek i krzesło. Postanowił poczekać; po dziesięciu minutach się znecierpliwił. Ruszył przed siebie i znalazł coś, co chyba było stołówką. Podszedł do kobiety, która stała obok zlewu i wyzymała ścierkę. Powiedział, że jest z policji i chce rozmawiać z Erikiem Tybjergiem, i to natychmiast. Kobieta uniosła głowę, rozejrzała się, stwierdziła że w stołówce go nie ma, i wróciła do wyzimaniania ścierki. Jakiś młody człowiek, siedzący przy stoliku obok, poinformował go, że Tybjerg ma swój pokój w piwnicy, w prawym skrzydle budynku. Musi zejść piętro w dół, dojść piwnicą do środkowej części budynku, skręcić w prawo, otworzyć drzwi prowadzące do piwnicy i tam, po stronie wychodzącej na park uniwersytecki, znajdzie gabinet Tybjerga. Søren zawrócił i poszedł do recepcji, gdzie dwadzieścia pięć minut temu zaczynał poszukiwania. Uprzejmym głosem zażądał, żeby ktoś łaskawie znalazł Erika Tybjerga. Student w recepcji zaczął wybierać kolejne numery telefonu, Søren stał i nerwowo bębnił palcami w blat.

– Nie ma go w pokoju, nie ma go w auli, nie ma w stołówce ani w bibliotece. Jedyne, co mogę zrobić, to wysłać mu mejl.

Søren podał swoje imię i nazwisko, i numer swojego telefonu komórkowego, prosząc o przekazanie, żeby Tybjerg jak najszybciej się z nim skontaktował. Następnie pojechał na komisariat w Bellahøj, i wrócił do pracy.

Właśnie zaczął się zbierać do domu, kiedy zadzwonił telefon.

– Søren Marhauge.

– To ja.

Ja, czyli sekretarka Sorena, Linda.

– Cześć – odpowiedział.

– Przed chwilą dzwonił zastępca głównego patomorfologa.

Patomorfolog Bøje Knudsen był obducentem w Szpitalu Krajowym. Søren nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy go lubi, czy nie. Zdawał sobie sprawę, że jego praca wymaga dużej odporności, uważał jednak, że Knudsen był zbyt niewrażliwy. A on jakby czytał w jego myślach, bo pewnego dnia powiedział: „Mój drogi, gdybym ronił łzy nad wszystkimi, którzy do mnie trafiają, stałbym po kolana w wodzie. Wierz mi jednak, że moja dusza płacze”. Søren jednak nadal był nieprzekonany. Sam oczywiście też był teraz znacznie odporniejszy niż na początku swojej kariery. Nie uważał jednak, żeby to zmniejszyło jego wrażliwość.

– Dlaczego go nie przełączyłaś?

– Bo nie chciał. Prosił, żebym ci przekazała, że na twoim miejscu pojechałby jak najszybciej do szpitala.

Kiedy Søren zaparkował samochód na szpitalnym parkingu, koło ogołoconych z liści topoli, dochodziła piąta. Asfalt był zasłany liśćmi, a jesienny wiatr zdawał się wiać ze wszystkich czterech stron świata. Søren

zameldował się w recepcji, po czym wsiadł do windy i zjechał dwa piętra w dół, gdzie w piwnicy mieścił się Zakład Medycyny Sądowej. Po raz drugi tego dnia przemierzał podziemny labirynt korytarzy, tym razem jednak nie błądził, szedł pewnie przed siebie. Po drodze spotkał kilkoro znajomych, wymienili pozdrowienia, po chwili usłyszał włączone radio i nucącego Bøje. Drzwi do pokoju były otwarte, ale Søren zapukał, zanim wszedł. Bøje siedział przy biurku, najwyraźniej czekał na niego.

– Jesteś – powitał go.

Søren usiadł. Bøje popatrzył na niego i podał mu kartkę zapisaną gęstwiną ledwie czytelnych hieroglifów. Odwinął wargę i bębnił palcami w blat biurka.

– Przeprowadziłem dzisiaj sekcję Larsa Hellanda – zaczął.

– Tak? – odpowiedział Søren. Miał nadzieję, że nareszcie dowie się wszystkiego.

– Zmarł na zawał – ciągnął dalej Bøje.

Søren przytaknął, było to zgodne z jego przewidywaniami.

– A język? – spytał.

– Sam go odgryzł. Jego serce przestało bić w wyniku gwałtownych drgawek epileptycznych. Ponieważ w pobliżu nie było nikogo, kto włożyłby mu do ust łyżeczkę, odgryzł sobie język.

– Świetnie. Rozumiem, że mogę już iść – powiedział Søren, zbierając się do wyjścia. Był zły, że w ogóle tu przyszedł.

– W zasadzie możesz – odrzekł Bøje, wzruszając ramionami. – Chyba że jesteś ciekaw, co najprawdopodobniej spowodowało napad drgawek – dodał.

Søren usiadł. Bøje zerkał na niego ponad okularami do czytania.

– Na pewno bardzo cierpiał – odezwał się w końcu. – Często się zdarza, że język czy wargi są pokaleczone, ale jeśli mam być szczery, nigdy nie widziałem, żeby ktoś rzeczywiście odgryzł sobie język.

– Chyba pamięć cię zawodzi. Nie pamiętasz sprawy z Lejre i tej drugiej, z Amager? – przypomniał mu Søren. Był pewien, że w obu przypadkach ofiara odgryzła sobie język.

– Tak, ale w żadnym z tych przypadków nie stało się to samoistnie, że tak to określe. To wymaga dużo siły. Nie można tak po prostu odgryźć sobie języka – powiedział z naciskiem Bøje. – Jeśli chodzi o Hellanda – ciągnął dalej – nic nie wskazuje na to, żeby ktoś mu pomógł, dlatego twierdzę, że drgawki były niezwykle silne: spowodowały, że odgryzł sobie język, a potem doszło do zatrzymania akcji serca. Nie ulega wątpliwości, że Lars Helland umierał w męczarniach – stwierdził, patrząc na Sorena. – Ale, mój drogi przyjacielu, to nic w porównaniu z piekłem, które musiał znosić w ostatnich miesiącach swojego życia – dodał po chwili. W jego oczach widać było szczere przerażenie, szybko jednak się opanował.

– O co ci chodzi? – spytał Søren.

– W jego ciele było pełno żyjątek.

– Żyjątek?

– Jakiegoś rodzaju pasożytów. Jestem lekarzem sądowym, nie parazytologiem, więc, niestety, nie jestem w stanie stwierdzić, co za szatańskie nasienie się w nim zagnieździło. Wiem jednak na pewno, że każda komórka jego ciała była nimi zainfekowana. Najwięcej było ich w mięśniach, chociaż system nerwowy też był zaatakowany. Wręcz trudno to sobie wyobrazić. Jego mózg był pełen cyst, które stale rosły. Rozumiesz, o czym mówię? Wypreparowałem kilka i wysłałem do Instytutu Serologii. Jutro dowiemy się, co to takiego.

Søren zaniemówił.

– Miałem taką samą minę, kiedy dotarło do mnie, jak ten nieszczęśnik musiał cierpieć – powiedział Bøje. – Nie mogę uwierzyć, że to tak długo trwało, to niepojęte.

– W jaki sposób się ich nabawił? – spytał Søren po dłuższej chwili.

– Pasuję.

– Ale... to w ogóle możliwe? – dopytywał się Søren.

Nigdy wcześniej nie słyszał o pasożytach gnieźdzących się w tkance mięśniowej człowieka. Słyszał oczywiście o tasiemcu, wiedział, że dzieci miewają owsiki, czytał o lambliozie i bilharcjozie. Wiedział, że ta ostatnia jest dość powszechna w krajach Trzeciego Świata, ale w każdym z tych przypadków chodziło o niepożądanych gości w żołądku czy w przewodzie pokarmowym, może też w układzie krwionośnym, nigdy

jednak nie w mięśniach. Poczul obrzydzenie.

– Nie wiem, pasuję. Nie jestem parazytologiem – powtórzył Bøje.

– Wiesz, ile miał tych... żyjątek? – spytał Søren.

Bøje sięgnął po kartkę papieru.

– W sumie około dwóch tysięcy sześciuset, w tkance nerwowej, mięśniowej i łącznej, znaczna liczba zagnieździła się w mózgu, a jedno w oku.

– Było wyraźnie widoczne – potwierdził Søren. Pokiwał głową i się zamyślił.

– Czy to znaczy, że zgon nie nastąpił z powodów naturalnych? – spytał po chwili.

– Znow pasuję – odpowiedział Bøje poważnie. – Po prostu nie wiem. Z jednej strony, jego śmierć wygląda na naturalną. Organizm po prostu się poddał; można tylko się dziwić, że nastąpiło to dopiero teraz; musiał być w świetnej formie. Ale, jak powiedziałem, nie jestem parazytologiem, więc nie chcę wchodzić w szczegóły. Przyznaję jednak, że ciśnie się na usta pytanie: jak, do diabła, to świństwo dostało się do jego organizmu?

Bøje zmrużył oczy.

– Nie daje mi to spokoju. Z drugiej strony, Helland był biologiem. Nie mam pojęcia, czym się zajmował. Może to był wypadek przy pracy? Może przewrócił próbkę z jakimś paskudztwem?

– Specjalizował się w ptakach – wtrącił Søren.

– Więc może to ptaki były źródłem zakażenia? Ale to tylko zgadywanki. W Instytucie Serologii mamy

doskonałą specjalistkę, Tove Bjerregaard. Rozmawiałem z nią. Obiecała zająć się tym jutro z samego rana. O dwunastej powinniśmy już coś wiedzieć. Poza tym na uniwersytecie pracuje Hanne Moritzen. Uchodzi za światowego eksperta w tej dziedzinie. Wiele lat pracowała w Ameryce Południowej i w Indonezji, gdzie tego rodzaju problemy są bodajże największe na świecie. Uważam, że powinniśmy się z nią skontaktować. Na pewno będzie w stanie powiedzieć, jak te żyjątka trafiły do organizmu Hellanda i jak doszło do tego, że zżerały go od środka – rzekł Bøje.

Zrobił chwilę przerwy, po czym uniósł do góry palec.

– Mam więcej ciekawych szczegółów. Lars Helland miał kilka świeżych złamań, które z czasem same się zrosły. Miał złamane trzy palce u lewej ręki, dwa u prawej, ślady po złamaniach na palcach u nóg. Na czaszce miał bliznę, odkryłem też dwa krwiaki w mózgu, oba niegroźne, ale jednak.

Bøje stał pochylony nad swoimi papierami. Uniósł głowę i spojrzał na Sørena.

– Jakieś osiem, może dziesięć lat temu przeszedł operację mózgu! Nadmieniam o tym, chociaż w tym kontekście to bez znaczenia. Nie stwierdziłem żadnych zmian chorobowych. Chcę jednak, żebyś o tym wiedział. Jeśli chodzi o złamania, to skontaktowałem się z moim kolegą w izbie przyjęć i poprosiłem, żeby sprawdził w rejestrze komputerowym. Był mi winien przysługę. Tak, wiem, że jest to niezgodne z prawem – powiedział, jakby

chciał uprzedzić ewentualne zastrzeżenia. – Helland nie kontaktował się z pogotowiem. Ani razu w ciągu ostatnich kilku lat. Oczywiście niewykluczone, że zgłosił się do innego lekarza, musisz to sprawdzić. Na pogotowiu nie mają żadnej adnotacji, a przecież jego obrażenia wymagały pilnej pomocy. Przypomina mi to przypadki, kiedy kobiety, które padają ofiarą przemocy, boją się zgłosić do lekarza, żeby ich partner nie trafił na tydzień za kratki. Gdyby nie te pasożyty, podejrzewałbym, że był maltretowany. W tej sytuacji sędzę jednak, że jego urazy miały związek z pasożytami. Dlaczego nie zgłosił się do lekarza, to już inna historia... – podsumował i zawiesił głos, dając do zrozumienia, że tę część zagadki powinien rozwiązać Søren.

– Czy mógł umrzeć w wyniku tych obrażeń?

– Nie – stwierdził Bøje zdecydowanie. – Helland zmarł, bo w jego tkankach zadomowiło się dwa tysiące sześćset nieproszonych gości. Jestem tego pewien.

Søren wstał, czując, że kolana się pod nim uginają.

Søren wyszedł ze szpitala, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie z dużą prędkością. Niebo było przez cały dzień szare i ciężkie; teraz zrobiło się ołowiane; temperatura spadła. Odkręcił szybę i poczuł na twarzy powiew zimnego powietrza.

Co się, do licha, wydarzyło?

Schował się za ciężarówką i zwolnił.

Musi zachować spokój.

Dotarł do domu, przygotował sobie kolację i usiadł do jedzenia. Nagle poczuł, że swędzi go całe ciało: głowa, krocze. Postanowił wziąć kąpiel. Kiedy się golił, znów poczuł swędzenie. Upewnił się, że nie ma wszy, potem usiadł i zaczął się przyglądać palcom u nóg. Może ma grzybicę? Jak to coś dostało się do organizmu tego biedaka? Nie miał pojęcia. Może razem z jakimś pokarmem? Ale w takich ilościach? Może się w nim rozmnażało? A może wzięło się z powietrza? Może było w wodzie? Krążył po pokoju, w końcu otworzył piwo; musi zachować zimną krew.

Wcześniej rano następnego dnia ruszył do Kopenhagi pełny energii. Najpierw zadzwonił do Birgit Helland, wdowy po Hellandzie. Odezwała się automatyczna sekretarka. Poprosił o pilny kontakt. Potem zadzwonił do swojej sekretarki i poprosił, żeby znalazła mu numer telefonu do Hanne Moritzen, parazytolożki pracującej na Uniwersytecie Kopenhaskim. Trzy minuty później Linda oddzwoniła. Søren zjechał na boczny pas autostrady, zatrzymał się i zanotował numer. Miał nadzieję, że żaden z jego nadgorliwych kolegów go nie zauważy. Wybrał numer do Hanne Moritzen i ponownie wyjechał na drogę.

– Halo?

Hanne Moritzen odebrała po pierwszym dzwonku. Sprawiała wrażenie zaspanej i nieobecnej. Przedstawił się. Nastąpiła cisza.

– Coś się stało Asgerowi? – spytała ledwie słyszalnie.

Podobne pytania Søren słyszał setki razy, powiedział więc szybko:

– Sprawa, w której dzwonię, nie ma nic wspólnego ani z pani rodziną, ani z panią osobiście.

Kobieta wyraźnie się uspokoiła. Dał jej dwie sekundy, żeby ochłonęła, i wrócił do przerwanej rozmowy.

– Chciałem prosić panią o pomoc. Prowadzę sprawę, w której nagle pojawiły się pasożyty. Bøje Knudsen, patomorfolog ze Szpitala Krajowego, twierdzi, że w tej dziedzinie jest pani najlepszą specjalistką.

Hanne Moritzen odetchnęła z wyraźną ulgą.

– To coś pilnego? – spytała. – Wczoraj wieczorem wyjechałam do mojego domku na wsi i planowałam zostać tu do środy.

Søren zaczął się zastanawiać. W końcu uzgodnili, że zadzwoni do niej później, kiedy dowie się czegoś więcej o sprawie. Hanne spytała, czy może podać jej jakieś szczegóły.

– Niestety nie, ale oczywiście wprowadzimy panią we wszystko, jeśli pani pomoc okaże się konieczna. Przepraszam za kłopot – zakończył.

Już chciał się rozłączyć, kiedy Hanne Moritzen spytała:

– Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią Larsa Hellanda?

– Pani go znała? – wyrwało się Sørenowi.

– Pracowaliśmy w tym samym instytucie, tylko w

różnych zakładach. Właśnie się o wszystkim dowiedziałam. Tak mi przykro.

Kobieta zdawała się być szczerze poruszona. Søren ucieszył się, że przynajmniej jedna osoba żałuje odejścia Hellanda. Po chwili zakończyli rozmowę.

Søren zostawił samochód na podziemnym parkingu i ruszył do swojego pokoju. Koledzy przyjęli jego pięciominutowe spóźnienie brawami. Zaczął zebranie od zreferowania tego, co usłyszał od Bøje; na twarzach kolegów zauważył malujące się obrzydzenie. Funkcjonariusz, któremu przypadło w udziale zawiadomić o śmierci żonę Hellanda i ich nastoletnią córkę, opowiedział o rozmowie z rodziną zmarłego. Córka, Nanna, była sama w domu, po chwili jednak zjawiała się matka. Dziewczynka oczywiście się rozplakała, matka uspokajała ją dłuższą chwilę. Dopiero potem mogła odpowiedzieć na pytania. Birgit Helland stwierdziła, że jej mąż był w doskonałej formie. Dużo jeździł na rowerze, i to od lat; poza tym grywał w squasha i biegał. Jego ojciec zmarł nagle na serce; uznała, że podobny los spotkał teraz jej męża, relacjonował funkcjonariusz. Obecni w pokoju spojrzeli w tym momencie na Sørena. Uznano, że to on powinien przekazać wdowie wiadomość o nieproszonych gościach w ciele Hellanda.

Nikt nie sięgnął po leżące na talerzach drożdżówki z żółtym kremem, który lekko się trząsł.

O dwunastej, we wtorek, Søren i Henrik weszli do

budynku na Amager, w którym mieścił się Instytut Serologiczny. Znow musieli pokonywać ciągnące się w nieskończoność korytarze. Szybko stracili orientację i zdali się na prowadzącą ich kobietę, która skręcała to w prawo, to w lewo, otwierała jakieś drzwi, aż w końcu dotarli do jasnego, przestronnego laboratorium. Jedna z pracujących tam kobiet wstała i się przedstawiła. Tove Bjerregaard. Poprosiła mężczyzn, żeby usiedli na niskiej kanapie, która stała pośrodku pomieszczenia.

– Obejrzałam preparaty – powiedziała. – Nie mam wątpliwości, że mamy do czynienia z tasiemcem uzbrojonym, tak zwanym tasiemcem świńskim, *Taenia solium*. Według mojej oceny pacjent został nim zainfekowany trzy, może cztery miesiące temu.

Patrzyła na funkcjonariuszy.

– Tasiemiec świński należy do płazińców – ciągnęła dalej. – W dorosłym stadium pasożytuje na ludziach, żywiąc się treścią pokarmową. Ciało tasiemca składa się z tak zwanych proglotydy, pojedynczych segmentów wyposażonych w narządy rozrodcze; każdy zawiera około czterdziestu tysięcy zapłodnionych jajeczek. Proglotydy odrywają się od ciała tasiemca i zostają wydalone z kałem. W ten sposób jajeczka trafiają do żywiciela pośredniego, którym w tym przypadku jest Świnia. To właśnie sprawia, że *Taenia solium* występuje powszechnie w krajach, gdzie zwierzęta i ludzie przebywają blisko siebie. W krajach Trzeciego Świata świnie często mają kontakt z katem ludzkim, inaczej jest w świecie

zachodnim. Tasiemiec nie występuje też prawie w ogóle w krajach muzułmańskich i w społecznościach żydowskich, w których nie jada się wieprzowiny.

Kobieta zerknęła na Sørena i Henrika, jakby chcąc się upewnić, czy rozumieją, co mówi. Zastanowiła się chwilę, po czym wstała i po chwili biała tablica bezszelestnie opuściła się z sufitu. Kobieta wzięła do ręki pisak i zaczęła ilustrować swoją wypowiedź prostymi rysunkami.

– W organizmie świni z jajeczek wykluwają się larwy, które wraz z krwią trafiają do tkanki mięśniowej zwierzęcia, do systemu nerwowego lub do podskórnej tkanki łącznej, gdzie rozwijają się tak zwane wągry. Ich dalszy rozwój następuje dopiero, gdy mięso świni zostanie zjedzone, na przykład przez człowieka.

Ręka kobiety powędrowała do tablicy.

– W żołądku człowieka larwa zostaje zbudzona z drzemki, umiejscawia się w jelicie i przekształca w tasiemca, kończąc swój cykl życiowy.

Søren poczuł mdłości. Zajrzał do notesu, w którym zapisał kilka informacji. Chciał coś powiedzieć, ale Tove Bjerregaard go uprzedziła.

– Tasiemiec jest przypadłością niegroźną. Zdarza się, że jego nosiciel nie odczuwa żadnych dolegliwości. Dlatego człowiek czasem nosi w sobie tasiemca, wcale o tym nie wiedząc. Bywa, że odkrywa się to podczas operacji lub w trakcie sekcji. Tasiemce osiągają zwykle długość od dwóch do czterech metrów. Jeśli pacjent zostanie zdiagnozowany, podaje się mu lekarstwa.

Tasiemiec umiera i zostaje wydalony z kałem. Niezbyt apetyczne, ale jak już mówiłam: całkowicie niegroźne.

Søren poczuł, że znów robi mu się niedobrze. Jednocześnie miał wrażenie, że coś tu się nie zgadza.

– Czy dobrze rozumiem – zaczął. – Lars Helland nie miał tasiemca, tylko te... – zerknął w swoje notatki – tylko te larwy, wągry – dokończył.

– Zgadza się – stwierdziła kobieta. – Ale nie skończyłam jeszcze swojego wywodu – dodała. – Cykl życia pasożytów jest dziedziną szalenie skomplikowaną, nawet dla biologów – ciągnęła dalej. – Dlatego żeby zostać dobrze zrozumiana, zrobiłam to krótkie wprowadzenie.

Patrzyła na obu mężczyzn, najwyraźniej dobrze się bawiąc.

– Tak, oczywiście, przepraszam – powiedział Søren.

Henrik nie odzywał się, wyglądał jakby cierpiał na chorobę morską.

Søren spodziewał się, że Tove Bjerregaard zacznie teraz drugą część swojego odrażającego wywodu, ale ona spojrzała na nich i spytała:

– Jaki z tego płynie wniosek?

– Że Helland zżarł gówna. Niech to diabli! – powiedział Henrik.

Søren spojrzał na niego poirytowany.

– Wniosek z tego taki – zaczął, zwracając się do kobiety – że Helland w jakiś sposób spożył jajeczko tasiemca.

Zamilkł zamyślony. Nagle dotarła do niego przerażająca prawda.

– A dokładnie dwa tysiące sześćset jajeczek – uzupełniła Tove Bjerregaard. – Bowiem tyle otorbionych larw znalazł Bøje w tkankach zmarłego.

Sørenowi udało się w końcu opanować mdłości i skupić się na tym, co mówiła im kobieta.

– Nie znaczy to jednak, że spożył taki... – zerknął w swoje notatki – taki jeden segment tasiemca?

– Tego nie wiemy – odpowiedziała kobieta. Søren zauważył cień uśmiechu, drgającego w kąciku jej ust.

– Jeśli jeden taki segment zawiera około czterdziestu tysięcy jajeczek, można by się spodziewać więcej niż jedynie dwóch tysięcy sześciuset larw. Z drugiej strony może też być wiele przyczyn tego, że wykształciło się tylko tyle – powiedziała, wzruszając ramionami. – Najważniejszy w tym wszystkim jest fakt, że Helland był żywicielem pośrednim tasiemca, co na naszej szerokości geograficznej zdarza się niezwykle rzadko. Podczas mojej blisko trzydziestoletniej pracy w instytucie spotkałam się z tym zaledwie trzy razy i zawsze dotyczyło to osób, które wcześniej przebywały w Ameryce Łacińskiej, w Azji czy w Afryce. Wiadomo, czy Helland ostatnio gdzieś podróżował?

– Na pewno to sprawdzimy. Niedawno się o tym dowiedzieliśmy, to znaczy o pasożytach w jego ciele – wyjaśnił przepraszająco.

– Czy można określić, jak długo larwy znajdowały się

w jego mięśniach? – spytał.

– Sądzę, że około trzech, czterech miesięcy. Wnioskuje to z ich wielkości. Rosną powoli. Zwykle otorbiają się w organizmie świni, czekając, aż ktoś zje zakażone mięso. Ale mięsa człowieka się nie jada, prawda? Larwy znalezione w ciele Hellanda były dość spore, dlatego sądzą, że przebywały w jego organizmie już jakiś czas. Początkowo pewnie w ogóle nie odczuwał ich obecności, kiedy jednak urosły, musiały mu niezłe dokuczać. Nie pojmuję, jak to wytrzymawał. Wągrzy tasiemca zagnieżdżają się najchętniej w centralnym układzie nerwowym człowieka. Badania prowadzone w Meksyku, gdzie takie przypadki często się zdarzają, pokazują, że osiemdziesiąt dwa procent larw umiejscawia się w tkance nerwowej. Następnie w mięśniach i w tkance podskórnej, właśnie w takiej kolejności.

– Jakie są objawy zakażenia? – spytał Søren.

– Bardzo różne. Na ogół zależność jest prosta: im więcej larw, tym silniejsze objawy, i tym większe szkody dla organizmu. Co prawda zależy to też od umiejscowienia larw. Czterdzieści tysięcy wągrów zagnieżdżonych w tkance mięśniowej może paradoksalnie wyrządzić mniej zła niż kilka zagnieżdżonych w tkance nerwowej. Tkanka mięśniowa radzi sobie z nieproszonymi gośćmi nadspodziewanie dobrze; dopiero w późniejszym stadium rozwoju larw osoba zakażona zaczyna odczuwać bóle mięśni. Jeśli natomiast wągrzy zagnieżdżą się w układzie nerwowym, sprawa

przedstawia się inaczej. Larwy rosną i potrzebują więcej miejsca, a układ nerwowy człowieka ma dla niego ogromne znaczenie, znacznie istotniejsze niż tkanka mięśniowa. Jeśli larwy zagnieżdżą się w mózgu, mogą wywoływać objawy podobne do padaczki albo zbliżone do tych, które obserwujemy u chorych na raka mózgu. Może się zdarzyć, że pacjent zacznie tracić świadomość, pojawią się u niego problemy z poruszaniem się, drgawki. Z opisu Knudsen'a wynika, że pacjent miał duże skupisko larw w mózgu i ślady licznych złamań. To wszystko zapewne jest ze sobą powiązane.

Tove Bjerregaard zamilkła, by po chwili kontynuować wywód.

– Jeśli larwy zostaną w porę odkryte, pacjentowi podaje się lekarstwa lub przeprowadza operację, w zależności od liczby larw, ich umiejscowienia i stadium rozwoju. W tym przypadku larwy najwyraźniej nie zostały odkryte, co, prawdę mówiąc, brzmi dość niewiarygodnie. Nie pojmuję, jak pacjent w ogóle mógł pracować. Pozostaje dla mnie zagadką, jak w dniu, kiedy zmarł, udało mu się dotrzeć do pracy.

Znów zapadło milczenie. Chwilę siedzieli w ciszy.

– Czy mogę panom jeszcze jakoś pomóc? – odezwała się w końcu kobieta.

Søren zmieszał się; zwykle to on kończył rozmowę, stwierdzając, że nie ma więcej pytań. Zauważył, że kobieta zerka na zegarek.

– Ma pani jakiś pomysł, jak larwy mogły trafić do

organizmu profesora? – spytał pospiesznie.

– Nie. Nic nie przychodzi mi do głowy.

Tove odezwała się niemal obrażonym tonem, Søren zrozumiał, że zadał niemądre pytanie. To tak jakby pytał mechanika samochodowego o przyczynę wypadku.

– Można podejrzewać – zaczęła Tove Bjerregaard po chwili – że zjadł fekalia lub coś, co było zanieczyszczone kałem, co jednak wydaje się raczej mało prawdopodobne. Mógł też zetknąć się z tasiemcem w pracy i przez przypadek zostać zainfekowany, co także jest szalenie mało prawdopodobne. Są pasożyty, którymi można się zarazić przez skórę, jak na przykład przywra japońska, powodująca bilharcjozę. Tasiemiec świński musi przejść przez cały układ trawienny, żeby zakończyć swój cykl życiowy. Jeśli więc założymy, że doszło do jakiegoś wypadku w laboratorium, to nadal nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogło dojść do zainfekowania larwami. Należy też zakładać, że doświadczony biolog w przypadku, powiedzmy, pęknięcia probówki, natychmiast podejmie wszelkie konieczne kroki ostrożności i zapewne nie zasiądzie do śniadania, nie umywszy wcześniej rąk. Moja hipoteza jest taka, że Lars Helland w ciągu ostatniego pół roku przebywał w kraju o dużym ryzyku zakażenia. Nadal co prawda nie wiem, jak mogło do niego dojść, ale cóż, czasem to się zdarza.

– A jeśli żadna z tych hipotez nie jest prawdziwa? – spytał Søren po chwili namysłu.

Tove Bjerregaard wstała.

– Jeśli mam być szczerą, to wolę o tym nie myśleć – odpowiedziała krótko. – Zmarły przed śmiercią przeżył piekło. Nawet jeśli został zainfekowany w sposób naturalny, to jest to wystarczająco nieprzyjemne. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś zainfekował go larwami z premedytacją; nie mówiąc już o tym, że sam pomysł brzmi mało wiarygodnie. Trzeba sporej fachowej wiedzy, żeby z kału wybrać proglodyty z dojrzałymi jajami i oczyścić je, niczego nie uszkadzając. Poza tym sam pomysł wydaje mi się chory. Przykro mi, że pacjent zmarł w tak dramatycznych okolicznościach, ale trudno mi doszukiwać się tu śladów zbrodni. Naprawdę. – Zakończyła, dając wyraźnie do zrozumienia, że powinni się pożegnać.

– Jak przechowywany jest materiał biologiczny? – nie poddawał się Søren. Kobieta spojrzała na niego.

– Nikt nieupoważniony nie ma dostępu do laboratorium, jeśli o to panu chodzi – odpowiedziała poirytowana. – To chyba oczywiste, tym bardziej że mamy tu materiał znacznie bardziej niebezpieczny niż tasiemce: wirusy HIV, żółtaczkę C, wirusy eboli, ptasiej grypy. Nie ma takiej możliwości – powtórzyła, patrząc na Sørena przenikliwym wzrokiem. – A nawet jeśli jakimś cudem komuś by się to udało, to jedynie fachowiec ma wiedzę, która pozwoli mu zabezpieczyć materiał. Jeśli laik włamie się do laboratorium i ukradnie próbkę z wirusem, materiał szybko ulegnie zniszczeniu. Złodziej nie uciekłby daleko.

– Czy instytut jest jedynym miejscem, gdzie przechowuje się aktywny materiał biologiczny? – dopytywał się Søren.

– Na pewno mamy go najwięcej. Jak pan zapewne wie, na Uniwersytecie Kopenhaskim pracuje Hanne Moritzen, która jest znaną specjalistką w tej dziedzinie. Ona także dysponuje pewną ilością aktywnego materiału, inaczej nie mogłaby prowadzić badań. Na pewno jednak stosuje wszelkie możliwe środki ostrożności. Jest wybitną specjalistką w swojej dziedzinie, może kiedyś dostanie Nobla? – zakończyła Tove Bjerregaard tym razem już nieodwołalnie.

Søren i Henrik wyszli z instytutu w milczeniu. Wsiedli do samochodu, Henrik chciał coś powiedzieć, ale Søren go powstrzymał. Potrzebował chwili spokoju, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Jechali więc w milczeniu. Søren patrzył przez okno, obserwując mijane budynki i drzewa.

Po powrocie na komisariat poszedł od razu do swojego pokoju, zaparzył herbatę i wypił trzy filiżanki. Lars Helland umarł, bo w jego organizmie zagnieździło się dwa tysiące sześćset larw, poza tym miał liczne złamania i pęknięcia. Co to, do licha, mogło znaczyć? Niewiele myśląc, zadzwonił ponownie do Birgit Helland. Była w domu. Dziesięć minut później siedział już w samochodzie, jadąc w kierunku Herlev. Jeśli Lars Helland został zamordowany, a taką możliwość Søren musiał teraz

brać pod uwagę, było niewykluczone, a wręcz wielce prawdopodobne, że zabójcą był ktoś z jego rodziny lub najbliższego kręgu znajomych. Dlatego Birgit Helland nagle znalazła się na pierwszym miejscu listy osób, z którymi musiał poważnie porozmawiać.

Wdowa po profesorze przyjęła go w dużym, przestronnym pokoju; zawołała też córkę, która przyszła ze swojego pokoju na piętrze. Obie były zapłakane. Nie wchodząc w szczegóły, Søren poinformował je, że wygląda na to, że Lars Helland cierpiał na wywodzącą się z tropików infekcję i że policja bada, czy mogła ona być przyczyną zgonu. Birgit wyglądała na zszokowaną, na jej twarzy malowało się niedowierzanie. Infekcja tropikalna? Niemożliwe. Jej mąż nigdy nie był w tropikach. Panicznie bał się latać. Było to bardzo uciążliwe, bo większość konferencji naukowych odbywała się za granicą. Zwykle wysyłał na nie swojego współpracownika, Erika Tybjerga. Sam jeździł jedynie tam, gdzie mógł dotrzeć samochodem bądź pociągiem. Birgit spytała się o szczegóły choroby. Søren odpowiedział, że na obecnym etapie śledztwa nie może jej nic więcej powiedzieć.

– Śledztwa? – powtórzyła Birgit zdziwiona.

Søren znów zaczął tłumaczyć, że zawał co prawda wskazywał na zgon z przyczyn naturalnych, ale policja ma swoje podejrzenia. Niestety nie może jej podać żadnych bliższych szczegółów.

– Podejrzewacie mnie? – spytała Birgit zła. – Proszę mi powiedzieć – domagała się.

– Zrobimy wszystko, żeby się dowiedzieć, dlaczego Lars Helland zmarł – odpowiedział Søren wymijająco. – Proszę mi zaufać – dodał.

Birgit patrzyła na niego sceptycznie, Nanna pokiwała głową.

Kiedy dziewczynka wstała, żeby pójść do toalety, Søren skorzystał z okazji i zaczął wypytywać Birgit o stan zdrowia jej męża.

– Lars był w doskonałej formie.

– Był zdrowy?

– Tak. Już to mówiłam. Dziewięć lat temu przeszedł operację raka mózgu. Nowotwór został usunięty, nie miał żadnych przerzutów. Chodził regularnie na kontrolę. Był w znakomitej formie – powtórzyła.

– Nie zauważyła pani żadnych niepokojących objawów?

– Niczego.

Søren podziękował i wyszedł. Nie potrafił powiedzieć, czy Birgit naprawdę nie wiedziała nic o pasożytach i złamaniach, czy też była znakomitą aktorką.

Po powrocie na komisariat natychmiast zadzwonił do Muzeum Zoologicznego i poprosił o połączenie go z Erikiem Tybjergiem. Po dłuższej chwili recepcjonistka poinformowała go, że Tybjerga nie ma w pokoju. zaproponowała, że wyśle mu mejl z prośbą o kontakt. Søren głośno westchnął.

Ktoś zapukał do drzwi, po chwili do pokoju wszedł

Sten. Był policyjnym informatykiem i od wczoraj zajmował się komputerem Hellanda. Wcześniej Søren nie przywiązywał do tego większej wagi, pewien, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Teraz jednak skruszony poprosił Stena o sprawozdanie.

– Lars Helland założył konto mejlowe w lutym 2001 roku – zaczął Sten. – Na serwerze znalazłem ponad półtora tysięcy mejli. Wszystkie przejrzałem. Większość dotyczy spraw służbowych, niektóre adresowane są do żony, która pracuje na Wydziale Humanistycznym uniwersytetu, oraz do córki, Nanny. Jedyne, co zwróciło moją uwagę, to dwadzieścia dwa mejle adresowane do profesora ornitologii na uniwersytecie w Vancouver, niejakiego Clive’a Freemana. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Søren skinął głową.

– O coś się kłócili. W swojej korespondencji wielokrotnie odwołują się do swoich artykułów w różnych naukowych czasopismach, między innymi w powszechnie znanym „Scientific Today” i innych, nieznanymi mi, periodykach. Na początku korespondencja prowadzona była w spokojnym tonie, ale nagle wiosną coś musiało się wydarzyć. Obaj co prawda usiłowali zachować pozory kulturalnej wymiany zdań, ale wyraźnie widać, że Freeman został postawiony pod ścianą, ku radości Hellanda. Co najmniej w dwóch mejlach Freeman posunął się tak daleko, że wręcz groził Hellandowi.

Sten podał Sørenowi kartkę papieru z zakreślonymi

zdaniami.

– Nagle w czerwcu zapada milczenie. Nie wiadomo dlaczego; brak jakichkolwiek wskazówek. Następuje jakby zawieszenie broni. Niedługo potem Helland zaczyna otrzymywać pierwsze anonimowe mejle. Pierwszy: 9 lipca.

Sten podał mu kolejną kartkę.

– Ostry ton nie pozostawia żadnych wątpliwości. Ktoś mu grozi.

– Nadawcą jest Clive Freeman? – spytał Søren.

Sten pokręcił głową.

– Jestem niemal pewien, że nie. Te mejle są pisane w innym tonie. Nadawca ma jeden cel: chce przestraszyć Hellanda. Właściwie jest to tylko jedno zdanie.

Søren spojrzał uważniej na kolegę.

– *For what you have done, you shall suffer.*

– Będziesz cierpiał za to, co zrobiłeś – powtórzył Søren, marszcząc brwi. – Helland mu odpowiedział? – odezwał się po krótkiej chwili.

Sten znów pokręcił głową przecząco.

– Nie odpowiedział mu, ale wygląda na to, że te mejle go bawiły. Pewnie sądził, że są od Clive’a, i uznał, że nie warto się nimi przejmować. Nie traktował ich poważnie.

– Nadawca nieznany, tak?

– Adres na Hotmail: „Justicia Sweet”, miłe prawda? To może być każdy.

Søren chwycił się za głowę i westchnął.

– Masz coś jeszcze? – spytał.

– Owszem, nie wiem, czy to coś ważnego, ale wygląda na to, że Helland miał na pieńku jeszcze z jedną osobą – powiedział Sten, mrużąc oczy.

– Ostatnie dziesięć dni przed śmiercią bardzo intensywnie korespondował z niejakim Johannesem Trojborgiem.

Sten zrobił pauzę, zdanie zawisło w powietrzu.

– W przeciwieństwie do wymiany zdań Helland-Freeman, w tym wypadku nie ma wątpliwości, czego dyskusja dotyczy. Pracowali razem nad artykułem i Johannes był niezadowolony z nikłego wkładu pracy Hellanda. Zażądał wręcz, żeby profesor się wycofał, ponieważ artykuł tak naprawdę w całości był jego autorstwa, to znaczy autorstwa Johannesesa. Helland nie chciał się zgodzić.

Søren znów pokiwał głową, Sten ciągnął dalej:

– Jest coś, co zwróciło moją uwagę. Mejle Hellanda wysyłane w ciągu ostatnich pięciu, sześciu tygodni są niesłychanie niechlujnie pisane, roi się w nich od błędów i literówek, ostatnie są wręcz nieczytelne, spójrz – powiedział, podając mu wydruk: „nie mohe ci pomuc bo nie jest zgoda. Przykto, może jutro, o 10 w moim gabnecie. L.”

– Nie jest to zbyt poprawny język, przyznaję – zgodził się Søren.

Nagle wszystko zaczęło mu się układać.

– Sten, facet miał w mózgu pasożyty, nic dziwnego, że nie radził sobie z pisaniem – powiedział.

Kiedy Sten wyszedł, Søren zadzwonił ponownie do Hanne Moritzen. Chciał się z nią spotkać. Hanne wciąż była na wsi. Søren spojrział na zegarek, poprosił o adres i oznajmił, że przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł, pokonując korki na drogach. Hanne zgodziła się, aczkolwiek niechętnie.

Następnie zadzwonił do Johannesesa. Podświadomie czuł, że młody biolog mówi prawdę, chciał jednak dowiedzieć się, dlaczego dotąd nie wspomniał mu o nieporozumieniach między nim a Hellandem. Słyszał, jak telefon dzwoni, ale nikt nie odebrał.

Znalezienie domku Hanne Moritzen zajęło mu trochę czasu i kosztowało sporo zachodu. Domek położony był nad morzem, przy Hald Strand, był niewielki, ale dobrze utrzymany, wyglądał jak mały klocek na ogromnym boisku. Składał się właściwie tylko z jednego pomieszczenia, jasnego i niemal pustego. Wyraźnie widać było wpływy wschodnie. Hanne podała mu niemal białą, ale zaskakująco mocną herbatę w japońskiej miseczce, i poczęstowała czymś, co sądził, że jest czekoladą. Okazało się jednak, że jest to japoński przysmak, zresztą niezbyt smaczny. Søren skrzywił się, wywołując uśmiech na twarzy kobiety.

Hanne Moritzen nie wyglądała na szczęśliwą kobietę, pomyślał. Sprawiała wrażenie kogoś, kto już się poddał; widać to było w jej pozbawionych blasku szarych oczach.

Okazała się jednak osobą bardzo kontaktową i miłą. Ubrana była w luźny dres, włosy miała związane gumką w koński ogon.

Søren próbował wytłumaczyć jej zaistniałą sytuację. Przekazał pozdrowienia od Tove Bjerregaard, chociaż Tove wcale go o to nie prosiła. Hanne pobladła, kiedy zreferował jej wyniki badań patomorfologicznych. Dwa tysiące sześćset larw. Nie tylko pobladła, ręce zaczęły jej drżeć, wzrok błędził po pustych ścianach domku. Po chwili jednak wzięła się w garść. Søren spytał, czy może skorzystać z toalety; kiedy wrócił, Hanne była znów skupiona. Spokojnym głosem wyraziła swoją opinię, była pewna, że Helland nie został zakażony tasiemcem w wyniku wypadku przy pracy.

– Jest morfologiem, specjalizuje się w kręgowcach – oświadczyła, jakby to wszystko wyjaśniało. – Ostatni raz miał kontakt z pasożytami na kursie podstawowym z parazytologii, pewnie w latach siedemdziesiątych – dodała po chwili. – To bardzo szczególna dziedzina – wyjaśniała dalej. – Lars Helland zajmował się czymś całkowicie innym i bardzo odległym od pasożytów. To tak, jakby porównywać psychiatrię z ortopedią.

W ciągu następnej półgodziny Hanne Moritzen potwierdziła wszystko, co już wcześniej powiedziała Sørenowi Tove Bjerregaard.

– W Danii mieliśmy do czynienia z tego rodzaju infekcją ostatni raz w roku 1997. Pacjent, dwudziestośmioletni mężczyzna, zgłosił się z

dolegliwościami skórnymi po dłuższym pobycie w Meksyku. Podczas zabiegu usunięto mu dziewięć larw. Został zarażony, kiedy idąc szosą, dostał się między chłopców obrzucających się błotem. Któryś niechcący trafił go ziemią w usta. To najprawdopodobniej było źródłem zakażenia. Istnieje wiele różnych pasożytów, którymi możemy się zarazić przez skórę, pijąc wodę z nieznanego źródła czy spożywając niedogotowane pokarmy. Zakażenia larwą tasiemca można stosunkowo łatwo uniknąć, przestrzegając podstawowych zasad higieny. Inaczej jest, jeśli chodzi o samego tasiemca. Tutaj źródłem zakażenia pozostaje niezmiennie surowe bądź niedosmażone mięso wieprzowe.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, larwy nie mogły się dostać do jego organizmu w sposób naturalny?

– Powiedziałabym, że to jedyna możliwość, choć wydaje się szalenie nieprawdopodobna. W jego zakładzie nie ma w ogóle aktywnego materiału biologicznego.

– Czy do zakażenia mogło dojść podczas wizyty w Instytucie Parazytologii?

– Teoretycznie tak, ale to nieprawdopodobne.

– Dlaczego?

Hanne Moritzen popatrzyła na Søren.

– Jestem szefem instytutu i wiem, kto i kiedy przebywa w laboratorium. Obowiązują bardzo rygorystyczne zasady.

– Tove Bjerregaard sądzi, że do zakażenia doszło trzy, cztery miesiące temu – powiedział Søren, patrząc

wyczekująco na Hanne.

– Nie sądzę, by tak było – odpowiedziała kobieta.

– Dlaczego?

– No nie wierzę, że ktoś z taką infekcją mógłby żyć tak długo. Zdarzyło się panu kiedyś dotknąć kaktusa?

Søren pokręcił głową przecząco.

– Jego kolce są delikatne i niemal przezroczyste, ale ostre jak skalpel, wchodzą bardzo głęboko w skórę. Po kilku godzinach dłonie zaczynają boleć, a po paru dniach w miejscach ukłucia pojawiają się zainfekowane ropnie. To samo dzieje się w przypadku larw zagnieżdżonych w tkance mięśniowej. Trudno to sobie wyobrazić, prawda?

Søren przytaknął.

– Może jednak Helland był wyjątkiem – stwierdziła Hanne.

Søren uznał najpierw, że sobie z niego żartuje, ale jej oczy były poważne.

– Mogło się zdarzyć, że larwy umiejscowiły się tak, że mimo wszystko był w stanie funkcjonować. Zależy, w którym miejscu był ucisk. Tak jak w przypadku guza mózgu. Jeden traci przytomność, mając guz wielkości rodzyнки, inni żyją i funkcjonują z guzem wielkości kurzego jaja – powiedziała i wzruszyła ramionami.

– Jest pani zszokowana – odezwał się nagle Søren. – Widzę, że stara się pani to ukryć, ale mimo wszystko jest to widoczne.

– Cóż, śmierć zawsze szokuje – odpowiedziała Hanne, starając się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie. –

Poza tym wiem, przez jakie piekło przeszedł, jeśli, oczywiście, Tove ma rację. Nic więc dziwnego, że jestem zszokowana; na pewno będę chciała się dowiedzieć, jak do tego doszło. Współczuję też jego córce; niełatwo jest dorastać bez ojca.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nie znała go pani bliżej?

– Nie. Na drugim semestrze miałam z nim zajęcia. Był dobrym wykładowcą. Potem, kiedy zaczęłam pracować w instytucie, spotykaliśmy się czasem na korytarzu i wymienialiśmy pozdrowienia, to wszystko.

– Jest pani zamężna? Ma pani dzieci? – dopytywał się Søren.

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z tą sprawą?
Søren spojrzał jej w oczy i powtórzył pytanie.

– Nie – odpowiedziała w końcu Hanne. – Nigdy nie byłam mężatką i nie mam dzieci. Poświęciłam się pracy zawodowej.

Søren pokiwał głową.

– Czy wie pani, czy Lars Helland miał wrogów?

Hanne roześmiała się krótko, chociaż nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

– Oczywiście, że miał wrogów. Był zdolnym naukowcem, odważnym. Jeśli dać wiarę plotkom, doprowadzał do szału swoich leniwych kolegów. Na pewno przysparzało mu to wrogów. Zwykle nienawidzimy tych, którzy robią wokół siebie zbyt wiele szumu. Jak już mówiłam, prawie go nie znałam, ale

podświadomie go lubiłam. Podejmował trudne naukowe tematy, nie bał się dyskusji, przynosił chlubę naszemu wydziałowi. Lata temu wdał się w moim zdaniem śmieszłą dyskusję, dotyczącą pochodzenia ptaków. Prasa dużo o tym pisała, jednak według mnie było to bez sensu.

– Dlaczego?

– Ptaki to dinozaury. Koniec, kropka. Nawet dzieci to wiedzą. Kiedy Anna powiedziała mi, że chce na ten temat pisać pracę dyplomową, poświęcić cały rok na tę burzę w szklance wody, byłam zła. Usiłowałam jej to wyperswadować. Ten Kanadyjczyk, którego Helland i Tybjerg zwalczali, nie szczędząc na to środków, to dureń...

– Uważa pani, że Clive Freeman...

– Właśnie, tak się nazywa – weszła mu w słowo Hanne.

– Myśli pani, że mógłby wpaść na pomysł i zainfekować Hellanda larwami tasiemca, żeby się na nim zemścić?

Hanne Moritzen roześmiała się głośno.

– Nie, w to nie wierzę! Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby wpaść na taki pomysł... – Nagle jakby się zawahała. – To byłoby chore – dokończyła po chwili.

– Rozumiem, że zna pani Annę Bellę Nor. A innych pracowników z zakładu Hellanda?

– Oczywiście, że tak. To znaczy, nie znam tego młodego chłopaka, z którym Anna siedzi w pokoju. Widziałam go zaledwie parę razy, kiedy odwiedzałam

Annę.

– Ale ją zna pani dobrze?

– Można tak powiedzieć. Brała udział w kursie letnim, który kiedyś prowadziłam. Dobrze się rozumiemy.

Søren zauważył, że we wzroku kobiety pojawiło się jakby nieco ciepła.

– Zawsze chciałam mieć córkę – przyznała Hanne, patrząc z lekkim zażenowaniem na Sørena. – Anna przypomina mi trochę mnie, kiedy byłam w jej wieku.

Uśmiechnęła się i po chwili przerwy ciągnęła dalej:

– Svenda i Elisabeth oczywiście też znam. Pracujemy razem od wielu lat.

Hanne wstała i zaczęła rozpalać ogień w kominku. Søren uznał, że zadał już wszystkie pytania, i też wstał. Gospodyni odprowadziła go do drzwi. Kiedy je otworzyła, okazało się, że spadł śnieg. Ziemia pokryta była białym puchem.

– Pada śnieg. – Hanne się wzdrygnęła.

– Mimo że jeszcze jesień – wymamrotał Søren.

Podał kobiecie rękę i się pożegnali.

– Jutro rano wracam do Kopenhagi. Jeśli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował, będę u siebie w gabinecie – powiedziała Hanne.

Søren wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Kopenhagi. Nagle zatęsknił za Vibe. Brakowało mu jej. Była taka nieskomplikowana, zawsze łagodna, pomocna i pozytywnie nastawiona. Przydałby się ktoś taki na Wydziale Nauk Przyrodniczych.

7

W nocy z wtorku na środę Anna nie mogła zasnąć. Dopiero nad ranem zapadła w ciężki, niespokojny sen. Obudziła się o wpół do dziewiątej. Zadzwoiła do Cecilie. Wszystko było w porządku. Lily była radosna, nie tęskniła za nią. Anna wzięła kąpiel i zjadła miseczkę płatków.

„W ogóle za tobą nie tęskni”, przedrzeźniała słowa matki, ubierając się. O czwartej odbierze córeczkę z przedszkola i wróci do domu. Nareszcie.

Było parę minut po dziesiątej, kiedy Anna weszła do Zakładu Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej. Na korytarzu spotkała Elisabeth, niosącą cztery termosy. Kiedy ostatnio widziały się na komisariacie, Elisabeth była załamana.

– Dobrze, że cię widzę. Pomożesz mi? – spytała pani profesor.

– Co się dzieje?

– Nic. Robię kawę. Postanowiliśmy uczcić pamięć Larsa. Za pół godziny spotykamy się w pokoju zebrań na trzecim piętrze.

Anna zamrugnęła i wzięła termos, który podała jej Elisabeth.

– Czy takich uroczystości nie organizuje się raczej po pogrzebie?

– Masz rację – zgodziła się Elisabeth. – Ale to decyzja Ravna. Helland nie żyje od dwóch dni, a ludzie

wygadują niestworzone rzeczy. Postanowił skorzystać z okazji i uspokoić nastroje. Pogrzeb odbędzie się w sobotę, jeśli ktoś chce, może pójść.

– A co ludzie mówią? – dopytywała się Anna. Poszła za Elisabeth do kuchni.

Pani profesor postawiła termosy na blacie i łamiącym się głosem powiedziała:

– Plotka głosi, że Lars Helland został zamordowany, a policja podejrzewa, że mordercą jest ktoś, kto dobrze go znał, może wręcz z nim współpracował. To bardzo nieprzyjemne – stwierdziła. – Jeśli rzeczywiście został zamordowany, to podejrzanymi jesteśmy przede wszystkim my: ja, Svend, Johannes i ty! Wcale mi się to nie podoba.

– Albo ktoś z pozostałych pięciuset pracowników wydziału, z których wielu chętnie posłałoby go do diabła. W przerośni, oczywiście – dodała pośpiesznie Anna.

Elisabeth zaczęła płakać.

– Ciągle mam go przed oczami – powiedziała cicho i zakryła twarz dłońmi. – Boże, jak ja nienawidziłam tego człowieka! Ale na taką śmierć sobie nie zasłużył.

Nagle Anna coś sobie przypomniała.

– Elisabeth?

Elisabeth siedziała na krześle w niewielkiej kuchni instytutu i wycierała chusteczką okulary.

– Myślisz, że Erik Tybjerg przejmie stanowisko Hellanda i zostanie szefem?

Elisabeth spojrzała na nią skonsternowana.

– Tybjerg? Ten z muzeum?

– Tak. Współpracował z Hellandem. Jest moim zewnętrznym opiekunem naukowym.

– Nie, nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe – odpowiedziała stanowczo.

– Dlaczego?

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego Lars Helland uznał, że musi wspierać Tybjerga. To bardzo zdolny naukowiec, ale absolutnie nie nadaje się na pracownika uniwersytetu. Właściwie był dla Hellanda chłopcem na posyłki. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego Helland wszędzie go ze sobą ciąga. Posyłał go w swoim zastępstwie na różne sympozja i konferencje. Kiedyś, przez jeden semestr, pozwolono mu prowadzić wykład i oczywiście skończyło się to porażką. Studenci narzekali. Mówił za szybko, a kiedy proszono, żeby coś powtórzył, złościł się i wychodził z sali.

– Jest moim opiekunem naukowym – powiedziała Anna nieszczęśliwa. – Jedynym – dodała.

Elisabeth skończyła przecierać okulary.

– Prawdę mówiąc – zaczęła – zawsze się temu dziwiliśmy. Czemu przydzielono ci dwóch opiekunów. No, ale skoro...

– Tybjerg bardzo mi pomógł – weszła jej w słowo Anna. – Tysiąc razy więcej niż Helland, milion razy więcej.

Elisabeth przyglądała się jej bez emocji.

– Rozumiem, ale przyznasz chyba, że to dziwak, a

uniwersytet to poważna instytucja, nie dom wariatów.

Pani profesor wstała i zaczęła nalewać kawy do dzbanków.

W pokoju zebrań na trzecim piętrze zgromadziło się ponad trzydzieści osób. Wśród nich był także Tybjerg. Stał niemal nieruchomo, miał złożone ręce i przyglądał się zebranym. Anna odetchnęła z ulgą; próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, ale bezskutecznie. W ostatniej chwili wpadł do sali Johannes i stanął za Anną. Przyniósł ze sobą zapach wiatru i chłodu. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jego ruda czupryna była rozwichrzona. Dzień wcześniej pracowali oboje do późna, atmosfera była napięta. Johannes kilka razy próbował nawiązać z nią kontakt, ale Anna za każdym razem uciniała rozmowę. Wymawiała się natłokiem pracy. Dwa razy pytał ją, czy nadal ma mu za złe jego zeznania na policji. Zaprzeczyła. Próbował ją przeprosić, ale uniosła rękę w ostrzegawczym geście. Stało się, trudno. Zapomnijmy o tym. Prawda jednak była taka, że czuła się zraniona. Nie podejrzewała, że Johannes może ją zawieść. Kiedy teraz uśmiechnął się do niej niepewnie, już chciała odwzajemnić jego uśmiech, ale w ostatniej chwili odwróciła się i spojrzała na Ravna.

Tor Ravn, kierownik zakładu, zaczął od wyrażenia żalu z powodu śmierci Larsa Hellanda. Przekazał kondolencje wdowie i córce profesora. To wielka strata dla całego instytutu. Helland pracował tu od 1997 roku, dużo publikował, był lojalnym kolegą. Wielka strata,

powtórzył. Anna słuchała go jednym uchem, próbując ściągnąć wzrokiem Tybjerga, bezskutecznie. Elisabeth pociągała głośno nosem. Helland zostanie pochowany na cmentarzu w Herlev, nabożeństwo żałobne odbędzie się w miejscowym kościele w sobotę o trzynastej. Instytut złoży się na wieniec.

Co się działo z Tybjergiem? Stał nieruchomo ze spuszczonego wzrokiem. Ravn odchrząknął i powiedział, że korzystając z okazji, chciałby też położyć kres szerzącym się plotkom. Stwierdził, że jest w bliskim kontakcie z policją, i z tego, co mu przekazano, wynika, że Lars Helland zmarł śmiercią naturalną, na zawał. Ravn zamilkł, zaległa cisza. Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Nagle Anna spostrzegła, że Tybjerg szybkim krokiem kieruje się do drzwi. Ruszyła za nim i dogoniła go na korytarzu.

– Tybjerg! – zawołała. – Tybjerg, zaczekaj! Masz dwie minuty?

Mężczyzna odwrócił się, spojrzał na nią, ale się nie zatrzymał.

Anna podbiegła do niego.

– Halo! – zawołała poirytowana. – Spieszysz się na pociąg?

– Nie – odpowiedział Tybjerg. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Wysłałam ci mejl, zostawiłam wiadomość, nawet byłam u ciebie. Gdzie ty się chowasz?

Dotarli do schodów, Tybjerg ruszył na górę,

pokonując po dwa stopnie naraz. Anna podążała tuż za nim.

– Zakładając, że temperatura w pomieszczeniu jest normalna, *rigor mortis* następuje trzy, cztery godziny po śmierci klinicznej. Proces ten trwa mniej więcej dwanaście godzin. Z biochemicznego punktu widzenia w mięśniach następuje hydroliza ATP. Do diabła, Anno! Niech to szlag!

Anna nie zareagowała, ale była zdziwiona. Czyżby śmierć Hellanda tak go wzburzyła? Czy może raczej plotki o rzekomym morderstwie? Może się denerwuje, że teraz sam będzie musiał dokończyć wspólne projekty? Czy trzeba będzie przenieść jej obronę?

Nagle Tybjerg zatrzymał się tak gwałtownie, że Anna niemal wpadła na niego.

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Nie tutaj. Przyjdź do mnie później, do muzeum – powiedział, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem. – Nie mów nikomu, dokąd idziesz. Wejdź i zamknij za sobą drzwi. Będę na ciebie czekał, dobrze?

– Dzisiaj wieczorem? – upewniała się Anna.

Tybjerg skinął głową i zniknął.

Anna stała i czuła, jak wali jej serce. Zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Była zła. Musi odebrać Lily z przedszkola, nie może się spotkać z Tybjergem w muzeum. Niech to diabli! Zastanawiała się, czy nie pobiec za nim, ale zrezygnowała. Przed salą zebrań czekał na nią

Johannes.

– Idziemy? – spytał.

Anna miała wrażenie, jakby wszystko wokół niej iskrzyło. Za dwanaście dni ma obronę. Za dwanaście dni!

Zeszli razem po schodach i ruszyli korytarzem w stronę pokoju.

– Musisz tak powłóczyć nogami? – wyrwało się jej.

Johannes spojrział na nią zdziwiony. Był szary na twarzy z braku snu. Anna poczuła wyrzuty sumienia. Chciała spytać, jak się czuje, ale nagle nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Wciąż jesteś na mnie zła – stwierdził Johannes, kiedy weszli do pokoju i zamknęli drzwi.

Anna usiadła na krześle i włączyła komputer.

– Wiem, że tak. Porozmawiajmy o tym – nie ustępował.

Nagle wybuchła. Odwróciła się do niego na krześle tak gwałtownie, że aż się wzdrygnął. Dlaczego nie zostawi jej w spokoju? Dlaczego po prostu się nie zamknie? A w ogóle co on tu robi? O ile jej wiadomo, skończył pisać swoją pracę sto lat temu, nie mógłby przenieść się gdzie indziej i dać jej spokój? Ma go dosyć. Nikt nie traktuje jej poważnie, ani Helland, ani Tybjerg, ani on! – wyrzucała z siebie swoje pretensje. Johannes zamrugnął, sięgnął po kurtkę, wziął torbę i wyszedł.

Anna poczuła, jak schodzi z niej całe powietrze. Poderwała się i wybiegła na korytarz:

– Co z ciebie za przyjaciel! – zawołała i tupnęła nogą.

Johannes zatrzymał się, odwrócił i podszedł do niej. Stali, patrząc sobie w oczy.

– Jestem twoim przyjacielem i dobrze o tym wiesz. Przeprosiłem za to, co powiedziałem policji. Nie powinienem był tego mówić, ale byłem zdenerwowany. Tak czy inaczej, nie masz prawa mnie tak traktować. Wszyscy żyjemy pod presją. Nie tylko ty. Jestem twoim przyjacielem – powtórzył – ale w tej chwili mam własne problemy, pogubiłem się; nie mam siły na przepychanki z tobą. Helland nie żyje; rozumiem, że nie jesteś z tego powodu szczęśliwa, bo był twoim promotorem, ale tak jest. On nie żyje! Rozumiesz?

Zapadła cisza. Jakby Johannes przekuł wielki balon.

– Jego córka straciła ojca, Birgit męża, ja straciłem przyjaciela. Przestań do diabła myśleć tylko o sobie, nie jesteś pępkiem świata! Nie mogę słuchać, jak wciąż się nad sobą użalasz. Helland nie żyje, a ja mam dość własnego bagna. Nie sypiam po nocach, moja wytrzymałość też ma swoje granice – powiedział i zaczął iść korytarzem.

Nagle odwrócił się, spojrzał na nią łagodnie i dodał:

– I przestań się zastanawiać, czy ktoś traktuje cię poważnie czy nie. Najważniejsze, żebyś ty siebie traktowała poważnie.

Kiedy Johannes wyszedł, Anna zamknęła drzwi i po policzkach popłynęły jej łzy. Tak było zawsze. Kiedy czuła się niesprawiedliwie potraktowana, reagowała

gwałtownie. Potem wszyscy mieli jej to za złe, jakby jej uczucia się nie liczyły. Tak było z Troelsem i z Karen, którzy uznali, że to jej wina, że ich przyjaźń się skończyła. Troels był oczywiście niewinny. Podobnie, to ona była winna, że Thomas się od nich wyprowadził.

„Nikt z tobą nie wytrzyma, jeśli będziesz się tak zachowywać” powiedział. Jakby to, co on jej mówił, w ogóle nie miało znaczenia.

A ile razy Jens jej wypominał: „Nie bądź taka surowa dla swojej matki, Anno”.

Jakby Cecilie nigdy nie była surowa dla niej!

A teraz Johannes. Naopowiadał o niej bzdur, a teraz okazuje się, że ona jest niesprawiedliwa!

Powoli się uspokajała. Wytarła nos, zaparzyła herbatę. Złość jej minęła, zostały wyrzuty sumienia, bo przecież Johannes rzeczywiście był jej przyjacielem. Przypomniała sobie, jak bardzo pomógł jej w zeszłym roku.

Na początku czerwca przeżywała kryzys, związany ze swoją pracą dyplomową. Przeczytała wszystko, co było do przeczytania o kontrowersji dotyczącej pochodzenia ptaków, zwracając szczególną uwagę na budowę i znaczenie piór. Była całkowicie pewna, że teza lansowana przez Hellanda i Tybjerga jest znacznie lepiej umotywowana niż ta, którą reprezentował Clive Freeman. Wszystko zdawało się przemawiać za tym, że ptaki to współczesne dinozaury; dinozaury drapieżne, tak zwane teropody, zmałyły w wyniku ewolucji; zaczęły gonić

swoje ofiary, biegając za nimi między drzewami, by wkrótce się na nie przenieść. Powoli wykształciła się u nich zdolność lotu. Wszystko wskazywało na to, że dinozaury miały pióra, zanim nauczyły się latać.

Tyle że Anna nie bardzo wiedziała, co z tą wiedzą zrobić. Nie ona pierwsza atakowała Freemana. Robili to światowej sławy naukowcy, doktorzy nauk przyrodniczych, profesorowie z dziedziny ornitologii. W swoich publikacjach analizowali i rozkładali argumenty Freemana *na* czynniki pierwsze. On jednak wydawał się odporny na wszystko. Co w takiej sytuacji mogła zrobić Anna? Nic! Jedynie powtórzyć to, co inni mówili już wcześniej. Potraktować kontrowersję historycznie, prześledzić kolejne jej stadia od czasu wykopalisk w Solnhofen do dzisiaj. To jednak oznaczałoby, że jej praca będzie jedynie rodzajem sprawozdania, a przecież powinna wnieść coś do sprawy.

I wtedy uratował ją Johannes.

– Przyjrzałaś się naukowo-teoretycznym podstawom wywodów Freemana? – spytał.

Zezłościła się. O czym on mówi? O naukowo-teoretycznych podstawach? Dlatego że sam napisał wybitnie teoretyczną pracę na temat nauki, która została oceniona na celująco? Jej praca dotyczy kości i piór; nie potrzebuje jego filozoficznych wywodów, pomyślała i chyba też powiedziała to na głos.

W końcu Johannes uderzył pięścią w stół.

– Jutro o dziesiątej, w sali wykładowej. Jeśli nie

przyjdiesz, będziesz sama sobie winna.

Wieczorem przemyślała sprawę i aczkolwiek niechętnie, ale uznała, że jednak się stawi.

Przyszła punktualnie; kiedy po dziesięciu minutach Johannaesa nadal nie było, zaczęła się zbierać. Wzięła torbę i już miała wychodzić, kiedy wpadł zdyszany.

– Super, że jesteś – rzucił.

– Przecież wydałeś mi polecenie.

Johannes zdjął kurtkę i stanął przed nią.

– Anno – powiedział spokojnie – to nie było polecenie, tylko propozycja. Nie wracajmy do tego, dobrze?

Miała ochotę przytaknąć, ale nie zrobiła tego.

Podeszli do tablicy.

– Usiądź – poprosił Johannes, wskazując jej krzesło obok stojącego na podwyższeniu biurka. Usiadła. – No dobrze, Donno Anno... – zaczął, masując czoło. – Kiedy mówimy: nauka, większość ludzi wyobraża sobie coś ściśle określonego i obiektywnego. Niosobowego, ogólnego, ale i prawdziwego. Literatura, architektura, polityka to dziedziny subiektywne, ale nie chemia czy biologia, uznałaby większość ludzi – mówił dalej Johannes.

Odchrząknął i po chwili kontynuował.

– Takie ściśle naukowo-obiektywne podejście reprezentuje między innymi filozof Karl Popper, który żył w latach... Nie pamiętam w tej chwili w jakich, ale to

właśnie on, poszukując kryteriów naukowości, posługiwał się tak zwaną metodą hipotetyczno-dedukcyjną. Uznał, że ostateczne zweryfikowanie teorii za pomocą faktów nie jest nigdy możliwe. Konieczne są eksperymenty. Stworzył nowe kryterium naukowości: falsyfikowalność. Rozumiesz?

– Nie bardzo – przyznała Anna. – Uważał, że jeśli jakaś teoria jest fałszywa, to można ją uznać za naukową?

– Nie, oczywiście, że nie, durnoto. Chodziło mu o to, że tylko teoria otwarta na wszelkie eksperymenty może zostać uznana za naukową. Na początku lat sześćdziesiątych – ciągnął dalej niezrażony – powstał nowy kierunek w filozofii nauki, domagający się uznania subiektywności za ważny czynnik rozumienia nauki. Jednym z jego zwolenników i propagatorów był fizyk Thomas Kuhn. To on zwrócił uwagę na znaczenie wartości subiektywnych w nauce. Poza tym należy dodać – mówił Johannes, skubiąc palcem górną wargę, że oczywiście istnieje wiele sposobów odczytywania Kuhna, więc wcale nie jest powiedziane, że ja mam rację.

Spojrzał na nią, jakby chciał się z nią nieco podroczyć, ale po chwili mówił już dalej:

– Po jakimś czasie do Kuhna dołączyła kobieta. Teoretyk nauki, Lorraine J. Daston, niezwykle zdolna osoba. To ona podjęła próbę skonkretyzowania roli subiektywizmu w pojmowaniu nauki. Tak więc po jednej stronie mamy żądania Poppera odnośnie do kryteriów naukowości, po drugiej Kuhna i Daston.

Johannes zapisał na tablicy trzy nazwiska.

– Nikt z nich nie miał oczywiście monopolu na prawdę, ale każde podnosiło coś bardzo istotnego.

Anna przytaknęła.

– Kuhn dowiódł, że na wybory dokonywane przez badacza, wpływają także jego osobowość i doświadczenia życiowe. Czyli czysto subiektywne czynniki decydują, czy badacz podejmie taką, a nie inną decyzję. Jak można było się spodziewać, na Kuhna poleciały gromy, oskarżono go o brak racjonalizmu. On jednak zwrócił uwagę, że pozostawienie miejsca na spory nie oznacza przyzwolenia na całkowicie subiektywne pojmowanie nauki, ale – tu Johannes podniósł do góry palec – ale – powtórzył – naukowcy muszą pozostać w stu procentach lojalni wobec własnych wniosków lub być w stanie przedstawić przekonujące argumenty, gdy od nich odstąpią.

Zbliżył się do Anny i spytał:

– Czy kiedykolwiek zbadałaś, czy argumenty Freemana są wewnętrznie spójne? Czy jest lojalny wobec własnych wyborów? Czy przedstawia zadowalające argumenty, gdy zmienia zdanie?

– Tego nie wiem – odpowiedziała Anna.

Johannes się cofnął.

– Jedźmy dalej – powiedział i następny kwadrans poświęcił teorii prezentowanej przez Lorraine Daston.

Anna słuchała uważnie, pilnie notując. Johannes zaimponował jej zdolnością abstrakcyjnego myślenia.

– No, dosyć na dzisiaj – stwierdził, uśmiechając się. –
Możesz podsumować?

– Ja?

Johannes przytaknął.

Anna sięgnęła do swoich notatek. Poczowała się jak na egzaminie, serce jej waliło. Starła dokładnie tablicę, wzięła kawałek kredy i streściła jego wywód. Johannes wyglądał na zadowolonego.

– Sprawdź, czy hipotezy Freemana spełniają warunki rzetelnej nauki. Jeśli nie, to masz go – zakończył Johannes.

– A jeśli tak?

– To gorzej – roześmiał się.

Anna już chciała się na niego obrazić, ale nagle pomyślała, że coś w tym jest. Nie bardzo potrafiła to sformułować, wiedziała jednak, że będzie w stanie dalej pracować.

Kolejne tygodnie spędziła, zgłębiając dzieła Poppera, Kuhna i Daston. I zrozumiała dwie rzeczy: że naukowiec, który sam sobie zaprzecza, nie może twierdzić, że jego teorie są naukowe oraz że badacz zawsze musi być w stanie obronić swoje wybory.

Wskazane przez Johannes'a lektury pozwoliły jej inaczej spojrzeć na temat swojej pracy. Ponownie, już po raz sto sześćdziesiąty ósmy, przejrzała podnoszone przez Freemana argumenty. Były równie przemyślane i wyważone, jak zawsze, ale ku swojemu wielkiemu

zdziwieniu Anna uświadomiła sobie, że jednak można je podważyć. Podniecona sięgnęła po *Ptaki* i nagle dostrzegła nieścisłości oraz braki w wywodach kanadyjskiego profesora. Z poczuciem triumfu uderzyła pięścią w blat biurka w momencie, kiedy do pokoju wszedł Johannes. Spojrzał na nią zdziwiony, a ona poderwała się i pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się zażenowany.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – powiedziała, czując jego silny męski zapach, wymieszany z wonią perfum.

– Na pewno coś wymyślisz – skwitował.

Dwoje studentów minęło jej pokój, rozmawiając głośno. Anna wzdrygnęła się, poirytowana. Roztarła dłonią czoło, było jej wstyd. Rzeczywiście, wymyśliła świetne podziękowanie: skrzyczała go, chociaż nie zrobił niczego złego. Próbowwała dzwonić do niego na telefon komórkowy, ale nie odbierał. Zostawiła mu wiadomość, prosząc, żeby oddzwonił. Próbowwała też skontaktować się z Tybjergiem, żeby odwołać ich wieczorne spotkanie, ale on także nie odbierał. Wróciła do pracy; musiała się przygotować do obrony. Tuż po drugiej spakowała swoje rzeczy, zamknęła pokój i wyszła. Johannes nadal się nie odzywał. Wyszła na zewnątrz i poczuła na twarzy powiew zimnego powietrza. Nagle usłyszała pukanie w szybę. Odwróciła głowę i zauważyła Hanne Moritzen, siedzącą w swoim pokoju na parterze, która najwyraźniej

zapraszała ją do siebie. Anna zawróciła.

– Usiądź – powitała ją Hanne. Wskazała jej krzesło i, nie pytając, poczęstowała ją herbatą. – Od razu powiem, o co mi chodzi. Chcę prosić cię o przysługę, ale zależy mi, żeby to zostało między nami.

Anna skinęła głową.

– Zakładam, że wiesz, co się przytrafiło Hellandowi?
– ciągnęła Hanne.

– Oczywiście.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą Hanne. – Wczoraj odwiedził mnie komisarz Søren Marhauge. Widziałam go tu już kilka razy, więc domyślałam się, że też się z nim spotkałaś. Wysoki, krótko ostrzyżony, ciemne oczy?

Anna ponownie przytaknęła.

– Pytał, czy to możliwe, żeby materiał pochodził z mojego laboratorium...

– Materiał?

– Proglotydy.

– Co takiego?

– Więc jednak nie wiesz...

– Czego nie wiem?

Hanne westchnęła i przekazała jej ostatnie informacje. Anna była wyraźnie wstrząśnięta.

– Kto mógł to zrobić? – wyszeptała.

– Nie wierzę, żeby ktoś „to zrobił” – zaprotestowała Hanne. – Odpowiadam za wszystko, co znajduje się w laboratorium. Każdy, kto pracuje z aktywnym materiałem biologicznym, musi mieć moją zgodę, a po skończonej

pracy zdaje bardzo dokładne sprawozdanie. Wszystko jest pod kontrolą. W laboratorium pracuje stały zespół ludzi, to moi koledzy, mam do nich zaufanie.

Hanne wzięła kartkę papieru i wypisała na niej kilka nazwisk.

– Wszyscy w naszej pracy zawodowej stykamy się z pasożytami i wszyscy jesteśmy bardzo ostrożni. Poza tym zainfekowanie kogoś niedojrzałymi jajeczkami to dość karkołomny pomysł. Prościej byłoby pchnąć delikwenta pod samochód czy go zastrzelić – stwierdziła chłodno.

– Czy ktoś mógł ukraść materiał?

– Nie – odpowiedziała Hanne poirytowana.

Po chwili westchnęła głęboko.

– Oczywiście, teoretycznie taka możliwość istnieje. Klejnoty koronne też można ukraść, teoretycznie. Ale jest to wielce nieprawdopodobne. Trzeba mieć sporą fachową wiedzę, żeby umieć się obchodzić z takim materiałem. To nie jest takie proste – powiedziała i zamilkła.

– Więc jak to tłumaczysz? – dopytywała się Anna.

– Moim zdaniem zaraził się podczas jakiejś podróży zagranicznej. Komisarz twierdzi co prawda, że Helland nigdy nie był poza Europą, ale też wcale nie musiał. Tasiemiec to kosmopolita, do zakażenia dochodzi poprzez zjedzenie niedogotowanej, skażonej wieprzowiny. Summa summarum, uważam, że zaraził się nim gdzie indziej – stwierdziła. – Nie wiem, czy wiesz, ale nasz Zakład Parazytologii właściwie przestał istnieć. Oszczędności – dodała po chwili.

– Nie rozumiem – powiedziała Anna szczerze. – Przecież nadal pracujesz.

– Tak, ale kiedy odejdę, to będzie to koniec tego kierunku. W tym roku nikt nie pisał u nas żadnej pracy dyplomowej, na żadnym poziomie – wyjaśniła Hanne. Sięgnęła ręką do naszyjnika, który miała na szyi, i roztargniona zaczęła się nim bawić. – Wydział sam decyduje o rozdziale środków. Została powołana specjalna komisja, która ma opracować wytyczne i ustalić priorytety. Oczywiście wszystkim zależy, żeby Dania była w stanie konkurować naukowo nie tylko w ramach Unii, ale w ogóle na świecie. W praktyce jednak komisja podejmuje decyzje, kierując się także innymi przesłankami. To zamknięte grono, któremu nieobcy jest nepotyzm. Ty mi pomożesz, ja pomogę tobie. I tak to się toczy – powiedziała Hanne. – Nie twierdzę, że to łatwa praca, dlatego zawsze z daleka omijałam wszelkie administracyjne funkcje. Teraz nagle okazało się, że znów musimy oszczędzać. Członkowie komisji są pod presją, środki się kurczą, zaczyna się przerzucanie pieniędzy z jednej kupki do drugiej, wymienianie się stypendiami. Wierzę, że robią, co mogą, chociaż zapewne każdy stara się przy okazji zadbać o własną dziedzinę. Dam ci przykład: zbiór chrząszczy naszego muzeum. Należy do jednych z największych na świecie, a my pozwalamy, żeby niszczał. Dlaczego? Dlatego, że nie jest to prestiżowa dziedzina. Trzy lata temu Rada Wydziału zamknęła mieszczący się w tym gmachu Zakład

Systematyki Coleoptera. Można uznać, że mała szkoda, w końcu pracowały tam tylko dwie osoby, profesor Helge Mathiesen, który i tak niedługo miał przejść na emeryturę, i młody naukowiec, Asger... – Hanne wzruszyła ramionami, jakby zapomniała jego nazwiska. – Tak czy inaczej – ciągnęła po chwili – dla niego był to cios. Przed wakacjami miał przed sobą obiecującą karierę naukową, a po kilku miesiącach okazało się, że zakład zlikwidowano. Co miał robić? Był specjalistą w niezwykle wąskiej dziedzinie. Nie mógł marzyć o dalszej pracy naukowej. Tak właśnie się dzieje. Niektóre dziedziny uznawane są za prestiżowe, bo za takie uchodzą na świecie, inne zaś dlatego, że ich rozwój leży w partykularnym interesie poszczególnych członków rady. Wszystko to ma konsekwencje także dla nas. Do tej pory żadne cięcia mnie nie dotyczyły. Dostawałam to, o co występowałam. Teraz jednak przyszła kolej na nas. Na mnie. Zakład ma zostać zlikwidowany – oznajmiła pustym głosem. – Bomba wybuchła pierwszego dnia po feriach wielkanocnych. Mamy trzy lata na dokończenie projektów i badań, które już kosztowały nasz rząd miliony koron, i których wyniki mogą uratować życie setkom tysięcy ludzi w krajach Trzeciego Świata, gdzie pasożyty nadal stanowią śmiertelne zagrożenie. Trzy lata. Może to i sporo, jednak z drugiej strony, to jakby nagle kazać dokończyć budowę chińskiego muru w jedno popołudnie – stwierdziła Hanne ponuro. – Moje badania to całe moje życie, Anno. Mam czterdzieści osiem lat i wszystko

poświęciłam karierze akademickiej.

Nagle Annie zaczęło coś świtać.

– Rozumiem, że boisz się, że jeśli się okaże, że materiał biologiczny pochodził z twojego laboratorium, to możesz zostać zwolniona za skutkiem natychmiastowym?

– Tak – odpowiedziała Hanne.

– O co chcesz mnie prosić?

– Przepraszam, okropnie się rozgadałam. Chodzi o to, że nie mogę nagle zacząć was nachodzić i wypytywać o różne rzeczy. To natychmiast wyda się podejrzanе. Z drugiej strony zależy mi na informacjach o postępach śledztwa i kierunku, w jakim zmierza. Pomożesz mi, Anno? – spytała, patrząc na nią niemal błagalnym wzrokiem.

– Nadal nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Chcę, żebyś uważnie słuchała tego, o czym ludzie szepczą po kątach. O czym rozmawiają Svend i Elisabeth, co mówi policja. Po prostu bądź czujna. Jeśli pojawią się plotki, że pasożyty pochodziły z mojego laboratorium, proszę, daj mi natychmiast znać. To dla mnie ważne, Anno. Mam trzy lata na dokończenie badań; potem ich i mój los będzie zależał od środków zewnętrznych. Jeśli przylgnie do nas opinia, że nie dbamy o groźne materiały, nikt nie da nam nawet korony. Chcę czuć się bezpieczna, być przygotowana.

Anna pokiwała głową. Hanne osunęła się na swoją elegancką kanapę, zamknęła oczy i dotknęła ręką czoła.

– Ależ jestem zmęczona – wymamrotała.

Anna zaczęła owijać szyję szalikiem, włożyła kaptur. Hanna wciąż miała zamknięte oczy; głowę oparła o ścianę.

– Muszę odebrać córeczkę z przedszkola – powiedziała Anna.

Kiedy dotarła do przedszkola, Lily klęczała nad doniczką z kiełkującymi roślinkami. W ręce trzymała konewkę, czekając, aż przyjdzie pani i powie jej, ile wody ma wlać do doniczki. Anna zatrzymała się i przyglądała jej z pewnej odległości. Ostatnio tak rzadko się widywały, że córeczka nagle wydała się jej obca. A przecież to było jej dziecko. Jej. Nagle przez przeszkloną ścianę wpadł promień słońca. Anna usłyszała, jak Lily mówi:

– U mojej babci rosną słoneczniki.

Wychowawczynie słuchała jej opowieści, poprawiając ziemię w doniczce. Anna już miała zawołać córeczkę, kiedy Lily nagle się odwróciła. Dostrzegła matkę, puściła wszystko, co miała w ręku, i podbiegła do niej.

Anna natychmiast zauważyła kolczyki. Srebrne z koralikami ze szkła. Błyszczały w słońcu. Kiedy ostatnio widziała Lily? Dwa dni temu? Nic nie powiedziała. Lily podskakiwała i szarpała ją, próbowała wejść jej na kolana, wkładała ręce w rękawy jej kurtki. Kiedy jedna z wychowawczyń podeszła przekazać Annie jakąś informację, ta chciała uciszyć dziewczynkę i nagle zaczęła się awantura. Lily rzuciła się na podłogę, zaczęła kopać i wierzgać nogami. Anna próbowała odwrócić jej uwagę,

pokazując jej rysunek z kłownem. Może Lily coś jej o nim opowie? Nie? Wtedy obiecała jej filiżankę gorącej czekolady po powrocie do domu i Lily się uspokoiła, ale tylko na chwilę. Anna patrzyła na awanturującą się córeczkę i nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji.

W końcu zaczęła na nią krzyczeć. Nie bardzo głośno, ale wystarczająco, żeby natychmiast podeszła kolejna wychowawczyni i pomogła jej ubrać dziecko. Lily przestała płakać; patrzyła na Annę naburmuszona. Po chwili szły już, trzymając się za ręce, ścieżką do furtki. Anna obiecała sobie, że nigdy więcej nie podniesie głosu na córeczkę. Wróciły do domu i razem obejrzały *Teletubisie* w telewizji. Po chwili Anna zasnęła, siedząc obok Lily. Kiedy się obudziła, córeczki nie było koło niej. Znalazła ją w swoim pokoju, robiącą jedzenie z koralików.

– Chcę do babci – powiedziała Lily. Anna ukucnęła, próbując przytulić ją do siebie.

– Nie, kochanie – odezwała się nieco niepewnym głosem. – Zostaniesz ze mną. Jestem twoją mamą.

– Kocham babcię.

Lily odwróciła głowę i wróciła do robienia jedzenia z koralików. Wydawała się zadowolona. Przesypując koraliki z jednego pojemnika do drugiego, mruzczała coś pod nosem. Anna poszła do kuchni i, walcząc z płaczem, zabrała się do kolacji. Omlet z serem i bekonem, i sałata. Dla Lily groszek z marchewką. Usiadły do stołu. Początkowo Lily nie chciała jeść; odwracała głowę, kiedy

Anna próbowała ją karmić. Potem Anna wpadła na pomysł, żeby ożywić widelec; po każdym zjedzonym kęsie, piszczał radośnie i chował się za karton z mlekiem. Potem wychylał się zza niego ostrożnie i znów uciekał na widok szeroko otwartej buzi Lily. Dziewczynka się zaśmiewała, miała łzy w oczach. Obie świetnie się bawiły. Nagle jednak zrobiło się bardzo późno, Lily zaczęła trzeć oczy, nic jej się nie podobało. W końcu udało się Annie położyć małą do łóżka. Chwilę czytały bajki, oczy Lily same się zamykały, ale nie chciała spać. Anna zgasiła światło.

– Nie chcę – protestowała Lily. Kiedy Anna próbowała przytrzymać ją w łóżku, krzyczała i kopała. W końcu zasnęła.

Anna stała w ciemnej kuchni i przyglądała się rzędom rozświetlonych okien. Pełnych życia, ciepła, tak przynajmniej można było sądzić.

Zadzwoił telefon. Przeszła do pokoju i odebrała. Dzwoniła Cecilie. Chciała się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Jak się czuje Lily? Czy była w dobrym humorze i czy zauważyła, że zapomniała swojego miśka?

– Dlaczego przekłułaś jej uszy? – spytała Anna.

Zapadła cisza.

– Przekłułaś jej uszy, nie pytając mnie o zdanie – rzekła Anna, tym razem nieco głośniej.

– Bardzo cię przepraszam – odpowiedziała Cecilie szczerze. – Nie sądziłam, że to dla ciebie ważne. Zresztą chyba o tym rozmawialiśmy. Twierdziłaś, że podobają ci

się małe dziewczynki z kolczykami w uszach.

– Mogłaś mnie najpierw spytać, mamó.

– Wiem, masz rację. Przepraszam, skarbie. Naprawdę. Przepraszam.

– Nie wywiąże się z tego stan zapalny?

– Pierwszego dnia trochę bolały ją uszka, ale to szybko minęło. Dokładnie je zdezynfekowałam.

– Dobranoc, mamó – mruknęła Anna, czując, że wszystko się w niej gotuje.

Za kwadrans dziewiąta zeszła do sąsiadów piętro niżej i zapukała do drzwi. Otworzyła jej sąsiadka. Anna powiedziała, że włączyła elektroniczną nianię i czy może zostawić jej odbiornik, bo chce pójść pobiegać. Oczywiście, odpowiedziała Lene, przypilnuje małą. Anna może spokojnie wyjść.

– Wracając, zajrzę jeszcze na uniwersytet. Jutro pracuję w domu, a zostawiłam tam ważną książkę – rzuciła mimochodem. – Mam ze sobą telefon komórkowy, gdyby coś się działo, dzwoń – dodała.

To była jej jedyna szansa porozmawiania z Tybjergiem.

Chyba jeszcze nigdy nie biegła tak szybko. Okrążenie jeziora zajęło jej dwadzieścia pięć minut. Niebo nad Kopenhagą było pomarańczowe jak luna, jakby gdzieś w przestworzach wybuchł wielki pożar. Skręciła w Tagensvej i wkrótce dotarła do budynku numer 12. Przeciągnęła kartę magnetyczną przez czytnik. Wokół panowała cisza, było ciemno. Poszła na górę do swojego

pokoju, włączyła komputer i wytarła się ręcznikiem, była spocona po biegu. Zerknęła na wygaszony monitor na biurku Johannesesa. Nie oddzwonił, sprawdziła pocztę, też nic. Poczwała narastający niepokój. A jeśli to koniec ich przyjaźni? Okropnie na niego nakrzyczała, posunęła się zdecydowanie za daleko. Tak jak w przypadku Troelsa i Thomasa. Ale Johannes był inny. Na pewno się od niej nie odwróci. Na pewno się odezwie.

Znalazła w szafie zapasowy sweter, przebrała się i wyszła na korytarz.

Przekroczyła próg muzeum, zamknęła za sobą drzwi i natychmiast tego pożałowała. Szansa, że Tybjerg jeszcze tu jest, była niemal równa zeru. Pewnie już dawno wrócił do domu. Budynek sprawiał wrażenie opustoszałego. Włączyła światło i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Cały czas miała wrażenie, że gdzieś z tyłu za nią otwierają się i zamykają drzwi, że słyszy kroki. To całkiem możliwe, tłumaczyła sobie. Nawet o tej porze mogą być tu studenci, którzy przygotowują się do egzaminów, piszą prace czy sprawozdania z badań.

W końcu dotarła do sali z kręgowcami i stanęła zaskoczona. Tybjerg tu był. To znaczy: wszystko na to wskazywało. Przy stoliku na korytarzu, gdzie zwykle siadywał, paliła się mała samotna lampka, na blacie leżały ołówek, stos książek i pudełko z *Rhea americana*. Anna była pewna, że gdyby Tybjerg poszedł do domu, na pewno nie zostawiłby go na wierzchu. Wysunęła krzesło i usiadła. Było cicho, słyszać było tylko odległy szum

wentylatora.

Po pięciu minutach zaczęła się niecierpliwić. Może poszedł po coś do sali zbiorów i zamyślił się nad jakimś okazem? Przykryła wieczkiem pudełko z *Rhea americana*, wzięła je do ręki, sięgnęła do kieszeni dresu po swój srebrny klucz i otworzyła dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do sali kręgowców. Uderzyła ją słodka woń przechowywanych tu preparatów i kości, wciągnęła powietrze przez usta. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z głębokim jękiem.

Zauważyła zapaloną niewielką lampkę awaryjną i uznała, że Tybjerga na pewno tu nie ma. Gdyby tu pracował, potrzebowałby więcej światła. Już miała wyjść z sali, kiedy nagle usłyszała szelest. Dźwięk dochodził z prawej strony, gdzieś z boku. Czowała, jak krew pulsuje jej w żyłach.

Znów usłyszała jakiś dźwięk. Jakby westchnienie czy pociągnięcie nosem i skrzypienie zawiasów, a potem chyba dźwięk kroków. Zdjęła buty, tak że stała teraz w samych skarpetkach. Po jej lewej stronie zaczynał się labirynt szaf, wystarczy, że zrobi cztery kroki w bok, i zniknie między nimi.

W tym momencie gdzieś w oddali zapaliło się światło, do Anny dotarła jego łagodna poświata. Usłyszała cichy głos Tybjerga, który chyba mówił coś sam do siebie; potem skrzypienie drzwi szafy. Anna chrząknęła. Natychmiast zapadła cisza, światło zgasło. Znów rozległy się kroki i skrzypienie szafy, czy może podłogi – i cisza.

Anna zmarszczyła brwi.

– Tybjerg – odezwała się ostrożnie. – To ja, Anna Bella.

Cisza, a po pięciu sekundach kolejne skrzypnięcie. Znow zapaliło się światło, Anna podążyła w jego kierunku. Tybjerg natomiast kierował się w stronę dźwięku. Nagle stanął przed nią. Podskoczyła zaskoczona, odwróciła się i cofnęła.

– To ty. Więc jednak przyszedłeś – powitał ją zdenerwowany. Anna zaczęła się zastanawiać, co Tybjerg robi tu o tej porze; nie widziała, żeby trzymał w ręku kości, książkę czy lupę.

– Co tu robisz? – spytała, stawiając ostrożnie pudełko z *Rhea americana* na jednym ze stolików.

– Prowadzę badania – powiedział, przyglądając się swoim dłoniom.

– Po ciemku?

Wyglądał przerażająco. Był wyraźnie zalekniony i cuchnął potem. Stał i przyglądał się swoim rękami.

– Powiedz mi, co się dzieje?

Patrzył na nią dłuższą chwilę, nic nie mówiąc.

– Boję się, Anno – wyszeptał w końcu.

– Czego?

– Helland nie żyje.

– Tak, zmarł na zawał. Takie rzeczy się zdarzają, ale to nie jest zaraźliwe – podkreśliła Anna, chcąc wy badać, czy Tybjerg wie coś więcej. Mężczyzna stał, patrzył na nią, wyraźnie próbując wziąć się w garść.

– Wiem, że odgryzł sobie język – powiedział i wskazując na swój, zaczął jej tłumaczyć: – Język to pokryty śluzówką mięsień, który posiadają jedynie kręgowce. Powierzchnia śluzówki jest pokryta brodawkami, mechanicznymi i smakowymi; te ostatnie dzielą się na: liściaste, okolone i grzybowate...

Nagle urwał.

– Dlaczego odgryzł sobie język? – spytał. – Nie rozumiem tego. Coś musi się za tym kryć – stwierdził stanowczo.

Pokręcił bezradnie głową i usiadł na krześle. Anna usiadła obok niego.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– On tu jest – oświadczył Tybjerg.

– Kto?

– Freeman.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nic nie wiesz? W weekend odbywa się w Kopenhadze sympozjum na temat ptaków. Freeman ma wygłosić godzinny odczyt, tak podano na stronie internetowej. Jakieś pseudonaukowe bzdury. Najwyraźniej jednak bardzo mu zależy. To wszystko to przykrywka.

– Przykrywka? Dla czego?

– Nie wiem, Anno. Może się dowiedział, nad czym pracujesz? Może domyśla się, że zamierzamy go w końcu przyprzeć do ściany? Od dziesięciu lat staramy się podważyć naukową wiarygodność jego wywodów, i teraz

chyba nam się to udało. Zapędziliśmy go w kozi róg...

– Clive Freeman jest starym człowiekiem – przerwała mu Anna.

– Napadł na mnie – wyszeptał Tybjerg. – Dwa lata temu. W Toronto. Miał na palcu obrączkę, specjalnie uderzył mnie tą ręką – powiedział Tybjerg, dotykając dłonią brwi. Anna dostrzegła niewielką białą bliznę. Patrzyła na niego oniemiała.

– I nie zgłosiłeś tego?

– Wysyłał do Hellanda mejle z pogrózkami. Larsa to nawet bawiło, śmiał się z nich. Ja nie widziałem w tym niczego zabawnego. Ale też ja poznałem go osobiście. Bo to ja jeździłem na sympozja i konferencje i prowadziłem z nim spory, ale ostatnim razem... Ten jego wzrok...

– Co z nim? – spytała Anna.

– Miał w oczach nienawiść.

Anna westchnęła.

– Więc jesteś przekonany, że Freeman przyleciał do Danii pod pozorem udziału w sympozjum, a tak naprawdę żeby zabić Hellanda?

– Tak.

– I uznałeś, że jesteś następny w kolejce?

– Tak-jęknął Tybjerg.

– To nie brzmi zbyt wiarygodnie – powiedziała Anna i natychmiast pożałowała swoich słów, bo Tybjerg zamknął się w sobie. – A co ze mną? – spytała, próbując zmusić Tybjerga, żeby spojrzał jej w oczy.

– Nie wiem – wyszeptał. – Pewnie dowiedział się, że

szukujemy się do zadania mu śmiertelnego ciosu. Czy wie, że ty też bierzesz w tym udział, tego nie wiem – dodał.

Patrzył na Annę przerażony i nieszczęśliwy.

– Na pewno powinnaś się pilnować.

– Mylisz się – odpowiedziała Anna lekko.

– Możliwe, ale nie ryzykowałbym.

– Jesteś w błędzie.

Tybjerg patrzył w ciemność nieobecny wzrokiem.

– Helland zmarł, bo był cały naszpikowany pasożytami – oznajmiła Anna. W napięciu oczekiwała na reakcję Tybjerga.

– Nie rozumiem?

– W jego tkankach zagnieździły się węgry tasiemca. Kilka tysięcy, część była też w mózgu, dlatego serce w końcu przestało pracować. Policja próbuje dojść, czy infekcja była skutkiem przestępstwa. Tak czy inaczej, Freeman na pewno nie miał z tym nic wspólnego. Larwy były dość spore, Helland musiał zostać zainfekowany trzy, może nawet cztery miesiące temu – powiedziała Anna, prostując się.

Tybjerg patrzył na nią skonsternowany.

– Wiem o tym od Hanne Moritzen i od komisarza Sørena Marhauge'a, który zresztą pilnie cię poszukuje – dodała.

– Idź stąd – odezwał się nagle Tybjerg.

– Za dwanaście dni mam obronę, która musi się odbyć, choćby tutaj, w tej sali. Dostałeś moją pracę? W

piątek zostawiłam trzy egzemplarze w sekretariacie. Masz kopię?

Tybjerg skinął głową.

– Przeczytałeś ją?

– Idź już – powtórzył Tybjerg.

– Dobrze – powiedziała Anna, nie ruszając się z miejsca. – Może wyjdziemy razem? – zaproponowała, przyglądając mu się uważnie.

– Nie, muszę tu jeszcze coś załatwić – wymamrotał. – Idź już – powtórzył.

Anna wzruszyła ramionami.

– Dobrze, jak chcesz. Na razie – rzuciła i ruszyła przed siebie.

Tybjerg odwrócił się do niej plecami, nie odpowiedział. Anna podeszła do drzwi, otworzyła je, udała, że wychodzi, ale po chwili wróciła. Cicho zamknęła za sobą drzwi. Jej buty nadal stały z boku, po lewej stronie. Słyszała, jak Tybjerg coś mamrocze. Bezszelestnie ruszyła w stronę światła. Minęła kilka gablot, w końcu ukryła się za jedną z nich. Zauważyła, że Tybjerg otworzył drzwi od dużej szafy w rogu pomieszczenia, najwyraźniej czegoś szukał. Po chwili wyciągnął z niej cienki, zwinięty w rulon materac i rozłożył go na podłodze. Rozebrał się, sięgnął po leżący obok śpiwór, wszedł do niego i ułożył się do snu. Anna obserwowała go chwilę, po czym wycofała się i pobięła do domu.

Kiedy dotarła na Jagtvej, było już po dziesiątej. Marzła w cienkim dresie. Do obrony zostały jej niespełna dwa tygodnie, a musiała jeszcze przygotować godzinny wykład i przebrnąć przez kilka lektur, by mieć pewność, że będzie potrafiła odpowiedzieć na pytania komisji. Postanowiła, że jutro z samego rana powie policji o kryjówce Tybjerga. Wykurzy go stamtąd; zmusi, żeby poprowadził egzamin. Nagle jednak ogarnęły ją wątpliwości. Tybjerg sprawiał wrażenie wyraźnie przestraszonego. Jego lęk wydawał się całkowicie nieracjonalny, ale co się stanie, jeśli się załamie? Tylko tego brakowało. Przyspieszyła kroku, jakby chciała uciec od swojej frustracji.

Otworzyła drzwi do klatki i usłyszała, jak gdzieś wyżej zamykają się drzwi. Światło zgasło. Poczowała wyrzuty sumienia. Nie było jej dwie godziny. Sięgnęła ręką do włącznika, ale zanim zdążyła nacisnąć przycisk, światło znów się zapaliło. Wychyliła się przez poręcz i poczuła, że drży.

Zobaczyła spoglądającą przez szparę w barierce Lene.

– Były jakieś kłopoty? – spytała, wbiegając szybko na górę. Sąsiadka stała, trzymając odbiornik alarmu w jednej ręce, a klucz do mieszkania Anny w drugiej.

– Kto to był?

W tym momencie ponownie zgasło światło. Anna wcisnęła przycisk.

– Gdzie? Kto? – rzuciła zdezorientowana.

– No ten facet.

Anna patrzyła na nią zdziwiona.

– Nie spotkałaś go na schodach? Przed chwilą wyszedł.

– Nikogo nie widziałam. Biegałam – odpowiedziała Anna, mrużąc oczy. Nadal nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

– Przed chwilą był tu facet – upierała się Lene. – Włączył się alarm, więc poszłam sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. I wtedy go zobaczyłam: siedział na podeście, obok twoich drzwi. Powiedział, że czeka na ciebie; pomyślałam, że ma do tego prawo. Weszłam do środka i upewniłam się, że Lily śpi. Otuliłam ją szczerzej kołderką. Właśnie miałam do ciebie dzwonić, kiedy zobaczyłam, że twój gość rozsiadł się na kanapie w dużym pokoju. Wchodząc, musiałam zostawić niedomknięte drzwi, a on najwyraźniej z tego skorzystał. Uznałam to za lekką przesadę. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałaś.

Anna wyłowiła z kieszeni dresu swój telefon komórkowy. Trzy nieodebrane połączenia.

– Przepraszam. Wyłączyłam dźwięk.

– Ponieważ nie mogłam się z tobą skontaktować, poprosiłam, żeby zaczekał na zewnątrz. W życiu go nie widziałam, nie mogłam pozwolić mu zostać, skoro nie uprzedziłaś mnie, że spodziewasz się gościa.

– Bo nie spodziewam się – potwierdziła Anna.

– Musieliście się minąć. Wyszedł dosłownie przed

chwilą.

– Nikogo nie widziałam. Może to był Johannes, mój kolega z instytutu? – zastanawiała się Anna. – Miał rude włosy?

– Miał na sobie długi płaszcz i czapkę. W pokoju co prawda chyba ją zdjął, i chyba nie miał rudych włosów, raczej brązowe, ale nie jestem pewna.

– Nic nie rozumiem. Nikogo nie widziałam. Przysięgam.

– Dziwne – stwierdziła Lene. – Zbiegając ze schodów, narobił trochę hałasu. Zamknęłam drzwi, ale stałam w przedpokoju i nasłuchiwałam. Już chciałam wezwać Ottona, ale właśnie wtedy usłyszałam, że zbiega ze schodów. Jakby nagle się rozmyślił. Wystawiłam głowę na klatkę i dostrzegłam jeszcze jego dłoń na poręczy. Potem zgasło światło, ale weszłaś ty i je zapaliłaś, i wtedy się zobaczyłyśmy, przez tę szparę. – Pokazała palcem na pręty barierki.

Annę przeszły ciarki.

– To ty zapaliłaś światło, nie ja – sprostowała.

– Nie – zaprzeczyła Lene. – Ja nie zapalałam światła. Ty wcisnęłaś przycisk.

Anna przyspieszyła kroku, dobiegła do swoich drzwi i wyciągnęła klucz. Ręce jej drżały, dopiero za trzecim razem trafiła w dziurkę. W mieszkaniu było ciemno, po omacku ruszyła do pokoju Lily. Widziała kołderkę córeczki, szmacianego pieska, który leżał przewrócony na bok, ulubioną poduszkę córeczki i nawet naklejki na

prętach łóżka, ale nie potrafiła powiedzieć, czy Lily jest w łóżeczku. Słyszała za sobą oddech Lene, zawył alarm, ponieważ odbiornik i nadajnik znalazły się nagle tuż obok siebie. Anna zapaliła światło.

Lily wzdrygnęła się, ale niemal natychmiast zasnęła ponownie, ssąc energicznie swój ukochany smoczek. Anna uklękła obok jej łóżeczka. Cała drżała, z trudem łapała powietrze. Czego się spodziewała? Że łóżeczko będzie puste? Że znajdzie w nim lalkę? Trupa?

Usłyszała szum gotującej się wody i stukanie filiżanek, ale nadal siedziała skulona obok łóżeczka córeczki. Przetarła oczy; musi się opanować, inaczej oszaleje. Usłyszała, jak otwierają się drzwiczki od kominka, szelest miętych gazet i trzask zapalanej zapalki. Po chwili w drzwiach stanęła Lene.

– Nie wejdiesz do pokoju?

Anna wstała z podłogi. W pokoju czekała na nią filiżanka gorącej, parującej herbaty. Znów zaczęła się zastanawiać. Właściwie mógł to być ktokolwiek. Dziwne. Musi to wyjaśnić. Lene była przekonana, że był to jakiś jej odtrącony kochanek, ale przyznała, że zachowywał się dziwnie.

Po twarzy Anny zaczęły lecieć łzy. Lene pogładziła ją po policzku, rozumiała, że przyjaciółka przeżyła szok.

– Położę się – powiedziała Anna cicho.

– Nic ci nie jest? Zostanę z tobą chwilę – zaproponowała.

– Nie, dzięki. Już dobrze. Jestem tylko zmęczona.

Anna została sama; zdjęła wilgotny dres i naga usiadła w fotelu przed kominkiem. Chciała się ogrzać. Sprawdziła telefon komórkowy. Jedno nieodebrane połączenie od Lene i dwa od komisarza Sørena Marhauga'a. Johannes się nie odezwał. Odchyliła głowę do tyłu; siedziała i patrzyła na wiszącą nad kominkiem fotografię. Była czarno-biała i towarzyszyła jej od dzieciństwa. Przedstawiała Cecilie i Jensa, bardzo młodych, z długimi włosami i bez zmarszczek wokół oczu. Jens obejmował Cecilie ramieniem, między nimi stała Anna i śmiała się, aż oczy jej błyszczały.

Uwielbiała to zdjęcie. Nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego Cecilie była na nim taka smutna? Jej usta się uśmiechały, ale oczy były szare jak ołów. Zwróciła uwagę, że Jens nie tyle ją obejmował, co właściwie podtrzymywał. Gdyby ją puścił, wypadłaby z kadru. Najwyraźniej jednak postanowił, że to zdjęcie powinno zostać zrobione, że właśnie tę chwilę należało uwiecznić, by towarzyszyła jego córce w jej dorosłym życiu; wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa. Uśmiech Anny był bez wątpienia szczery, oczy jej błyszczały, wszelkie smutki były jej obce. Natomiast dorośli wyraźnie cierpieli.

Mimo że dochodziła północ, rozłożyła na podłodze swoje osobiste dokumenty i papiery Lily. Jej własne były w jakim takim porządku, co było zasługą Cecilie. Rzuciła okiem na swoje świadectwo urodzenia. Kiedy urodziła się Lily, ona i Thomas nie mogli dojść do porozumienia, jak

dać jej na imię. W końcu, dwa dni przed upływem ustawowych sześciu miesięcy, postanowili losować. Inaczej dostanie na imię Małgorzata, jak królowa, pomyślała Anna, i odetchnęła z ulgą, kiedy na wylosowanej karteczce zobaczyła imię Lily. Kiedy rodziła się Anna, prawo było najwyraźniej łagodniejsze. Ona bowiem otrzymała imię, Anna Bella, dwunastego listopada 1978 roku, czyli prawie jedenaście miesięcy po urodzeniu. Odłożyła swój akt urodzenia i zaczęła przeglądać papiery córeczki. Panował w nich bałagan. W dużej brązowej kopercie leżały książeczka zdrowia, pierwsze zdjęcia, jeszcze ze szpitala, i bransoletka z porodówki. Kiedyś Anna zamierzała to wszystko uporządkować i zrobić Lily specjalny album, ale skończyło się na dobrych chęciach. Anna i Thomas rozstali się, kiedy Lily miała dziewięć miesięcy. Gdy zjawiała się pielęgniarka z kolejną, obowiązkową wizytą, zdziwiła się, zobaczywszy zapłakaną Annę.

– Byliście taką wspaniałą rodziną – powiedziała nagle. Anna wiedziała, że nie ma nic złego na myśli, ale się oburzyła.

– Nadal jesteśmy wspaniałą rodziną, chociaż bez Thomasa – zachnęła się.

Pielęgniarka zaczęła przeproszać, Anna się rozplakała, a Lily nagle przestała się bawić kolorową piłeczką.

Anna zaczęła przeglądać książeczkę zdrowia córeczki. Przypominała sobie, jak Lily zaczęły się

wyrzynać pierwsze ząbki, i niekończące się noce, kiedy nosiła na rękach płaczące dziecko, żeby Thomas się nie obudził. Opadała z sił, a jednocześnie była szczęśliwa jak nigdy. Lily rosła i przybierała na wadze, co pielęgniarka za każdym razem sumiennie zaznaczała w książeczce, wraz z informacją o kolejnych osiągnięciach i postępach dziecka.

Książeczka zdrowia Anny z 1978 roku była pomarańczowa, a zapiski w niej bardziej konkretne. Anna miała osiem miesięcy, kiedy zaczęła chodzić na czworakach; swoje pierwsze kroki zrobiła dwa dni po tym, jak skończyła roczek. Pielęgniarka zalecała tran i gotowane żółtka; zaznaczyła też, że Anna chętnie jada mięso i owoce. Musiała też być druga książeczka. Zapiski w tej, którą teraz trzymała w ręku, zaczynały się od września 1978 roku, miała wówczas osiem miesięcy, a kończyły w styczniu 1979. „Anna mówi nie i au”, przeczytała. Uśmiechnęła się. Pielęgniarka nazywała się Ulla Bodelsen, w książeczce widniał jej wyraźny podpis.

Anna wstała i podeszła do komputera. Wpisała „Ulla Bodelsen”. Otrzymała dwie odpowiedzi. Jedna kobieta nazywała się Ulla Karup Bodelsen i mieszkała w Skagen, druga nazywała się Ulla Bodelsen i mieszkała w Odense. Anna zapisała numery telefonu obu kobiet. Siedziała, trzymając kartkę w ręku. Po chwili odwróciła się i znów spojrzała na zdjęcie. Usta Cecilie i Jensa się uśmiechały, ale tylko uśmiech Anny był szczery. Miała trzy latka i żadnych tajemnic. Jak Lily.

Kiedy Anna w końcu się położyła, dochodziła pierwsza. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zapadła w głęboki, nieprzerywany sen.

Kiedy się obudziła w czwartkowy poranek, była zmarznięta. Odkręciła grzejnik i poszła do kuchni przygotować owsiankę.

– Uhm – parsknęła Lily, rozbryzgując owsiankę po stole. Anna uśmiechnęła się, pogładziła ją po główce, wtuliła twarz w jej włoski.

– Odbiorę cię dzisiaj wcześniej z przedszkola – wyszeptała.

– Chcę do babci – oświadczyła Lily.

Anna usiadła przy stole i spojrzała córeczce w oczy.

– Nie, Lily, dzisiaj nie pójdziesz do babci.

– Babcia robi naleśniki.

– Też możemy usmażyć naleśniki – powiedziała Anna. – Zrobimy naleśniki z lodami.

– Lody! – zawołała dziewczynka zachwycona, patrząc na zamrażalnik.

– Nie teraz, Lily – odparła Anna.

– Teraz!

Anna westchnęła, sięgnęła po miseczkę i wyskrobała dwie łyżki lodów z pojemnika. Lily natychmiast je pochłonęła i domagała się więcej. W końcu Anna musiała wziąć ją na ręce i zanieść do przedpokoju. Zaczęła ją ubierać, kiedy nagle Lily zarzuciła jej rączki na szyję.

– Jesteś moją mamą – powiedziała.

Anna popatrzyła na nią zdziwiona.

– A ty jesteś moim skarbem.

– Piesek idzie ze mną do przedszkola – stwierdziła nagle Lily stanowczo.

– Więc idź po niego.

Lily pobiegła do pokoju, Anna zapięła kurtkę i pomyślała o Johannesie. Nadal nie miała od niego żadnej wiadomości. Nagle przypomniała sobie, że ktoś wczoraj tu na nią czekał. To na pewno musiał być on. Wysłała mu esemes: „Kochany Johannesie. Zadzwoń do mnie. Przepraszam za wczoraj. Czy byłeś u mnie wieczorem? Odezwij się!”

Przypomniała sobie o karteczce z numerem telefonu do pielęgniarki. Leżała obok komputera. Wzięła ją i włożyła do kieszeni kurtki.

– Pospiesz się, Lily! – zawołała w stronę pokoju córeczki. Słyszała, jak Lily tam buszuje. – Chodź już, Lilly! – zawołała ponownie.

W tym momencie usłyszała brzęk łańcucha, sąsiednie drzwi się uchylily i ukazała się w nich głowa kobiety.

– Witaj, Maggie – powiedziała Anna.

Szpara w drzwiach się powiększyła, łańcuch został zdjęty i na podeście stanęła Maggie.

– Jak ty wyglądasz! – zagadnęła dyplomatycznie. – Masz podkrążone oczy. Czyżby odwiedził cię jakiś mężczyzna?

– Niestety nie – odpowiedziała Anna, uśmiechając

się.

Maggie zebrała swój długi szlafrok i rozejrzała się nerwowo dokoła.

– Kto to właściwie był? Trochę to dziwne, prawda?

Anna zeszywniała.

– O kim ty mówisz?

Starsza pani spojrzała na Annę podejrzliwie.

– O tym mężczyźnie, który wczoraj tu siedział. Wydał mi się nieco dziwny. Poprzednim razem chciałam go nawet zaprosić na kieliszeczek czegoś mocniejszego. Siedział tu, taki zziębnięty. Ale odmówił. I chyba na szczęście.

– Poprzednim razem, to znaczy kiedy? – spytała Anna zaskoczona i zaczęła masować miejsce tuż nad lewą pierś.

– Przedwczoraj? Może dwa dni temu. Co ty robisz? Coś cię boli?

– Nie, tylko serce jakoś mocno mi bije. Jak on wyglądał?

– Miał ładne oczy i był wysoki. Miły. Tylko trochę nerwowy. Miał czapkę i długi, czarny płaszcz. I kasztanowe włosy.

– To musiał być Johannes. Mówił coś?

– Tak. Właśnie wracałam do domu z zakupami. Wiesz, że zawsze wtedy przystaję na każdym podeście i odpoczywam. Był bardzo miły, spytał, czy może mi pomóc. Wniósł mi wszystkie torby. Mówił, że się przyjaźnicie, więc zaprosiłam go do środka, ale nie chciał

wejść. Ciągle zerkał na zegarek, jakby się gdzieś spieszył. Ale kiedy wczoraj go tu zobaczyłam, uznałam, że to jednak dziwne. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zadzwonić na policję, ale on zniknął. Jakby nagle zmienił zdanie. Dziwne, prawda? Albo się na kogoś czeka, albo się nie czeka. Stałam potem jeszcze chwilę, nasłuchując, czy może wróciłaś, a ja tego nie usłyszałam – powiedziała dramatycznym głosem, mrużąc oczy.

– To musiał być Johannes – powtórzyła Anna. – Kiedy widziałaś go po raz pierwszy, Maggie?

– Przedwczoraj – stwierdziła kobieta stanowczo.

Nagle w drzwiach stanęła Lily, trzymając w ręku swojego pieska.

– Dostanę żelkę? – spytała.

Maggie zniknęła w mieszkaniu, Lily podreptała za nią. Anna została na korytarzu. Nagle poczuła się strasznie zmęczona.

Kiedy wchodziły do budynku przedszkola, Anna usłyszała, że dostała esemes. Sięgnęła do kieszeni po telefon komórkowy, ale właśnie weszły do szatni, gdzie jak zwykle panował harmider i zgiełk, wszędzie pełno było dzieci i rodziców. Lily wyrwała się jej, wbiegła do sali i podeszła do jednej z wychowawczyń.

– Patrz! – zawołała, ciągnąc ją z spódnice. – Patrz! To jest moja mama. Widzisz, jest tutaj!

Wychowawczynie podeszła do nich.

– Mamo, popatrz! Mój znaczek to lew – powiedziała

Lily, wysuwając dolną wargę. Anna słuchała zdziwiona, jak płynnie córeczka mówi.

– Ja mam lwa, Anton ma nosorożca, a Fatima jajko sadzone – mówiła Lily, pokazując na obrazki nad haczykami na ubrania.

– Kiedy się bronisz? – spytała wychowawczyni.

– Już niedługo – odpowiedziała zdziwiona pytaniem Anna.

– Lily bardzo za tobą tęskni.

– U babci jest jej dobrze – broniła się nieco urażona.

– Na pewno, ale jej mamą jesteś ty. Ciągle o tobie opowiada – powiedziała młoda przedszkolanka, odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Mam cztery lata – oznajmiła Lily.

– Nie, skarbie. Za pięć tygodni skończysz trzy. – Anna pokazała na palcach. Potem dodała jeden palec: – Przyjdę po ciebie o czwartej – obiecała.

Kiedy wyszła z przedszkola, natychmiast sięgnęła po telefon komórkowy; zerknęła na wyświetlacz i odetchnęła z ulgą. Wiadomość była od Johannesesa.

„Przeprosiny przyjęte ☺. Chcę teraz być sam. Ściskam. PS Cały wieczór siedziałem w domu, nie byłem u ciebie. Pewnie jakiś twój wielbiciel ☺”.

Johanneses najwyraźniej się na nią nie gniewał. Ale skoro to nie był on, to kto czekał na nią na klatce?

Wchodziła do gmachu instytutu, kiedy zadzwoniła Cecilie.

– Nie, nie odbieraj jej – powiedziała Anna, nie dopuszczając matki do głosu.

– Jak chcesz – odezwała się Cecilie wyraźnie urażona. – Ale mogę, bez żadnego problemu. Odwołano jedno spotkanie, więc mogę być po nią już o drugiej, żeby się nie nudziła.

Nagle Anna zaczęła krzyczeć do telefonu:

– Nie chcę, żebyś ją odbierała, słyszysz?! Nie rozumiesz, że masz zostawić nas w spokoju, do licha ciężkiego? Zadzwoń do ciebie później.

Przerwała rozmowę i schowała telefon komórkowy do kieszeni.

Plomba na drzwiach Hellanda była zerwana; kiedy Anna mijiała gabinet, doszły ją głosy policyjnych techników. Zwolniła. Technicy mieli na sobie białe kombinezony i rozmawiali ze sobą cichymi głosami. Próbowwała się zorientować, czego rozmowa dotyczy. Zastanawiała się, czego funkcjonariusze znów tu szukają. Kiedy weszła do pokoju, od razu zobaczyła, że z komputera Johannesesa zniknął twardy dysk. Na biurku leża kartka z informacją, że został zarekwirowany przez policję. Anna sięgnęła po telefon komórkowy.

„Policja zwinęła twojego kompa”, napisała.

Żadnej odpowiedzi.

Cecilie także milczała.

O dwunastej Anna zeszła do stołówki, kupiła dwie

kanapki i dwa kartoniki soku i poszła do muzeum. Otworzyła swoim kluczem drzwi do sali kręgowców. Od razu zobaczyła Tybjerga. Siedział przy jednym z dużych stołów i coś pilnie notował. Na stole leżało kilka otwartych książek, stały też pudełka z kośćmi. Tybjerg podniósł głowę i spojrzał na nią zalękniony.

– A, to ty – odetchnął z ulgą.

– Nocowałeś tu – stwierdziła Anna.

Tybjerg spuścił wzrok. Patrzył na swoje dłonie; Anna zauważyła, że jedno nozdrze drży mu nerwowo. Podała mu kanapkę.

– Dlaczego nie sypiasz w domu? – spytała, wyraźnie zniecierpliwiona.

Mężczyzna spojrzał na nią niepewnie.

– Obiecuj mi, że nikomu o tym nie powiesz. Słyszysz!

– Ale o co chodzi?

– Mieszkam tu już od ośmiu miesięcy. Muszę oszczędzać, te wszystkie podróże dużo kosztują. Musiałem sprzedać mieszkanie. Dotąd nikt niczego się nie domyślił. Kilka ostatnich nocy spędziłem w tej sali. To dla mnie? – spytał, zerkając na kanapkę.

– Tak – powiedziała Anna i podała mu sok. W milczeniu patrzyła, jak Tybjerg odwija z folii kanapkę i rzuca się na jedzenie. – Chowasz się przed Freemanem?

Tybjerg nie odpowiedział. Jadł kanapkę. W końcu Anna straciła cierpliwość. Zdjęła pokrywkę z jednego z pudełek, wyjęła kość i położyła ją przed Tybjergem.

– To jest skrzydło ptaka – oświadczyła. – Kość nadgarstkowa jest charakterystycznie ukształtowana, jednakowa praktycznie u wszystkich maniraptorów, czyli u wszystkich ptaków, zarówno pierwotnych, jak i współczesnych. To ważna cecha dowodząca bliskiego pokrewieństwa jednych i drugich. Freeman jest innego zdania. Według niego między innymi niezrośnięte kości śródrezcza dinozaurów dowodzą, że ptaki i dinozaury nie są ze sobą spokrewnione – powiedziała.

Włożyła kość z powrotem do pudełka i sięgnęła po następną.

– A to jest... – zaczęła.

– Przestań – przerwał jej Tybjerg.

– To jest kość łonowa – wróciła do swojego wyводу Anna. – Wiemy, że kość łonowa zarówno u teropodów, jak i u archeopteryksa i kilku innych ptaków z okresu kredy charakteryzowała się zgrubieniem dystalnym. Freeman temu zaprzecza. Kolejna różnica między nami to położenie kości łonowej. Różnimy się też w odniesieniu do piór, w stosowaniu metod filogenetycznych, właściwie we wszystkim. Dlatego przyjechał do Danii. Żeby zyskać zwolenników dla swojej teorii, a nie żeby zabić Hellanda, ciebie, mnie czy moją córeczkę.

– Przestań – powtórzył po raz kolejny Tybjerg. – To wszystko na nic – stwierdził, wstając. Zjadł resztę kanapki i ruszył w głąb sali, po chwili zniknął w labiryncie szaf. Anna słyszała, jak błądzi w ciemnościach.

Kiedy była w drodze do zakładu, zadzwonił Jens. Odebrała.

– Cześć, tato.

– Witaj – usłyszała jego zdyszany głos. – Jestem w podróży służbowej. W Odense.

– Aha – odpowiedziała, idąc szklanym korytarzem łączącym budynek muzeum z Instytutem Biologii.

– Posłuchaj – ciągnął dalej ojciec. – Rozmawiałem z twoją matką. Było jej przykro.

– Aha.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie przenoś na nią swojego stresu. Ona stara ci się pomóc, kochanie.

Anna czuła narastającą wściekłość; nie była w stanie nic powiedzieć.

– Podobno krzyczałaś i odłożyłaś słuchawkę. O co chodzi?

Nareszcie odzyskała głos.

– Może ty mi powiesz, o co chodzi? Czy moja matka jest ze szkła, że jest taka krucha? Możesz mi to wytłumaczyć? Całe życie muszę uważać, żeby tylko jej nie urazić!

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Rany boskie! Opuść sobie trochę – odezwał się w końcu Jens.

– Ani mi się śni!

– Przestań się wściekać! – krzyknął zły.

– Wiesz, co? Zadzwon do mamy i przekaz jej, że Lily

jest moim dzieckiem! Niech zadzwoni, kiedy to zrozumie!
Do diabła, tato, ona obcina jej włosy i przekłuwa jej uszy,
nie pytając mnie o zdanie!

Znów zapadło milczenie.

– Próbuje ci pomóc.

– Nie chcę waszej pomocy. Ani twojej, ani jej –
powiedziała Anna.

O czwartej poszła odebrać córeczkę z przedszkola.

8

Clive obudził się w swoim domu na Vancouver Island i przez chwilę rozglądał się zdziwiony. Leżał na kanapie. Nagle przypomniał sobie, że uderzył Kay. Poszedł do gościnnej łazienki, wykąpał się i ogolił. Potem zaczął szykować śniadanie. Wstawił jajka, usmażył bekon, zrobił grzanki. Ustawił wszystko na tacy i wyniósł do ogrodu. Nakrył do stołu. Słońce świeciło, powietrze było łagodne. Kay zwykle kładła na stole obrus; rozejrzał się, ale nie znalazł żadnego. Wziął więc kilka serwetek i położył pod talerzami. Nastawił wodę na herbatę i poszedł obudzić Kay.

Drzwi do sypialni były otwarte, słyszał lecącą w łazience wodę. Zajrzał do sypialni i zobaczył leżącą na łóżku walizkę. W tym momencie Kay wyszła z łazienki i spojrzała na niego. Po chwili usłyszeli klucz w zamku i głos Franza:

– Mamo? Jesteś na górze?

Kay zeszła na parter. Clive usłyszał, że mówi coś szeptem do syna.

– Idź do samochodu – powiedział Franz.

Po chwili pojawił się na schodach. Był opalony i potężnie zbudowany. Ćwiczył podnoszenie ciężarów. Minął ojca i poszedł po walizkę.

– Jesteś durniem, tato – powiedział spokojnie, mijając go.

– A ty jesteś maminsynkiem.

Franz westchnął i zszedł na dół. Clive nie potrafił pojąć, jak to możliwe, że spłodził kogoś tak żalosego. Chłopak wyglądał jak napompowany wieprz, bez śladów intelektu. Po chwili usłyszał, jak uruchamia silnik, samochód odjechał. Kiedy zszedł do kuchni, zobaczył spalony garnek i dwa jajka.

Kolejne trzy dni spędził w domu. Wyłączył telefon, stacjonarny i komórkowy, nie sprawdzał poczty. Trzeciego dnia nie wytrzymał, włączył telefon, ale Kay nie dała znaku życia. Jack też się nie odezwał.

Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Pierwszego dnia pootwierał wszystkie szafki, chcąc zorientować się w ich zawartości. Okazały się dobrze zaopatrzone, z czasem jednak zapasy zaczęły znikać. Postanowił pójść na zakupy. Idąc, rozmyślał. On i Kay nigdy się nie kłócili. Tylko raz, po drobnej sprzeczce, Kay wyszła z domu i nie było jej trzy godziny. Ale nie trzy dni! Był wstrząśnięty.

W markecie wziął wózek i zły zaczął krążyć między regałami. Wziął jakieś ciastka, puszkę kukurydzy, mięso, papier toaletowy, dwie torebki czipsów i zgrzewkę piwa. Było przedpołudnie i sklep był prawie pusty. Kasjerka była gruba i gadatliwa. Pomogła mu wyłożyć towary na taśmę, a potem spakować do torby. Na koniec powiedziała:

– Witamy w Patbury Hill. Pewnie będziemy się widywać, zakupy każdy musi robić.

Uśmiechnęła się do Clive'a, który przyglądał się jej zdziwiony.

– Mieszkam tu blisko dwadzieścia pięć lat – powiedział.

Kobieta wyraźnie się zmieszała.

– No, proszę. A ja nigdy pana tu nie wiedziałam.

Clive odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Wrócił do domu, usiadł w fotelu, obok na stoliku położył ciastka. Zaczął się przyglądać trawnikowi przed domem. Kiedy tak siedział w milczeniu, można było odnieść wrażenie, jakby w ogóle nie istniał.

Franz i Tom byli dorośli, mieli żony, dzieci, własne życie. Stali się dla niego obcy. Kiedy byli mali, często zdarzało się, że Clive nocował w swoim gabinecie, gdy pracował do późna w nocy. Synowie wiedli bardziej uporządkowany tryb życia: Franz prowadził ośrodek rekreacyjny, Tom był wysokim urzędnikiem na poczcie. Od czasu do czasu przychodzili na prośzone obiady, no i oczywiście na urodziny i święta. Poza tym jednak rzadko się spotykali. Z Kay mieli lepszy kontakt, podczas domowych wizyt chętniej spędzali czas z nią niż z nim. Szczerze mówiąc, Clive zawsze czuł, że Jack jest mu bliższy niż obaj jego synowie.

Michael Kramer zadzwonił, pytając, co się z nim dzieje. Doświadczenie było w toku, pierwsze wyniki były obiecujące, niedługo będzie można zacząć pisać raport.

Być może uda im się przedstawić go na październikowym sympozjum w Kopenhadze. Zostało jeszcze dwa i pół miesiąca.

– Dobrze, pracujcie dalej – powiedział Clive i wyjaśnił, że jest chory: ma zapalenie ucha środkowego.

– W twoim wieku? – zdziwił się Michael.

– Tak.

– Wszystko jest w porządku?

– W jak najlepszym – odpowiedział Clive i odłożył słuchawkę.

Siedział chwilę bez ruchu, potem postanowił zadzwonić do Kay.

Wybrał numer do Franza. Odebrała jego żona. Rozmawiała z nim chłodno, ale uprzejmie. W końcu do telefonu podeszła Kay.

– Tak? – powiedziała.

– Jak długo zamierzasz tam być? Wracaj do domu. Okropny tu bałagan.

– To twój sposób powiedzenia przepraszam?

– Tak – przyznał Clive i się roześmiał. – Znasz mnie nie od dzisiaj. Wracaj, skarbie.

– Clive, jeśli kogoś się kocha, to nie podnosi się na niego ręki i nie dzwoni się po trzech dniach, bagatelizując całe zdarzenie – powiedziała Kay i odłożyła słuchawkę.

Clive zadzwonił ponownie, ale tym razem nikt nie odebrał.

W ciągu tych trzech dni i trzech nocy, kiedy prawie

nie spał, napisał artykuł, rodzaj manifestu. Kiedy skończył, położył się i zapadł w drzemkę. Śnił mu się Jack, ale nie był to przyjemny sen. Jack i Michael Kramer... oni obaj... nie, nie mógł, nie chciał o tym myśleć; jak w ogóle przyszło mu do głowy takie porównanie, że oni obaj... Clive złapał się za głowę. Poczł promienie słońca na twarzy, zbliżało się południe. Z głodu burczało mu w brzuchu, ale nie miał apetytu. Wypróbował już wszystkie gotowe dania z pobliskiego sklepu, mrożoną pizzę, ragout, różne konserwy, i miał dosyć. Na samą myśl dostawał mdłości. Zamrażarka była co prawda pełna, ale nie były to gotowe dania. Poprzedniego dnia wyjął zamrożony udziec jagnięcy i włożył do piekarnika. To powinno być proste, pomyślał. Wyszedł z kuchni i natychmiast zapomniał o pieczeniu. Przypomnił sobie o niej, kiedy poczuł zapach spalenizny. Pobiegl do kuchni i wyjął mięso z piekarnika. Próbował zjeść kawałek, ale mięso nie smakowało tak jak pieczeń przyrządzona przez Kay. Smakowało spalenizną.

Wstał z łóżka i poszedł po manifest. Postanowił wydać go w formie książki. Na okładce umieści wizerunek archeopteryksa, oczywiście bez ostatniego wymysłu Hellanda i Tybjerga, kości udowej, którą teraz bez przerwy pokazywano we wszystkich pismach. Na okładce jego książki praptak będzie wyglądał dokładnie tak, jak wyglądał w 1877 roku, gdy znaleziono jego skamielinę podczas wykopalisk w Solnhofen. W 1999 roku Freeman osobiście robił pomiary tego

najpiękniejszego ptaka świata.

Siedział w pokoju z widokiem na ogród i jeszcze raz czytał wczorajszy tekst. Chciał, żeby wszystko było gotowe przed jego wyjazdem do Danii.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi, ktoś przekręcił klucz w zamku, w drzwiach pokazała się głowa Franza.

– Cześć, tato – rzucił krótko.

Clive wyprostował się i chwycił kartki papieru, które osunęły się na podłogę.

– Witaj, Franz. Napijesz się kawy? – spytał, poprawiając okulary.

Syn zawahał się, ale pokręcił głową.

– Nie, spieszę się. Przyjechałem wziąć kilka rzeczy mamy, ubrania i parę książek – powiedział i ruszył na górę.

Clive siedział w fotelu, udając, że czyta. Kiedy Franz zszedł, w jednym ręku trzymał torbę, w drugim zaś pokrowiec z czarną, wyszywaną perełkami suknią Kay. Uwielbiał tę suknię. Podkreślała zgrabną figurę Kay. Poza tym zwykle, kiedy ją wkładała, rozpuszczała włosy. Bardzo go to podniecało, zdarzało się, że potem, po powrocie z przyjęcia, szli do łóżka. Tak było też ostatnim razem, kiedy miała ją na sobie. Ale to było dawno temu.

– Dlaczego zabierasz tę suknię? – spytał schrypniętym głosem.

– Mama mnie o to prosiła.

– Ta suknia zostanie tutaj – oświadczył Clive stanowczo.

– Nie bądź śmieszny, tato. Mama jej potrzebuje.

– Jak to?

– Idzie do teatru z Molly i z Jackiem.

– Nie zgadzam się – zaprotestował Clive i chwycił pokrowiec z suknią.

Franz okazał się jednak silniejszy. Z suknią w rękę ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się i spojrzał na ojca.

– Nie rozumiem cię – powiedział. – Nie żebym kiedykolwiek cię naprawdę rozumiał, ale teraz już w ogóle cię nie rozumiem.

Odwrócił się i zniknął.

Chociaż Clive starał się ze wszystkich sił nie myśleć o Kay, Jacku i Molly, to cały czas miał ich przed oczyma. Widział Jacka w ciemnym garniturze, świeżo ogolonego i krótko ostrzyżonego, skupionego i czujnego, ale wyraźnie odprężonego. Obok niego szła Kay w swojej czarnej sukni, blada i piękna. Widział, jak siada na widowni, otoczona pełnymi oczekiwania ludźmi; widział też, jak Molly, chcąc ją pocieszyć, kładzie swoją dłoń na jej ręce.

Pewnego dnia wiosną wszyscy czworo wybrali się do opery; był to niezapomniany wieczór. W przerwie wypili nieco za dużo szampana; wracając na swoje miejsca, Kay poszła przodem, tak że jemu przypadło miejsce między nią a Jackiem. Siedział spięty między dwojgiem ludzi, którzy znaczyli dla niego najwięcej na świecie; nie był w stanie na niczym się skupić. Kay chwyciła jego dłoń, z drugiej strony czuł promieniujące od Jacka ciepło, czuł dotyk jego ramienia, kiedy pochylał się czy śmiał.

Teraz oboje go zdradzili. Zrozumiał, że człowiek naprawdę zawsze jest sam. Uspokoił się nieco. W tym momencie najważniejsza dla niego była jego pozycja zawodowa. Kay prędzej czy później wróci. Chociażby dlatego, że nie miała pieniędzy.

Następnego ranka postanowił wrócić do pracy. Po raz pierwszy od trzech tygodni wsiadł na rower i pojechał na uniwersytet. Wszedł do zakładu i pewnym krokiem ruszył korytarzem. Usłyszawszy kroki, Michael wyszedł ze swojego laboratorium.

– Clive, staruszkule, dobrze cię znów widzieć.

– Dzień dobry – odpowiedział Clive.

Minął młodszego kolegę i wszedł do swojego gabinetu. Zatęchły zapach uderzył go w nozdrza; natychmiast otworzył okno. Po chwili zjawiała się sekretarka z pocztą. Wiadomość o jego powrocie szybko się rozeszła. Clive przyjął zaproszenie Michaela, żeby zjeść razem lunch. Zeszli do stołówki. Wszyscy wydawali się ucieszeni, że go widzą.

Po lunchu zajęli się przygotowaniem do kopenhaskiej prezentacji. Michael zapoznał go z wynikami badań, były rzeczywiście obiecujące. Obejrzał mnóstwo zdjęć ilustrujących przebieg eksperymentu i wykazujących wyraźnie, że ręka ptaka nie może pochodzić od ręki dinozaura, chyba że mielibyśmy do czynienia z mutacją zarówno jeśli chodzi o symetrię palców, jak i o główną oś ręki, co było szalenie mało

prawdopodobne. Zagwizdał cicho, zadowolony. Michael rozsiewał wokół siebie zapach męskich perfum, który drażnił nozdrza Clive'a. Gdyby nie to, że Michael miał żonę i dwójkę dzieci, można by pomyśleć, że... Clive nagle cofnął się nieco.

– Zapraszam wszystkich do Steakhouse'u – rzucił nagle. – To trzeba uczcić. Poza Michaeliem zaprosił też Johna, Angełę, Pipera, Ann, sekretarkę i dwóch doktorantów. Cały swój, wierny mu zespół.

Niestety, nikt z nich nie mógł przyjść. Michael obiecał żonie, że zostanie w domu i zaopiekuje się dziećmi.

Wolny wieczór Clive poświęcił na zrobienie strony internetowej, zapowiadającej jego wystąpienie na kopenhaskim sympozjum. Z programu wynikało, że Tybjerg zgłosił aż cztery wystąpienia, co zresztą bynajmniej go nie zdziwiło. Był natomiast zaskoczony, że wśród prelegentów nie znalazł Hellanda. Duński profesor, który nie uczestniczył w żadnych imprezach poza Europą, miał teraz okazję przedstawić swoje wypociny w swoim kraju. Dlaczego z niej nie skorzystał? Dziwne. Nagle Clive uzmysłowił sobie, że właściwie dawno się nie kontaktowali. Sprawdził pocztę, znalazł jednak jedynie wcześniejszą korespondencję. Zaczął czytać mejle Hellanda i tylko popsuł sobie humor.

Na zewnątrz było ciepło, Clive otworzył drzwi do ogrodu i zadzwonił do Michaela. Odebrała jego córka.

- Niestety, taty nie ma w domu – powiedziała.
 - To kto wami się opiekuje? – spytał Clive zdziwiony.
 - Ja mam piętnaście lat, a moja siostra trzynaście – roześmiała się dziewczynka.
 - A gdzie jest twój tata?
 - Ma jakieś spotkanie na uniwersytecie.
- Clive podziękował za informację i się rozłączył.

Siedział chwilę w milczeniu i patrzył przed siebie. Potem usiadł do komputera i wszedł na stronę Muzeum Zoologicznego w Kopenhadze. Zobaczył informację o wystawie poświęconej piórom. Ucieszył się, ale jego radość trwała krótko, bo tytuł wystawy brzmiał: *Od dinozaurów do ptaków*. Była to z pewnością inicjatywa tego przeklętego Tybjerga. Kiedyś, w przyszłości, muzea zoologiczne na całym świecie będą się wstydziły, że tak haniebnie się myliły.

Jack nie dawał znaku życia, Kay nadal mieszkała u Franza, co bardzo Clive'a denerwowało. Teraz jednak najważniejsze było zbliżające się sympozjum. Ono oraz wyniki ostatnich badań mogły mieć przełomowe znaczenie dla jego kariery; musiał się skupić. Nocami śnił mu się Jack. Widział jego rozpromienioną twarz z lekko wysuniętą górną wargą. Zaczął brać tabletki na sen, jego noce wypełniła czarna pustka. Poczul ulgę.

Dziewiątego października Michael i Clive odlecieli

do Kopenhagi. Nie lubił lotów przez Atlantyk, tym razem jednak Michaelowi udało się załatwić im miejsca w klasie bussines. Rozpromieniony pokazał mu karty pokładowe. Siedzieli więc wygodnie w fotelach i dyskutowali o czekającej ich prezentacji; sympatyczne stewardesy podały im poczęstunek. Clive zauważył, że Michael we wszystkim się z nim zgadza. A nie zawsze tak było. Tuż po obronie doktoratu miał okres buntu, o wszystkim chciał decydować sam. Clive nie był tym zachwycony. Znajdował się pod obstrzałem i musiał mieć lojalnych współpracowników. Z czasem jednak Michael wyraźnie się zmienił. Teraz już nie zgłaszał żadnych uwag, a jeśli już, to były one przemyślane i konkretne. W pewnym momencie, gdzieś nad Atlantykiem, Clive poczuł potrzebę zwierzenia mu się.

– Mam przeczucie, że to jest już ostatni raz – powiedział.

– Nie rozumiem...

– To znaczy, nie jestem pewien – zaczął Clive, zastanawiając się, co właściwie chciał powiedzieć.

– Prezentacja jest w porządku – spróbował wtrącić Michael. – Wyniki badań są nie do podważenia.

– Tak, to prawda – odpowiedział Clive, wyglądając przez okno. Po jednej stronie zachodziło słońce, malując chmury na czerwono, po drugiej widzieli już ciemną, europejską noc. – Moje życie się załamało – odezwał się po chwili Clive. – Jeśli prezentacja się uda, to po powrocie zamierzam się wycofać – dokończył, nie bardzo

wiedząc, dlaczego to mówi.

Michael sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, poruszył się niespokojnie w fotelu, kiedy jednak Clive odwrócił się do niego, zobaczył, że jest zagłębiony w lekturze jakiegoś pisma.

Hotel nazywał się Ascot i leżał w samym centrum Kopenhagi, w niewielkiej, bocznej uliczce, niedaleko dużego, brzydkiego placu. Pokoje były małe, pościel nie była śnieżnobiała, nie było też barku. Clive zadzwonił do recepcji i poprosił o kod do bezprzewodowego Internetu; przejrzał jeszcze raz swoją prezentację, wprowadził drobne poprawki i zasnął.

W środę on i Michael jedli śniadanie w dużej jadalni, która była zimna i niemal pusta. Właśnie zasiedli do jajecznicy, kiedy do sali weszło dwóch mężczyzn. Clive śledził ich wzrokiem. Obaj byli wysocy, rozejrzeli się i po chwili ruszyli w ich stronę. Michael jadł, czytając gazetę; zauważył ich dopiero, kiedy stanęli tuż obok stolika.

– Clive Freeman? – spytał jeden z mężczyzn uprzejmie.

Clive spojrzał na niego zaniepokojony. Gdyby Kay umarła, to przecież... to przecież... Nie bardzo wiedział co. Zamknął oczy.

– Clive Freeman? – powtórzył mężczyzna.

– Clive, chyba musisz odpowiedzieć – szturchnął go Michael.

Clive uniósł głowę.

- Tak – potwierdził nieswoim głosem.
- Søren Marhauge, komisarz śledczy – przedstawił się pierwszy z mężczyzn. – Możemy zamienić słowo? – spytał bezbłędną angielszczyzną.
- Coś z moją żoną? – wyszeptał Clive.
- Mężczyzna się uśmiechnął.
- Nie, nie chodzi o pańską żonę ani o nikogo z pana rodziny – powiedział spokojnie. – Sprawa dotyczy Larsa Hellanda.

Clive był wstrząśnięty. Kiedy opuszczał komisariat, musiał poprosić młodego policjanta, żeby pomógł mu wsiąść do taksówki, jakby rzeczywiście był starcem. Mieli wszystkie jego mejle. Komisarz Søren Marhauge położył je przed nim na stole. Chciał zaprotestować, że to niezgodne z prawem, ale zastanowił się i doszedł do wniosku, że pewnie nie ma racji. Lars Helland nie żył, policja prowadziła śledztwo, badając wszystkie okoliczności, jak to dyplomatycznie określił komisarz. Clive od razu zrozumiał, że Helland został zamordowany. Miał wrażenie, że komisarz bacznie mu się przygląda.

– Wiemy, że nie ma pan nic wspólnego ze śmiercią Larsa Hellanda. Sprawdziłem pańskie podróże. Ostatni raz był pan w Europie w 2004 roku, zgadza się?

Clive przytaknął.

– Teraz jest pan tu w związku z sympozjum w Bella Centret?

Clive ponownie pokiwał głową.

– W sobotę ma pan wygłosić odczyt?

– Tak, w sobotę wieczorem.

– Gdzie był pan w czerwcu tego roku? – padło nagle pytanie.

Clive zaczął się zastanawiać. To było, jeszcze zanim Jack go zdradził, a Kay się wyprowadziła.

– Nigdzie – odpowiedział. – Nigdzie nie byłem.

Czerwiec był brzydki, ciągle wiał wiatr, dużo pracował. W końcu Kay stwierdziła, że powinien odpocząć, więc pojechali do swojego domku w górach, gdzie spędzili dwa tygodnie. Przyjmowali gości, Kay robiła sałatki, on grillował. Zaprosili też Jacka i Molly, którzy jednak wymówili się brakiem czasu. W końcu Clive miał dosyć.

„Nie chcę żadnych wakacji!, wykrzyczał. Moja praca jest dla mnie najważniejsza. Wystarczy zamknąć oczy na trzy sekundy i co się dzieje? Od razu ktoś znajduje opierzonego tyranozaura!”

Kay pozwoliła mu wrócić do domu.

– A co pan robił w lipcu?

W lipcu siedział w domu i żywił się parówkami i puszkami.

– Pracowałem – powiedział. – Musiałem przygotować prezentację na obecne sympozjum.

Policjant podał mu wydruk.

For zuhat you have done, you shall suffer, przeczytał Clive.

– Pan to napisał?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział wzburzony. – Nie mam w zwyczaju grozić ludziom.

W końcu pozwolili mu odejść.

Clive wrócił do hotelu i wykończony padł na łóżko. Zasnął i śnił mu się własny pogrzeb. Kay szła za trumną, miała czarny welon i była bardzo nieszczęśliwa. Towarzyszyli jej synowie. Kiedy zapłakana miała się rzucić na trumnę, sen nagle się urwał, by po chwili zacząć się od początku. Tym razem jednak kościół był pusty; przed ołtarzem stała biała trumna; przyszedł ksiądz i zaczął mówić coś o ziemi. Clive wołał do niego z wnętrza trumny, żeby się skupił, ale ksiądz go nie słyszał. Nagle drzwi kościoła się otworzyły, ktoś wszedł i usiadł w ostatnim rzędzie. Ksiądz poprosił, żeby podszedł bliżej, miejsc było dużo.

– Zmarły nie miał wielu przyjaciół – powiedział ksiądz cicho. – Nawet żona zmarłego nie mogła przyjść. Cieszę się, że chociaż pan tu jest.

Obcy podszedł bliżej i nagle Clive spostrzegł, że jest to Tybjerg. Usiadł w pierwszym rzędzie, na miejscu Kay.

W pierwszym momencie Clive miał wrażenie, że nagle Tybjerg zaczął bić brawo; dopiero po chwili dotarło do niego, że ktoś dobija się do drzwi. Ledwie przytomny wstał i otworzył. Do pokoju wszedł Michael. zaproponował, żeby zeszli na dół do baru i wypili po drinku. Długo rozmawiali o tym, co się stało, dopiero po jakimś czasie udali się do Bella Centret, gdzie odbywało

się symposium. Mimo że był już wieczór, postanowili pojechać i trochę się rozejrzeć.

Nagle poczuł szturchnięcie.

– Spójrz – powiedział Michael.

Clive podążył wzrokiem za jego palcem. Patrzył na elektroniczną tablicę, która informowała o programie na kolejne dni. Zmrużył oczy.

– O co chodzi?

– Wystąpienie Tybjerga zostało zdjęte. Widzisz? „Odwołane, nowy mówca”.

Clive stał wpatrzony w tablicę.

– Pewnie jest załamany – rzekł zamyślony. – Helland był jego mentorem. Pomyśl, jakbyś się czuł, gdybym to ja został zamordowany?

– Chyba nie najlepiej. – Michael się uśmiechnął.

W czwartek rano Clive wyszedł na miasto. Wiało. Przed wyjściem zerknął na mapę i teraz zdecydowanym krokiem zmierzał w stronę uniwersytetu, gdzie był umówiony z Johanem Fjeldbergiem. Po półgodzinnym spacerze po jego lewej stronie ukazał się kompleks Wydziału Nauk Przyrodniczych. Nie robił przyjemnego wrażenia. Cały kompleks składał się z trzech wysokich budynków z lat sześćdziesiątych i z kilku niższych pawilonów z żółtej cegły, pozbawionych wdzięku. Przeszedł przez park. W recepcji spytał o Johana Fjeldberga, który też wkrótce się pojawił. Zasypał Clive'a

potokiem słów i poprowadził labiryntem korytarzy do gmachu muzeum. Okropna historia; szczerze współczuł Hellandowi. Był dobrym kolegą. I znakomitym naukowcem. Clive uśmiechnął się i skinął głową. Fjeldberg poinformował go, że chodzą plotki, że Helland został zamordowany, chociaż on osobiście w to nie wierzy.

– To jakaś paranoja; niektórzy twierdzą, że w grę wchodzi jakieś pasożyty.

Clive spojrział na niego zszokowany.

– Pasożyty?

– Tak, podobno zagnieździły się w jego tkance mięśniowej – powiedział Fjeldberg i się wzdrygnął.

Dotarli do windy. Fjeldberg patrzył na swojego gościa z nieskrywaną ciekawością.

– Dobrze go pan znał?

– Czy ja wiem – odpowiedział Clive, wchodząc do windy. – Zawodowo się nie zgadzaliśmy. Ale osobiście byliśmy przyjaciółmi – skłamał. – Na pewno będę chciał być na pogrzebie w sobotę – dodał.

– Nie pojmuję, że są ludzie, którzy nie potrafią oddzielić spraw zawodowych od relacji osobistych – ciągnął dalej Fjeldberg. – Jeśli o to chodzi, to Helland mógł świecić przykładem. Potrafił się spierać, ale nie wpływało to na jego opinię o konkretnym człowieku. Niekiedy można było wręcz odnieść wrażenie, że najbardziej cenił sobie tych, z którymi się najbardziej różnił zawodowo. Cenił sobie sytuacje dynamiczne.

Myślę, że w sobotę przyjdzie sporo ludzi. Był lubiany. Nawet przez swoich naukowych wrogów.

Clive nie przestawał się uśmiechać.

– Czy Erik Tybjerg jest może teraz w muzeum? – spytał niewinnie. – Chciałem złożyć mu kondolencje. Znamy się od dawna. Toczyliśmy zajadłe naukowe spory, ale teraz chętnie uścisnąłbym dłoń temu młodzieńcowi...

– Ciekawe, że pan o nim wspomina – przerwał mu Fjeldberg. – Wygląda bowiem na to, że Tybjerg zniknął.

– Zniknął?

– Tak. Wiele osób go szuka. Także policja. Nie odpowiada na mejle, nie odbiera telefonów, nie ma go w pokoju, w którym zwykle pracuje.

– Może uznał, że potrzebuje samotności. Po tym wszystkim... – powiedział Clive współczująco.

Co tu się dzieje? – zaczął się zastanawiać zaniepokojony. Jego wrogowie zdawali się znikać jeden po drugim. Ciekawe, jakie wnioski wyciągnie policja. Może następnym razem nie będą dla niego już tacy mili?

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Fjeldberg.

Clive wiele słyszał o zbiorze kręgowców kopenhaskiego Muzeum Zoologicznego, więc kiedy razem z Fjeldbergiem wszedł do sali, poczuł dreszcz podniecenia. Wysoka sala zastawiona była pięknymi drewnianymi, przeszklonymi gablotami. Uchwyty szuflad zrobione były z porcelany, wszędzie widniały łacińskie nazwy, tak że było dokładnie wiadomo, gdzie co się

znajduje. Na ścianach między szafami wisiały stare plansze. Stoły do pracy zrobione były z ciemnego drewna, każdy był wyposażony w lampę na wyciągniku. Lampy też były stare, miały co najmniej pięćdziesiąt lat. Obok stały obite skórą krzesła z podłokietnikami.

– Zapewne chce pan obejrzeć szkielet moa – powiedział Fjeldberg.

Zatrzymał się, wyciągnął drabinę i wszedł na nią.

– Zaraz go panu pokażę – zaoferował, otwierając jedną z szaf.

– Pomóc panu? – spytał Clive. Fjeldberg był drobnej budowy i już nie pierwszej młodości.

– Tak, proszę wziąć go ode mnie, kiedy już uda mi się wyjąć go z szuflady – odpowiedział Fjeldberg, wspinając się na palce. – Co u licha? Nie ma go tu – oświadczył zdziwiony.

Włożył rękę do szuflady, żeby jeszcze raz dokładnie wszystko sprawdzić; po chwili zszedł z drabiny.

– Dziwne.

Clive przyglądał mu się, nie bardzo rozumiejąc, co się stało. Fjeldberg ruszył do drzwi. Włączył neonówkę, dającą białe, nieprzyjemne światło.

– Musi tu gdzieś być – mruczał sam do siebie pod nosem. Chodził od gabloty do gabloty, jego kroki rozlegały się to tu, to tam. Początkowo Clive próbował iść za nim, w końcu jednak zatrzymał się i postanowił poczekać, aż Fjeldberg skończy swoje poszukiwania. Duża, pusta stara sala sprawiała nieco tajemnicze

wrażenie. Wzdrygnął się. Tuż nad jego głową wisiał wypchany pies. Widział jego małe ostre zęby i dziury w miejscu, gdzie kiedyś były oczy.

– Jest! – zawołał nagle Fjeldberg triumfująco.

Clive poszedł za jego głosem i wkrótce zobaczył swojego duńskiego kolegę, pochylonego nad jednym ze stołów.

– Ktoś najwyraźniej go sobie wypożyczył, a potem nie odłożył na miejsce. Niestety, to się zdarza. Mamy tu obecnie kilkoro studentów, którzy piszą pracę na temat kości ptaków. Jedna z nich była zresztą doktorantką Hellanda. Może to ona go sobie wypożyczyła? Niedługo ma obronę, więc jest to bardzo możliwe – westchnął.

– A co teraz z nią będzie? – spytał Clive.

Fjeldberg westchnął ponownie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jest z innego zakładu. Słyszałem, że skończyła już pisać pracę, została jej tylko obrona. Nie mam pojęcia, kto teraz, po śmierci Hellanda, może przeprowadzić taki egzamin? Nie mamy zbyt wielu paleornitologów... A może pan przedłużyłby nieco swój pobyt?

Clive wyczuł, że Fjeldberg żartuje.

– Niestety pewnie nie mógłbym jej zaliczyć – odpowiedział oschle. – Jeśli pisała pracę pod kierownictwem Hellanda i Tybjerga, to znaczy, że niewiele rozumiała z procesu ewolucji, a to chyba jest podstawa?

Fjeldberg przyglądał mu się zaintrygowany.

– Powiedzmy, że zostawię tu pana do... – zerknął na zegarek – do wpół do pierwszej, dobrze? Potem przyjadę i zjemy razem lunch. Musi pan spróbować naszych duńskich kanapek.

Clive westchnął.

Drzwi za Fjeldbergiem się zamknęły i został sam. Wziął krzesło i usiadł przy jednym ze stołów. Wyciągnął lupę i zaczął studiować szkielet *Dinornis maximus*. Niewiarygodne. Stosunkowo niedawno przeprowadzone badania pozwoliły na wyodrębnienie DNA z kości tego dawno wymarłego ptaka. Okazało się, że samica ważyła kilka razy więcej niż samiec i była też od niego znacznie wyższa. Clive nie bardzo wiedział, czy dać temu wiarę. Delikatnie brał do ręki poszczególne kości. Wyjął bloczek i coś zanotował. Potem zaczął szukać kości kończyn przednich. Znalazł i natychmiast poprawił mu się humor. Synapomorfie między badanym przez niegonielotem a kaudipteryksem czy protarchopteryksem, co do których Helland i Tybjerg nie mieli wątpliwości, że były dinozaurami, były uderzające. Był coraz bardziej przekonany, że wiele zwierząt, które według obu Duńczyków były dinozaurami, tak naprawdę było nietotami z okresu kredy. O ile był w stanie to ocenić, ich szkielety były niemal identyczne.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk i się odwrócił. Poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Usłyszał jakby zduszone kaszlnięcie i jakieś szuranie; czyjś przyspieszony oddech.

Wstał i zaczął nasłuchiwać. Budynek był pełen dźwięków. Usłyszał jakieś westchnienie, ktoś przechodził korytarzem. W końcu to miejsce publiczne, uspokajał sam siebie, zerkając niepewnie w stronę zatopionej w mroku sali.

Przypomniawszy sobie, co mówiono o śmierci Hellanda. Pasożyty. Obrzydliwe. Śmierć to jedno, ale taka śmierć? Powolne umieranie, ze świadomością, że w naszym ciele rosną i rozwijają się larwy... Wzdrygnął się, jakby chciał się pozbyć przykrych obrazów. Nie cierpiał wszelkiego robactwa. Węże i robaki powinny zostać wykluczone ze świata zwierząt. Kiedyś ugryzł go kleszcz, zauważył go dopiero, kiedy napęczniał do wielkości łebka gwoździa. Kay mu go usunęła.

Poczuł, że się rozprasza. Miał wrażenie, że ciemność się pogłębiła, a kości nagle zaczęły cuchnąć. Jakby unosił się nad nimi słodki zapach śmierci. Wstał i włożył je z powrotem do pudełka. Następnie otworzył kilka szaf, wyciągnął jakieś szuflady. Wszędzie panował porządek. W jednej z przegródek znalazł pióra, w innej leżały zęby, uporządkowane, poukładane. W gablotach stały spreparowane okazy. Długo przyglądał się oku dromadera. Miał wrażenie, że zwierzę na niego patrzy. Westchnął. Nie był w stanie pozbyć się ponurych myśli. Nagle ciemność wydała mu się groźna, ruszył do drzwi.

Wyszedł na korytarz i stanął w oknie. Nie było sensu szukać Fjeldberga, na pewno by się zgubił. Postanowił poczekać, nawet nie zauważył, kiedy zapadł w drzemkę.

Wkrótce zjawił się Fjedberg; roześmiał się i powiedział, że sala zbiorów na niego też zwykle działa usypiająco. Cicho tu jak w łonie matki i nieco za ciepło. Ruszyli korytarzem, rozmawiając o pogodzie. Podczas lunchu zastanawiali się nad ewentualnym wspólnym projektem. Clive niemal zapomniał o ponurej sali zbiorów, o tym że Helland prawdopodobnie został zamordowany, a Tybjerg zniknął. Pomysł Fjeldberga mu się spodobał; rozstając się, obiecali do niego wrócić. Może zapoczątkuje to bliższą współpracę między ich uczelniami?

– Widzimy się w sobotę – powiedział Fjeldberg i mocno uścisnął dłoń Clive’a.

Wieczorem Clive i Michael wybrali się na obiad do eleganckiej kopenhaskiej restauracji. Clive studiował kartę z typowym dla siebie sceptycyzmem i już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, kiedy Michael nagle powiedział:

– Czuj się zaproszony. Zakład stawia.

– Jak to? – spytał Clive zdziwiony.

– Mam zaprosić cię na królewską ucztę. Polecenie rady wydziału. Lokal ma jedną gwiazdkę w przewodniku Michelina.

– Dlaczego? – spytał Clive, pochylając się nad stołem.

– Mają doskonałe jedzenie.

– Nie o to pytam. Dlaczego masz mnie zaprosić na ucztę?

– Bez powodu. – Michael uśmiechnął się i uniósł kieliszek.

Clive przyglądał mu się zdziwiony. Zobaczył błysk w jego oku i nagle przypomniał sobie wieczór, kiedy zadzwonił do niego i nie zastał go w domu, bo – jak powiedziała jego córka – miał zebranie na uniwersytecie. Jemu powiedział wtedy, że musi zostać w domu i zająć się dziećmi. Wspomniał o tym Michaelowi, ale on tylko się uśmiechnął.

– Nie pamiętam. Mówisz, że kiedy to było?

Clive nadal przyglądał mu się uważnie.

– Tego dnia, kiedy wróciłem do pracy po chorobie. Kiedy dałeś mi wyniki naszego eksperymentu.

– A, rzeczywiście. – Michael się rozpromienił. – Było zebranie zakładu i...

– Zebranie zakładu beze mnie? – wszedł mu w słowo Clive.

– Nie przyszedłeś. Uznaliśmy, że pewnie nie czujesz się najlepiej. Czekaliśmy na ciebie do wpół do ósmej. Gdybyś miał się spóźnić.

Clive milczał. Nie przypominał sobie żadnego zawiadomienia o zebraniu. Zwykle zawsze był obecny. Poirytowany ponownie sięgnął po kartę.

– Rozumiem – powiedział. – W takim razie poproszę homara.

9

Kiedy zadzwonił telefon, Anna robiła zakupy w całodobowym sklepie na Jagtvej. Spojrzała na numer, ale nic jej nie mówił.

– Tak?

– Anna Bella? – usłyszała niepewny głos.

– To ja. Kto mówi?

– Birgit Helland.

Anna zeszywniała.

– Przeszkadzam? – spytała Birgit.

– Nie, nie – skłamała Anna, zastanawiając się, co powiedzieć kobiecie, której niedawno zmarł mąż, którego ona, Anna, nie znosiła. – Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedziała. – Rozumiem, że jest pani bardzo ciężko.

– Dziękuję – odpowiedziała Birgit cichym głosem. – Mam coś dla ciebie – dodała po chwili. – Od Larsa. Pomyślałam, że może przyjechałabyś to odebrać. Poza tym chętnie cię poznam. Lars dużo mi o tobie opowiadał.

Głos Birgit brzmiał pewnie, jakby dobrze przećwiczyła swoje kwestie. Anna nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Ma pani coś dla mnie? Tak? Oczywiście, przyjadę. Teraz? – spytała.

– Jeśli możesz. W sobotę jest pogrzeb, a w niedzielę wyjeżdżam z Naną na jakiś czas. Przykro mi, że Lars nie może ci już w niczym pomóc. Cieszył się na twoją

obronę.

Na pewno, pomyślała Anna. Cieszył się, że będzie mógł mnie oblać albo łaskawie postawić mi trójcę. Nagle jednak usłyszała, jak Birgit mówi:

– Był z ciebie bardzo dumny.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Słucham?

– O której możesz być? – spytała Birgit Helland.

– Skończę robić zakupy i zaraz przyjeżdżam.

– Będzie mi bardzo miło – zapewniła Birgit. – Do zobaczenia.

Dom Hellanda leżał w Herlev, przy ulicy Gardsangervej, w dużym ogrodzie, nieco cofnięty od ulicy i ukryty za krzakami. Furtka wyglądała na świeżo malowaną. W kilku miejscach w ogrodzie stały karmniki, było słycać ćwierkanie ptaków. Anna przycisnęła dzwonek.

Birgit Helland był drobna i niska. Widać było, że płakała, ale na widok Anny się uśmiechnęła.

– Witaj, Anno. – Podała jej rękę.

Dom był przestronny, jasny, wszędzie panował porządek. W dużym pokoju było mnóstwo książek, stały niemal wszędzie, na półkach pod ścianami, pod parapetem. Birgit poprosiła, żeby Anna usiadła na jednej z dwóch jasnych kanap, a sama zniknęła w kuchni. Po chwili wróciła, niosąc tacę z filiżankami i dzbankiem herbaty.

– Tak mi przykro – powiedziała Anna.

– Cieszę się, że przyszłaś – odpowiedziała Birgit po prostu. – Nie mogę się pozbierać – dodała i łzy znów popłynęły jej po policzkach. Nawet nie starała się ich wytrzeć. – Przez pierwsze dwa dni telefon dzwonił bez przerwy. Dziekan, dyrektor instytutu, jego studenci, koledzy z całego świata. Wszyscy składali mi kondolencje. Większość zapewne szczerze, niektórzy z grzeczności. Nie wiem, po co ktoś dzwoni, jeśli wcale nie czuje się poruszony. Wiem, że wiele osób nie lubiło Larsa. I nawet potrafię to zrozumieć. Mąż nie był łatwym człowiekiem. – Birgit się uśmiechnęła. – Ale kto jest? – spytała retorycznie. – Teraz telefon już milczy – ciągnęła po chwili. – Ty nie zadzwoniłaś, dlaczego?

Anna czuła, jak zapada się na kanapie.

– Lars wiedział, że go nie lubisz – powiedziała Birgit, patrząc na nią łagodnie. – On specjalnie się tym nie przejmował. „Nie obchodzi mnie to”, twierdził. „Przynajmniej coś się dzieje”, mówił. Uwielbiał, kiedy coś się działo. A mnie to bolało. Uważałam, że to niesprawiedliwe, bo był dobrym człowiekiem. Może dość szczególnym, ale w gruncie rzeczy dobrym. Był wspaniałym ojcem dla naszej córki – dodała z uśmiechem Birgit.

Anna już chciała powiedzieć, że Birgit nie musi się jej tłumaczyć, kiedy nagle ona sama stwierdziła:

– Właściwie nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię. Albo się wycofuję i chowam w swoją skorupę,

albo nagle zaczynam wszystkim opowiadać o Larsie. Sprzedawcy w sklepie, kierowcy autobusu, z każdym dzielę się moim smutkiem.

– Rozumiem, co pani czuje – rzekła Anna.

Birgit dołała herbaty do filiżanek.

– Często o tobie mówił. Mam wrażenie, że go fascynowałaś, a to nie zdarzało się często. Jego jedyną prawdziwą fascynacją były ptaki – powiedziała Birgit i znów się uśmiechnęła.

Anna poczuła, że się rumieni; chciała zaprotestować, ale Birgit mówiła dalej.

– „Ona mnie nie znosi, ale prędzej umrze, niż się do tego przyzna”, mówił. Szanował cię, Anno.

Anna nie wiedziała, jak ma się zachować. Nie cofnie przecież tego, co dotąd mówiła o Hellandzie, pomyślała z goryczą.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznała szczerze. – Mieliśmy swoje nieporozumienia – dodała ostrożnie.

– To normalne. Lars miał nieporozumienia prawie ze wszystkimi. Taki był. Szedł przez życie jak taran, inaczej nie potrafił. Uważał, że tylko w ten sposób może się przebić.

Zapadło milczenie.

– Ciebie też podejrzewają? – spytała nagle Birgit.

– Czy mam rozumieć, że podejrzewają panią?

Anna była zdumiona.

– Nikt tego tak nie ujął. Ten wysoki, ciemny, stara się być miły i uprzejmy. Nie mówi niczego wprost, rzuca

jakieś półsłówka. Wiem jedynie, że wygląda na to, że Lars cierpiał na jakąś chorobę tropikalną i policja uznała jego zgon za podejrzany. Komisarz zapewnił mnie, że jak to określił, doprowadzą sprawę do końca. Mam wrażenie, że coś przed mną ukrywa. Nie jest ze mną szczery, bo mnie podejrzewa. Jestem o tym przekonana.

Nagle kobieta wstała i usiadła obok Anny. Wzięła do ręki jej dłoń i spojrzała na nią zdesperowana.

– Jeszcze trochę, a oszaleję. Nie śpię po nocach. Lars był zdrowy, a tu nagle... nie żyje. Dlaczego ktoś chciałby go zamordować? O co chodzi z tą chorobą? Nie mogę w to uwierzyć.

Anna czuła narastającą irytację. Birgit siedziała zbyt blisko niej, przeszkadzało jej to.

– Pani kłamie – wyrwało się jej nagle. Kobieta spojrzała na nią zdumiona.

– Nie rozumiem?

– Pani mąż nie był zdrowy. Obserwowałam go. Był chorym człowiekiem. Dlaczego twierdzi pani, że był zdrowy, skoro obie wiemy, że to nieprawda?

Birgit odsunęła się nieco.

– Nie rozumiem... – zaczęła; usta jej drżały.

– Co on miał w oku? – dopytywała się Anna.

– Chodzi o tego polipa?

– Tak, co to było?

– Jego ojciec też miał coś takiego – zaczęła Birgit niepewnie. – Pewnie miał to po nim.

– Nie – stwierdziła Anna stanowczo. – Dobrze pani

wie, że to nieprawda.

Birgit nadal jej się przyglądała.

– Lars nie był chory. Nie wiem, czemu się tak upierasz. Kochałam go. Nie był chory.

Kobieta zaczęła płakać.

– Chciałam ci tylko dać to – powiedziała i zaczęła się za czymś rozglądać. Na niewielkim okrągłym stoliku obok kanapy stało małe białe pudełko. Birgit sięgnęła po nie, łzy znów leciały jej po policzkach. – To od Larsa – płakała. – Prezent na twoją obronę.

Anna z pewnym oporem wyciągnęła rękę.

– Otwórz – poprosiła Birgit.

Anna zdjęła pokrywkę i usunęła warstwę leżącą na wierzchu żółtej waty. W pudełeczku leżał srebrny łańcuszek z wisiorkiem, a właściwie z dwoma: z jajeczkiem i z piórkiem. Anna przełknęła głośno ślinę.

– Jest piękny – powiedziała.

Birgit uśmiechnęła się do niej przez łzy. Wciąż siedziała blisko niej. Anna czuła zapach jej łez i ciepło jej ciała. Miała dosyć. Nie zamierzała zostawać tu chwili dłużej.

– Nie wiem, czemu pani kłamie, ale jestem pewna, że tak jest. Dlatego nie zamierzam pani pomóc. Dziękuję za herbatę.

Idąc ścieżką przez ogród, zdała sobie sprawę, że drży.

Wsiadła w autobus i wróciła na uniwersytet. Zadzwoiła do Johannesesa. Odezwała się automatyczna

sekretarka. Na skrzyżowaniu z Frederikssundsvej autobus skręcił i nagle spostrzegła idącą chodnikiem matkę. Cecilie szła pochylona, z chustką na głowie; zobaczyła autobus i przyspieszyła kroku. Nie zauważyła Anny. Mimo chłodu była w szpilkach i w lekkiej skórzanej kurtce, eleganckiej, ale z pewnością niechroniącej przed wiatrem i zimnem.

Dlaczego były takie różne? Dlaczego jej matka na ogół patrzyła na nią, jakby była z Marsa? Cecilie był teraz tuż obok okna, przy którym siedziała Anna; zobaczyła, że matka się poślizgnęła, ale szybko odzyskała równowagę. Weszła do zatłoczonego autobusu. Anna mogła ją swobodnie obserwować, sama nie będąc przez nią widziana. Cecilie sprawiała wrażenie zmęczonej. Zwykle nie ruszała się z domu bez szminki na ustach, teraz jednak jej wargi były blade i spękane. Wyglądała, jakby płakała. Z powodu Anny? I Lily? Ale przecież nawet nie zadzwoniła. To Jens dzwonił. Siedem razy. Za każdym odkładała słuchawkę. Nagrywał się jej na automatyczną sekretarkę.

Cecilie stała, trzymając się uchwyty. Anna siedziała, schowana za tablicą informacyjną z rozkładem jazdy. Patrzyła na matkę i chciało jej się płakać. Tęskniła za nią. Kiedy była z Thomasem, odsunęła się od niej nieco. Chciała większej swobody. Zostaw mnie samą, mamo, mówiła do niej w duchu. Mam własną rodzinę, nie potrzebuję cię już tak bardzo. Chciała, żeby teraz Thomas przejął to, co przez lata było zadaniem Cecilii. Żeby ją

wspierał, pocieszał. Przez moment zdawało się jej, że tak właśnie jest. Bo tak bardzo tego pragnęła. A potem domek z kart runął. I Anna została sama. Kto wtedy się zjawił? Matka.

Cecilie odwróciła nieco głowę, Anna widziała ją teraz z profilu. Myśli o mnie, pomyślała. Ale nie zadzwoniła. Uznała, że to ja powinnam zrobić pierwszy krok. Anna знаła procedurę. Mimo że jechały razem autobusem, nie podeszła do niej. Ona trzymała się z tyłu, Cecilie nie podniosła głowy. Wsiadły na tym samym przystanku. Cecilie ruszyła szybko przed siebie na swoich wysokich obcasach. Anna stała na rogu i patrzyła za nią.

Na korytarzu instytutu spotkała Elisabeth.

– Chcesz się ze mną zabrać w sobotę? – spytała. – Na pogrzeb. Mogę po ciebie podjechać kwadrans po dwunastej.

Elisabeth patrzyła na nią niepewnie; od ostatniej wymiany zdań właściwie ze sobą nie rozmawiały.

– Chętnie, dziękuję – odezwała się w końcu Anna. – Właściwie nie planowałam jechać, ale zmieniłam zdanie.

– Cieszę się – powiedziała Elisabeth szczerze uradowana.

– Coś nowego? – zagadnęła Anna.

– Nie, wciąż te same przerażające plotki.

Oczy znów zaszły jej łzami.

– Jakie plotki? – spytała Anna niewinnie.

– Podobno w jego tkankach było pełno pasożytów,

larw tasiemca w różnych stadiach rozwoju. Było ich tysiące. Dlatego umarł.

Elisabeth patrzyła na nią przerażona. Anna zastanawiała się, co powiedzieć.

– Nie przejmuj się plotkami – stwierdziła w końcu i położyła rękę na ramieniu kobiety. Elisabeth przytaknęła.

Anna szła dalej korytarzem. Postanowiła porozmawiać z Najbardziej Irytującym Policjantem Świata. Musi się dowiedzieć, dlaczego do licha pasożyty są takie tajne?

Była głodna. Wyciągnęła jedną z szuflad Johannes'a i znalazła opakowanie herbatników. Zjadła wszystkie, mimo że były miękkie i posypane cukrem. Popiła wodą i włączyła komputer. Sprawdziła pocztę, zerknęła po raz setny na swoją pracę. W końcu postanowiła zadzwonić do Ulli Bodelsen w Odense.

Po piątym dzwonku, kiedy Anna już chciała odłożyć słuchawkę, usłyszała głos.

– Słucham?

– Mam na imię Anna – przedstawiła się. Czowała, jak wali jej serce.

– Dzień dobry – usłyszała w odpowiedzi. Głos był ciepły i miły.

– Może to zabrzmie dziwnie – pospieszyła wytłumaczyć Anna – ale szukam kobiety, która była pielęgniarzką środowiskową dla okolic Odense jakieś dwadzieścia osiem, może dwadzieścia dziewięć lat temu. Nazywała się Ulla Bodelsen. W ten sposób trafiłam w

Internecie na panią.

Głos po drugiej stronie się roześmiał.

– No i pomyśleć, że jestem w Internecie, chociaż w ogóle się na tym nie znam. Jestem już na emeryturze, ale wszystko się zgadza. Trzydzieści pięć lat pracowałam jako pielęgniarka środowiskowa w naszej gminie. W czym mogę ci pomóc?

Pytanie było proste, ale Anna była zdenerwowana. Zastanawiała się, czy to w ogóle ma sens. Ojciec i córka. Jens i Anna Bella. Matka cierpiała na bóle kręgosłupa, musiała iść do szpitala. Ojciec został sam z dzieckiem.

– Może pani coś sobie przypomina? – spytała.

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć, ale powinnam coś zapamiętać. Samotny ojciec z dzieckiem. To się rzadko zdarza. Zwykle to matki zostają same. Chociaż w latach siedemdziesiątych pewnie zdarzało się to częściej. Wtedy mieliśmy równouprawnienie. Poza tym Anna Bella to rzadkie imię. To na czyjaś cześć? – spytała kobieta.

– Zdaje się, że jakiegoś jabłka – odpowiedziała Anna.

– Hmm. Chyba jednak sobie nie przypominam.

– No, cóż – westchnęła Anna. – Trudno.

– A gdzie wtedy mieszkaliście? Może to będzie jakiś trop dla mojej pamięci?

– W Braenderup, tuż za miastem, na ulicy Hormarksyen – powiedziała Anna. Po drugiej stronie znów zapadła cisza.

– Rzeczywiście, często bywałam w tamtej okolicy. W latach siedemdziesiątych popularne były „komuny”; dużo

dzieci tam się rodziło – roześmiała się znów kobieta. – Niestety, chyba nie będę w stanie ci pomóc – dodała po chwili.- Ale to na pewno była pani – upierała się Anna. – Mieszkaliśmy tam, a pani imię i nazwisko jest w mojej książeczce zdrowia. Mam kilka pytań dotyczących tamtego okresu, chciałabym wiedzieć, dlaczego moi rodzice...

– Chyba coś sobie przypomniałam – przerwała jej kobieta. – Ojciec, możliwe, że miał na imię Jens. Był dziennikarzem, tak?

– Tak! – krzyknęła Anna. – To on!

– Był okropnie zestresowany, próbował pracować w domu, żeby móc opiekować się dzieckiem. Ale kiedy matka w końcu trafiła do szpitala, musiał zrezygnować z pracy. Dom wyglądał strasznie, on zresztą też, z braku snu i z przepracowania. Pomagałam mu tyle, ile mogłam. Dobrze się rozumieliśmy, a potem nagle pewnego dnia zadzwonił i powiedział, że już nie potrzebuje mojej pomocy. Nigdy się nie dowiedziałam, co naprawdę się za tym kryło. Dzwoniłam do niego jeszcze parę razy, ale zawsze grzecznie mi odmawiał. Mam go przed oczami. Jego i dziecko. Słodkie maleństwo. Taka ciemna dziewczynka... Ależ się rozgadałam; tak to bywa ze starymi ludźmi, jeśli pozwoli im się wrócić do przeszłości.

– Ta dziewczynka to ja – powiedziała nagle Anna.

Cisza.

– Nie, to niemożliwe. Ona miała na imię Sara. Jestem tego pewna. Moja mama miała na imię Sara, dlatego to

zapamiętałam. Pamiętam wszystkie dziewczynki o tym imieniu.

Anna Bella nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Czy imię Anna Bella naprawdę nic pani nie mówi?

– Nic.

Tym razem głos zabrzmiał zdecydowanie.

Anna miała ochotę krzyczeć. To niemożliwe. Mężczyzna, o którym mówiła kobieta, to był Jens. Była tego pewna. Brsenderup, komuny, nieobecność Cecilie, i Jens, który został ze wszystkim sam. To było jej życie, jej dzieciństwo. Nie jakiejś Sary. Ulla Bodelsen musi się mylić.

– Mogę przyjechać i panią odwiedzić? – spytała zdesperowana.

– Ależ, kochanie, nawet jeśli kiedyś się tobą opiekowałam, to nie poznam cię po trzydziestu latach. Jesteś dorosłą kobietą, nie niemowlakiem.

– Tak, wiem, ale może rozpozna mnie pani w mojej córeczce – nie poddawała się Anna.

Znów zapadła cisza.

– Oczywiście, możesz mnie odwiedzić – padło w końcu.

– Jutro?

– Jutro jest piątek? Tak, dobrze.

Anna odłożyła słuchawkę i poczuła, że przeszedł ją dreszcz.

Kim, do licha, była Sara?

Kolejne pół godziny spędziła przy klawiaturze, zabijając czas. Sprawdziła coś w Internecie, zaczęła pisać zaproszenia na swoją obronę. Kogo ma zaprosić? Pomyślała o Karen i postanowiła sprawdzić w sieci jej aktualny adres zamieszkania. Robiła to zresztą co jakiś czas, za każdym razem wyskakiwał jej nowy adres w Odense. Dowiedziała się, że Karen znów się przeprowadziła: Vølundsgade 21, trzecie piętro. Niedaleko Florsgade, koło uniwersytetu. Karen Maj Dyhr. To na pewno ona. Anna siedziała chwilę wpatrzona w monitor. Odwróciła się na krześle. Zerknęła na wygaszony monitor Johannes'a i komputer, nadal pozbawiony twardego dysku. Na jego biurku jak zwykle panował niewiarygodny bałagan. Zdziwiła się, że nie zareagował na jej esemes w sprawie komputera. Gdyby ktoś z jej komputera usunął twardy dysk, nie spytałby jej o zgodę, byłaby wściekła. Wysłała mu kolejną wiadomość.

„Czy twój sen zimowy nie trwa już dostatecznie długo?”

Żadnej reakcji. Niech go diabli. Zadzwoiła do niego, włączyła się automatyczna sekretarka. Z czystej złości zaczęła szperać w jego szufladach. Wszędzie był bałagan. Kartki papieru, notatki, książki. Nie szukała niczego konkretnego, i też niczego nie znalazła. Spojrzała na zegarek. Dochodziła druga. Wyłączyła komputer i spakowała swoje rzeczy. Postanowiła, że musi z nim porozmawiać. Napisał jej, że się na nią nie gniewa, więc

muszą porozmawiać, przerwać milczenie. Już miała wyjść z pokoju, kiedy nagle przypomniała sobie o łańcuszku i wisiorku. Poszukała małego białego pudełeczka. Że też Helland kupił jej prezent. I nie był to przypadkowy drobiazg; ktoś niewtajemniczony nie zrozumiałby, o co chodzi. Wzięła łańcuszek, założyła go i wyszła. Mijając gabinet Hellanda, powiedziała głośno:

– Przykro mi, ale nie będę dziękowała drzwiom za prezent.

Wyszła na ulicę i wsiadła do autobusu jadącego na Vesterbro, gdzie mieszkał Johannes.

Mijając Istedgade, przypomniała sobie, jak pewnego zimowego wieczoru ona i Thomas wyszli z baru i znaleźli się właśnie na Vesterbro. Padał śnieg, Kopenhaga zamieniła się w miasto z bajki. Śnieg był biały, nienaruszony, na klarownym niebie widać było miliony gwiazd. Doszli do domu, ale Thomas pociągnął Annę dalej.

– Zostańmy jeszcze chwilę na zewnątrz. Jest tak pięknie – wyszeptał.

– Kochaj mnie – powiedziała nagle Anna. – Kochaj mnie, cokolwiek się stanie.

– Kocham cię, Anno, i będę cię kochał niezależnie od wszystkiego. Zawsze. I ciebie i dzieci, i w ogóle – roześmiał się, a Anna zaczęła płakać.

Następnego dnia śnieg zniknął. Od tamtego wieczoru minęły cztery lata.

Anna przecięła plac Enghave, gdzie siedzieli menele, pijąc bez względu na pogodę, i ruszyła w stronę ulicy Kongshojgade. Zaczął padać śnieg, założyła kaptur. Odwiedzała Johanna kilka razy, zawsze było bardzo przyjemnie. Johannes częstował ją dziwnymi kanapkami własnego pomysłu i herbatą. Nigdy nie dolewał herbaty, tylko podawał nową filiżankę, z chrupiącym ciasteczkiem obok. Kiedyś zaczął wypytywać ją o jej życie prywatne, nie o dzieciństwo, ale o jej życie tu i teraz.

On sam już dawno opowiedział jej wszystko o sobie. O ojcu, którego stracił, kiedy był małym chłopcem, o Jørgenie, swoim ojczymie, który był właścicielem wielkiego koncernu meblowego i chyba nadal łudził się, że pewnego dnia Johannes przejmie po nim firmę.

O swoich kontaktach z subkulturami i o poczuciu prawdziwego braterstwa, którego tam doświadczył. I o swojej młodszej siostrze.

Anna uznała, że powinna być z nim szczerą, ale przychodziło jej to z trudem. Początkowo próbowała zbyć go gładkimi półsłówkami.

– Możesz mi zaufać – powiedział jej wtedy.

I zaufała mu. Opowiedziała mu o Thomasie; o tym, jak ledwie się poznali, a ona niemal natychmiast zaszła w ciążę. Thomas nie był zachwycony, co bardzo ją bolało. Nie chciała aborcji; postanowiła urodzić dziecko. Przecież oboje wiedzieli, że się nie zabezpieczali, i to przez trzy miesiące! W końcu Thomas zaakceptował nową sytuację. Anna pomyślała, że może źle odczytała jego pierwszą

reakcję. Dla mężczyzny dziecko to czysta abstrakcja. Przez jakiś czas byli szczęśliwi.

Potem urodziła się Lily i Annie ziemia usunęła się spod nóg. Córeczka budziła się trzy, cztery razy każdej nocy; kiedy Thomas wracał po pracy do domu, Anna była zestresowana do granic wytrzymałości. Płakała, krzyczała, okładała go pięściami. Thomas zaczął się wycofywać. Coraz później wracał z pracy, szedł wcześniej spać, nie słuchał, kiedy do niego mówiła. Oddalali się od siebie, a ona tego nawet nie zauważyła.

To był okropny okres w jej życiu, było jej wstyd, zwierzyła się Johannesowi.

Lily skończyła właśnie jedenaście miesięcy, i mimo że jeszcze nie chodziła, potrafiła już mówić: mama, tata i pa! Kiedy pewnej soboty wróciły z basenu, zastały mieszkanie opróżnione z rzeczy Thomasa. Na podłodze stało pudełko z instrukcją obsługi pralki i gwarancją do miksera. Kiedy później zadzwonił, zakomunikował jej, że nie są już razem. Jakby tego nie zauważyła.

Trzy miesiące była w szoku. Nie mogła spać, albo marzła, albo się pociła, serce biło jej jak szalone. Lily płakała, tęskniła za Thomasem. Karmiąc córeczkę, Anna całowała jej spocone czołko i tłumaczyła, że wszystko będzie dobrze, ale wtedy mała płakała jeszcze bardziej. Miała jedenaście miesięcy i była nieszczęśliwa. Anna nie wiedziała, co robić, jak chronić córeczkę. Lily wchodziła na czworakach do pokoju Thomasa i pełzała z kąta w kąt. Po jakimś czasie Anna zabiła drzwi gwoźdźmi.

Anna próbowała dawać jej pierś. Ssij, kochanie, mówiła, ale dziecko nie przestawało płakać. W końcu Anna wycisnęła kilka kropli mleka na palec i spróbowała. Mleko było gorzkie. Po czterech dniach piekła zadzwoniła do Jensa, który zadzwonił do Cecilie, która po półgodzinie zjawiała się u córki.

Cecilie chciała otworzyć drzwi do pokoju Thomasa, ale Anna zaczęła krzyczeć i matka szybko się poddała; drzwi pozostały zamknięte.

– Było wam ciężko – powiedział Johannes, wysłuchawszy do końca jej opowieści.

– Mnie, Cecilie czy Lily? – spytała Anna.

– Tobie i Thomasowi – odpowiedział Johannes, patrząc na nią łagodnie.

– Nie broń go – zachnęła się. – Jeśli zamierzasz go bronić, to koniec naszej przyjaźni.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę.

– Nikt nie pragnie opuścić swojej kobiety i dziecka, Anno. Nikt. Na pewno było mu ciężko. Może nawet bardziej niż wam. Jego ból będzie trwał całe życie. Ty znajdziesz innego mężczyznę, Lily znów będzie miała ojca. A Thomas nigdy już was nie odzyska. Nigdy.

Anna zaczęła płakać.

– Powiedział, że to wszystko moja wina.

– Oczywiście, a co innego mógł powiedzieć? Jak miał się tłumaczyć? Nie masz łatwego charakteru; krzyczałaś na niego, okładałaś go pięściami, zamieniałaś mu życie w

piekło. Widzę to w twoich oczach. Ale też nic nie może usprawiedliwić tchórzostwa. Powinien był coś zrobić. Cokolwiek, ale dać ci szansę. Dać waszej rodzinie szansę, a on stchórzył. Nie potrafiłabyś żyć z tchórzem, jestem tego pewien. Koniec, kropka.

Właśnie ta kropka najbardziej ją poruszyła. Johannes zawsze był pewien swego. Thomas postąpił niewłaściwie. Koniec, kropka. Później rozmawiali też o wybaczeniu. Spytał ją, czy zamierza Thomasowi wybaczyć. Odpowiedziała, że nie wie, czy potrafi.

– Musisz to zrobić – powiedział wtedy. – Obiecuj, że to zrobisz. Zrób to dla Lily i dla siebie.

Patrzył jej w oczy tak długo, że w końcu odwróciła głowę. Wtedy wstał, podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

– Mówię serio, Anno. Jeśli mu nie wybaczysz, nie będziesz mogła pójść do przodu. Obiecuj mi, że mu przebaczysz.

Anna przytaknęła.

– Trzymam cię za słowo – powiedział Johannes. – I nie zwlekaj zbyt długo – dodał.

Kazał jej spojrzeć sobie w oczy, Anna wytrzymała jego wzrok.

– Dobrze, wybaczę mu. Obiecuję. Jeszcze nie dzisiaj, ale wkrótce na pewno to zrobię.

Skręciła w Kongshojgade i nagle się zatrzymała. Na ulicy stały trzy radiowozy, wokół nich kłębili się ludzie,

wpatrując się w drzwi, wygradzone czerwono-białą policyjną taśmą. Poczowała, że serce bije jej mocniej, podeszła bliżej.

10

W czwartek rano Søren obudził się przed świtem. Nie mógł zasnąć, więc postanowił wstać. Zapalił światło w dużym pokoju, poszedł do kuchni, wyjął z zamrażalnika bułki i włożył je do piekarnika; przynajmniej przez dziesięć minut spróbuje nie myśleć o sprawach zawodowych. Dwadzieścia minut po siódmej zaczęło świtać. Søren ubrał się, stwierdzając, że jak na październik jest wyjątkowo chłodno. Może to zwiastun prawdziwie mroźnej zimy?

Przypomniawszy sobie zimę, kiedy lód skuł cieśninę między Danią a Szwecją i trzymał tak przez dobre dwa miesiące. Było to w 1987 roku, miał wtedy siedemnaście lat. Którejś niedzieli wybrał się z Knudem do Szwecji łowić na błystkę. Pogoda była wspaniała, słońce i trzaskający mróz. Pojechali Citroënem Knuda przez lód do Szwecji. Na skutej lodem cieśninie panował stan wyjątkowy. Jeździły samochody, spacerowano, rodzice ciągnęli dzieci na sankach, niektórzy jeździli na łyżwach. Dotarli do Szwecji i ruszyli na północ. Knud wynajął od znajomego niewielki domek na wyspie na jeziorze.

– Jak będziemy łowić ryby, skoro jezioro zamarzło? – spytał Søren, a Knud mrugnął do niego porozumiewawczo.

Weekend mijał, a oni siedzieli w domku, grali w karty i w gry planszowe, jedli czekoladę i grzali się przy

kominku. Raz wybrali się na spacer wokół wyspy. Po południu Knud ustawił przed domkiem tarczę z rzutkami i grali, dopóki światło im na to pozwalało. Od czasu do czasu pili piwo, w rękawiczkach.

W pewnym momencie Knud spytał chłopca, o czym myśli. Søren uznał, że to dziwne pytanie, ale po chwili postanowił opowiedzieć dziadkowi o wszystkim. O czym i o kim myśli, o przyjaciółach i o wrogach, dlaczego się nudzi, kiedy poszli z klasą do Teatru Królewskiego na Kupca, podczas gdy opowiadanie Blichera przeczytał jednym tchem; dlaczego nie ma dziewczyny, chociaż wie, że niektórym się podoba. Jemu podobała się taka jedna z równoległej klasy; miała na imię Vibe, duże zielone oczy. Zrobił się wieczór, na niebie pokazały się gwiazdy, miliony gwiazd. Było dziesięć stopni mrozu, a oni siedzieli na dworze i patrzyli na nie. Potem Knud przygotował grzane wino i położył śpiwory przy kominku.

Nagle Søren odwrócił głowę, spojrzął na dziadka i zaczął mówić o czymś, o czym zwykle w ogóle nie rozmawiali.

– W równoległej klasie jest chłopak, który ma na imię Gert. Kiedy miał dziesięć lat, stracił oboje rodziców. Wypadek samochodowy. Jest nieźle zakręcony, strasznie się awanturuje. Chodzi na wagary, pije, rozrabia. Może nawet wyrzucić go ze szkoły. Najpierw mieszkał u ciotki, potem trafił do rodziny zastępczej. A właściwie do dwóch po kolei. Potem był w szkole z internatem, a teraz podobno znów mieszka u ciotki. Mówi, że chce zdawać

maturę. Jeśli da radę.

Knud odchylił głowę do tyłu i uśmiechnął się w ciemności. Na prawie czarnym niebie widać było wyraźnie wszystkie konstelacje, a ciemność między nimi zdawała się nieskończona.

– Ja nie jestem nieszczęśliwy – oznajmił nagle Søren.
– Wiem, że Peter i Kristine nie żyją, że byli moimi rodzicami i że mnie kochali. Ale nie jestem nieszczęśliwy. Nie z tego powodu, w każdym razie.

Siedzieli obok siebie w milczeniu przez prawie pięć minut, po czym Knud odezwał się zmienionym głosem:

– Czasem, kiedy na ciebie patrzę, tęsknię za nimi tak bardzo, że mam wrażenie, że pięknie mi serce.

Søren nic nie odpowiedział, tylko chwycił jego dłoń.

We wczesny piątkowy poranek Søren wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Kopenhagi. Słońce dopiero wstawało, niebo żarzyło się czerwienią. Włączył ogrzewanie; włączył też radio, ale zaraz je wyłączył. Musiał przemyśleć wydarzenia ostatnich dni. Ludzie pracujący na Wydziale Nauk Przyrodniczych byli mili, ale doprowadzali go do szaleństwa. Odpowiadali co prawda na wszystkie pytania, ale ciągle miał wrażenie, że nie potrafi się do nich przebić, że coś przed nim zatajają.

Także wyniki badań technicznych były co najmniej tajemnicze. W gabinecie Hellanda znaleziono mnóstwo różnych śladów. Dosłownie wszędzie były odciski palców Anny, Johanna, Svenda i Elisabeth, i miliona innych ludzi. Badania nic nie dały. Na ciele Hellanda nie

znaleziono niczego istotnego, jedynie ślady mydła lawendowego, co zapewne świadczyło o tym, że rano przed wyjściem do pracy wziął prysznic. Nie znaleziono natomiast żadnych odcisków palców, kawałków obcego naskórka, śladów potu, śliny, czegokolwiek. Potwierdzało to hipotezę, że jeśli Helland rzeczywiście został zamordowany, to z technicznego punktu widzenia stało się to trzy, cztery miesiące wcześniej.

W środę Søren dowiedział się, że poprzedniego dnia wieczorem w hotelu Ascot na Studiestraede zameldował się Clive Freeman. Bardzo się ożywił, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że po pierwsze, w Kopenhadze właśnie odbywa się międzynarodowe sympozjum na temat ptaków, na którym obecność Freemana była czymś naturalnym, tym bardziej że miał wygłosić tam odczyt, a po drugie, nie bardzo wierzył, że zbliżający się do emerytury kanadyjski profesor był w Danii kilka miesięcy wcześniej i zainfekował Hellanda jajeczkami tasiemca. Mimo to razem z Henrikiem poszedł do hotelu Ascot, spotkać się z profesorem i przywieźć go na komisariat. Od początku podejrzewał, że to strata czasu. Po zakończonym przesłuchaniu wiedział dokładnie tyle samo, co dwie godziny wcześniej, ani mniej, ani więcej.

Resztę dnia spędził za biurkiem, popadając w coraz większą frustrację. W końcu postanowił znaleźć Erika Tybjerga. Tuż po czwartej wszedł do gmachu Muzeum Zoologicznego. Tym razem od razu skierował się do recepcji, ale nikt nie potrafił mu pomóc.

– Nie pan pierwszy o niego pyta – poinformowała go młoda dziewczyna.

Søren był bliski wybuchu. Jak to możliwe, żeby nikt nie wiedział, co robią pracownicy i gdzie przebywają? Oświadczył, że chce rozmawiać z kimś z kierownictwa. Dziewczyna spojrzała na niego sceptycznie, ale wzięła do ręki słuchawkę i wybrała jakiś numer. Dziesięć minut później zjawił się mężczyzna, który przedstawił się jako Johan Fjeldberg. Był kościsty, miał siwe włosy i duże, pełne życia oczy.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytał uprzejmie.

– Jestem z policji kryminalnej. – Søren pokazał legitymację. – Chciałbym zobaczyć biuro Erika Tybjerga. Szukam go od dwóch dni w związku ze śmiercią profesora Hellanda. Erik Tybjerg nie jest podejrzanym w tej sprawie, ale muszę zamienić z nim kilka słów, żeby wyjaśnić kilka istotnych szczegółów.

– Dobrze pan wie, że nie mogę wpuścić pana do jego gabinetu. Chyba że ma pan nakaz.

Søren wzruszył bezradnie ramionami.

– No dobrze, przymknę na to oko – odezwał się Fjeldberg po chwili. – Sam jestem ciekaw, co się z nim dzieje – dodał.

Ruszyli labiryntem korytarzy; dopiero kiedy dotarli do piwnicy, Søren domyślił się, gdzie są. W podziemiach, pod parkiem uniwersyteckim. Weszli do laboratorium, które sprawiało wrażenie, jakby nikt tu ostatnio nie przebywał. Kosze na odpadki były puste, mikroskopy

miały nałożone pokrowce.

– Proszę – powiedział Fjeldberg. – Ile czasu panu potrzeba?

– Dwadzieścia pięć minut – odpowiedział Søren.

Fjeldberg postanowił zaczekać.

– Czy to prawda z tymi pasożytami? – spytał po chwili ostrożnie.

– To znaczy?

– Czy to prawda, że Helland zmarł, bo w jego ciele były pasożyty?

– Rozumie pan chyba, że nie wolno mi rozmawiać o sprawie. Mogę jedynie powiedzieć, że akurat o tym nic nie wiem. – Søren uśmiechnął się i zaczął oglądać biurko Tybjerga.

– Wiedziałem, że to nieprawda! – wykrzyknął Fjeldberg triumfująco i ruszył przed siebie korytarzem.

Niech to diabli, złościł się Søren. Najwyraźniej plotka o pasożytach trafiła na podatny grunt. Rozejrzał się po gabinecie. Był niewielki, ale panował w nim porządek. Trzy ściany były zastawione półkami z książkami, przy czwartej stało biurko. Nigdzie nie było widać brudnych kubków, szklanek, żadnych walających się czasopism, gazet. Obok komputera leżało kilka krążków z muzyką klasyczną, poza tym żadnych rzeczy osobistych.

Søren stał i przyglądał się pokojowi. Równie dobrze mogłaby to być reklama IKEA. Podszedł do jednego z regałów, gdzie dwie pełne półki zajmowały publikacje Tybjerga. Jego nazwisko widniało na okładkach wielu

książek, ale były też liczne publikacje w pismach naukowych. Jego najnowsze dzieło wyszło niedawno i nosiło tytuł *Współczesne dinozaury od A do Z*.

A to co? – zdziwił się Søren.

Jedna z książek wystawała nieco bardziej niż inne, wyciągnął ją i zobaczył schowaną za nią szklankę do zębów i jednorazową maszynkę do golenia. Usunął kilka kolejnych książek i z rosnącym zdziwieniem przyglądał się znalezisku. Pianka do golenia, szampon do włosów, jakaś maść, kilka grzebieni, stos czystych bokserek, skarpetki i trzy pary dżinsów. Usunął kolejne książki, które także skrywały rzeczy osobiste: ubrania, przybory toaletowe, cztery powieści, zbiór znaczków, koc, latarka, staromodny walkman i torba pełna kaset z nagranyymi książkami, między innymi z *Władcą Pierścieni*.

Przejrzał wszystko dokładnie, po czym ustawił książki tak, jak stały wcześniej; gabinet znów stał się chłodnym, bezosobowym pokojem. Z tyłu za drzwiami znajdowało się składane łóżko, bez materaca. Dziwne. Zajrzał do kosza na śmieci, był pusty. Nagle jego wzrok padł na kolorową pocztówkę z Malezji, napisaną dużym, nieco dzieciennym pismem. „W Malezji jest cudownie, jedzenie jest ostre, niedługo wracam do domu. Pozdrowienia, Asger”. Najwyraźniej widokówka od przyjaciela. Søren spojrzął na zegarek, zapisał na kartce swój numer telefonu i położył ją na klawiaturze komputera. Musi zrobić wszystko, żeby znaleźć Tybjerga. W tym momencie na korytarzu rozległy się kroki

Fjeldberga.

W drodze powrotnej do cywilizacji próbował wydobyć z Fjeldberga jakieś informacje o Tybjergu, ale nie było to łatwe.

– Jest bardzo zdolny – powtórzył po raz kolejny. – Ma mnóstwo publikacji. Wizjoner. Ale niezbyt lubiany.

– Dlaczego?

– To dziwak – odpowiedział Fjeldberg wprost. – Ale kto tu jest normalny? – dodał po chwili.

– Może pan mi wyjaśnić to nieco dokładniej? – poprosił Søren.

Fjeldberg zastanawiał się przez moment.

– Erik Tybjerg jest związany z naszym muzeum, od kiedy skończył czternaście lat. Usłyszałem o nim od przyjaciela, który współpracował z jego ojczymem, i się z nim skontaktowałem. Ma niewiarygodną pamięć, a o ptakach wie wszystko. Zleciłem mu uporządkowanie zbiorów, wywiązał się z tego bez zarzutu. Nadal za nie odpowiada. Wie, w której szufladzie leży jaka kostka czy jakie pióro. Skończył studia i poświęcił się nauce. Pracuje tu już dwadzieścia pięć lat, ale nie mogę powiedzieć, że go znam. Często ze sobą współpracujemy, ostatnio w związku z niedawno otwartą wystawą poświęconą ptakom. Ale nigdy nie zbliżyliśmy się do siebie. Z niektórymi ludźmi tak jest; przypuszczam, że wie pan, o czym mówię. Tybjerg wypowiada się wyłącznie w sprawach zawodowych i bez przerwy pracuje. Moja żona wymawia mi, że za dużo czasu poświęcam pracy, ale to

nic w porównaniu z tym, ile poświęca jej Tybjerg. Zawsze można go tu zastać. Jest albo w sali zbiorów, przy swoim stoliku pod oknem, albo w gabinecie w piwnicy, albo w stołówce. Zawsze. W zeszłym roku spotkałem go tu nawet w Wigilię. Zostawiłem w gabinecie prezent dla żony i wpadłem tu gdzieś około trzeciej. Wszędzie panowały ciemności, byłem pewien, że nikogo już nie ma. Nagle usłyszałem za sobą kroki, odwróciłem się, sądząc, że to strażnik, a to był Tybjerg. Miał w ręku torbę z zakupami i wydawał się w znakomitym humorze. Złożyliśmy sobie życzenia; spytałem, czy nie wybiera się do domu. Wymamrotał coś pod nosem, ale nie usłyszałem, więc poprosiłem, żeby powtórzył. Stwierdził, że jest ateistą i, jak już mówiłem, wyglądał na całkiem zadowolonego. Miałem jednak wrażenie, że w pierwszym odruchu powiedział coś innego, ale się nie dopytywałem. Był w dobrym nastroju, zadowolony. Inaczej zaprosiłbym go pewnie do siebie na Wigilię. Najwyraźniej praca jest dla niego wszystkim – zakończył Fjeldberg.

Dotarli do głównego wejścia, gdzie godzinę temu zaczęli swoją wędrówkę. Søren szedł zamyślony.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedział. – Tybjerg jest młody, zdolny, ma wiele publikacji, jest szalenie pracowity, ale, o ile się nie mylę, nie ma stałego zatrudnienia. Dlaczego?

Fjeldberg westchnął.

– Osobiście wcale mnie to nie dziwi. Nie wszyscy mogą mieć stały etat. Musimy wybierać, a zdolnych ludzi

nie brakuje. Natomiast Tybjerg funkcjonuje, jakby był stałym pracownikiem uniwersytetu, i to mnie dziwi. Skąd bierze pieniądze na swoje badania? Na wyjazdy? Wiem, że on i Helland często ze sobą współpracowali, teraz to się zmieni. Może poszuka sobie czegoś za granicą? Może będzie chciał wypłynąć na szersze wody, kto wie? Na pewno ma kwalifikacje. Gorzej z kontaktami z ludźmi. Nasz uniwersytet nie jest dla niego właściwym miejscem. On tu się dusi, poza tym nie umie i nie chce uczyć; najchętniej poświęciłby się wyłącznie badaniom. Oczywiście byłoby idealnie, gdybyśmy mieli dość pieniędzy, żeby zatrudniać wspaniałych wykładowców i wspaniałych badaczy, którzy niekoniecznie muszą umieć nauczać, ale są wybitnymi znawcami w swoich dziedzinach. Na to jednak nas nie stać. Dlatego zatrudnieni tu ludzie muszą godzić pracę badawczą z dydaktyką, muszą umieć dzielić się swoją wiedzą.

– A Tybjerg tego nie potrafi.

– Niestety, nie. – Fjeldberg uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zna pan Annę Bellę Nor z zakładu Hellanda?

– Owszem, to znaczy znam jak znam. Helland był chyba promotorem jej pracy?

Søren przytaknął.

– Natomiast Tybjerg był jej zewnętrznym opiekunem naukowym, więc jednak chyba potrafi uczyć?

– Tak?

Fjeldberg wydawał się szczerze zdziwiony.

– To musiała być jakaś prywatna umowa między nim a Hellandem. Ktoś bez etatu nie może być opiekunem naukowym. Chociaż z drugiej strony... – zawiesił głos i się zamyślił. – Z drugiej strony, wszyscy musimy oszczędzać. Rząd obciął nam budżet, więc na pewne rzeczy przymyka się oczy, byle tylko mechanizm funkcjonował jak trzeba, ale to jest tylko do pana wiadomości – dodał pośpiesznie.

Søren wyglądał na zdziwionego.

– Nie ma pan pojęcia, jak taka instytucja funkcjonuje, a ja nie chcę kłopotów. Za trzy lata przechodzę na emeryturę.

– Rozumiem – powiedział Søren. – Obiecuję, że nikomu nic nie powiem.

Fjeldberg wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Mam wrażenie, że Helland pomagał Tybjergowi bardziej niż innym. Pewnie miał ku temu swoje powody, nie zamierzam w to wnikać, chociaż osobiście nie stawiałbym na niego. Wybrałbym kogoś innego na swojego następcę. Tybjerg nigdy nie dostanie tu etatu. Jest świetnym specjalistą, to prawda, ale jest wielkim dziwakiem, a dla takich ludzi w naszym systemie nie ma miejsca – stwierdził Fjeldberg. – Niestety muszę już kończyć – powiedział, zerkając na zegarek. – Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Søren pokręcił głową.

– Gdyby jeszcze coś przyszło mi do głowy, to oczywiście zadzwonię. Bardzo panu dziękuję.

– Drobiazg – powiedział Fjeldberg i ruszył w stronę wejścia do muzeum.

Søren patrzył za nim zamyślony. Nagle coś sobie przypomniał.

– Przepraszam! – zawołał.

Starszy pan się odwrócił.

– Jak pan sądzi, co on wtedy powiedział? – spytał Søren.

Fjeldberg wyglądał na zdezorientowanego.

– Co powiedział Tybjerg, kiedy spotkał go pan w Wigilię, tu, w muzeum.

Twarz mężczyzny pojaśniała.

– Jestem niemal pewien, że powiedział: „Mój dom jest tutaj!”

Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Po chwili zniknął za rogiem.

Dwadzieścia minut później Søren zaparkował samochód na policyjnym parkingu. Słońce było już wyżej, ale niebo nadal było różowe.

Linda najwyraźniej przyjechała przed nim, wchodząc do budynku poczuł przyjemny zapach kawy.

– Kupiłam ciastka – powiedziała Linda, wskazując na talerz na stole.

– Coś nowego w sprawie Trojborga? – zagadnął Søren, przyglądając się podejrzliwie talerzowi z ciastkami.

– Nie. Dzwoniłam do niego kilka razy, wczoraj i

dzisiaj rano; od razu włącza się automatyczna sekretarka.

– Możesz skontaktować się z Henrikiem? Jeśli nie jest zajęty, to przekaż mu, że za pół godziny pójdziemy pod ten adres. Muszę z facetem porozmawiać.

Linda skinęła głową.

– A co z Tybjergiem? – spytał Søren zmęczony.

– Też nic. Na uniwersytecie włącza się automatyczna sekretarka; na mejle nikt nie odpowiada, a numer jego komórki podobno jest nieaktualny.

– Jak to? Przecież zostawiłaś mu wiadomość.

– Tak, ale kiedy dzisiaj zadzwoniłam do Teli, dowiedziałam się, że wczoraj wyłączyli mu telefon. Podobno nie zapłacił rachunku. Wysłali mu trzy ponaglenia.

Søren pokiwał głową i ruszył w stronę swojego pokoju. Linda jednak mówiła dalej.

– Zamierzam zadzwonić i zrobić im awanturę. Wyobrażasz sobie, że wyłączyli mu telefon, bo nie zapłacił dwustu dziewięciu koron? To przesada.

– Dobrze, że pracujesz w policji, a nie w Teli. Swoim dobrym sercem szybko doprowadziłabyś ich do bankructwa – skwitował i nagle się zamyślił. – Wiesz może, czy sprawdziliśmy jego adres? – spytał po chwili.

– Chodzi ci o to, czy ja sprawdziłam jego adres? – zażartowała Linda. – Owszem, sprawdziłam. Mieszka przy Magevej 26, w Nordvest.

– Dziękuję – powiedział Søren i wszedł do swojego pokoju. Po chwili stanął w drzwiach i oznajmił, że nie

będzie dzisiaj jadł ciastek. W duchu pomyślał, że nie zdziwiłby się, gdyby były w nich jakieś pasożyty.

Pół godziny później usłyszał pukanie do drzwi. W progu stanął Sten.

– Przeszkadzam?

– Nie, wejdź.

Sten wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Nareszcie udało mi się wejść do komputera Trojborga. Nieźle się zapowiada – powiedział, siadając naprzeciwko Sørena.

– O tym, że on i Helland się kłócili, wiedzieliśmy już wcześniej.

Sten zaczął przerzucać leżące przed nim kartki papieru.

– Mam – odezwał się w końcu. – Wygląda na to, że Helland nie był jedynym pracownikiem zakładu, który dostawał tajemnicze mejle.

Søren wyraźnie się zainteresował.

– W ciągu ostatnich czterech tygodni ktoś podpisujący się YourGuy wysłał Johannesowi trzy mejle.

Sten wziął do ręki kartkę i zaczął głośno czytać:

– „Muszę cię zobaczyć. Nie rozumiesz tego? Zadzwoń!” I jeszcze jeden: „Szaleję za tobą. To, na co mi pozwalasz, wzmacnia moją tęsknotę. Zadzwoń!”

Søren i Sten wymienili spojrzenia. Sten czytał dalej:

– „Hej Jo. Wymażmy z pamięci to, co wtedy się zdarzyło. Przepraszam, ale to wszystko dlatego, że jesteś taki cudowny. Od tygodnia usiłuję się z tobą

skontaktować. Nie otwierasz drzwi, nie odbierasz telefonów. Rozumiem, że mnie nie chcesz, ale rozmawiajmy ze sobą, dobrze?”

Sten położył kartkę na biurku, Søren siedział, bębnił palcami w blat i wyglądał przez okno.

– Nie wiem, co powiedzieć. Byli gejami?

– Spójrz – powiedział Sten i podał mu wydrukowane zdjęcie.

Przedstawiało osobę nieokreślonej płci, sądząc po braku biustu, raczej mężczyznę, uznał Søren. Włosy miał zaczesane do tyłu, ułożone na żel, ubrany był w opinający ciało skórzany gorset, na nogach miał siatkowe pończochy. Krwistoczerwona szminka na ustach była rozmazana, jakby ktoś przed chwilą go całował. Oczy też miał mocno umalowane, rzęsy pokrywała gruba warstwa czarnego tuszu. Na lewej skroni widoczna była namalowana pajęczyna.- Kto to jest? – spytał Søren.

– Mam wszelkie podstawy przypuszczać, że to jest Johannes.

I nagle Søren też go rozpoznał. Spod grubej warstwy makijażu patrzyła na niego twarz młodego naukowca.

– Niech to diabli! – krzyknął zdziwiony.

– Johannes jest Gotem – wyjaśnił Sten.

– Gotem? – powtórzył Søren jeszcze bardziej zdziwiony.

– To subkultura, sprawdziłem w Internecie. Mężczyźni i kobiety, którzy czczą ciemność i przebierają się za wszelkie możliwe postaci: za Drakulę albo za baby

w gorsetach. Malują się głównie na biało albo na czarno i mają kolczyki i ćwieki we wszystkich możliwych miejscach. To zdjęcie zostało zrobione w Czerwonej Masce, ich najbardziej popularnym kopenhaskim klubie. Spotykają się tam w pierwszy piątek miesiąca i, jak zdążyłem się zorientować, zjeżdżają się tam ludzie także z innych krajów. Zdjęcia są potem wieszane w sieci. Pod tym było napisane: „03.09.07, Johannes”. Dlatego przyszło mi do głowy, że to pewnie jest on. Czasem występuje też jako Orlando, ale nie dlatego, żeby ukryć swoją tożsamość, to raczej rodzaj zabawy. Naprawdę! – dodał, widząc niedowierzanie w oczach Sørena. – Ta impreza nazywa się „Bal na zamku hrabiego Drakuli”. Nawet dość zabawne. Klub na swojej stronie podkreśla, że promuje tolerancję. Jak rozumiem, subkultura gotycka powstała w pewnym sensie jako odpowiedź na punków w latach osiemdziesiątych. U punków obowiązują ściśle określone stroje, u Gotów jest inaczej. *No code, no core, no truth*. Żadnych kodów, sztywnych zasad, prawda jest zbędna. Najważniejsza jest jednostka, jej unikalny charakter.

– To klub dla homoseksualistów?

– Nie; jak powiedziałem: żadnych ustalonych reguł. Homoseksualiści są równie mile widziani, jak heteroseksualiści. Wiele osób przychodzi też ubranych normalnie, nie chowając się pod przebraniem.

– Nie chodzi o seks? – spytał Søren.

– Nie, zero seksu. Pewnie dlatego tak wielu podpisuje

się własnym imieniem, a nawet nazwiskiem. Jedynie miejsce spotkań utrzymywane jest w tajemnicy. Uczestnicy wpisują się na specjalną listę esemesową i zostają zawiadomieni o kolejnej imprezie na kilka godzin przed jej rozpoczęciem. Za każdym razem w innym miejscu. Zapewne, żeby nie dopuścić do pojawienia się neonazistów i zadymiarzy. Nie odniosłem wrażenia, żeby na imprezach dochodziło do jakichś ekscesów – mówił dalej Sten. – Dorośli ludzie przebijają się i dobrze się bawią. Natomiast jest też sporo takich, którzy bywają i tu, i tam.

– I tu, i tam?

– Wielu uczestników imprez jest aktywnych w środowisku fetyszystów. To bardzo hermetyczny krąg, zamknięty w swojej skorupie jak małż. Spotykają się w klubie Incognito. Organizatorem spotkań jest to samo grono ludzi co w poprzednim przypadku, tyle że obowiązujące tu zasady są surowsze. Na przykład w ogóle nie wolno robić zdjęć. Uczestnicy spotkań są też na ogół starsi, mają rodziny, dobrą pracę, pozycję w społeczeństwie i zapewne dlatego też zależy im na zachowaniu tajemnicy. To, co różni te dwie subkultury, to seks. Spotkania fetyszystów odbywają się w klubach, gdzie funkcjonują darkroomy, pomieszczenia, gdzie można oddawać się swoim tajemnym przyjemnościom i spełniać swoje skryte zachcianki, nawet te naprawdę hardcorowe. Biczowanie, chłosta, klamerki na sutkach, wieszanie na ścianie, co chcesz. O wielu rzeczach

dowiedziałem się z Internetu wczoraj wieczorem – powiedział Sten, uśmiechając się z zażenowaniem. – Obowiązuje anonimowość, także w darkroomach. Trzeba po prostu znaleźć chętnego partnera. Johannes otrzymywał mejle z informacją o imprezach; wygląda na to, że był aktywny w obu środowiskach. Podejrzewam, że Orlando i YourGuy spotkali się w którymś z klubów. Johannes zniknął, bo pewnie ukrywa się przed YourGuyem, który... trzeba przyznać... nie robi dobrego wrażenia – stwierdził Sten, zerkając na wydruki.

– Sądzisz, że YourGuy się w nim zakochał, a ostry ton jest charakterystyczny dla tego środowiska? – spytał Søren.

Sten przytaknął.

– Tak przypuszczam. Dziwi mnie tylko, że YourGuy ma anonimowy adres, Kaczor Donald, 2200 Kaczy Dół. Ale tak to jest z darmowymi adresami mejlowymi. Można zakładać je anonimowo, jak zrobiła to osoba wysyłająca pogróżki do Hellanda, albo można się zarejestrować jako Kaczor Donald czy Bill Clinton, a jeśli używa się ogólnie dostępnego komputera, jest to nie do wyśledzenia. Z adresu nadawcy korzystano jedynie trzy razy. Utworzono go czwartego września bieżącego roku, a mejle zostały wysłane dwunastego września, szesnastego września i cztery dni temu, czyli siódmego października. Oczywiście skontaktowałem się z właścicielem kafejki internetowej, ale kiedy powiedziałem mu, z czym przychodzę, tylko się roześmiał. Ma dwadzieścia komputerów w trzech

pomieszczeniach i około dwustu klientów dziennie. Mejl mógł napisać każdy. Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że nadawca pragnął pozostać anonimowy; nieco dziwne, jeśli mielibyśmy do czynienia ze „zwykłym” dramatem miłosnym.

Søren pokiwał głową.

– Dlaczego uważasz, że Johannes jest gejem? Kilka razy wyraźnie to zasugerowałeś – powiedział Sten.

– Na pewno nie wiem, ale się domyślam. Anna Bella Nor twierdzi, że nie jest. Zastanawiam się dlaczego.

Teraz Sten się zamyślił.

– Wpisałem w wyszukiwarkę „Orlando”. Okazało się, że jest to imię głównego bohatera powieści Virginii Woolf z 1926 roku. Kupiec, który żyje czterysta lat, i w tym czasie zmienia się z mężczyzny w kobietę...

– I co dalej?

– Nie sądzę, żeby Johannes był gejem – odpowiedział Sten. – Czerwona Maska ma stronę, na której ludzie po imprezach mogą wpisywać swoje komentarze. Wygląda na to, że Johannes cieszy się powodzeniem u kobiet; podrywa je, flirtuje, robiąc użytek ze swojej „kobiecości”, co my, błędnie, mylimy z homoseksualizmem.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Henrik.

– Właściwie to skończyliśmy – rzekł Sten, witając się z nim. – Życzę wam powodzenia – dodał jeszcze w drzwiach.

Søren uderzył czołem o blat biurka i głęboko

westchnął.

– Coś się stało? – spytał Henrik.

Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyglądał, jakby był gotów na wszystko.

– Nie mam już siły – wymamrotał Søren, nie podnosząc głowy.

Wyszli na dziedziniec komisariatu i wsiedli do wozu. Po kilku metrach Søren skręcił w prawo, w Fredrikssundsvej.

– Dlaczego nie pojechałeś Borups Alle? Nie jedziemy na Vesterbro?

– Muszę jeszcze coś sprawdzić. Nie tylko Johannes Trejborg przepadł bez wieści. Erik Tybjerg nie odbiera telefonów, nie odpowiada na mejle ani na zostawiane mu na biurku wiadomości. Mieszka na Magevej, to właściwie po drodze.

Jechali w milczeniu. Søren i Henrik przyjaźnili się od czasów szkoły policyjnej. Ale ostatnio coś między nimi się zmieniło. Zwykle Henrik siadywał na siedzeniu pasażera i całą drogę narzekał na swoją rodzinę, która podobno doprowadza go do szaleństwa. Albo opowiadał swoje ulubione anegdotki czy zwierzał mu się ze swoich przygód. Opowiadał mu o kobietach, o piłce nożnej, o tym, że musi podciągnąć swój angielski, żeby nie być gorszym od własnych dzieci, które śmieją się z jego akcentu. Søren skręcił w Magevej, zaparkował i nagle dotarło do niego, że przyjaciel ostatnio stał się jeszcze bardziej milczący.

Wyłączył silnik, ale nie wyjął kluczyka ze stacyjki.

Nigdy nie powiedział Henrikowi, co wydarzyło się tamtej nieszczęsnej nocy. Nie potrafił, więc milczał. Pozostał samotny w swojej żałobie, która z czasem otorbiła się w jego pamięci.

– Niech to szlag, okropnie boli mnie głowa – odezwał się nagle Henrik.

– Zabalowałeś wczoraj?

– Tak, spotkałem się z... – zaczął i przerwał, jakby już powiedział za dużo. – Wypiliśmy kilka piw – dodał.

– Z Allanem? – dopytywał się Søren. Allan był ich kolegą i przyjacielem.

– Nie. – Henrik uśmiechnął się niepewnie. – Dajmy temu spokój. Trochę narozrabiałem. Opowiem ci innym razem.

Søren nadal siedział, trzymając kierownicę.

– O co chodzi? Nie wychodzimy? Mieliliśmy odwiedzić Tybjerga.

– Wiem, dlaczego ostatnio stałeś się taki małomówny, i bardzo cię przepraszam.

– O czym ty mówisz? – spytał Henrik.

Søren siedział i patrzył na swoje dłonie.

– Po prostu chciałem cię przeprosić. Wiem, że nie może być mowy o przyjaźni, jeśli tylko jedna strona daje... – zaczął, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Henrik przyglądał mu się chwilę, czuł na twarzy jego wzrok.

– Pogadamy innym razem. Podle się czuję, łagodnie

mówiąc. Chodźmy – powiedział Henrik, otwierając drzwi samochodu.

Wysiadł i podszedł do domofonu; Søren chwilę mu się przyglądał, potem też wysiadł z wozu.

– Nie ma tu jego nazwiska – zakomunikował mu Henrik. – Na liście lokatorów nie ma żadnego Erika Tybjerga. Jesteś pewien, że to na pewno numer 26?

Søren stanął obok Henrika i nagle obaj to dostrzegli. Zaklejone nazwisko poprzedniego lokatora przy mieszkaniu na czwartym piętrze. Nowa wizytówka informowała, że mieszka tam teraz niejaki K. Lindberg. Søren podważył róg i odczytał nazwisko poprzedniego: Tybjerg. Tego właśnie się spodziewał. Zanim zdążył się zastanowić, Søren już wcisnął guzik. Stali i czekali, aż ktoś się odezwie.

– Pewnie jest w pracy – powiedział Henrik, zerkając na zegarek.

W tym momencie zza rogu wyszedł mężczyzna, niosąc dwie duże torby z zakupami. Søren i Henrik spojrzeli na siebie. Mężczyzna patrzył na nich.

– Czekacie na mnie? Przyszliście spisać liczniki?

– Pan Lindberg?

– Tak. Karsten Lindberg. Coś się stało?

– Jesteśmy z policji – oznajmił Henrik i pokazał identyfikator.

– Coś się stało? – powtórzył mężczyzna zaniepokojony. Odstawił torby.

– Nie – pospieszył Søren z odpowiedzią. – Sprawa

nie dotyczy pana osobiście ani pana rodziny.

Karsten Lindberg odetchnął z ulgą.

– Więc w czym mogę wam pomóc?

– Mieszka pan na tej klatce?

– Tak, na czwartym piętrze. Wynajmuję mieszkanie.

Podpisałem umowę na rok.

– Z Erikiem Tybjergiem?

– Tak – potwierdził mężczyzna zdziwiony.

– Wie pan, gdzie Erik Tybjerg obecnie przebywa?

– Owszem. Przynajmniej mniej więcej. Gdzieś w Los Angeles. Jest paleontologiem, czy kimś takim, zajmuje się ptakami. Wyjechał na gościnne wykłady w UCLA.

Søren starał się nie okazać zdziwienia.

– Jak poznał pan Tybjerga?

– Powiesiłem karteczkę na tablicy ogłoszeniowej w Instytucie imienia H.C. Ørsted, że chcę wynająć mieszkanie. Jestem biochemikiem. A o co chodzi?

– Szukamy z nim kontaktu – odpowiedział Søren krótko. – Wynajął pan mieszkanie bez mebli?

– Nie, było częściowo umeblowane. Tybjerg zabrał swoje rzeczy osobiste, ale większość mebli zostawił, co bardzo mi odpowiada. Dla mnie jest to czasowe rozwiązanie.

– Ma pan jego adres w Kalifornii?

– Nie, mam tylko jego adres mejlowy, i to nie bezpośrednio do niego, tylko na uniwersytet. Natomiast jakiś czas temu zaczęły zalewać mnie rachunki i wezwania do zapłaty. Wyłączono mi prąd, telefon.

Dlatego pomyślałem, że może znów chodzi o jakieś niezapłacone faktury. Próbowałem się z nim skontaktować, ale bez skutku, w końcu rzeczywiście się wściekłem i wreszcie się odezwał. Podobno brał udział w jakichś wykopaliskach. Wcześniej umawialiśmy się, że będę przysyłał pieniądze na jego konto, a on wszystkim się zajmie. A tu nagle wyjeżdża, zostawiając niezapłacone rachunki. W końcu przekonałem go, że sam będę regulował wszystkie płatności. Tak jest prościej. On może spokojnie zajmować się swoimi kośćmi, a u mnie działają lodówka i telefon. Poza tym prosił, żebym odkładał mu korespondencję, co też robię. Uzbierało się tego trochę, ostatnio nawet wysłałem mu mejl, ale nie zareagował. Co mam robić, nie jestem przecież jego matką – stwierdził. – Pewnie w ogóle nie powinien tego mówić, bo to sprawy prywatne, ale w końcu jesteście z policji. Mam je wam przekazać?

– Poproszę – przytaknął skwapliwie Søren.

Właściwe było to niezgodne z prawem, ale oszczędzało mu sporo uciążliwych formalności. Ruszył więc z Karstenem na górę. Wziął nawet jedną z toreb z zakupami.

– Mamy bardzo uczynną policję – skomentował, uśmiechając się, Lindberg.

Mieszkanie Tybjerga było małe i pozbawione charakteru. Dwa pokoje, łazienka z kabiną prysznicową i kuchnia ze zniszczonymi szafkami. Okna wymagały

umycia. Søren dostał do ręki kilkanaście ponagleń w różnych sprawach, podziękował i się pożegnał. Kiedy wrócił do samochodu, Henrik siedział już w środku i przeglądał katalog z narzędziami ogrodniczymi.

– Zastanawiam się, czy nie zainwestować w gryzarkę do gałęzi. Myślisz, że warto? Czy prawdziwy mężczyzna nie powinien mieć gryzarki do gałęzi?

– Nie wiem jak ty, ale ja nie czuję takiej potrzeby.

– Ale twojemu ogródkowi pewnie by się przydała.

Jechali chwilę w milczeniu.

– On nie wyjechał do Los Angeles.

– Nie, ale tak powiedział swojemu lokatorowi.
Ciekawe dlaczego?

Ruszyli Falkoner Alle w kierunku Vesterbro. Kilka razy Søren już chciał otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, ale Henrik siedział z głową odchyloną do tyłu i najwyraźniej drzemał, więc po chwili skupił się na ruchu ulicznym.

Zaparkował samochód na Kongshojgade, wysiedli i podeszli do klatki Johannesesa. Schody wyglądały na zniszczone, na podeście leżały puszki po napojach, butelki, jakieś zmięte papiery. Światło działało do pierwszego piętra, wyżej wszystkie żarówki były przepalone. Mężczyźni ledwie widzieli, gdzie stąpają. Wszędzie cuchnęło starym moczem.

– Niech to szlag – zaklął Henrik cicho.

– Miłe miejsce.

W końcu stanęli przed drzwiami Johanna. Dokoła panowała cisza. Henrik wyciągnął rękę, żeby zadzwonić, ale Søren go powstrzymał.

– Spójrz – powiedział, wskazując ręką drzwi. Były niedomknięte. Wąska szczelina była niemal niewidoczna w ciemności. – Mam złe przeczucia.

Wyjął z kieszeni ołówek i lekko pchnął nim drzwi, które otworzyły się bezszelestnie. W mieszkaniu panowała cisza.

– Wchodzimy – zdecydował.

W mieszkaniu panował jeszcze większy mrok niż na klatce. Søren i Henrik zatrzymali się w niewielkim korytarzu, po lewej stronie była kuchnia, po prawej duży pokój. Widać było okno, zaciągnięte zasłony, kanapę z kutego żelaza pokrytą narzutą, a na niej kilka dużych poduszek. Pod oknem stały stół i cztery krzesła. Henrik wszedł do kuchni i zapalił światło. Panował tu bałagan, wszędzie porozrzucone były puste butelki po napojach, podarte opakowania, pobrudzone tłuszczem naczynia kuchenne. Śmierdziało, pod zlewem stał przepełniony kosz na śmieci. Søren wyjął dwie pary gumowych rękawiczek i foliowych ochraniaczy na buty; jedną dał Henrikowi. Nie od dzisiaj był policjantem.

Ostrożnie przeszli całe mieszkanie i znaleźli Johanna w sypialni. W dość groteskowej scenerii. Leżał na łóżku, okryty kołdrą, cały we krwi, która wyglądała jak tło jakiegoś malowidła. Można było odnieść wrażenie, że śpi. Krew pochodziła z ciemnej dziury w jego potylicy.

– Do diabła, Johannes – powiedział Søren.

Mężczyźni stali chwilę w milczeniu.

– Jest dziesiąta osiemnaście – stwierdził Henrik lakonicznie, sięgnął po komórkę i wezwał pomoc. Wkrótce usłyszeli głos syreny. Søren przyglądał się ciału wyraźnie poruszony. Przypomniawszy sobie słowa Anny: „Johannes jest moim najlepszym przyjacielem”.

Reszta dnia minęła mu jak co dzień. Bøje, zastępca głównego patomorfologa, przyjechał niemal równocześnie z grupą policyjnych techników. Stwierdził, że Johannes nie żyje od co najmniej dwunastu godzin, ale nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Søren poczuł wyrzuty sumienia, bo to znaczyło, że żył, kiedy po raz pierwszy usiłował się z nim skontaktować. Dlaczego nie odebrał telefonu? Krwawe ślady na podłodze wskazywały, że został zamordowany w dużym pokoju. Bøje stwierdził, że narzędziem zbrodni był jakiś ostry, sztywny przedmiot. Znalezienie go zabrało technikom trzy minuty.

Jeden z nich zwrócił uwagę na cztery spiralne wieżyczki z kutego żelaza zdobiące oparcie pleców kanapy. Na jednej z nich były wyraźne ślady.

– Krew, tkanka mózgowa i włosy – rzucił lakonicznie jeden z techników do Sorena, który nie chcąc zniszczyć śladów, został w przedpokoju.

Po chwili wyszedł z Henrikiem z mieszkania, gdzie ekipa techników zaczęła już zabezpieczać ślady na podłodze, na ścianach i na obiciach mebli. Robiono

zdjęcia, błyskały flesze. Søren podrapał się po głowie. Powinni teraz szczegółowo wszystkich przesłuchać. Sąsiadów obok, na górze, na dole. Najpierw jednak trzeba było usunąć ciało, co też wkrótce zrobiono, zabezpieczono też i zabrano pościel oraz materac. Bøje pożegnał się i zszedł na dół. O trzeciej wszystkie ślady były zabezpieczone, pomierzone, sfotografowane. Wyniki sekcji miały być znane dopiero za kilka godzin. Søren zebrał funkcjonariuszy i wysłał ich, żeby porozmawiali z sąsiadami. Potem zaplombował mieszkanie i zszedł na dół. Na dworze padał śnieg, ale przed domem zdażyła się już zebrać spora grupka ludzi przyglądających się z zaciekawieniem klatce wygradzonej czerwono-białą taśmą. Przybyła kolejna ekipa, Søren przekazał im najświeższe informacje, zanim uznał, że może zakończyć pracę. Zmarzł, nie czuł stóp mimo grubych wełnianych skarpet.

– Musimy powiadomić rodziców – powiedział głuchym głosem.

– Już się tym zająłem, posłałem do nich Madsena i Ozelma – wszedł mu w słowo Henrik.

Søren spojrział na niego z wdzięcznością. Jednocześnie patrzył na twarze otaczających ich ludzi, starając się jak najdokładniej je zapamiętać. Powoli zaczęto się rozchodzić, mróz robił swoje. Została niewielka grupka: dwie starsze panie z wózkami na zakupy, przestępujące z nogi na nogę, obok nich trzech młodych chłopaków w puchowych kurtkach w kolorze

cyklamenu, z plecakami, obok nich młoda kobieta z dzieckiem w wózku. Nieco dalej młody mężczyzna rozmawiał przez telefon komórkowy; obok, z lewej strony, stało kilka kobiet z nastoletnimi dziećmi.

Z tyłu za wszystkimi stała Anna.

Na głowie miała kaptur, Søren miał wrażenie, że zaledwie przed chwilą dołączyła do grupki gapiów; najwyraźniej próbowała podejść bliżej. Patrzyła załęczniona na drzwi do klatki, na radiowozy i wygrodzony taśmami teren. Nagle spojrzała Sørenowi w oczy, tak mu się przynajmniej wydawało, by zaraz odwrócić się i zacząć biec. Ruszył za nią. Odepchnął gwałtownie Henrika, poślizgnął się na zaśnieżonym chodniku i zachwiał, zaplątując się w czerwono-białą taśmę. Szybko odzyskał równowagę, odepchnął stojących obok chłopaków i wybiegł na jezdnię. Anna musiała skręcić w którąś z bocznych uliczek, bo nie było jej już widać. Był pewien, że to była ona. Rozpoznał jej wzrok, usta, wystające spod kaptura włosy. Dotarł do rogu, skręcił w Haderlevgade, przeciął Enghave Plads i wyszedł na Enghavevej. Ruch na ulicy był duży, zatrzymał się. Z przystanku ruszał autobus, trąbiąc na jadące obok samochody, które nie chciały ustąpić mu pierwszeństwa. Søren podbiegł do autobusu, próbował zaglądać w okna, ale szyby były zaparowane. Zastukał w drzwi, usiłując nawiązać kontakt wzrokowy z kierowcą.

– Spadaj pan! – usłyszał przez zamknięte drzwi. Sięgnął po swój identyfikator, ale autobus odjechał.

– Do diabła ciężkiego, co ty wyprawiasz? – powitał go Henrik wściekły, kiedy wrócił na Kongshojgade.

– Wydawało mi się, że kogoś zobaczyłem – odpowiedział Søren, unikając jego wzroku.

– Kogo?

– Nieważne. To nie był... on.

Henrik zmrużył oczy i przyglądał mu się podejrzliwie.

– Od kiedy to sam udajesz się w pogoń za podejrzanymi?

– Od dzisiaj – odpowiedział Søren zmęczony. – Przepraszam, ale ta sprawa mnie przerasta.

Henrik był wyraźnie rozdrażniony.

– Posłuchaj, dobrze wiesz, że nie wszystkie sprawy zostają wyjaśnione. Do tej pory zawsze ci się udawało; kiedyś jednak musi być ten pierwszy raz i musisz się z tym pogodzić. To nie jest koniec świata, nikt cię za to nie zdegraduje. Poza tym sprawa nie jest jeszcze zakończona. Właściwie dopiero się zaczyna! Zaczekajmy spokojnie na wyniki sekcji, a potem ułożymy plan postępowania. Wracaj do domu. Ja pozbieram wszystkie rzeczy i zabiorę się z Madsem. No, idź już. Sam napiszę wstępny raport.

Søren pokiwał głową i wsiadł do samochodu. Siedział tak przez dłuższy moment, starając się opanować.

W końcu podjął decyzję i ruszył Falkoner Alle w stronę Norrebro. Minął skrzyżowanie z Agade, skręcił w

prawo i zaparkował przed klatką Anny. Wsiadł i podszedł do drzwi. Zadzwoił. Jeszcze raz. Nikt nie odpowiedział. Zadzwoił do sąsiadów. Po dłuższej chwili odezwała się starsza kobieta.

– Tak?

– Pani Snedker? – spytał Søren, patrząc na wizytówkę przy dzwonku. – Policja, proszę otworzyć.

Rozległ się trzask, ale kobieta najwyraźniej się rozmyśliła, bo zaraz spytała:

– Dlaczego miałabym panu wierzyć?

Sørena zatkało.

– Właściwie to ma pani rację – odpowiedział. Znów rozległy się trzaski w głośniku.

– Jeśli to ty siedziałeś na schodach i czekałeś na Annę, to zbieraj się do domu, do mamusi – powiedziała kobieta, wyraźnie zła. – Nie jesteśmy zainteresowani tym badziewiem, którym handlujesz – dodała stanowczo.

Połączenie zostało przerwane. Søren rozejrzał się bezradnie dokoła. Cofnął się kilka kroków, podniósł głowę i spojrzał do góry. W oknie na czwartym piętrze, po przeciwnej stronie mieszkania Anny, zobaczył twarz starszej kobiety. Zauważyła go i nawet mu pomachała. Wrócił do drzwi i zadzwonił jeszcze raz.

– Nie znam cię – oznajmiła mu kobieta przez domofon. – Nie jestem aż taka głupia, żeby wpuszczać pierwszego lepszego, który powie, że jest z policji.

– Proszę mnie posłuchać – zaczął Søren stanowczym głosem. – Podam pani teraz numer telefonu, proszę

zadzwoić i zażądać informacji. To numer dyżurnego w komisariacie w Bellahøj. Proszę go spytać, czy może pani wpuścić na klatkę mężczyznę, który twierdzi, że jest funkcjonariuszem i nazywa się Søren Marhaug. Jeśli dyżurny to potwierdzi, wpuści mnie pani? Zadzwoię do nich i uprzedzę o pani telefonie, dobrze?

– Myślisz, że ja się wczoraj urodziłam? To się mylisz, kolego. Ja przyszłam na świat, kiedy ty nawet nie byłeś jeszcze małym tatusinym nasionkiem.

Søren się uśmiechnął.

– Więc rozumiem, że umowa stoi?

Słuchawka na górze została odłożona.

Søren zadzwonił do dyżurnego, który oddzwonił po czterech minutach, informując go, że sprawa została załatwiona. Niejaka Maggie Snedker, urodzona dwudziestego szóstego lutego 1919 roku, zadzwoniła, dając wyraz swoim wątpliwościom. Wszystko zostało wyjaśnione. Søren odniósł wrażenie, że dyżurny z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Nagle znów usłyszał trzaski w domofonie – I zamek w drzwiach został zwolniony.

Kiedy dotarł na czwarte piętro, pani Snedker już na niego czekała. Stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami i patrzyła na niego srogim wzrokiem.

– Wysoko pani zawędrowała – powiedział zziajany i wyciągnął swoją plakietkę.

– To prawda. Tutejsze powietrze nie służy słabeuszom – odrzekła kobieta, studiując identyfikator. –

O co chodzi?

– Muszę jak najszybciej skontaktować się z pani sąsiadką, Anną Bellą Nor. Nie reaguje na dzwonek do drzwi, nie odbiera telefonów.

– A dlaczegoż to Anna miałaby nie chcieć rozmawiać z takim przystojnym panem policjantem? – spytała kobieta.

Była elegancko ubrana, miała długie czerwone paznokcie. Trudno było uwierzyć, że jest po osiemdziesiątce. Miała gęste, kręcone włosy, a może to peruka, pomyślał Søren. Kiedy Elvira skończyła sześćdziesiąt lat i włosy zaczęły się jej przerzedzać, obcięła je na krótko.

– O co chodzi? – spytała kobieta. – Ta biedna dziewczyna dość już wycierpiała. Najpierw zostawił ją ten okropny facet, odwrócił się na pięcie i poszedł w siną dal. Nigdy go nie lubiłam. Lily nie miała wtedy nawet roczku. Łajdak. A Anna to dobra dziewczyna. Okropnie to wszystko przeżyła, ja widzę takie rzeczy. Ale o co chodzi? – spytała starsza pani, przeszywając go wzrokiem ostrym jak nóż.

– Niestety, tego nie mogę pani powiedzieć, ale proszę się nie niepokoić, to nic poważnego – uspokajał Søren. – Ma pani może zapasowy klucz do jej mieszkania? – spróbował.

– Oczywiście, ale niech pan sobie nie wyobraża, że go panu dam.

Starsza pani zlustrowała go od stóp do czubka głowy.

Patrzyła na niego surowo, zawieszając chwilami wzrok na wybranych partiach jego ciała.

– A może da się pan zaprosić na kieliszeczek czegoś mocniejszego? – zaproponowała nagle, zerkając na zegarek. – Jest czwarta, Anna pewnie poszła odebrać małą z przedszkola, to śliczne dziecko. Potrafi pan to zrozumieć? Jak ojciec może tak zawieść swoje maleństwo? Anna nie ma najłatwiejszego charakteru, ale nie ma ludzi idealnych, prawda? Wie pan, że on w ogóle nie interesuje się dzieckiem? Nie widział maleństwa już dwa lata – powiedziała kobieta.

Mówiła szeptem, wychylając się w jego stronę, jakby zdradzała mu wielką tajemnicę. Søren poczuł zapach ciężkich perfum. Nagle kobieta odwróciła się na pięcie i zniknęła w mieszkaniu.

Søren zawołał za nią, ale nie otrzymał odpowiedzi. Pchnął drzwi i znalazł się w ciemnym przedpokoju. Poszedł dalej, do pokoju i zaniemówił. Czegoś takiego w życiu jeszcze nie widział. Na podłodze leżały grube stare dywany; na ścianach nie było kawałka wolnego miejsca. Wszędzie wisiały obrazy w złotych ramach, stare fotografie; na ścianie balkonowej na półkach stały książki, od podłogi do sufitu. Między nimi wypatrzył adapter, który musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Starsza pani stała przy niewielkim barku i nalewała czerwono-brunatną ciecz do dwóch szklaneczek.

– Jest pan – zauważyła zadowolona.

– Nie piję w czasie godzin pracy – odezwał się Søren,

ale niezbyt przekonująco.

– Trele morele – odpowiedziała pani Snedker.

Na jednej ze ścian zauważył Søren stary rewolwer. Bardzo zadbane, ale widać było, że jest stary.

– To pukawka Griffenfelda – wyjaśniła kobieta, idąc za jego wzrokiem. – Piękny egzemplarz, prawda? No, wypijmy – powiedziała, podając mu szklaneczkę. Wychyliła swoją do dna i popatrzyła na Sørena, który ostrożnie umoczył usta w płynie. Odwróciła się do okna. – Widzi pan! Idą! – oznajmiła triumfująco.

Søren podszedł do niej i rzeczywiście, od strony niskiego drewnianego budynku, miejscowego przedszkola, jak objaśniła mu pani Snedker, szła Anna, trzymając za rękę dziecko, a raczej ciągnąc je za sobą.

– Może jeszcze kieliszeczek dla kuraju – zaproponowała gospodyni.

– Proszę mi powiedzieć, co pani miała na myśli, mówiąc, że ktoś niedawno czekał tu na Annę? – spytał i odstawił szklaneczkę, co starsza pani natychmiast zauważyła.

– Przymusu nie ma – powiedziała, wzięła szklaneczkę i opróżniła ją jednym haustem. – No więc tak: dwa razy w tym tygodniu jakiś młody mężczyzna czekał tu na Annę. Ktoś jej nieznany, tak twierdzi.

– Kiedy to dokładnie było?

– Kiedy, kiedy – przedrzeźniała go. – Kilka dni temu, nie zaprzęłam sobie pamięci takimi nieistotnymi drobiazgami.

Dolała sobie alkoholu, a Søren zaczął się zastanawiać, czy może jednak jeden głębszy od czasu do czasu nie był takim złym pomysłem. Starsza pani wydawała się w świetnej kondycji.

– Proszę się zastanowić. Czy to było wczoraj? A może w zeszłym tygodniu?

– Bardzo mi przykro, ale moja pamięć chyba jeszcze nie przestawiła się na czas zimowy – powiedziała kobieta i zaraz dodała: – A właśnie, może przy okazji przestawi mi pan zegar wideo, skoro i tak czekamy na Annę. Zaciągnięcie małej na czwarte piętro z pewnością trochę potrwa. Dam panu instrukcję, takie rzeczy to już nie dla mnie.

Søren posłusznie podążył za kobietą, która po chwili wręczyła mu latarkę i poźólką instrukcję. Wideo zostało zakupione w 1981 roku. Søren uklęknął, zaczął przyciskać różne guziki i nagle zegar pokazał właściwą godzinę.

– Dziwne, jak pamięć czasem potrafi splatać człowiekowi figla. Przypomniałam sobie: ten mężczyzna zjawił się tu pierwszy raz w poniedziałek po południu, a potem był tu jeszcze w środę wieczorem – stwierdziła stanowczo i się uśmiechnęła.

– W środę wieczorem, w tym tygodniu?

– Nie, w maju dziesięć lat temu. Jasne, że w tym tygodniu! Wczoraj, w środę, dziesiątego października.

– A gdzie była Anna, skoro na nią czekał?

– Tego nie wiem. Wyszła.

– I Anna nie wie, kto to mógł być?

– Nie, była przekonana, że to Johannes, jej kolega z uniwersytetu. Ale głównie z powodu koloru włosów. Ten mężczyzna miał na głowie czapkę, ale mam wrażenie, że wystawały spod niej jakieś rude kosmyki. Powiedziałam jej to, a ona stwierdziła, że w takim razie musiał to być Johannes. Ale ja wcale nie jestem tego pewna, bo szybko zamknęłam drzwi. Chociaż może to i był Johannes. Trudno powiedzieć – stwierdziła i dodała urażona: – Nie jestem tu dozorcą, prawda?

– Gdzie one się podziewają? – zaczął się niecierpliwie Søren.

– Może to jednak nie były one – powiedziała pani Snedker, wzruszając ramionami.

Søren spojrzał na nią zmęczony.

– Oczywiście, że to były one, tylko może dokądś poszły.

– Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że do sklepu przy Falkoner Alle. Może jeszcze szklaneczkę?

Søren grzecznie odmówił.

– Jeszcze do pani wrócę – obiecał. Kobieta wyglądała na zadowoloną.

– Może pan przy okazji kupić mi pół bochenka chleba! – zawołała za nim.

Søren podjechał pod sklep i od razu zauważył Annę z córeczką. Szły chodnikiem; minęły właśnie miejsce, gdzie postawił samochód. Przyglądał się im z pewnej odległości, a kiedy przeszły na drugą stronę ulicy,

pozostał po przeciwległej stronie. Nie słyszał, co mówią. Dziecko szło w ślimaczym tempie, zatrzymywało się, rozglądało, przysiadało na schodkach. W ręku trzymało pluszową maskotkę. Anna sprawiała wrażenie apatycznej. Søren widział, że robi wszystko, żeby zachować spokój. Trzydzieści metrów od sklepu mała usiadła na środku chodnika, Anna pociągnęła ją za rękę. Nagle wrzasnęła na dziecko i odeszła, zostawiając córeczkę samą na chodniku. Doszła do sklepu, zatrzymała się i złapała za głowę. Lily nadal siedziała na chodniku i przeraźliwie płakała. Przechodnie zatrzymywali się i zaniepokojeni patrzyli na dziecko. Anna wróciła i wzięła małą na ręce. Lily zaczęła się jej wyrywać, ale Anna powiedziała jej coś do ucha i po chwili mała się uspokoiła, kryzys minął. Przynajmniej na jakiś czas. Matka z córeczką weszły do sklepu. Søren przeszedł przez ulicę i podążył za nimi. Zaraz za wejściem zatrzymał się; obserwował, jak Anna wkłada monetę i bierze wózek. Po chwili zdjęła Lily kombinezon i posadziła ją w sklepowym wózku. Niemal od razu zatrzymały się przy stoisku cukierniczym, gdzie Anna kupiła małej bułkę; następnie sama zdjęła kurtkę i czapkę; uniosła głowę, Søren zrobił krok do tyłu. Kiedy znów ją zobaczył, zauważył, że ma zapłakaną twarz.

Postanowił wziąć koszyk, i tak musi zrobić zakupy. Rozglądał się po półkach, pilnie śledząc Annę; jednak cały czas trzymał się nieco z daleka. Od czasu do czasu docierały go strzępy ich rozmowy. Lily chciała wyjść z wózka. Anna wyjęła ją i dziecko natychmiast zaczęło

uciekać. Po chwili Anna ją złapała, mała się roześmiała, ale Anna natychmiast znów posadziła ją w wózku. I wtedy Lily dostała szału. Matka i córka walczyły ze sobą, a Søren im się przyglądał. Chciałby móc jej pomóc. Pomyślał, że Maja byłaby teraz mniej więcej w tym samym wieku, ale nie był pewien, w końcu niewiele wiedział o dzieciach. Lily nadal walczyła z matką, w jej ramionach wydawała się ogromna, rzucała się na wszystkie strony.

– Lily, natychmiast przestań! – krzyknęła nagle Anna.
– Rozumiesz? Albo przez cały tydzień nie będziesz jadła lodów! Co ja mówię, przez cały miesiąc!

Lily nadal płakała, ale Annie udało się w końcu wpakować ją do wózka. Ruszyły. Kiedy zatrzymały się przy ladzie z warzywami, pogładziła córeczkę po policzku. Dziecko pociągnęło nosem.

– Przepraszam – wyszeptała jej Anna do ucha. – Wezmę jeszcze ziemniaki i koniec zakupów.

– Ja chcę! – zawołała Lily.

– Nie, skarbie – odpowiedziała Anna wyraźnie zmęczona.

Søren stał teraz tuż obok nich. Obie były zapłakane, i mama, i dziecko wyglądały na wykończone. Widać było, że Lily za chwilę znów wybuchnie płaczem, Anna wyjęła ją z wózka.

– Dobrze, ja będę trzymała torebkę, a ty wkładaj do niej ziemniaki.

– Lily pomaga mamusi – oznajmiła dziewczynka

zadowolona.

– Tak, skarbie – potwierdziła Anna, a Lily z całej siły wrzuciła kolejnego ziemniaka do torby.

– Nie tak mocno – upomniała ją Anna.

Lilly nie zwracała uwagi na matkę.

– Nie tak mocno – powtórzyła Anna, tym razem bardziej stanowczo. Lily wrzuciła kolejnego ziemniaka. – Już wystarczy – oznajmiła Anna i w tym momencie torba pękła, a ziemniaki rozsypały się po podłodze. – Widzisz, co się stało? – powiedziała Anna, opuszczając bezradnie ręce. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się rozpaść. Jakby wszystko, cały świat, zaraz miał się rozpaść. Lily znów zaczęła płakać.

– Pomogę wam – odezwał się Søren.

Podszedł do nich. Postawił swój koszyk z dziwnym asortymentem towarów na podłodze.

– Pozwól, że ci pomogę – powtórzył.

Anna wyprostowała się i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co ty tu robisz?

– Zakupy – odpowiedział niewinnie.

Anna zaczęła zbierać rozsypane ziemniaki.

– Nie mam ochoty z tobą rozmawiać – powiedziała wściekła. – Nie interesuje mnie to, co masz mi do powiedzenia. Nie chcę tego słuchać.

– Pomogę ci pozbierać z ziemniaki, a potem odprowadzę was do domu.

– Wybij to sobie z głowy.

– Ja nie zmieniam zdania.- Po moim trupie – oświadczyła Anna dramatycznie.

– Trudno – odpowiedział Søren spokojnie.

Anna patrzyła na niego złym wzrokiem, ale Søren się nie przejmował. Zauważył, że Anna naprawdę źle wygląda. Była zmęczona, wychudzona, a Lily wyglądała jak zaniedbane dziecko, siedziała w wózku zapłakana, usmarkana, tuląc do siebie brudną maskotkę. Anna nawet nie zauważyła, że ludzie się im przyglądają i kiwają głowami. Samotna matka, przypadek dla opieki społecznej. Tak właśnie wyglądała, brakowało tylko czipsów i kilku piw w wózku z zakupami. Ale Søren nie mógł oderwać od niej oczu, przepadł. Sam się sobie dziwił, bo przecież właściwie jej nie lubił. Zachowywała się histerycznie, łatwo wpadała w złość, poza tym znał ją zaledwie cztery dni. I trudno powiedzieć, żeby w tym czasie była dla niego miła. A jednak przepadł z kretesem.

Lily nie chciała iść, Anna nie przyjmowała tego do wiadomości. W końcu dziewczynka usiadła na schodku przed jakimś zamkniętym sklepem.

– Nie! – powiedziała, wydymając wargi.

– Musisz iść – powtórzyła Anna. Søren już chciał coś powiedzieć, ale Anna go ubiegła. – Ona musi iść, inaczej nie dam rady. Nie dam rady nieść tych wszystkich toreb z zakupami, z książkami, i do tego jeszcze dziecka.

Czuł, że jeszcze chwila, a Anna się rozplacze. Wziął więc jedną z jej toreb, związał ze swoją i przerzucił obie

przez ramię. O nic nie pytając, podniósł Lily ze schodka i posadził sobie na ramionach.

– Tylko nie machaj nóżkami, bo potłuczysz jajka w torbie – ostrzegł ją.

– Dobrze – odpowiedziała Lily dumna. Ruszył do przodu, słysząc za sobą kroki Anny.

– Widzę wszystkie samochody na całym świecie! – zawołała mała rozradowana. – I wszystkie domki, i wszystkie dzieci na całym świecie.

Anna szła w milczeniu; odezwała się dopiero, kiedy doszli do klatki.

– Dziękuję, dalej już sama sobie poradzę.

– Odprowadzę was na górę – oświadczył Søren, stawiając Lily na ziemi. Dziewczynka, usłyszawszy to, ruszyła biegiem po schodach. Anna odwróciła głowę i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Nie chcę słuchać tego, co masz mi do powiedzenia. Nie mogę.

– Anno, to niczego nie zmieni. A ja muszę z tobą porozmawiać. Co ty do diabła tam robiłaś? Przed jego klatką. I dlaczego uciekłaś?

– Maaaamo! – rozległo się z pierwszego piętra. – Siku mi się chce!

– A niech to – mruknęła Anna. Wzięła Lily na ręce i zaczęła z nią biec. Dziewczynka śmiała się wniebowzięta. Søren szedł za nimi, niosąc torby z zakupami.

Na czwartym piętrze pani Snedker już na nich czekała.

– Cześć, Maggie – przywitała ją Anna. – Sytuacja kryzysowa, Lily chce siusiu!

– Widzę, że przyprowadziłaś pana policjanta – odezwała się Maggie.

Anna posłała jej zdziwione spojrzenie. Szybko otworzyła drzwi i niemal wbiegła do mieszkania.

– Pamiętałeś kupić mi chleb? – spytała Maggie surowo.

– Oczywiście.

Søren rozwiązał torby, sięgnął do jednej z nich i podał jej bochenek. W tym momencie w drzwiach pokazała się Anna.

– Maggie, idź do siebie, proszę. Zajrzę do ciebie później.

Starsza pani pokiwała głową wyraźnie zawiedziona, ale wróciła do siebie i zamknęła drzwi.

– Dlaczego dałeś jej swój chleb? – spytała Anna zaintrygowana.

– Kupiłem go dla niej.

Anna odwróciła powoli głowę i patrzyła na niego, nic nierozumiejąc.

– Czekałem tu na ciebie – zaczął jej tłumaczyć. – Zaprosiła mnie do siebie, zobaczyliśmy przez okno, że idziecie, a kiedy minęło trochę czasu, a was nadal nie było, pani Snedker powiedziała, że pewno poszłaś do sklepu. Postanowiłem pójść was poszukać.

– I poprosiła cię, żebyś kupił jej chleb?

Søren pokiwał głową.

– I kupiłeś jej?

Znów pokiwał głową. Nie minęła jedna dziesiąta sekundy i po raz pierwszy usłyszał, jak Anna się śmieje. Stwierdził, że powinna to robić częściej.

– Teraz musimy zjeść, potem wykąpię Lily, kładę ją spać o siódmej. Musisz poczekać. Nie chcę, żeby Lily widziała, jak... Możesz poczekać w pokoju.

Søren przyglądał się jej zafrapowany. Naprawdę można odłożyć w czasie coś, co wiemy, że nas dotknie, ale chcemy, żeby lepiej pasowało do harmonogramu naszych zajęć? Poszedł do pokoju i usiadł na krześle. Czy on sam nie postąpił dokładnie tak samo, wkładając zdjęcia Mai do pudełka i znosząc je do piwnicy? I żyjąc dalej, jakby w ogóle nic się nie stało. Lily zajrzała przez drzwi do pokoju, uśmiechnął się do niej. W pewnym momencie do pokoju weszła Anna, szukając jakiejś miseczki. Spojrzała na niego i spytała:

– Masz dzieci?

– Dzwoniłem wczoraj do ciebie, dwa razy. Dlaczego nie odbierałaś? – spytał, ignorując jej pytanie.

– Byłam... gdzieś – odpowiedziała szybko, wzięła miseczkę i wróciła do kuchni.

– Gdzie?

– Tego niestety nie mogę ci powiedzieć.

Søren westchnął i zmarszczył nos. Drugi raz tego dnia usłyszał taką odpowiedź.

11

Anna była świadoma, że Najbardziej Irytujący Policjant Świata bynajmniej nie wybrał się na zakupy do jej osiedlowego sklepu. Widziała go przed klatką Johanna, widziała też, jak próbował zatrzymać autobus. Nie potrafiła tylko zrozumieć, jak to się stało, że siedzi teraz w jej pokoju i pomaga Lily układać układankę, podczas gdy ona szykuje w kuchni kolację. Ziemniaki się ugotowały, zaczęła nakrywać do stołu, waląc talerzami w stół. Nienawidzi go! Od czasu, kiedy tydzień temu pojawił się w jej życiu, wszystko szło nie tak. Nie powinien był kupować Maggie chleba, nie powinien był nieść Lily na barana, powinien zostawić ją w spokoju. Poza tym nie chciała słuchać tego, co miał jej do powiedzenia. Nie chce usłyszeć, że Johannes nie żyje. Po policzkach znów zaczęły lecieć jej łzy. Nachyliła się nad zlewem, jakby ktoś nagle wbił nóż w jej ciało.

Kiedy poczuła się nieco lepiej, poszła do pokoju po Lily.

– Jedzenie gotowe, skarbie – powiedziała, posyłając jednocześnie złe spojrzenie Najbardziej Irytującemu Policjantowi Świata. Nie proponuje mu, żeby zjedli razem. Zaraz skończy pracę i wróci do domu, do żony o nieskazitelnej cerze, modnej fryzurze i białych zębach; a kiedy usiądą razem na swojej eleganckiej kanapie, pomyśli sobie, jaki jest szczęśliwy ze swoją Pernille czy

Sannę, jaki tworzą świetny, harmonijny związek. Dlatego teraz może się na chwilę zabawić w Robin Hooda. Pewnie patrzy na nią i myśli: biedactwo. Anna czuła, że coraz bardziej go nienawidzi.

Kiedy Lily zasnęła, weszła do dużego pokoju i zobaczyła Najbardziej Irytującego Policjanta Świata, siedzącego na krześle przy oknie i wyglądającego na Rantzausgade.

– Na dworze jest zimno i mokro – odezwał się nagle.

– Co ty powiesz!

Najbardziej Irytujący Policjant Świata odwrócił się od okna, spojrzał na nią i spytał:

– Dlaczego jesteś taka zła?

Anna podniosła głowę. Ułożenie córeczki do snu nie było łatwym zadaniem, ale w końcu jej się udało. Siedziała potem na podłodze i chwilę jej się przyglądała. Kiedy w końcu wstała, była zadowolona, że w pokoju obok ktoś na nią czeka, że nie jest sama.

– Jestem taka wściekła, że mam ochotę kogoś zamordować – powiedziała cicho, patrząc na swoje dłonie, a potem na niego.

– Johannes nie żyje. Ale pewnie się już tego domyśliłaś. Został zamordowany – oznajmił Søren.

Anna przyglądała mu się pustym wzrokiem.

– Anno, czy ty go zabiłaś?

– Jasne, oczywiście. Jak się ma jedynego przyjaciela na świecie, to najlepiej się go pozbyć.

– Czyli nie?

– Tak, to znaczy nie – zaczęła się plątać; po policzkach znów popłynęły jej łzy, które jednak szybko starła. – Co się stało? – spytała. – Kto to zrobił?

Søren wstał, kiwając głową, jakby się zastanawiał, co może, a czego nie może jej powiedzieć. W końcu spojrzał na nią zrezygnowany. Już sam fakt, że przebywał w mieszkaniu osoby zamieszanej w sprawę, po godzinach pracy, był przekroczeniem pewnych zasad, więc i tak nic mu już nie pomoże.

– Nie wiem – odpowiedział. – Został zamordowany we własnym mieszkaniu, to jedyne, co wiem. Nie żyje od dwudziestu czterech godzin i ...

Anna otworzyła szeroko oczy.

– Niemożliwe – przerwała mu triumfującym głosem, jakby to znaczyło, że Johannes nagle ożył. – Dzisiaj rano dostałam od niego esemes.

Wstał i podeszła do swojej torby.

– Patrz – powiedziała, rzucając Sørenowi swój telefon komórkowy.

Søren długo przyglądał się wiadomości, sprawdzając godzinę nadania.

– Co to może znaczyć? – spytała Anna.

Søren milczał, stał i patrzył na nią. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiał.

– Dostałaś esemes od zabójcy – stwierdził w końcu, patrząc na nią swoimi ciemnymi oczami.

Anna wyglądała na wstrząśniętą.

– Nigdzie nie mogliśmy znaleźć jego telefonu – ciągnął Søren. – Zabójca najwyraźniej wziął go ze sobą. Chcąc zyskać na czasie, odpowiedział na twoją wiadomość, na inne zapewne też. Żeby ktoś nie zaczął czegoś podejrzewać. Johannesowi zadano kilka ciosów w głowę, wszędzie była krew, to nie był piękny widok – mówił dalej Søren, przyglądając się Annie uważnie.

Zwrócił uwagę, że poruszyła nerwowo nogą i delikatnie chrząknęła; Anna zauważyła to i poczuła się skrępowana.

– Czy to nie jest sprzeczne z prawem? – spytała nagle. – Śledzisz mnie, potem spotykamy się niby przypadkowo, pomagasz mi, a tak naprawdę to nadal mnie śledzisz. Czy to nie jest szykanowanie?

Søren wstał i usiadł na kanapie obok Anny.

– Daj spokój! – rzuciła zła i wstała, ale Søren chwycił ją za rękę i zmusił, żeby usiadła.

– Jestem już tym zmęczony. Nie współpracujesz z nami, a to jedna z trudniejszych spraw, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Zachowujesz się, jakby policja, a ja w szczególności, postawiła sobie za cel ci dokuczyć. Wiem, że nie jest ci łatwo. Masz małe dziecko, czeka cię obrona pracy, a tu nagle dwa morderstwa. Rozumiem, że się boisz i jesteś zła. Tylko dlaczego odgrywasz się na mnie? Jeśli ktoś tu jest twoim przyjacielem, to właśnie ja nim jestem!

Anna oswobodziła się z jego uchwytu.

– Zwariowałaś? Będę miała siniaki. Nie dotykaj

mnie, draniu!

Søren wstał i znów podszedł do okna.

– Możesz złożyć na mnie skargę. Pojedź jutro do komisariatu na Bellahøj i poskarż się na mnie. Pamiętaj jednak, że to ty odmawiasz współpracy, no i, prawdę mówiąc, jesteś w gronie podejrzanych. To ty zainfekowałaś Hellanda pasożytami? Stąd u ciebie ta złość? I co się stało z Johannesem? Na niego też się wściekłaś? Powiedział ci kilka słów prawdy i wpadłaś w szal? Tak było? A co będzie z Lily? Mogę wnioskować o odebranie ci dziecka. Jesteś nie zrównoważona, każdy to potwierdzi. Może twojej córeczce będzie lepiej bez ciebie? Tak więc, proszę bardzo, Anno, poskarż się na mnie.

Mówiąc to wszystko, patrzył jej prosto w oczy; kiedy skończył, odwrócił się znów do okna.

Serce Anny galopowało z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ledwie łapała oddech. Policjant mówił straszne rzeczy. Czyżby naprawdę ją podejrzewał? Dotknął jej najbardziej czułego punktu: Anna nie wyobrażała sobie życia bez Lily.

Teraz stał, wpatrując się w ciemne okno; zauważyła, że drży mu prawa dłoń.

– Dobrze, pomogę ci – odezwała się schrypniętym głosem. – Pomogę ci – powtórzyła.

Søren odwrócił się od okna i długo się jej przyglądał. W końcu skinął głową. Anna zaczęła opowiadać.

– Johannes spotkał kogoś, kto się w nim zakochał.

Narzucał mu się. To była dziewczyna, którą spotkał w klubie, do którego chodził. W Czerwonej Masce.

– Dziewczyna? – zdziwił się Søren.

– Nie jestem pewna, ale tak mi się wydaje. Chyba mi to nawet mówił. Że dobrze im się rozmawia i w ogóle, ale że z jego strony nie jest to miłość. No i laska dostała hysterii i zaczęła świrować.

Przypomniała sobie, jak Johannes jej o tym opowiadał; było to chyba w poniedziałek, a ona słuchała go jednym uchem, bo miała inne sprawy na głowie.

– Mówił, że nie może się od niej uwolnić, że ona wciąż do niego wydzwania.

– Znaleźliśmy w jego poczcie mejle od kogoś, kto podpisuje się YourGuy. Wysyłane z adresu Kaczor Donald. Podejrzewamy, że ich autorem jest mężczyzna. Czy to ci coś mówi?

Anna zastanowiła się chwilę, po czym pokręciła głową. Teraz ona podeszła do okna i zaczęła wpatrywać się w ciemność.

– To takie niewiarygodne. Kto mógł chcieć zabić Johanna? Jest najcudniejszym człowiekiem na świecie! Nie ma w ogóle wrogów. To właśnie jest w nim takie irytujące – stwierdziła i nagle zeszywniała. Dotarło do niej, że nadal mówi o nim w czasie teraźniejszym.

– Johannes i Lars Helland mieli ze sobą na pieńku – wtrącił Søren.

– Nie, niemożliwe. Helland był jego przyjacielem. Johannes dostawał furii za każdym razem, kiedy

krytykowałam Hellanda.

– Nadal twierdzę, że się kłócili. Mamy to czarno na białym. Wszystkie mejle, jakie wymienili od lata aż do teraz. Mieli pisać razem artykuł, Helland ciągle się z czymś spóźniał i Johannes miał do niego pretensję. Uważał, że Helland nie angażuje się dostatecznie w ich wspólny projekt. Czy kiedykolwiek ci o tym wspominał?

– Nie – odpowiedziała cicho. Wyglądała na nieszczęśliwą.

– I nigdy nie odniosłaś wrażenia, że coś między nimi jest nie tak?

– Nie.

Anna spojrzała na Sørena.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że to Johannes zabił Hellanda? Nigdy w to nie uwierzę. Johannes to najlepszy człowiek na świecie, na pewno nie... – urwała.

– Niczego nie insynuuję, Anno. Próbuję tylko znaleźć jakiś punkt zaczepienia. To wszystko. Jak myślisz, dlaczego Johannes ci o tym nie powiedział?

– Dlatego, że jestem okropną egoistką.

– Słucham?

– Nieważne.

Nagle w drzwiach stanęła Lily, trzymając w ręku miśka.

– Nie mogę spać – powiedziała sennym głosem. – Misiek strasznie hałasuje.

Najbardziej Irytujący Policjant Świata odwrócił się i spojrzał na Lily, która zaintrygowana patrzyła to na niego,

to na matkę.

– Skarbie, wracaj do łóżeczka – poprosiła Anna zmęczonym głosem.

– Misiek skacze po moim łóżku – upierała się Lily.

– Już późno, kochanie – przekonywała ją Anna.

– Misiek czyta moje książeczki – żaliła się zagniewana dziewczynka. – i śpiewa.

– Więc rozumiem, że nie możesz spać – odezwał się nagle Søren.

Anna odwróciła do niego wściekła. Cholerny gliniarz. Po co się wtrąca? Przed chwilą straszył ją, że zabierze jej córeczkę.

– On okropnie hałasuje – skarżyła się dalej Lily, zadowolona, że zyskała nowego słuchacza.

– Ciekawe, dlaczego on to robi, skoro wie, że powinnaś spać? To bardzo nieładnie z jego strony.

– On się ze mną drażni – wyjaśniła dziewczynka.

Lily weszła do pokoju, minęła Annę, jakby matka w ogóle nie istniała, i podeszła do Sørena. Sięgała mu mniej więcej do kolan. Nagle uderzyła go w nogi miśkiem.

– Może spytamy go, dlaczego tak hałasuje? – zaproponował mężczyzna. Lily przytaknęła. – Jestem policjantem, więc chyba najlepiej będzie, jeśli to ja go spytam. Może pomyśli, że zadzwoniłaś na policję, bo tak okropnie się zachowuje.

Lily uznała to za świetny pomysł. Søren wziął od niej Miśka. Podniósł go i popatrzył na niego surowym wzrokiem.

– Miśku – powiedział. – Dlaczego tak hałasujesz? Dlaczego zabierasz Lily książeczki, śpiewasz i skaczesz, tak że ona nie może spać?

Dziewczynka patrzyła na niego zafascynowana. Søren wydał z siebie kilka dziwnych pomruków i spojrzał rozczarowany na Lily.

– Nie rozumiem, co on mówi.

Na twarzy dziecka pojawił się zawód.

– Ale twoja mama mówiła mi, że wy się świetnie rozumiecie.

Lily spojrzała na Annę rozpromieniona.

– No więc Misiek powiedział, że drażni się ze mną, bo jest mu smutno.

– A dlaczego jest mu smutno? – chciał wiedzieć Søren.

– Jest mu smutno, bo ktoś dokucza jego mamie. Bardzo, bardzo, bardzo jej dokucza. I jest jej przykro.

Søren przyglądał się jej dłuższą chwilę.

– Umówmy się, że ja złapię tego, kto dokucza mamie Miśka, a on wtedy się uspokoi i pozwoli ci spać. – Lilly pokiwała główką. – Daj mi rączkę. – Policjant wyciągnął swoją wielką jak łopata dłoń. Lily podała mu swoją. – Jak tylko go złapię, zaraz ci o tym powiem, dobrze?

Lily znów pokiwała główką zadowolona.

– Chodź, skarbie, zaprowadzę cię do łóżeczka – powiedziała Anna.

– Niech on mnie zaprowadzi – zażądała Lily, wskazując palcem na Sorena.

– Nie, Lily.

– Tak – upierała się dziewczynka, robiąc nadąsaną minę.

Søren wstał, posłał Annie uspokajające spojrzenie, wziął małą za rączkę i razem ruszyli do sypialni.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Lily puściła rękę mężczyzny, wróciła do Anny i ją pocałowała. Szybko, w policzek.

– Kocham cię, mamó – powiedziała.

Dziesięć minut później Søren wrócił do pokoju. Anna siedziała nieruchomo na kanapie. Mężczyzna wziął stojące obok okna krzesło, postawił je oparciem do Anny i usiadł na nim okrakiem.

– Posłuchaj, Anno. Od śmierci Larsa Hellanda minęły już ponad trzy doby. Wiem co prawda, co go zabiło, ale poza tym nic więcej. Dzisiaj znaleźliśmy martwego Johannesesa i w tym przypadku też błądzimy po omacku.

– Myślisz, że ja go zabiłam? – spytała Anna schrypniętym głosem.

– W tym momencie nie mogę niczego wykluczyć, ale jeśli spytasz mnie prywatnie, poza protokołem, że tak powiem, to mogę cię zapewnić, że jestem przekonany, że nie masz nic wspólnego ani ze śmiercią Hellanda, ani Johannesesa. Wiem jednak też, że do rozwiązania tej zagadki potrzebna mi będzie twoja pomoc.

– To znaczy? – spytał Anna nagle zaciekawiona.

– Przede wszystkim proszę, żebyś nie zachowywała

się wobec mnie tak wrogo. Myślisz, że to możliwe?

Anna spuściła wzrok.

– Pewnie tak – wymamrotała.

– Poza tym chcę cię prosić, żebyś miała oczy i uszy otwarte i informowała mnie o tym, co się dzieje w instytucie; co ludzie o tym wszystkim mówią. Wasz świat jest mi całkowicie obcy, nie potrafię się w nim poruszać. Niby wszyscy są mili, chcą pomóc i chętnie odpowiadają na moje pytania, ale ja nie posuwam się do przodu. Ty lepiej rozumiesz ich zachowania, lepiej poruszasz się w tym środowisku. Pomóż mi odnaleźć Tybjerga. Mam wrażenie, że on gdzieś się ukrywa, tylko dlaczego? Pomóż mi zrozumieć Johannes. Przyjaźniliście się. Na pewno coś o nim wiesz. Jesteś przekonana, że nie był gejem? Miał dziewczynę? Przypominasz sobie, czy mówił coś, co teraz może się okazać ważne? Cokolwiek, wszystko może być istotne. Potrzebuję twojej pomocy.

Anna cały czas przyglądała mu się uważnie.

– A jeśli to ja jestem zabójczynią?

– Wtedy cię aresztuję. Staniesz przed sądem i trafisz do aresztu, bo będzie ci grozić wysoka kara. Ale, jak powiedziałem, osobiście nie wierzę, żebyś była winna.

– Dlaczego?

– Masz za dużo do stracenia.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Pani Snedker mówiła mi, że Lily nie ma ojca.

– Nie twoja sprawa.

Søren uniósł rękę w obronnym geście.

– Spokojnie.

– Jasne – wymamrotała Anna.

– Zresztą masz rację: to nie moja sprawa. Spytałem z czystej ciekawości.

– Lily ma ojca. Ma na imię Thomas i mieszka w Sztokholmie. Jest lekarzem. Szybko się jednak okazało, że rodzina to nie dla niego. Dzieci, obowiązki i kobieta, która podobno za mało się o niego troszczyła. Ta kobieta to oczywiście ja. Jakby wdepnął w gówno – powiedziała gorzko. – Twierdzi, że odszedł ode mnie, nie od dziecka. Nie widziałyśmy go już dwa lata. Zadowolony?

Søren wstał i zaczął się zbierać do wyjścia.

– Przyjedź jutro do Bellahøj. Musisz złożyć zeznanie.

Anna spojrzała na niego zdziwiona.

– Moje przeczucia nie wystarczą – zaczął jej tłumaczyć. – Muszę cię przesłuchać, jak zresztą wszystkich, którzy mają cokolwiek wspólnego z tą sprawą. O której możesz przyjść?

– Jutro mi nie pasuje. Jadę do Odense.

– To nie pojedziesz.

– Muszę.

– Po co jedziesz do Odense? – spytał poirytowany.

– Muszę coś sprawdzić – odpowiedziała Anna, obracając w palcach pudełko. – Jadę tam razem z Lily. To długa historia – westchnęła.

Czuła na sobie jego wzrok.

– Skoro się upierasz, to niech ci będzie. Odkryłam, że moi rodzice kłamią. Jakbym i bez tego miała za mało

kłopotów. Problem w tym, że nie wiem, dlaczego to robią.

– Musisz odwołać wyjazd – stwierdził Søren stanowczo.

– Rano odprowadzę Lily do przedszkola, a potem stawię się na przesłuchanie. O dziesiątej. Mam czas do godziny pierwszej. Potem odbiorę Lily z przedszkola i pojedę. Muszę. Wracam wieczorem. Jeśli w sobotę przyjdiesz na pogrzeb Hellanda, to się spotkamy – powiedziała i zamknęła oczy. Znów dotarło do niej, że Johannes nie żyje.

Søren przyglądał się jej w milczeniu.

– Zgoda – rzekł w końcu. – Jedź do Odense. Tylko musisz wszystko załatwić między trzynastą a północą. I żadnych numerów, że nagle znikasz i cię nie ma.

– To nie jest zabawne – powiedziała Anna.

– Nie jest – potwierdził Søren. – Dlatego bardzo proszę, żebyś potraktowała moje słowa poważnie. Wiesz może przypadkiem, gdzie jest Tybjerg? – spytał zmieniając nagle temat.

Anna zaczęła się nerwowo rozglądać po pokoju. Jeśli teraz zdradzi jego kryjówkę, policja natychmiast go stamtąd zabierze, a wtedy ona może zapomnieć o swojej obronie.

– Nie wiem – skłamała.

Søren spojrzał jej w oczy.

– W porządku. Jest może coś, o czym chciałabyś mi teraz powiedzieć?

– Wiem, dlaczego Lars Helland umarł. Słyszałam o

pasożytach.

– Jak to? – westchnął Søren.

– Ludzie opowiadają różne rzeczy. Cały Instytut Biologii o tym mówi. Poza tym rozmawiałam z Hanne Moritzen. Zaciągnęła mnie kiedyś do swojego gabinetu i powiedziała, że odwiedziła ją w jej letnim domku. Prosiła, żebym ją ostrzegła, jeśli pojawi się plotka, że pasożyty były z jej laboratorium. Ciekawe, jak to można udowodnić? Te potwory nie są przecież znakowane. Ale jeśli jednak ktoś w taki czy w inny sposób dojdzie, że pochodzą właśnie od niej, to ona chce o tym wiedzieć.

– Dlaczego? – spytał Søren z zaciekawionym.

– Zakład Parazytologii ma zostać zamknięty. Hanne dostała trzy lata na dokończenie projektów, a potem koniec. Boi się jednak, że jeśli rada wydziału znajdzie jakiś pretekst, to pozbędzie się jej przed upływem tych trzech lat. Jeśli okaże się, że pasożyty pochodziły z jej laboratorium, będzie można zwolnić ją ze skutkiem natychmiastowym i rozwiązać zakład. To oczywiste. Dlatego chce być przygotowana, żeby ewentualnie móc się bronić – wyjaśniła Anna. – Poza tym jestem przekonana, że Birgit Helland kłamie – ciągnęła dalej, mając nadzieję, że Søren zapomni o Tybjergu.

– Dlaczego tak uważasz?

– Twierdzi, że Helland był zdrowy, w świetnej formie i pełny energii. A to bzdura. Widziałam go i wiem, że był bardzo chory.

Anna opowiedziała o incydencie na parkingu.

– Zachowywał się okropnie, pewnie z powodu choroby.

– Kiedy rozmawiałaś z Birgit Helland? – dopytywał się Søren.

– Dzisiaj – przyznała się Anna. – Dostałam od niej to – dodała, pokazując mu wisiołek.

– Okazuje się, że Helland kupił mi prezent z okazji obrony pracy. Jego żona chciała mi go przekazać przed pogrzebem.

Søren siedział i słuchał zamyślony.

– Ona kłamie – powtórzyła Anna.

– Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? – dopytywał Søren, cały czas bacznie jej się przyglądając.

– Podejrzewam, że Clive Freeman jest w Danii.

– Dlaczego tak sądzisz?

Nie była pewna, ale uznała, że zaryzykuje.

– W Bella Centret odbywa się sympozjum, którego tematem są ptaki – powiedziała spokojnie. – Widziałam jego nazwisko w programie.

Søren najwyraźniej przyjął jej tłumaczenie.

– Myślisz, że zniknięcie Tybjerga może mieć coś wspólnego z obecnością Freemana w Kopenhadze?

– Nie wiem, co by to mogło być – odpowiedziała Anna, udając zdziwienie.

– Muszę wyjaśnić tę sprawę. Powiedz mi, czy sądzisz, że twoja praca doktorska może mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Hellanda czy Johannesesa? Piszesz o bardzo problematycznej kwestii pochodzenia ptaków.

Wiem, że Helland był zaangażowany w poważny spór naukowy. On, Tybjerg i Freeman. Czy Johannes też miał coś z tym wspólnego? Nie znam się na tym, w końcu jestem tylko prostym gliną. Jeśli dochodzi do morderstwa, to powodem są zwykle zazdrość, narkotyki, pieniądze albo sprawy rodzinne. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby spór naukowy wywoływał tak silne emocje, że ktoś z tego powodu byłby skłonny zabić. Nie rozumiem tego.

Anna zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Johannes mi pomagał – odezwała się w końcu. – On zajmuje się, to znaczy zajmował się filozofią nauki. Był w tym bardzo dobry. Pomógł mi spojrzeć na cały spór od strony teorii nauki, co pozwoliło mi obalić argumentację Freemana. O tym jest moja praca. Johannes wiedział mnóstwo o Popperze i Kuhnzie, który w latach sześćdziesiątych wprowadził do nauki pojęcie paradygmatu. Zrozumienie tego wszystkiego zajęło mi kilka tygodni, więc nie przejmuj się, jeśli czujesz się zagubiony. Ważne w tym wszystkim jest to, że bardzo wielu naukowców od lat atakuje Freemana, a on się w ogóle tym nie przejmuje. Zawsze znajduje coś na swoją obronę. Całe lata powtarzał: „Pokażcie mi opierzonego dinozaura, to może uwierzę w te wasze bzdury”. W roku 2000 znaleziono w Chinach skamielinę sinozauropteryksa, opierzonego dinozaura, a on na to, że to nie są pióra; potem argumentował, że owszem, może to i są pióra, ale zwierzę, które znaleziono, to nie dinozaur, tylko bardzo stary ptak, więc nic dziwnego, że ma pióra! Freeman jest

wyśmienitym anatomem i fizjologiem, trudno z nim polemizować. Natomiast nikt dotąd nie próbował zaatakować go od innej strony, dowieść, że przekracza elementarne zasady dyskursu naukowego.

– Czyli? – spytał Søren.

– To skomplikowane, ale w skrócie chodzi o to, że nie można sobie zaprzeczać, a prace Freemana są wewnętrznie niespójne. Poza tym odrzuca obecnie obowiązującą metodologię badań; oczywiście ma do tego prawo, ale pod warunkiem że przedstawi przekonujące argumenty, a on tego nie robi.

Anna zrobiła przerwę, po czym, patrząc na Sørena, powiedziała:

– Mimo wszystko nie wierzę, że Clive Freeman mógłby mieć coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami. Jeśli chciałby powstrzymać publikację mojej pracy, to powinien starać się dotrzeć na przykład do mnie albo do Tybjerga.

– To prawda, ale Tybjerg zniknął, może nie żyje? Muszę przyznać, że zastanawiałem się, czy nie objąć cię ochroną.

– Nie wiadomo, czy te dwa zgony mają ze sobą cokolwiek wspólnego – stwierdziła Anna, uznając, że nie ma najmniejszej ochoty na stałe towarzystwo policji, wiedząc przecież, że Tybjerg żyje.

Søren przyznał jej rację. Anna zauważyła, że sprawia wrażenie bardzo zmęczonego.

– Z tego co wiem – ciągnęła dalej – larwy miały

około trzech, czterech miesięcy. Tak więc mimo że Helland i Johannes zmarli w odstępie zaledwie kilku dni, to Johannes rzeczywiście zginął wczoraj, ale wyrok na Hellanda został wydany znacznie wcześniej.

– Jutro dowiemy się, czy Johannes także był zakażony larwami tasiemca – powiedział Søren cicho. – Kim jest ten mężczyzna, który dwa razy czekał tu na ciebie? – spytał nagle.

– Kto ci o tym powiedział?

– Pani Snedker.

– Nie mam pojęcia, kto to był. Na pewno nie Freeman. Maggie twierdzi, że był to ktoś młody.

– Nie zastanawiałaś się, kto to może być?

– Najpierw uznałam, że to pewnie Johannes. Nawet wysłałam do niego esemes. Okazało się jednak, że to nie on. Trochę się zdziwiłam. Ale jeśli zabójca Johannesesa ma jego telefon komórkowy, to może jednak to był Johannes, a na esemes odpowiedział ktoś inny... Może Johannes chciał mi coś powiedzieć? Tylko dlaczego uciekł? Nic tu się nie zgadza.

Søren wstał.

– Jutro o dziesiątej – przypomniał jej. – Tylko, proszę, nie spóźnij się.

Anna skinęła głową.

Ledwie policjant zamknął za sobą drzwi, pokazała mu środkowy palec.

Minęło około pół minuty, kiedy usłyszała pukanie do

drzwi. Otworzyła.

– Nie mogłam się doczekać – wyszeptała Maggie. Anna słyszała, że Søren nie dotarł jeszcze do drzwi wejściowych.

– Jestem zmęczona, Maggie. Jutro ci wszystko opowiem.

Starsza pani wyglądała na zawiedzioną. Nagle Anna jakby coś sobie przypomniała, chwyciła kobietę za rękę; poczuła, jaka jest wiotka i miękka.

– Maggie, jeśli ten facet, który na mnie czekał, jeszcze raz się tu zjawi, to zadzwoń na policję – powiedziała, patrząc na nią poważnie.

Kobieta była wyraźnie przestraszona.

– Kiedy mieszkała tu pani Lerby, nigdy nic się nie działo. Cieszę, że jesteś moją sąsiadką – oświadczyła.

Anna uśmiechnęła się i życzyła kobiecie dobrej nocy. Wróciła do pokoju, usiadła na kanapie; czuła, że oczy same jej się zamykają. Siedziała nieruchomo dobre pięć minut. Johannes nie żył. Jej rozum nie był w stanie tego pojąć. Zastanawiała się, jak przekaże tę wiadomość Cecilie i Jensowi. Będą załamani. Zabronią jej chodzić na uniwersytet. Jens będzie nerwowo krążył po pokoju i grzmiał. A może nie będą w stanie słowa z siebie wydusić? Nagle jej ciałem wstrząsnął szloch. Długo jeszcze siedziała, przeżywając śmierć Johanna. W końcu podniosła się, podeszła do telefonu i zadzwoniła do Karen.

Przyjaciółka odebrała po pierwszym dzwonku, poznała ją niemal od razu i bardzo się ucieszyła. Nie była bynajmniej wycofana czy speszona, czego obawiała się Anna. Przeciwnie, nawijała jak katarynka. Powiedziała, że dostała się na Akademię Sztuk Pięknych i od sierpnia mieszka w Kopenhadze. Uwielbia to miasto. Kopenhaga jest fantastyczna, ma tu już mnóstwo przyjaciół. Wie, gdzie Anna mieszka, ale nie miała czasu zadzwonić. A może raczej odwagi, ale we wtorek spotkała na ulicy Cecilie, która powiedziała jej, że Anna jest teraz okropnie zajęta, a na dodatek zmarł jej promotor. Obiecała zawiadomić ją o dacie obrony, Karen bardzo na tym zależało. Na pewno przyjdzie.

– Jesteś biologiem. Jestem z ciebie taka dumna! – powiedziała i zaczęła wypytywać Annę o Lily. Ma brązowe włosy czy może jest ruda? Co lubi? Karen chciałyby jej coś kupić. Może lalkę? A może taki plastikowy fartuch z Człowiekiem Pajakiem, zawsze przecież się przyda. Pokaże jej, jak się lepi z gliny.

Anna milczała. Dlaczego tyle lat się nie widziały? Nagle zdała sobie sprawę, że to chyba jednak ona pierwsza zaczęła unikać towarzystwa przyjaciółki, i poczuła wyrzuty sumienia. Na pytania Karen odpowiadała krótko, aż w końcu przyjaciółka spytała, czy dobrze się czuje. Rozumie, że jest zapracowana, ale czy poza tym wszystko jest w porządku? Anna odpowiedziała, że nie.

I nagle wyrzuciła z siebie wszystko. Opowiedziała Karen o Thomasie, o ich nieudanym związku, o Cecilie,

która pomogła jej się pozbierać, za co jest jej wdzięczna, tyle że teraz nie chce jej puścić; opowiedziała jej o swoich studiach, o śmierci Hellanda, i w końcu – choć z oporami – zaczęła jej opowiadać o Johannesie, jej jedynym przyjacielu. Sympatyczny facet, skwitowała Karen; Anna zaczęła płakać. Kiedy do Karen dotarło wreszcie, że jej przyjaciel też nie żyje, zaproponowała, że natychmiast do niej przyjedzie; przecież nie możesz być sama!

– I wcale nie chcę być sama – zgodziła się Anna. – Możesz przyjść jutro? I zostać z nami przez weekend? Pomogłabyś mi przy Lily, nie chcę ciągle prosić Cecilie.

Z oczu znów poleciały jej łzy. Karen powiedziała, że oczywiście. Nawet się nie zawahała. Jasne, że przyjedzie.

– Bardzo mi ciebie brakowało – rzekła Anna i odłożyła słuchawkę, zanim Karen zdążyła odpowiedzieć.

Potem długo nie mogła zasnąć. Myśli nie dawały jej spokoju, w końcu usiadła na łóżku. Johannes nie żył. Leżał teraz w jakiejś zimnej chłodni. A ona nie zdążyła go przeprosić. Nakrzyczała na niego, bo chciała ukarać go za to, co powiedział policji; tak naprawdę wcale nie była na niego zła. Teraz jednak było już za późno. Johannes miał rację. Zawsze myślała przede wszystkim o sobie.

Wstała i przeszła przez mieszkanie, minęła nadal zabite drzwi do dawnego pokoju Thomasa, weszła do pokoju córki i wzięła śpiącą Lily na ręce. Zniosła ją do sypialni, położyła obok siebie na łóżku i poczuła wyrzuty sumienia. Co innego, kiedy miała sama przychodziła w nocy do niej do łóżka. Lily była żywą

istotą, nie powinna traktować jej jak butelki z gorącą wodą. Cecilie miała tendencję do traktowania Anny, jakby miała do niej jakieś specjalne prawa. Nie ze złej woli, to na pewno, ale ich dyskusje często kończył argument: „Przecież jestem twoją matką”, albo „Przecież jesteś moją córką”. Jakby to wszystko usprawiedliwiało; znaczyło, że wszystko można, że ma się prawo brać, żądać. Teraz Anna zachowywała się podobnie w stosunku do własnego dziecka. Wtuliła się w ciemnościach we włosy małej, pogładziła jej ramię, takie ciepłe i delikatne. I znów poczuła łzy na policzkach. Wsiąkały w pościel, a ona nie mogła ich powstrzymać. Chciała kochać Lily miłością bezinteresowną. Chciała kochać swoje dziecko. Być dla niej jak słońce, ogrzewać ją, ale z pewnej odległości. Żeby mogła się rozwijać i jak roślinka wypuszczać nowe, piękne zielone listki, rozkwitać i przynosić owoce. Ale Anna czuła, że jej serce jest skamieniałe.

Sięgnęła ręką pod poduszkę, na której Lily leżała, i przyciągnęła ją do siebie. Anna nigdy nie potrafiła cieszyć się tak, jak to robiła Karen. Karen po prostu oddawała się całej radości. Była niewiarygodnie szczęśliwa, gdy spotykały się po wakacjach; uwielbiała, wręcz kochała, jak to określała, urywać się ze szkoły i jechać z mamą na zakupy do Odense. Chodziły wtedy po sklepach, szły do restauracji i zamawiały tosty francuskie; było cudownie, wszystkie problemy znikwały. Karen kochała też dobre filmy, kochała spaghetti bolognese, spacerować wzdłuż plaży,

uwielbiała grać w karty i słuchać muzyki filmowej na cały regulator, tańcząc i potrząsając niesfornymi lokami. Nigdy jednak nie dawała Annie do zrozumienia, że ma nad nią jakąś przewagę. Ona po prostu śpiewała i tańczyła, a Anna kiwała się w rytm muzyki. Przyjaźniły się. To Anna zniszczyła ich przyjaźń.

Czy Anna w ogóle umiała czymkolwiek się cieszyć? Kto był dla niej ważny? Jej rodzice. Tak, rodzice byli ważni, nawet bardzo. Tak samo Lily. Ale jej uczucia dyktowane były bardziej rozumem niż sercem. Zawstydziała się własnych myśli i odwróciła nieco od Lily, córeczka natychmiast znów się do niej przytuliła.

Anna wpatrywała się w przenikające przez zasłony w oknach światła miasta. Kiedy Troels odszedł, tego ranka dziesięć lat temu, po tym jak wszyscy troje zdali maturę, Karen oszalała: szukała go, wydzwaniała do jego rodziców, chciała go za wszelką cenę znaleźć, pogodzić się z nim. W kółko to powtarzała, mimo że to przecież Anna doprowadziła do zerwania. Cierpiała, że rozstali się w złości. Anna próbowała ją zrozumieć. Zaczęła się zastanawiać, co właściwie zrobiła. Chociaż właściwie było jej wszystko jedno. Troels był sam sobie winien. Okazał się kiepskim przyjacielem. Nie zamierzała się nim przejmować. Pójdą swoją drogą. Każde z nich.

Ale przecież kiedyś kochała. I to napełniało ją przerażeniem. Kiedyś kochała Thomasa, teraz pragnęła kochać Lily. Miłością gorącą, bezwarunkową i bezkompromisową. Puściła dziecko i znów usiadła na

łóżku. Niemożliwe, żeby mogła kochać Thomasa, a nie potrafiła kochać własnego dziecka. Nie. Thomas należał do przeszłości, Lily była teraźniejszością i przyszłością, była na zawsze. Anna wstała, zerknęła na zegarek. Była trzecia.

Wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi, żeby nie obudzić Lily. Nastawiła kawę. Nalała sobie duży kubek, dołała gorącego mleka. Rozpaliła w kominku i usiadła w fotelu.

„Dlaczego jesteś taka zła?“, spytał ją Søren. Zapamiętała jego wzrok: łagodny, lekko zdziwiony. Jakby naprawdę nie rozumiał. Może ona sama też tego do końca nie rozumiała? Ale tak było. Czuła złość; silniejszą od miłości. To ją obezwładniało. Była zła na Thomasa. Chociaż powinna już przecież zobojętnieć. Nie widzieli się dwa lata; wiedziała, że pracuje w Sztokholmie, miała numer jego telefonu, ale to wszystko.

Do Cecilie często miała pretensje. Zawsze kiedy się spotykały, dochodziło do spięcia. Na Jensa też się trochę złościła. Kiedy dłubał w nosie, kiedy się spóźniał, kiedy się okazało, że nie potrafi rzucić palenia, albo kiedy nie umiał wziąć się w garść. Nieważne, że jej irytacja mieszała się z troską o niego; ważne, że się na niego złościła. No i Lily. Jasne, że nie mogła być zła na trzyletnie dziecko, ale brakowało jej cierpliwości. Lily bywała trudna, uparta, jakby niczego nie rozumiała. I pewno tak było, w końcu nie miała jeszcze nawet trzech lat!

Poza tym była zła na Hellanda, na Tybjerga, złościła się na Johannesę. Na Johannesę, który masował jej ramiona, kiedy przychodziła po źle przespanej nocy; który zawsze jej wysłuchiwał i chyba jedyny potrafił sprawić, że się śmiała. Złościła się. Bez sensu. Dlaczego? Odstawiła kubek na podłogę, podciągnęła kolana. Ogień buzował, grzejąc jej uda.

Nagle wstała. Nie chce przecież złościć się na własne dziecko, pomyślała. Nie wolno jej, nie wolno jej krzywdzić dziecka. Dzieci kochają, jeśli same są kochane.

Stała i przyglądała się zdjęciu Cecilii, Jensa i samej siebie, roześmianej, z roziskrzonymi oczami jak gwiazdy. Usta rodziców były uśmiechnięte, ale w ich oczach był smutek. Coś musiało się wtedy wydarzyć. Jutro pojedzie do Ulli Bodelsen. Dziecko kocha, jeśli samo było kochane.

Przesłuchanie w piątek rano na komisariacie w Bellahøj trwało niecałe dwie godziny. Søren był ogolony, wyspany i uśmiechnięty. Nie dawał po sobie poznać, że poprzedniego wieczoru ułożył do snu jej córeczkę. Był funkcjonariuszem na służbie. O dwunastej było już po wszystkim, do odejścia pociągu zostało jej półtorej godziny. Postanowiła się przejść, potrzebowała powietrza. Było zimno; ptaki, które ukryły się w krzakach, nie zareagowały, kiedy je mijała.

Nagle idący przed nią młody mężczyzna przypomniał jej o Troelsie. Karen nie wspomniała o nim ani słowem,

Anna też omijała temat szerokim łukiem. A może powinna go odnaleźć, przeprosić za to, co kiedyś mu powiedziała? Nawet jeśli tak do końca wcale tego nie żałowała. Piękny Troels. Anna patrzyła na mężczyznę i uznała, że chyba ma omamy. Czy to możliwe, że ktoś mógł być tak do niego podobny? Bo przecież niemożliwe, żeby to był on. Nie mógł nagle, po dziesięciu latach, zjawić się tutaj, na Fredrikssundsvej. Nie mógł wiedzieć, że ona będzie tędy szła – i myślała o nim! I to dzień po rozmowie z Karen. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Ale to był on. Stał przed sklepem warzywnym, opierając się nonszalancko o ścianę, jakby stał na rogu Drugiej Alei i Pięćdziesiątej Ósmej ulicy, czekając na taksówkę. Stał i patrzył przed siebie, Anna próbowała pójść za jego wzrokiem. Pomyślała, że pozuje, że już wcześniej ją zauważył, a teraz udaje; w tym momencie Troels odwrócił się i spojrzał na nią.

– Cześć, Anno! – wykrzyknął zdziwiony. – Witaj – powtórzył.

Wydawał się miło zaskoczony, ucieszony. Anna uściskała go, uśmiechając się.

– Co ty tu robisz? – spytała z ustami w jego skórzanej kurtce. Pachniał papierosami.

– Stałem i zastanawiałem się, czy Anna Bella Nor nieco się ucywilizowała od naszego ostatniego spotkania, czy też nadal klnie jak szewc? – roześmiał się. – Co u ciebie? Słyszałem, że jesteś ekspertem od dinozaurów, archeologiem, tak to się nazywa?

– Mniej więcej. – Anna znów się uśmiechnęła. – Ale skąd to wiesz? – spytała.

Troels świetnie wyglądał. Miał porcelanową cerę, ciemne, niemal czarne brwi i rzęsy, w oczach zielone iskierki. Na głowę miał naciągniętą wełnianą czapkę.

– Kilka dni temu spotkałem Karen. Dziwne, prawda? Nagle w ciągu paru dni spotykam was obie. Wszystko mi opowiedziała. Obiecaliśmy sobie, że się spotkamy.

Anna spojrzała na niego niepewnie. Spotkamy? Karen i on? Czy też Karen, Anna i on? Nie sprawiał wrażenia, że jest na nią zły. Może był nieco zbyt egzaltowany, jakby się denerwował. Ona też była zdenerwowana. Poczula, że się poci.

– Biolog, ekspert od dinozaurów. Brzmi bardzo uczenie. Myślałem, że wybierzesz coś zupełnie innego.

Anna zmarszczyła nos.

– Przejdziemy się? – zaproponowała. – Za zimno, żeby tak stać – dodała.

Troels zerknął na zegarek i skinął głową. Ruszyli przed siebie.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zostaniesz sierżantem w wojsku albo coś takiego; bardziej hardcorowego.

Anna roześmiała się i spojrzała na niego dotknięta.

– Minęło dziesięć lat, a ty jak zwykle wszystko wiesz najlepiej.

– Daj, spokój, nie kłóćmy się! – powiedział ugodowo.

– A właściwie dlaczego nie? – wypaliła Anna, czując

narastającą w sobie dawną złość. – Zawsze miałeś o mnie dziwne wyobrażenie.

Odeszli zaledwie pięćdziesiąt metrów, a Anna już miała ochotę tupnąć nogą. Troels zdawał się tego nie zauważać.

– Dlaczego w ogóle się nie widzimy? – spytał nagle.
– Ty, ja i Karen? Byłyście moimi przyjaciółkami i nagle zniknęłyście.

– To ty nagle zniknąłeś – odpowiedziała Anna zdziwiona. – Ty!

Troels patrzył na nią zmieszany.

– Whatever – rzucił nagle.

– Co robiłeś przez te lata?

Anna zmieniła temat.

– Różne rzeczy – odpowiedział Troels obojętnie. – Najpierw byłem w Mediolanie, potem przeniosłem się do Nowego Jorku. Zarabiałem jako model, ale to pewno wiesz?

– Nie – odpowiedziała Anna.

– No proszę. A ja myślałem, że jestem znany, sławny! – roześmiał się. – W Nowym Jorku zacząłem malować – ciągnął dalej. – Dlatego wróciłem do Danii. Chciałem studiować na Akademii Sztuk Pięknych. Właśnie tam spotkałem Karen, na spotkaniu informacyjnym. Potem trochę zaszaleliśmy. Poszliśmy na piwo, rozmawialiśmy o tobie. Niestety, nie dostałem się, ale będę znów próbował. Od tamtej pory jesteśmy w kontakcie. Widziałem się z nią we wtorek. Poszliśmy na

hamburgera. Karen namawiała mnie, żebym przyszedł na twoją obronę. To miała być niespodzianka. Chyba chce, żebyśmy znów byli przyjaciółmi.

Troels sprawiał wrażenie skrępowanego; chwilę szli w milczeniu.

– Karen wspomniała, że ktoś ostatnio umarł u was na wydziale – odezwał się nagle Troels.

– Nie ktoś, tylko mój promotor. Na zawał. Miał pięćdziesiąt siedem lat – dodała niemal szeptem. To nie jego sprawa, pomyślała w duchu. Cecilie nie powinna była mówić tego Karen, a Karen nie powinna była powtarzać tego Troelsowi.

– To chyba nie o niego chodziło. To był ktoś młody, jakiś twój znajomy.

– Skąd o tym wiesz? – spytała Anna z niedowierzaniem w głosie.

– Od Karen – odpowiedział Troels lekkim tonem. – Zadzwoiła do mnie wczoraj wieczorem – przyznał. – Po waszej rozmowie. Zaproponowała, żebyśmy wszystko sobie wyjaśnili. Podobno bardzo wszystko przeżywasz.

Anna nadal patrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc.

– Zadzwoiła do ciebie i ci to powiedziała?

– Tak. Leżałem już w łóżku i czytałem. Było dobrze po północy. Była bardzo zdenerwowana. Twierdziła, że musimy ci pomóc. W końcu jesteśmy przyjaciółmi. Mówiła, że dziwnie brzmiałaś. – Troels uśmiechnął się łagodnie. – Wiesz, że już dawno chciałem się z tobą

skontaktować – ciągnął dalej. – Zacząć wszystko od początku, zapomnieć o tym, co było.

– Rozmawiasz z nią i nagle, następnego dnia, na siebie wpadamy? Mam uwierzyć, że to przypadek? – spytała Anna.

Cofnęła się o krok i przyglądała mu się podejrzliwie.

– No dobrze, może nie tak do końca. Zobaczyłem cię rano w autobusie. Siedziałem z tyłu. Wsiadłaś na Rantzausgade, wysiadałaś w Bell ahoj. Wysiadłem za tobą i zobaczyłem, jak wchodzisz na komisariat. Postanowiłem na ciebie zaczekać. Kiedy w lutym wróciłem z Nowego Jorku, od razu sprawdziłem, gdzie mieszkacie, ty i Karen. Wiele razy chciałem do ciebie zadzwonić; właściwie nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem – powiedział i na chwilę zamilkł. – Pewnie się wstydzilem. I było mi głupio wobec twoich rodziców. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobili. Pisali do mnie jeszcze kilka lat, a ja nie odpowiadałem. Więc kiedy zobaczyłem cię rano w tym autobusie, pomyślałem: teraz albo nigdy. Mijały kolejne godziny, już chciałem zrezygnować, i wtedy właśnie wyszłaś. Rzeczywiście jest zimno – dodał nagle i zaczął machać rękami.

– Jesteś strasznie chudy – wyrwało się Annie.

– A ty? – powiedział i znów się uśmiechnął.

Wzięła go pod rękę.

– Pewnie jest ci ciężko – rzekł. – Przesłuchiwali cię? Na tym komisariacie...

– Mhm – odpowiedziała wymijająco. – Trochę im

pomagam. Uniwersytet to dla nich inny świat.

Troels przyglądał się jej z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– O co cię pytali?

Anna zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Powiedz mi szczerze, co wtedy się wydarzyło? Dlaczego wyszedłeś? Dlaczego zniknąłeś? Karen szukała cię wiele tygodni.

– Czy to ważne?

– Jeśli nie, to możesz chyba powiedzieć, co się stało?

Troels wyswobodził się z jej uchwytu.

– Nie rób tak! – powiedział, a jego oczy iskrzyły.

Anna opuściła rękę.

– Czego mam nie robić? To ty mnie szpiegujesz, chodzisz za mną i dziwnie się zachowujesz. A potem stwierdzasz, że jest ci wszystko jedno. To ty na dziesięć lat zniknąłeś z powierzchni ziemi. Mnie nie jest wszystko jedno! Nie rozumiem tego! To było podłe.

Anna stała z uniesioną do góry ręką, oczy jej błyszczały, była zła. Troels zatrzymał się, stał jak sparaliżowany i patrzył na nią.

– Byłeś moim najlepszym przyjacielem – wyszeptała Anna. – Ufałam ci. Tobie i Karen. Tamtej nocy zachowałeś się niemal jak mój tata. Dobrze to wiesz. To było wredne.

Usta Troelsa ściągnęły się, Anna była coraz bardziej wściekła, jeszcze moment, a wybuchnie. Nagle jednak się opanowała, zobaczyła przed sobą twarz Najbardziej Irytującego Policjanta Świata. Uspokoila się nieco.

– Umówmy się na spotkanie po mojej obronie, dobrze? – zaproponowała ugodowo. – Oczywiście zapraszam was oboje. Obrony prac są publiczne – dodała. – Przepraszam – powiedziała po chwili. – Żyję w ogromnym stresie, wybaczone. Pójdę dalej sama, muszę parę rzeczy przemyśleć. No i jeszcze zdążyć na pociąg.

Troels zmienił się na twarzy, zrobił się purpurowy; Anna odniosła wrażenie, że drży; szybko jednak się opanował.

– Jasne – powiedział bezdźwięcznym głosem. – W porządku. Rozumiem, że się denerwujesz. Najpierw ta historia z twoim promotorem, a teraz Johannes. Musi ci być ciężko.

Anna nieco odtajała.

– Naprawdę chcę, żebyśmy się spotkali. Ale za jakiś czas, dobrze? – wyjaśniła łagodniejszym tonem.

Miała w pamięci słowa Sorena, że musi się bardziej kontrolować. Prawie jej się udało, pomyślała zadowolona.

– Idę w tamtym kierunku – rzucił Troels, wskazując dłonią w stronę skrzyżowania. – Mieszkam tu niedaleko.

– W porządku – odpowiedziała i objęła go, chcąc załagodzić sytuację. Chwyciła go i odsunęła nieco od siebie. – Jesteśmy przyjaciółmi? – spytała.

– Jasne! – Uśmiechnął się. – Po prostu kiepski timing – dodał. – Ale kiedy zobaczyłem cię rano w autobusie, nie mogłem się powstrzymać. Siedziałem i myślałem o tobie, i nagle stajesz przede mną. Powinienem był zaczekać.

Wyciągnął rękę i usunął włos z jej czoła.

– Do zobaczenia, moja piękna – powiedział i ruszył na drugą stronę ulicy. Anna stała i chwilę jeszcze za nim patrzyła.

Podróż do Odense przebiegła pod znakiem dobrego humoru Lily. Miały miejsca w przedziale rodzinnym; Lily od razy wysypała na stół wszystkie zabawki, które miała w plecaku. Jej radosne piski zwabiły inne dzieci i po chwili wszystkie bawiły się jej klockami, misiami, lalkami. Anna przyglądała się córeczce ze swojego miejsca przy oknie. Kiedy zjawiała się stewardesa z poczęstunkiem, Anna wzięła dla siebie i dla Lily po hot dogu i po kartoniku soku. Kiedy zjadły i wypiły, pociąg zbliżał się do Odense.

Anna już na dworcu zauważyła, jak bardzo wszystko się zmieniło. Wszędzie wyrosły małe sklepiki; dworzec przypominał bardziej centrum handlowe niż prawdziwy dworzec kolejowy. Zainstalowano windy, przed wejściem powstał nowy parking. Ogarnęła ją nostalgia.

Ruszyła przed siebie, obok niej dreptała Lily. Zastanawiała się, czy jeszcze kogoś tu zna. Na pewno część jej dawnych szkolnych koleżanek i kolegów nadal tu mieszka, chociaż akurat w tym momencie nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego nazwiska. Pomyślała, że na pewno mieszka tu matka Karen. I wtedy przypomniała sobie, że ona i Karen mają się spotkać wieczorem.

Jeszcze w domu wydrukowała sobie aktualną mapkę miasta. Na szczęście okazało się, że Ulla Bodelsen

mieszka niedaleko dworca. Mogły iść na piechotę. Lily maszerowała zadowolona u jej boku. Dopiero kiedy się poślizgnęła i upadła, zażądała, żeby wziąć ją na ręce. Co ja wyprawiam, zaczęła zastanawiać się Anna. Ulla Bodelsen musiała mieć koło osiemdziesiątki, pewnie miała demencję. Poza tym miała do czynienia z tak wieloma dziećmi. Co ona sobie wyobrażała? Jej rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu, odsunęła Lily i sięgnęła do kieszeni. Dzwonił mężczyzna z sekretariatu, potwierdzając datę i godzinę jej obrony. Kiedy Anna skończyła rozmawiać, Lily natychmiast spytała:

– To był mój tata?

Anna spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie, skarbie.

– Czy ja nie mam taty? – dopytywała się córeczka.

Ich twarze niemal się stykały, Anna czuła jej gorący oddech.

– Ależ masz tatę, skarbie. Ma na imię Thomas i mieszka daleko stąd. W Szwecji. Jest lekarzem, pomaga ludziom wyzdrowieć.

– Tata Andreasa ma na imię Mikkel. Ja też chce mieć tatę – oświadczyła Lily.

– Doskonale to rozumiem – odpowiedziała Anna.

– Trochę mi żal mojego taty – stwierdziła Lily i nagle zażądała, żeby postawić ją na ziemi. Zaintrygowało ją coś leżącego na chodniku. – Mamo, patrz, złoto! – zawołała radośnie.

– Dlaczego żal ci taty? – chciała wiedzieć Anna.

– Patrz, mammo! To prawdziwe złoto.

Lily podniosła z ziemi kawałek złotej folii, którą ktoś bardzo dokładnie wygładził, tak że przypominała słońce.

– Złoto! Złoto! – wołała Lily.

Anna zrezygnowała.

Ulla Bodelsen mieszkała na parterze w starej kamienicy przy małej, wyłożonej brukiem uliczce. Anna podeszła do drzwi, zawahała się, ale w końcu przycisnęła dzwonek. Usłyszała szybkie kroki, drzwi się otworzyły i Lily natychmiast wpadła do wewnątrz.

– Patrz, znalazłyśmy złoto! – zawołała podniecona i niemal jednym tchem spytała: – Jak masz na imię?

Starsza, ale sprawna i bardzo zadbana kobieta pochyliła się, wzięła twarzączkę dziecka w swoje ręce i powiedziała: – Ja mam na imię Ulla. A ty jak się nazywasz?

– Lily Marie Nor – odpowiedziała dziewczynka. – Czy mogę dostać wodę z sokiem? – poprosiła.

Kobieta się roześmiała.

– Witaj – powiedziała, przyglądając się Annie wyraźnie zaciekawiona.

Anna podała jej rękę. Zauważyła jasne spojrzenie kobiety, zwróciła też uwagę, że twarz kobiety jest wyjątkowo gładka, niemal bez zmarszczek. Z tyłu za nią, oparty o ścianę stał kajak.

– Pływa pani kajakiem? – spytała zdziwiona.

– Tak – potwierdziła kobieta i zaprosiła Annę do

pokoju. – Przeszłam na emeryturę, kiedy miałam sześćdziesiąt dwa lata, czyli już dwanaście lat temu. Nie wyobrażam sobie, żebym miała nic nie robić. Kochałam swoją pracę, ale teraz jestem bardzo zadowolona. Prawdę mówiąc, to jestem nawet bardziej zajęta, niż kiedy pracowałam – roześmiała się. – Zdałam egzamin na instruktora pływackiego i trzy razy w tygodniu prowadzę kursy dla początkujących. No i oszalałam na punkcie kajakarstwa.

Ściany pokoju były białe, meble proste; na jednej ze ścian wisiał plakat z kopenhaskiego festiwalu jazzowego z 1996 roku. Ulla Bodelsen wskazała Annie kanapę, Anna usiadła. Gospodyni miała już gotową herbatę, upiekła też ciasto.

– Patrz, co dla ciebie zrobiłam – zwróciła się do Lily.

Odwinęła z folii talerz pełen owoców: cząstek jabłek, melona i mandarynek, wymieszanych z orzechami i owocowymi żelkami. Kiedy Lily lustrowała talerz, kobieta przyniosła skrzynkę z zabawkami, na które miała natychmiast się rzuciła.

– Proszę się częstować – zachęcała kobieta.

Anna wzięła maślaną bułeczkę i dołała mleka do herbaty. Czy Cecilie też będzie taka na starość, zastanawiała się. Taka jak Maggie czy jak Ulla Bodelsen, pełna energii i zapału. Annie trudno było to sobie wyobrazić.

Po chwili kobieta wróciła do pokoju, niosąc w ręku białą kopertę. Położyła ją na stole, usiadła na kanapie i

zaczęła rozmawiać z Anną. Wspominała dawne czasy. Doszukały się nawet wspólnego znajomego; jeden ze szkolnych nauczycieli Anny okazał się mężem siostrzenicy Ulli. Nagle kobieta zmieniła temat.

– Ta koperta jest dla ciebie – powiedziała. – Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi; jeśli nie chcesz, nie musisz mi niczego tłumaczyć – dodała i na chwilę zamilkła. – Nadal sobie ciebie nie przypominam, ale po naszej wczorajszej rozmowie przeszukałam swój schowek.

Kobieta wskazała na niewielką wnękę. Na półkach nad stołem stały cztery spore kartony, wzmocnione metalowymi listwami.

– Ta rozmowa nie dawała mi spokoju. W końcu, na dnie jednego z kartonów znalazłam zdjęcie. Mam tu setki, jeśli nie tysiące zdjęć dzieci i rodziców. Okazało się, że mam też zdjęcie mężczyzny i dziecka, których ja zapamiętałam jako Jens i... Sara. Miałam je schowane gdzieś w sercu, no i je znalazłam.

Kobieta przerwała; siedziała chwilę pogrążona w myślach.

– Pielęgniarka, która początkowo zajmowała się rodziną, przeniosła się na Grenlandię, gdzie jej mąż dostał pracę. Przejęłam jej podopiecznych. Sara miała wówczas może siedem miesięcy. Matka miała po porodzie problemy z kręgosłupem, bardzo cierpiała, przeszła operację, ciągle wracała do szpitala. Dzieckiem zajmował się ojciec.

– Zachowała pani może jakieś dokumenty; coś, co miało związek z... Sarą?

– Też się nad tym wczoraj zastanawiałam. Przypomniałam sobie, że w pewnym momencie papiery zaginęły. Kiedy przejęłam sprawę, nasze biuro przechodziło reorganizację. W dokumentach panował bałagan. Pamiętam, że nigdzie nie mogłam znaleźć teczek z dokumentami rodziny. Ktoś mi wtedy wyjaśnił, że pewnie moja poprzedniczka zostawiła je u rodziny z prośbą o przekazanie swojej następczyni. Ale ojciec dziecka zaprzeczył, pomógł mi jednak odtworzyć pewne dane. Sara chowała się dobrze, rosła, nie miałam żadnych uwag. Podczas jednych z moich odwiedzin, Sara miała wtedy skończone dziewięć miesięcy, szczęśliwy Jens przekazał mi radosną wiadomość, że jego żona, matka dziewczynki, przeszła właśnie kolejną operację w jakiejś prywatnej klinice w Anglii i są duże szanse, że wróci do zdrowia. Wtedy właśnie dał mi to zdjęcie – powiedziała kobieta, wskazując ruchem głowy na leżącą przed nimi kopertę. – Też ucieszyłam się wiadomością, licząc, że kiedy następnym razem odwiedzę rodzinę, będę miała okazję poznać matkę Sary. Tak jednak się nie stało. Pewnego dnia Jens zadzwonił i powiedział, że nie potrzebują już mojej pomocy.

– Nie podał żadnego powodu?

– Nie.

– A ta pierwsza pielęgniarka, jak ona się nazywała?

– Grethe Nygaard. Już nie żyje. Jakies trzy lata temu

był nekrolog w naszej lokalnej gazecie. Zmarła na Grenlandii.

Anna zerknęła na kopertę.

– Otwórz ją – zachęcała kobieta.

Anna sięgnęła po nią drżącymi rękami. Pomyślała, że zaraz umrze, ale otworzyła kopertę i wyjęła z niej zdjęcie. Odwróciła je i zobaczyła napis: „Jens i Sara Bella, wrzesień 1978”. Ponownie je odwróciła, kolory nieco wyblakły, ale zdjęcie było wyraźne. Na tle ściany w kolorze fuksji i brązowej ramy okiennej widać było bardzo młodego Jensa z bujną czupryną i brodą. Patrzył w obiektyw, uśmiechał się, ale w jego oczach był smutek. Na kolanach trzymał małą dziewczynkę, jeszcze w pieluszce. Dziewczynka i Lily podobne były do siebie jak dwie krople wody. Anna poczuła, że płacze.

– Nie ma żadnych wątpliwości – powiedziała Ulla Bodelsen. – Podobieństwo jest wyraźne. Ale jestem też całkowicie pewna, że dziewczynka na zdjęciu miała na imię Sara. Jeśli to jesteś ty, to znaczy, że tak kiedyś miałaś na imię. Zapisałam to, zawsze byłam bardzo dokładna.

Kobieta wstała i usiadła obok Anny na kanapie. Lily nadal była pochłonięta zabawą. Na podłodze pod stołem ustawiła lalki i misie. Anna chciała wstać, ale nagle przytuliła się do Ulli, która objęła ją starymi, ale silnymi rękami.

Anna chętnie zostałaaby dłużej, ale Lily zaczęła już trzeć oczka. Anna wstała, wzięła zdjęcie w kopercie i

schowała do torby. Ubrała córeczkę w kombinezon i uściskała Ullę. Podziękowała jej, a Ulla poprosiła, żeby uważała na siebie. Anna wzięła Lily na ręce i akurat zdążyły na pociąg. Lily spała z główką opartą na ramieniu Anny. W przedziale ułożyła ją na podwójnym siedzeniu i delikatnie zdjęła z niej kombinezon. Zamówiła herbatę z mlekiem i nagle, zanim zdążyła pomyśleć, co robi, wyciągnęła telefon komórkowy i wcisnęła numer do ojca. Po chwili usłyszała jego zmęczony głos.

– Jens przy telefonie.

– To ja, tato.

– Witaj, skarbie.

– Dlaczego żadne z was się nie odzywa? Zmówiliście się przeciwko swojej jedynej córce czy co? – spytała, kładąc nacisk na jedynej.

– Dzwoniłem do ciebie wiele razy. To ty nie odbierasz telefonów. Zachowujesz się nierozsądnie. Dlaczego krzyczysz i złościsz się na mamę? Próbujemy ci pomóc. Jesteś zestresowana. Zgadzam się z twoją matką: to bez sensu, żeby Lily była teraz z tobą. Ale oczywiście, to twoje dziecko i masz prawo do własnych decyzji. Chociaż przyznaję, że ich nie rozumiem. Uważam, że w tym momencie Lily byłoby lepiej u babci, która ma więcej czasu. Ale jeśli nie chcesz...

– Tato – przerwała mu Anna. – Kocham cię, nawet jeśli głupio się zachowujesz.

Głos jej się łamał, znów miała łzy w oczach.

– Dobrze wiesz, że nie zawsze sprawy wyglądają tak,

jak przedstawia to Cecilie. W tej chwili nie jest to dobre rozwiązanie i ty też to wiesz. Przez ostatnie dwa lata po rozstaniu z Thomasem byłam bardzo nieszczęśliwa; bez waszej pomocy na pewno bym sobie nie poradziła. Ale teraz już tak bardzo jej nie potrzebuję. Zrozumcie to, proszę. Lily jest moją córką, ja jestem jej matką. Jesteśmy rodziną, niewielką, ale jednak. Musicie dać nam szansę. Możecie oczywiście być dziadkami, odwiedzać nas w niedzielę, przynosić jej słodycze, a latem zabierać ją na wakacje. Ale to jest moja córka. Jestem jej matką, z pewnością nie idealną, ale bardzo się staram. Rozumiesz mnie, tato?

Anna starała się mówić cicho i momentami brzmiało to, jakby syczała do telefonu. Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć twojej agresji – powiedział w końcu Jens. Brzmiał, jakby go zraniła.

– Kim jest Sara Bella?

Anna postanowiła iść za ciosem.

– Słucham?

– Kim jest Sara? To ja, prawda? Tak miałam na imię, kiedy byłam mała. Co się stało? Czy wyście powariowali? – wybuchła i natychmiast tego pożałowała. Teraz znów złość przesłoniła to, co jest naprawdę ważne.

– Anno – powiedział Jens cicho. – Nie życzę sobie, żebyś tak do mnie mówiła. Rozumiem, że jesteś zestresowana, ale są pewne granice.

– Nieważne, jak mówię, tato. Ważne, że mnie

okłamałeś. I nadal kłamiesz. Widziałam dzisiaj zdjęcie małej dziewczynki, która miała na imię Sara Bella. Jest podobna do Lily. Na odwrocie było napisane: Jens i Sara Bella. Ta dziewczynka to ja. O co chodzi?

– Gdzie jesteś? – spytał Jens wyraźnie zaszokowany.

– W pociągu, między Odense a Kopenhagą.

Zapanowała cisza.

– Gdzie jest Lily?

– Podrzuciłam ją Czerwonemu Krzyżowi. Za kogo ty mnie masz, tato? Jest ze mną, śpi.

– Co robiliście w Odense?

Anna wyczuła strach w jego głosie i nieco złagodniała.

– Uspokój się, tatusiu. Pojechałam do Odense odwiedzić Ullę Bodelsen. Pielęgniarkę środowiskową. Tę, która ci pomagała, kiedy mama była w szpitalu. Pytasz mnie, dlaczego się złościę. Nie potrafię ci odpowiedzieć, bo nie wiem. Ale może ty znasz odpowiedź?

Przerwała, bo zabrakło jej tchu.

– Moje świadectwo urodzenia – odezwała się nagle. – Z datą nadania imienia, jedenaście miesięcy po urodzeniu. To nieprawda, że dopiero wtedy dostałam imię. Wy je zmieniliście. Dlaczego?! – wykrzyczała. Lily drgnęła, a siedzący obok niej chłopak ze słuchawkami w uszach odwrócił głowę i spojrzał na nią z ciekawością.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Anno – odezwał się w końcu Jens schrypniętym głosem. – Musimy porozmawiać. Wszystko ci

wytłumaczę.

Anna odsunęła telefon od ucha, jej usta wykrzywił grymas. Nagle przypomniała sobie, że Najbardziej Irytujący Policjant Świata mówił jej, że powinna bardziej panować nad swoimi emocjami. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Anno, Anno... – usłyszała głos Jensa.

– Jestem.

– Nie mów o tym Cecilie – niemal szeptał Jens. – Obiecuj mi to. Wszystko ci wytłumaczę. Ale ona rozsypie się na kawałki.

– Tato – odezwała się Anna już znacznie łagodniej. – Jeśli mama nie jest w stanie znieść prawdy, to trudno. Mam dosyć kłamstw.

Rozłączyła się. Telefon natychmiast zaczął dzwonić. „Dzwoni Jens”, przeczytała. Wyłączyła głos, Jens dzwonił jeszcze osiem razy, w końcu zrezygnował. Nie zostawił wiadomości. Odchyliła się do tyłu, próbowała dojrzeć coś w ciemności za szybą, ale widziała jedynie własne odbicie. Była zmęczona, ale nie czuła złości. W ogóle. Zamknęła oczy. Trzydzieści lat temu coś się wydarzyło. Coś przeczuwała, ale były to jedynie domysły. Mała dziewczynka, Sara, potem nagle Anna. Kłamstwo.

Po chwili wrócił jej spokój. Wyszła do toalety. Kiedy wróciła, przykryła Lily swoją kurtką i zadzwoniła do Karen.

– Już chciałam się poddać – przywitała ją Karen radośnie.

Anna była cały dzień zła, że przyjaciółka, po ich rozmowie poprzedniego wieczoru, od razu zadzwoniła do Troelsa. Teraz jednak jej wybaczyła.

– Wszystko się przeciągnęło. Byłam w Odense. To długa historia. Dzwonię z pociągu. O dwudziestej drugiej osiem będziemy w Kopenhadze.

– Przyjadę po was.

– Nie musisz.

– Wiem, ale i tak przyjdę.

12

W piątek, dwunastego października, Søren obudził się tuż przed szóstą. Wstał, wziął prysznic i kilka minut przed ósmą był już w pracy. Do zebrania o dziewiątej zostało jeszcze sporo czasu. Wszedł do swojego pokoju, stanął w oknie i po raz kolejny próbował się skupić na prowadzonej sprawie. Od zabójstwa minęły dwa dni, cztery od tajemniczego zgonu, który – wiele na to wskazywało – też był zabójstwem. A co on miał? Niewiele, nawet żadnego pomysłu. Powinien zbierać ślady, przypierać do mury kolejnych podejrzanych, wzywać ich na kolejne przesłuchania, wyciskać z ludzi wszystko, co się da.

Pomyślał o Annie. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się, żeby poprosił kogoś z zewnątrz o pomoc. Postąpił szalenie nieprofesjonalnie. Nagle miał ją znowu przed oczami. Niezrównoważona lwica ze swoim maleństwem. I jakąś tajemnicą.

Spojrzał na niebo i poczuł, że chce się z nią kochać. Wyobraził sobie, że jest sylwester, że wyjechali gdzieś razem. Są na przyjęciu, widział pięknie ubrane kobiety, eleganckich mężczyzn. Anna stoi przy oknie, a on jej się przygląda. Ma na sobie czarną suknię, makijaż, jej żółte oczy błyszczą; Søren wie, że wszyscy mężczyźni jej pragną. Zaczynają ze sobą tańczyć. Anna jest pijana, zachowuje się wyzywająco, nie przejmuje się żadnymi

zasadami. Ma rozpuszczone włosy, Søren widzi jej nagie udo, gdy jej suknia idzie nieco do góry. Pragnie jej, chce wzniecić w niej ogień. Tak żeby płonął wiecznie, żył, dopóki on żyje.

Nagle zastygł. Dlaczego w ogóle do niej poszedł? Dlaczego do niej dzwonił? I co ona takiego robiła, że nie chciała mu o tym powiedzieć? Przypomniawszy sobie słowa Henrika. Powiedział mu, że był z kimś i że narozrabiał. Nagle Søren wyobraził sobie, że Henrik był właśnie z Anną. Że odwiedził ją, wykorzystując śledztwo jako pretekst, i że... Spojrzał nagle na zegarek i szybko wyszedł z pokoju, nie chcąc spóźnić się na poranne zebranie.

Zespół był w komplecie. Søren przedstawił pokrótce ostatnie wydarzenia, rozdzielił bieżące zadania i odpowiedział na kilka pytań. Nie patrzył na Henrika, ale kątem oka odnotował, że przyjaciel wyraźnie myślami jest gdzie indziej. Zareagował dopiero, kiedy Søren oznajmił, że chce odwiedzić matkę Johannesesa, Jannę Trojborg. Po co? – dopytywał się Henrik. Czy Søren wpadł na jakiś trop? Przecież już z nią rozmawiali.

– Chcę się dowiedzieć, czy Johannes był gejem, czy nie...

– Jasne, że był – wpadł mu w słowo Henrik. – Jeśli był hetero, to następnym razem zapraszam cię do siebie na oglądanie konkursu Eurowizji.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy? – spytał Søren poirytowany.

– Tam właśnie tacy występują. Będziesz mógł im się przyjrzeć. Niemal pieprzą się na scenie, niczym się nie krępując.

Rozległ się śmiech.

– Jasne, a ty jesteś tępym gliną, który cały dzień siedzi w radiowozie i żre pączki, tak? – powiedział Søren.

Spodziewał się, że ludzie zaczną się śmiać, ale zapadło milczenie. Nagle uświadomił sobie, że jest wściekły.

Zebranie się skończyło; punkt o dziesiątej, tak jak się umówili, zjawiała się Anna. Jeśli spodziewał się jakiegoś podziękowania, to się przeliczył. Podczas przesłuchania cały czas patrzyła mu prosto w oczy, niemal wyzywająco. Zauważył jednak, że ani razu nie spojrzała na Henrika; nawet kiedy zwracał się bezpośrednio do niej, czy kiedy odpowiadała na jego pytania. Nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem.

– Nie potrafię jej rozgryźć – przyznał potem Henrik. Stał i patrzył, jak Anna znika w korytarzu. Søren podążył za jego wzrokiem.

– O co ci chodzi? – rzucił, zamykając mu drzwi przed nosem.

Henrik nie dał się zbyć; otworzył drzwi, dopytując się, co go ugryzło? W tym samym momencie zadzwonił telefon i Søren wyprosił go gestem ręki.

Dzwonił Bøje.

– Tak? – spytał Søren.

- Ktoś nadepnął ci na odcisk?
- Mów, o co chodzi.
- W mięśniach Johannesesa nie ma pasożytów.

Søren nie potrafił powiedzieć, czy poczuł ulgę, czy raczej zawód. Na pewno znaczyło to, że szukają teraz dwóch sprawców.

– Coś jeszcze? – rzucił niecierpliwie.

– Zabezpieczyłem liczne ślady spermy na jego ciele – mówił dalej Bøje; Søren słyszał, że przerzuca jakieś kartki. – Także technicy znaleźli ślady spermy: na podłodze i na blacie stolika, który stał mniej więcej pół metra od miejsca, w którym doszło do zbrodni. Nie muszę chyba dodawać, że sperma nie należała do Johannesesa.

– Jakie wyciągasz z tego wnioski? – spytał Søren, wstrzymując oddech. Znów usłyszał szelest papieru.

– Johannes Trojborg zmarł w wyniku sześciu ran głowy, z których cztery były wystarczająco poważne, żeby spowodować zgon. Z oględzin techników wynika, że zmarły został rzucony na kanapę i trafił głową na jeden z wystających prętów oparcia po prawej stronie. Dwie rany zadano mu już po śmierci. Wygląda na to, że najpierw został pobity, stracił przytomność, a potem... – Bøje zawahał się chwilę. – Potem ktoś wbił mu w czaszkę ostry pręt, ale nie poprzestał na tym, chociaż wtedy Johannes najprawdopodobniej już nie żył. Zadawał kolejne ciosy. Wszystko wskazuje na to, że zabójca był bardzo silny albo bardzo wściekły, pewnie i jedno, i drugie. A tak a propos, co to za dziwny mebel? – spytał Bøje zamyślony.

Søren domyślił się, że pewnie ogląda zdjęcia nieszczęsnej kanapy Johannesesa.

– Przypomina kanapę z zamku Drakuli. Kiedy się temu wszystkiemu przyglądam, dochodzę do wniosku, że ktoś naprawdę wpadł w szal. To nie było morderstwo z premedytacją, raczej czyn popełniony w afekcie. Sprawca musiał być wściekły, skoro wyżywał się na nim nawet po śmierci.

– A co ze spermą? – dopytywał się Søren niecierpliwie.

– Ta sprawa nie jest do końca jasna. Ślady spermy są nie tylko na ciele ofiary. A to znaczy, że do stosunku nie doszło.

Bøje zamilkł, jakby czekając na reakcję.

– I? – spytał Søren po dłuższej chwili.

– Zastanawia mnie też stosunkowo niewielka ilość spermy.

– Nie rozumiem.

Bøje nadal jakby się wahał.

– Mogę się mylić, ale wygląda na to, że sprawca rzucał ciałem zmarłego i jednocześnie miał ejakulację. Trudno mi to sobie wyobrazić, ale chyba tak właśnie było.

Søren jęknął. Najpierw jakiś świr, który zaraża ludzi pasożytami, teraz nekrofil. Co tu się dzieje, do cholery!

– Myślisz, że to dzieło nekrofila?

– Nie sądzę – odpowiedział Bøje spokojnie. – Pamiętasz tego mężczyznę w Saborgu? Ojciec rodziny nakrył uzbrojonego złodzieja i wrzucił go do pieca?

– Nie przypominam sobie.

– Tak czy inaczej, na ciele złodzieja znaleźliśmy wtedy DNA ojca. A konkretnie jego spermę. Byliśmy, oględnie mówiąc, zdziwieni. Mężczyzna sam zadzwonił na policję, nic nie wskazywało, żeby dokonał aktu nekrofilskiego. Był to zupełnie normalny mężczyzna, miał żonę, która stała za nim i płakała trzymając na ręku niemowlę. Nie wierzyłem, że chwilę temu ulżył sobie nad ciałem trupa. Poza tym także w tamtym przypadku spermy było bardzo niewiele, jakieś śladowe ilości. Nie mogliśmy pojąć, co się stało. W jaki sposób nasienie mężczyzny znalazło się na ciele ofiary? Zagadka nie do rozwiązania, odchodziliśmy od zmysłów. Ty chyba wtedy byłeś na urlopie, i jakiś kretyn... nie pamiętam, jak się nazywał: Tarslev, a może Tannesen?

– Hans Tannesen – potwierdził Søren, wzdychając.

– Zgadza się. No więc ten idiota uparł się, że facet jest zbokiem i onanizował się nad zwłokami, po tym jak wrzucił ciało w ogień. Kompletny dureń – powtórzył Bøje, jakby Søren był temu winien.

W pewnym sensie chyba był, bo działo się to wiosną 2005 roku. Søren nagle, niemal z dnia na dzień, wziął wtedy trzy miesiące urlopu. Elvira już nie żyła, Knud był chory. Dręczyła go historia z Vibe, a potem do tego wszystkiego doszła jeszcze sprawa Mai. Nie miał siły pracować, musiał się na jakiś czas wyłączyć. Na jego miejsce dano Hansa Tannesena. Kiedy Søren wrócił do pracy, przez kilka tygodni musiał się wkupywać w łaski

kolegów, stawiając ciasto do kawy.

– W końcu nieszczęsny mężczyzna przyznał, że kiedy usłyszał złodzieja, siedział nagi na kibelku i się onanizował. Poderwał się, wbiegł do pokoju i rzucił się na złodzieja, zostawiając za sobą ślady spermy. Technicy znaleźli je w łazience, w przedpokoju, w pokoju, na parapecie, co prawda bardzo nieznaczne ilości, ale jednak. No i oczywiście na ciele ofiary. Od tamtej pory staram się zawsze pamiętać, że nawet najbardziej nieprawdopodobne historie czasem naprawdę się zdarzają.

Sørena zaczęła boleć głowa.

– I teraz też znalazłeś ślady spermy, ale nie dość, żeby można było mówić o akcie seksualnym?

– Bingo.

– Wykluczasz też, że w grę może wchodzić nekrofilia?

– Niczego nie wykluczam, ale w swojej karierze miałem trzykrotnie do czynienia z nekrofilami, i w każdym przypadku ilość spermy była znacznie większa, albo w ogóle jej nie było, bo nawet zboczeniec wie, że to bardzo obciążający dowód. W tym przypadku sperma jest, ale w bardzo niewielkich ilościach, podobnie jak wtedy, w Saborgu. Johannes przed śmiercią nie odbył stosunku. Ma kilka pęknięć w okolicach odbytu, co może wskazywać, że wcześniej miał stosunek, ale niekoniecznie. Moim zdaniem mamy do czynienia z podobnymi okolicznościami jak w Saborgu. Sprawca się onanizował, on i ofiara się pokłócili, sprawca ma wytrysk, z jakiegoś

powodu wpada w szal, napada na Johannaesa i zostawia swoje ślady.

– Sprawdziliście te próbki?

– Tak, nie mamy go w systemie.

Søren milczał chwilę.

– Sądzisz, że to może mieć jakiś związek z Larsem Hellandem?

– Tym naszpikowanym pasożytami?

– Tak.

– Jeśli ktoś zakaża kogoś takim świństwem, to robi to z zimną krwią. To nie była zbrodnia popełniona w afekcie. Została dokładnie zaplanowana. Nie sądzę, żeby był to ten sam sprawca. Wiem, że Helland i Johannes się znali i przyjaźnili, rozumiem też, że chciałbyś załatwić dwie sprawy za jednym zamachem, że tak powiem, ale moje blisko czterdziestoletnie doświadczenie w tej branży mówi mi, że mamy do czynienia z dwoma różnymi sprawcami. Jeden działa z zimną krwią, przeprowadza dokładnie zaplanowaną zemstę; drugi to narwaniec, który pchnął nieco za mocno swojego kochanka, a potem wpadł w szal.

– Kochanka? – powtórzył Søren.

Bøje milczał.

– Prawdę mówiąc, nie jestem tego pewien – przyznał w końcu. – Mimo że ofiara miała kolczyk na penisie, od wewnętrznej strony, więc pewne skłonności musiał chyba mieć, no nie? Normalni mężczyźni, tacy jak my, nie przekłuwają sobie cewki moczowej, nie fascynują się

precjozami księcia Alberta. Więc chyba jednak jest coś na rzeczy.

Søren był skłonny przyznać mu rację.

Skończył rozmawiać z Bøje, załatwił jeszcze kilka spraw i zszedł do stołówki zjeść lunch; przy stole czytał gazetę, żeby nikt nie wpadł na pomysł, by się do niego przysiąść. Kilka minut po drugiej wsiadł do samochodu i pojechał do Charlottenlund, willowej dzielnicy Kopenhagi, żeby złożyć wizytę Janne Trajborg. Dom państwa Trajborgów przypominał pałac. Jadąc wysadzaną topolami aleją, Søren miał przed oczami nędzne mieszkanie Johannesesa. Czy chłopak naprawdę dorastał w tym domu? Do drzwi wejściowych piętrowej rezydencji prowadziły wygodne szerokie schody.

Dokoła panowała cisza.

Søren zadzwonił, otworzyła mu kobieta, która patrzyła na niego uważnym i czujnym wzrokiem Johannesesa. Podała mu rękę i zaprosiła go do środka.

Wewnątrz wszędzie leżały dywany, na ścianach wisiały obrazy i myśliwskie trofea. W końcu dotarli do dużego salonu z kominkiem, w którym palił się ogień. Naprzeciwko niego stały dwie obite niebieskim materiałem kanapy. Na jednej leżał koc, obok pośpiesznie odłożona książka. Janna Trajborg wskazała mu miejsce na drugiej kanapie. Søren poinformował ją, że wstępne wyniki sekcji zdają się nie potwierdzać jakiegokolwiek związku między zabójstwem jej syna a wcześniejszym

morderstwem Larsa Hellanda. Kobieta przyglądała mu się sceptycznie. Szybko zmienił temat. Miał wprawę w mówieniu jak najmniej, ale tak, żeby nie sprawiać wrażenie niegrzecznego. W oczach matki Johanna pojawiły się łzy, odwróciła głowę.

– Bardzo ważne jest ustalenie kręgu znajomych pani syna. Z kim się spotykał? Jakich miał przyjaciół. To jest powód, dla którego tu jestem.

Janna Trajborg patrzyła na niego dłuższą chwilę, zanim w końcu odpowiedziała.

– Chciałabym móc panu pomóc, ale niestety nie potrafię. Prawdę mówiąc, prawie nie znałam Johanna. Nie widzieliśmy się już blisko dwa lata. Nie mam pojęcia, z kim się przyjaźnił. Nic nie wiem o moim synu. To znaczy... – urwała nagle, wstała i po chwili wróciła z zeszytem w ręku.

Søren przyglądał się jej; widział, że bardzo stara się nie stracić nad sobą kontroli.

– Trochę jednak wiem. Wycięłam to z gazet – powiedziała, podając mu zeszyt.

Otworzył go. Były w nim wycinki artykułów, w których pojawiał się Johannes. Jedno ze zdjęć zostało zrobione po obronie pracy doktorskiej, za którą otrzymał wyróżnienie. Stał z naręczem kwiatów. Zdjęcie i artykuł zostały wycięte z gazety uniwersyteckiej. Na innym zdjęciu stał w większej grupie ludzi, z podpisu wynikało, że brał udział w jakimś seminarium. Kolejny informował o publikacji, która ukazała się w naukowym periodyku

medycznym. Dołączono zdjęcie Johannesesa i jego kolegów z Zakładu Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej. Søren rozpoznał na nim Annę. Patrzyła swoim jak zwykle sceptycznym wzrokiem prosto w obiektyw; tuż obok stał Johannes i uśmiechał się łagodnie, z tyłu za nimi widać było Hellanda, który uciekał wzrokiem gdzieś w bok. Søren przerzucał kolejne kartki. W zeszycie było około czterdziestu wycinków, wszystkie dokładnie wycięte, wklejone i zachowane niczym drogocenny skarb.

– Przepraszam, ale może mi pani powiedzieć, dlaczego wasze stosunki były takie napięte?

Janna Trojborg znów przyglądała mu się dłuższą chwilę.

– Ja się wżeniłam w ten dom – powiedziała, wskazując ręką na eleganckie wnętrze. – Mój zmarły mąż nie był ojcem dzieci. Ich biologiczny ojciec zmarł, kiedy były małe. Córka nie miała nawet roku, Johannes skończył cztery latka. Jørgen dał nam poczucie bezpieczeństwa, ale dzieci chyba nigdy tego nie doceniły. Ani córka, ani Johannes. On zawsze był... – zamilkła, szukając właściwego słowa. – Zawsze był jakby niezainteresowany. Wręcz demonstrował swoją obojętność. Jørgen był co prawda surowy, ale stwarzał dzieciom dość uprzywilejowane warunki. A one to odrzucały. Johannes mógłby chociaż próbować być... – zawahała się. Zmarszczyła brwi i po chwili odezwała się już innym tonem. – Pieniądze oznaczają także

odpowiedzialność. Plan był taki, że Johannes z czasem przejmie firmę. Jørgen go wszystkiego nauczył. Wszystkiego. I nagle Johannes zmienił zdanie. Postanowił robić karierę akademicką jak jego ojciec biologiczny. Mąż nie potrafił tego zaakceptować. Doszło do otwartego konfliktu. Strasznie się pokłócili, ale Johannes się uparł. Nie dość tego, zaczął otwarcie prowokować Jørgena. Pewnego wieczoru pojawił się ubrany w spódnicę i z makijażem na twarzy. Było to na Świętego Marcina; nie wiem, co on sobie myślał. Chociaż już wcześniej zwróciłam uwagę na jego ekstrawagancki sposób ubierania się; kiedy przychodził, ukrywałam jego wielkie, toporne buciska pod wiszącymi na wieszaku paltami. No i jego włosy. Farbował je na czerwono. Były też inne rzeczy, niby drobiazgi, ale ja je dostrzegałam. Jakaś biżuteria, przekłuł sobie uszy; jednak przez dłuższy czas, gdy do nas przychodził, zdejmował kolczyki i inne ozdoby. To było takie nasze ciche porozumienie. Żeby nie drażnić Jørgena, który nie znosił, kiedy ktoś w ten sposób się wyróżniał.

Kobieta znów na chwilę zamilkła. Siedziała, kręcąc głową.

– A tu nagle zjawia się w skórzanej spódnicy i z makijażem. Najpierw uznałam, że jest pijany, ale nie był. Pamiętam, że trzęsły mu się ręce; po jego oczach widziałam, że postanowił wstąpić na wojenną ścieżkę. I byłam pewna, że to się źle skończy – powiedziała kobieta, patrząc na Sørenę wzrokiem, w którym była ta sama

niepewności, ale i ten sam opór, które były w oczach jej syna. – Jørgen zawsze zabierał Johannes'a do swojego gabinetu. Tym razem także. Siedziałam w kuchni i czekałam. Rozwiązywałam krzyżówkę, czas dłużył się nieskończenie. Jedzenie dawno już wystygło. Nagle spostrzegłam, że drzwi od gabinetu są otwarte. Mąż siedział za biurkiem i przeglądał jakieś pismo dla myśliwych. Spytałam, gdzie jest Johannes, a on na to, że wyszedł i już tu nie wróci.

– I nie wrócił? – spytał Søren.

– Nie wrócił. W każdym razie, dopóki żył Jørgen. Wiele razy do niego dzwoniłam. Tęskniłam za nim. On chciał, żebym się rozwiodła. Powiedział wręcz, że to warunek, żebyśmy mogli się widywać. A ja nie chciałam, bo przecież kochałam Jørgena. Wtedy zaczął mi mówić różne nieprzyjemne rzeczy.

Zawahała się znów i przerwała.

– Na przykład jakie? – dopytywał się Søren.

– Mówił mi, że dałam się pogrzebać za życia, że jestem niewolnicą, że Jørgen jest tyranem. Że jeśli tak wyobrażam sobie miłość, to chyba jestem ślepa.

Kobieta spuściła wzrok.

– Kiedy mąż zmarł, Johannes niczego po nim nie odziedziczył. To znaczy dostał wypchany łeb jelenia, trofeum myśliwskie, którego zresztą nie przyjął. Był wściekły, ale czego się spodziewał? Przez rok w ogóle się nie odzywał. Nie przyszedł nawet, kiedy Jørgen był już w szpitalu i wiadomo było, że umiera. Kiedy okazało się, że

Jørgen mu niczego nie zapisał, wpadł w szal.

Kobieta uniosła głowę i znów spojrzała na Søren.

– Tak bym chciała wrócić do czasów, kiedy był dzieckiem; ślicznym, małym chłopczykiem. Łagodnym, miłym. Zawsze posłuszny, podobnie jak jego siostra. A potem... Sama nie wiem. Gdzieś musieliśmy popełnić błąd. Teraz jest już za późno – powiedziała, prostując się.

– A co z siostrą Johannesą?

– Zachorowała. Wszystko zaczęło się w okresie dojrzewania. Przez wiele lat mieszkała razem z nami w domu, w końcu jednak obciążenie stało się zbyt duże i przenieśliśmy ją do domu opieki.

– Czy Johannes był homoseksualistą? – spytał Søren wprost.

– Jego siostra twierdziła, że nie. Ja byłam innego zdania. Skórzane spódnice, makijaż. Nigdy nie spotkałam żadnego jego partnera, ale co ja wiem o gejach? Przyznaję szczerze, że nie darzę ich sympatią. Córka twierdziła, że Johannes jest członkiem jakiegoś klubu, gdzie mężczyźni przebierają się za kobiety, noszą gorsety, suknie. I że na pewno nie jest pedałem. Była o tym przekonana, bo poznała jego dziewczynę. Właściwie kobietę; była starsza od niego.

– Muszę porozmawiać z pani córką.

– Nie.

Søren pożałował swojej strategii.

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto go znał – powtórzył łagodniejszym tonem. – Z jakimś jego

przyjacielem, z jego siostrą, czy może z jego była dziewczyną – powiedział, patrząc na kobietę błagalnym spojrzeniem. – Nie mam żadnego punktu zaczepienia – dodał.

Janna Trajborg znów długo patrzyła na Søren, w końcu wzięła zeszyt z wycinkami prasowymi i przerzuciła kilka kartek. Søren już wcześniej zauważył leżący luzem wycinek ze zdjęciem, ale nie zwrócił na nie uwagi. Przedstawiało pulchną kobietę, około czterdziestki, z burzą kręconych włosów. Kobieta uśmiechała się, jej oczy błyszczały. Szybko przeleciał wzrokiem tekst pod zdjęciem. Autor artykułu prezentował nowy sklep z używanymi rzeczami na Nordre Frihavnsgrade. Jego właścicielka, Susanne Winther, była z wykształcenia psychoterapeutką, której pasją było wyszukiwanie starych mebli. W weekendy przeszukiwała pchle targi w Kopenhadze i okolicy. Razem ze swoim chłopakiem Johannesem. Imię zostało zakreślone neonowym mazakiem, artykuł był sprzed dwóch lat.

– Córka dała mi ten wycinek. Powiedziała, że ta kobieta jest dziewczyną Johannes. Chciała, żebym pokazała go Jørgenowi; może uwierzy, że Johannes nie jest... zboczony.

Søren zanotował w swoim notesie imię i nazwisko kobiety, i datę ukazania się artykułu. Pomyślał, że może przesadą było nazwać to przełomem w śledztwie, ale nareszcie miał coś konkretnego.

– Na pewno to sprawdzę – powiedział – ale wcześniej

chciałbym jednak porozmawiać z córką. Rozumiem, że nosi nazwisko Trojborg? Gdzie ją znajdę?

– W niebie – odpowiedziała kobieta niemal szeptem.
– W zeszłym roku popełniła samobójstwo. Cierpiała na schizofrenię. Dużo czasu spędzała w szpitalu. W końcu się poddała.

Søren siedział zszokowany i patrzył na kobietę, która straciła dwójkę dzieci. Nie przychodziło mu do głowy żadne pytanie, wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. Janna Trojborg odprowadziła go do drzwi; szli przez jej piękny, zimny dom. Obiecał zadzwonić, jak tylko dowie się czegoś nowego.

Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę miasta. Czuł, że się spocił.

Normalnie zapewne zajechałby na komisariat i zabrał Henrika, ale nagle zorientował się, że tkwi w korku na skrzyżowaniu na Østerbro, daleko od komisariatu na Bellahøj, a blisko Nordre Frihavnsgade. Wciąż jeszcze zły na Henrika, postanowił zostawić samochód na Strandboulevarden i poszukać sklepu Susanne Winther.

Znalazł go bez problemu, sklep nazywał się Jabłko i pierwsze, co zobaczył zaraz po wejściu, to plastikowe miseczki w kształcie jabłek, ustawione na niskim stoliku do kawy z palisandru, który równie dobrze mógłby stać w jego rodzinnym domu na Snerlevej.

Poczuł zapach jabłek i cynamonu.

– Zaraz przyjdę – doszedł go głos gdzieś z wnętrza

sklepu.

Usiadł na starym fotelu, przypominającym fotel jego dziadka, i pomyślał o Vibe. Miał przed sobą jej dobrą twarz, jej ufny wzrok, którym patrzyła na niego od czasu ich pierwszej licealnej prywatki. Pomyślał też o Mai. Po raz pierwszy od dawna znów widział ją wyraźnie. Przypomnił sobie zapach, słodki i przyjemny zapach dziecka, niemal czuł w dłoniach jej małą stopkę. I czuł się przytłoczony kłamstwem. Knud mówił mu, że należy żyć bez niedomówień, bez kłamstw. Czas połowicznego rozpadu kłamstwa jest dłuższy niż życie ludzkie, powiedział mu kiedyś. Ale Søren mu nie uwierzył, przekonany, że jego kłamstwo rozplynie się w powietrzu i zniknie. A kiedy to się stanie, on będzie po prostu żył dalej. Bez bólu. Bez cierpienia. Tak jak żył razem z Vibe. Spokojnie, wygodnie, bez dramatycznych przeżyć, bez żadnych strat. A teraz nagle zakochał się w Annie. Było to szalenie nieprofesjonalne, wręcz groźne. Anna sprawiła, że jego spokój prysł. O co w tym wszystkim chodzi? Widział przed sobą jej niemal żółte oczy, jej gwałtowne spojrzenie, czuł jej złość. Nawet bał się pomyśleć, jakby to było, gdyby była jego. Codziennie przeżywałby nowy dramat, codziennie musiałby przewracać wszystko do góry nogami.

W sklepie Susanne Winther wszędzie były jabłka. Nawet rama lustra miała wzorek w jabłka, podobnie jak leżący na podłodze dywan.

– Cześć.

Søren natychmiast rozpoznał Susanne ze zdjęcia. Była bardzo pulchna i bardzo piękna. Miała idealnie białą cerę, piegi na nosie i burzę kręconych włosów, spiętych klamerką, co sprawiało, że włosy układały się wokół jej głowy. Miała na sobie fartuch z dużym czerwonym jabłkiem. Podała Sørenowi talerz z ciastkami; spojrzał na nią zdziwiony.

– Właśnie upiekłam – oświadczyła zadowolona. – Nastawiłam też herbatę. Szukasz czegoś konkretnego?

Søren poczuł nagle głód i sięgnął po ciastko.

– Jesteś zakręcona na punkcie jabłek – stwierdził.

Susanne się roześmiała.

– Ja cię chyba już tu widziałam. Szukasz stołu do jadalni, tak? Prawdę mówiąc, mam taki w magazynie. Chcesz go obejrzeć? Miał być z litego drewna. Czy może cię z kimś mylę?

Søren wstał.

– Jestem z policji kryminalnej – powiedział z poczuciem winy.

Susanne Winther, która jeszcze przed chwilą się do niego uśmiechała, zamarła.

– To nie jest jakiś żart? – upewniła się.

Søren po raz drugi tego dnia wyciągnął swój identyfikator. Susanne zakryła twarz dłońmi.

– Czy coś się stało z Magnusem?

Søren pospiesznie pokręcił głową.

– Przyszedłem, bo zmarł Johannes Trojborg, a mam powody podejrzewać, że pani go znała.

Zauważył, że kobieta odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam – powiedziała, opadając na kanapę. – To straszne. Co się stało? Mam siedmiomiesięcznego synka Magnusa, który teraz jest ze swoim tatą. Przestraszyłam się, że mieli jakiś wypadek i że nie żyją – tłumaczyła Sørenowi. – Johannes nie żyje? – spytała po chwili. – Co się stało? Wypadek samochodowy?

– Czy pani jest tą Susanne Winther, która trzy, cztery lata temu spotykała się z Johannesem?

– Tak, byliśmy razem. Przez rok. Dawno się nie widzieliśmy, ale tydzień temu rozmawialiśmy przez telefon. Można powiedzieć, że się przyjaźniliśmy. Johannes chciał zobaczyć Magnusa. Był ostatnio bardzo zapracowany, umówiliśmy się, że zadzwoni i wpadnie. Nie odezwał się, ale nie przywiązywałam do tego wagi. Naprawdę nie żyje? Jakiś wypadek? – spytała ponownie.

Søren pokręcił głową przecząco.

Susanne Winther zamknęła sklep i zadzwoniła do męża. Søren słyszał, jak z nim rozmawia; chyba szlochała. Pomógł jej sprzątnąć rzeczy sprzed sklepu i razem ruszyli do samochodu; otworzył jej drzwi. Świeciło słońce, włożył okulary przeciwsłoneczne i zerknął na telefon komórkowy: miał dwie wiadomości. Pierwsza nieistotna, druga od Henrika: Gdzie do diabła się podziewa? Tybjerg się nie odezwał, Henrik chciał wiedzieć, czy mają zacząć go poszukiwać? Potrzebują jakiegoś przełomu, choćby minimalnego. Søren nie znosił, kiedy Henrik przybierał

taki ton, już miał się zirytować, kiedy nagle jego wzrok padł na plakat przed kioskiem z gazetami.

„Mściciel na Kopenhaskim Uniwersytecie”, „Policja bezradna”, czytał, słuchając jednocześnie nagranego na taśmę głosu Henrika: „Czytałeś dzisiejsze gazety? Właśnie minął mnie szef. Wyglądał jak burza z piorunami. Pytał, gdzie jesteś. Trzeba zwołać konferencję prasową, wymyśl, czym możemy nakarmić dzikie bestie. Na razie. Gdzie ty się podziewasz?”

Jechali w milczeniu. Nagle odezwał się telefon komórkowy Sorena. Dzwonił Henrik.

– Gdzie ty do diabła zniknąłeś?

– Będę za trzy minuty. Możesz znaleźć wolny pokój przesłuchań? Jadę z Susanne Winther, była dziewczyną Johanna.

– Można odnieść wrażenie, że mnie o coś podejrzewacie – odezwała się Susanne, kiedy Soren się rozłączył. – Przesłuchanie, to brzmi poważnie. Rzeczywiście, kilka lat temu spotykałam się z Johannesem, byliśmy ze sobą niecały rok. Ale żeby wieść mnie na sygnale na przesłuchanie, to chyba jednak przesada.

Soren chciał pominąć jej uwagę milczeniem, ale zmienił zdanie.

– Nie jest pani o nic podejrzana – zapewnił ją. – Po prostu muszę zrozumieć, kim był Johannes, żeby móc złapać jego zabójcę. Potrzebuję pani pomocy. Naprawdę.

Susanne westchnęła.

– Okej – zgodziła się.

Susanne spotkała Johannesesa na imprezie gotyckiej w Czerwonej Masce. Stali w tłumie ludzi przy oświetlonym świeczkami barze i zaczęli rozmawiać. Wkrótce potem zaczęli się spotykać; w ich erotycznym związku Susanne była stroną dominującą. To ona potem wprowadziła go w środowisko fetyszystów, spotykających się w klubie Incognito.

Johannes był od niej dziesięć lat młodszy; początkowo, kiedy łączyła ich właściwie tylko erotyka, nie miało to większego znaczenia. Kiedy jednak zostali parą i Susanne zwierzyła mu się, że chce mieć dziecko, zaczął się wycofywać. Dużo o tym rozmawiali, nie robił jej scen, nie kłócili się, ale nie obyło się bez łez. W końcu każde z nich poszło swoją drogą. Johannes nie chciał dziecka, w przeciwieństwie do niej. Oboje byli równie uparci. I to cała historia. Później wyszła za mąż za Ulfa, którego też poznała na imprezie fetyszystów.

– Kiedy zaszłam w ciążę, przestaliśmy aktywnie uczestniczyć w imprezach klubowych.

– Dlaczego?

– Byliśmy zakochani, spodziewałam się dziecka. – Uśmiechnęła się.

Søren przyglądał się jej twarzy, była otwarta i szczerą.

– Powiedziałaś wcześniej, że Johannes miał łagodny charakter – zaczął Søren, przeglądając swoje notatki. –

Jego matka przedstawiła mi go zupełnie inaczej. Twierdzi, że był niewdzięczny, że zachowywał się prowokacyjnie.

Oczy Susanne pociemniały.

– Nie wierz w ani jedno jej słowo – odezwała się twardo. – Zniszczyła własną córkę; próbowała też zniszczyć Johannesesa.

Søren patrzył na nią zdziwiony.

– Kiedy rozmawiałem z nią dzisiaj rano, zdawała się wstrząśnięta śmiercią syna.

– Nie dałabym za to pięciu groszy. Jasne, na pewno jest jej smutno, bo co teraz powie paniom w klubie brydżowym? W tym środowisku trzeba mieć dzieci, które odnoszą sukcesy. Dyrektor taki, dyrektor siaki. Jak wytłumaczy przyjaciółkom, że nie ma już żadnego dziecka? Młodsza siostra Johannesesa popełniła samobójstwo. Wiesz o tym, prawda?

Søren skinął głową.

– Czy to jednak głównie nie ojczym był temu wszystkiemu winien? – spytał, przeglądając swoje notatki.

– Jørgen Kampe – wpadła mu w słowo Susanne. – Właściciel tego dużego sklepu meblowego w Lyngby. Oczywiście nie był bez winy, ale mam wrażenie, że matce to w pewnym momencie bardzo pasowało. Miała męża tyrana, więc czuła się zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Weszła w rolę bezbronnej kobietki. Mąż-tyran ją zdominował, cóż mogła począć? A on maltretował jej dzieci; nie seksualnie – dodała szybko, widząc uniesione brwi Sørena – tylko psychicznie. Siostra

Johannesa miała nieco więcej swobody; uciekła w swoją chorobę i stała się równie bierna jak matka. Johannes nie miał dokąd uciec. Miał cztery latka, kiedy Jørgen wkroczył w ich życie i obrywał od rana do wieczora, znów, oczywiście w przerośni. Zaczęto go „wychowywać”. Musiał nauczyć się jeździć na koniu, grać w golfa, żeglować, nurkować, nie garbić się, no i powinien trochę lepiej się prezentować. Prawdziwy mężczyzna to nie taki co waży sześćdziesiąt pięć kilogramów i ma metr siedemdziesiąt wzrostu, a do tego długie, szczupłe dłonie pianisty. Tak przynajmniej uważał Jørgen.

Susanne zamilkła i spojrzała na własne dłonie. Duże, szerokie, z grubymi palcami, pokryte piegami. Søren przyglądał się pięknej kobiecie w zbyt obfitym ciele.

– Całe dzieciństwo miałam wrażenie, że powinnam być kimś innym – powiedziała nagle zażenowana. – W młodości także. Wierzyłam, że tylko sterczące żebra mogą dać mi szczęście. Gdybym schudła, natychmiast pojawiłby się książę na białym koniu. Gdybym tylko schudła. Kiedy skończyłam trzydzieści lat, załamalam się. Dwa lata cierpiałam i pocieszałam się... sięgając po smakołyki – wyznała, mrugając porozumiewawczo do Sorena. – A potem nagle wszystko się zmieniło. Poszłam na terapię, zaczęłam podróżować; skończyłam kurs i sama zostałam terapeutką. Po pięciu latach uznałam, że mam dosyć, i wtedy kupiłam Jabłko. Może zabrzmie to absurdalnie, ale nagle po prostu wiedziałam, co naprawdę

chcę robić. To musiało mieć związek z meblami i z jabłkami! Po prostu – powtórzyła radośnie. – Chciałam zbudować coś od początku. Miałam trzydzieści osiem lat i byłam szczęśliwa. Pewnego dnia jedna z moich klientek, Stella, spytała, czy mam ochotę iść z nią do Czerwonej Maski. Wiedziałam, co to za miejsce, bo od lat byłam aktywna w środowisku fetyszystów, gdzie Goci są częstymi gośćmi. Moje wizyty w klubach miały podtekst wyłącznie seksualny, Goci mnie nie interesowali. Kiedy jednak Stella spytała, czy chcę z nią iść, zgodziłam się. Dobrze się znałyśmy, wpadała od czasu do czasu do mnie do sklepu – mówiła, tłumacząc się Sørenowi. – Po tej pierwszej wizycie zmieniłam zdanie. Okazało się, że jest to niezwykle tolerancyjne środowisko, gdzie każdy może być sobą i jest akceptowany, szanowany taki, jaki jest. Czułam się jak ryba w wodzie. Podczas trzeciej imprezy spotkałam Johannesesa. I wiesz co? Miałam wrażenie, jakbym spotkała samą siebie. Tyle że on był mężczyzną i był ode mnie dziesięć lat młodszy. Początki były trudne, Johannesowi brakowało poczucia własnej wartości. Doskonale wiedziałam, co czuje.

Søren przyglądał się jej uważnie.

– Potem zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest skomplikowany. Oczywiście przeszłość odcisnęła na nim swoje piętno, ale udało mu się zostawić ją za sobą. Pod wieloma względami był silny i zdecydowany. Całe dzieciństwo i młodość czuł się jak zbity pies, i miał tego dosyć. Dlatego się w nim zakochałam. Bardzo dużo mi

dawał i nie mam na myśli tylko seksu. Tworzyliśmy niezwykle harmonijny związek. Nagle jednak pojawił się temat dzieci. Przeżyłam szok, kiedy dotarło do mnie, że on nie chce mieć dzieci. Rozstanie było nieuniknione, chociaż obojgu nam było bardzo smutno.

Susanne zamilkła.

– Co w tym czasie działo się u Johannesesa na froncie domowym? – spytał po chwili Henrik.

Susanne i Søren odwrócili jednocześnie głowy w jego kierunku, jakby dopiero w tym momencie zdali sobie sprawę z jego obecności.

– W domu u Johannesesa?

– Tak.

– Zналиśmy się może pięć tygodni, kiedy między Johannesem a jego ojczymem doszło do kłótni, po której zerwali wszelkie kontakty. Johannes próbował potem odzywać się do matki, ale Jørgen skutecznie protestował. I wygrał, bo Johannes nie był na tyle silny, żeby stanowczo tupnąć nogą. Udawał więc, że go to nic nie obchodzi. Sporo o tym rozmawialiśmy. Kiedy ojczym zmarł, Johannes chciał zacząć wszystko od nowa. Wkrótce po pogrzebie wybrał się do matki i wtedy okazało się, że ojczym go wydziedziczył. Było mu właściwie wszystko jedno, ale Janna upierała się, że przyszedł tylko dlatego, że zwęszył pieniądze. Strasznie go to ubodło. Tego wieczoru zamknął na zawsze drzwi do swojego domu rodzinnego. Opowiedział mi o wszystkim, ale osobiście nie zdążyłam poznać ani jego ojczyma, ani jego matki.

– Mimo to zdajesz się bardzo pewna w swojej opinii o nich – zauważył Henrik.

Søren poruszył się, wyraźnie poirytowany.

– Ufałam Johannesowi. Był człowiekiem, który wzbudza zaufanie. Był poraniony, ale pozostał z gruntu dobry. Zawsze słuchał ludzi, nie kłamał; w tamtym przypadku też nie. Był zbyt... prawdomówny.

Spojrzała na Henrika, po czym znów odwróciła się do Sørena.

– Chciałbym jeszcze wrócić do mojego pytania – wtrącił Henrik.

Susanne spojrzała na niego, jakby powiedział coś niestosownego. On jednak ciągnął niezrażony:

– A jeśli jednak się mylisz? Jeśli Janna i Jørgen Kampe'owie byli tak naprawdę miłymi ludźmi i chcieli dobrze, a Johannes im się stawiał?

– To nie było tak. Takie rzeczy się wyczuwa. Ty to wiesz – powiedziała, zwracając się do Sørena, jakby Henrik w ogóle dla niej nie istniał. – Wiem, kiedy ktoś przede mną gra. Oczywiście zdarza mi się przeoczyć jakieś sygnały, ale w głębi duszy zawsze wiem, kiedy ktoś kłamie, a kiedy mówi prawdę – oświadczyła stanowczo. – Johannes na pewno był obciążony swoją przeszłością, ale w pewnym momencie udało mu się z nią zerwać. Był troskliwym, pozytywnie nastawionym do innych człowiekiem.

– Był biseksualny? – nie dawał za wygraną Henrik.

Susanne odwróciła wolno głowę w jego stronę.

– Nie – powiedziała.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. Podstawą naszego związku była otwartość, także jeśli chodzi o seks. *No code, no core, no truth*. Wszystko było dozwolone, nie mieliśmy tabu. Nie, Johannes nie miał skłonności biseksualnych.

– Czasem ubierał się w sukienki – przerwał jej Henrik poirytowany. – Widziałem zdjęcia – dodał, wskazując na teczkę z dokumentami sprawy.

– To prawda. Ale od tego człowiek nie staje się homo, tak jak nie staje się hetero od chodzenia w spodniach – powiedziała Susanne, wbijając wzrok w dzinsy Henrika. – Johannes był transwestytą. Zdarzało się, że przychodził do Czerwonej Maski w spódnicy i umalowany, nawet dość wyzywająco.

– Transwestyci to homoseksualiści – stwierdził Henrik.

Søren podrapał się po karku.

– A motocykliści to chuligani, no i wszyscy mężczyźni molestujący dzieci mają wąsy – odpowiedziała Susanne spokojnie, spoglądając na wąsiki Henrika, które zdecydowanie wymagały przycięcia.

– Nie odrobiłeś lekcji – stwierdziła. – Transwestyci to ludzie, których podnieca samo przebieranie się, czyli ubieranie się w rzeczy, w które tradycyjnie ubierają się przedstawiciele płci przeciwnej. Natomiast transseksualiści to ludzie, którzy mają poczucie, że urodzili się w niewłaściwym ciele; dlatego chcą zmienić

płeć. Transseksualistów nie uważa się za homoseksualistów, nawet jeśli podniecają ich przedstawiciele tej samej płci, bo... to chyba logiczne. Jeśli jest się w dziewięćdziesięciu procentach kobietą i kocha się mężczyznę, chociaż nadal ma się penisa, bo na operację czeka się czasem kilka lat, nie znaczy to, że jest się facetem. Nie sam członek czyni faceta, prawda?

Susanne skończyła, ale nadal wpatrywała się w dzinsy Henrika. Søren czuł, że zbliżają się do punktu wrzenia.

– Może wróćmy do sprawy – spróbował interweniować.

– Johannes nie był biseksualistą – stwierdziła po raz kolejny Susanne. – Dlaczego to jest takie ważne? – spytała.

– Mamy powody przypuszczać, że zginął z rąk mężczyzny. Nie chciałbym wchodzić w szczegóły, ale...

– Jasne, rozumiem.

– Dziękuję.

Zapadła cisza.

– Prawdę mówiąc – zaczął nagle Søren – też sądziłem, że był homoseksualistą. Jego sposób ubierania się, to jak się zachowywał... Oglądaliśmy zdjęcia na stronie klubu. Oczywiście niedobrze, że... – odchrząknął Søren – że nie byłem w pełni świadom znaczenia tych określeń. Poza tym okoliczności... zdarzenia... – zaczął się plątać. – No dobrze, powiem wprost: na miejscu zbrodni znaleziono ślady nasienia i nie jest to nasienie Johannesesa.

Henrik otworzył szeroko usta.

– Wygląda na to, że Johannes padł ofiarą brutalnego aktu przemocy, który skutkował zgonem.

– Co ty opowiadasz? Zwariowałeś?! – wykrzykiwał Henrik.

Søren chwycił jego rękę, która była zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

– Siadaj – powiedział. – Wiem, co robię.

– Zdradasz świadkowi ważne informacje – wysyczał Henrik. – Mam cholernie dosyć twoich solowych popisów. Nie wiesz, co robisz! Co się z tobą dzieje, do diabła?!

– Ufam jej! – ryknął nagle Søren.

Henrik i Susanne wzdrygnęli się.

– Ufam jej, do cholery! – powtórzył. – Ufam własnym oczom. Nie rozumiesz? Drepczemy w miejscu, bo nie jesteśmy w stanie dojrzeć tego, co mamy przed oczami. Zachowujemy się jak ślepcy! Ja zachowuję się jak ślepiec! Na każdym kroku potykamy się o kłamstwa. Postanowiłem więc zacząć od początku. Bo ja też wiem, kiedy ktoś nie mówi prawdy! Zapewniam cię! Dlatego wiem, że ona nie kłamie – powiedział, wpatrując się w Henrika.

– Ty nie kłamiesz! – zwrócił się nagle do Susanne.

– Ja nie kłamię.

Henrik się nie odezwał. Był wściekły i kiedy po chwili zrobili przerwę, po prostu zniknął, a potem przysłał w zastępstwie Madsena. Søren wzruszył ramionami.

Czasem po prostu trzeba komuś zaufać. Nawet jeśli jest się policjantem. Søren to wiedział.

Po zakończonym przesłuchaniu odprowadził Susanne do drzwi.

– Do widzenia – powiedziała, podając mu dłoń. Zimną i twardą, jak dojrzałe jabłko, pomyślał.

– Do widzenia – odpowiedział. – Zadzwoń, jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował.

– Oczywiście.

Po krótkiej chwili kobieta odwróciła się i wyszła. Søren patrzył za nią. Zauważył, że na samym dole płaszcza miała przypięty odblask w kształcie jabłka. Szła przez parking, kołysząc się lekko na boki.

Susanne zostawiła mu kontakt do Stelli. Stella Marie Fredriksen. To ona zaprosiła Susanne na imprezę do Czerwonej Maski. Søren zapisał jej dane na kartce. Siedział teraz przy biurku i się jej przyglądał. Kłótnia z Henrikiem wytrąciła go z równowagi. Nie potrafił zrozumieć, co właściwie się stało. Wiedział, że przyjaciel bywa porywczy i miewa zmienne nastroje, ale mimo wszystko. Czyżby gryzło go sumienie? Z jakiego powodu? Czy chodziło o Annę? A może to Søren zaczął popadać w paranoję? Złapał się za głowę. Henrik ma rację. Zawsze wolał działać w pojedynkę. Solo. Całe jego życie tak wyglądało.

Wpisał do policyjnej wyszukiwarki Stellę Marie

Fredriksen. Okazało się, że mieszka na Norrebro, na ulicy Elmegade, i ma zarówno telefon komórkowy, jak i stacjonarny. Wybrał ten drugi.

Odebrała od razu, po pierwszym dzwonku.

– Mówi Stella – usłyszał jej zdyszany głos.

Odłożył słuchawkę, wstał i wyszedł na korytarz. Henrik siedział w swoim pokoju i uderzał palcami w klawiaturę. Drzwi były uchylone, Søren wszedł do środka. Stał i przyglądał mu się chwilę. Nagle Henrik uniósł głowę.

– Nie – powiedział.

– Co nie? – spytał Søren.

– Nie chcę, żebyś teraz zaczął mnie wciągać we wszystkie swoje tajemnice. Mam dosyć – oświadczył Henrik, waląc ręką w blat biurka. – Niby prowadzimy razem przesłuchanie, ale tak naprawdę jestem ci tam potrzebny jedynie do dekoracji. Bo ty postępujesz po swojemu; robisz, co chcesz. Sam rozgrywasz piłkę. Jak raz ją chwycisz, to już nie puścisz.

Henrik nadal był wściekły.

– Twoje życie prywatne to jedno. Rzeczywiście sądziłem, że jesteśmy sobie bliżsi, ale może to po prostu znaczy, że nigdy tak naprawdę się nie znaliśmy? Może słusznie postępujesz, wtajemniczając mnie jedynie w to, co najważniejsze. Może po prostu taki jesteś. Tkwisz w swojej skorupie, żeby, broń Boże, nikt nie zauważył, że masz jakieś problemy.

– Też masz swoje tajemnice – wycedził Søren.

Henrik spojrział na niego zdziwiony.

– Przed tobą nie mam żadnych. Rzeczywiście dawno ci się nie zwierzałem, a wiesz dlaczego? Bo chciałem się przekonać, czy w ogóle cokolwiek zauważysz. Odniosłem wrażenie, że bardzo ci to odpowiada, więc tak już zostało. I dobrze. Niech tak będzie. A jeśli chodzi o naszą wczorajszą rozmowę w samochodzie, to jesteś kretyn. Byliśmy w pracy. Nie chciałem ci się zwierzać, opowiadać, że...

– Że co? – spytał Søren, czując jak coś dławi go w gardle.

– Że mam romans, do cholery! – wyrzucił wreszcie z siebie. – To trwa już pięć tygodni i mam wrażenie, że grzęznę w jakimś bagnie. Nie chcę się rozwodzić z Jeanette, ale nie mam siły teraz o tym mówić.

– Pięć tygodni?

– Tak. To dziewczyna z siłowni. Ma na imię Line. Po prostu stało się.

Henrik siedział i wyglądał przez okno. Søren zamknął oczy.

– Ale to nie o mnie mieliśmy mówić – ciągnął dalej Henrik. – Tylko o tobie. Bo to ty chodzisz i udajesz, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, a to nieprawda. Wszyscy wiedzą, że powodem twojego nagłego urlopu trzy lata temu nie było wypalenie. To bzdura. Coś się wtedy stało. Wiem to. Ale jasne, to twoja prywatna sprawa i jeśli nie chcesz o tym gadać, to masz do tego prawo – stwierdził i spojrział na Sorena. – Tyle że wróciłeś

do pracy i to zmienia nieco sytuację. Zamykasz się w sobie, a my jesteśmy zespołem!

– Pamiętaj, że jestem twoim przełożonym – podkreślił Søren.

– Gównu mnie to obchodzi, możesz sobie być nawet premierem! – wrzeszczał Henrik. – Coraz bardziej izolujesz się od świata. W domu możesz robić, co chcesz, ale tutaj jesteś członkiem zespołu! Mam tego dosyć. Od lat zachowujesz się jak Sherlock Holmes, a mnie przypada rola głupka, Watsona, który siedzi i z podziwem przygląda się wielkiemu detektywowi, który rzępoli na swoich skrzypkach, nie dzieląc się z nikim swoimi przemyśleniami, nawet z najbliższymi mu ludźmi.

Søren milczał. W pierwszym odruchu chciał się bronić, ale nie bardzo wiedział przed czym.

– Mnie dotyka to podwójnie, bo jestem twoim przyjacielem – odezwał się nagle Henrik cicho. – Wykluczyłeś mnie i z pracy, i ze swojego życia prywatnego. Jakbym w ogóle nie był ci potrzebny. Wszystko robisz sam. Tyle że sam nie dasz rady.

Nagle zamilkł, jakby zeszło z niego całe powietrze, jak wtedy, w samochodzie. Siedział i obracał w palcach brelok do kluczy.

W nagłym przyływie szaleństwa czy odwagi Søren zamknął drzwi.

– Henriku. – Przyjaciel podniósł głowę i spojrzał na niego. – Trzy lata temu... – zaczął Søren niepewnym głosem.

Opowiadanie o wydarzeniach sprzed lat zajęło mu dziesięć minut. Mówił, nie przerywając, a kolor twarzy Henrika zmieniał się od czerwonego do białego.

Søren skończył i stał teraz przed nim z rękami zwieszonymi wzdłuż tułowia. Henrik podszedł do niego i mocno go objął.

– Do diabła, stary – zaczął schrypniętym głosem – dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Na to pytanie Søren nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Tuż po piątej Søren i Henrik zadzwonili do drzwi mieszkania Stelli Marie Fredriksen na Elmegade. Otworzyła im kobieta ubrana w czerwonordzawy dres, na nogach miała kapcie w kształcie miśków. Zwrócili uwagę na jej fryzurę: burzę czarnych włosów z końcówkami w kolorze cyklamenu. Kobieta przywitała się z nimi, nie wyglądała na szczególnie zdziwioną. Spytała, czy napiją się kawy. Dopiero kiedy dotarł do niej cel ich wizyty, zrobiła się blada. W pierwszym momencie pomyślała, że chodzi o jej byłego męża, wyjąkała, przepraszając. Wytłumaczyła, że mężczyzna został oskarżony o stosowanie przemocy i był teraz poszukiwany. Od trzech tygodni miała nawet ochronę policyjną.

Oczywiście, że kojarzy Johannesesa.

– Nie żyje? – wyszeptała.

Podniosła z podłogi dziecko, które przywarło do jej kolan. Dziewczynka miała wielkie, czarne oczy i gęste, równie czarne rzęsy. Søren instynktownie wyciągnął do

niej rękę.

– Proszę chwilę zaczekać – powiedziała kobieta. – Puszczę małej jakiś film. To nie są sprawy dla dziecka.

Kiedy już zaparkowała córeczkę przed telewizorem, zaprosiła ich do kuchni. Søren poprosił, żeby Henrik wprowadził ją w sprawę.

Kobieta widziała Johannesesa ostatni raz na jakiejś imprezie w Czerwonej Masce we wrześniu. Nastroje jak zwykle dopisywały, ale ten piątkowy wieczór był szczególnie udany, i w dużej mierze była to zasługa Johannesesa. Zwykle wpadał, nie zawsze nawet przebrany, wypijał piwo z przyjaciółmi i tyle; czasem jednak, kiedy miał odpowiedni nastrój, przebierał się i był tak ożywiony, że wszystko wokół niego iskrzyło. Akurat w ten piątek w Horsens był koncert z udziałem gotyckiej kapeli i w Czerwonej Masce było dość mało ludzi. Ile? Około setki. Nie było więc tłoku, panował miły, wręcz kameralny nastrój.

– Johannes stał w kącie – powiedziała, mrużąc oczy, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. – Z prawej strony baru, tam, gdzie zawsze wszyscy się tłoczą. Był ubrany w skórę, może były to spodnie, może spódnica, możliwe też, że miał na sobie gorset i chyba czarną siatkową koszulkę, nie, zaraz... – urwała. Odchyliła się do tyłu na krześle i włączyła stojący obok komputer. – Mam mnóstwo zdjęć z tego wieczoru.

Zanim Søren zdążył powiedzieć, że znają te zdjęcia ze strony internetowej klubu, Stella zdążyła już włączyć

pokaz.

Ich oczom ukazali się ubrani na czarno Goci. Niektórzy wykrzywiali się, robili miny, pokazując swoje przekłute języki, inni po prostu dobrze się bawili; zostali uwiecznieni z kuflami piwa w pół drogi do swoich czarnych ust; niektórzy śmiali się, ich umalowane oczy wyglądały jak szparki. Na jednym ze zdjęć był też Johannes. Søren natychmiast go rozpoznał.

– Jest tutaj – powiedziała Stella.

– Wiesz, obok kogo stoi? – spytał nagle Søren.

Stella i Henrik pochyliłi się nad monitorem.

– A on w ogóle obok kogoś stoi? – zastanawiał się Henrik.

Søren wskazał na coś czarnego obok Johannesesa. Nie musiał to wcale być człowiek, ale mógł. Widać było jakiś czarny cień, może kawałek pleców, może czyjeś udo, tuż obok nogi Johannesesa. Równie dobrze mógł to być kawałek materiału, gdzieś z tyłu, w tle.

– Bar jest na kilku poziomach, dokoła układamy skrzynki, stawiamy krzesła, pokryte czarnym materiałem, żeby stworzyć złudzenie całkowitej ciemności. Może to jakiś blat – powiedziała Stella, wzruszając ramionami. – Nie przypominam sobie, z kim rozmawiał – dodała po chwili. – Mam wrażenie, że ze wszystkimi, bo jak powiedziałam, był w świetnym humorze.

– Czy YourGuy coś pani mówi? – spytał Søren.

– Nie – powiedziała Stella, kręcąc głową. – Ale w naszym środowisku często używamy pseudonimów. To

część zabawy.

– A jak ty się nazywasz? – chciał wiedzieć Henrik.

– Surprise – odpowiedziała Stella obojętnie.

– Chciałbym dostać kopię waszej listy mejlingowej – poprosił Henrik.

Stella wyraźnie się zawahała.

– Dobrze, to chyba w porządku – mruknęła pod nosem.

Wróciła do komputera, otworzyła jakiś plik i wydrukowała listę.

Siedzieli znów chwilę w milczeniu. Søren wpatrywał się w jaskraworóżowy kędzior, który sięgał Stelli do połowy pleców. Nagle kobieta się odwróciła.

– Coś jeszcze sobie przypomniałam... – zaczęła niepewnie. – Był tam wtedy facet, którego nigdy wcześniej nie widziałam... Rzucił się w oczy. Nie przypuszczam, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale był tam.

– Może jeszcze raz przejrzymy zdjęcia i nam go pokażesz? – zaproponował Henrik.

– Z tym będzie problem – powiedziała i nagle jakby się zawstydziła. – Był szalenie przystojny. Rudy, ale ciemnorudy; to był jego naturalny kolor włosów, nie musiał się farbować jak na przykład Johannes i wielu innych. I był wysoki. Kiedy go zobaczyłam, odniosłam wrażenie, że już go gdzieś widziałam. Potem spotkałam go w barze. Stał sam, ale widziałam, jak wszyscy się na niego gapią. Dziewczyny krążyły wokół niego jak stadko

wygłodzonych piranii. Ja chodziłam i robiłam zdjęcia, i pomyślałam, że to świetna okazja. W tym momencie stał z prawej strony baru, gdzie później brylował Johannes – powiedziała i się uśmiechnęła. – Postanowiłam zrobić mu zdjęcie; jak już mówiłam, był bardzo przystojny. Uznałam, że to dobry pretekst, żeby go poznać. Zaczęliśmy rozmawiać, ale odmówił.

– Nie chciał, żebyś zrobiła mu zdjęcie?

– Zakrył obiektyw ręką. Nie był agresywny; po prostu nie chciał, żeby go fotografować. Co oczywiście uszanowałam. Potem wrzuciłam zdjęcia do komputera i zaczęłam je przeglądać, mając nadzieję, że może go na którymś znajdę, że może przez przypadek jednak go uchwyciłam, ale nie. Zrobiłam dwieście pięćdziesiąt zdjęć, w klubie była setka gości, więc teoretycznie powinien się znaleźć nawet na kilku, a jednak nie. Moje przyjaciółki też zwróciły na niego uwagę. Był boski.

– Możesz go dokładniej opisać? Co miał na sobie? – dopytywał się Søren.

Przypomniał sobie, że jakiś rudy chłopak czekał na klatce na Annę, i poczuł, jak nagle przyspieszył mu puls.

– Nie był przebrany. Ale nie tym się wyróżniał. Zawsze jest grupa ludzi, którzy w ogóle się nie przebierają. Zresztą każdy ma wolną rękę. Dlatego niewiele pamiętam. Pewnie po prostu był ubrany na czarno – skwitowała i wzruszyła ramionami. – Zabawne, że cały czas miałam wrażenie, że już gdzieś go widziałam. Całą niedzielę nie dawało mi to spokoju, ale w końcu się

poddałam. Mam tyle innych spraw na głowie – dodała, wskazując ręką na córeczkę, która siedziała i grzecznie oglądała film. – Może jeszcze kiedyś się zjawi, kto to wie? Jeśli chcecie, też możecie wpaść – powiedziała, patrząc to na jednego, to na drugiego.

Wyraźnie sobie z nich drwiła.

– Wiadomo już, kiedy będzie pogrzeb? – spytała. – Chciałabym pójść, zresztą pewnie nie tylko ja. To okropne, że Johannes nie żyje. Będzie mi go brakowało – dokończyła, a na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Proszę skontaktować się z jego rodziną – uciął sprawę Søren. – Matka Johannesesa żyje, na pewno wszystkim się zajmie.

– Matka Johannesesa, dziwne – powiedziała nagle Stella. – Podobno pochodził z bogatej rodziny, ale wypiął się na nich. Susanne Winther opowiadała mi o tym; jakiś czas byli parą. Któregoś dnia, kiedy sprzątałam po imprezie w Czerwonej Masce, pojawiło się nagle dwóch facetów z dwoma kanapami. Byłam zdezorientowana i zaczęłam im tłumaczyć, że musiała zająć jakąś pomyłkę. Ale oni upierali się przy swoim. Dwie kanapy ze sklepu Kampe Mobler dla pani Stelli Marie Frederiksen. Wszystko opłacone. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że rodzina Johannesesa ma sklep meblowy. Kiedy Johannes o tym usłyszał, mało się nie przewrócił. Nie mieliśmy pojęcia, skąd się o nas dowiedzieli, a Johannes się nie dopytywał. Jednak tego wieczoru cały czas powtarzał:

„Moja mama mnie kocha!” Był bardzo zadowolony. Wszyscy się śmiali; było to szalenie wzruszające.

– Gdzie teraz są te kanapy? – spytał Henrik – Załadowaliśmy je na nasz wóz transportowy, razem z innymi rzeczami, barem, światłami. Są super. Czarna skóra, oczywiście. Kwiatki nie bardzo by pasowały – roześmiała się.

Søren pomyślał, że kolejny drobny szczegół znów zmienił obraz sytuacji, jak w kalejdoskopie.

Wrócili do samochodu.

– Dalej jesteś przekonany, że Susanne Winther się nie myli? – spytał Henrik.

– Tak.

– Myślisz, że ktoś, kto jest zimnokrwistym domowym tyranem, sprezentowałby dwie kanapy?

– Nic nie jest czarno-białe. Być może matka Johannesesa ma w sobie też coś dobrego. Świat naprawdę nie jest czarno-biały! – powtórzył i nagle ukrył twarz w dłoniach.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Henrik. Po jego złości nie zostało ani śladu.

– Wiesz, jak moje życie zawsze wyglądało?

– No... nie.

– Zawsze przyjmowałem, że wszystko jest takie, na jakie wygląda. Że po A zawsze jest B, a potem C i D.

– A nie jest tak?

– Nie – odpowiedział Søren. – Czasem rzeczywistość

bywa całkowicie niezrozumiała. Doszliśmy do punktu E, wiedząc, że zaczynaliśmy od punktu A, ale jak i dlaczego, pozostaje tajemnicą. Droga gubi się gdzieś w mroku.

– Søren – przerwał mu Henrik łagodnie. – Chyba nie nadążam.

– Ja działam inaczej – mówił dalej Søren niezrażony. – Wszystko musi być jasne, cała droga, którą przebyłem, od A do E. Tak powinno być. Problem w tym, że nie zawsze tak jest – powiedział, uderzając dłonią w półkę na drobiazgi. – i wiesz, co to znaczy? – spytał.

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej.

– To znaczy, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Czasem jest, ale nie zawsze, do cholery!

– Nadal nie jestem pewien, czy wiem, o co ci chodzi – odezwał się Henrik spokojnie.

– Nie przejmuj się. To ja muszę zmienić swoje życie.

– Powinieneś porozmawiać z kimś o tej historii... z Mają. Naprawdę – powiedział nagle Henrik.

Søren przytaknął. Jechali dalej w milczeniu.

– Moi rodzice zmarli, kiedy miałem pięć lat – odezwał się Søren po chwili.

– Wiem. Wychowali cię dziadkowie, Knud i Elvira. Opowiadałeś mi.

– Racja. Wszystko mi się ostatnio miesza – przyznał Søren, chwytając się za głowę.

– Musisz z kimś porozmawiać. O Mai – powtórzył Henrik. – Gdyby coś takiego przytrafiło się mnie, nie wiem, co bym zrobił...

– Myślisz, że to o to chodzi? – przerwał mu Søren.

– O co?

– Moi rodzice umarli. Miałem pięć lat. To stało się nagle. Myślisz, że taka trauma zostaje na zawsze?

– To pewnie zależy od okoliczności – zaczął Henrik nieco zdezorientowany.

– Tego właśnie nie rozumiem – powiedział Søren schrypniętym głosem. – Oczywiście, że śmierć rodziców to tragedia. Ale ja ich nawet nie pamiętam! Knud i Elvira kochali mnie. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszych rodziców ani lepszego domu, a mimo to coś cały czas mnie gnębi. Jakby coś we mnie tkwiło, zwinięte w kłębek. Ale pewnie się nie odważę...

– Na co się nie odważysz?

– Boję się. Vibe jest dla mnie jak siostra! – wykrzyknął Søren, rozkładając ręce. – Byliśmy razem od pierwszej klasy liceum, od pierwszej prywatki. Kochałem się z moją siostrą od siedemnastego do trzydziestego czwartego roku życia! Bałem się mieć z nią dziecko. Cały czas się tego bałem... Kiedy teraz widzę ją z brzuchem, dziękuję Stwórcy, że się rozstaliśmy. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby została ze mną i ze względu na mnie nie została matką. Zasłużyła na kogoś lepszego ode mnie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Właściwie nie mam żadnych przyjaciół. To znaczy mam ciebie. I Allana. I Vibe, oczywiście. I jej męża.

– Na Allana i na mnie możesz zawsze liczyć – odezwał się Henrik na wpół obrażony, na wpół

rozbawiony.

– Tak, wiem, i nie narzekam. Ale sam mi to rano powiedziałeś. Nie daję nikomu poczucia bezpieczeństwa. Nie jestem w stanie. Znasz mnie przecież – powiedział, rozkładając ręce. – Wiele dzieci traci wcześniej rodziców; część trafia do domów dziecka, część do rodzin zastępczych, do jednej, do drugiej, i jakoś sobie radzą. Kiedy zdarzył się wypadek, bawiłem się w ogrodzie dziadków, który był najpiękniejszym ogrodem na świecie. To pamiętam. Ale nic poza tym. Nie pamiętam dnia, kiedy umarli, nie pamiętam, żebym w ogóle uronił choć jedną łzę. Nie pamiętam, żebym był z tego powodu zły, nigdy mi niczego nie brakowało. Serio. Moimi rodzicami byli Knud i Elvira. Tak było. Nie rozumiem więc, dlaczego ciągle tak cholernie się boję, dlaczego jestem tchórzem?

Znów zapadło milczenie. Henrik odchrząknął.

– Przed chwilą się odważyłeś – zauważył.

– Na co?

– Otworzyłeś się. Pokazałeś swoje słabe strony.

– Cały czas mam przed oczami twarz Mai. Nie widzę nic innego. Myślałem, że to przejdzie, minie. Wyobrażasz sobie, jak się czułem, będąc z Vibe i nie mogąc jej o tym powiedzieć? O tym, co naprawdę się ze mną dzieje? Sądziła, że zamartwiam się naszym rozstaniem.

Pocieszała mnie, zapewniała, że zawsze pozostaniemy przyjaciółmi. Zostawała ze mną, robiła mi kolację, a ja cały czas ją okłamywałem – powiedział i zacisnął dłoń.

– Musisz o tym z kimś porozmawiać – powtórzył Henrik po raz trzeci.

– Tak, wiem – zgodził się z nim Søren.

Siedział i wyglądał przez okno. Zastanawiał się, jak to się stało, że zwątpił w Henrika.

Dziesięć minut po ósmej zadzwonił do drzwi kamienicy na Norrebro. Na wizytówce na drzwiach było napisane „Beck Vestergaard”. Søren widział Bo ostatni raz w przededniu ich wyjazdu do Tajlandii.

– Opiekuj się nimi – powiedział wtedy, patrząc mu prosto w oczy, co oczywiście dodatkowo zirytowało Bo. Potem widział go już tylko raz. W kościele, i to odwróconego do niego plecami.

Søren uprzedził wcześniej, że przyjdzie. Drzwi otworzył mu mężczyzna, w którym z trudem rozpoznał Bo. Był nieogolony, w bluzie i znoszonych dżinsach, z których wylewał mu się gruby brzuch. Spojrzał na Sørena i zniknął w mieszkaniu. Søren podążył za nim, wszedł do pokoju połączonego z niewielkim aneksem kuchennym. Po prawej stronie były drzwi prowadzące do sypialni; dojrzał kawałek niezasałanego łóżka. Zasłony były zaciągnięte, telewizor włączony.

– Czego chcesz? – odezwał się Bo wrogo.

Usiadł na kanapie i zapalił papierosa. Zanim Søren zdążył odpowiedzieć, mówił już dalej.

– Nie mam pojęcia, czemu nagle się tu zjawiasz. Jeśli przyszedłeś szukać wybaczenia, to możesz od razu wyjść.

Tę szansę straciłeś, kiedy przestałeś odbierać moje telefony i nagle stałeś się nieuchwytny. Nawet w pracy. Zacząłeś mi grozić. Mnie! Jakbym był przestępcą!

– Nie mogłem tego słuchać. One zginęły. Nie miałem siły wysłuchiwać, jak to się stało.

Bo przyglądał mu się bezradnie.

– Nie chciałem ci dokuczać; to ty tak to odebrałeś. Jakbym cię nachodził. Po prostu chciałem z tobą chwilę porozmawiać. Przecież właśnie straciłem żonę i dziecko. Nasze dziecko. Chciałem tylko z tobą pogadać!

Bo ukrył twarz w dłoniach.

– Stchórzyłem – przyznał Søren. – Popełniłem błąd.

Siedzieli i patrzyli na siebie.

– Teraz jestem już gotów. Poznać szczegóły – powiedział Søren. – Chcę wiedzieć, dlaczego ty siedzisz tu na kanapie, a one leżą w ziemi.

Bo zbladł, oddychał z trudem.

– Więc uważasz, że to moja wina? Ty dupku...

Usiłował wstać, ale ciężar jego ciała sprawił, że znów usiadł. Poddał się.

– Nasz hotel nie leżał przy samej plaży, ale tego dnia rano obudziłem się i zobaczyłem, że przez szparę w drzwiach przedostaje się woda. Na zewnątrz panował chaos. Z domu obok zerwało dach, ludzie krzyczeli, biegali w kółko. Ruszyłem w stronę brzegu, wołając Katrine. Nie miałem pojęcia, co się stało, ale nagle dotarło do mnie, że nie mam szans. Ze muszę uciekać, jak najdalej od brzegu. Zacząłem biec. Dotarłem do jakiegoś

wzgórza razem z kilkudziesięcioma innymi ludźmi. Wdrapaliśmy się na szczyt. Nie chciałem patrzeć w dół, na zatokę. Leżałem pod jakimś krzakiem i modliłem się, żeby przeżyły. Ale moja modlitwa nie została wysłuchana – roześmiał się krótko. – Poprzedniego dnia wypilem nieco za dużo wina; urządziliśmy sobie takie improwizowane śniadanie świąteczne. Podejrzewam, że rano Katrine zabrała Maję i poszły na plażę zjeść śniadanie. Żeby mi nie przeszkadzać. Maja miała trzy miesiące. Kiedy nadeszła fala, nie można było nic zrobić. Zginęły obie. Potem na brzegu znaleziono ich ciała. Tak to wyglądało, Søren. Jesteś zadowolony? Nie uratowałem ich, bo kiedy to wszystko się wydarzyło, spałem skacowany.

– Byłem na pogrzebie – odezwał się nagle Søren. – Siedziałem z tyłu.

– Widziałem cię.

– Dziękuję, że o wszystko zadbałeś. Kwiaty były przepiękne.

Bo siedział, nie odzywając się. Jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia. W pewnym momencie wstał i przyniósł sobie piwo. Tylko sobie, nie Sørenowi. W porządku. Jego córeczka umarła, a on zachował się jak tchórz, ukrywając się z tyłu w kościele, pewien, że Bo go nie zauważy. Nie zasłużył sobie na piwo. Na nic sobie nie zasłużył. Znow siedzieli w milczeniu. Bo wpatrywał się tępym wzrokiem w telewizor, popijając z butelki piwo. Søren siedział nieruchomo. Kiedy wstał i ruszył do drzwi,

usłyszał, jak Bo mówi:

– Jesteś żalosny, masz prawie czterdziestkę i nagle zapragnąłeś odpuszczenia grzechów. Tacy faceci jak ty są żałośni – powtórzył, odstawiając butelkę.

– Zadzwoń do ciebie – powiedział Søren. – Kiedyś znów do ciebie wpadnę.

– Chrzań się – burknął Bo, nawet na niego nie patrząc.

Søren otworzył drzwi i stojąc w progu, znów usłyszał głos Bo:

– Ale ona uśmiechała się do mnie. Do mnie. Nie miała pojęcia, że ten dupek w ogóle istnieje...

Søren ruszył szarym betonowym korytarzem, zastawionym workami ze śmieciami i rowerami. Jego serce było ciężkie jak kamień.

Vibe otworzyła mu drzwi i pierwsze, co zobaczył, to jej ogromny brzuch. Znad niego wystawała mała, okrągła główka, niżej widać było parę spuchniętych stóp w birkenstockach. Vibe promieniała.

– Jestem najszczęśliwszym hipopotamem na świecie – oświadczyła, przytulając się do Sorena. – Jak dobrze cię znów zobaczyć. Myślałam, że masz ręce pełne roboty i nie zjawisz się, zanim „nie nastąpi przełom w śledztwie”.

– Nagle zaczęła mu się przyglądać. – Hej, co się stało? Wyglądasz okropnie.

Søren zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku.

– Muszę z tobą porozmawiać. Wiem, że nie jest to

pewnie najlepsza pora – powiedział, wskazując głową jej brzuch – ale po prostu muszę. Inaczej się od tego nie uwolnię.

– Brzmisz bardzo poważnie – stwierdziła Vibe lekkim tonem.

– Bo też sprawa jest poważna.

John siedział na kanapie, w pokoju grał telewizor. Na stoliku stała buteleczka z olejkiem do masażu, John miał na udach rozłożony ręcznik. Na stoliku stały też dwa kieliszki wina: jeden pełny, w drugim była zaledwie odrobina. John wstał i przywitał się z Sørenem.

– Cześć. Strasznie na was dzisiaj napadli.

– Nie to jest w tej chwili najważniejsze – wymamrota! Søren.

– Chcesz czegoś? Napijesz się wina? A może jesteś głodny? – spytała Vibe.

Zawahał się. Rzeczywiście był głodny. Vibe czytała w nim jak w otwartej książce.

– Skarbie – zwróciła się do Johna. – Odgrzej Sørenowi to, co zostało z obiadu, i nalej mu kieliszek wina. A my w tym czasie porozmawiamy. To chyba coś ważnego.

John uniósł brwi zdziwiony.

– Możemy usiąść w jadalni? Nie będziemy ci przeszkadzać?

– Zaraz przygotuję mu coś do jedzenia – odpowiedział krótko John. Spojrzał na zegarek i dodał: – A potem pójdę na spacer z psem. Możecie zostać w

dużym pokoju.

– Przepraszam, nie chciałem psuć wam piątkowego wieczoru – powiedział Søren z poczuciem winy.

– W porządku – rzekł John, kładąc rękę na jego ramieniu.

Dwadzieścia minut później Søren siedział przy stole i jadł gulasz z ziemniaczanym piure. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadł porządny obiad. Vibe naląła mu wina, rozmawiali o wszystkim i o niczym. W końcu skończył i zaniósł talerz do kuchni, żeby Vibe nie musiała wstawać. W kuchni odkręcił kran, napił się zimnej wody. Wrócił do pokoju. Vibe siedziała w rogu kanapy i przyglądała mu się zaniepokojona.

– Dwadzieścia lat bałam się, że kiedyś ta chwila nadejdzie – powiedziała.

Søren nagle się zatrzymał.

– Nie rozumiem – odezwał się zmieszany.

Vibe nadal mu się przyglądała.

– Dobrze, nie uprzedzajmy faktów – powiedziała. – Siadaj i wyrzuć to wreszcie z siebie. Naprawdę okropnie wyglądasz.

Był piątek, dwunastego października, na zewnątrz było ciemno i zimno. Søren usiadł na kanapie i zerknął na swoje dłonie. Po chwili rozpoczął swoją opowieść.

Spytał, czy pamięta, jak w grudniu 2003 roku pojechała służbowo do Barcelony. Oczywiście, że pamięta. A pamięta, jak potem, po powrocie, opowiadał jej, że któregoś wieczoru wybrał się z Henrikiem do

knajpy, na Vesterbro? Przy stoliku obok siedziały jakieś dziewczyny, zaczęli rozmawiać, a potem wszyscy razem poszli do klubu potańczyć. Vibe pamiętała. No więc jedna z nich miała na imię Katrine; wracali razem i poszedł z nią na górę. W oczach Vibe pojawiło się coś twardego, ale po chwili się uśmiechnęła i spytała, czy Søren przyszedł po to, żeby powiedzieć jej, że cztery lata temu był jej niewierny? Nieładnie, powiedziała grożąc mu palcem. Potem znów się uśmiechnęła, tłumacząc, że byli razem siedemnaście lat i właściwie mogła się tego spodziewać, więc nie ma powodu, żeby tak bardzo tym się przejmował. Søren pokręcił głową, nie w tym rzecz. Po jakimś czasie okazało się, że Katrine, ta dziewczyna, jest w ciąży. Teraz Vibe otworzyła szeroko oczy. Co takiego? Tak właśnie było, chociaż spędzili ze sobą jedną noc i jeden ranek. Jakies pół roku później Katrine zadzwoniła, informując go, że spodziewa się dziecka, jego dziecka, i to już wkrótce.

Vibe chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Søren mówił dalej.

– W tym czasie Katrine poznała chłopaka, który zaakceptował dziecko. Powiedzieli mi wprost, że nie chcą, żebym ich „nachodził”. Uznali natomiast, że dziecko ma prawo znać prawdę, a więc poznać swojego biologicznego ojca, czyli w praktyce mieć dwóch ojców. Chociaż też nie od razu. Postanowili, że poczekają i z czasem coś postanowią. Odchodziłem od zmysłów – powiedział Søren.

Podniósł głowę, spojrzął na Vibe, ale nie znalazł w jej oczach zrozumienia.

– Potem Elvira zachorowała, miałem inne problemy. Nie chciałem kontaktów z dzieckiem, powiedziałem im to któregoś wieczoru. – Søren odkaslnął. – A potem nagle zadzwonił Bo i powiedział, że dziecko się urodziło. Była to dziewczynka. Jednego z najbliższych dni przejeżdżałem koło szpitala w Fredriksberg i postanowiłem wpaść, bardziej z obowiązku niż z prawdziwej potrzeby. I zobaczyłem ją.

Vibe zaczęła płakać.

– Zobaczyłem ją i świat wokół eksplodował. Zrozumiałem, że ją kocham. Do szaleństwa, jak nikogo dotąd. Prawie nie miała włosów, leżała na boku i spała. I wyglądała dokładnie jak ja. Kiedy wracałem do domu, musiałem zjechać na chwilę na pobocze, żeby ochłonać. Śmiałem się, drżałem, nie byłem w stanie zebrać myśli. Dziewczynka dostała na imię Maja; zobaczyłem ją dopiero dwa tygodnie później. Z Bo wyszedł prawdziwy samiec, wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że absolutnie nie zamierza dzielić się ze mną rolą ojca, ale ja nie zmierzałem zrezygnować. Wtedy wiedziałem już na pewno, że chcę być ojcem Mai. Przez dwa tygodnie myślałem o tym dzień i noc i byłem zdecydowany. Bo był oczywiście wściekły, miał mi wszystko za złe, było mi bardzo ciężko. Powoli udało mi się jednak przekonać go, że w życiu Mai może być miejsce dla nas obu.

Søren znów zamilkł. Siedział i patrzył na swoje ręce.

Vibe wytarła nos i poprawiła się na kanapie.

– Nie byłem w stanie o tym rozmawiać. Nikomu się z tym nie zdradziłem. Bo jak miałem wytłumaczyć, że nie chciałem mieć dziecka z tobą, a inna kobieta zaszła ze mną w ciążę? Nie potrafiłem. To miało także związek z nami, Vibe. Byliśmy jak rodzeństwo, do diabła! Nie byliśmy kochankami, zawsze brakowało tej iskry. Spójrz na Johna. Nawet on traktuje mnie jak szwagra i zdaje się w ogóle nie przejmować tym, że spałem z jego żoną, i to tyle lat.

Vibe znów się uśmiechnęła.

– A potem nagle okazało się, że Elvira jest chora, jej śmierć, choroba Knuda... Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym powiedzieć ci o dziecku. Nie wtedy. Postanowiłem zaczekać. Aż wszystko trochę się uspokoi.

– Knud i Elvira wiedzieli o Mai? – wyszeptała Vibe.

– Nie, nie powiedziałem im. Nie zrobiłbym tego tobie. Nikt o niczym nie wiedział. Ani Henrik, ani Allan. Zdawałem sobie sprawę, że to nie może tak trwać, ale...

– Masz córeczkę – wyszeptała znów Vibe i pokiwała zdziwiona głową, jakby jej świat nieco się zachwiało.

– Nie mam córeczki – przerwał jej Søren.

Vibe zamrugnęła gwałtownie, zdziwiona.

– Osiemnastego grudnia Bo, Katrine i Maja pojechali na Boże Narodzenie do Tajlandii. Do Pukhet. Zginęli w tsunami. To znaczy Katrine i Maja, Bo przeżył.

Vibe zasłoniła twarz dłonią. Nagle różne rzeczy zaczęły jej się układać w nową całość.

– Ale przecież dopiero w styczniu zacząłeś się czuć naprawdę kiepsko. Już po naszym rozstaniu, po śmierci Elviry; Knud wtedy jeszcze żył, ale choroba postępowała i wszystko mogło się zdarzyć.

I po tsunami, które było chyba na początku stycznia...? – mówiła Vibe zdziwiona.

– Byliśmy wtedy w Szwecji. Nie mieliśmy o niczym pojęcia, dopiero w drodze powrotnej zobaczyliśmy nagłówki gazet. Zresztą właśnie wtedy zamierzałem ci o wszystkim powiedzieć, ale w końcu się na to nie zdobyłem, nie miałem sumienia. Kiedy po powrocie dowiedziałem się, co się wydarzyło, zacząłem oczywiście szukać ich na listach. I nie znalazłem. Miałem nadzieję, że przeżyli, tylko nie zadzwonili, bo wszędzie panował chaos. A ja w końcu byłem jedynie dawcą nasienia. Pozostawało mi tylko czekać, aż Katrine sobie o mnie przypomni i się odezwie. Piątego stycznia wieczorem zadzwonił Bo. Krzyczał coś, wrzeszczał. Nie byłem w stanie go zrozumieć. W końcu wziął się w garść. Nie mam pojęcia, co człowiek myśli w takiej sytuacji. Ja w każdym razie pomyślałem, że pewnie Katrine została ranna i jest w szpitalu. Bo miał skłonność do hysterii, to już wiedziałem. Do głowy mi nie przyszło, że mogą nie żyć. Przecież nie było ich na listach. A jednak nie żyły. Bo właśnie zidentyfikował ciała.

Vibe płakała, po policzkach płynęły jej łzy.

– I wtedy rzeczywiście się załamałem. Wziąłem urlop. Wybacz mi, Vibe, wiem, że miałaś wyrzuty

sumienia, patrząc, jak cierpię. Ale nie potrafiłem o tym rozmawiać. Zamknąłem się, zasklepiłem w swoim bólu. Niedługo potem zmarł Knud. Cierpiałem podwójnie, ale nikt niczego się nie domyślał.

Vibe siedziała i milcząc, patrzyła przed siebie.

– Pewnie strasznie cierpiałeś.

Søren poczuł, że drży mu broda, i odwrócił głowę.

– Dlaczego teraz? – spytała Vibe, gładząc jego dłoń.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie teraz? Dlatego że jestem w ciąży, czy może coś się stało?

Søren zamknął oczy, jakby nie chciał pozwolić łzom popłynąć. Odczekał moment i znów odwrócił się do Vibe.

– Prowadzę śledztwo – zaczął cichym głosem. – Sprawa nie jest specjalnie dramatyczna, nie popełniono żadnego bestialskiego mordu, nie ma powodu, żebym był szczególnie wstrząśnięty, w końcu jestem policjantem i niejedno już widziałem. W sprawę nie są zamieszane dzieci, a ofiary... oczywiście, miały rodziny, ale żadnej nie opłakuje młoda żona z trójką małych dzieci, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Vibe skinęła głową.

– A jednak jest to jedna z gorszych spraw, jakie prowadziłem. Mam wrażenie, że dotyka wszystkich moich czułych punktów. Oni wszyscy kłamią! No może nie wszyscy, ale większość na pewno. Chronią coś, co wcale nie jest tego warte. Postępują podobnie jak ja w stosunku do Mai. Śledztwo trwa zaledwie pięć dni, więc to bzdura, że policja stoi w miejscu. Rozwikłanie sprawy Malene

zajęło nam cztery tygodnie, i wtedy chwalono nas za szybkie tempo prac! Problem w tym, że nie potrafię zdobyć się na jasny przekaz. Chyba po raz pierwszy w życiu. Wczoraj rozmawiałem z dwoma dziennikarzami. Byli bardzo wyrozumiali, ale prawda jest taka, że zamiast zajmować się śledztwem, grzęznę w swoich prywatnych sprawach – westchnął Søren. – A na dodatek zakochałem się w kobiecie zamieszanej w sprawę – dodał.

Vibe milczała. Siedziała odwrócona do niego bokiem, nie był pewien, czy słyszała jego ostatnie zdanie.

– Dobrze się czujesz? – spytał przestraszony.

Pomyślał o Johnie, który wyszedł na spacer z psem, o ogromnym brzuchu Vibe, który w każdej chwili groził pęknięciem.

– Spokojnie, jeszcze nie rodzę. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale...

– Ale co?

– Ja też muszę ci o czymś powiedzieć.

I wtedy Vibe powiedziała Sørenowi coś, co zmieniło jego życie.

Potem jedna rzecz długo nie dawała mu spokoju.

Henrik miał rację. Wszystko zależy od okoliczności.

13

Kiedy Anna i Lily wróciły z Odense do Kopenhagi, Karen, tak jak obiecała, czekała na nie na peronie. Z torbą czipsów i butelką wina w ręku. Na ich widok rzuciła wszystko. Podbiegła do Anny i mocno ją objęła. Anna stała sztywna, jakby kij połknęła.

– Nie puszczaj mnie – szepnęła Karen i po chwili przyjaciółka też zarzuciła jej ręce na szyję.

Potem przyszła kolej na Lily. Stała na peronie zaspana, ledwie przytomna, przyjmując hołdy całkowicie obcej kobiety. Anna nie mogła powstrzymać śmiechu. Lily szybko oprzytomniała. Rozpromieniła się, kiedy Karen nagle wyczarowała małego miśka. Uparła się, żeby trzymać ciocię za rękę, a Karen nie chciała puścić Anny, więc trzymając się za ręce, ruszyły razem przez niemal pusty dworzec w stronę postojów taksówek.

Kiedy Lily w końcu usnęła w swoim łóżeczku, usiadły w pokoju. Karen chciała wiedzieć wszystko. Anna przyniosła zdjęcia małej Lily. Znalazła też rodzinne zdjęcie. Ona, tuż po porodzie, z Lily na ręku, z tyłu Thomas, a po jego bokach Cecilie i Jens. Karen nie ukrywała ciekawości i długo przyglądała się wszystkim fotografiom.

– Sprawa jest jasna – stwierdziła.

Kiedy Anna spojrzała na nią zdziwiona, wskazała palcem na Thomasa.

– Znalazł się w sytuacji, z którą wyraźnie sobie nie radzi.

Anna wzięła zdjęcie do ręki. Thomas był jak zawsze przystojny. Odprężony, na luzie. Stał z podniesioną wysoko głową i patrzył przed siebie pewnym wzrokiem.

– Spójrz na jego dłonie.

Anna podążyła wzrokiem za palcem Karen.

– Jeśli ktoś przed chwilą został ojcem, nie stoi z zaciśniętymi pięściami. I spójrz na jego oczy.

Anna spojrzała na błyszczące niebieskie oczy Thomasa.

– On umiera ze strachu. Rzeczywiście jest się czego bać, oczywiście jeśli jest się mięczakiem – powiedziała przyjaciółka, a jej oczy ciskały gromy.

Anna siedziała chwilę zamyślona, potem się roześmiała.

– Z czego się śmiejesz?

– Chyba raczej z kogo? Z ciebie. Wyciągasz swoją czarodziejską różdżkę i szast-prast, od razu wszystko staje się jasne.

Nagle zmieniła temat.

– Co cię naszło, żeby wczoraj po naszej rozmowie zadzwonić do Troelsa?

– Skąd wiesz? – spytała Karen, bynajmniej niespeszona.

– Spotkałam go dzisiaj – odpowiedziała Anna już poważnie.

– To naprawdę dziwna historia. Na początku

wszystko było w porządku, nawet się ucieszyłam. A potem coś się stało. Nie potrafię tego określić, ale jest w nim coś dziwnego.

Karen długo jej się przyglądała. Jej spojrzenie było łagodne i ciepłe.

– Chciałabym, żebyśmy znów byli przyjaciółmi. Wszyscy troje. Jak dawniej. To był najlepszy okres w moim życiu. Te nasze wspólnie spędzone lata. Chcę, żeby nadal trwały.

Anna uściskała ją.

– Ty niepoprawna romantyczko – wyszeptała w jej włosy.

Lody zostały przełamane.

Wypiły wino, zjadły wszystkie chipsy. Rozmawiały o wszystkim. O życiu. Usta im się nie zamykały. Karen śmiała się z jej opowieści. Anna niemal żałowała, że Søren tego nie widzi. Siedziała w swoim pokoju, na luzie, rozgrzana winem, w towarzystwie przyjaciółki.

I nagle się rozpląkała. Karen spojrzała na nią przestraszona i chwyciła jej dłoń.

– Co się stało? – dopytywała się.

– Wiesz, kto to jest Sara? – spytała, przyglądając się jej uważnie. Matka Karen była kiedyś najbliższą przyjaciółką Cecilie. Rozmawiały o wszystkim, wszystkim się ze sobą dzieliły. Być może wszyscy wiedzą, kim jest Sara, tylko ona jedna tego nie wie.

– Nie – odpowiedziała Karen. – Nie znam nikogo o imieniu Sara. Kim ona jest?

Nagle Anna zeszywniała. Zdjęcie. Wisiało dalej na swoim miejscu, nieco na prawo od kominka, w brązowej, lakierowanej ramce, i patrzyło na nią.

Wstała.

– O co chodzi? – spytała Karen zaintrygowana nagłą zmianą.

– Zaczekaj chwilę.

Anna wytarła oczy i zdjęła zdjęcie ze ściany.

– Jak myślisz, ile mam tu lat?

– Nie wiem. Dwa latka? Mam mało do czynienia z dziećmi – odpowiedziała przepaszająco.

– Na zdjęciu jest lato. Mam na sobie koszulkę, Cecilie jest w bikini. To znaczy, że mam albo półtora roku, albo dwa i pół, ale raczej to pierwsze, bo wyglądam, jakbym jeszcze ssała smoczek. Przyjmijmy więc, że pewnie mam półtora roku.

– Dobrze – powiedziała Karen, drapiąc się w głowę.

Anna sięgnęła po torbę i wyjęła z niej zdjęcie, które dostała od Ulli. Pokazała je Karen.

– To ty i Jens, prawda? Ale jesteście do siebie podobne, ty i Lily!

– Zdjęcie zostało zrobione w sierpniu 1978 roku. Mam pewnie mniej więcej osiem miesięcy. Na tym drugim półtora roku, rozumiesz?

Karen przytaknęła.

Anna przyniosła nóż do papieru, który leżał na biurku, i odwróciła ramkę ze zdjęciem.

– Co ty robisz?

– Moi rodzice kłamią – prychnęła.

Ramka miała prawie trzydzieści lat i wyraźnie stawiała opór. Klamerki zardzewiały i przywarły do pleców zdjęcia.

– Jak to kłamią?

Karen najwyraźniej nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

– Odwróć zdjęcie – powiedziała Anna, wskazując głową na fotografię, którą dostała od Ulli.

Walczyła dalej ze zdjęciem w ramce, nie przejmując się, że może je uszkodzić. Karen siedziała w pewnej odległości od niej. Anna położyła ramkę ze zdjęciem na stoliku i tak długo przy niej manipulowała, aż w końcu klamerki puściły.

– „Sara Bella i Jens, sierpień 1978 roku” – przeczytała Karen. – Nadal nie rozumiem, kim jest Sara?

– Mnie o to nie pytaj.

Wzięła nóż, podważyła zdjęcie i wyjęła je z ramki.

– Strasznie to wszystko tajemnicze – powiedziała Karen. – Może miałaś siostrę bliźniaczkę, która umarła w dzieciństwie?

Anna zeszywniała. Tego w ogóle nie brała pod uwagę. Zaczęła się zastanawiać.

– To jestem ja – powiedziała po chwili, wskazując nożem do papieru na dziewczynkę na zdjęciu, które dała jej Ulla Bodelsen. – A jeśli tak jest, jeśli to jestem ja, to tutaj też jestem ja – dodała, wskazując na starą fotografię, którą właśnie wyjmowała z ramki. – Dziewczynki na

zdjęciach są jednakowe – stwierdziła.

– Bliźnięta jednojajeczne – oznajmiła dramatycznym głosem Karen.

– To nie ma sensu – przerwała jej Anna. – Dlaczego moi rodzice mieliby ukrywać, że miałam siostrę bliźniaczkę, która umarła? Poza tym Ulla Bodelsen, pielęgniarka, którą dzisiaj odwiedziłam, nie wspominała nic o żadnej siostrze bliźniacze.

Annie udało się wreszcie wyjąć zdjęcie z ramki. Było pożółkłe, ale napis z tyłu był wyraźny. Triumfowała.

– „Anna Bella, tata i mama, lipiec 1979 roku”, przeczytała na głos.

Położyła oba zdjęcia obok siebie na stole i opadła na kanapę.

Obie zaczęły dokładnie studiować zdjęcia.

– To jest to samo dziecko – stwierdziła w końcu Karen. – Tylko w sierpniu dziewczynka miała na imię Sara, a rok później, w lipcu, Anna. Rzeczywiście dziwne.

Zapadła cisza, pograżyły się w rozmyślaniach. Anna była spokojna; wiedziała, że nie jest sama. Miała obok siebie Karen.

– Dlaczego ktoś nagle zmienia dziecku imię? – spytała przyjaciółkę – Nie możesz zwrócić się z tym do Cecilie i Jensa?

– Mogę i zamierzam to zrobić. Ale spróbujmy przez chwilę zabawić się w detektywów. Chcę być przygotowana.

– Dobrze – zgodziła się przyjaciółka.

– Nadanie imienia oznacza zwykle początek nowego życia, prawda? – ciągnęła dalej. – Otrzymujemy jakieś imię i potem idziemy z nim przez życie. Zostajemy przy nim. Chyba że pójdziemy do numerologa i dowiemy się, że jeśli zmienimy imię, powiedzmy na Solveig, to wygramy w lotto.

Anna się uśmiechnęła.

– Czyli imię oznacza początek – odezwała się zamyślona. – Cecilie była chora, miała problemy z kręgosłupem.

– Hm – wymamrotała Karen. – Coś sobie przypominam. Mama mówiła mi, że właśnie dlatego zawsze byłaś tak silnie związana z Jensem. Przez pierwszy rok wszędzie cię ze sobą zabierał.

– Właściwie można powiedzieć, że był samotnym ojcem – stwierdziła Anna. – Cecilie większość czasu leżała w szpitalu. Uważam, że całkiem dobrze sobie poradził – dodała.

– Cholera, żałuj, że nie widziałaś mojego ojca – roześmiała się Karen. – Uparł się, że będzie mnie karmił gumowym wężykiem podłączonym do torebki na plecach, a moja mama nie miała nic przeciwko temu. Kiedy mi o tym opowiedzieli, myślałam, że pęknę ze śmiechu. To cud, że przeżyłam i nie zwariowałam.

– Rzeczywiście, prawdziwy cud Boży – powiedziała Anna i też się roześmiała.

Wkrótce potem położyły się spać.

W sobotni rano Anna obudziła się i przez moment

nie bardzo wiedziała, gdzie jest. Usiadła zdezorientowana na łóżku. Było po dziesiątej, a ona była w swojej sypialni. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak długo spała. Nagle usłyszała stłumiony śmiech i wstała. Wyszła do kuchni. Drzwi do pokoju Lily były otwarte, na podłodze siedziały obok siebie Karen i Lily, bardzo czymś pochłonięte. Większa część podłogi była zasłana papierem, na którym obie z zapalem rysowały domy i ulice widziane z lotu ptaka. Lily zaczęła już nawet meblować domy mebelkami dla lalek i małymi miškami. W całym mieszkaniu unosił się zapach ciepłych grzanek.

– Cześć.

– Mama! – zawołała Lily.

Puściła wszystko, co miała w ręku, i rzuciła się w jej objęcia. Anna podniosła córeczkę i usiadła na krześle w kuchni. Czuła pod pizamką jej ciepłe i miękkie ciało.

– Dobrze spałaś? – spytała Karen.

Anna przytaknęła.

– Świetne afro – dodała, posyłając przyjaciółce pełne uznania spojrzenie.

Włosy Karen wydawały się, o ile to w ogóle możliwe, w jeszcze większym nieładzie niż poprzedniego dnia. Obie wybuchły śmiechem.

– Z czego się śmiejecie? – spytała Lily niepewnie.

– Z włosów cioci Karen.

– Ciocia Karen ma na głowie lwa!

Karen i Anna znów zaczęły się śmiać.

W kuchni było ciepło i przytulnie. Anna poczuła, że

ma ochotę na grzanekę. Nagle znów wszystko było jak dawniej.

Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie wchodziły na szczyt wzgórza, a potem turlały się w dół, zaśmiewając do rozpuku. Wszystko było proste. Śmiejąc się, turlały po wybojach, świat wirował; liczyło się jedynie to, że są razem.

Karen usiadła przy stole obok Anny, która zaczęła jeść śniadanie, Lily dalej bawiła się w swoim pokoju. Karen zaparzyła kawę, smakowała bosko.

– Co jest za tymi drzwiami? – spytała nagle przyjaciółka, wskazując palcem na drzwi za plecami Anny.

Anna przełknęła kęs, który akurat miała w ustach, i odwróciła się zdziwiona, jakby po raz pierwszy zobaczyła drzwi prowadzące do dawnego pokoju Thomasa. Zerknęła na Lily, która nadal była pochłonięta zabawą.

– To był pokój Thomasa, kiedy jeszcze tu mieszkał. Gdy się wyprowadził, zabiłam drzwi gwoździami. Nie potrzebujemy aż tyle miejsca – powiedziała, uśmiechając się niepewnie.

– Co jest tam w środku? – dopytywała się Karen.

– Nic – powiedziała Anna i wzięła kolejny kęs.

– Aha.

Znów zapadła cisza.

Nagle Karen przypomniała sobie, że dzwonił Jens.

– Siedem razy na twój telefon komórkowy i dwa na stacjonarny. Odłączyłam go, żebyś się nie obudziła –

rzekła, przyglądając się jej z uwagą.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie. Tam leży twój telefon komórkowy – powiedziała, wskazując dłonią na blat kuchenny.

– Sprawdziłam, kto dzwoni, na wyświetlaczu – dodała.

Znów siedziały chwilę w milczeniu Karen włączyła radio, Jedynekę.

– No cóż – odezwała się Anna. – Niech dzwoni, nie zamierzam z nim rozmawiać. O pierwszej jest pogrzeb Larsa Hellanda.

Zerknęła na zegarek i cicho zaklęła.

– Już późno, a ja muszę jeszcze kupić kwiaty. He trwa taki pogrzeb? Godzinę, trzy? Jeśli Jens znów zadzwoni, powiedz mu, że mogę się z nim spotkać o wpół do piątej. U niego w domu. Bez Cecilie. Musi to uszanować. Będę miała tylko godzinę, bo o szóstej mam ważny wykład w Bella Centret. Powiedz mu wyraźnie, że jeśli zaprosi Cecilie, to od razu wyjdę. Ale tak naprawdę wszystko zależy od tego, czy zgodzisz się zostać z Lily? Wrócę pewnie dopiero koło siódmej, ósmej – dodała.

Karen zaczęła się zastanawiać.

– Dobrze – odpowiedziała w końcu. – Ale musisz mi coś w zamian obiecać. Że kiedy skończy się to zamieszanie, spotkamy się w trójkę, ja, ty i Troels. Pogadamy i zobaczymy, czy nadal możemy być przyjaciółmi. Jeśli dojdziemy do wniosku, że nie, to trudno. Będę musiała się z tym pogodzić. Chcę jednak,

żebyśmy dali sobie szansę, ty też.

Anna zaczęła się zastanawiać.

– Dobrze – odezwała się po chwili. – Umowa stoi – powiedziała i podała Karen rękę.

– W porządku.

Jens zadzwonił, kiedy Anna była w wannie; odebrała Karen.

– Zdziwił się, kiedy mnie usłyszał. Wy tłumaczyłam, że bierzesz kąpiel, ale możesz być u niego o wpół do piątej. Powiedziałam też, że nie życzysz sobie obecności Cecilie. Najpierw zaprotestował.

– Strasznie trudno mu zrobić coś samemu, bez Cecilie – prychnęła Anna, wycierając włosy.

– W końcu jednak się zgodził. Było mu chyba naprawdę przykro.

Anna zniknęła w sypialni. Zaczęła szukać czegoś do ubrania.

Włożyła czarne dżinsy, cienki czarny sweter i tenisówki.

– Nie możesz tak iść – zaprotestowała Karen. – W tenisówkach?

– Ubieram się tak, jak mi pasuje – oznajmiła Anna. – Nieważne czy na pogrzeb, czy na imprezę.

W końcu okazało się, że ma jeszcze trochę czasu. Usiadła w fotelu, który przysunęła do okna, Lily i Karen bawiły się na podłodze w pokoju małej. Patrzyła przez okno, przyglądając się dachom okolicznych domów. Znowu poczuła gulę w gardle. Gdy tylko zamknęła oczy,

widziała przed sobą Johannesą. Patrzył na nią swoim łagodnym wzrokiem, widziała jego czerwone jak marchewka, okropne włosy.

Nagle podeszła do niej Lily.

– Mama płacze – stwierdziła.

Anna spojrzała na córeczkę. Chciała pokręcić głową, zaprzeczyć, wytrzeć łzy. W tym momencie światło na zewnątrz się zmieniło, do pokoju wpadł promień słońca i sprawił, że główka Lily rozpromieniała.

– Płaczę, bo jest mi smutno – odezwała się Anna. – Mam przyjaciela, którego już nigdy nie zobaczę.

– Dlaczego? – dopytywała się Lily.

– Bo on zmarł. Jest teraz w niebie.

Uniosła rękę do góry i pokazała na chmury, które właśnie przed chwilą się rozstały, pozwalając promieniom słońca dotrzeć na ziemię.

Lily, mrużąc oczy, podążyła wzrokiem za jej palcem.

– Jest mu tam dobrze; biega, gra w piłkę. Na pewno jest zadowolony, bo w niebie jest miło. Tylko że ja jestem tutaj, na ziemi, i przykro mi, że nie mogę się z nim zobaczyć.

– Ja też chcę być w niebie! – zawołała Lily i tęsknie zerknęła przez okno.

Anna podniosła córeczkę i posadziła ją sobie na kolanach.

– Pewnego dnia tam pójdziesz. Ale najpierw długo, długo będziesz mieszkać tu, na ziemi. Razem ze mną, twoją mamusią – dodała.

Lily przytuliła się na moment do Anny, potem zeskoczyła z jej kolan.

– Chcę się bawić z ciocią – oświadczyła.

Karen cały czas bacznie im się przyglądała.

– To okropne, to co się przytrafiło twojemu przyjacielowi – powiedziała cicho. – Jak on się nazywał?

– Johannes.

– Przykro mi z powodu Johannesesa.

Anna pokiwała głową.

Po chwili wyszła do przedpokoju i sięgnęła po swoją wojskową kurtkę.

– Zamierzasz iść w niej na pogrzeb? – spytała z niedowierzaniem Karen.

Anna podciągnęła suwak pod brodę i spojrzała na nią swoimi żółtymi oczami.

– Owszem – powiedziała.

I wyszła.

Anna rozpoznała profesora Freemana niemal w tej samej sekundzie, w której go zobaczyła. Stał obok kościoła, towarzyszył mu elegancko ubrany młodszy mężczyzna. Stał i rozgarniał stopą żwir, jak małe dziecko. Kiedy podeszła bliżej, schowała głowę w kapturze kurtki, ale zaraz pomyślała, że przecież on nie ma pojęcia, kim ona jest. Stała więc jakieś piętnaście metrów od niego. Kiedy Freeman wszedł do kościoła, poszła za nim i usiadła dwa rzędy dalej, po przeciwnej stronie nawy, żeby cały czas mogła go obserwować.

Obok trumny stały Birgit i Nanna. Anna przyglądała się im.

Birgit miała pusty wzrok, uśmiechała się, gdy ktoś do niej podchodził, położyła rękę na plecach córki, zaczęła z kimś rozmawiać. Znow uśmiechnęła się nieobecnie. Nagle spojrzała wprost na Annę. Przez dwie sekundy patrzyły sobie w oczy. W spojrzeniu Birgit były ból i cierpienie, szybko odwróciła głowę. Potem już nie spojrzała na nią ani razu.

Nagle obok niej pojawił się Søren.

– Dobrze cię znów widzieć – powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu.

Jakby była więźniem na przepustce, który wbrew obawom grzecznie wrócił do domu, pomyślała.

– Witaj – odezwała się zmęczonym głosem i skinęła głową.

– Coś nowego? – spytał krótko.

Rozglądał się dokoła roztargniony.

Czego się spodziewał? – pomyślała. Że ona w ciągu nocy rozwiąże tajemnicę jego zagadkowego morderstwa? Nachyliła się do niego.

– Winny jest kamerdyner – wyszeptała mu do ucha. – A wszystko odbyło się w bibliotece – dodała.

Søren spojrzał na nią wzrokiem zimnym jak lód. Bez słowa wycofał się i znalazł sobie miejsce w jednym z ostatnich rzędów. On też już więcej na nią nie spojrzał. Nawet kiedy Anna w pewnym momencie usiłowała złapać jego wzrok. Czyżby w ogóle nie miał poczucia humoru?

Rozległ się dźwięk organów, po chwili zaczęło się kazanie.

Anna zauważyła swój bukiet, leżący obok trumny, i pomyślała, że dobrze, że nie było przy nim żadnej karteczki. Wizytówki leżały oddzielnie. Birgit Helland pewnie nigdy się nie domyśli, że te nędzne kilka badyli było od niej.

Anna była wyraźnie zdenerwowana, nie mogła spokojnie ustać. Podłoga w kościele już dawno pokryła się brunatnym błotem i żwirem; obecni w kościele ludzie parowali. Zaczęto śpiewać. Usiłowała skupić wzrok na trumnie. Nagle zobaczyła podskakujący koński ogon siedzącej w pierwszym rzędzie Nanny. Gdy muzyka na chwilę ucichła, usłyszała rozdzierający szloch dziewczynki.

Kilkakrotnie spoglądała na Freemana. Nie mogła się powstrzymać. Starła się być dyskretna, ale kiedy zaczął się nerwowo wiercić w ławce, przestała się przejmować. Człowiek, którego teraz miała przed sobą, narobił wiele zamieszania. Ten drobny, niepozorny starszy pan w ogromnej puchowej kurtce. Gdyby całe środowisko naukowe umówiło się, że będzie puszczać mimo uszu jego dywagacje, wówczas jego pozycja naukowa natychmiast ległaby w gruzach. Odcięto by mu pępowinę. Wtedy Anna wybrałaby zupełnie inny temat swojej pracy, miałaby innego promotora i pewnie nawet nie zwróciłaby uwagi, że Helland umarł. Po jakimś czasie przeczytałaby krótką notatkę w uniwersyteckiej gazetce. I może

Johannes nadal by żył. Przeszedł ją dreszcz.

Tybjerg! – pomyślała nagle.

– Niech to szlag! – wyrwało jej się tak głośno, że mężczyzna obok niej odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony. Zakryła usta ręką. A niech to, zupełnie o nim zapomniała. Jak to możliwe? Ostatni raz widziała się z nim w czwartek, a teraz była sobota. Zostawiła go samego na dwie doby. Jak mogła być tak niefrasobliwa? Odruchowo kopnęła nogą w stojącą przed nią ławkę; na szczęście organy znów grały, więc tylko jej sąsiad spojrzał na nią z wyrzutem. Prawdę mówiąc, sama się dziwiła, że jest tak wzburzona. Przypomniała sobie zagubiony wzrok Tybjerga, pamiętała, jak rzucił się na kanapki, które mu przyniosła. Chciała przynieść mu coś jeszcze, jakieś jedzenie, czysty ręcznik, może koc; spytać, czy ma mu coś przeprać. I zapomniała. Tak była zajęta sobą, pochłonięta własnymi sprawami. Znów uderzyła stopą w ławkę. Siedząca przed nią kobieta odwróciła się i posłała jej groźne spojrzenie, sąsiad obok otwarcie jej się przyglądał. Nagle organy umilkły i zapadła cisza. Anna zaczęła się rozglądać za Sørenem, ale on demonstracyjnie patrzył przed siebie. Freeman natomiast spoglądał na swoje dłonie, potem uniósł wzrok i zaczął się przyglądać szklanej mozaice nad ołtarzem.

Nagle podniosła się Nanna. Twarz miała zalaną łzami, zaczęła mówić niepewnym, cienkim głosem. Powiedziała kilka banalnych słów, ale w końcu ile ona

mogła mieć lat? Osiemnaście? Anna poczuła, że nie ma siły. Oparła głowę o kolana. Dlaczego zawsze myślę tylko o sobie? – zastanawiała się. Czy potrafiłabym wstać i wygłosić taką mowę, gdyby to Jens umarł? Potrafiłabym powiedzieć parę banalnych, ale ciepłych i pełnych miłości słów o moim ojcu? Nie, siedziałabym tam, w pierwszym rzędzie, i użalała się nad sobą. Wściekła, że mnie opuścił, co on sobie wyobraża? Nanna stała wyprostowana, dumna, wrażliwa. Anna natomiast nie potrafiła nawet wywiązać się z obietnicy danej Tybjergowi.

Chwilę później zaczęto wynosić trumnę; po jednej stronie szła Nanna, po drugiej Birgit, za nimi kroczyło czterech mężczyzn w wieku Hellanda. Trumna została umieszczona na wozie i rozległy się werble. Ludzie schylili głowy.

Po pewnym czasie tłum zaczął rzednąć. Anna mogła wyjść. Było nieco po drugiej. Ruszyła biegiem do stacji kolejki miejskiej w Nordhavn. Po drodze zrobiła zakupy w Netto; wściekła na siebie wrzucała rzeczy do koszyka. Zapomniała o Tybjergu. Na dwa dni.

Na uniwersytecie panowała cisza. Przeciągnęła swoją kartę magnetyczną przez czytnik i weszła do środka. Zbliżało się wpół do czwartej, za godzinę miała się spotkać z ojcem. W porównaniu z tym, co ją za chwilę czeka, spotkanie wydało jej się nagle czystą przyjemnością. A jeśli Tybjerg umarł? – przeraziła się nagle. Bzdura, oczywiście że nie. Nie umiera się z głodu po dwóch dniach bez jedzenia. Poza tym mógł przecież

opuścić kryjówkę i coś sobie kupić. Otworzyła drzwi do swojego pokoju, zdjęła kurtkę i powiesiła na wieszaku.

W drodze z instytutu do muzeum nie spotkała żywej duszy. Na korytarzach panowała całkowita ciemność, ale przed salą ze zbiorami paliło się światło. Zatrzymała się. Czy ktoś przed chwilą stamtąd wyszedł, czy może właśnie wszedł?

Otworzyła drzwi. Poczowała silną, nieprzyjemną woń, zapaliła wszystkie możliwe światła. Rozległ się szum wentylatora. Chodziła między rzędami szafek i wołała Tybjerga. Odpowiadała jej cisza. Oddychała z trudem, czuła coraz silniejszy strach.

– Erik? – zawołała po raz kolejny, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. – Zapomniałam o tobie i jest mi bardzo przykro. Gdzie jesteś? Jeśli jesteś gdzieś w pobliżu, to podejdź do mnie.

Mówiła głośno, ale nie wiedziała, czy mówi wyłącznie do siebie, czy także do niego. Zaglądała w każdy kąt.

Nagle się pojawił, Anna się wzdrygnęła.

Patrzył na nią ciemnymi oczami, zauważyła jego kilkudniowy zarost.

– Masz jedzenie? – spytał schrypniętym głosem, wpatrując się w torbę, którą trzymała w ręku.

Anna przytaknęła, zastanawiając się, czy ma coś na swoje usprawiedliwienie. Nie chciała zdradzić, że Johannes nie żyje, więc milczała.

– Był tutaj – wyszeptał nagle Tybjerg.

– Johannes? – spytała Anna, otwierając szeroko oczy.

– Nie. Clive Freeman. Spędził tu kilka godzin. Schowałem się z tyłu za szafkami.

Anna zobaczyła, że skronie Tybjerga pokryte są kropelkami potu.

– Ciekawe po co przyszedł? – ciągnął dalej Tybjerg. – Odniosłem wrażenie, że zainteresowały go szkielety. Przyglądał się kościom. Czego on tu szukał?

Ruszyli w stronę światła.

– Pewnie chciał coś sprawdzić – odpowiedziała Anna; nagle się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z Tybjergiem. – Eriku – zaczęła – Freeman jest stary. Nie przyjechał tu, żeby cię zabić. Zresztą, co by mu z tego przyszło? No, powiedz szczerze. Po co miałby to robić?

Zawsze deklarował, że chce zamknąć usta swoim oponentom, pomyślała jednak w duchu. Usta Hellanda zostały już zamknięte. Dziwny zbieg okoliczności. Zerknęła na wyświetlacz telefonu komórkowego. Brak sieci. Była za dziesięć czwarta. Do spotkania z Jensem zostało jej czterdzieści minut. Nie bardzo wiedziała, co ma robić; stała i pocierała czoło.

– Eriku – odezwała się prosząco.

– Nigdzie się nie ruszę. Wyjdę dopiero, kiedy on wyjedzie. Myśl sobie, co chcesz, że jestem głupi albo że mam paranoję. Może to zresztą prawda – powiedział, patrząc na nią wyzywająco.

– Helland został pochowany? – spytał po chwili.

– Tak.

– Kupiłaś ode mnie kwiaty?

– Oczywiście – skłamała Anna. – Kupiłam jedną wiązanekę od nas obojga. Freeman był na pogrzebie.

Tybrjerg stał i kiwał głową.

– Sama widzisz – odezwał się tajemniczo.

– Muszę iść – oznajmiła Anna. – Ale jutro znów przyjdę – dodała.

– Dobrze – rzekł Tybjerg, siadając przy jednym z niewielkich stolików do pracy.

Anna chwyciła go za ramiona i zmusiła, żeby się do niej odwrócił.

– Chcę ci pomóc – powiedziała. – Rozumiesz?

Tybjerg spojrzał na nią całkowicie trzeźwym wzrokiem i zwierzył się cicho:

– Badania naukowe to całe moje życie. Jeśli nie będę mógł ich prowadzić, wszystko straci sens. Dlatego zostanę tutaj. Powiesz mi, kiedy on wyjedzie. Wtedy sam zgłoszę się na policję. Ale nie wcześniej.

Odwrócił się i znów usiadł przy stoliku.

– Jeśli dostanę stały angaż, zbuduję od podstaw Dział Kręgowców, stworzę dynamiczną jednostkę badawczą z młodym zespołem – powiedział rozmarzony, Anna czuła, że zaraz się rozpłacze, i szybko wyszła.

Jens mieszkał przy ulicy Larsbjornsstrøde w centrum Kopenhagi. Na ostatnim piętrze starej kamienicy, gdzie kiedyś mieściła się drukarnia. Do mieszkania wchodziło się przez bramę od podwórza. Przeprowadził się tu po

rozwodzie z Cecilie. Anna miała wtedy osiem lat. W tym czasie w podwórzu działał jeszcze warsztat samochodowy, a dokoła rosły krzaki. Często go tam odwiedzała.

Teraz bywała u Jensa rzadko. Czasem wpadała po niego i szli razem do Sabines na lunch albo kupić Cecilie prezent. Podwórze się zmieniło, było zadbane, powstały miejsca parkingowe.

Stara drukarnia otoczona została wianuszkami biur reklamowych i pracowni architektonicznych i wyglądała nieco nie na miejscu. Po podwórku kursowali dostawcy przywożący sushi czy wazon potrzebny do sesji zdjęciowej. Pewnie nawet nie przyszło im do głowy, że na górze w ogóle ktoś mógł mieszkać.

Anna wspięła się po drewnianych schodach i wyszła na drewnianą galerię prowadzącą do mieszkania. Na zewnątrz suszyły się skarpetki Jensa. Wcisnęła dzwonek. Ojciec wyszedł z kuchni, widziała go przez okno. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, można było pomyśleć, że przebalował całą noc.

– Jak ty wyglądasz? – wyrwało się Annie.

Kiedy się do niego przytuliła, uderzył ją zapach starego alkoholu.

– Wczoraj trochę się zasiedziałem, a kiedy w końcu się położyłem, nie mogłem zasnąć.

– To przesąd, że po alkoholu śpi się lepiej, jest wręcz przeciwnie – powiedziała Anna.

– Wolałbym spać źle niż w ogóle nie spać –

wymamrotał Jens.

Weszli do pokoju i usiedli. Kanapa była z lakierowanego bambusa, poduszki miały milion lat. Przed kanapą stał niski stolik, zarzucony gazetami. Mieszkanie było jednym dużym pomieszczeniem przedzielonym wysoką, czterometrową ścianką. Od strony pokoju ściana wytapetowana była książkami. Półki były wymyślną konstrukcją z metalowych rurek, obok stała drabina, która pozwala Jensowi sięgać do najwyżej stojących książek. Po drugiej stronie była kuchnia. Anna zauważyła torbę z pieczywem i otwarte opakowanie masła.

– Może jednak pójdziemy gdzieś? – zaproponował Jens. – Zapraszam cię na gorącą czekoladę – dodał.

Anna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Próbujesz się wymigać? – spytała.

Jens patrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

– Na to wygląda. Ale możemy też zostać tutaj. Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Anna, siadając. – Chcę tylko, żebyś mi wszystko wytłumaczył.

Jens przyglądał się jej zatroskanym wzrokiem. Nagle zaczął płakać. Anna spojrzała na niego zszokowana. Po raz pierwszy widziała ojca płaczącego.

– Nigdy nie chcieliśmy cię zranić, maleńka – powiedział Jens.

Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, zagubiony i samotny. Ubrany był w dzinsy i koszulę, która opinała mu brzuch; włosy wymagały strzyżenia.

Anna miała ściśnięte gardło.

Jens usiadł naprzeciwko niej na skórzanym fotelu. Długo przyglądał się swoim dłoniom.

– Cecilie nie wie o naszym spotkaniu – odezwał się po chwili z wyraźnym wahaniem. – Rozmawiałem z nią wczoraj, ale nic jej nie powiedziałem. Pomyślałem, że najpierw rzeczywiście powinniśmy porozmawiać sami...

– O to cię prosiłam – odpowiedziała Anna spokojnie.

Jens spojrzał na nią z wyraźną ulgą, ale zauważył, że mimo ugodowego tonu jej oczy miotają gromy.

– Powiedz mi, kim jest Sara? Gdzie ona jest i dlaczego nigdy o niej nie słyszałam? Obiecuję, że uważnie cię wysłucham. Chcę to zrozumieć.

Jens patrzył na nią przerażony.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie okłamiacie – mówiła Anna dalej drżącym głosem – to mnie stracie. Mówię poważnie. A teraz liczę do dziesięciu. Masz dziesięć cholernych sekund, żeby zacząć mówić.

Zacząła liczyć kiedy doszła do trzech, Jens odkaszlnął.

– Kiedy Cecilie była z tobą w ciąży, wszystko zapowiadało się doskonale. Byliśmy w sobie zakochani i bardzo szczęśliwi, że będziemy mieli dziecko. Niemal nie wierzyłem własnemu szczęściu. Miałem niespełna dwadzieścia lat, a ta cudowna, atrakcyjna, dorosła kobieta wybrała właśnie mnie. Mieszkaliśmy oczywiście razem, w jej domu. Cecilie pracowała, ja studiowałem; lato zdawało się nie mieć końca. Malowaliśmy pokój dziecięcy, nad

blatem do przewijania twoja mama powiesiła plakat z Che Guevarą; z materiału i z gąbki zrobiła ogromnego, kolorowego węża.

Jej brzuch rósł, świeciło słońce, a ja dalej byłem w siódmym niebie. No i w końcu się urodziłaś. Była zima. Dzień był ciemny i ponury, poród się przedłużał, Cecilie dzielnie walczyła i nagle było po wszystkim, przyszłaś na świat. Na zewnątrz było dziesięć stopni mrozu i bezchmurne, rozgwieżdżone niebo. Pamiętam, że kiedy wróciłem do domu, do Braenderup, stanąłem w pokoju, którego okna wychodziły na ogród, i patrzyłem w niebo. Zostałem ojcem. Ty i mama wróciłyście do domu po pięciu dniach, po Bożym Narodzeniu, ale przed Nowym Rokiem.

Nagle Jens chwycił się rękami za głowę.

– Od samego początku wiedziałem, że coś jest nie tak
– powiedział.

Anna czuła, że całe jej ciało jest spięte.

– Z mamy plecami, tak? – weszła mu w słowo.

– Dostała depresji poporodowej. Nie chciała cię widzieć. Historia z jej chorym kręgosłupem jest wymyślona.

Anna siedziała sparaliżowana. Słowa Jensa przeszyły ją jak szpada, którą ktoś dźgnął ją w oko, a potem pchał dalej, kalecząc jej przełyk, gardło, całe jej wnętrze, aż w końcu dotarła do jej stóp, całkowicie ją unieruchamiając. Zrobiło jej się niedobrze.

Jens spuścił wzrok.

– Nie przyjmowałem tego do wiadomości, chociaż przecież widziałem, co się dzieje. Przystawiała cię do piersi, ale unikała twojego wzroku. Bo ty na nią patrzyłaś, całą swoją maleńką osobką próbowałaś ściągnąć na siebie jej uwagę. A ona siedziała z tobą w ramionach i wyglądała przez okno, obserwując zlatujące się do karmnika ptaki. Po karmieniu szybko się ciebie pozbywała. Kładła do łóżeczka z drewnianymi szczebelkami albo na kocu na podłodze. Kiedy próbowałem z nią o tym rozmawiać, mówiła, że jest po prostu zmęczona. Nagle oświadczyła, że straciła pokarm. Nie wierzyłem jej. Kilka dni wcześniej widziałem ją pod prysznicem; stała z zamkniętymi oczami i uniesioną do góry głową. Szukałem czegoś i wszedłem do łazienki; zobaczyłem spływające po jej brzuchu mleko, którego krople spływały do odpływu w podłodze.

Wieczorem w łóżku zacząłem z nią rozmawiać. Była połowa stycznia, miałaś może trzy tygodnie. Cecilie dostała ataku szału. Nigdy jej takiej nie wiedziałem. Krzyczała, płakała, biła się po twarzy. „Jestem złą matką? To chcesz mi powiedzieć?!”, wyrzaskiwała.

Leżałaś w swoim łóżeczku i płakałaś. Zabrałem cię do pokoju, gdzie na co dzień pracowałem. Czułem się okropnie. W końcu udało mi się cię uspokoić. Po kilku godzinach, w środku nocy, obudziłaś się. Byłaś głodna. Poszedłem z tobą do sypialni, gdzie leżała Cecilie, ale ona nie chciała na ciebie nawet spojrzeć. Nie wiedziałem, co robić. W końcu podałem ci łyżeczką trochę zwykłego

mleka. W domu nie było nawet butelki czy smoczka. Będąc w ciąży, Cecilie nie mogła się doczekać, kiedy zaczniesz cię karmić. Następnego dnia wszystko kupiłem: butelki, smoczki, mleko w proszku. Poszedłem na zakupy sam, na dworze wciąż panował mróz. Kiedy wychodziłem z domu, Cecilie siedziała przy oknie i patrzyła na ogród. Ty leżałaś na kocu, przykryta kołderką. Pamiętam, że spytałem, czy nie weźmie cię na ręce, a ona odpowiedziała poirytowana, że przecież śpisz.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem. Kiedy wróciłem, ty nadal leżałaś na podłodze, ale Cecilie nie było. Zacząłem jej szukać, sprawdziłem we wszystkich pokojach, chodziłem, wołałem. Wróciła dwie godziny później, pokryta białym śnieżnym puchem z zaróżowionymi od mrozu policzkami. Była w wyraźnie lepszym nastroju. Przygotowałem butelkę mleka i zaproponowałem Cecilie, żeby cię nakarmiła. Ona jednak stwierdziła, że musi wziąć prysznic. „Ty ją nakarm, na pewno potrafisz”, powiedziała. Kilka dni później wróciłem do pracy – dokończył Jens i westchnął.

Anna widziała, jak drga mu jabłko Adama.

– Wszystko było dobrze – zaczął po chwili.

Nagle jego wzrok spochmurniał.

– Nic nie było dobrze! – wybuchnął. – Nie dawałem rady, Anno. Nie mogłem na to patrzeć. Kiedy skończyłaś pięć tygodni, przyszła pielęgniarka środowiskowa. Była u nas już wcześniej, ale wtedy wszystko jeszcze wydawało się w porządku. Wtedy radziła, żeby nie stresować

Cecilie, nie zmuszać jej do karmienia piersią. Powiedziała, że można karmić dziecko butelką, że to nic złego. Że wiele matek cierpi na depresję poporodową. Że jesteś ślicznym, zdrowym dzieckiem, i żebym zadzwonił do niej w razie jakichkolwiek problemów. Nie zadzwoniłem. Kiedy zjawiała się następnym razem, była wyraźnie zdenerwowana. Straciłaś na wadze, trudno było nawiązać z tobą kontakt.

To popołudnie zmieniło nasze życie. Cecilie nie chciała cię karmić. Powiedziała to pielęgniarce wprost. Że czuje obrzydzenie, kiedy ci się ulewa, kiedy się ślinisz. W pokoju był bałagan, nie wiedziałem, co robić. Pielęgniarka zadawała mnóstwo pytań, po jakimś czasie zjawił się lekarz. Cecilie przyznała, że właściwie wolałaby, żeby ciebie nie było. Przyznała też szczerze, że zdarza się jej zostawić cię samą. Nagle dostrzegłem, jak bardzo schudła, jakby wyschła. Pielęgniarka popatrzyła na mnie wzrokiem, którego nigdy nie zapomnę, i spytała, czy wiem, że dziecko może umrzeć z braku miłości. To się zdarza, powiedziała.

Lekarz zbadał Cecilie i długo z nią rozmawiał. Potem zabrał ją ze sobą. Pielęgniarka podała mi ciebie i zajęła się pakowaniem twoich rzeczy. „Musimy obserwować małą, powiedziała. Chodzi o dobro pańskiej córeczki. To pewnie zajmie trochę czasu”, dodała, patrząc na mnie z mieszaniną wyrzutu i współczucia. I zabrała cię ze sobą. Dopiero wtedy jakby obudziłem się z letargu. Zacząłem biegać po domu i wrzeszczeć jak zranione zwierzę.

Anna otarła łzę; Jens siedział i dalej przyglądał się swoim dłoniom.

– Ruszyła biurokratyczna karuzela. Twoja mama trafiła do szpitala. Nie chciała cię widzieć. Mnie też nie chciała widzieć. Zdawała się nieobecna, obojętna na wszystko. Wyglądało na to, że nie pozwoli mi cię zatrzymać. Minęły trzy, może nawet cztery tygodnie. Wziąłem urlop. Ciągłe wzywano mnie na rozmowy, niekończące się przesłuchania, badania. Był rok 1978. Samotny ojciec był wtedy rzadkością. – Uśmiechnął się smutno. – Takie sprawy były rzadkością. Sprawę uznano za precedensową.

Jens zamilkł, wyraźnie czuł się dumny.

– Pozwolono, żebyś wróciła do domu. Ale ja nadal czułem się okropnie. Miałem wrażenie, że wszystkich zawiodłem: Cecilie, ciebie. Fizycznie szybko odrabiałaś straty. Niemal cię pasłem, nie karmiłem. – Znów się uśmiechnął. – W nocy spałaś obok mnie, a kiedy się budziłaś, patrzyłem ci głęboko w oczy – powiedział, ocierając łzy. – Początkowo odwracałaś główkę, ale w końcu zmusiłem cię, żebyś na mnie patrzyła. Leżeliśmy godzinami na łóżku, patrząc sobie w oczy.

Anna płakała.

– Spotkałem się z lekarzem Cecilie. Okazało się, że cierpi na bardzo ciężką depresję poporodową. To nie była jej wina. Po ciąży dochodzi u kobiety do zachwiania równowagi hormonalnej, niekiedy tak drastycznej, że pojawia się depresja. Tak właśnie stało się w przypadku

Cecilie. Przepisano jej lekarstwa, zaczęła chodzić na terapię, ale nadal nie chciała widzieć ani ciebie, ani mnie. Minęło kilka miesięcy.

Jens znów zamilkł i spojrzął na Annę wzrokiem przepełnionym miłością.

– Nazwałem cię Sara, co po hebrajsku znaczy Księżniczka.

Znów zmilkł. Dopiero po dłuższej chwili wrócił do swojej opowieści.

– Byłem wykończony, ale szczęśliwy, no i jakoś sobie radziłem. Kupiłem specjalne nosidełko, żeby nosić cię na plecach. Musiałem wrócić do pracy. Ustawiłem biurko tak, żebym mógł pisać na stojąco. Oczywiście pracowałem mniej niż wcześniej, ale jakoś to szło. Siedziałaś sobie z tyłu, a raczej leżałaś na moich plecach, i machałaś rączkami i nóżkami. Ciekawe, jak to się odbiło na moich analizach politycznego wpływu zimnej wojny na politykę europejską – roześmiał się. – Po jakimś czasie pojawiła się u nas nowa pielęgniarka; poprzednia wyjechała na Grenlandię. Pamiętam dzień, w którym przyszła się z nami pożegnać. Powiedziała, że jest ze mnie dumna. Kiedy już staliśmy w drzwiach, uściskała mnie na pożegnanie. „Poradzisz sobie, Jens”, powiedziała; a ja wiedziałem, że ma rację.

Z czasem Cecilie zaczęła się czuć lepiej. Zaczęła nas odwiedzać. I zachwycać się tobą. Chciała wrócić do domu. Powoli zacząłem wierzyć, że kiedyś będzie to możliwe. Lekarstwa sprawiły, że czuła się zmęczona, jej

skóra zrobiła się cienka, ale apatyczny wzrok zniknął. Wspaniale było obserwować, jak zaczyna się tobą interesować. A ty byłaś śliczna, pulchniutka, wesoła i niczego nie miałaś jej za złe; przeciwnie, wyciągałaś do niej rączki i się uśmiechałaś.

Dwie sprawy kładły się jednak cieniem na naszym odzyskanym szczęściu. Cecilie nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się o jej depresji. Wstydziła się choroby i prosiła, żebym to uszanował. Wymyśliła, że powie wszystkim, że po porodzie miała problemy z kręgosłupem i musiała leżeć w szpitalu.

Przydzielono nam nową pielęgniarkę. Kiedy przyszła do nas po raz pierwszy, uzmysłowiłem sobie, że też przyjąłem wersję Cecilie. Powiedziałem pielęgniarce, że nie mam twojej karty zdrowia, chociaż jej poprzedniczka zostawiła nam ją z prośbą o przekazanie jej swojej następczyni. Kłamstwo przyszło mi łatwo. Spaliłem kartę i opowiedziałem historię o dolegliwościach kręgosłupa.

Minął już prawie rok i oczywiście ludzie podejrzewali, że coś jest nie w porządku. Mieliśmy wielu przyjaciół, głównie w Kopenhadze, znajomych ze studiów. Ale nikt się szczególnie nie dopytywał. Pierwszy rok po narodzinach dziecka zwykle bywa trudny. Wszyscy to wiedzieli. Kiedy w końcu najgorsze minęło i znów byliśmy gotowi stawić czoło światu, zaczęliśmy odwiedzać dawnych znajomych. Opowiadaliśmy o problemach Cecilie: kłopoty z kręgosłupem, znajomi kiwali głowami ze zrozumieniem. Współczuli nam.

W Braenderup też nie było problemów. Niedawno się tam sprowadziłem, potem Cecilia urodziła cię, i dopiero później, po jakimś czasie, staliśmy się częścią miejscowej społeczności. Rok później utrzymanie czegoś takiego w tajemnicy zapewne byłoby niemożliwe.

Nagle mieliśmy wrażenie, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Cecilie rozkwitała. Pomalowała pokoje, uszyła nowe firanki. Uwielbiała zajmować się domem. Jesienią dostałaś nowe imię. To drugi z tych cieni, o których ci wspomniałem – wyjaśnił Jens. – Sara to takie piękne imię. Anna oczywiście też – dodał pośpiesznie. – Tyle że ja przywykłem już do Sary. Jeszcze przez wiele lat tak cię nazywałem, kiedy nikt tego nie słyszał. Pamiętasz, że kiedy urodziła się Lily, zaproponowałem, żebyście dali jej na imię właśnie Sara?

Anna przytaknęła.

Jens milczał, jakby wyczerpał cały swój zasób słów.

Łzy na policzkach Anny już wyschły, ale ona też nie wiedziała, co powiedzieć. Ojciec patrzył na nią spięty, najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że właśnie w tej chwili zapada na niego wyrok.

– Tato – odezwała się w końcu Anna. – Zawsze byłeś twardym analitykiem politycznym, ludzie cię cenią, ale i obawiają się cię; a w stosunku do Cecilie okazałeś się jak z waty.

Zamierzała być wobec ojca surowa, ale sama słyszała, jak wiele miłości jest w jej głosie.

– Jak to możliwe, że na to pozwoliłeś? Mama była

bardzo chora, a ty przez dwa miesiące zostawiałeś mnie z nią samą w domu. To nie były żarty. To w ogóle nie powinno było się zdarzyć. A jednak się zdarzyło. Ale trudno, zrozumiałabym. To nie była wina mamy. Nie pojmuję, dlaczego to przede mną ukrywaliście – powiedziała zamyślona. – Gdybyś wiedział, ile rzeczy widzę teraz w innym świetle – dodała po chwili.

Siedziała i patrzyła przed siebie. Jens uniósł brwi, nieco zdziwiony, i zaczął się tłumaczyć.

– Kiedy poznałem Cecilie, miałem osiemnaście lat. Ona miała dwadzieścia pięć. Mieszkałem w bloku razem z rodzicami. Ona była samodzielną, dojrzałą kobietą. Podziwiałem ją. Była piękna. Skończyła studia i właśnie zamieszkała w swoim pierwszym, własnym domu. Z nas dwojga zawsze była tą silniejszą.

– Na pewno dominującą – weszła mu w słowo Anna.

– Nazwij to, jak chcesz. Chociaż pewnie ja rzeczywiście zawsze byłem bardziej wycofany, spokojniejszy. Można powiedzieć, że byłem obecny, ale nie zabierałem głosu. Cecilie był odważna; to ona ustalała porządek dnia, rozdzielała role. Obojgu nam to odpowiadało. Na spotkaniach, gdzie dyskutowano o polityce, ona wstawiała i prezentowała swoje wizje. Ja pisałem to, co miałem napisać, ale rzadko cokolwiek mówiłem. Jestem pewien, że wiele osób nie pojmowało, co ona we mnie widzi. Ale my się doskonale uzupełnialiśmy. Cecilie była ekstrawertyczką, głośno mówiła, rzucała się w oczy. Ja byłem lojalny, elastyczny i

ubóstwiałem ją. Dlatego się rozwiedliśmy. Bo jednak to nie zdawało egzaminu. Cecilie potrzebowała kogoś, kto będzie stawiał jej opór. Ja nawet próbowałem, ale to nie było to, czego ona oczekiwała. Chociaż tak naprawdę to właściwie nigdy się nie rozstaliśmy. My nadal się kochamy, Anno. Naprawdę.

Więc wtedy ona poprosiła, żebym milczał. Mówiła, że chce o tym zapomnieć. Zacząć od początku. Nie widziała potrzeby, dlaczego mielibyśmy wracać do czegoś, o czym właściwie należało jak najszybciej zapomnieć. Także ze względu na ciebie. W głębi duszy wiedziałem, że kiedyś przyjdzie nam zapłacić za to cenę. W końcu jednak przekonała mnie, że tak będzie najlepiej.

Jako nastolatka, byłaś na nas wręcz niewiarygodnie zła. Dużo o tym rozmawialiśmy. Zastanawialiśmy się, czy może jednak o wszystkim wiesz? Że tkwi to gdzieś w twojej podświadomości. Cecilie zaczęła chodzić do psychologów i dostawała sprzeczne informacje, które jeszcze bardziej mieszały nam w głowach. Jakby tego było mało, nagle w naszym życiu pojawił się Troels... Wiesz, że on... – zaczął Jens, zawahał się, ale nie kontynuował wątku. – Wiedzieliśmy, że cię kochamy, że, najlepiej jak potrafiliśmy, staraliśmy się wynagrodzić ci to, co się stało. I nawet, kiedy byłaś zbuntowaną nastolatką, byłaś śliczna i cudowna, pełna życia. Wtedy pojawił się Troels. Uznaliśmy, że on nas potrzebuje bardziej. Cecilie niemal rzuciła się na niego. Bałem się, że będziesz zazdrosna, ale na szczęście go polubiłaś. Cecilie

oświadczyła kiedyś, że on nigdy niczego nie dostał. Miało to związek z tobą; chodziło jej chyba o to, że są inni, którzy mają gorzej – powiedział Jens, odwracając głowę.

Anna poprawiła się na kanapie. Była poirytowana.

– Tato – zaczęła cicho. – Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Cecilie o tych dwóch miesiącach? Kiedy wychudłam i stałam się apatyczna?

Powiedziała to celowo, jakby obracała nóż w ranie.

Jens patrzył na nią dłuższą chwilę. Poruszył się w fotelu i jakby zapadł się w sobie.

– Nie – odezwał się w końcu. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Anna widziała, że jest przygotowany na najgorsze. Ona jednak była spokojna.

– W porządku – oświadczyła. – Spytam ją kiedyś o to.

Jens patrzył nieszczęśliwy na swoją córkę, ale nic nie powiedział.

– Całe życie dbamy o mamę, ja i ty – ciągnęła dalej Anna. – Mama była chora, jest taka delikatna. Nie krzycz, nie mów tak głośno, nie odzywaj się tak do matki, będzie jej przykro. Chroniłeś ją, sądząc, że tak jest najlepiej. Wiem – mówiła Anna.

W pewnym momencie nachyliła się nad stołem i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Ale to bzdura, Jensie Nor – powiedziała. – To nic niewarte, dlatego trzeba z tym skończyć.

Anna zerknęła na zegarek. Odczyt Freemana miał się zacząć za pół godziny. Musi iść. Wstała i podeszła do

drzwi. Położyła rękę na klamce; nagle się odwróciła i przytuliła do ojca.

– Ty głuptasie – szepnęła. – Wiesz, że jesteś głuptas, prawda? Jens położył głowę na jej ramieniu i stali tak chwilę, objęci, bez słowa.

W końcu Anna zaczęła iść. Kiedy doszła do schodów, usłyszała jego głos.

– Anno?

Widziała, jak Jens, drżąc z zimna, idzie w jej stronę.

– Chciałem ci powiedzieć, ale mi przerwałaś. Chodzi o Troelsa. Był tu. W środę wieczorem.

Anna zatrzymała się i spojrzała na ojca. Jego słowa ją zmroziły.

– Był tutaj?

– Tak. Zasnąłem przed telewizorem i nagle obudziło mnie pukanie do drzwi. Na zewnątrz stał Troels. Najpierw w ogóle go nie poznałem! Potem próbowaliśmy policzyć, ile lat się nie widzieliśmy. Wyszło nam, że dziesięć. Poczestowałem go herbatą. Był okropnie zziębnięty. Wracał z jakiegoś studenckiego spotkania, przechodził obok i pomyślał, że wpadnie. Przyznał, że już wcześniej tu zaglądał, ale nie miał szczęścia. Z tobą też podobno próbował się skontaktować. Ma ciekawe plany. Chce się dostać na Akademię Sztuk Pięknych. To znacznie lepszy pomysł niż ta jego praca modela. I wiesz co? Powiedział mi, że Karen już studiuje, właśnie na Akademii. Świetnie, prawda? Wiedziałaś o tym? Tak się cieszę, że znów się widujecie – zakończył rozpromieniony.

Nagle spojrział na twarz Anny.

– Coś się stało? – spytał.

– To wszystko jest takie dziwne – odpowiedziała Anna z wahaniem. – Spotkałam go wczoraj. Na ulicy. Nic mi nie mówił, że mnie szukał.

– Prawdę mówiąc, mnie też wydał się nieco dziwny. Początkowo uznałem, że pewnie jest naćpany. Drżał, był zdenerwowany. Kiedy jednak wszedł do środka, wyraźnie poczuł się lepiej. No i był też zdecydowanie za lekko ubrany, pożyczyłem mu sweter. Jego rodzice nie żyją. Wiedziałaś o tym? Najpierw umarła matka, na raka piersi, ojciec zmarł w zeszłym roku. Mówił mi, że po śmierci matki jego kontakt z ojcem właściwie się urwał. Jego siostra jest prawniczką i pracuje w Kopenhadze. Z nią też chyba praktycznie nie ma kontaktu – referował jej dalej Jens.

– Umówiliśmy się z Karen, że spotkamy się w trójkę. Jak tylko to wszystko się skończy. Kiedy obronię pracę i... załatwię sprawy z Cecilie.

– Zrobisz, co uznasz za słuszne, skarbie – rzekł Jens.

Anna już miała go spytać, czy to znaczy, że ma milczeć, ale powściągnęła swoją wolę walki.

– Tak, zrobię to, co uznam za stosowne – powiedziała cicho i ruszyła szybkim krokiem w stronę Norreport, skąd pojechała metrem do Bella Centret.

Kiedy wkładała klucz w zamek, było już po ósmej. Karen i Lily siedziały w pokoju i bawiły się modeliną.

Lily była w pizamce, ale miała na sobie plastikowy fartuszek. Na stoliku leżały cztery kolorowe rysunki Lily, obok stały figurki z modeliny.

– Jakie piękne – powiedziała Anna szczerze. – Sama to wszystko zrobiłaś?

Lily przywarła do niej i mocno ją trzymała, każdym mięśniem swojego małego ciała.

– Tak, ja sama z ciocią Karen.

Anna zjadła resztki z kolacji Karen i Lily. Gdzieś w jej głowie kolejne części układanki trafiały na swoje miejsce. Za oknem wiał jesienny wiatr; gdzieś w jednej z muzealnych sal siedział Tybjerg, Helland leżał w ziemi, a Najbardziej Irytujący Policjant Świata rozpierał się pewnie na kanapie z żołądkiem pełnym klopsików, przygotowanych mu przez żonę. Do diabła z nim.

Zupa pomidorowa była wyśmienita. Później Anna położyła córeczkę do łóżeczka, położyła się obok niej w ciemności i opowiedziała jej historię o ptaszku, który wykluł się z jajka z nartami przypiętymi do nówek. Leżała przy niej tak długo, aż Lily zasnęła.

Kiedy wróciła do pokoju, Karen siedziała na kanapie i czytała. Anna usiadła obok niej. Przyjaciółka podniosła wzrok, jakby chciała spytać: i co?

– Po urodzeniu mnie Cecilie dostała depresji poporodowej – zaczęła Anna. – Przez pierwsze tygodnie była w domu; dopiero po jakimś czasie zorientowano się, że chudnę. Cecilie nie chciała mnie karmić. Trafiła do szpitala, a Jens został samotnym ojcem. Mówił do mnie

Sara. Kiedy skończyłam dziewięć miesięcy, Cecilie wróciła do domu. Była zdrowa, a przynajmniej na tyle, że mogła opuścić szpital. Ale nie podobało jej się imię Sara. Więc zmieniono mi imię, tak jak się zmienia nazwę pliku.

Anna zamilkła, Karen siedziała i patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Powiedz mi szczerze: wiedziałaś o tym? Może słyszałaś coś od swojej mamy?

Oczy Karen znów zrobiły się bardzo ciemne; wzięła twarz Anny w swoje dłonie i przyciągnęła lekko do siebie.

– Anno – zaczęła czule. – Kocham cię i przysięgam, że o niczym nie wiedziałam. Czy moja matka coś wiedziała, tego nie wiem. Ja na pewno nie. Dlaczego, na litość boską, tyle lat to przed tobą ukrywali?

Anna oswobodziła się z uchwytu przyjaciółki.

– Żeby chronić Cecilie – powiedziała głuchym głosem. – W naszej rodzinie to zawsze było najważniejsze: wszyscy zawsze chroniliśmy Cecilie.

Długo siedziały w milczeniu.

– To bez sensu – stwierdziła w końcu Karen.

Wypiły wino. Anna odchyliła się do tyłu i oparła głowę o plecy kanapy, zamknęła oczy.

– Troels – powiedziała nagle Karen. – Chyba nie zmieniłaś zdania?

– Umówiliśmy się. Ja dotrzymuję słowa. – Anna uśmiechnęła się i otworzyła oczy. – A skoro o nim mowa, to rzeczywiście postanowił powrócić do świata żywych – stwierdziła chłodno. – W środę odwiedził Jensa; gdybym

teraz zadzwoniła do Cecilie, pewnie okazałoby się, że właśnie jest u niej i podlizuje się jej, wychwalając ją pod niebiosa, jakby była Piękną Heleną – dodała Anna, wydając z siebie dźwięk, który w zamierzeniu miał być śmiechem.

– Mam wrażenie, że on się boi – powiedziała Karen.

– Kogo się boi?

– Ciebie.

– Dlaczego?

– Bo masz zęby wampira i dwa ogony.

Anna spojrzała na nią rozdrażniona i właśnie miała zacząć się bronić, kiedy Karen znów zaczęła mówić.

– Jeśli samemu jest się zaledwie chomikiem, to możesz wydawać się nieco przytłaczająca.

– Naprawdę uważasz, że taka jestem? Przytłaczająca?
– spytała Anna cicho.

– Dla mnie bycie z tobą jest wyzwalające, ponieważ obie bywamy przytłaczające. Będąc z tobą, nie muszę cały czas myśleć o tym, jakie robię wrażenie na ludziach; mogę po prostu być sobą. Dlatego tak trudno mi pojąć, czemu nie widziałyśmy się prawie dziesięć lat!

– Bo tamtej nocy się na mnie wściekłaś.

– To prawda. I co z tego? Nie byłaś w stanie tego znieść?

Anna wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz tamtą noc? – spytała Karen. – Byliśmy na haju. A Troels nas zaskoczył, bo przecież obie wiedziałyśmy, że jest gejem. Skąd przyszedł nam do

głowy ten szalony pomysł, żeby się kochać...

– Nie nam, tylko wam – poprawiła ją Anna.

– Nieważne – skwitowała Karen.

Podciągnęła nogi i zaczęła odpowiadać.

– Kiedy poszłaś do łazienki, zaczęliśmy się całować.

Tak naprawdę byłam w nim strasznie zakochana. Wyglądał bosko. Nie potrafiłam się pogodzić z tym, że był homo. Miałam dziewiętnaście lat i wierzyłam, że... mogę go zmienić – roześmiała się. – No więc, jak mówiłam – kontynuowała po chwili – zaczęliśmy się całować. Pomyślałam, że sobie ze mnie drwi, ale nagle zauważyłam, że mu staje. Jego członek zrobił się megatwardy, jak żelazo. Podobno dziewczyny nie kręcą gejów, a tu proszę... Wszystko szło dobrze, do momentu, kiedy kopnęłaś go tak, że upadł na podłogę. Oszalałaś. Krzyczałaś, wrzeszczałaś, napadłaś na niego. Stał biedak z tym swoim zwiędniętym kutasikiem, a ty okładałaś go pięściami.

Karen nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Anna zachowała kamienną twarz.

– To wcale nie jest zabawne – mruknęła.

Karen zamrugwała.

– Biorąc pod uwagę, że sama od czasu do czasu rzucasz koktajlami Mołotowa, to jesteś bardzo wrażliwa – stwierdziła zdziwiona.

– Tej nocy... Co ja mu wtedy powiedziałam? – spytała Anna.

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam tylko, że byłam wściekła. Poruszałam ustami i widziałam przed oczami krew!

– Upokorzyłaś go – stwierdziła Karen spokojnie. – Powiedziałaś...

– Chyba jednak nie chcę tego słuchać – przerwała jej Anna.

Uniosła do góry rękę i odwróciła się.

– Teraz to i tak nie ma już znaczenia – odezwała się Karen ugodowo.

– Wciągałam wtedy kokę.

– Kiedy niedawno się spotkaliśmy, powiedział, że wyszedł, bo niewiele brakowało, a byłby uderzył cię w twarz i zrobił z ciebie miazgę, tak jak później z ojca – wyznała Karen, przyglądając się Annie uważnie.

– Obie znałyśmy jego domową sytuację. Ojciec bez przerwy miał mu coś za złe. Nie wiedziałyśmy natomiast, że z czasem przemoc przybrała formę fizyczną. Ojciec potrafił doprowadzić go do szewskiej pasji. Raz Troels w końcu nie wytrzymał. Uderzył ojca, a ten mu oddał. Potem dochodziło już do regularnych bójek. Kiedy teraz mi o tym opowiadał, śmiał się z tego. Sytuacja była rzeczywiście groteskowa. Ostatnim razem, kiedy się widzieli, ojcu Troelsa udało się wyjąć szufladę z nocnego stolika i rzucić nią w syna. Troels musiał odejść od łóżka chorego ojca i udać się na izbę przyjęć.

Karen znów się roześmiała.

– Coś podobnego stało się tamtej nocy. Upokorzyłaś go. Nie mógł tego znieść.

– Przestań – powiedziała Anna i podeszła do okna. – I co teraz? – wyszeptała. – Chce, żebyśmy znów byli przyjaciółmi? Bo minęło dziesięć lat? Bo odeszła mu ochota mnie bić?

– Wszyscy się zmieniliśmy.

Anna poszła do łazienki; kiedy wróciła, Karen wrzuciła krążek do odtwarzacza, stanęła w oknie i zaczęła nucić stary duński przebój.

– Birgit w końcu się z tobą skontaktowała? – spytała nagle w środku kolejnej zwrotki.

– Nie – odpowiedziała Anna i zastygła. – Dzwoniła? – spytała zdziwiona.

– Koło piątej. Podała mi swój numer telefonu, a ja podałam jej numer twojego telefonu komórkowego.

Anna doskoczyła do kurtki, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i zobaczyła, że rzeczywiście ma nową wiadomość. Birgit próbowała się z nią skontaktować nieco po piątej; zostawiła jej wiadomość: „Muszę z tobą porozmawiać. To ważne. Jutro po południu wyjeżdżamy z Nanną do naszego domku na wsi. Czy możemy się spotkać przed wyjazdem? Najchętniej dzisiaj wieczorem. Bardzo cię proszę. Zadzwoń do mnie. Mogę po ciebie podjechać. Dziękuję”.

Anna poszła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą. Zrobiła lekki makijaż i umyła zęby. Przed wyjściem z łazienki zadzwoniła do Birgit. Rozmawiały niecałą minutę. Birgit obiecała, że podjedzie po nią. Umówiły się

za dwadzieścia minut na rogu Jagtvej i Borups Alle. Anna zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zajrzała do pokoju i rzuciła niby mimochodem:

– Zanocujesz, prawda?

– Ostrzegałam, że łatwo się mnie nie pozbędziesz. Hej, a co to za przemiana? – Karen zagwizdała cicho.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – zaczęła się tłumaczyć Anna. – Muszę pojechać do Birgit Helland. Chce ze mną rozmawiać. Przyjedzie po mnie. Wrócę pewnie za kilka godzin – dodała, zerkając na zegarek. – Gdyby jednak tak się nie stało i rano, kiedy się obudzisz, mnie tu nie będzie, to masz natychmiast dzwonić do Sørena Marhaug’a i wszczać alarm, dobrze? – powiedziała, podając przyjaciółce karteczkę z zanotowanym numerem telefonu komórkowego Sørena.

– Jak to? Nie rozumiem. Dlaczego miałoby cię tu rano nie być?

– Pewnie trochę przesadziłam – stwierdziła Anna lekko.

Wyszła do przedpokoju, Karen podążyła za nią.

Anna włożyła swoją wojskową kurtkę, sprawdziła, czy ma naładowany telefon komórkowy, a na koniec otworzyła jedną z szafek i ze skrzynki z narzędziami wyjęła niewielki, ostry śrubokręt.

– Po co ci on? – chciała wiedzieć Karen.

Anna chwyciła ją za ramiona i spojrzała jej głęboko w oczy.

– Proszę, nie martw się o mnie. Niech Bóg ma w

swojej opiece tego, kto chciałby mnie skrzywdzić – powiedziała, uśmiechając się.

– Po prostu lubię czuć się bezpiecznie. Mam lekką paranoję, a poza tym nie mam ochoty stać się pokarmem dla glist – dodała i pocałowała Karen w policzek. – Niedługo się zobaczymy – zapewniła przyjaciółkę i zanim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć, zamknęła za sobą drzwi.

Na dworze prószył śnieg, ale jezdnia była czarna i mokra. Anna stanęła na rogu, obok sklepu z rowerami. Za szybą stał różowy dziecięcy rowerek.

Nagle zatrąbił samochód.

Birgit Helland zatrzymała się przy krawężniku i otworzyła drzwi od strony pasażera. Anna wskoczyła do środka. Birgit sprawiła wrażenie zmęczonej.

– Witaj, Anno – powiedziała matowym głosem.

Anna zajęła się zapinaniem pasów.

– Możemy pojechać do mnie? – spytała Birgit. – Jest zimno, nie mam siły siedzieć i rozmawiać w samochodzie. Nie mam też ochoty iść dokądś, gdzie jest dużo ludzi. To był wyczerpujący dzień – podsumowała i uśmiechnęła się smutno.

Anna skinęła głową.

– Dziękuję, że przyszedł na pogrzeb – rzuciła Birgit, skupiając się znów na drodze.

– To chyba oczywiste.

– Bynajmniej. Ale cieszę się, że przyszedł.

Rozumiem, że nie zjawiałaś się potem na poczęstunku. Niewiele brakowało, a też bym nie przyszła – dodała.

– Byłam z kimś umówiona.

– Oczywiście, rozumiem.

Jechały chwilę w milczeniu.

– Co zrobiłaś ze swoją córeczką? – spytała nagle Birgit, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

– Została w domu. Moja przyjaciółka, Karen, się nią opiekuje – odpowiedziała Anna, starając się brzmieć spokojnie.

Zastanawiała się, dlaczego Birgit ją o to pyta.

Była prawie północ, kiedy podjechały pod willę. Na ulicy nie było żywej duszy; stojące po obu stronach drogi samochody świadczyły, że ludzie są w domach. Wewnątrz paliło się światło, poza tym Birgit musiała przed wyjściem dołożyć dREW do kominka, bo kiedy weszły do pokoju, płomienie buchały wysoko.

Gospodyni zaproponowała, żeby napiły się wina, ale Anna grzecznie odmówiła. Birgit nalała sobie kieliszek i wypila dwa łyki. Anna zaczęła się zastanawiać, czy nie piła już wcześniej. Czyżby prowadziła po alkoholu?

Birgit opróżniła kieliszek i znów dołała sobie wina.

– Chodź ze mną na górę, coś ci pokażę – powiedziała.

Anna zostawiła kurtkę na wieszaku w korytarzu, przełożywszy wcześniej telefon komórkowy i śrubokręt do kieszeni dzinsów. Cały czas śledziła Birgit wzrokiem.

Na piętrze unosił się silny zapach kwiatów, Birgit

pchnęła drzwi do łazienki.

– Część kwiatów zabrałam do domu – poinformowała bezdźwięcznym głosem.

W białych plastikowych wiadrach na podłodze w łazience stały kolorowe bukiety.

Szły dalej korytarzem, minęły drzwi do pokoju Nanny, gustownie urządzonego i bardzo uporządkowanego, przynajmniej w porównaniu z tym, jak wyglądał pokój Anny, kiedy była w tym wieku. Na łóżku leżała stara, robiona szydełkiem narzuta; obok znajdowała się toaletka z okrągłym lustrem; na blacie stały buteleczki perfum i iPod. Firanki były odsłonięte, czarne okna patrzyły na Annę złowrogo.

– Nanna poszła nocować do przyjaciółki – powiedziała Birgit, unosząc rękę w geście rezygnacji. – Cóż, życie toczy się dalej – dodała.

Dotarły do końca korytarza i Birgit otworzyła drzwi do zaskakująco dużego pokoju. Po lewej stronie drzwi stało biurko, po prawej kanapa, na której piętrzyły się liczne poduszki. Naprzeciwko drzwi było duże okno, za szybą widać było nagie gałęzie drzewa magnolii. Na biurku stał komputer, który okazał się włączony.

– Coś dzisiaj znalazłam... – oznajmiła Birgit.

Anna zerknęła na monitor i rozpoznała logo banku, w którym też miała konto. Birgit wystukała kod, logując się na stronie.

– Spójrz – powiedziała, wskazując na ekran monitora.

Anna podążyła wzrokiem za jej palcem, zobaczyła

jakieś cyferki, ale nie bardzo wiedziała, o co Birgit chodzi.

– Co to jest? – spytała.

– Pieniądze. Wszystko sprawdziłam. Siedem tysięcy koron miesięcznie. Taką sumę Lars przekazywał co miesiąc przez ostatnie trzy lata na konto w Amagerbanken. Wiesz czyje?

Anna pokręciła przecząco głową.

– Erika Tybjerga.

Zapadło milczenie.

– Co to znaczy? – odezwała się Anna po chwili.

– Nie mam pojęcia. Ale w sumie chodzi o dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron... – powiedziała Birgit, zawieszając głos, jakby chciała, żeby jej słowa wybrzmiały do końca.

Anna przełknęła ślinę. Czuła, że serce bije jej dwa razy szybciej niż normalnie.

– I dopiero dzisiaj pani się o tym dowiedziała?

– Tak. Przelewy szły z prywatnego konta Larsa. W szufladzie biurka znalazłam kartę z kodem dostępu; zalogowałam się, chcąc sprawdzić, ile pieniędzy Lars nam zostawił. Wcześniej Nanna zadała mi pytanie, czy będzie nas stać na zatrzymanie domu; zresztą też chciałam się dowiedzieć, na czym stoimy. No i znalazłam to, co znalazłam. Potem przejrzałam dokładnie wszystkie szuflady, szafy, cały gabinet Larsa.

Birgit, która stała pochylona nad komputerem, wyprostowała się. Anna zauważyła, że po policzkach lecą

jej łzy.

– I co pani znalazła?

– Torbę pełną zakrwawionych chusteczek.

– Co takiego? – spytała Anna, chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszała.

Birgit podeszła do szafy i wyjęła z niej foliową torbę. Pełną chusteczek i papieru. Ze śladami krwi. Anna była przerażona.

– Znalazłam też drugą, schowaną nieco głębiej. Były w niej wszelkiego rodzaju opaski usztywniające – powiedziała Birgit, patrząc nieszczęśliwym wzrokiem na Annę. – I gumowy gryzak, taki, jaki kupuje się ząbkującym niemowlakom. Były na nim ślady zębów. Policja powiedziała mi, że Lars na całym ciele miał ślady po upadkach. Stare ślady. Miał też podobno liczne ślady po dawnych złamaniach; miał połamane palce u rąk i u nóg. Znaleźli też dwie zabliznione rany, które właściwie należało zszyć, ale najwyraźniej nie zgłosił się z nimi do lekarza. Powiedzieli mi o tym, ale chyba nie do końca im uwierzyłam. Bo widzisz, oni mnie podejrzewali. Więc pomyślałam, że zastawili na mnie pułapkę.

Birgit zaczerpnęła powietrza i spojrzała na Annę zdesperowana.

– Erik Tybjerg go szantażował – wyszeptała. – Cały wieczór się zastanawiam, o co mogło chodzić?

Anna czekała w napięciu.

– Dziewięć lat temu u Larsa stwierdzono guz mózgu. Zoperowano go i uznano, że wszystko jest w porządku.

Od tamtej pory Lars nigdy na nic się nie uskarżał. W sierpniu wydaliśmy przyjęcie w ogrodzie, grilla dla przyjaciół z okazji matury Nanny. Nagle Lars upadł. Oczywiście się przestraszyliśmy, ale on zlekceważył cały incydent. Po dziesięciu minutach znów był w znakomitej formie. Grillował dalej, a potem wziął udział w turnieju krokieta.

Nagle Birgit spojrzała na Annę.

– Jednego Lars naprawdę się obawiał. Że straci zdolność myślenia i powoli zacznie stawać się warzywem.

Kiedy wkrótce po tym przyjęciu przeniósł się z naszej sypialni do swojego gabinetu, trochę się zdziwiłam. Wy tłumaczył mi, że nie chce mi przeszkadzać chrapaniem. Rzeczywiście w ostatnim czasie stało się ono bardzo uciążliwe, więc nawet specjalnie nie protestowałam.

Po policzkach Birgit znów poleciały łzy.

– A to była prawdziwa przyczyna – powiedziała, wskazując na foliowe torby. – Nie chciał, żebym się domyśliła, że choroba wróciła. Że znów zaczął się rozwijać guz. Podejrzewam, że Tybjerg o wszystkim wiedział. Wiedział, że Lars jest poważnie chory. Pewnie próbował wykorzystać to przeciwko niemu. Zawsze mu zazdrościł, bo Lars miał etat, a on nie. Jestem pewna, że go szantażował. Bo co innego może to znaczyć? Siedem tysięcy miesięcznie. To dużo pieniędzy. Próbowałam się skontaktować z Tybjergiem. Ale nie odbiera telefonu, nie odpowiada też na mejle. A wiesz, co naprawdę mnie

zdziwiło?

Anna znów pokręciła przecząco głową.

– Tybjerg nie pojawił się na pogrzebie. Nie zastanawia cię to? Nawet Clive Freeman przyszedł. A Tybjerg nie. Myślę, Anno, że on go zabił – stwierdziła Birgit.

– Powinna pani opowiedzieć o tym wszystkim policji.

– Wiem.

– Dlaczego zadzwoniła pani do mnie, Birgit?

– Kiedy ostatnio tu byłaś, widziałam w twoich oczach, że jesteś przekonana, że to ja go zabiłam. Czułam pogardę w twoim głosie.

– Nie sądzę, żeby pani zabiła Larsa – powiedziała Anna łagodnie.

– Ja go kochałam – odpowiedziała Birgit.

Anna wróciła do domu na piechotę. Zajęło jej to półtorej godziny. Przełożyła śrubokręt do kieszeni kurtki, alarm został odwołany.

Nocne niebo było przejrzyste, wiatr się uspokoił, ale było zimno. Szła, machając rękami. Przez moment miała wrażenie, jakby była jedynym człowiekiem na świecie: były tylko ona i miliony gwiazd, świecące wyłącznie dla niej. Nagle u jej boku pojawił się Johannes. Wzdrygnęła się.

– Jesteś za lekko ubrany – powiedziała.

Johannes miał na sobie jedynie wiatrówkę i conversy, był bez czapki i bez rękawiczek.

– Co u ciebie, Anno? – spytał.

– Nie podoba mi się, że nie żyjesz – odezwała się głośno. – To głupio – dodała i poczuła, że ma ściśnięte gardło. – Chciałabym móc cię lepiej poznać.

Odwróciła głowę, ale jego już nie było. Stała chwilę, jakby go wyglądała, gdzieś w ciemności. Jesteś kretynką, Anno, powiedziała sama do siebie i znów zaczęła iść. Po dwóch krokach usłyszała dźwięk swojego telefonu komórkowego. Było wpół do drugiej. Pomyślała, że pewnie dzwoni Karen. Obudziła się i zaczęła zastanawiać, co się z nią dzieje. Wyjęła telefon z tylnej kieszeni spodni i schowała się na chwilę pod dach wiaty przystanku autobusowego.

Esemes był od Johannesesa: „Spotkajmy się”.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w ekran telefonu.

W sobotę przed południem, trzynastego października, Clive ruszył na poszukiwanie kwaciarni. Kiedy w końcu ją znalazł, zadumał się nad kolejami losu. Oto stał i kupował kwiaty na pogrzeb Hellanda.

Zrezygnował ze śniadania w hotelu, więc kiedy już kupił kwiaty, wszedł do kawiarni. Wypił kawę i zjadł bajgla. Pomyślał o Kay, zastanawiając się, co ona teraz robi. Wspomnił ich pierwsze spotkanie. Poznali się przez wspólnych znajomych. Wśród obecnych na przyjęciu kobiet Kay nie wyróżniała się urodą, ale miała w sobie jakiś staromodny wdzięk, który Clive'owi bardzo się podobał. Szybko zostali parą, a w pierwszą rocznicę poznania się wzięli ślub. Klasyczny przypadek, pomyślał Clive, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Potem pojawiły się dzieci, dwóch chłopców niemal jeden po drugim, Franz i Tom. Kay zajmowała się domem, Clive pracą. Pod wieloma względami ich małżeństwo przypominało małżeństwo rodziców Clive'a, z tym wyjątkiem, że Clive bardzo dbał o swoją żonę. Zdawał sobie sprawę, że Kay nie zawsze rozumie, czym on aktualnie się zajmuje, więc starał się przedstawić jej choćby ogólny zarys swoich badań. No i zawsze traktowali się z szacunkiem, w obecności dzieci i kiedy byli sami. Clive bardzo się starał być wobec niej w porządku: inne kobiety go nie interesowały, nie pił, nie grał w karty. No i nigdy dotąd

nie uderzył Kay.

Siedział w kawiarni, patrzył na szary kopenhaski dzień i przeklinał Jacka. To on był odpowiedzialny za większość dramatów w życiu Clive'a. Czterdzieści lat temu rzucił na niego klątwę, której moc nadal trwała. Clive nigdy nie cierpiał tak, jak kiedy Jack zaczął dorastać i nagle po prostu nie miał już dla niego czasu. Nawet intelektualne potyczki z jego własnym ojcem nie kosztowały go tak wiele. Pamiętał nieprzespane noce, kiedy leżał i marzył, żeby Jack wrócił.

Gdy po latach znów się spotkali, uznał to za przeznaczenie. Był naukowcem i właściwie nie wierzył w takie rzeczy, jednak kiedy tamtego dnia zobaczył w auli uniwersytetu Jacka, rozglądającego się wokół swoimi ciemnymi oczami, uznał, że to nie może być przypadek. Coś ciągnęło ich do siebie, wystarczyło skorzystać z okazji. Jednak Jack najwyraźniej tego nie chciał, bo okazji nie brakowało.

Clive potarł czoło. Postanowił, że nie będzie myślał o Jacku.

O szóstej czeka go wykład, a wcześniej pójdzie na pogrzeb Hellanda.

Kiedy Michael i Clive weszli do środka, kościół był już pełen ludzi. W ostatnim rzędzie, tuż obok wejścia, siedział śledczy Marhauge, który skinął mu uprzejmie głową. Kościelny wziął od niego kwiaty, Clive rozejrzał się za miejscem do siedzenia. Tłum popchnął go do

przodu, Michael został z tyłu. W kościele było co najmniej dwieście osób, przed ołtarzem stała trumna, cała w kwiatach. Z przodu z prawej strony siedziała kobieta z młodą dziewczyną, obie ubrane na czarno. Rozmawiały ze sobą cichym głosem, obie pogrążone w żałobie. Pewnie to rodzina Hellanda. Clive zdziwił się, że Helland, który był dla niego taki przykry, w ogóle miał rodzinę. Po drugiej stronie nawy siedziało mnóstwo mężczyzn, jakby Helland miał wielu braci. Wyglądało na to, że najwyraźniej miał wielu kolegów i przyjaciół.

Nieco z tyłu zauważył młodą kobietę, która wyraźnie patrzyła w jego stronę. Miała krótkie, dość jasne włosy, tenisówki, dzinsy i całkowicie niestosowną do okazji wojskową kurtkę z kapturem. Sprawiała wrażenie, jakby była na kogoś zła.

Dlaczego mu się tak przyglądała? Czy na pewno jemu? Spróbował pójść za jej wzrokiem, ale nie znalazł nic, co byłoby godne uwagi. Ludzie byli zajęci zdejmowaniem płaszczy i szukaniem właściwych psalmów.

Kiedy dotarło do niego, że kobieta patrzy jednak na niego, zaczęła się ceremonia.

W Bella Centret Clive stwierdził zadowolony, że na jego wykład stawiało się ponad sto osób. Szukał jakichś znanych mu twarzy, ale nie dostrzegł nikogo znajomego. Po odczycie zaczęła się gorąca dyskusja. Lata doświadczeń sprawiły, że właściwie zdziwiłby się, gdyby

publiczność skwitowała jego wystąpienie milczeniem. Odnotował jednak, że wyniki badań kondensacyjnych nie były tak rewolucyjne, jak Michael i on sam mieli nadzieję – Doświadczenie jest ciekawe – oświadczył jeden ze słuchaczy. – Ale nie równoważy dwustu osiemdziesięciu sześciu apomorfii, które wiążą ptaki z dinozaurami.

– Właśnie – odezwał się inny. – Ontogeneza ręki ptaka to jeden z najslabszych punktów tej teorii. Ale musimy to zaakceptować, bo przecież nie znamy i nigdy nie poznamy procesu rozwoju płodu u dinozaurów. Jednak nawet bez tej wiedzy wiemy dość, by uznać, że pokrewieństwo istnieje. Tak jest, panie Freeman.

– To prawda! – zawołał kolejny uczestnik dyskusji. – Ujmę to tak: mamy układankę, przedstawiającą drapacze chmur w Nowym Jorku. Udało się ułożyć wszystkie jej kawałki, z wyjątkiem jednego. A pan nadal się upiera, że nie wiadomo, co układanka ma przedstawiać.

– Dokładnie tak – wtórował mu kolejny słuchacz.

W tym momencie Clive zwykle po prostu trwał przy swoim, odpierając kolejne ataki. Tym razem jednak szło mu to trudniej niż zwykle. Publiczność nie była grzeczna i posłuszna, nie chłonęła bezkrytycznie jego słów, chociaż nie mógł też powiedzieć, że ktoś zachował się nieelegancko. W oczach zebranych widział szczere zainteresowanie.

Kiedy pół godziny później sala opustoszała, Clive nie potrafił ukryć zawodu. Po wykładzie podeszło do niego kilka osób i uścisnęło mu dłoń, ale czuł, że wyniki ich

ostatnich badań nie zyskały aprobaty. Zastanawiał się dlaczego. To było naprawdę dobrze przeprowadzone, rzetelne badanie.

– Co ty na to? – spytał Michaela. – Mam wrażenie, że nie porwaliśmy słuchaczy.

Stał i poirytowany kręcił głową. Nagle uświadomił sobie, że Michael, zajęty zdejmowaniem i pakowaniem wielkich, kolorowych plansz, w ogóle go nie słucha.

– Michael?

Mężczyzna nie zareagował, mimo że Clive stał tuż obok niego.

– Jesteś na Marsie?

– Clive... – odezwał się w końcu Michael. – Jest mi naprawdę przykro.

Clive patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Zakład zostaje zamknięty.

Clive poczuł, że brakuje mu powietrza.

– Decyzja już zapadła. Staniemy się częścią Zakładu Morfologii Kręgowców, a ty...

Michael urwał i dotknął ręką czoła.

– Ty nie wejdiesz w jego skład, przynajmniej oficjalnie. Zostaniesz przeniesiony na emeryturę. Oczywiście będziesz mógł dalej pracować. W moich projektach będziesz zawsze mile widziany. Miałem ci to powiedzieć przed wyjazdem do Kopenhagi, ale nie potrafiłem. Doskonale rozumiem, jeśli czujesz złość.

– Ale dlaczego? – chciał wiedzieć Clive.

Był jak sparaliżowany.

– Ja nadal cię popieram – pospieszył zapewnić go Michael. – Nie o to chodzi. Znam wyniki badań, ale codziennie pojawia się coś, co może świadczyć, że jednak się mylimy. Nie wolno nam zamykać na to oczu. Zakład Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki stał się synonimem twojej pozycji naukowej. Nie wierzyłem, że kiedyś do tego dojdzie, jednak prawda jest taka, że cała uczelnia na tym cierpi. Nazywają nas Wydziałem Kreacjonistów. Mamy mniej studentów niż kiedykolwiek; dobrze wiesz, co to znaczy – powiedział Michael, pocierając palec wskazujący o kciuk. – Nasi absolwenci nie są traktowani poważnie, często nie mogą znaleźć pracy, a wydziałowi brakuje pieniędzy. Musimy coś zmienić, jeśli chcemy pozyskać nowych studentów. Jesteś znaną postacią, Clive. Panuje powszechne przekonanie, że dopóki jesteś czołową postacią zakładu, nie mamy szans na żaden ratunek.

Clive stał i przyglądał się Michaelowi.

– Przez trzydzieści lat zdobywałem pieniądze dla zakładu. I byłem skuteczny – wyszeptał.

– Dlatego teraz jest właściwa pora na zmiany, zanim będzie za późno. Za moment kurek zostałby zakręcony. Poza tym taki warunek postawiła rada uniwersytetu. Mamy połączyć dwa zakłady, a ty odchodzisz na emeryturę.

– Nie mam jeszcze sześćdziesiątki.

– Powinienem był powiedzieć ci o tym przed wyjazdem. Albo przynajmniej w samolocie, ale nie było

to łatwe.

– Lot klasą business i kolacja w eleganckiej restauracji? Czy tak właśnie zakład chciał się ze mną pożegnać? To postanowiono na tym spotkaniu, na które rzekomo zostałem zaproszony, ale nigdy na nie nie dotarłem. Teraz wszystko rozumiem – zawołał triumfująco.

– Tak mi przykro – powtórzył Michael.
Clive zacisnął dłoń.

– Chcę zostać sam – powiedział cicho.
Michael rozłożył bezradnie ręce.

– Przykro mi, naprawdę – powtórzył po raz kolejny. – Ale przecież życie idzie dalej, prawda? Dokonałeś wielkich rzeczy; nikt temu nie zaprzecza. Bez twojego wkładu zakład nie miałby tak wyrazistego profilu, poza tym...

– Chcę zostać sam! – ryknął Clive.

– Uspokój się, to nie jest moja decyzja – powiedział Michael obrażony i kiwając głową, ruszył w stronę wyjścia.

Clive został sam. Stał i przyglądał się wielkiemu ekranowi. Był sparaliżowany i pełen nienawiści. Kiedy po chwili usłyszał kroki, pomyślał, że Michael wrócił. Ale to nie był on, tylko młoda kobieta, którą sześć godzin wcześniej widział na pogrzebie Hellanda. Podała mu rękę, a on, niewiele myśląc, ją chwycił.

– Mam na imię Anna – przedstawiła się. – Chciałabym z panem porozmawiać – dodała.

– Widziałem panią na pogrzebie Hellanda. Czemu pani mi się przyglądała?

– Byłam zdziwiona, że pan przyszedł. I zaintrygowana – odpowiedziała spokojnie.

Oczy kobiety były niemal żółte. Na jej twarzy malował się upór.

– Czemu pani teraz do mnie przyszła? – spytał, zbierając papiery i wkładając je do teczki.

– Jestem studentką Hellanda i Tybjerga. Piszę pracę dyplomową. Mam gotowy raport dotyczący sporu na temat pochodzenia ptaków. Chciałabym omówić kilka anatomicznych szczegółów. Przyszłam prosić pana o spotkanie w Sali Kręgowców naszego muzeum. Może jutro? Albo w poniedziałek, o ile pan nadal tu będzie.

– Jeśli jest pani ich studentką, to tym gorzej dla pani – powiedział Clive.

Sięgnął po kurtkę i teczkę.

– Zresztą o czym mielibyśmy rozmawiać? Helland nie żyje. Bardzo mi przykro, oczywiście. A Tybjerg... – zaczął i spojrzał na nią wymownie. – Tybjerg nie miał odwagi cywilnej, żeby się tu dzisiaj pokazać. O czym więc miałbym rozmawiać z jego protegowaną?

Zamknął teczkę i ruszył szerokim przejściem między rzędami ławek. Anna podążyła za nim.

– Mam coś dla pana, od Tybjerga – odezwała się nagle.

Clive zatrzymał się i spojrzał na nią z niesmakiem.

– Co takiego?

– Tutaj nie mogę o tym rozmawiać – stwierdziła, zerkając przez ramię, jakby się obawiała, że ktoś ich usłyszy.

– Dlaczego sam nie może mi tego dać? – dopytywał się Clive.

– Wszystko panu wytłumaczę, chodzi o pewną kość, to dość skomplikowane.

Wyprostowała się i dodała szeptem:

– A jak pan by się czuł, gdyby nagle się okazało, że pan się mylił? Że całą swoją naukową karierę zbudował pan na błędzie?

– Ha! – parsknął Clive. – W dniu, w którym Tybjerg przyzna się do błędu, uwierzę, że słońce wstaje na zachodzie.

Zaczął schodzić po schodach i już po chwili znalazł się w obszernym holu.

– Panie profesorze! W poniedziałek o jedenastej w sali kręgowców. Odpowiada to panu?

– Niczego nie obiecuję! – odpowiedział Freeman i, kręcąc głową, ruszył do wyjścia.

Przed centrum kongresowym czekał na niego w taksówce Michael; siedział z tyłu, otworzył mu drzwi. Czego on się spodziewa? – zastanawiał się Clive. Mają udać, że nic się nie stało?

Michael rozmawiał przez telefon komórkowy, pewnie zdawał komuś relację: tak, wszystko poszło dobrze; owszem, w końcu mu o tym powiedziałem, nareszcie

pozbyli się starucha. Ciekawe z kim rozmawiał? Z Anną? Z kierownikiem instytutu?

Na jego widok Michael się cofnął i zrobił mu miejsce.

– Niepotrzebnie na mnie czekałeś – odezwał się podniesionym głosem Clive.

Na twarzy Michaela pojawiło się zdziwienie. Opuścił rękę, w której trzymał telefon komórkowy.

– Opanuj się, Clive – powiedział cicho. – Wsiadaj.

Czy on nie rozumie, co się do niego mówi? Clive odwrócił się na pięcie i ruszył przez parking w stronę stacji metra. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

Wyszedł z metra na stacji Norreport, skręcił w pierwszą lepszą ulicę i ruszył przed siebie. Ufał Michaelowi. W swoim czasie nauczył go wszystkiego. Bez niego Michael byłby przeciętnym badaczem, jednym z wielu. A on okazał się równie niewdzięczny jak Jack. Ale przetrwa i to. Prawdziwy naukowiec musi umieć stawić czoło przeciwnościom losu, chyba że jest zwykłym amatorem. Jak Jack i Michael. On był ulepiony z innej gliny. I nie podda się, będzie trwał do końca. Jeśli miał być szczery, to właśnie za to szanował Hellanda i Tybjerga. Wiele można było o nich powiedzieć, ale trwali do końca, walczyli o swoją pozycję równie zdecydowanie jak on. I właśnie to się liczyło. Dlatego nie bardzo wierzył w to, co mówiła ta dziewczyna. Tybjerg w życiu nie przyzna się do popełnienia błędu. Inaczej nie zaszedłby tak daleko! Kość! Ha. Bardzo zabawne.

Po jego lewej stronie pojawiła się nagle okrągła wieża. Postanowił wejść do środka. Nie było schodów, tylko rodzaj spiralnego podjazdu. Potknął się i wylądował na czworakach. Zaklął głośno, sądząc, że jest sam. Nagle zatrzymał się przed nim młody mężczyzna, który właśnie schodził z wieży. Clive nie był w stanie się opanować i krzyknął do niego wzburzony. Mężczyzna cofnął się, coś mu odpowiedział, ale w końcu sobie poszedł.

Clive został sam. Co się dzieje? W dawnych czasach, kiedy był młody, zawsze świeciło słońce. A kiedy wychylił się znad swojego biurka i wyjrzał przez okno, widział w ogrodzie Kay w kapeluszu z szerokim rondem, pilnującą pluskających się w basenie chłopców. Kiedyś, gdy zjawiał się na uniwersytecie, zapadała pełna szacunku cisza. Michael miał wtedy dwadzieścia dwa lata i był zielony jak konik polny; i niezmiernie szczęśliwy, bo właśnie obiecano mu, że za dwa lata będzie mógł liczyć na stałe zatrudnienie. Do tego czasu musi zadowolić się przepisywaniem na czysto wykładów i notatek Freemana.

Kiedyś jego synowie darzyli go szacunkiem, patrzyli na niego wielkimi, pełnymi podziwu oczami, kiedyś Jack go kochał.

Clive wstał, przeszedł go dreszcz. Brakowało mu Kay. Bez niej nic nie miało sensu.

Zadzwoił do niej z budki telefonicznej. Mijali go ludzie, prószył śnieg. Serce mu waliło. W końcu Kay odebrała. Nie Tom, nie żona Toma, tylko Kay.

– Kay, kocham cię – wyszeptał. – Nie chcę żyć bez ciebie. Nie potrafię. Zmienię się. Już nigdy cię nie uderzę. Nawiążę kontakt z dziećmi. Przyjmij mnie z powrotem. Będę się starał. Obiecuję.

Z trudem utrzymywał w ręku słuchawkę; wiatr nagle zmienił kierunek i bił go w plecy, chcąc wyrwać mu z ręki słuchawkę. Po drugiej stronie panowała cisza.

– Kay?

– Zadzwoń wieczorem, skarbie – usłyszał łagodny głos żony. – Teraz nie mogę rozmawiać, właśnie wychodzę z Annabel. Ale wieczorem będę u nas w domu. Zadzwoń wtedy do mnie – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Clive poczuł, że radość niemal rozsada mu pierś. Jeszcze nie jest za późno. Kay go kocha.

Wrócił do hotelu. Michael zostawił mu trzy wiadomości. Clive nagrał mu jedną. Jeśli go nie rozumie, to trudno.

Poszedł do swojego pokoju i włączył komputer. Postanowił zarezerwować wycieczkę, dla siebie i dla żony. Kay nigdy nie była w Europie, ale często wspominała, że chciałyby zobaczyć Paryż. Postanowił zaprosić ją do Paryża. W Paryżu było szesnaście stopni ciepła, ładna jesienna pogoda, nie to co kopenhaski chłód. Sprawdził odloty i zaczął się zastanawiać. W końcu znalazł lot z Vancouver przez Seattle i Londyn do Kopenhagi. We wtorek o szóstej dwadzieścia mogła już tu być. Clive wyjedzie po nią na lotnisko, a potem, o

dwunastej trzydzieści, polecą razem do Paryża. Kupił bilet, płacąc kartą kredytową. Prawie dwa tysiące dolarów, w obie strony. Był to spory wydatek, ale przypomniał sobie, że nie dał Kay żadnego prezentu, kiedy obchodzili srebrne wesele; no i, pomyślał, nareszcie nie będzie sam.

Zadzwoił do niej, do Franza, ale nikt nie odpowiadał. Pomyślał, że powinien ją uprzedzić, żeby zdążyła się spakować. Wkrótce potem zasnął. Spał ciężko; budził się co prawda kilka razy, kiedy dzwonił telefon, ale kiedy milkł, znów zapadał w sen. Najpierw śnił mu się Helland, potem Kay i chłopcy, Michael i Tybjerg. Wszyscy go przepaszali. Potem ten pierwszy sen przeszedł w drugi. Zobaczył Jacka. Stał obok niego, coś do niego mówił i się uśmiechał. Clive jednak nie słyszał go, bo w tle głośno grała muzyka. Słyszał, jak prosi Jacka, żeby powtórzył to, co mu przed chwilą powiedział. Jack powtórzył, ale on nadal go nie słyszał. Nagle spostrzegł, że Jack ma twarz dziecka. Był co prawda wysoki, jak dorosły mężczyzna, i ubrany jak dorosły, ale jego twarz była twarzą dziecka. Widział jego ostro zarysowaną górną wargę i jego pełen uwielbienia wzrok. Poczował pulsowanie w kroczu. Jack się uśmiechnął, wszystko było tak jak powinno. Możesz, proszę, zdawał się mu mówić. Nagle muzyka ucichła. Zapadła cisza. Clive ukląkł przed Jackiem i, wpatrując się w jego wąskie biodra, ściągnął mu spodnie.

Obudził się nagle i usiadł na łóżku. Był spocony,

wytarł się ręcznikiem; usiłował też zetrzeć plamy na prześcieradle. Na nocnym stoliku obok łóżka świecił na zielono budzik. Zaraz przypomniał mu o telefonie do Kay. Wziął prysznic, a potem usiadł na fotelu obok telefonu i zadzwonił do żony. Odebrała po czwartym dzwonku.

– Witaj – odezwała się łagodnie. – Cieszę się, że dzwonisz.

Clive odetchnął z ulgą. Już nie będzie sam.

– Wiesz, co będziesz jutro robić? – spytał.

– Jutro opiekuję się Annabel. Jest chora, ma zapalenie gardła.

– Nie. Lecisz do Paryża!

– Do Paryża?

– Tak. Kupiłem ci bilet. Zajrzyj do swojej poczty. Wylatujesz jutro o trzynastej dwadzieścia pięć z Vancouver, lecisz przez Seattle i Londyn. Odbiorę cię na lotnisku w Kopenhadze, a potem razem polecimy do Paryża.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie mogę.

– Jak to? – spytał zdziwiony.

– Nie mogę. Mam inne plany.

– Ale już kupiłem ci bilet.

– Powinieneś był mnie spytać.

– Nie możesz zmienić swoich planów? To coś ważnego? Zajmiesz się Annabel innym razem.

Znów zapadła cisza.

– Kay?

– Nie chcę – powiedziała Kay cicho. – Powinieneś był mnie spytać. Chętnie pojedę do Paryża, ale jutro opiekuję się Annabel. To dla mnie ważne, bo ona na mnie czeka. Powinieneś był mnie spytać.

Kiedy skończyli rozmowę, Clive usiadł na łóżku, a wszystko wokół niego zrobiło się białe.

15

Latem 1975 roku rodzice Sørensa, Peter i Kristine, wynajęli domek na lato nad Morzem Północnym. Søren uzmysłowił sobie, że doskonale go pamięta. Był drewniany, pomalowany na jasnoniebiesko i leżał w rogu ogromnej działki, otoczonej wysokimi drzewami. Niedaleko była plaża, a jeszcze trochę dalej – osada rybacka. Wypadek wydarzył się w drugim tygodniu wakacji. Ojciec Sørensa postanowił naprawić samochód i rozebrał go na części pierwsze. Zdjął zderzak, błotniki. Słońce mocno przygrzewało i nagle wszyscy zapragnęli lodów. Do sklepu było niedaleko, cztery kilometry spokojną, niemal polną drogą. Postanowili pojechać samochodem, ponieważ mama Sørensa też chciała się z nimi zabrać; była w zaawansowanej ciąży i nie mogła jechać na rowerze. I pojechali. Nic złego nie powinno się wydarzyć.

Ale się wydarzyło. Na jedynym skrzyżowaniu na trasie zderzyli się z ciężarówką, samochód został zmiażdżony, została z niego sprasowana kostka metalu. Tylko Søren przeżył. Miał poranioną twarz, połamane żebra, wstrząs mózgu; ratownicy wycinali go z wraku ponad godzinę. Niczego nie pamiętał. Nie pamiętał spoconych twarzy ratowników, zapachu kawy, koloru zboża, które dojrzewało na polach. Niczego. Czarna plama. Rodzice siedzieli z przodu, który został całkowicie

zgnieciony.

W szpitalu nikt nie wiedział, kim jest Søren.

Lekarze i pielęgniarki wypytywali go na okrągło, ale nie potrafił im nic powiedzieć. Przez trzy dni pobytu w szpitalu nie odezwał się nawet jednym słowem. Stało się coś strasznego, miał pięć lat i był sam. Uznał, że powinien milczeć. Knud i Elvira się nie pojawili. Nikt go nie kochał.

A jego dziadkowie nie mieli o niczym pojęcia. Byli w Finlandii na seminarium, a nie w domu w Ørslev, jak mu to później przedstawili. Okłamali go.

Kiedy minęły trzy dni, Søren nagle postanowił przemówić.

– Mój dziadek nazywa się Knud Marhauge i mieszka w czerwonym domku w Ørslev, w Danii – zakomunikował wszystkim.

Potem sprawy potoczyły się szybko. Wykonano kilka telefonów; przyjaciel Knuda i Elviry, który pod ich nieobecność mieszkał w ich domu w Ørslev, zadzwonił do Finlandii; Knud i Elvira natychmiast wrócili do Danii i zabrali Sørena.

Vibe skończyła swoją opowieść. Søren siedział z opuszczonymi rękami i wpatrywał się w biały ceramiczny świecznik, stojący na półce po przeciwnej stronie pokoju. Miał wrażenie, że świece palą się wyjątkowo powoli.

Kiedy zdarzył się wypadek, on bawił się w ogrodzie dziadków! Pamięta to. Pamięta, jak Knud podszedł do

niego i powiedział mu, co się stało. Miał pięć lat, ale wszystko dokładnie pamięta! Także to, że domek był czerwony, a w ogrodzie rosły stare jabłonie! Pamiętał też wielki dzban, do którego babcia zbierała deszczówkę; wkładał do niego żaby, które zbierał na brzegu pobliskiego stawu. W dniu, w którym zdarzył się wypadek, jego rodzice byli w drodze po niego. Spędzał weekend u dziadków, pamiętał, że bawił się samochodzikami na tyłach ogrodu, gdy zobaczył idącego w jego stronę dziadka. Potem jedli lody. Każdy dostał trzy. Było zupełnie inaczej, niż twierdziła Vibe.

– Dlaczego ukrywałaś to przede mną? – spytał.

Czuł, że bluza lepi mu się do pleców, w głowie coś mu huczało.

– Dowiedziałam się o wszystkim, kiedy miałam siedemnaście lat. Tego lata, kiedy odkryłam zdjęcie na komodzie i dotarło do mnie, że Knud i Elvira są twoimi dziadkami, a twoi rodzice zginęli w wypadku. Byłam w szoku. Twoi rodzice nie żyli! Nagle zrozumiałam, że można stracić kogoś bliskiego w wypadku! Byłam wstrząśnięta. Wieczorem, kiedy mama przyszła powiedzieć mi dobranoc, załamalam się. Ty straciłeś swoich rodziców, ja bałam się, że mogę stracić swoich. Miałam tylko siedemnaście lat.

Powiedziałam mamie, czego się dowiedziałam od Elviry. Jak bardzo Knud przeżył, kiedy musiał powiedzieć ci o wypadku. Bawiłeś się w ogrodzie, poszedł do ciebie, a Elvira została przed domem, pogrążona w smutku.

Mama przytuliła mnie do siebie i obiecała, że nie umrze.

Kiedy następnym razem byłam w bibliotece, nie mogłam się powstrzymać. Zaczęłam szukać informacji o wypadku. Chciałam zobaczyć zdjęcie twoich rodziców, dowiedzieć się czegoś więcej, pewnie byłam po prostu ciekawa – powiedziała Vibe, spuszczać wzrok.

– Już prawie się poddałam, kiedy nagle wpadła mi w ręce krótka notatka. „Wakacyjna tragedia wyjaśniona” brzmiał jej tytuł. „Wiadomo już, kim jest pięcioletni chłopiec z Viborga, który trzy dni temu cudem przeżył tragiczny wypadek samochodowy, w którym zginęli jego rodzice. Chłopca odebrali ze szpitala jego dziadkowie”.

Do artykułu dołączono zdjęcie, które policja zwykle zamieszcza, kiedy nie potrafi ustalić tożsamości poszkodowanej osoby. Zostało zrobione w szpitalu; wyglądałeś strasznie: byłeś spuchnięty, poobijany, miałeś zabandażowaną głowę. „Pięcioletni Søren Marhauge nareszcie połączył się ze swoją rodziną” głosił podpis pod zdjęciem.

Wybiegłam z biblioteki przerażona, wściekła. Wieczorem zadzwoniłam do was. Odebrał Knud. Powiedziałam, czego się dowiedziałam. Miałam mu za złe, że cię okłamali, uznałam, że masz prawo poznać prawdę. Knud poprosił, żebym następnego dnia po szkole spotkała się z nim przy starej fosie.

Kiedy się zjawiałam, siedział na ławce i wpatrywał się w wodę. Wiał wiatr, marzłam. Przytulił mnie do siebie.

Powiedział, że Elvira nie chciała, żeby mówić ci o wypadku. Uznała, że jest ci wystarczająco ciężko i nie należy przypominać ci o czymś, czego nie pamiętasz. Jeśli któregoś dnia sobie przypomnisz, to oczywiście wszystko ci wytłumaczą. Na razie jednak nie było takiej potrzeby. Twój organizm bronił się, wymazując tragedię z pamięci, uznała twoja babcia.

Knud przyznał, że on miał wątpliwości; miałam wrażenie, że na tym tle doszło u nich do poważnego konfliktu. Był przekonany, że dzieci są silne, że poradziłyby sobie z tą wiadomością. Dzieci są jak roślinki, mówił. Więdną, kiedy są w cieniu, a rozkwitają, kiedy znów postawi się je na słońce. Ale Elvira była innego zdania i w końcu Knud, aczkolwiek z oporem, ale jednak jej ustąpił. Wymógł na niej obietnicę, że jeśli w przyszłości cokolwiek ci się przypomni, to wtedy ci o wszystkim powiedzą. Zawarli taką umowę.

„Vibe, kochanie, nie mów mu o tym”, szeptał mi błagalnie do ucha Knud. „Pozwólmy sprawom toczyć się swoim trybem”. Powiedziałam, że muszę się zastanowić. Elvira nie wiedziała o naszej rozmowie. Przez następne dni Knud obserwował mnie w napięciu; czułam na sobie jego czujny, pełen nadziei wzrok. W końcu uznałam, że rzeczywiście byłoby to bez sensu. Miałeś siedemnaście lat, chodziłeś do liceum, byłeś przewodniczącym komitetu uczniowskiego, świetnym sportowcem. Dobrze się uczyłeś, wszyscy cię lubili. Po co wygrzebywać coś, co najwyraźniej nie miało dla ciebie żadnego znaczenia?

Kilka razy pytałam cię o twoich rodziców. Nie dziwiłeś się temu, w końcu niedawno się dowiedziałam, że wychowują cię dziadkowie; odpowiadałeś chętnie i wyczerpująco. Przyznałeś, że czasem o nich myślisz, na przykład gdy zbliża się Boże Narodzenie, i w maju, kiedy przypadają urodziny Kristine. Elvira i Knud rozpalali wtedy ognisko w ogrodzie, nawet jeśli padał deszcz. Podobno jesteś bardzo podobny do swojego ojca. Powiedziałeś kiedyś, że fajnie byłoby mieć ojca, do którego jest się podobnym. Z drugiej strony nie można było sobie wymarzyć lepszych rodziców niż Elvira i Knud. Kiedy o nich mówiłeś, twój wzrok łagodniał. Zapewniałeś, że jest wam razem świetnie. I rzeczywiście tak było. Wasz dom zawsze był pełen życia, było w nim miejsce dla każdego.

Któregoś dnia znów spotkałam się po szkole z Knudem i powiedziałam mu, co postanowiłam. Widziałam, że odetchnął z ulgą. Potem niemal zapomniałam o wszystkim. Zdaliśmy maturę, zamieszkaliśmy razem, wszystko zdawało się łatwe i proste. Zostałeś przyjęty do szkoły policyjnej. – Vibe się uśmiechnęła.

– Przyznaję, że nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego zawsze tak bardzo fascynowały cię wszystkie tajemnice. Było nam dobrze razem. Dopiero kiedy poczułam, że chcę mieć dziecko, a ty nie chciałeś się na nie zgodzić, przypomniała mi się dawna tajemnica. Próbowałam wyciągnąć z ciebie jakieś wytłumaczenie. Wiłeś się; w

końcu powiedziałaś, że się boisz. Ale dlaczego miałbyś się bać? Oboje zbliżaliśmy się do trzydziestki, kochaliśmy się. Tale przynajmniej mi się zdawało. Byłam przekonana, że pokochasz nasze dziecko. Sam byłeś kochany, lubiłeś dzieci, łatwo nawiązywałeś z nimi kontakt, wielokrotnie byłam tego świadkiem. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy, to że źródłem twojego lęku były wydarzenia sprzed lat, głęboko ukryte w twojej podświadomości. Gdzieś z tyłu głowy miałeś zakodowane, że dziecko można zostawić, porzucić; pamiętałeś, jak leżałeś w szpitalnej sali i nikt się po ciebie nie zgłaszał. Więc po co mieć dzieci?

Uznałam, że powinnam ci o wszystkim powiedzieć, że musisz poznać prawdę. Spotkałam się na lunchu z Knudem i podzieliłam się z nim swoimi przemyśleniami. Był wyraźnie zaskoczony. Początkowo w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. „Obiecałaś”, wypominał mi. Spytałam, czy nigdy się nie zastanawiał, czy twoja niechęć do posiadania dzieci nie bierze się właśnie stąd. Dało mu to do myślenia. Nie mówiąc już o tym, że przecież też pragnął mieć wnuki.

Vibe się uśmiechnęła. Søren poczuł ciepło w sercu.

– Nagle oboje zrozumieliśmy, że rzeczywiście chyba tak jest. Kiedy się zegnaliśmy, byłam pełna nadziei, ale i zdenerwowana. Uzgodniliśmy pewien plan. Nie wiedziałam, jak zareagujesz, czy raczej jak bardzo będziesz zły na Elvirę i Knuda. Zastanawiałam się, czy powiedzieć ci, że od dawna o wszystkim wiedziałam. A

może powinnam udawać, że o niczym nie wiem? Musiałam wszystko dokładnie przemyśleć.

Knud obiecał, że porozmawia z Elvirą i da mi znać.

Ale nie zadzwonił. To był jeden z najdłuższych tygodni w moim życiu. Byłam coraz bardziej wściekła i zdesperowana. Denerwowałeś mnie swoim głupim uporem, bolało mnie, że nawet nie chcesz rozważyć takiej możliwości. Spałam wtedy w dużym pokoju i każdego ranka miałam ochotę wylać na ciebie całą moją żołąć.

Knud nadal nie dzwonił, powoli zaczynało mi być wszystko jedno.

W niedzielę wybraliśmy się, jak zwykle, na obiad na Snerlevej i wtedy zrozumiałam, dlaczego Knud się do mnie nie odezwał. Ta przekłeta choroba! – wybuchła Vibe.

Zamilkła. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

– Ironia losu polega na tym, że wtedy znałam już Johna. Kiedy Knud umarł, byłam zakochana. Odwiedziłam Knuda dwa dni przed jego śmiercią. Był schorowany i słaby, ale mówił wyraźnie. „Nie mów mu o tym, prosił mnie. Nie wracajmy do tego. Nie burz jego spokoju. On i tak bardzo cierpi”.

Trzymałam Knuda za rękę i nagle też zaczęłam mieć wątpliwości. Może jednak miał rację? Cierpiełeś, to była prawda, też to widziałam. Miałam dokładać ci zmartwień? Z drugiej strony nie byłam przekonana, czy milczenie oznacza spokój. I nadal nie jestem. Ale w tamtym momencie nie potrafiłam tego zrobić. Postanowiłam

uszanować życzenie Elviry i Knuda, który przecież wkrótce miał umrzeć; nie potrafiłam zepchnąć cię w przepaść. Konsekwencji tego upadku nikt nie był w stanie przewidzieć.

– John o tym wie?

– Tak.

Søren westchnął.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

Vibe siedziała chwilę w milczeniu, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu.

– Kiedy zadzwoniłeś i powiedziałaś, że masz mi coś bardzo ważnego do powiedzenia, pomyślałam, że pewnie wszystko odkryłeś. W sieci można dzisiaj znaleźć niemal wszystko. Poza tym w Archiwum Krajowym i w bibliotece zapewne nadal są mikrofilmy z artykułami z tego okresu. Może coś cię zaniepokoiło i zaczęłeś szukać? W końcu jesteś śledczym. – Uśmiechnęła się. – Pomyślałam, że może zapragnąłeś dowiedzieć się czegoś więcej o sobie. Tak czy inaczej byłam przygotowana na najgorsze. Tylko do głowy mi nie przyszło, że to najgorsze może być takie straszne. Skąd mogłam wiedzieć, że miałaś córeczkę, która umarła? Biedaku – powiedziała nagle czule.

Objęła Sørena, a on położył głowę na jej ramieniu. Poczul jej zapach, tak dobrze mu znany. Vibe gładziła go po głowie, a on przyglądał się jej brzuchowi, w którym rozwijało się nowe życie.

John wrócił do domu, Søren wstał, mężczyźni

uściskali się nieporadnie. Kiedy Søren zaczął się zbierać do wyjścia, Vibe zaproponowała, żeby przenocował na kanapie. On jednak chciał wracać do domu. Wszystko jest w porządku, zapewniał ją.

Kiedy Søren obudził się w sobotę rano, czuł w sobie złość. Zjadł śniadanie, wziął prysznic i nadal był niesamowicie zły. Wsiadł do samochodu i pojechał na pogrzeb Larsa Hellanda. Usiadł w ostatnim rzędzie, zerkając cały czas na Annę, na Clive'a Freemana, na Birgit Helland, właściwie na wszystkich tu obecnych. Dopiero w trakcie nabożeństwa trochę się odprężył. Nadal jednak zerkał to na Annę to na Freemana, zastanawiając się, dlaczego oboje są tak nieznośnie uparci.

Pogrzeb Mai był najgorszym dniem w jego życiu, tak wtedy sądził. Specjalnie nieco się spóźnił, żeby wejść do kościoła jako jeden z ostatnich. Pogrzeby bywały uroczyste, budziły emocje albo nie, ale kiedy trumna jest wielkości pudełka od butów, wszystko staje się koszmarem. Tak było w jego przypadku. Poza tym nikt z obecnych nie wiedział, kim jest. Podczas nabożeństwa miał ochotę wstać i wykrzyknąć: „W tej trumnie leży moja córka! Moja córka!”

Nie zrobił tego, ale był to najgorszy dzień w jego życiu.

Przynajmniej tak wtedy sądził.

Po pogrzebie Hellanda Søren został zaproszony na

skromny poczęstunek, zorganizowany w lokalu nieopodal kościoła. Stał w kącie i przyglądał się gościom; z nikim nie rozmawiał, z daleka widać było, że jest policjantem. Birgit zdawała się nieobecna. Piła wino, jeden kieliszek za drugim, rozmawiała z ludźmi, krótko i pobieżnie, cały czas błędząc gdzieś wzrokiem. Jak zabłąkany motyl, pomyślał Søren. Tuż przed piątą przeprosiła wszystkich i pospiesznie wyszła. Nanna została sama. Powoli ludzie zaczęli się rozchodzić. Nanna zegnała się ze wszystkimi, miała czerwone, zapłakane oczy, ale najwyraźniej trzymała się lepiej od matki.

Gdy goście się rozeszli, posprzątała, a potem jakiś starszy pan zaproponował, że odwiezie ją do domu. Søren wyszedł i skierował się do swojego samochodu. Przyszedł tu, bo czuł się zdesperowany. Miał nawet ze sobą kajdanki, gotów założyć je temu, kto wydałby mu się podejrzany. Sam rozumiał, że jest żałosny.

Dojechał do komisariatu, zmienił samochód i w tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Mówi Stella Marie – odezwał się schrypnięty głos.

– Witaj – powiedział Søren zdziwiony.

– Już wiem, gdzie widziałam tego faceta.

Søren, który właśnie wyjeżdżał z policyjnego parkingu, zjechał na bok, dając znać koledze, żeby go wyprzedził.

– Zamieniam się w słuch.

– Wisi w Magasin, w domu towarowym. Przejeżdżałam tam dzisiaj i zobaczyłam ten wielki plakat.

Søren podziękował i zamiast do domu ruszył do śródmieścia. Zaparkował na Sankt Annse Plads, przeszedł przez Bredgade, minął Charlottenborg i dotarł do domu towarowego, Magasin. Wielki plakat wisiał na ścianie budynku od strony targu kwiatowego.

Przedstawiał kobietę i mężczyznę. Kobieta uśmiechała się przymilnie, ukazując swoje śnieżnobiałe zęby. Miała na sobie różowy sweterek i obcisłe džinsy. Wyciągała rękę do mężczyzny, który stał za nią i trzymał w dłoni błyszczący złoty pierścionek. Mężczyzna był bardzo przystojny, nawet Søren musiał to przyznać. Miał rude włosy, brązowe oczy i mnóstwo piegów. Uśmiechał się pewny siebie. Za plecami chował scyzoryk z czterystoma tysiącami funkcji. Chodziło o to, że wkrótce w Magasin rozpocznie się wyprzedaż i wtedy każdy facet będzie mógł kupić i złoty pierścionek dla swojej dziewczyny, i scyzoryk z czterystoma tysiącami funkcji dla siebie.

Søren przyglądał się twarzy modela. Mężczyzna miał pewnie około trzydziestki, może nieco mniej, i nie wyglądał na bywalca Czerwonej Maski. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Musi się skontaktować z działem reklamy domu towarowego i poprosić o dane chłopaka. Ale dopiero w poniedziałek. Cholera. Spojrzał na zegarek. Było już po godzinach pracy. Nie miał jednak ochoty wracać do wszechogarniającej ciszy jego domu w Humlebsek. Zadzwoił do Henrika.

– Jasne, po prostu wpadnij – powiedział przyjaciel.

Henrik mieszkał na Østerbro; Søren spędził wieczór z nim i z jego rodziną. Zjedli razem kolację. Zafascynowany przyglądał się jego dwóm nastoletnim córkom, które trzymały się nieco na dystans, cały czas jednak uczestnicząc w rozmowie. Dokładały sobie potraw, odpowiadały na pytania i uważnie mu się przyglądały. Søren bardzo lubił żonę Henrika i nie potrafił pojąć, dlaczego przyjaciel wdał się w romans z inną kobietą. Jeanette była pięć lat młodsza od Henrika i prowadziła kuchnię w przedszkolu. Po kolacji mężczyźni sprzątnęli ze stołu, dziewczynki zniknęły w swoich pokojach, a Jeanette pojechała do siłowni.

Mężczyźni otworzyli dwa piwa i zaczęli rozmawiać o sprawach zawodowych. Jeśli chodzi o Hellanda, Henrik też był zdania, że powinni przyjrzeć się bliżej Hanne Moritzen. Była jedyną osobą, która wiedziała, jak postępować z pasożytami. Co prawda nie potrafili powiedzieć, jaki mogłaby mieć motyw, żeby popełnić zbrodnię. Postanowili, że Henrik zajmie się sprawą w poniedziałek; może okaże się, że kobieta miała jednak jakieś powiązania z Hellandem.

Jako kolejną podejrzaną wymienił Søren Birgit Helland. Henrik zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałyby chcieć zabić męża? Nie miała żadnego motywu. No i nie zna się na pasożytach – powiedział. – Natomiast Tybjerg zdecydowanie miał motyw. Miał dość stania w cieniu Hellanda i postanowił z tym skończyć. Na pasożytach pewnie się nie zna, ale jest

biologiem.

Søren nie był przekonany.

– Birgit Helland coś ukrywa. Czuję to wyraźnie.

– Anna Bella Nor też coś ukrywa – wszedł mu w słowo Henrik. – Poza tym też miała motyw.

– Mianowicie?

– To wściekła suka, która usuwa wszystkich facetów, z którymi jej nie po drodze. Być może także Johannes padł jej ofiarą. Przyznasz chyba, że to dość dziwne, że nagle, w odstępie kilku dni, umiera dwóch mężczyzn, z którymi miała wiele do czynienia? A może to ja jestem dziwny?

– Nie sądzę, żeby śmierć Johannes'a była w jakikolwiek sposób związana ze środowiskiem uniwersyteckim. Jeśli chcemy znaleźć jego zabójcę albo zabójczynię, powinniśmy udać się na przyjęcie do zamku hrabiego Drakuli.

Henrik zgodził się z nim. Ustalili, że spróbują odtworzyć listę gości, bawiących się trzeciego września na imprezie w Czerwonej Masce.

– Anna nadal pozostaje dla mnie zagadką – stwierdził Henrik. – Może dogadała się z Tybjergiem i razem pozbyli się Hellanda? Żeby przejąć jego pozycję głównych ekspertów od dinozaurów?

– Nie mam już siły rozmawiać o pracy – powiedział Søren, przeciągając się.

– Rozumiem, ale nie licz na to, że teraz zacznę ci się zwierzać z moich grzechów. Zresztą powiedziałem jej

dzisiaj, że nie będziemy się już widywać.

Wypili piwo. Henrik oparł się o kanapę.

Nagle Søren zaczął opowiadać historię o małym chłopcu, który spędzał wakacje nad morzem, miał wypadek i spędził kilka godzin uwięziony w samochodzie ze swoimi zmarłymi rodzicami.

Upili się. Nie bardzo, ale wystarczająco, żeby Søren też w końcu nieco się odprężył. Nieco po północy zadzwonił po dwie taksówki. Jedna miała zawieźć go do domu, kierowca drugiej miał odstawić do domu jego samochód. Kiedy się żegnali, wyciągnął do Henryka rękę, ale ten wziął go w ramiona i mocno uścisnął.

Søren wrócił do domu, położył się do łóżka i natychmiast zapadł w sen. Po półgodzinie zadzwonił telefon. Dźwięk dotarł do niego, gdy przebywał w środku błękitnego snu. Obudził się spocony i usiadł zdezorientowany na łóżku. Telefon już zamilkł, ale po chwili znów się odezwał. Leżał pod stertą ubrań, które Søren zdjął z siebie przed niespełną godziną. Wziął go do ręki; zanim zdążył cokolwiek zrobić, telefon znów zadzwonił.

– Halo – odezwał się schrypniętym głosem.

Dzwoniła Anna.

– Dlaczego nie odbierasz?! Po co policjantowi telefon, skoro i tak go nie odbiera?! – krzyczała do słuchawki.

Søren miał wrażenie, że słyszy, jak szczeka zębami.

Spojrzał na budzik. Była za pięć druga.

– Spałem – wymamrotał ledwie przytomny. – Coś się stało?

Nagle znów był trzeźwy, zapalił światło i sięgnął po leżące na podłodze ubranie.

– Właśnie dostałam esemes od Johannesesa – powiedziała Anna.

– Położę cię na chwilę na podłodze! – krzyknął Søren.

Szybko włożył coś na siebie i sięgnął po telefon.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– Obok komisariatu w Bellahøj, zabawne, prawda? Byłam w Herlev i postanowiłam przespacerować się do domu. Przy wylocie drogi na Lyngby dostałam esemes. Było trochę ciemno, więc zaczęłam biec, no i teraz stoję tu. Jest zimno, wracam do domu.

– Co robiłaś w Herlev? – zdziwił się Søren.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że dostałam esemes od trupa. Może spróbujecie coś z tym zrobić, zanim będzie za późno? O ile już nie jest za późno. Mam za sobą długi dzień. Dobranoc.

– Zaczekaj, Anno!

Ale ona już się rozłączyła.

– Niech to szlag! – zaklął Søren.

Zadzwoił ponownie, odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

Było pięć po drugiej w nocy z soboty na niedzielę, a

on wiedział, że już nie zaśnie.

– Niech to szlag! – powtórzył.

Zadzwoił na komisariat, dyżurny właśnie dzwonił na numer zaginionego telefonu komórkowego Johannesesa. Telefon był pod kontrolą od środy, odnotowali nadanie esemesa. Dzwonił ktoś stojący na rogu Schlegels Alle i Vesterbrogde, który po chwili ruszył w stronę centrum miasta. Telefon nadal był włączony; od przesłania wiadomości minęły minuta i dwadzieścia sekund. Søren odłożył telefon, usiadł i zjadł pięć jabłek. Zaczęło mu burczeć w brzuchu. Zadzwoił do Anny, ale nie odbierała. Wyjrzał przez okno, za którym ciągnął się ciemny las; nad drzewami unosił się wielki, okrągły księżyc. Położył dłoń na szybie i poczuł, jaka jest zimna, przeszedł go dreszcz. Zaczął się zastanawiać: czy rzeczywiście kryje Annę? Może Henrik ma rację? Czy Anna mogła zabić Hellanda? Z nienawiści? A Johannesesa? Jeśli tak, to dlaczego? A może zbyt szybko zrezygnowali z Freemana? Czyżby był dzisiaj w kościele z mordercą i go puścił? A może to Birgit Helland zabiła męża? Wielu ją o to podejrzewało.

I co z Tybjergiem? Co on miał z tym wszystkim wspólnego? Poza tym gdzie się podziewał? Może nie żył? Dlaczego zapadł się pod ziemię?

Søren poszedł do łazienki. Kiedy stał nagi pod prysznicem, zrozumiał nagle, że teraz nastąpi przełom. Ubrał się i zaparzył kawę. Następne dwie godziny spędził na robieniu notatek. Rysował coś na papierze, rozłożył kartki na podłodze, przesuwał je, chodził i się zastanawiał.

W końcu położył się na kanapie i przespał kilka godzin.

O ósmej rano wstał i zrobił sobie owsiankę. Potem ochlapał twarz zimną wodą. Pomyślał o Susanne Winther. Przypomnił sobie strach w jej głosie, kiedy w pierwszej chwili pomyślała, że coś się stało jej synkowi, Magnusowi. Pomyślał, że tak samo mocno kochał swoją córeczkę, mimo że widział ją zaledwie kilka razy. Starał się przypomnieć sobie, co powiedział tej nocy, kiedy Bo zadzwonił do niego z Tajlandii. Czy też otworzył szeroko oczy i wyszeptał: „Czy coś się stało z Mają?” Nie. Wrzasnął na Bo, żeby wziął się w garść.

Co powiedziała Hanne Moritzen?

Wtedy, kiedy pierwszy raz do niej zadzwonił?

„Czy coś się stało z Asgerem?”, wyszeptała.

Była dziewiąta rano, niedziela. Søren miał wrażenie, że ogromny kamień spadł mu z serca. Odzyskał swoją energię.

16

Anna wróciła do domu ze swojego nocnego spaceru, położyła się obok Karen i zasnęła jak kłoda. Następnego ranka zrobiła naleśniki i pozwoliła Lily na długą kąpiel w wannie. Za każdym razem, kiedy przechodziła obok Karen, miała ochotę ją uściskać.

– Co się z tobą dzieje? – roześmiała się przyjaciółka.

Anna uśmiechnęła się niepewnie.

– Bo widzisz... – zaczęła i urwała, kręcąc głową.

Karen wyjęła Lily z wanny, Anna weszła do pokoju. Dostała kolejną wiadomość z telefonu Johannesesa.

„Możemy spotkać się u mnie w domu?”

„Nie. W Muzeum Zoologicznym o 15. Albo zawiadomię policję”, odpisała.

Wróciła do łazienki. Karen siedziała na desce sedesowej z ręcznikiem na kolanach. Lily zaśmiewała się z plastikowej sarenki, której dorobiła wąsy z piany.

Anna przełknęła ślinę.

– Pomyślałam, że pójdziemy odwiedzić babcię – powiedziała.

– Babcia, babcia! – zaczęła wykrzykiwać Lily, machając radośnie rączkami. Karen odwróciła się i spojrzała na nią zdziwiona.

Spacer do mieszkania Cecilie zajął im niemal godzinę. Szły przez park pamięci wokół cmentarza Assistens Kirkegard. Lily podskakiwała i biegała

zadowolona dokoła. Anna i Karen podziwiały śnieżny krajobraz.

W arabskiej cukierni na Nerrebrogade kupiły ciastka. Rurki z nadzieniem pistacjowym i kilka słodkich bułeczek. Anna i Lily zatrzymywały się niemal przy wszystkich wystawach. „Patrz! Spójrz!”, wołały.

– Pospieszcie się! Jest zimno – narzekała Karen.

Kiedy doszły na miejsce, Karen i Lily ruszyły szybko po schodach, Anna podążyła za nimi wolnym krokiem. Otworzyły się drzwi i usłyszała głośny wybuch radości.

– Cukiereczku! – rozległ się głos Cecilie. – Witaj, Karen. Jak dobrze was widzieć. Chodź, skarbie, niech cię uściskam. Stęskniłam się za tobą.

Dotarła do drzwi mieszkania matki w chwili, gdy Cecilie brała na ręce Lily, żeby ją przytulić i uściskać. Na widok Anny znieruchomiała i zbladła.

– Witaj, Anno – przywitała się, stawiając dziecko na podłodze. Lily natychmiast zniknęła w mieszkaniu.

– Cześć, mamó – powiedziała Anna, muskając matkę w policzek.

– Wejdźcie. Jest okropnie zimno.

Weszły. Lily natychmiast ruszyła do dużej niebieskiej skrzynki i zaczęła wyciągać z niej swoje zabawki. Wciąż miała na sobie kombinezon i czapkę. Karen pomogła jej się rozebrać.

– Patrz! To jest moje łóżko u babci. Zobacz, ile mam lalek. Mam dużą lalkę i małą lalkę. I mam miśki i książeczki – opowiadała jej z zapalem.

Karen stała i przyglądała się wszystkiemu. Anna nie zdjęła nawet kurtki.

– Nie rozbierzesz się? – spytała Cecilie niepewnie.

– Nie, wpadłam tylko na chwilę. Muszę jeszcze coś załatwić. Nie pogniewasz się, Karen?

Przyjaciółka spojrzała na nią zdziwiona.

– Nadal jesteś na mnie zła? – spytała Cecilie. – i nadal nie chcesz, żebym pomogła ci opiekować się Lily? – Uśmiechnęła się.

– Rozmawiałaś z Jensem?

Cecilie zamrugła.

– Codziennie ze sobą rozmawiamy – powiedziała.

Po jej oczach widać było, że czuje się dotknięta. Pewnie oczekiwała, że Anna przeprosi ją za to, co ostatnio wykrzykiwała pod jej adresem.

Anna przyglądała się matce w milczeniu. Karen czuła się wyraźnie zagubiona. Nagle Anna wzięła Lily na ręce i razem weszły do dużego pokoju. Cecilie patrzyła na nią zdezorientowana, jakby przeczuwała, że coś się szykuje.

– Wszystko wiem – oznajmiła nagle Anna lekko schrypniętym głosem.

Cecilie znów zamrugła.

– Przepraszam, ale co wiesz?

– Wiem, że po moim urodzeniu miałaś depresję poporodową. Wiem, że nie byłaś w stanie się mną opiekować, że nie chciałaś mnie karmić. Wiem, że kiedyś miałam na imię Sara, bo było to ulubione imię taty; wiem też, że opiekował się mną najlepiej jak potrafił. Wiem, że

miałam prawie roczek, kiedy wróciłaś do domu, i wiem, że nie chciałaś, żeby ktokolwiek dowiedział się o twojej chorobie. Wiem wszystko.

Cecilie przyglądała się jej z otwartymi ustami.

– I wiem też, że mnie kochasz – ciągnęła dalej Anna.
– I że codziennie próbujesz wynagrodzić mi to, co kiedyś się stało. Wiem, że kochasz Lily najbardziej na świecie i boisz się, że ją też może spotkać coś podobnego. Przeraziłaś się, kiedy Thomas nas opuścił. Byłam wtedy taka nieszczęśliwa, że niemal nie byłam w stanie zająć się dzieckiem. Leżałam na podłodze i płakałam, a ty się bałaś, że teraz cała historia się powtórzy. Nagle, po tylu latach, znów zobaczyłaś siebie. Bałaś się, że skrzywdzę Lily, jak ty kiedyś skrzywdziłaś mnie.

Cecilie milczała, łapiąc z trudem powietrze. Jęknęła cicho.

– A ja nie jestem tobą, mamo – powiedziała Anna łagodnie. – Nigdy nie byłam chora, jak ty wtedy. I nigdy nie zawiodłam Lily. Owszem, byłam wściekła, kiedy Thomas nas opuścił. Czułam się bezradna, ale to nie była choroba.

Nie spuszczała matki z oczu; po chwili podeszła do niej, chwyciła jej dłoń i przyciągnęła ją do siebie. Cecilie była sztywna, opierała się, ale Anna nie ustępowała.

– To, co się stało, nie było dobre, ale stało się i trudno. Potrafię z tym żyć. Najważniejsze, że w końcu poznałam prawdę – dodała. – Lily cię kocha. Bądź dla niej babcią. Ale nie próbuj jej chronić przed czymś, co

naprawdę jej nie grozi.

Chwyliła matkę za ramiona i odsunęła ją nieco od siebie.

– Rozumiesz mnie, mamó? – spytała pewnym głosem.

Twarz Cecilie nagle jakby się rozsypała. Nadał milczała. Pokiwała głową, a Anna przytuliła ją do siebie.

Kiedy Cecilie w końcu doszła do siebie, Anna pocałowała córeczkę i Karen na pożegnanie, jeszcze raz uściskała matkę i wyszła.

Energicznym ruchem otworzyła drzwi do sali kręgowców i weszła w ciemność.

– Tybjerg! – zawołała. – Gdzie jesteś? Muszę z tobą porozmawiać.

Była poirytowana; usłyszała jakiś dźwięk gdzieś z tyłu i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego kierunku. I nagle zobaczyła, że stoi przed nią. Tak jak poprzednim razem.

– Czemu tak krzyczysz? – spytał.

– Dlaczego szantażowałeś Hellanda?

Tybjerg otworzył szeroko oczy, ale milczał. Anna podeszła bliżej i spokojnie spytała:

– Wiesz, że właściwie mogłabym zacząć cię podejrzewać?

– O co? – spytał mężczyzna szczerze zdziwiony.

– O to, że zabiłeś Larsa Hellanda. Jesteś jedyną osobą, która, o ile mi wiadomo, miała motyw. Byłeś

następcą tronu, a teraz król umarł.

– Co ty opowiadasz? Lars był moim przyjacielem – powiedział Tybjerg, cofając się w ciemność. Anna znów podeszła bliżej.

– Szantażowałeś go?

– Te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego – stwierdził Tybjerg. – W pierwszym przypadku chodziło o naukę, o badania; w drugim o przyjaźń. Przyjaźń i nauka nie dają się ze sobą pogodzić. Helland przyznał kiedyś, że pewnie postąpiłby tak samo. Kiedy kiesa jest pusta, dochodzi do walki. A kiesa jest pusta – dokończył, patrząc na nią ponuro.

– Dlaczego go szantażowałeś? Siedem tysięcy koron miesięcznie przez trzy lata. Wychodzi ładna sumka.

Tybjerg najpierw znieruchomiał, a potem wzruszył ramionami.

– Musiałem mieć pieniądze na badania. Mówiłem ci już.

Zrobił kolejny krok w ciemność, Anna podążała za nim.

– Jak do tego doszło? Pomóż mi. Muszę to wiedzieć.

Tybjerg znów wzruszył ramionami.

– Dowiedziałem się, że Helland ma nieślubnego syna. Chłopak ma na imię Asger.

Asger. Imię nie było Annie obce.

– Asger był kiedyś moim przyjacielem. Nie wiedział, że jest synem Hellanda. To był wielki skandal, czy raczej byłby, gdyby sprawa wyszła na jaw. Helland miał romans

z jedną ze swoich studentek. Miała dziewiętnaście lat i studiowała na pierwszym roku; Helland miał z nią zajęcia. Matka nigdy nie zdradziła Asgerowi, kto jest jego ojcem. Wyobrażasz sobie, że chłopak chodził na zajęcia, nie wiedząc, że uczy go ojciec? Dzisiaj ja i Asger już się nie przyjaźnimy. Stracił pracę i trochę zdziwaczał. Kiedyś bardzo dobrze się zapowiadał. Był zdolny, najlepszy ze wszystkich. Specjalizował się w chrząszczach, właściwie nadal się w nich specjalizuje. Szybko skończył studia, obronił pracę, napisał doktorat, wszystko w rekordowym tempie. Był najmłodszy w niewielkim zakładzie, którego szef wkrótce miał odejść na emeryturę. Przyszłość rysowała się w jasnych barwach. A tu nagle postanowiono rozwiązać zakład. Podobno wysłano do niego list; on twierdzi, że go nie otrzymał. Wtedy wciąż jeszcze się przyjaźniliśmy. Kiedy wrócił po wakacjach, pełen zapału, energii i planów na kolejny semestr, okazało się, że zakład już nie istnieje. Po prostu. Pech.

– Jak się dowiedziałeś, że Asger jest synem Hellanda?

Tybjerg wyraźnie wahał się chwilę, w końcu westchnął i zaczął opowiadać.

– Matka Asgera jest profesorem na wydziale, ale w innym instytucie niż ten, w którym pracował Helland. Któregoś dnia zobaczyłem ich razem. Kłócili się, odniosłem wrażenie, że chodzi o jakąś prywatną sprawę. Stali w kącie, blisko wejścia; przyglądałem się im ze schodów, nie widzieli mnie. Matka Asgera najwyraźniej

groziła Hellandowi, była bardzo zdenerwowana. Ja wtedy właśnie obroniłem doktorat i marzyłem o badaniach. Tylko nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Dzisiaj nie pojmuję, co mnie wtedy naszło, ale pewno dnia nadmieniałem coś Hellandowi o sprzeczce, której byłem świadkiem. Siedzieliśmy i pracowaliśmy razem nad jakimś artykułem i nagle uznałem, że zaryzykuję. Strzał okazał się celny, widziałem to po jego twarzy. Zrobił się biały jak kreda; domyśliłem się, że sprawa może być znacznie poważniejsza, niż początkowo sądziłem. Potem wracałem do tego jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu poprosił mnie, żebym milczał. Oczywiście obiecałem mu to. Wkrótce potem dostałem pokój w piwnicy. Helland mi go załatwił. Nie miałem wygórowanych żądań; nie oczekiwałem, że będzie płacił mi jakieś astronomiczne sumy. Ale widziałem, dokąd zmierza polityka rządu. Cięto wszystkie koszty, a ja chciałem pracować, prowadzić badania, a nie skończyć na kursie dla bezrobotnych.

Nagle zaczął mówić głośniej.

– Można powiedzieć, że lekko wykręciłem mu rękę. Zawarliśmy coś w rodzaju cichej umowy. Wyświadczyłem mu przysługę, zgodziłem się milczeć, a on miał mi się za to odwdzięczyć. Dostałem więc własny pokój w piwnicy, którego zresztą nikt nie chciał, no i zaprosił mnie do udziału w swoich badaniach. Pracowaliśmy razem, pisaliśmy artykuły, przygotowywaliśmy kolejne wystąpienia. Ale nie tylko

dlatego, że tak się umówiliśmy. Szybko okazało się, że świetnie się rozumiemy, byliśmy bardzo zgranym zespołem, być może najlepszym na świecie. To że kiedyś wykreciłem mu lekko rękę, poszło jakby w zapomnienie.

– Dlaczego Hellandowi tak zależało na zachowaniu tajemnicy?

– A jak sądzisz? Zostałby natychmiast zwolniony, poza tym jego żona też z pewnością nie byłaby z tego powodu szczególnie szczęśliwa.

– Kim jest matka Asgera? Znam ją?

– To możliwe. Nazywa się Hanne Moritzen i jest parazytolożką. Ma pokój na parterze.

Anna nie była w stanie ukryć zdziwienia.

– Ona jest jego matką?

– Tak. Matką Asgera jest Hanne Moritzen – potwierdził Tybjerg.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała z niedowierzaniem.

– Sądzisz, że Asger nie wie, kto jest jego matką?

– Ale przecież ja ją znam – wybuchła Anna oburzona.

– Ona nie ma dzieci. Powiedziała mi, że nie ma dzieci!

– No to cię okłamała – stwierdził Tybjerg.

Anna stała zdezorientowana. Hanne Moritzen miała syna z Larsem Hellandem. Anna na moment spuściła Tybjerga z oczu i ta chwila wystarczyła, żeby mężczyzna zniknął w ciemnościach. Słyszała, jak się oddala, mrużąc coś pod nosem. Po chwili usłyszała stuknięcie drzwiczek jednej z szafek. Stała bez ruchu i patrzyła w ciemność.

– Muszę iść – powiedziała nagle sama do siebie.

Wyszła z sali i znalazła się w muzeum. Słyszała bicie własnego serca i nagle zaczęła mieć wątpliwości. Może powinna zadzwonić do Sørensa i powiedzieć, czego się dowiedziała? Może angażuje się w coś niebezpiecznego?

W tym momencie dostrzegła Troelsa. Stał i czekał na nią w drzwiach do sali, gdzie prezentowano model wielkiego mamuta. Dotknął ostrożnie lodu, poczuł, że jest prawdziwy, i zdziwiony cofnął rękę. Nie miał na sobie kurtki, z kieszeni dżinsów wystawała mu wełniana czapka. Jego ciemnorude włosy układały się w loki nad czołem.

Anna zaczerpnęła powietrza; stała i mu się przyglądała. Sprawdziła, czy ma w kieszeni swoją broń, tym razem uzupełnioną o kabelek, będący rodzajem opaski zaciskowej. Po chwili odzyskała oddech, podeszła i położyła rękę na jego plecach.

– Witaj, Anno – powiedział.

Zwróciła uwagę na jego rozbiegane oczy.

– Chodźmy stąd – zaproponowała łagodnym głosem.

Mijali powoli kolejne sale, zatrzymując się od czasu do czasu na chwilę przy jakimś ekspozycie. W sali kaszalotów usiedli na ławce, tuż obok grupki hałaśliwych dzieci, niecierpliwie czekających, aż nauczycielka rozda słuchawki i będą mogły rozpocząć zwiedzanie.

Siedzieli blisko siebie.

– Co ty zrobiłeś? – spytała nagle Anna, odwracając

głowę w jego stronę.

– Nie zrobiłem tego specjalnie.

Anna czuła, że znów brakuje jej powietrza.

– Co się stało? – wyszeptała.

– Zakochałem się w nim – odpowiedział szczerze.

– W Johannesie?

Była tak zdziwiona, że zapomniała o swoim strachu.

– Ale przecie Johannes nie był gejem... On...

– Wiem – odpowiedział Troels spokojnie. – Ale i tak się w nim zakochałem.

– Ale co się stało? – dopytywała się Anna.

– Poznaliśmy się w Czerwonej Masce. Nigdy wcześniej tam nie byłem; zaciągnęli mnie znajomi, których nawet dobrze nie znam. Miejsce mi się spodobało. Niemal natychmiast zwróciłem uwagę na Johannesą. Stał przy barze i wyglądał po prostu bosko. Chociaż wcale nie był przystojny, prawda? A jednak zwracał na siebie uwagę, stał, otoczony wianuszkami ludzi. Podszedłem bliżej i zaczęliśmy rozmawiać. Wypiliśmy po piwie, a już wcześniej sporo wypłem – powiedział Troels, nieco speszony. – Musiałem wziąć się w garść, bo Johannes mówił bardzo skomplikowane rzeczy; próbował mi coś wytłumaczyć, gestykułując, dotknął mojego ramienia, dźgnął mnie palcem w pierś, poczochnął po włosach. Był szalenie fizyczny, zrobił na mnie ogromne wrażenie. Od wielu lat mam kontakt z homoseksualistami; w tym środowisku bezpośredni kontakt fizyczny jest zwykle wstępem do seksu, więc pomyślałem, że pewnie... Miał na

sobie skórzaną spódnicę, siatkowe pończochy... Chociaż rzeczywiście przez cały wieczór nawet nie wspomniał o seksie. Rozprawiał podniecony o jakichś naukowych teoriach. Prawdę mówiąc, niewiele mnie one interesowały. Interesował mnie on. Nie wiem, czy to zauważał; odniosłem wrażenie, że w ogóle nie obchodzi go, co inni sobie o nim pomyślą. Jakby chciał powiedzieć: bierzcie mnie takim, jaki jestem, albo odczepcie się ode mnie. Pewnie właśnie dlatego działał na ludzi jak magnes. Zawsze podziwiałem takie osoby.

Nad ranem wyszliśmy razem. Ruszyliśmy w stronę Enghave Plads. Uściskał mnie, powiedział, że cieszy się, że się poznaliśmy, i że chętnie kiedyś jeszcze się ze mną spotka.

– Johannes nie był gejem – upierała się Anna.

Troels odwrócił wzrok.

– Spotkaliśmy się kilka dni później. Zaprosił mnie na kolację do swojego mieszkania, piliśmy wino. Czułem się zdezorientowany. Wysyłał sprzeczne sygnały, więc w końcu zapytałem go wprost. Przyznałem, że jestem nim zafascynowany i chętnie poszedłbym z nim do łóżka. Powiedział, że nie jest gejem. Zezłościłem się. Uznałem, że zadrwił ze mnie. Zaprosił mnie na kolację, częstował winem, no i to jego idiotyczne przebranie, wtedy w klubie. Może i nie był gejem, ale... – przerwał i wyraźnie się zawahał. – Chciał, żebym go upokorzył seksualnie, ale nie wolno było mi go dotknąć. Mogłem drwić sobie z niego, dokuczać mu, ale wyłącznie słownie, pod żadnym

pozorem nie wolno mi było dotknąć jego penisa. Twierdził, że właśnie to go kręci. Seks z kobietami mu nie wystarczał. Zgodziłem się, chociaż nigdy wcześniej w czymś takim nie uczestniczyłem. Spędziłem kilka lat w Stanach, wiele widziałem, dużo też sam doświadczyłem. Bywałem w klubach sadomasochistycznych; w związkach zwykle bywałem stroną dominującą, potrafiłem być gwałtowny, ale propozycja Johannesesa była dla mnie czymś nowym. Dla niego zresztą też. I tę inicjację miał przeżyć ze mną.

Troels spojrział zażenowany na Annę, która siedziała nieruchoma, wpatrując się w kaszalota po drugiej stronie sali. Hałaśliwe dzieci zniknęły. W sali byli tylko oni i czteroosobowa rodzina, rodzice i dwójka dzieci.

– Zacząłem go bić i ... Zresztą wszystko jedno. Był podniecony, zaczął się onanizować. Osobiście miałem ochotę pójść dalej, ale kiedy tylko się do niego zbliżałem, odtrącał mnie. Wyraźnie tego nie chciał, a ja czułem się coraz bardziej sfrustrowany. Pragnąłem go. Dawałem mu to do zrozumienia. I nagle czar prysł. Zrobiło mu się przykro, poszedł do drugiego pokoju. Miał do mnie pretensję, bo przecież zawarliśmy umowę. Zacząłem go przeproszać, ale to chyba tylko pogorszyło sprawę. Chciał, żebym sobie poszedł. Idź, idź już, powtarzał. Spokojnie, cicho, dając mi do zrozumienia, że go zawiodłem. W końcu wyszedłem.

Następne dni były straszne. Nie mogłem się pozbierać. Nie byłem w stanie na niczym się skupić.

Myślałem tylko o nim. Wysyłałem mu mejle, ale on nie odpowiadał. W środowisku Gotów występuję jako YourGuy.

Znów spojrzał na nią speszony.

– Tam to normalne. Wszyscy mają jakieś pseudo, na tym między innymi polega zabawa. Zresztą mnie to odpowiadało. Kopenhaga to wioska, a ja wróciłem z wielkiego świata i szczerze mówiąc, bynajmniej nie marzyłem, żeby trafić na pierwszą stronę tabloidów. „Supermodel sadystą”, już widziałem te tytuły. W Stanach jestem dość znaną postacią – dodał, tłumacząc się jej. – Tutaj szło mi dość ciężko. Wróciłem wiosną. We wrześniu miałem wziąć udział w pierwszej dużej kampanii reklamowej i sporo na tym zarobić. Tak więc miejsce, które zapewniało mi anonimowość, bardzo mi odpowiadało. Ale wróćmy do Johannesesa. Milczał, nie odzywał się do mnie, a ja popadałem w coraz większą desperację. I nagle, całkowicie przypadkowo, wpadliśmy na siebie w jakiejś kawiarni. Wydawał się w świetnym nastroju, jakby w ogóle nie pamiętał tego, co między nami zaszło. Powiedział tylko, że jest bardzo zapracowany. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że wy się znacie. Już wcześniej wspominał o tobie kilka razy. „Moja znajoma, Anna”, „Anna, moja koleżanka z pracy”. Nic mi to oczywiście nie mówiło, dopiero kiedy za którymś razem powiedział Anna Bella, coś mnie tknęło. Pomyślałem, że pewnie chodzi o ciebie. Wiedziałem, gdzie mieszkasz. Chciałem się z tobą

skontaktować zaraz po powrocie do Kopenhagi, ale było mi wstyd. Wtedy, dziesięć lat temu, zniknąłem tak bez słowa. Twoi rodzice... – urwał i zaczął kręcić głową. – W ogóle się do nich nie odezwałem. Mimo że przez wiele lat wysyłali mi kartki z życzeniami na Boże Narodzenie i na urodziny. Dostali mój adres od mojej siostry. Twoja mama prosiła, żebym się z nimi skontaktował, kiedy znów będę w Danii. – Uśmiechnął się speszony. – Nigdy się do nich nie odezwałem. Kiedy wróciłem do Kopenhagi, pomyślałem, że najłatwiej będzie mi zwrócić się do Karen. Co prawda najbardziej tęskniłem za tobą, ale do diabła, strasznie wtedy na mnie napadłaś, tamtej nocy... – Uśmiechnął się do niej, zawieszając głos.

– Tak bardzo, że chciałeś rozkwasić mi gębę? – spytała Anna.

Czuła, jak powoli szok mija i zaczyna narastać w niej złość. Zauważyła też, że po jej ostatnich słowach Troels zmienił się na twarzy.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz mnie upokorzyć? Wtedy też chciałaś – powiedział, wzruszając ramionami. – Tamtej nocy byłaś równie okropna jak mój ojciec. Kopałaś mnie, biłaś, krzyczałaś. Kto wpadł na ten kretyński pomysł, żebyśmy kochali się w trójkę?

– Ty i Karen – powiedziała Anna zła. – Ty i Karen to wymyśliliście. Zawsze starałeś się wykluczyć mnie ze wszystkiego. Przyjaźniłeś się z Karen, tylko po to żeby mnie zranić. Tamtej nocy też mnie ignorowaliście. Jak moi rodzice, którzy cały czas się nad tobą rozpływali.

„Kochany Troels, jest taki miły, śliczny, zaopiekujemy się tobą. Możesz na nas liczyć”.

Na jej twarzy pojawił się grymas, Troels przyglądał się jej zdziwiony.

– Anno – powiedział – Ja zawsze kochałem tylko ciebie. Karen jest moją przyjaciółką. Lubię z nią być, bo jest taka nieskomplikowana. Wtedy też taka była. Ale to za tobą tęskniłem. Ubóstwiałem cię, kochałem twoich rodziców. Marzyłem, żeby móc z wami zamieszkać. Czasem jednak miałem wrażenie, że ty mnie nienawidzisz, tamtej nocy także. A ja miałem dosyć nienawiści. Chciałem, żebyś zamilkła, dlatego uciekłem. Tydzień wcześniej dałem ojcu w twarz i wybiłem mu zęby. Deską. Potem tłumaczył wszystkim, że musiał gwałtownie zahamować, a zapomniał zapiąć pasy. Ale to nie była prawda. Ja mu to zrobiłem. Co prawda sprowokował mnie. Zamknął mnie w piwnicy i zaczął wyzywać od najgorszych. W końcu wykrzyczał mi w twarz, że jestem pedałem! Niewiele myśląc, chwyciłem półkę i uderzyłem go w twarz. Nie mogłem wytrzymać jego nienawiści, rozumiesz mnie? Dlatego wtedy, tamtej nocy, przestraszyłem się. Nie byłem pewny swojej reakcji. Naprawdę się bałem. Potem myślałem o tym setki razy. Zrozumiałem, że pewnie byłaś zazdrosna. Byłaś jedynaczką, cały świat kręcił się wokół ciebie, a tu nagle zjawiałem się ja i popsułem ci szyki. Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałem, dlaczego twoi rodzice tak się o mnie troszczą. Mieli przecież ciebie. No ale... – urwał i

zamilkł.

– Ty nic o mnie nie wiesz – odezwała się Anna cichym głosem.

Troels patrzył przed siebie, nie reagując na jej słowa.

– Podczas tego drugiego spotkania z Johannesem zrozumiałem, że on cię kocha. Bez przerwy o tobie mówił. Nie bezpośrednio, ale korzystał z każdej okazji. Zacząłem zadawać mu pytania, a on chętnie odpowiadał. Wkrótce wiedziałem o tobie wszystko. Że zostawił cię Thomas, twój partner; że w ogóle nie interesuje się waszą córeczką, nie odwiedza jej, nie przysyła prezentów na Boże Narodzenie; że co prawda płaci zasądzone mu alimenty, ale nic poza tym, mimo że jest lekarzem, a ty nadal studiujesz. Że czujesz się w tym wszystkim bezradna. Że piszesz pracę dyplomową. Że Cecilie przeniosła się do Kopenhagi, ale że wasze relacje nie są najlepsze. Johannes nie zdziwił się, że go o to wszystko wypytyję. Był zachwycony, że może o tobie mówić. Oczywiście błyszczały. Sytuacja była dziwna: on był zakochany w tobie, a ja w nim.

Troels znów się uśmiechnął.

– To moje przekleństwo. Wszystko, czego pragnę, dostajesz ty – dodał i zamilkł.

Po dłuższej chwili wrócił do swojej opowieści.

– Tego wieczora miarka się przebrała. Johannes chciał, żebym, tak jak poprzednio, zaczął go upokarzać, ubliżać mu, nawet bił dłonią po całym ciele, po głowie. Zaczął się onanizować, namawiał mnie, żebym poszedł w

jego ślady. Nie chciałem. Byłem bliski szału, bo przecież go kochałem, no i byłem też trochę pijany. Wiedziałem, że jestem silniejszy od niego, że mam nad nim władzę. I nagle wszedłem w niego. Przytrzymałem go i postawiłem na swoim. To była chwila, wszystko trwało może pięć sekund, ale Johannes dostał szału. Zaczął płakać, krzyczeć, kazał mi się wynosić. W środowisku fetyszystów takie zachowania są surowo zabronione. Dochodzi się do pewnej granicy, ale bez zgody partnera nigdy jej się nie przekracza. Uprzedzał mnie, wyraźnie mi to mówił, ale go nie słuchałem.

Następne dni były piekłem. Wydzwaniałem do niego, mejlowałem. Nie odpowiadał. Minał tydzień, zanim znów go zobaczyłem. Był głęboko nieszczęśliwy. Przekroczyłem pewną granicę. Nie potrafił tego zaakceptować. To było wbrew zasadom. Bawiliśmy się, to była zabawa. Żaden kontakt fizyczny nie wchodził w grę. Zgodziłem się na to; zawiódł się na mnie. Powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć. Minęło kilka tygodni. Dwa razy spotkałem się z Karen. Powiedziałem jej, że się zakochałem, ale bez wzajemności. Próbowwała mnie pocieszyć.

Troels się uśmiechnął.

– Rozmawialiśmy też o tobie. Spytałem, czy sądzi, że możemy nadal się przyjaźnić. Ty i ja. Najlepiej wszyscy troje. Wypytywałem ją o ciebie. Powiedziała, że właściwie nie ma z tobą kontaktu. Byłem zaskoczony. Ale rozmawiała z Cecilie. Od niej dowiedziała się, że

samotnie wychowujesz córeczkę. Że bardzo przeżyłaś rozstanie z Thomasem, chociaż oni, to znaczy Cecilie i Jens, zbytnio nad tym nie boją. Nie przepadali za nim. Thomas był inteligentny, ale też dość powierzchowny. Podobno Cecilie tak go określiła. Karen twierdziła, że bardzo się o ciebie martwią i starają ci się pomagać, między innymi opiekując się Lily. Chętnie bym ją kiedyś poznał – powiedział nagle Troels. – Karen chciała się natychmiast z tobą skontaktować, ale Cecilie poprosiła, żebyśmy się wstrzymali. Aż obronisz pracę. I tak się umówiliśmy. Że spotkamy się po twojej obronie. Karen nie mogła już się doczekać. Podobno strasznie za nami tęskniła. Jej radość z naszego spotkania dodała mi odwagi.

Pewnego dnia wpadłem do Cecilie, zaprosiła mnie na herbatę. Spędziliśmy miłe popołudnie. Przeprosiłem za milczenie; powiedziała, że nie ma za co i że bym się nie przejmował. Powiedziałem jej, że momentami było mi bardzo trudno; poprosiłem też, żeby nie wspominała ci o mojej wizycie. Wy tłumaczyłem, że chcę zrobić ci niespodziankę, chociaż tak naprawdę bałem się, że będziesz na mnie zła. Zazdrosna i zła. I wtedy znów wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Chciałem najpierw sam się z tobą rozmówić, ustalić pewne zasady. Poprosić, żebyś mnie nie poniżała. Wy tłumaczyć, że nie zniosę tego, ale że w zamian nie dam się zaanektować twoim rodzicom.

Odwiedziłem też Jensa. Czekałem kiedyś na niego przed wejściem do redakcji przy Placu Ratuszowym.

Zobaczyłem, jak wychodzi. Postarzał się, posiwiał. Nawet poszedłem za nim, ale w końcu zabrakło mi odwagi. Zamiast odwiedzić Jensa, postanowiłem więc odwiedzić moją siostrę. Karen ucieszyła się na mój widok, Cecilie przyjęła mnie z otwartymi ramionami, więc w nagłym przypływie odwagi wystukałem numer do siostry. „Nigdy więcej do mnie nie dzwoń”, usłyszałem jej lodowaty głos. „Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do mnie albo do moich dzieci, zadzwonię na policję”.

Troels uśmiechnął się smutno i znów zamilkł na chwilę.

– Pobiłem się z ojcem, kiedy już był bardzo chory i leżał w szpitalu. Rzuciłem w nim wazonem, a on we mnie szufladą. Moja siostra bardzo to przeżyła – ciągnął dalej, już bez uśmiechu. – Sześć dni później, na pogrzebie, miałem siedem szwów na czole. Nie mam pojęcia, jak on to zrobił, skąd miał tyle siły. Przecież był umierający. Nadal mam bliznę po tej szufladzie.

Odwrócił się twarzą do Anny i pokazał jej białą szramę na czole.

– Siostra nie wpadła na pomysł, żeby spytać, dlaczego mam pokiereszowane czoło. Powiedziała tylko, że nie usiądzie koło mnie w kościele. I dotrzymała słowa. Potem podeszła do mnie i zapowiedziała, że jeśli kiedykolwiek się do niej zbliżę, oskarży mnie o napaść. Ojca zjadł rak, ale w jej oczach to ja go zabiłem, rzucając w niego wazonem. Wystarczyło jedno zdanie, żebym zrozumiał, że nie zamierza mi wybaczyć. Kiedy to do

mnie dotarło, załamane się. Poza tym cały czas myślałem też o Johannesie. Bałem się, że doniesie na mnie na policję, a jednocześnie okropnie za nim tęskniłem. Karen nic nie rozumiała. Spotkaliśmy się kilka razy na kawie, ciągle wracała do naszego przyszłego pojednania. W końcu uznałem, że muszę cię zobaczyć. Po prostu. Pomyślałem, że może mogłabyś porozmawiać z Johannesem. Właściwie nie wiem, co myślałem. Wiedziałem, gdzie mieszkasz. Któregoś dnia wszedłem z kimś na klatkę i miałem nadzieję, że będziesz w domu. Nie chciałem cię zaskoczyć, ale nie chciałem też, żebyś mnie odtrąciła, zanim z tobą porozmawiam. Byłem przekonany, że kiedy się zobaczymy, wszystko jakoś się ułoży. Byłem u ciebie dwa razy i za każdym zabrakło mi w końcu odwagi. Raz naprawdę spanikowałem. Ty wtedy poszłaś biegać i twoja sąsiadka z dołu przyszła zajrzeć do Lily. Zostawiła uchylone drzwi, więc wszedłem. Usiadłem na kanapie, udając, że jestem twoim starym znajomym. Ona jednak spojrzała na mnie podejrzliwie i kazała mi wyjść. Wyrzuciła mnie. Powiedziała, że mogę poczekać na zewnątrz. Wtedy wpadłem w panikę, jakby ktoś złapał mnie na gorącym uczynku. Zacząłem zbiegać po schodach i nagle usłyszałem, że wróciłaś do domu. Słyszałem, jak otwierasz drzwi do klatki i wchodzisz, zdyszana. Wiedziałem, że to jesteś ty. Zakasłałaś, więc się schowałem. Twoja sąsiadka wyszła z mieszkania i chyba mnie wypatrywała, jakbym był przestępcą, zagrożeniem dla innych – dodał zmęczonym głosem. – Przypomniała

mi się szkoła. Pamiętasz, jak mój ojciec tłumaczył, że trzeba mnie krótko trzymać, bo inaczej będę nie do okiełznania. Nie, nie bił mnie, skądże. Po prostu jasno wytyczał granice. I wszyscy to przyjmowali: po prostu wymagałem silnej ręki. Tylko twoi rodzice nigdy w to nie uwierzyli.

Wbiłem się w kąt między szafką a ścianą i nie zauważyłaś mnie. Słyszałem twoje oddalające się kroki, odczekałem chwilę i wybiegłem.

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle znalazłem się na Vesterbro i po chwili stałem już przed klatką Johanna, pod jego oknami. Był w domu, widziałem zapalone światło, w pewnym momencie podszedł nawet do okna, zobaczyłem, że rozmawia przez telefon. Odczekałem chwilę i wszedłem na klatkę. Zapukałem do drzwi, otworzył, niemal siłą wdarłem się do wewnątrz. Dzwoniłem do niego codziennie, od dwóch tygodni, posyłałem mu kwiaty, przepraszałem, wysyłałem mu mejle. A on milczał. Kiedy nagle pojawiłem się przed jego drzwiami, przestraszył się. Jestem od niego wyższy, no i znacznie silniejszy, co w pewnych okolicznościach bardzo mu odpowiadało. Wydał mi się drobny, niepozorny. Jakiś błysk w jego oczach sprawił, że poczułem podniecenie. Pomyślałem, że on też tego chce. Że to jest zabawa i to, co dzieje się teraz, w tej chwili, jest jej częścią. Przecież on właśnie tego chciał; chciał, żeby ktoś przejął nad nim władzę, upokorzył go, zdominował. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. On mnie oszukał,

a ja dałem się nabrać.

Oczy Troelsa błyszczały, w jego głosie słychać było podniecenie. Anna włożyła rękę do kieszeni kurtki, wzdrygnęła się, jakby marzła.

– Zamknąłem drzwi – mówił Troels dalej. – Wszedłem i rozpiąłem spodnie. W tym momencie byłem pewien, że on właśnie tego chce. A on się cofnął. Nie tak miało być, pomyślałem. Chwyciłem mojego kutasa i kazałem mu się rozebrać. Powiedziałem, że chcę, żeby zrobił mi loda. Udawał przestraszonego. Świetnie grał. Naprawdę. Wyraźnie się opierał, więc zacząłem wyzywać go od najgorszych i nagle miałem wytrysk. Skuliłem się i poczułem, że muszę wziąć go w ramiona, chciałem poczuć go przy sobie. Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że on trzyma w ręku nóż. Nie mam pojęcia, skąd go nagle wytrzasnął. Patrzył na mnie, a jego oczy były niemal czarne. Odezwałem się do niego, podniosłem rękę. „Nie gróż mi”, powiedziałem. Chciałem, żeby się uspokoił, a on rzucił się na mnie. Usiłował dźgnąć mnie nożem. Odepchnąłem go; znów poprosiłem, żeby odłożył nóż. Ostrzegałem go. Wszystko na nic. Nagle zmienił się, nie był już tym łagodnym chłopcem, którego kochałem. Nawet jego głos się zmienił, zrobił się jakiś ciemny i głęboki. Nie rezygnował, groził mi, kazał mi wyjść. Wykrzykiwał coś łamiącym się, piskliwym głosem, opluł mnie.

Troels zrobił przerwę i spojrzał na Annę.

– Tym razem jednak nie uciekłem. Postanowiłem, że

sprawie, żeby zamilkł.

Anna nadal trzymała rękę w kieszeni, dotknęła opaski zaciskowej, zwinęła ją i schowała w dłoni. Po chwili przeciągnęła się, jakby chciała zmienić pozycję. Czuła, jak mocno bije jej serce.

– Potem odwiedziłem Jensa – powiedział Troels. – Nie wiem, jak to się stało, ale nagle po prostu znalazłem się przed jego domem. Byłem bez kurtki, miałem mokre spodnie. W każdej chwili spodziewałem się policji. Dlatego chciałem porozmawiać z Jensem. Po prostu porozmawiać. I tak też się stało. Rozmawialiśmy i nieco się uspokoiłem. Pomyślałem, że może Johannesowi nic się nie stało. Zacząłem się zastanawiać: czy ja w ogóle go uderzyłem? Nie potrafiłem powiedzieć. Jens poczęstował mnie whisky, dał mi coś do przebrania. Masz wspaniałych rodziców, Anno.

– Oni też cię lubią – zapewniła go spokojnym, łagodnym głosem.

– Za chwilę odejdę i już nigdy tu nie wrócę. Nie chcę trafić do więzienia. Czasem mam wrażenie, że całe moje życie było dla mnie więzieniem.

– Dlaczego wysłałeś mi esemes? – spytała Anna.

– Wiesz, jak bardzo przeżyłem naszą kłótnię? To wszystko, co wtedy się wydarzyło? Nie chciałem wyjeżdżać, nie zobaczywszy cię, nie rozmówiwszy się z tobą. Chciałem, żebyś wiedziała, że nie zrobiłem tego specjalnie. Ani wtedy, ani teraz. Mam nadzieję, że tym razem mnie nie zawiedziesz – zwrócił się nagle do niej. –

Nie zawieźdź mnie teraz – powtórzył. – Mam wrażenie, że się zmieniłaś. Wiesz, bardzo chciałbym poznać twoją córeczkę.

– Nie wiem dlaczego, ale nagle wiedziałam, że ty to zrobiłaś.

– Niesamowite, prawda? – Uśmiechnął się. – Myślałem, że zajmie ci to trochę więcej czasu. Co ci wtedy napisałem?

– Nie dlatego się domyśliłam. Domyśliłam się, bo powiedziałaś, że ma na imię Johannes. Wtedy w piątek, kiedy się spotkaliśmy. Znałeś jego imię. Twierdziłaś, że Karen ci powiedziała.

Anna odwróciła głowę; patrzyła na Troelsa swoimi żółtymi oczami.

– Ale Karen nie znała jego imienia. Więc jak to możliwe, że ty je znałaś? Nagle wszystko stało się jasne. To, że na mnie czekałaś, że spotkałaś się z Karen, z Jensem, a nawet z Cecilie. Johannes wspominał mi, że ma kłopoty, że ktoś mu się narzuca; sądziłam, że to jakaś dziewczyna... A potem dowiedziałam się, że policja poszukuje faceta, który ukrywa się pod ksywką YourGuy. To nie mógł być przypadek.

Troels spojrział na Annę mętłym wzrokiem.

– Naprawdę tak powiedział? Że mu się narzucam?

Anna pochyliła się w jego stronę.

– W jednym masz rację: nie zawiodę cię – wyszeptała mu do ucha.

Troels spojrział jej w oczy. Zauważyła jego pusty

wzrok.

– Przykro mi z powodu Johannesesa. Kocham go i mam nadzieję, że z tego wyjdzie. No i że się na mnie nie obraził.

– On nie żyje – powiedziała Anna łagodnie. – Johannes nie żyje.

Troels siedział i patrzył na nią pustym wzrokiem, po chwili odwrócił się i Anna domyśliła się, że za chwilę wstanie i wyjdzie, zniknie na zawsze. Zrozumiała, że właśnie w tym momencie nie wolno jej go zawieść.

Wszystko odbyło się w ciągu dziesięciu sekund. Nagle całym ciężarem swojego ciała przygniotła jego rękę, owinęła opaskę wokół jego nadgarstka, pociągnęła i przypięła kabel do ławki. Troels poruszył się zirytowany, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, dlaczego Anna niemal się na nim położyła? Chciał cofnąć rękę, co ona wyprawia, do cholery!

Rozległ się jakiś krzyk, przestraszyła się, że jej się nie udało. Dopiero kiedy nagle spostrzegła, że siedzi na podłodze jakieś półtora metra od ławki ze śrubokrętem wyciągniętym w jego stronę, dotarło do niej, że to ona przed chwilą krzyczała.

Troels wstał, wyprostował się, ławka niepokojąco się zachybotwała. Anna z trudem łapała powietrze. Opaska wydawała się trzymać, ale Troels był silny. Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Troels zaczął krzyczeć: wyzywał ją, groził jej. Krzyczał, że ją zabije, że zabije jej dziecko. Zewsząd zaczęli nadbiegać ludzie. Anna

zobaczyła, że opaska już długo nie wytrzyma. Podeszła do niego bliżej. Troels wyciągnął swoją wolną rękę i uderzył ją pięścią w głowę. Pociemniało jej przed oczami. Wyciągnęła z kieszeni drugi kabelek, przewlekła przez pierwszy i mocno zaciągnęła. Troels znów się zamierzył. Dźgnął ją palcem w skroń, bardzo precyzyjnie. Upadła, ale udało jej się go unieruchomić. Dokoła zaczęli się tłoczyć ludzie. „Co się tu dzieje?!” – krzyczał ktoś. Sięgnęła po telefon komórkowy, ręce jej drżały. Søren odebrał po pierwszym dzwonku.

– Pomóż mi – powiedziała.

Opuściła budynek muzeum jeszcze przed przybyciem policji. Z narażeniem życia przebiegła przez ulicę i wskoczyła do odjeżdżającego z przystanku autobusu. Kiedy stanęła przed wejściem do mieszkania Hanne Moritzen, była wściekła.

– Dlaczego wszyscy mnie okłamują? – wypaliła, kiedy tylko otworzyły się drzwi. – Dlaczego mnie okłamałaś? Dlaczego nie powiedziałaś, że masz syna z Larsem Hellandem? – spytała po chwili. – Dlaczego skłamałaś? – powtórzyła. – Nic z tego nie rozumiem!

Stały w białym przestronnym holu, drzwi do dużego pokoju były uchylone; Anna dostrzegła fragment wielkiej białej kanapy.

Nagle Hanne padła przed nią na kolana. Chwyciła jej dłonie i wydała z siebie przerażający jęk. Anna chwyciła ją, podniosła i zaprowadziła do pokoju. Usiadły na

kanapie. Hanne przywarła do niej, Anna nie protestowała. Nagle zdała sobie sprawę, że być może jest blisko rozwiązania drugiej tragicznej zagadki.

Kiedy Hanne nieco się uspokoiła, opowiedziała Annie o swoim synu.

– To wszystko moja wina – zaczęła. – Myślałam, że jeśli nikomu nic nie powiem, to nikt nigdy o niczym się nie dowie.

Anna pozwoliła jej mówić.

Rozmawiały dwie godziny, w końcu Hanne poprosiła Annę, żeby poszła na policję.

– Nie mogę donieść na własnego syna – wyszeptała. – Chcesz zobaczyć jego zdjęcie? – spytała po chwili.

Anna skinęła głową. Hanne przyniosła wypełnione zdjęciami pudełko. Anna sądziła, że pokaże jej aktualne zdjęcie Asgera, który, jak się przed chwilą dowiedziała, przez lata pracował trzy piętra nad gabinetem matki, i którego Anna z pewnością nieraz widziała na korytarzu instytutu, może nawet chodziła do niego na zajęcia. Jednak w pudełku były zdjęcia z dzieciństwa Asgera. Zobaczyła uśmiechniętą buzię śliniącego się niemowlaka z grzechotką w maleńkiej rączce, wpatrywały się w nią błyszczące oczy nieco już starszego dziecka, bawiącego się na śniegu w kombinezonie. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, chłonne jak gąbka, nieskażone.

– Muszę wracać do Lily – szepnęła i zaczęła się żegnać.

Hanne nie chciała jej puścić.

– Nie zostawię cię samej – obiecała jej Anna.

Kobieta uśmiechnęła się smutno, ale puściła jej dłonie.

– Jak tylko wrócę do domu, natychmiast zadzwonię do Sørena. Potem już sama się wszystkim zajmiesz, dobrze?

Hanne pokiwała głową.

Był niedzielny wieczór, kiedy Anna szybkim krokiem szła Falkoner Alle. Nagle usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i zobaczyła Johannes. Biegł w jej stronę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie włożysz na siebie czegoś cieplejszego, głuptasie – odezwała się do niego łagodnie.

Nadal miał na sobie wiatrówkę i conversy.

– Nie jest mi zimno – zapewnił, biorąc ją za rękę.

Szli teraz razem w milczeniu. Dotarli do drzwi do klatki, Anna je otworzyła. Odwróciła się do niego, jakby się zastanawiała, czy powinna zaprosić go na górę. A jeśli Lily się go przestraszy? Nagle zauważyła, że Johannes zniknął. Stała z ręką na klamce i wpatrywała się w ciemność. W końcu otworzyła drzwi i ruszyła na górę. Zza drzwi doszły ją wesołe słowa dziecięcej piosenki.

Było już po wszystkim. Zostało jej tylko jeszcze jutrzejsze spotkanie z Freemanem.

Kiedy w niedzielę, czternastego października, Søren dotarł do Muzeum Zoologicznego, Anny już tam nie było. Gdy do niego zadzwoniła, jechał samochodem do centrum. Usłyszał jej głos i krew zastygła mu w żyłach.

– Pomóż mi! – powiedziała. Słyszał, jak z trudem łapie powietrze. Mój przyjaciel, Troels, zabił Johannesesa. Jest tutaj, w muzeum. Przypięłam go do ławki, ale nie mogę z nim zostać – dodała i połączenie zostało przerwane. Troels? Søren natychmiast przyspieszył i zadzwonił na komisariat. Radiowóz z dwoma funkcjonariuszami dotarł do muzeum jednocześnie z nim. Przekazał kolegom wszystko, co wiedział, kiedy wbiegali po schodach.

– Gdzie jest sala z wielorybem? – zawołał do młodej dziewczyny w recepcji, która wskazała mu windę.

Dotarli na czwarte piętro, minęli zdziwionego pracownika muzeum, i zdyszani wpadli do dużej sali, gdzie panowało wielkie zamieszanie. Pod ścianą, na której wisiał szkielet kaszalota, był tłum ludzi.

Søren zaczął przedzierać się przez tłum. Nagle na ławce zobaczył chłopaka z plakatu na ścianie domu towarowego. Przyjrzał mu się zdziwiony. Troels szarpał rękę przypiętą kablem do oparcia ławki. Dłoń mu krwawiła, parskął jak złapane w potrzask zwierzę. Søren poprosił, żeby się uspokoił, ale mężczyzna nie zamierzał

go słuchać.

– Siedź spokojnie, do cholery! – wrzasnął Søren.

Chłopak odwrócił się i spojrzał na niego wściekły. Oczy podeszły mu krwią. Nagle podniósł nogę i z całej siły kopnął policjanta w goleń. Søren cofnął się i dał znak kolegom, żeby podeszli bliżej.

– Spokojnie, człowieku – odezwał się jeden z nich. Drugi przeciął kabel i zastąpił go policyjnymi kajdankami.

– Jak się nazywasz, poza tym że masz na imię Troels?
– spytał Søren grzecznie.

– Nie twoja sprawa, psie – warknął chłopak.

– Gdzie jest Anna?

Oczy Troelsa ciskały gromy.

– Jeśli ją zobaczę, zabiję ją!

– Jasne – odpowiedział Søren. – Jest piętnasta dwadzieścia dwie, aresztuję cię za... napaść na funkcjonariusza na służbie.

Poczuł na sobie wzrok kolegów, ale postanowił nie zmieniać zarzutu. Kiedy dowie się czegoś więcej, będzie mógł oskarżyć go o zabójstwo Johannesesa.

– Nie masz obowiązku odpowiadać na pytania policji – dodał.

Troels otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili najwyraźniej zrezygnował. W jego oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Zabierzcie go do radiowozu! – rzucił Søren do kolegów. – Zaraz do was dołączę.

Zrobił szybką rundę po salach muzeum, ale Anny

nigdzie nie było. Dzwonił do niej kilkakrotnie, nie odbierała. W końcu zostawił jej wiadomość. Nie ma czasu błądzić po korytarzach, ma nadzieję, że wkrótce się do niego odezwie. Podziękował jej za obywatelską postawę i prosił o bliższe informacje. Jak najszybciej, powtórzył.

Było wpół do szóstej, a Anna się nie odezwała. Søren siedział w swoim pokoju i zastanawiał się, co powinien zrobić. Całe popołudnie usiłował wydobyć z Troelsa, jak brzmi jego pełne imię i nazwisko. Mężczyzna odmawiał współpracy. W końcu zadzwonił do Stelli. Była w odwiedzinach u znajomych, ale zgodziła się przyjechać na komisariat taksówką, oczywiście na koszt policji. Przybyła po niespełna kwadransie. Spojrzała na Troelsa przez lustro weneckie i potwierdziła, że to jego widziała na imprezie w Czerwonej Masce.

Nie miała żadnych wątpliwości. Dała też Sørenowi listę gości, którzy trzeciego września bawili się w klubie. Gdzieś na niej powinno być nazwisko Troelsa. Przebiegł listę wzrokiem, było na niej dwóch Troelsów, Troels Vedsegaard i Troels Nielsen. Podrapał się po głowie i spojrzał na zegarek.

Tik tak.

Zjadł kanapkę.

Sporządził raport.

Spojrzał w ciemność za oknem, ale zobaczył jedynie własne lustrzane odbicie.

Kiedy Anna w końcu zadzwoniła, miał nerwy napięte

do granic wytrzymałości.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął.

– Teraz już w domu – odpowiedziała.

Søren poczuł ulgę.

– Ten facet, którego przywiązałaś do ławki w muzeum, jak on ma na nazwisko?

– Vedsegaard. Kiedy byliśmy dziećmi, był moim najlepszym przyjacielem. Wszystko ci wytłumaczę, ale nie w tej chwili. Przepraszam, że wyszłam.

Søren podkreślił na liście nazwisko Troelsa.

– Przyznał się? – spytała Anna.

– Pewnie tak, skoro go aresztowałaś. – Søren się uśmiechnął. – Bądź tu jutro o dziesiątej – poprosił.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć – odezwała się po chwili Anna.

– Tak?

– Wiem, kto zaraził Hellanda tasiemcem.

Teraz po obu stronach zapanowało milczenie.

– Jesteś tam? – spytała w końcu Anna.

– Co ty powiedziałaś?

– Że wiem, kto zaraził Larsa Hellanda.

– Kto?

– Nazywa się Asger Moritzen. Jest synem Larsa Hellanda i Hanne Moritzen. Mieszka na Glasvej 12. Tybjerg odkrył kiedyś ich tajemnicę. On i Asger się przyjaźnili. Asger pracował wtedy na uniwersytecie. Został zwolniony, kiedy zlikwidowano jego zakład.

Tybjerg twierdzi, że Asger nie miał pojęcia, kto jest jego ojcem. Tybjerg dowiedział się o wszystkim przez przypadek i zaczął szantażować Hellanda. Kiedy Asger w końcu dowiedział się prawdy, zaczął się dziwnie zachowywać, tak przynajmniej twierdzi Tybjerg. Wtedy ich przyjaźń się skończyła.

Søren z trudem za nią nadązał, potrzebował czasu, żeby wszystko ogarnąć.

– Mów dalej – powiedział po chwili.

– Spędziłam dzisiaj trzy godziny, rozmawiając z Hanne Moritzen. Dlatego nie mogłam poczekać na ciebie w muzeum i dlatego nie odbierałam twoich telefonów. Musiałam do niej pojechać. Hanne mnie okłamała, chociaż jest moją przyjaciółką. Ma syna! Początkowo byłam na nią zła, ale potem opowiedziała mi całą historię. Cały weekend miała świadomość, że to Asger jest mordercą. Chciała pójść na policję, ale... matki i dzieci, wiesz, jak to jest – powiedziała Anna. – Matka jest w stanie zrobić wszystko dla swojego dziecka w imię złe pojętej miłości.

Søren chciał coś wtrącić, ale Anna nie dała mu szansy. Mówiła dalej:

– Obiecałam Hanne, że potraktujecie go łagodnie, kiedy po niego przyjdziecie. Jest delikatny i wrażliwy, nie stanowi żadnego zagrożenia. Jest przede wszystkim przerażony.

Søren przełknął ślinę.

– Jeśli dobrze cię zrozumiałem, to wiesz, gdzie jest

Tybjerg?

– Tak – potwierdziła Anna. – Od początku to wiedziałam. Przepraszam – dodała.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytał Søren surowym tonem.

– Tybjerg był bliski załamania, przestraszyłam się. W następny poniedziałek mam obronę. Nie mogę pozwolić, żeby została przełożona. Chcę to już mieć za sobą. Mam trzyletnią córeczkę. Chciałabym móc wrócić do roli matki.

– Więc gdzie on jest? – spytał Søren znów, ale już znacznie łagodniej .

– Powiem ci. Obiecuję – powiedziała Anna spokojnie. – Jutro. I nie mogę przyjść o dziesiątej. Mam ważne spotkanie. Mogę być o pierwszej. Teraz niestety muszę już kończyć.

– Anno, musisz mi powiedzieć, gdzie ukrywa się Tybjerg!

– Zaufaj mi – poprosiła i się rozłączyła.

Søren siedział przy biurku i wpatrywał się w słuchawkę telefonu.

Hanne Moritzen mieszkała na drugim piętrze w starej kamienicy niedaleko Falkoner Alle. Kiedy Søren wcisnął guzik domofonu, otworzyła mu niemal natychmiast.

– Proszę wejść – powiedziała schrypniętym głosem.

Czekała na niego w drzwiach swojego mieszkania, ubrana w szary dres. Miała mokre włosy, jakby przed

chwilą brała prysznic.

Wszedł, zaprosiła go do pokoju. Podobnie jak dom na wsi, jej mieszkanie było eleganckie, utrzymane w chłodnej tonacji, biel z kolorowymi akcentami czerwieni i pomarańczowego. Hanne Moritzen usiadła na kanapie i przyglądała mu się wyczekująco.

– Przyszedłem tu, ponieważ godzinę temu zadzwoniła do mnie Anna Bella, informując mnie, że...

– Zrobiła to na moją prośbę – przerwała mu Hanne.

– Rozumiem, że podejrzewa pani, że pani syn, Asger, zainfekował Larsa Hellanda pasożytami?

Hanne Moritzen przytaknęła.

– O ile dobrze zrozumiałem, zmarły Lars Helland był biologicznym ojcem pani syna?

Hanne Moritzen ponownie skinęła głową.

– Dlaczego sądzi pani, że Asger zrobił coś takiego swojemu ojcu? – spytał Søren.

Przez moment się zastanawiał, czy Hanne aby nie jest szalona? Czy rzeczywiście ma syna, czy też sobie to wszystko wymyśliła?

– Asger powiedział mi o wszystkim w czwartek. Był przerażony, ale poczuł ulgę, kiedy w końcu wyrzucił to z siebie. Kiedy go zatrzymacie?

Kobieta patrzyła na Sørena błagalnym wzrokiem.

– Asger jest bardzo wrażliwy. Proszę, niech pan pojedzie do niego sam i najpierw z nim porozmawia. Chyba nie wtargniecie do niego siłą? Bardzo pana proszę!

– powtórzyła. – Trzyma w mieszkaniu niebezpieczne

zwierzęta – dodała.

– W mieszkaniu? – spytał Søren zdziwiony.

– Tak, ma terraria. I to nawet kilka sztuk. Pojedzie pan do niego?

– Kiedy rozmawiała pani z nim ostatni raz?

– Asger jest dobrym chłopcem – ciągnęła dalej Hanne, ignorując jego pytanie. – Proszę, nie róbcie mu krzywdy. On nie chciał go zabić... Zachował się głupio, ale wierzył, że po prostu zaraził ojca tasiemcem. Postanowił mu trochę dokuczyć. Nie chciał go zabić! Na pewno. Ale człowiek nie może stać się żywicielem pośrednim, zjadając tylko fragment tasiemca, czy nawet jego jajeczka! Co za dureń z niego! – powiedziała nagle łamiącym się głosem. – Jestem parazytolożką, a mój syn popełnia taki szkolny błąd. Chociaż sam przecież też jest biologiem!

Søren miał wrażenie, że kobiecie jest wstyd.

– Więc jak można zarazić się tasiemcem? – spytał.

– Zjadając zainfekowane niedosmażone albo niedogotowane mięso. W ten sposób człowiek staje się żywicielem ostatecznym – powiedziała. – To oznacza, że w jego przewodzie pokarmowym rozwija się tasiemiec – dodała po chwili. – Ale jeśli w wyniku jakiegoś wypadku człowiek stanie się żywicielem pośrednim, larwy tasiemca zagnieżdżą się w tkance mięśniowej, jak to się dzieje u świni, czekając, aż zostaną zjedzone. Tyle że ludzi się nie jada. Z upływem czasu larwy zaczną więc się otorbiać, staną się twarde. Potrafią wyrządzić ogromne szkody w

organizmie swojego gospodarza, zwłaszcza jeśli zagnieźdzą się w tkance nerwowej. Początkowo obserwujemy słabe napady epilepsji, ale z czasem stan chorego się pogarsza. Zainfekowana osoba zaczyna mieć zaburzenia wzroku, niekiedy nawet halucynacje i w końcu umiera. Tak jak Lars. Tak więc o ile sam tasiemiec, rozwijający się w organizmie człowieka, nie stanowi zagrożenia, to jego larwy oznaczają praktycznie wyrok śmierci. To podstawowa wiedza każdego parazytologa – zakończyła swój wywód Hanne Moritzen, patrząc nieszczęśliwym wzrokiem na Søren. – No cóż, teraz przynajmniej wiemy, skąd wzięło się te dwa tysiące sześćset larw – dodała. – Wszystko to zasługa mojego głupiego syna. Długo się zastanawiałam, skąd Asger wziął materiał. Teraz już wiem.

W któryś majowy weekend zjawiłam się w zakładzie i odkryłam, że nie mam kluczy, musiałam użyć zapasowych. Po jakimś czasie znalazłam je i cały incydent wyleciał mi z głowy. Okazało się, że w ten właśnie weekend Asger zamknął się w moim gabinecie i zabrał z laboratorium tasiemca. Prawdę mówiąc, byłam przekonana, że lepiej kontroluję swoje zasoby, zwykle wszystko dokładnie przeliczam i wiem, ile mam zwierząt na stanie. Okazało się jednak, że jest inaczej, bo niczego nie zauważyłam. – Hanne rozłożyła ręce w przeproszającym geście. – Część materiału przechowuję w chłodni, ale mam też żywe egzemplarze i te przechowuję w warunkach zbliżonych do tych, które panują w jelicie

cienkim człowieka, w którym rozwija się tasiemiec. Asger był przynajmniej na tyle przytomny, że wziął żywy egzemplarz. Niestety, na tym chyba skończyła się jego wiedza.

W poniedziałek po wspomnianym weekendzie poszedł do Zakładu Biologii Komórkowej i Zoologii Porównawczej; był umówiony na lunch z Elisabeth. Znają się, bo kiedyś wspólnie prowadzili projekt badawczy. W pewnym momencie Asger wstał i poszedł po sól; po drodze zajrzał do lodówki, i do stojącego tam pojemnika z jedzeniem Larsa włożył tasiemca.

– Skąd wiedział, że to pojemnik Larsa Hellanda? – przerwał jej Søren.

Hanne westchnęła.

– Wszystko bardzo dokładnie zaplanował. Zwrócił uwagę, że w lodówce stoi plastikowy pojemnik z literami L.H. Kilka razy zaobserwował, że Lars nakłada sobie z niego jedzenie. Był bardzo ostrożny, nie chciał zainfekować Elisabeth czy Svenda, czy któregoś z doktorantów. Chodziło mu o Larsa. Miał do niego pretensję. Nieco wcześniej powiedziałam mu, że Lars Helland jest jego biologicznym ojcem. Dotąd przekonywałam go, że jego ojcem był przypadkowo spotkany mężczyzna, z którym poszłam do łóżka, ale poza tym nic o nim nie wiem. Prawda jest jednak taka, że zaszłam w ciążę na pierwszym roku studiów, właśnie z Larsem. Byłam w nim bardzo zakochana, ale on był żonaty. Ciąża była dla niego szokiem. Stwierdził, że to na

pewno nie jego dziecko. Ale ja wiedziałam swoje. Szybko pojawiły się plotki, okazało się, że ktoś widział nas razem. Był przerażony, zaproponował mi pieniądze. Wiedział, że jeśli sprawa wyjdzie na jaw, będzie musiał pożegnać się z uniwersytetem.

Przyjęłam jego ofertę. Wyjechałam do Arhus i tam urodziłam Asgera; zamieszkaliśmy w mieszkaniu, które kupił nam Lars w zamian za moje oświadczenie, że nie jest ojcem mojego syna. Oficjalnie podałam, że ojciec dziecka jest nieznany. Prawdę mówiąc, moje zauroczenie Larsem szybko minęło. Miałam dwadzieścia lat, mieszkałam w Arhus, byłam zajęta studiami i wychowywaniem synka. Po jakimś czasie zaczęłam się spotykać z innymi mężczyznami. Napije się pan herbaty?

Søren przytaknął i Hanne wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z maleńką czarką bez ucha i podała Sørenowi parujący napar. Sama też usiadła na kanapie ze swoją czarką herbaty w ręku.

– Dlaczego po tylu latach postanowiła pani wyznać Asgerowi, kto jest jego ojcem?

Hanne westchnęła.

– Asger dorastał bez ojca i nigdy nie było z tym problemu. Kiedy skończył dziewiętnaście lat, oświadczył, że chce studiować biologię. Początkowo byłam temu bardzo przeciwna, bo praca naukowa wymaga silnego charakteru. To nieustająca walka. O środki na badania, o pozycję, trzeba walczyć o swoje i rozpychać się łokciami. Miałam poważne wątpliwości, czy Asger sobie poradzi.

Był raczej typem samotnika, ostrożny, wrażliwy. Ale postawił na swoim. Właściwie może nie powinnam się dziwić; często zabierałam go ze sobą do pracy; na Boże Narodzenie dostawał siatkę na motyle, a na urodziny akwarium. Więc nie powinnam być taka zaskoczona – powiedziała, kręcąc głową. – W 1998 roku aplikowałam na stanowisko głównego parazytologa Uniwersytetu Kopenhaskiego. Prawdę mówiąc liczyłam się z odmową. Ale latem zadzwoniono do mnie z informacją, że otrzymałam to stanowisko. Niecały tydzień później Asger został przyjęty na biologię na tutejszym uniwersytecie. Pod koniec lata przeprowadziliśmy się do Kopenhagi. Sprzedałam mieszkanie w Arhus i kupiłam dwa: to i drugie, mniejsze, dla Asgera.

Po wakacjach syn rozpoczął studia, któregoś dnia zobaczyłam z okna gabinetu przechodzącego przez dziedziniec Larsa. Oczywiście liczyłam się z tym, że nadal może tu pracować, mimo to przeżyłam szok. Przez wszystkie te lata w ogóle się nie widywaliśmy, nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu. Spotkaliśmy się mniej więcej pół roku później, co właściwie może dziwić, biorąc pod uwagę, że miał gabinet dwa piętra wyżej w tym samym budynku. No cóż, spotkaliśmy się, pamiętam, że było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Miałam wrażenie, że nawet się ucieszył. Podbiegł, chwycił mnie za ramiona i zaczął powtarzać, że to niewiarygodne. Nie miał pojęcia, co się ze mną dzieje, nie wiedział nawet, czy skończyłam studia. Powiedziałam mu, że tak. Biologię na

uniwersytecie w Arhus. O dziecku nie wspomniał ani słowem, jakby ten fakt dawno został wymazany z jego pamięci. Kiedy tak staliśmy i rozmawialiśmy, podszedł do nas Asger, Lars podał mu rękę. „Mój syn, Asger, powiedziała. Studiuje na pierwszym semestrze, dodałam. Przyglądałam mu się uważnie, ale nie dał niczego po sobie poznać. Uścisnął mu dłoń i się uśmiechnął. Zawodowo był to dla mnie trudny okres. Miałam dużo pracy, parazytologia była wtedy ważną dziedziną. Realizowaliśmy projekty pomocowe skierowane głównie do krajów rozwijających się, rząd nie szczędził środków. Głównym problemem w tych latach była bilharcjoza; z trzech dużych projektów, które wtedy koordynowałam, dwa dotyczyły Afryki Środkowej. Asger był zadowolony. Radził sobie znakomicie, czuł się tu jak ryba w wodzie. Oczywiście, cieszyłam się, ale i martwiłam. Nie miał przyjaciół, rzadko gdzieś wychodził. Czas spędzał na nauce, dużo czytał, przygotowywał się do egzaminów. Cały wolny czas poświęcał terrarystyce. Chodził na różne targi, zaczął zbierać owady. Próbowałam z nim o tym rozmawiać, ale zbywał mnie głupim uśmiechem. „Ludzie mnie nie interesują, mamó”, mówił. „Jestem naukowcem”. Stwierdził to, jakby to była oczywistość, a ja powinnam to rozumieć. Sama byłam inna, ale w tym okresie praca rzeczywiście wypełniała mi życie, więc też głównie byłam sama. Niedługo potem Asger znalazł sobie przyjaciela. Erika Tybjerga, który tak a propos był zewnętrznym opiekunem

naukowym Anny. Świat jest mały, a to środowisko szczególnie. – Uśmiechnęła się smutno. – Asger kończył wtedy pracę dyplomową, on i Erik się zaprzyjaźnili. Spędzali dużo czasu razem, pewnie głównie chodziło o sprawy zawodowe, ale myślę, że to naprawdę była przyjaźń. Asger nadal był zadowolony ze studiów, wszystko szło mu jak z płatka. Dostawał niemal same szóstki. Właściwie nie dziwiło mnie to: był inteligentny, miał dużą wiedzę, tyle że tylko w tej jednej dziedzinie. Nic innego go nie interesowało. Pocieszałam się, że skoro jest szczęśliwy, to nie powinnam się martwić.

Westchnęła ciężko.

– Któregoś dnia wpadłam bez zapowiedzenia do jego mieszkania na Glasvej. Wiedziałam, że jest w domu, bo właśnie wychodził z grypy. Zaszłam po drodze do cukierni, kupiłam ciasto, chciałam zrobić mu niespodziankę. Zastanawiałam się, kiedy ostatnio u niego byłam, i nie mogłam sobie przypomnieć. Teraz kończył doktorat, czy byłam u niego po obronie jego pracy magisterskiej, czy może była to kolacja, na którą zaprosił mnie z okazji swoich urodzin? Miałam wyrzuty sumienia, że go zaniedbuję. Asger drażnił się ze mną. „Mama boi się zwierząt”, mówił. Uważał, że to zabawne. To oczywiście nieprawda. Nie boję się zwierząt, chociaż za jego gadami akurat nie przepadałam. Nie podobało mi się też to, co symbolizowały.

– Czyli? – chciał wiedzieć Søren.

– Panuje powszechne przekonanie, że tylko dziwacy

mają terraria – powiedziała Hanne wprost. – Kto chciałby mieszkać w domu z węzami i skorpionami! Ja zajmuję się pasożytami, ale nie trzymam ich u siebie w domu! – dodała zdenerwowana.

Søren rozejrzył się po surowym, chłodnym wnętrzu i zaczął się zastanawiać, co gorsze: robactwo czy pustka?

– Chciałam, żeby mój syn miał przyjaciół – ciągnęła dalej Hanne. – Żeby wychodził gdzieś z rówieśnikami, miał jeszcze jakieś zainteresowania, na przykład startował w miejskim maratonie, cokolwiek. Oczywiście chciałam też, żeby znalazł sobie jakąś dziewczynę, żeby zamieszkali razem, a z czasem może założyli rodzinę. Na pewno chętnie bym ich odwiedzała. Tylko która dziewczyna zgodzi się wprowadzić do mieszkania, w którym żyją też zwierzęta?

Wtedy wiedziałam jedynie, że Asger hoduje u siebie jednego, ale niegroźnego węza, cztery ptaszniki i kilka tajemniczych gadów, które przypominały chodzące patyki. Nigdy nie ukrywałam, że jestem przeciwna trzymaniu zwierząt w mieszkaniu. Asger śmiał się, argumentując, że właśnie dlatego dzieci wyprowadzają się z domu. W końcu przestałam poruszać ten temat, ale od tamtej pory rzeczywiście spotykaliśmy się głównie u mnie w domu. Dlatego nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio u niego byłam.

Zadzwoiłam do drzwi, Asger otworzył i bardzo się ucieszył. Był w piżamie i w szlafroku. Miał potargane włosy, ale uśmiechał się od ucha do ucha. Wszystko jest

w porządku, zapewnił. Weszłam do środka, zdjęłam płaszcz. Wewnątrz panował lekki zaduch, ale przecież od kilku dni był chory, pewno nie wietrzył mieszkania. Zwróciłam uwagę, że wszędzie panuje półmrok, ale znów pomyślałam, że może spał. Asger wziął mój płaszcz, powiesił go na wieszaku i otworzył szafę; nagle z góry zleciał mu na głowę dziwny węzełek: były to chyba ubrania związane sznurkiem. Asger podał mi wieszak, prosząc, żebym go pottrzymała, chwycił węzełek i położył go z powrotem na miejsce. Potem znów wziął ode mnie płaszcz i powiesił go w szafie. Po chwili poszedł do kuchni nastawić wodę. Zostałam sama w korytarzu; zawołałam, dlaczego w pokoju jest tak ciemno, ale leciała woda i nawet nie wiem, czy usłyszał moje pytanie. Niewiele myśląc, wyciągnęłam więc rękę i zapaliłam światło. Zobaczyłam, że drzwi do sypialni są otwarte, weszłam i też zaczęłam szukać włącznika. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałam, co mam przed sobą. Asger miał już wtedy trzy terraria. Właściwie poczułam ulgę, tylko trzy, pomyślałam; na dodatek na pierwszy rzut oka wyglądały na puste. Nagle doznałam szoku. Zobaczyłam, że wszędzie leżą jakieś węzełki. Na jeden pewnie nie zwróciłabym uwagi, ale one były wszędzie. Widok był naprawdę szokujący – powiedziała Hanne, patrząc na Søren, który zastygł z czarką herbaty w ręku. – Wszystko było pozawijane w węzełki. Kołdra, poduszka, prześcieradło. Związane paskiem od mojego szlafroka. Szukałam go od jakiegoś czasu, dziwiąc się, co się z nim

stało. Wzdłuż ściany od ulicy zauważyłam kolejne trzy węzłki, jeden z książkami i dwa najwyraźniej z ubraniami Asgera. Z jednego wystawała nogawka drogich markowych spodni, które w zeszłym roku kupiłam mu pod choinkę. Pod łóżkiem wepchnięty był węzełek z moją starą wagą łazienkową, którą kiedyś mu podarowałam. Na blacie biurka stał kolejny węzełek: z otwartym laptopem w środku; obok było kilka mniejszych z jakimiś drobiazgami. Stałam i rozglądałam się po pokoju, i nagle poczułam za sobą jakiś ruch. Asger był kuchni, słyszałam, jak gwizdże, usłyszałam też szelest gnieczonego papieru. Na ścianie za mną Asger zamontował trzy bardzo szerokie półki, wyglądały niemal jak deski pokładowe, i poustawiał na nich słoiczki z etanolem, pełne najróżniejszych insektów, tak naprawdę były to małe terraria. Obok stały książki, kilka metrów podręczników z dziedziny anatomii i fizjologii.

Wyszłam z sypialni i weszłam do dużego pokoju, w którym panowały egipskie ciemności: okno było zaciągnięte ciężką zasłoną. Pomyślałam, że pewnie Asger zdrzemnął się w pokoju, i odsunęłam zasłony. Ciemność nie znikła. Poczulałam natomiast, że pokój ożył i nagle wszystko zrozumiałam. Asger zamienił swój pokój w terrarium.

„Niedawno zamalowałam okno”, oznajmił bardzo z siebie zadowolony, kiedy przyniósł mi herbatę. – Niedawno był tu hydraulik, miał coś naprawić i odsunął zasłony, chociaż wyraźnie prosiłem, żeby tego nie robił.

Południowochilijska tarantula właśnie składała jaja, nie toleruje wtedy światła dziennego. Właściwie w ogóle żadnego światła, podkreślił. – W naturalnych warunkach samice zwykle zagrzebują się głęboko w ziemi, żeby zapewnić jajeczkom optymalne warunki, czyli wilgoć i niezbyt wysoką temperaturę, i żeby nie dopuścić do nich światła. A ten hydraulik wszystko mi popsuł, powiedział Asger. Był wyraźnie zły; postawił czajnik i talerz z ciastkami na stole, ledwie widzialnym w panujących w pokoju ciemnościach.

„Jeśli bardzo chcesz, mogę zapalić światło, powiedział nagle, poderwał się i wcisnął jakiś włącznik. – To specjalne światło, zaczął mi tłumaczyć. – Odfiltrowałem wszystkie czerwone promienie. Do czytania jest za słabe, ale poza tym wszystko widać. Jeśli ci nie odpowiada, możemy usiąść w kuchni”, zaproponował.

Pokój był pogrążony w półmroku, rozejrzałam się dokoła i odkryłam, że wszystkie ściany pokryte są terrariami, nie było jednego wolnego centymetra.

„Trzymasz w nich pająki?”, wyszeptałam.

„Mam siedemdziesiąt dwa pająki, z czego trzydzieści cztery to okazy jadowite; poza tym mam też trzydzieści dziewięć skorpionów, wszystkie jadowite, cztery jadowite węże, no i karaluchy, myszy i koniki polne, na karmę”.

Wzdłuż jednej ze ścian zauważyłam kolejne węzełki, były w nich książki, jakieś notatniki, czasopisma, między innymi numery „Science”, kompakty. Spytałam, dlaczego

przechowuje swoje rzeczy w ten dziwny sposób, a on na to, że to naturalne, że tak jest w przyrodzie; postanowił wziąć z niej przykład.

„Ale to tylko eksperyment – dodał. – Tak trochę dla zabawy” powiedział niepewnym głosem.

Hanne zamilkła, zerkając na Søren.

– Właściwie nie wiem, dlaczego o tym wszystkim mówię.

Søren odkaszlnął.

– Proszę mówić dalej. To ważne – powiedział, patrząc na kobietę, która sprawiała wrażenie, jakby zgubiła wątek.

– No cóż, wyszłam stamtąd przygnębiona, ale i zła, na siebie. Nie znalazłam w jego mieszkaniu dziecięcej pornografii czy wyuzdanych pisemek, nie złapałam go na drukowaniu pieniędzy – westchnęła. – Coś jednak było nie w porządku. Byłam przygnębiona. W tym czasie często widywałam Hellanda. Wyglądałam przez okno, a on stał i rozmawiał z kolegą, albo właśnie wkładał kask rowerowy, zawsze był w ruchu, pełny energii, wigoru, charyzmatyczny. Kilka razy widziałam go też z córką. Nie była w ogóle podobna do Asgera. Podejście Larsa do dwójki swoich dzieci też było całkowicie różne. Asger jakby nie istniał. Natomiast córka była dla niego wszystkim. Widziałam, jak czule kładzie rękę na jej ramieniu, jak uważnie jej słucha, przekrzywiając nieco głowę. Miała wtedy dwanaście, może trzynaście lat. Za każdym razem coś ścisnęło mnie za gardło. Dlaczego w

równie naturalny sposób nie potrafił kochać syna? Bolało mnie to. Po ostatniej wizycie u Asgera coraz częściej się zastanawiałam, czy jednak nie powinnam powiedzieć mu prawdy. Ale czy rzeczywiście tylko o to mi chodziło? Może to ja potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o problemach Asgera, z kimś, kto by go kochał. Chyba tak właśnie było. Wyobrażałam sobie, jak ja i Lars siedzimy na tej kanapie i rozmawiamy o naszym synu.

Lars jednak najwyraźniej sobie tego nie życzył. Doskonale wiedział, że Asger jest jego synem, ale nigdy nie wyraził chęci, żeby go bliżej poznać. Przechodząc przez dziedziniec, nawet nie spojrzał w stronę mojego okna.

Rozmawiał ze mną tylko, kiedy spotykaliśmy się przy okazji jakiegoś seminarium czy wykładu. Był wtedy uprzejmy, grzeczny, ale nic poza tym.

Pewnego dnia okazało się, że mamy oboje wziąć udział w spotkaniu na temat finansów. Chodziło o jakieś dodatkowe środki, o które starały się nasze dwa zakłady; przyznano nam je i teraz musieliśmy dokonać podziału, tak żeby wszyscy byli zadowoleni. Był koniec lat dziewięćdziesiątych i sytuacja finansowa bynajmniej nie była różowa. Ze wkrótce miało być jeszcze gorzej, tego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy – powiedziała Hanne, patrząc przed siebie ponurym wzrokiem. – Postanowiliśmy ostro zawalczyć. Ustalono, że przedstawiciele obu zakładów zadecydują o rozdziale

środków. Stawiłam się w towarzystwie młodszej koleżanki z zakładu, Helland także przyszedł z jednym ze swoich badaczy. Od razu zauważyłam, że coś się stało. Był zmęczony, wyraźnie nie w formie, bez śladu dawnej energii. Podczas spotkania był poirytowany, zły, żaden z naszych projektów nie zdobył jego uznania. Zastanawiałam się, co może być tego powodem, ale przecież praktycznie go nie znałam, więc nie doszłam do żadnego wniosku. Najwyraźniej jednak źle się czuł. Nagle postanowiłam to wykorzystać i go zaatakować.

Po spotkaniu podeszłam do niego i powiedziałam, że przemyślałam sprawę i doszłam do wniosku, że musimy powiedzieć Asgerowi prawdę. A on na to, że nie ma pojęcia, o czym ja mówię.

Dwa dni później otrzymałam wiadomość, że nasz zakład dostał trzy czwarte przyznanych nam wspólnych środków, z czego lwią część miała zostać przeznaczona na dwa projekty, których byłam koordynatorem.

Kiedy przed południem przyszłam do pracy, koleżanka, która towarzyszyła mi podczas spotkania, promieniała. Kupiła kanapki i butelkę Gammel Dansk.

„Co mu powiedziałaś?, dopytywała się. Świetna robota”, dodała i uściskała mnie uszczęśliwiona, a ja zaniemówiłam. Przez moment uznałam, że pieniądze przypadły nam zgodnie z zasadami; dopiero później zrozumiałam, że Helland po prostu kupił sobie moje milczenie.

Przez następne tygodnie byłam rozdarta. Nastroje w

zakładzie były znakomite, planowaliśmy, układaliśmy strategię. Okazało się, że możemy kupić nowy mikroskop elektronowy i zaproponować trzem doktorantom wyjazd na badania prowadzone w związku z projektem. Poza tym zgłosiliśmy też nasze uczestnictwo w dwóch ważnych kongresach w Azji i w Stanach. Ludzie byli w euforii. Widziałam Hellanda kilka razy, ale nigdy się nie zatrzymał, nie podszedł do mnie. Kilka razy spotkałam się też z Asgerem. Wydawał się w znakomitym nastroju. Jego doktorat uzyskał najwyższą ocenę, a jego referat został nagrodzony owacją na stojąco. Dwa tygodnie później przyznano mu specjalne stypendium. A mnie znów dopadły wątpliwości. Miałam milczeć, pozwolić się przekupić Hellandowi? W końcu podjęłam decyzję. Wcześniej tego dnia zobaczyłam przez okno idących obok siebie Asgera i Erika Tybjerga. Rozmawiali, śmiali się; gdy przechodził obok mojego okna, Asger nawet mi nie pomachał, a zawsze o tym pamiętał. Następnego dnia oznajmiłam Hellandowi, że nie poruszę sprawy jego bezczelnego przekupstwa pod jednym warunkiem. Ma zgłosić swoją kandydaturę do rady wydziału, a jeśli zostanie wybrany, to ma obowiązek zadbać, żeby mojemu zakładowi nigdy nie brakowało pieniędzy. Postanowiłam wycisnąć z niego jak najwięcej, a przy okazji przekonać się, jak ważne jest dla niego, żeby nikt się nie dowiedział, że ma syna. Okazało się to bardzo ważne. Asger nie poznał więc prawdy, ja zostałam szantażystką, a Helland zatrzymał swoje stanowisko. Nie miałam żadnych

wyrzutów sumienia. Nasze badania były niezmiernie istotne, ratowaliśmy ludziom życie. Mój syn pozostał co prawda bez ojca, ale ten najwyraźniej wcale go nie chciał. I tak to trwało przez lata.

Hanna zamilkła i zamrugwała.

– Lars był świetny w zdobywaniu środków i ich redystrybucji, naprawdę znakomicie mu to szło. Można powiedzieć, że był kreatywny. Kiedy udało mu się coś zdobyć, przysyłał pieniądze do innych jednostek, które część przysyłały dalej. Komuś, kto przyglądał się temu z boku, trudno było się w tym wszystkim połapać; na koniec jednak pieniądze zawsze trafiały do nas; nikt nie zadawał żadnych pytań.

– Ale coś się stało?

– Zmienił się rząd – powiedziała Hanne krótko. – Kurek został przykręcony, skutecznie. Zażądano, żeby każda jednostka finansowa składała półroczne sprawozdania, podając dokładnie, na co wykorzystano przyznane jej środki, co do korony. Do sprawozdania finansowego miał być dołączony raport z badań. Nowy rząd najwyraźniej nie darzył nas zaufaniem i chyba też nie bardzo doceniał naszą pracę. Wszystko musiało być dokładnie wykazane. Funkcjonujący od lat porządek został zachwiany, wybrano nowego dyrektora instytutu, który trzy lata temu, po rozmowie z radą wydziału, postanowił zamknąć Zakład Taksonomii Coleoptera...

– Co to takiego? – wszedł jej w słowo Søren.

– Był to maleńki zakład, specjalizujący się w

systematyce chrząszczy, zatrudniał na stałe tylko dwie osoby: starszego profesora, który wkrótce miał przejść na emeryturę, i młodego, ambitnego, wyróżniającego się naukowca...

– Asgera – dokończył Søren.

Hanne odwróciła wzrok.

– Asger całe wakacje spędził na Borneo, zbierając potrzebne mu materiały; wrócił na dzień przed rozpoczęciem nowego semestru. Opalony, odprężony. Dawno nie widziałam go tak radosnego. Dyrektor instytutu twierdził, że wysłał mu najpierw list, a potem też mejl. Nie wiem, kto zawinił, ale kiedy pierwszego dnia po wakacjach Asger zjawił się w instytucie, okazało się, że jego zakład już nie istnieje. Przed drzwiami do jego pokoju stała owinięta w folię kopiarka, ktoś niecierpliwie czekał, aż Asger opróżni pokój. Siedziałam w swoim gabinecie, zajęta pracą, gdy nagle zobaczyłam, że Asger nie tyle nawet wybiega, co wyskakuje z pokoju, do którego przed chwilą wszedł. Patrzyłam za nim zaniepokojona. Przed chwilą szedł przez dziedziniec, niosąc jakieś wiaderka i łopatę, z plecakiem na ramieniu, w kurtce, uśmiechnięty. A teraz biegł w stronę parkingu w samym T-shircie. Minęło pół godziny, a on nie wracał. Zadzwoiłam do jednego ze starszych kolegów Asgera, odebrała sekretarka i podała mi jego numer domowy. Drżącymi rękami wybrałam numer. Potem zadzwoniłam do Larsa; odbyliśmy bardzo nieprzyjemną rozmowę.

„Nie mogłem nic zrobić, powtarzał w kółko. To nasz

najmniejszy zakład. Musieliśmy jakiś zlikwidować. Naprawdę byłem bezradny”.

Miałam ochotę go zabić, było mi obojętne, czy był w stanie coś zrobić czy nie. Zapewniał, że jako jedyny głosował przeciw jego likwidacji, i spytał, czy wiem, na czym polega demokracja? Zakład został zlikwidowany, profesor przeszedł na emeryturę, a Asger został zwolniony.

Hanne patrzyła przez okno, na zewnątrz zdążyło już zrobić się ciemno.

– Pojechałam do syna. Nie otworzył mi. Zajrzałam przez szparę na listy. Wiedziałam, że to tak się skończy. Ta jego radość, nagły przyptyw energii, pobyt na Borneo, piegi i opalenizna, która przez chwilę pozwoliła mi wierzyć, że wszystko jest w porządku, to wszystko okazało się iluzją. Bo w głębi duszy pozostał sobą, taki, jaki zawsze był. Nieradzący sobie w życiu dziwak. I to była moja wina. Za bardzo byłam zajęta swoją pracą, a poza tym pozbawiłam go ojca.

W końcu zadzwoniłam do ślusarza i weszłam do mieszkania. Asger leżał na łóżku i patrzył w sufit. Usiadłam obok niego i zaczęłam gładzić jego rękę. Obiecałam, że wszystko będzie dobrze. Znajdę mu pracę. Dzięki Hellandowi mojemu zakładowi nie brakowało pieniędzy. Zatrudniłam Asgera oficjalnie w charakterze pomocnika. I znów przycisnęłam Hellanda. Miał zadbać o pieniądze dla swojego syna. Zapewnić, żeby dwa razy do roku Asger mógł jechać do Azji i zbierać tam materiały do

badania, i zorganizować mu trzy wykłady w roku w audytorium A. A także zadbać, by sala była pełna. Inaczej ujawnię prawdę.

Asger oczywiście nie był zadowolony. Zaczął usychać. To było coś całkowicie innego. Jeździł do Azji, zbierał materiały, miał swoje miejsce w moim zakładzie, trochę pracował, pisał artykuły. Ale to nie było to. Chciał mieć etat, swój pokój, chciał prowadzić studentów, uczestniczyć w badaniach, coś osiągnąć. Nie chciał być wolnym strzelcem. Kiedyś spytałam, czy nadal widuje się z Tybjergiem. Nie, odpowiedział.

Skończyło się tym, że zaczęłam nienawidzić Hellanda. Za to, że...

– Ze nie chce być ojcem Asgera – wszedł jej w słowo Søren.

– Helland był jego ojcem – powiedziała Hanne stanowczo. – Nienawidziłam go za to, że nie chciał się do tego przyznać. Prawdę mówiąc, siebie też nienawidziłam. Środki na badania to w naszym środowisku swoisty rodzaj dopingu. Ten, kto dostanie najwięcej, ten najdalej zajdzie. A ja zawsze miałam dużo. I nagle w kwietniu dostałam wymówienie. Nie z natychmiastowym skutkiem, skądże: miałam trzy lata na dokończenie projektów. Zakład Parazytologii na Uniwersytecie Kopenhaskim przeszedł w stan likwidacji, jego funkcje miał przejąć Instytut Serologii. O wszystkim dowiedziałam się w kwietniu. W przeciwieństwie do Asgera dostałam list, a potem dyrektor instytutu skontaktował się ze mną osobiście.

Kiedy po feriach wróciłam do zakładu, zaczęłam się rozglądać za Larsem. On jednak jakby zapadł się pod ziemię. Jego pokój był zamknięty. W końcu zadzwoniłam do niego do domu; odebrała córka. Miała jasny, wesoły głos. Była przyrodnią siostrą Asgera, mieli wspólne geny, jak to możliwe, że była taka radosna? Powiedziała, że ojciec wyjechał, uczestniczy w jakichś wykopaliskach. Wróci dopiero za dziesięć dni. W weekend powiedziałam wszystko Asgerowi. Tyle lat się wahałam, rozważałam wszystkie za i przeciw, i nagle po prostu powiedziałam mu, że Lars Helland jest jego ojcem. Bo byłam zła. Bo zostałam zwolniona. Bo brakowało pieniędzy na badania i wiedziałam, że teraz już na pewno nic Asgerowi nie skapnie. Bo miałam za złe Larsowi, że jego córka jest taka pogodna. A naprawdę nie chodziło o żaden z tych powodów – powiedziała zmęczonym głosem.

Siedziała w milczeniu i przyglądała się swoim dłoniom.

– Dlaczego nie powiedziała pani Annie, że ma pani syna?

– Kilka godzin temu też mnie o to spytała. – Hanne uśmiechnęła się łagodnie. – Była zła, że jej nie powiedziałam. Zrobiła mi prawdziwą awanturę. Ale przecież my nie znamy się aż tak dobrze. Spotkałyśmy się na jednym z obowiązkowych kursów letnich, na którym akurat miałam wykład. Zaczęłyśmy rozmawiać i przyznaję, że mnie zaintrygowała. Jest ulepiona z innej gliny niż Asger. Poza tym przypomina mi trochę mnie

samą. Jest biologiem, samotnie wychowuje dziecko. Po powrocie kilka razy zjadłyśmy razem lunch. Lubię jej towarzystwo. Nie ma łatwego życia. Małe dziecko, studia. Nigdy nie opowiadała mi o swoim związku, raz tylko powiedziała, że wstyd jej, że jej partner ją zostawił. A wie pan, że ja czułam się podobnie? Też było mi wstyd. Przed Asgerem.

Søren próbował zebrać myśli.

– I nagle w czwartek syn powiedział pani, że to on zainfekował Hellanda pasożytami?

– Tak – potwierdziła Hanne, patrząc na niego nieszczęśliwa. – Ale to moja wina, nie powinnam była mówić mu, że Lars jest jego ojcem. Tego wieczoru, kiedy mu o tym powiedziałam, przyjął to niezwykle spokojnie. Zdawał się przede wszystkim zdziwiony. „Myślałem, że nie wiesz, kim jest mój ojciec”, powtarzał tylko. Jakby nie był w stanie pojąć, że go okłamałam. Potem zamówiliśmy coś do jedzenia, zjedliśmy i obejrzeliliśmy razem film. Kiedy ode mnie wychodził, nie był zły, raczej zamyślony.

Trzy dni później zadzwonił, informując mnie, że przez jakiś czas nie chce się ze mną widywać. I odłożył słuchawkę. Asger nigdy mi się nie przeciwstawiał, nawet kiedy był nastolatkiem. Zawsze był moim małym głuptaskiem, więc kiedy się rozłączył, byłam jak sparaliżowana. Po jakimś czasie zadzwoniłam do niego, ale nie odbierał. Poszłam spać. Musiałam wszystko jeszcze raz przemyśleć, nie chciałam działać pochopnie. Zadzwoniłam do niego dopiero po trzech tygodniach.

Wszystko jest porządku, zapewnił mnie. Jaki dzisiaj jest dzień? Zdawał się zaskoczony pytaniem, nie bardzo potrafił odpowiedzieć. Zaprosiłam go na obiad, zaproponowałam, żebyśmy wyjechali gdzieś na Zielone Świątki. Nie, nie widujemy się. Do widzenia.

Pomyślałam: trudno. Miał dwadzieścia dziewięć lat, najwyższa pora uwolnić się od mamusi. Z drugiej strony, chciałam wytłumaczyć mu, dlaczego sprawy tak się potoczyły, dlaczego nie powiedziałam mu o Larsie. Wysłałam mu długi list, prosząc o wybaczenie. Napisałam, że miałam dziewiętnaście lat i poszłam do łóżka z moim profesorem, byłam strasznie naiwna. Dzisiaj na pewno podjęłabym inną decyzję. Nie odpowiedział mi, nadal się nie odzywał, nawet na moje urodziny w lipcu, które zawsze uroczyście obchodziliśmy. Tym razem nie wysłał mi nawet kartki.

Po policzkach kobiety popłynęły łzy.

– Na nic nie reagował. Odtrącił mnie. W sierpniu zaczęłam chodzić na terapię. Głównie koncentrowaliśmy się na mojej relacji z Asgerem, i mojej roli w jego życiu. Terapeutka uznała, że powinnam napisać do niego drugi list; była pewna, że Asger go przeczyta. Więc nawet jeśli nie zareaguje, to będzie to ważne. Miałam go zapewnić, że na niego czekam, że w każdej chwili może do mnie wrócić. Że nadal go kocham i tęsknię za nim. Ale że sam musi zdecydować, kiedy znów będziemy razem. Terapeutka uznała, że to bardzo istotne. Był w trakcie wyzwalania się ode mnie i powinnam zostawić go w

spokoju. Uszanować jego wolę. Najwyższa pora, żeby się usamodzielniał, stwierdziła.

Kobieta spojrzała na Sørena nieco zawstydzona.

– Tak też zrobiłam – ciągnęła po chwili dalej. – Napisałam list, terapeutka przeczytała go i zaaprobowała. Wysłałam go i czekałam. Nie było żadnej reakcji, ale to podobno normalne. Im później następował proces emancypacji, tym był trudniejszy i mógł dłużej trwać. Nawet rok. Dlatego, kiedy zadzwonił do mnie w czwartek, byłam szczęśliwa.

Nagle Hanne spojrzała na Sørena.

– Zapewniam, że nie przyszło mi do głowy, że mógł mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Larsa. Mimo że przecież cały czas się zastanawiałam, czy tasiemiec mógł pochodzić z mojego laboratorium. Rozmawialiśmy o tym w gronie kolegów i uznaliśmy, że to niemożliwe. Nie zauważyliśmy, żeby czegokolwiek brakowało. Asger powiedział mi we wtorek, że cały czas mnie obserwował, bo chciał, żeby wyglądało na to, że to ja podrzuciłam Hellandowi tasiemca. Chciał ukarać nas oboje. Przyznał, że nawet go to bawiło. Wiedział, że tasiemiec nie jest groźny, że niekiedy zostawał odkryty dopiero, kiedy osiągał kilka metrów długości. Wyobrażał sobie, jak będzie rósł w jelicie Hellanda i coraz bardziej go wypełniał.

Powiedział mi też, że wysłał mu kilka mejli z pogrózkami po angielsku, z adresu, którego nie można wyśledzić. Lars się tym w ogóle nie przejął, nie

potraktował pogroźek poważnie. Kilka razy mu nawet odpowiedział, nie mając oczywiście pojęcia, do kogo pisze. Asger powiedział mi, że odniósł wrażenie, że chyba nawet go to bawiło, co jego z kolei całkowicie wyprowadziło z równowagi. O śmierci Hellanda dowiedział się z radia. Przeraził się. W środę pojechał do instytutu. Już po kwadransie wiedział, że Helland zmarł naszpikowany wągrami tasiemca. Wpadł w panikę, wrócił do domu i nie bardzo potrafił zrozumieć, co się stało. W czwartek wieczorem zadzwonił do mnie. Mówił łamiącym się głosem. Początkowo nie rozumiałam, o co mu chodzi. Dlaczego, po tylu miesiącach milczenia, nagle dzwoni i wypytuje mnie o różne stadia życia pasożytów. Nie mógł sam tego sprawdzić? On jednak się upierał i w końcu zaczęło mi coś świtać w głowie. Postanowiłam spytać wprost, czy ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Larsa Hellanda? Wyszeptał, że chyba tak. I wtedy wszystko mi opowiedział, nadal nie rozumiejąc, jak mogło do tego dojść. Chciał tylko spłatać mu figla. Nie musiał już więcej mówić.

– Czy fakt, że się przyznał, nie przemawia na jego korzyść? – spytała Hanne z nadzieją w głosie.

– Mógł sam zadzwonić na policję – odpowiedział Søren bardzo łagodnie.

– Zadzwonił do mnie, czy to nie to samo? Zawsze tak było – przyznała po chwili. – To ja wszędzie za niego dzwoniłam: do Urzędu Podatkowego, do firmy ubezpieczeniowej, wszędzie. Nie potrafi rozmawiać z

obcymi. Nie jest wtedy w stanie wydobyć z siebie słowa – powiedziała i spojrzała przez okno. – Może naprawdę coś jest z nim nie w porządku? Tylko jak to możliwe, że zawsze, ze wszystkiego, dostawał celujący?

Siedzieli w milczeniu. Søren chciał, żeby Hanne nieco się uspokoiła. Po chwili wstał.

– Pojadę po niego – oświadczył. – Spróbujemy mu pomóc; jeśli tylko będziemy mogli.

– Dobrze – powiedziała Hanne, patrząc przed siebie nieprzeniknionym wzrokiem.

Søren wyszedł na zewnątrz; zauważył, że zaczął padać deszcz.

Była niemal północ, kiedy Søren wraz z czwórką funkcjonariuszy zjawili się na Glasvej 12. Zerknął w górę, mieszkanie Asgera było na trzecim piętrze. W oknach było ciemno. Już wcześniej zdążył pokrótce poinformować kolegów o sytuacji, którą prawdopodobnie zastaną wewnątrz, teraz powtórzył wszystko jeszcze raz. Asger Moritzen był prawdopodobnie chory, na pewno jest przerażony; zawsze bał się ludzi, mają odnosić się do niego grzecznie i łagodnie. Funkcjonariusze przytaknęli.

Dotarli do trzeciego piętra i zajęli pozycję. Søren, który był w cywilu, podszedł do drzwi i zapukał. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki. Zapukał nieco mocniej. Żadnej reakcji. Zadzwoił po ślusarza, który obiecał zjawić się w ciągu dziesięciu minut. Prawdę mówiąc, Søren miał ochotę sam wyważyć drzwi, ale

pamiętał o prośbie Hanne.

– Musimy być ostrożni – powtórzył, chociaż miał wątpliwości, czy postępuje właściwie.

Zapukał do sąsiednich drzwi. Po chwili usłyszał kroki. Drzwi zostały otwarte, w progu stała kobieta w nocnej koszuli i zdziwiona przyglądała się policjantom. Minęło kilka minut, zanim powiedziała, że nigdy nie widziała swojego sąsiada. Mieszka tu już dziesięć miesięcy; oczywiście zastanawiało ją to; uznała jednak, że pewnie mieszkanie stoi puste, bo właściciel gdzieś wyjechał. Nigdy nie słyszała stamtąd żadnych dźwięków: spuszczonej wody, muzyki, gości. Wzruszyła ramionami. Nie potrafi im pomóc. Funkcjonariusze podziękowali i powiedzieli, że może wracać do siebie. Ledwie zamknęły się za nią drzwi, usłyszeli wbiegającego po schodach ślusarza. Dwie minuty później Søren otworzył drzwi do mieszkania Asgera.

– Asger Moritzen! – zawołał. – Jesteśmy z policji. Chcemy z tobą porozmawiać.

Cisza.

W przedpokoju było ciemno, ale padające z klatki światło pozwalało im orientować się w mieszkaniu. Søren zapalił światło. Przedpokój był duży i panował w nim porządek. Szafa była zamknięta, podobnie jak wszystkie drzwi. Te po lewej stronie prowadziły z pewnością do kuchni. Dał znać pozostałym, żeby zostali na miejscach. Znowu zawołał Asgera i nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Delikatnie otworzył łokciem drzwi do kuchni, i znowu

światło padające z przedpokoju pozwoliło mu znaleźć włącznik. Kuchnia też była wysprzątana i bez charakteru. Ściany były puste, na blacie stołu pozostał ślad zmywaka; zlew lśnił.

Søren wrócił do przedpokoju i stanął przed dwoma zamkniętymi drzwiami. Jedne musiały prowadzić do pokoju z zamalowanymi oknami, drugie do sypialni. Otworzył te z lewej strony, cały czas wołając Asgera.

– Asger Moritzen! Jesteśmy z policji. Chcemy z tobą porozmawiać.

Odór uderzył go w nozdrza. Zmywacz do lakieru, pomyślał, na pewno coś, co zawiera rozpuszczalnik. W pokoju było ciemno i cicho.

– Latarka – rzucił do tyłu.

Jeden z funkcjonariuszy rzucił na pokój silny snop światła. Wszędzie stały terraria, dokładnie tak, jak opisała to Hanne. Od podłogi po sufit. Na środku pokoju stały dwuosobowa kanapa i niski stolik do kawy. Żadnego ruchu. Søren zapalił światło, zapanował półmrok. Zapach rozpuszczalnika był dojmujący. Nagle Søren dostrzegł coś białego błyszczącego. We wszystkich terrariach leżały białe waciki, wielkości dziecięcej dłoni.

Za jego plecami zakasłał kolega. Søren odwrócił się i poprosił o otwarcie okna, a sam podszedł bliżej do stojących na półkach terrariów. I nagłe go zobaczył. Pajaka ptasznika wielkości dużego talerza. Nie ruszał się.

– Okno jest zamalowane – powiedział policjant, wciągając z trudem powietrze.

– Wybij je – rozkazał Søren zdesperowany.

Zakręciło mu się w głowie, zaraz jednak rozległ się trzask tłuczonego szkła i po chwili wpadło do pokoju chłodne jesienne powietrze.

Zapukał palcem w szkło terrarium, ale pająk nadal siedział nieruchomo. Søren ruszył wzdłuż ściany, szukając zwierząt, o których wspominała Hanne: pasikoników i myszy. Znalazł je w terrariach stojących na podłodze. Pasikoniki siedziały spokojnie, jeden na drugim, nie wydawały się przestraszone, nie ruszały się. Drugie terrarium było pełne wiór i martwych myszy.

Søren się wyprostował.

– Zabił wszystkie swoje zwierzęta – powiedział cicho. – Wezwijcie karetkę. Jestem pewien, że on tu gdzieś jest – dodał.

Włożył gumowe rękawiczki i wszedł do sypialni Asgera. Znów powitały go ciemności. Zawołał i tak samo jak poprzednio nie otrzymał odpowiedzi. Wziął do ręki latarkę i zaczął omiatać pokój światłem. Okna były ciemne, dostrzegł zarys biurka, wiszące węzélki na ścianach i wystającą z łóżka nogę mężczyzny.

Znalazł włącznik i zapalił światło.

Asger leżał rozebrany na łóżku. Dolna część tułowia i brzuch przykryte były kołdrą; tors miał odkryty, był nagi i biały. Oczy mężczyzny były zamknięte, włosy wymagały strzyżenia, okalały jego twarz jak matowa aureola. Cere miała białą, jak z wosku; nie zareagował, kiedy funkcjonariusze weszli do sypialni. Søren podszedł bliżej i

ostrożnie sprawdził puls.

– Nie żyje – stwierdził krótko.

Na ciele mężczyzny pojawiły się już pierwsze oznaki rozkładu. Søren rozejrzał się uważnie po pokoju. Wszystko może się okazać istotne. Miał niewiele czasu, za moment będą tu ratownicy i ekipa policyjnych techników.

Starął się wszystko chłonać. Zwrócił uwagę na udręczony wyraz twarzy Asgera. Czyżby wypił rozpuszczalnik? Chciał umrzeć tak, jak umarły jego zwierzęta? Ponownie rozejrzał się po pokoju. Zauważył węzełki, o których wspomniała Hanne. Spojrzał na półki. Niewielkie terraria, słoiki z zakonserwowanymi zwierzętami, książki. Co spowodowało jego śmierć? Podszedł do łóżka i powąchał ostrożnie ciało, ale nie poczuł niczego podejrzanego; uniósł kołdrę, spojrzął na prześcieradło: też nic.

– Søren, uważaj! – rozległo się nagle tuż za nim.

Jeden z kolegów, wbrew jego prośbie, podążył za nim do sypialni. Søren usłyszał jego głos: był w nim strach. Opuścił kołdrę i nagle we włosach Asgera, tuż nad uchem, zobaczył skorpiona. Był żółty i miał wyciągnięty kolec jadowy. Søren natychmiast cofnął rękę.

– Do diabła, ukąsił go skorpion.

– Jest jeszcze jeden – doszedł go głos spod drzwi. I rzeczywiście. Kolejny skorpion siedział na poduszce, obok głowy Asgera. Nagle Søren spojrzął na ścianę nad łóżkiem i zobaczył kolejnego pajaka.

– W porządku, chłopcy, wychodzę – powiedział i na tyle spokojnie, na ile był w stanie, zaczął się wycofywać z pokoju. Dotarł do progu, wyszedł i zamknął drzwi. Wzdrygnął się.

– Do diabła – powtórzył.

– Co robimy? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

– Nikomu nie wolno tam wchodzić – odezwał się Søren nieco bez sensu.

Przyjechała karetka, chwilę później zjawili się Bøje i reszta ekipy: dwóch śledczych, dwóch techników i facet z Falcka, mający bezpiecznie usunąć zwierzęta. Wszedł do sypialni razem z jednym z techników, który miał pilnować, żeby nie zniszczono żadnych śladów. Ręką w ochronnej rękawicy chwycił osiem żółtych skorpionów.

– Z rodziny *Buthidae* – rzucił Sørenowi przez ramię – najprawdopodobniej z gatunku *Leiurus quinquestriatus*.

Oczywiście jadowitych, ale gdyby Asgera ukąsił tylko jeden skorpion, z pewnością by przeżył. Ukąszenia ośmiu nikt nie mógł przeżyć.

– Myślę, że on sam, albo ktoś inny, włożył skorpiony pod kołdrę – powiedział mężczyzna.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Søren.

– Skorpiony nie są agresywne. Kąsają tylko, jeśli zostaną przygniecione czy ściśnięte. Albo na przykład nakryte kołdrą – powiedział mężczyzna, zabierając ze sobą osiem żółtych skorpionów.

Kiedy ciało Asgera zostało usunięte z pokoju i

zabrane, do pracy przystąpili technicy. Wszystko zdawało się wskazywać na samobójstwo. Za łóżkiem stało osiem terrariów używanych do transportu zwierząt, zaś pod na wpół otwartą dłonią Asgera leżała książka *Najgroźniejsze skorpiony świata*.

Dochodziła północ. Søren stał w pokoju i przyglądał się pustemu już łóżku. Uderzyła go otaczająca go samotność. W kuchni znalazł ręcznie napisany list. Pismo było tak mikroskopijne, a odległości między wierszami tak małe, że nie był stanie nic przeczytać. Schował list do foliowej torebki i zabezpieczył. Westchnął głęboko. Niejeden taki list miał okazję czytać, mógł sobie wyobrazić, co w nim było: „Wybaczcie mi. Moje życie było straszne. Nie chcę dłużej żyć. PS Zabiłem własnego ojca”. Pomijając ostatnie zdanie, wszystkie pisane były według tego samego wzoru. Przebijała przez nie samotność. Westchnął i z ciężkim sercem wrócił do Hanne Moritzen.

Był poniedziałek piętnastego października, pierwszy dzień jesiennych ferii. Anna obudziła się, kiedy do pokoju weszła Lily, balansując z dużym talerzem pełnym owoców w ręku. Anna starała się dobudzić. Poprzedniego wieczoru opowiedziała Karen o Troelsie. Karen nie mogła opanować płaczu, zrobiła się czwarta, zanim się położyły.

– Karma dla małą – powiedziała Lily. – Ciocia Karen tak powiedziała – dodała szybko.

Anna podniosła córeczkę z podłogi, podsadziła ją na łóżku i oparła o poduszkę. Z pokoju dochodziły ją trzaski ognia, Karen rozpalała w kominku.

– Hm – mruknęła, gładząc córeczkę po włosach. – Uwielbiam taką karmę.

– A już kiedyś próbowałaś ją jeść?

– Każda mała jada przecież takie rzeczy.

– Ty nie jesteś małą! – krzyczała Lily zachwycona.

W drzwiach pojawiła się Karen. Uśmiechnęła się nieco smutno i powiedziała wszystkim dzień dobry.

– Moja mama mówi, że moja mama jest małą – oznajmiła Lily.

Karen uśmiechnęła się, tym razem już pogodniej.

– Twoja mama jest biologiem. Skoro twierdzi, że jest małą, to pewnie to prawda.

Lily zaczęła jeść owoce z talerza, który przyniosła Annie.

– Masz dzisiaj wolne? – spytała Karen przyjaciółkę.

– Nie – odpowiedziała Anna, patrząc na zegarek. – Mam do załatwienia dwie ważne sprawy. Jedną w Muzeum Zoologicznym. Może pójdziecie ze mną? Jest tam ciekawa wystawa o piórach i można też dotknąć kawałka prawdziwego lodowca. Są pokazy filmów przyrodniczych dla dzieci, Lily uwielbia tam chodzić.

– Po co tam idziesz?

– Mam spotkanie. O jedenastej w sali kręgowców. Nie zajmie mi to więcej niż godzinę. Potem jeszcze muszę na chwilę wpaść na komisariat, a potem zobaczymy – powiedziała i się uśmiechnęła.

Karen usiadła na łóżku i nagle Anna poczuła wyrzuty sumienia.

– Wszystko w porządku? – spytała przyjaciółkę.

– Wciąż to do mnie nie dociera.

Karen miała łzy w oczach.

– Chodź, przytul się do mnie – powiedziała Anna łagodnie.

Karen oparła się o jej ramię, a Anna ją objęła.

– Mam nadzieję, że nie trafi do więzienia, tylko na leczenie. Ze można mu jeszcze pomóc.

Anna pokiwała głową.

– Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

– Na komisariacie, w Bellahøj – powiedziała Anna. – Jadę tam na przesłuchanie, na pierwszą. Potem zapewne trafi do aresztu.

– Chciałabym go odwiedzić. Jeśli to oczywiście

możliwe. Poszłabyś ze mną? – spytała Karen.

– Nie – odpowiedziała Anna, gładząc Karen po włosach.

– W porządku – odpowiedziała przyjaciółka.

O wpół do jedenastej weszły do budynku muzeum. Zatrzymały się w chwilę w muzealnym sklepiku przy wejściu, oglądając plastikowe zwierzęta, ołówki i plakaty. Karen kupiła Lily gumowego dinozaura, podczas gdy Anna zaniósła do szatni ich kurtki.

– Co z twoim spotkaniem? – spytała Karen.

– Mam jeszcze pół godziny.

Ruszyły zwiedzać. Zatrzymywały się przy kolejnych gablotach.

– Nie wiedziałam, że ptaki to dinozaury – powiedziała Karen zdziwiona, przyglądając się wielkiej planszy, ukazującej rozwój gatunków na przestrzeni dwustu milionów lat.

Anna się uśmiechnęła.

– Czy to znaczy, że zwykły wróbelek jest dinozaurem? – dopytywała się Karen, a Anna pokiwała głową.

– Czyli rozumiem, że kiedyś w soboty na obiad zawsze jadałyśmy dinozaury?

– Tak – potwierdziła Anna. – Z pieczonymi ziemniakami – dodała.

– Boże, pamiętam! – wykrzyknęła Karen. – A ja myślałam, że pieczone ziemniaki już wymarły – dodała.

Anna szturchnęła ją w bok.

– Mamo, spójrz, jaki słodki! – zawołała nagle Lily.

Stała przed niską gablotką, w której był model małego tyranozaura. Był wielkości niewielkiego szczeniaka, miał ogromne stopy i był cały pokryty pierzem. Anna pochyliła się i długo mu się przyglądała.

– Co to jest? – dopytywała się Karen.

– Mały opierzony tyranozaur.

– No proszę – powiedziała Karen.

– Czy to nie fascynujące?

– Co? – spytała Karen.

– Że ma pióra.

– Dla mnie bardziej fascynujące jest to, że ma takie krótkie ręce. To musiało być irytujące.

W tym momencie Lily zauważyła ułożony wzdłuż ściany długi pasek lodu.

– Lód! – zawołała i zaczęła biec.

Karen ruszyła za nią.

– Przepraszam, jeśli niweczę twoje zbiegi wychowawcze.

– Nie przejmuj się – rzuciła za nią Anna. – Zostawię was same na godzinkę, dobrze?

Karen pomachała jej ręką, nawet się nie odwracając.

Anna dostała się na teren uniwersytetu ukrytymi w ścianie drzwiami, prowadzącymi z jednej z muzealnych sal. Były pomalowane w dwóch odcieniach niebieskiego i zlewały się z kolorem ściany. Zanim się za nią zamknęły,

zdążyła jeszcze zobaczyć ławkę, na której niedawno siedziała z Troelsem. Po chwili wędrowała labiryntem korytarzy, który z czasem zdążyła całkiem nieźle poznać. Ruszyła szybkim krokiem; kiedy dotarła do sali kręgowców, Freeman już na nią czekał. Wiedziała, że przyjdzie! Że ciekawość zwycięży. A jednak wygrała. Freeman zdjął kurtkę, trzymał ją w ręku, był spięty, wyraźnie dystansował się od całej sytuacji. Anna poczuła, że jej serce zaczyna mocno bić, drżała; skupiła się i zdecydowanym gestem podała mu rękę.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dziękuję, że pan przyszedł – odpowiedziała spokojnie.

Otworzyła drzwi do sali, zapaliła światło. Zrobiło się jasno i usłyszała jakiś hałas. Szuranie odsuwanego krzesła, gdzieś z tyłu, za szafkami. Musi sprowokować Freemana do odezwania się, żeby ostrzec Tybjerga, nie tylko, że nie przyszła sama, ale żeby także się domyślił, kto jej towarzyszy.

– Czy na Uniwersytecie British Columbia też jest zbiór kręgowców – spytała.

Nazwę uniwersytetu powiedziała tak głośno, że zdziwiła się, że Freeman nie zwrócił na to uwagi.

– Tak, oczywiście – odpowiedział. – Nawet większy niż wasz. Podobno jest największy w Ameryce Północnej – podkreślił. – Jednak charakter waszych zbiorów, nastrój tej sali, jest bardzo szczególny – dodał już znacznie łagodniejszym tonem. – Te stare szafy, gabloty, cała ta

systematyka... – ciągnął dalej.

W sali panowała znów cisza. Tybjerg musiał zrozumieć, że Anna była w towarzystwie angielskojęzycznego gościa i zapewne domyślił się też, kto nim jest. Już wcześniej dokładnie opracowała scenariusz całego spotkania i teraz świadomie prowadziła Freemana do stolika, przy którym w środę znalazła Tybjerga. Zapaliła stojącą na stoliku lampkę, wysunęła krzesło i poprosiła Freemana, żeby usiadł. Następnie otworzyła torbę i wyjęła z niej egzemplarz swojej pracy oraz szkic referatu, który za tydzień miała wygłosić.

– Co niby miałyby zrobić? – spytał Freeman.

– Kiedy wtedy do pana podeszłam, skłamałam – przyznała Anna. – Chcę tylko, żeby wysłuchał pan tego, co mam panu do powiedzenia – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Freeman sięgnął po kurtkę, która spadła z krzesła i leżała teraz na podłodze. Najwyraźniej zamierzał wyjść.

– Jeśli pan teraz wyjdzie, to pan stchórzy – powiedziała cicho.

Clive zamrugął, ale puścił kurtkę.

– Daję ci kwadrans. Ani sekundy więcej – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Anna przełknęła ślinę. Jej referat miał trwać godzinę, a odbywający się po nim egzamin czterdzieści pięć minut. Teraz miała kwadrans.

– Tematem mojej pracy dyplomowej jest spór na temat pochodzenia ptaków – zaczęła. – Pan odgrywa w

nim ważną rolę.

Clive patrzył na nią, jakby to w ogóle go nie obchodziło.

– Przeczytałam wszystko, co pan napisał, książki, artykuły. Bardzo dokładnie. Przeczytałam też, co napisali pana oponenti, równie dokładnie.

Clive Freeman nadal patrzył na nią, jakby się nudził.

– Pana najważniejsi przeciwnicy to Walter Darren z NYC, Chang i Laam z Uniwersytetu Chińskiego, Gordon z Uniwersytetu w Sydney, Belinda Clark z Uniwersytetu Południowej Afryki i oczywiście Lars Helland i Erik Tybjerg z Uniwersytetu Kopenhaskiego – mówiła, zerkając w swoje notatki. – Wszyscy oni krytykują pańskie analizy skamielin, odrzucając tym samym pańskie wnioski dotyczące pochodzenia ptaków, czego pan, jak rozumiem, oczywiście nie akceptuje, tak?

Nie czekając na jego reakcję, mówiła dalej.

– Od ponad piętnastu lat prowadzicie ze sobą wojnę podjazdową, mimo że stan obecnej wiedzy właściwie przesądza, że nie ma już o czym dyskutować. We wrześniowym numerze „Nature” z 2006 roku Belinda Clark napisała wprost: „Właściwie staramy się go ignorować. Dla ekspertów, zajmujących się dinozaurami, sprawa jest prosta: ptaki to współczesne dinozaury”.

Anna skończyła czytać i opuściła kartkę.

– Pańscy oponenti twierdzą, że pana ignorują, ale to chyba też nie do końca prawda. Dyskusja nadal się toczy, spór trwa. Dlaczego?

– A jak sądzisz? – odpowiedział Clive pytaniem na pytanie. – Bo nie możemy dojść do porozumienia, a dlaczego? Bo oni się mylą. Clark i Laam i Chang, Helland i Tybjerg. Mylą się.

Anna nie dała się zbyć.

– Trudno dyskutować z panem na gruncie anatomii czy analizy skamielin. Powiedziałabym, że jest to wręcz niemożliwe. Argumenty po obu stronach pozostają te same. Każda ze stron widzi te same rzeczy inaczej. Dyskutujecie o tej samej kości, ale dla każdej ze stron znaczy ona coś innego. Można to tak ciągnąć w nieskończoność, nigdy się nie pogodzicie. W pewnym momencie byłam bliska poddania się. Nie wiedziałam, co robić. Spór ciągnie się od tak wielu lat, że... – urwała, widząc, że Freeman spogląda na zegarek. Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy. – Postanowiłam więc przyjrzeć się bliżej podstawie, na której opiera pan swoje argumenty. I doszłam do wniosku, że jest zmurszała – ciągnęła dalej.

– Puste słowa – zachnął się Clive. – Niczym niepodparte. Na dodatek wypowiedziane przez... studentkę?

Profesor znów sięgnął po kurtkę. W tym momencie Anna podała mu kartkę papieru, którą automatycznie od niej wziął.

– Proszę to przeczytać i powiedzieć, czy pan się z tym zgadza.

Freeman spojrzał zdziwiony na Annę i rzucił

wzrokiem na kartkę, którą mu wręczyła.

– „Podstawowe zasady, których należy przestrzegać, jeśli praca ma nosić miano naukowej” – przeczytał na głos. – Co to ma znaczyć?

– Proszę czytać dalej i powiedzieć, czy pan się z tym zgadza.

Clive czytał dalej. Po chwili wzruszył ramionami.

– „To powszechnie obowiązujące zasady. Warunek wewnętrznej spójności oraz wymóg przedstawienia przekonujących argumentów za przyjęciem bądź za odrzuceniem naukowych złożzeń”. Czy tego właśnie uczą was tutaj, piętro wyżej?

Po raz kolejny Freeman kończył swoją odpowiedź pytaniem. Anna miała jednak wrażenie, że zaczyna się pocić.

Dał się złapać w pułapkę.

– Więc oboje jesteśmy co do tego zgodni?

– Całkowicie – potwierdził Clive.

Położył kartkę na kolanach i patrzył obojętnie na Annę.

– Proszę więc wytłumaczyć mi, dlaczego pańska argumentacja odnośnie do wykształcenia się piór jest tak niespójna? Przed chwilą uznał pan, że to jeden z podstawowych kryteriów naukowości prac.

Zapadła cisza.

– Co to za bzdury? – spytał po chwili Freeman.

Anna zaczęła przerzucać swoje notatki.

– W 2002 roku Chang i Laam po raz pierwszy opisali

sinozauropteryksa z zachowanymi strukturami skórnymi przypominającymi pióra. Od tamtego czasu niemal co chwila ktoś odkrywa kolejne skamieliny z wyraźnymi śladami piór, takim przykładem jest znaleziony w 2005 roku *Tyrannosaurus rex*. Pana oponenti twierdzą, zresztą bardzo przekonująco, że znalezione na nim skórne struktury są identyczne z piórami, co znaczy, że pióra nie są cechą wyróżniającą jedynie ptaki, ale charakterystyczną dla znacznie szerszej grupy dinozaurów drapieżnych, w tym także ptaków. Jednym z najbardziej niepojętych płynących z tego wniosków jest ten, że pióra pojawiły się, zanim zwierzęta wykształciły zdolność lotu – powiedziała Anna, zerkając na Freemana. – Pan sam wyrażał na ten temat różne opinie. I tak pisał pan w 1985 roku, potem w 1992 i w 1995, a także trzy razy w 1997, potem znów w 1999 i sześć razy w latach 2001-2004, w różnych naukowych czasopismach, że wykształcenie się piór jest nierozdzielnie związane z umiejętnością lotu, że dopiero później zaczęły one pełnić funkcję izolacyjną. Zgadza się?

Freeman skinął głową.

– Wielokrotnie pisze pan także, że z punktu widzenia ewolucji byłoby niewytłumaczalne, gdyby doszło do wykształcenia tak skomplikowanego tworu, jakim jest pióro, gdyby miało ono służyć jedynie izolacji. Z tego wyciąga pan wniosek, że wspomniane twory być może przypominają ale nie są prawdziwymi piórami. Zamiast wskazać na archeopteryksa, pan i pańscy zwolennicy wskazujecie na archozaura longiskwama, jako kandydata

na przodka ptaków, tak?

– Zgadza się – potwierdził Clive, który już trochę doszedł do siebie. Jednak widać było wyraźnie, że rozmowa nie sprawia mu przyjemności.

– Spójrzmy więc teraz na problemy z kategorii teorii nauki, nadal oczywiście pod warunkiem że akceptuje pan przedstawione wcześniej zasady. Czy jesteśmy zgodni?

– Tak – odpowiedział Freeman schrypniętym głosem.

– Proszę mi więc powiedzieć, jak to możliwe, że w dwóch artykułach, jednym z 1995 roku, drugim z 2002 roku, zajmuje pan sceptyczne stanowisko wobec struktur pióropodobnych znalezionych na skamielinie longiskwama, twierdząc, że struktury te wykazują uderzające podobieństwo do materiału roślinnego, a w artykule z 2000 roku przedstawia pan argumenty za tym, że właśnie te struktury ostatecznie potwierdzają podobieństwo między współczesnymi ptakami a skamieliną longiskwama? Podobno chodziło o materiał roślinny, tak, profesorze Freeman?

Freeman zamierzał coś odpowiedzieć, ale Anna nie dopuściła go do głosu.

– To zadziwiające, że w ogóle macie odwagę zakładać, że longiskwama to archozaur; dla wielu naukowców bynajmniej nie jest to takie oczywiste. Nie wystarczy bowiem wskazać, że longiskwama jest ptakopodobny, to nie jest wystarczający powód, by mógł zdetronizować archeopteryksa.

Anna była świadoma, że Freeman jest bliski

wybuchu, ale niezrażona mówiła dalej.

– Wasze argumenty są obciążone jeszcze dwoma błędami. Proszę więc jeszcze o chwilę cierpliwości, potem dam już panu spokój. W artykule w „Nature” z 2001 roku stwierdza pan, że nie można ustalić, czy pióra dinozaurów drapieżnych są tożsame z piórami współczesnych ptaków, ponieważ nie da się tego dowieść, poddając je badaniom biochemicznym. Jednak w innym miejscu, a dokładnie w pańskiej książce *Ptaki* z 2001 roku, na stronie 114 twierdzi pan, że analiza biochemiczna nie może przesądzić, czy to, co znaleziono na skórze longiskwama, to twory natury zwierzęcej czy roślinnej, co według mnie jest klasyczną niespójnością, charakteryzującą zresztą większość pańskiej argumentacji. Dla pana dany argument zdaje się ważny jedynie w danej konkretnej sytuacji, co jest niezgodne z powszechnie przyjętymi naukowymi zasadami.

Clive Freeman zbladł.

– I na koniec jeszcze jedno: pisze pan zarówno w roku 2000, jak i w 2002, raz w „Science”, a raz w „Scientific Today”, że jest niewyobrażalne, żeby tak skomplikowana struktura, jaką jest pióro, mogła wykształcić się kilkakrotnie, co zapewne jest prawdą. Niespójność pojawia się w momencie, kiedy pan wielokrotnie, zarówno w 1966, w 1999, jak i w 2000 roku bez mrugnięcia okiem argumentuje, że inne, też niezwykle złożone struktury wspólne dla ptaków i dla dinozaurów, jak na przykład kości nadgarstka, mogły

rozwinąć się równolegle. Czy nie widzi pan w tym żadnej sprzeczności? Naprawdę uważa pan, że pióro nie mogło się wykształcić niezależnie kilkakrotnie, a kość nadgarstka tak? – spytała Anna, przyglądając się mu uważnie.

– Coś jeszcze?

– Owszem – odpowiedziała. – Podobną niespójność argumentacji oraz brak uzasadnienia wybranej metody zauważyłam także w odniesieniu do kilku innych podnoszonych przez pana cech, ale jak rozumiem, wyczerpałam już swój czas.

Przez następne kilka sekund nic się nie działo. Powietrze zastygło w bezruchu, a serce Anny wyraźnie przyspieszyło. Po chwili Clive sięgnął po swoją kurtkę i wyszedł.

Anna opadła ciężko na zwolnione przez niego krzesło. Usłyszała zamykanie drzwi i głos oddalających się kroków, powoli jej serce odnajdywało swój dawny rytm.

– Możesz już wyjść, Tybjerg – rzuciła w powietrze.

Wyszeptała raczej, niż zawołała, pewna, że Erik stoi w pobliżu.

Anna i Tybjerg wsadzili Karen i Lily do autobusu linii 18, jadącego w kierunku Jagtvej. Tybjerg nie był zachwycony, że musi wyjść, ale Anna się uparła i nawet pomogła mu włożyć kurtkę, jakby był dzieckiem.

– Wracam za godzinę – obiecała Anna Karen, która

spojrzała na nią sceptycznie. – Na pewno, obiecuję – powtórzyła. – Jeśli zrobicie ciasto, to po powrocie usmażę naleśniki.

Lily wydała okrzyk radości, Karen nieco się rozchmurzyła.

– Nigdy jeszcze nie widziałem twojej córeczki – powiedział Tybjerg, kiedy autobus odjechał.

– To prawda – potwierdziła Anna.

Ruszyli w stronę przystanku w kierunku Beilahoj, po chwili wsiedli do autobusu. Tybjerg sprawiał wrażenie zmęczonego, nieprzyzwyczajony do jasnego światła co chwila mrugał.

Ledwie pojawili się w recepcji, a już zauważyli spieszącego w ich kierunku Sørena, który nagle się zatrzymał i zaniemówił. Patrzył to na Annę, to na Tybjerga.

– Cześć – odezwał się po dłuższej chwili. – Dobrze, że jesteście.

Zostali zaproszeni każde do innego pokoju. Tybjerg rozglądał się przestraszony, ale Anna skinęła mu głową uspokajająco, jakby chciała go zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Przesłuchanie trwało pół godziny. Pytania Sørena były dokładne i konkretne, Anna starała się odpowiadać równie precyzyjnie. Gdy dowiedziała się, że Asger Moritzen nie żyje, po policzkach poleciały jej łzy. Søren wstał. Anna pomyślała, że teraz pewnie poda jej chusteczkę, powie, żeby otarła łzy i że musi być silna. Ale

nie. Søren podszedł do niej, ścisnął ją za ramię i powiedział, że jak tylko podpisze protokół przesłuchania, może iść.

W domu Anna zgodnie z obietnicą zajęła się smaženiem naleśników, potem zjadły lazanie z zieloną sałatą, a na deser lody.

– To prawdziwe przyjęcie – powtarzała Lily, a Karen i Anna się śmiały.

Kiedy Lily usnęła, przyjaciółki usiadły przed kominkiem, nalały sobie wina i Anna opowiedziała Karen całą historię, od A do Z, chociaż Søren pewnie nie byłby tym zbyt zachwycony. Ale było jej wszystko jedno. Kiedy skończyła, Karen długo patrzyła na nią w milczeniu.

– Otwórz drzwi do pokoju Thomasa – odezwała się nagle.

Anna zamknęła oczy, nie odpowiadała.

– Anno...?

– Tak, otworzę je – przerwała jej. – Nie boję się. Tam nic nie ma. Jest pusto. Najpierw jednak muszę zrobić jedną rzecz. I to właśnie mnie przeraża.

Spojrzała na Karen uważnie.

– Nie wstawaj. Siedź, nic nie mów, po prostu bądź tu przy mnie.

Karen pokiwała głową.

Anna stanęła w ciemnym oknie ze słuchawką w ręką. Patrzyła na mokrą od topniejącego śniegu ulicę. Widziała w szybie odbicie Karen, która siedziała w fotelu z

podciągniętymi nogami i brodą opartą na kolanach. Anna wzięła głęboki wdech, podniosła słuchawkę i wybrała numer Thomasa. Było już po jedenastej, odebrał po szóstym dzwonku, zaspany.

– Mówi Anna.

Thomas westchnął.

– O co chodzi? – spytał, jakby wydzwaniała do niego codziennie. – Spałem. Mam dyżur – dodał.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że ci wybaczyłam.

– Co?

– Powiedziałam – zaczęła Anna, wymawiając poszczególne wyrazy, jakby ryła je na metalowej płycie – że ci w-y-b-a-c-z-a-m. Wybaczam ci, że skotłowałeś nasze życie, moje i Lily. Wybaczam ci twoje zakłamanie. Wybaczam ci, że nigdy mnie naprawdę nie kochałeś. Wybaczam ci twój chłód. Wybaczam ci, że okazałeś się tchórzem. Wybaczam ci wszystkie podłości i to, że nie masz nawet odwagi zauważyć, że ci to wszystko wybaczyłam! Wybaczam ci to, że zawsze widzisz tylko to, co chcesz widzieć, że...

– Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur – powiedział Thomas i się rozłączył.

Anna spojrzała w dół na ulicę, na Florsgade.

– Jasne, że nie musisz, ale i tak ci wybaczam, do cholery! – powiedziała. – Z wyjątkiem jednego – dodała w słuchawkę. – Nigdy ci nie wybaczę, że pozbawiłeś Lily ojca – zakończyła.

Odwróciła się i spojrzała na Karen, która nadal

siedziała w fotelu przed kominkiem.

– Pójdziemy obejrzeć twój nowy pokój? – spytała Anna.

Karen się uśmiechnęła.

W czwartek, osiemnastego października, odbył się pogrzeb Johannesesa. Dzień wcześniej Anna dzwoniła do Janny Trojborg, żeby dowiedzieć się wszystkiego dokładnie. Matka Johannesesa powiedziała, że pogrzeb będzie skromny, ale Anna jest mile widziana. Kiedy przybyła do kaplicy przy kościele w Charlottenlund, była za dziesięć pierwsza, zobaczyła zebraną już sporą grupę ludzi. Przed kaplicą stało siedemdziesięciu pięciu Gotów w pełnym rynsztunku. Widok był niesamowity. Janna trzymała się z boku i wyglądała na zagubioną. W kościele usiadła sama w pierwszej ławce. Jednak chwilę przed rozpoczęciem uroczystości wstała i łamiącym się głosem powiedziała:

– Jeśli ktoś chce podejść bliżej trumny, to proszę.

Ludzie zaczęli wstawać, podchodzić bliżej i ławki się wypełniły. Nagle Janna zaczęła szlochać. Wtedy jedna z dziewcząt z mocnym makijażem i zielono-czarnymi włosami, delikatnie chwyciła jej dłoń. Anna siedziała w czwartym rzędzie i płakała niepoohamowanie. Trumna było śnieżnobiała. Powinna być przybrana hawajską koszulą.

Anna spojrzała na kilkadziesiąt osób, siedzących w audytorium A Instytutu Biologii. Większości nie знаła, byli to doktoranci z innych instytutów, a pewnie też pracownicy jej własnego instytutu, który najwyraźniej zobaczyli na tablicy zawiadomienie i przyszli. W ostatnim rzędzie siedziała Hanne Moritzen. Była blada.

W sobotę odbył się pogrzeb Asgera, Anna była obecna. Początkowo były tylko we dwie, po chwili jednak w drzwiach kościoła pojawił się Tybjerg, w nieco pogniecionym garniturze, ale świeżo ostrzyżony. Organy zaczęły grać, więc nikt nie słyszał, kiedy drzwi znów się otworzyły i zaraz zamknęły, ale gdy nabożeństwo się skończyło i wszyscy wstali, spostrzegli, że na ławce w ostatnim rzędzie siedzi Birgit Helland. Nie odezwała się, nie podniosła nawet głowy.

Anna powiodła wzrokiem po sali. Zobaczyła siedzących obok siebie Jensa i Cecilie, a obok nich Karen. Wszyscy patrzyli na nią w napięciu, Jens miał łzy w oczach. Anna zakazała mu robić zdjęcia, tłumacząc, że ją to rozprasza; teraz jednak, widząc, jak czwarty raz w ciągu dziesięciu minut wyciąga chyłkiem aparat i pstryka jej zdjęcie, nie mogła się nie uśmiechnąć.

Wcześniej zjedli razem lunch: ona, Karen, Lily, Jens i Cecilie; wszystko przebiegło spokojnie. Rozmawiali o Troelsie; Karen i Cecilie płakały. Anna rozumiała, że

nadal są w szoku. Po posiłku Karen zeszła na dół do kiosku, a Jens, Anna i Cecilie zebrali naczynia i zanieśli je do kuchni. Lily bawiła się swoimi lalkami, układając je w szufladzie komody. Nagle Cecilie zaczęła dawać Annie znaki, że chce jej coś powiedzieć. Anna próbowała ją powstrzymać.

– Musimy o tym porozmawiać – obstawała Cecilie przy swoim. Jens, który stał za nią, kiwał głową.

– Tak, skarbie – powiedział, zwracając się do Anny.

– Chętnie, obiecuję, że znajdę czas, ale nie teraz. Jestem wykończona.

Cecilie i Jens zrozumieli jej prośbę.

Po chwili wróciła Karen, niosąc piankowe ciasteczka oblewane czekoladą. Zjedli je i zdążyli jeszcze zagrać w matadora.

Do rozpoczęcia jej referatu zostało jeszcze pięć minut. Anna zaczęła się pocić. Umówiła się, z Karen, że przyjaciółka odbierze Lily z przedszkola między referatem a jej obroną. Potem w zakładzie miał odbyć się poczęstunek, przygotowano szampana i ciasto; Anna chciała, żeby Lily była obecna.

W pierwszym rzędzie siedział Tybjerg i bawił się ołówkiem. Miał na sobie ten sam pognieciony garnitur, w którym był na pogrzebie Asgera, i patrzył na nią poważnym wzrokiem. Po chwili wskazał na swój zegarek, Anna skinęła głową.

Wzięła głęboki oddech.

Zaczęła od krótkiego rysu historycznego, następnie

zaprezentowała podstawy teoretyczne pracy, nawiązując do Poppera, do Kuhna i Daston. Wymieniła też podstawowe zasady, przesądzające o naukowym charakterze pracy, te same, które niedawno wypisane na kartce wręczyła Freemanowi. Zajęło jej to dobry kwadrans. Kolejne pół godziny prezentowała dowody natury morfologicznej, mające związek z toczącym się sporem. Kiedy skończyła, skoncentrowała się na szczegółach naukowych dotyczących niezgodności związanych z wykształceniem się piór w procesie ewolucji. Przygotowała też krótką prezentację, ilustrującą jej wypowiedź.

– Z mojego wywodu wynika wyraźnie, iż profesor paleoornitologii w Zakładzie Ewolucji Ptaków, Paleobiologii i Systematyki na Uniwersytecie British Columbia, Clive Freeman, w swojej argumentacji nie przestrzega elementarnych zasad naukowych, jego teoria odnośnie do archozaurów obarczona jest wewnętrzną sprzecznością, nie tłumaczy także dokonanego wyboru metody. Podstawowe pytanie brzmi więc...

Anna zawiesiła na chwilę głos, próbując w ciemności złapać wzrok Tybjerga.

– Podstawowe pytanie brzmi: Dlaczego? Dlaczego przeciwnicy są tak nieskorzy zaakceptować fakt, że ptaki są potomkami dinozaurów? Osobiście widzę trzy możliwości – powiedziała, robiąc krok w stronę swojej publiczności. – To dość powszechne i bardzo ludzkie, że człowiek widzi to, co chce widzieć.

W tym momencie Anna pragnęła móc spojrzeć w oczy Cecilie, ale nie widziała jej w mrocznej sali.

– W ludzkiej świadomości dinozaury, zgodnie z tym jak wcześniej je postrzegano, nie mają piór. To samo konserwatywne podejście dotyczy ptaków. Ptaki są unikatowe, wyjątkowe, każde dziecko widzi, że nie są podobne do dinozaurów. W czym miałyby przypominać te ogromne, napawające strachem istoty z groźnymi zębami?

Z widowni dobiegł ją śmiech.

– Prawda leży jednak gdzie indziej – mówiła dalej Anna. – Prawda znajduje się w ziemi, i trzeba ją z tej ziemi wydobyć na światło dzienne. Oczyścić i spróbować wytłumaczyć tak obiektywnie, jak to tylko możliwe.

Zamilkła, ale już po chwili mówiła dalej.

– Moja druga odpowiedź, to ludzki upór, graniczący niekiedy z głupotą, występujący tutaj pod przykrywką naukowego prestiżu. Nasi przeciwnicy, a szczególnie profesor Clive Freeman, poświęcili dużo trudu i pracy, broniąc czegoś, co okazało się niemożliwe do udowodnienia. Przyznanie się do błędu nie jest porażką. Dowodzi jedynie, że jest się przedstawicielem tego, co nazywamy nauką, która ma swoją naturalną dynamikę. To oznacza, że ciągle pojawiają się nowe hipotezy, które naukowcy muszą albo naukowo udowodnić albo gdy to okaże się niemożliwe, odrzucić. Clive Freeman może trwać przy swoim, jak długo zechce, ale nie wolno mu nazywać tego, co robi, nauką.

Moje ostatnie wyjaśnienie, dlaczego ten spór nadal

się toczy, mimo że z naukowego punktu widzenia nie ma już o czym dyskutować, jest takie, że ma to ścisły związek z wyżej wspomnianym prestiżem naukowym. By to zrozumieć, trzeba także wziąć pod uwagę zewnętrzne warunki, w. jakich przyszło nam, naukowcom, funkcjonować. Żyjemy w świecie twardej konkurencji, walki o kurczące się szybko środki, w świecie, w którym także media odgrywają coraz większą i nieraz zatrważającą rolę, co także przenosi się na nasze środowisko i na jakość nauki.

W drugiej połowie XX wieku było czymś oczywistym, że spory naukowe służyły także popularyzacji samej nauki; wszystkie za i przeciw starano się więc prezentować tak, by były zrozumiałe także dla szerszego ogółu. To jednak ostatnio się zmieniło, istota sporu stała się dzisiaj mniej interesująca od samego sporu. Wszyscy chyba pamiętają, kiedy Bjorn Lomborg pokłócił się z ekspertami o stan naszej planety, ale kto potrafi powiedzieć, czego konkretnie ten spór dotyczył? Kto zrozumiał jego merytoryczne implikacje? A przecież media poświęciły sporowi wiele miejsca.

Anna znów spojrzała na Tybjerga, zauważyła, że ołówek, który przed chwilą trzymał w ręku, leży teraz na blacie pulpitu.

– Wróćmy więc do postawionego wcześniej pytania: dlaczego ten spór nagle znów stał się interesujący?

Zapadła cisza. Anna widziała teraz twarz Tybjerga, widziała też, że się uśmiecha.

– Bo to się sprzedaje – powiedziała spokojnie. – Ludzie kupują gazety, wzrasta nakład periodyków naukowych, ich wydawcom też przecież zależy na zysku. Także wydawcom tak poważnych czasopism, jak „Science” czy „Scientific Today”; oni także korzystają na *toczącym* się sporze i dlatego wybierają do druku takie, a nie inne artykuły, nie przejmując się zbytnio ich merytoryczną wartością. Dinozaury są popularne; chcemy wiedzieć, co się z nimi stało, a media, jak wiadomo, promują to, co jest popularne. Jeśli chodzi o spór dotyczący pochodzenia ptaków, to doszło tu do sytuacji, w której obie strony są od siebie zależne: prasa i kłócący się ze sobą naukowcy. Bo spór dobrze się sprzedaje. Tak więc nawet tak wybitny ekspert, jakim niewątpliwie jest Clive Freeman, musi trwać przy swoich naukowo wątpliwych poglądach.

Anna spojrzała na salę i zauważyła pełny podziwu wzrok Karen.

– Środki na badania przyznawane są przez ludzi, którzy także czytają gazety, naukowe czasopisma i oglądają telewizję. Wielkie nagłówki i prasowy rozgłos stwarzają niekiedy wrażenie, że chodzi tu o ważne sprawy. Konflikty między wybitnymi naukowcami zawsze przyciągają uwagę mediów, a rozgłos w mediach ma wpływ na przyznawane środki. Tak jest również w tym wypadku. Takie jest moje zdanie. Oczywiście każdy ma prawo do własnych poglądów, ale pewne kryteria nadał obowiązują i sprawiają, że nie wszystko można

nazwać nauką.

W sali ponownie zapadła cisza.

– Dziękuję – powiedziała Anna, zamykając przenośny komputer.

Wszyscy zaczęli bić brawo, z wyjątkiem Johannesesa, który siedział z boku w pierwszym rzędzie. Zdjął swoją wiatrówkę i przesłał jej pocałunek.

Po chwili wstał Tybjerg i rozpoczął egzamin. Pomagał mu młody profesor z Arhus; recenzent, który także był związany z uniwersytetem w Arhus, pilnie wszystko notował. Anna miała na szyi łańcuszek z wisiorkiem, który dostała od Hellanda. Musiała się skupić, bo pytania padały gęsto. W pewnym momencie Tybjerg wręczył jej pudełko z kośćmi i poprosił, żeby pokazała rozwój, jaki przez lata przeszła ręka ptaka oraz innych pięciopalczastych. Anna wszystko wytłumaczyła, patrząc Tybjergowi prosto w oczy; odpowiedziała na wszystkie zadane jej pytania. W pewnym momencie pomyślała, że Karen pewnie poszła już odebrać Lily z przedszkola. Kiedy to się, do diabła, wreszcie skończy? Nagle zobaczyła, że drzwi się otwierają i do sali wchodzi Najbardziej Irytujący Policjant Świata. Wyraźnie się spieszył, chociaż próbował zachowywać się dyskretnie. W pewnym momencie się potknął i wtedy głowy wszystkich odwróciły się w jego stronę. Niech go szlag, ależ on jest irytujący, pomyślała Anna. Nagle poczuła, że robi jej się gorąco, i uśmiechnęła się do niego.

– Gratuluję – odezwał się Tybjerg.
I tak Anna została biologiem.

Podziękowania

Dziękuję: Andersowi Lundowi, Jensowi T.Hoegowi, Ase Jespersen, Jornowi Andreassenowi, Christianowi Baronowi, Peterowi Makovicky'emu i Paulowi McNeice'owi za przeczytanie książki i fachowe uwagi. Dziękuję także Jor genów i Lutzenowi, Perowi Christiansenowi, Peterowi Holterowi, Henrikowi Glennerowi, Kristine Johanne Kurstein Sørensen i Margrethe Noye-Sneding za inspirację. Szczególne podziękowania przekazuję śledczemu z jednostki specjalnej ds. osób szczególnie groźnych, działającej przy komendzie Wschodniej Jutlandii, Uffemu Jensenowi, który cierpliwie zapoznał mnie z zasadami swojej pracy (jeśli mimo to popełniłam jakieś błędy, to wyłącznie z własnej winy). Dziękuję też Janne Hejgaard, Paulowi Gazanowi, Trine Rosenkjer i Sophii Sanwald za to, że opiekowali się Lolą, gdy ja byłam zajęta pisaniem – kocham was! Dziękuję Trine Pallesen, Katrine Kjer, Mette Holbcek, Tinie Felton, Evie Myers, Ditte Rode, Evie Kruse, Hanne Palmquist, Malou von Simson, Lisbeth Sandberg, Julie Michelsen, Lotte Garbers, Stine Hesager Lema i Christinie Elverdal – za waszą siłę i wytrwałość w sporach. Dziękuję Dariusowi Ghanai za czarną herbatę z mlekiem i miodem, i mojej redaktorce, Lene Wissing za wyjątkowo dobrą współpracę. I na koniec podziękowania dla Ea-Viola Gazana. Jesteś miłością mojego życia i ta

książka jest dla ciebie.